62328

MORITURI.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Biblioteka Uniwersytecka Ludowo-Szkol. w Radomiu

TOM I.

WARSZAWA.
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.
1883.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Сентября 1883 года.

Warszawa — W Drukarni S. Orgelbranda Synów, Bednarska Nr 20.

Tm. kr. 97

U 2098

JANOWI.

Kochany Janie!

Zapisuję imię twoje na pierwszej stronicy tej powieści, nic ci dziś więcej dać nie mogąc, nad ten dowód pamięci serdecznej. Niech ona zostanie jako świadectwo nietylko mojego przywiązania do ciebie, ale twej synowskiej miłości dla mnie, której tyle odebrałem dowodów. Szlę ci za nią podziękę i błogosławieństwo na życie pracy, bogdaj szczęśliwe!... a niech ci dzieci twe oddadzą sercem i miłością twoje dla mnie serce i miłość.

Przywiązany ojciec.

Biblioteka Uniwersytetu Ludowego Kom. Szkol. w Radomiu

Morituri vos salutant.

W roku 1850, na przedmieściu miasta Lublina zwanem Winiarami, wznosił się jeszcze dom murowany, którego dziś niema i śladu. Nic dziwnego, albowiem wówczas już dziwić się można było iż mury te się trzymały i mieszkańca jakiegoś w sobie mieścić mogły. Zdala wyglądało to na opuszczoną ruinę, zwłaszcza że resztki dachu od czoła zasłonięte były starą wystawką, na kształt tej, która przystrajała boki dawnych Sukiennic. Poza tą zębioną, z tynków odartą ścianką, trzymało się jednak na krokwiach przegniłych odwieczne pokrycie, które różne przechodziło koleje, nosiło bowiem szczątki dachówek, gątów a ostatecznie pozatykane słomą, porosłe zostało rodzajem darniny i korzonkami składających ją roślin więcej się zachowywało, niż pozostałościami staremi. Przód tej kamienicy, która niewiedzieć dla jakiej tradycji zwała się Firlejowszczyzną, równie nędznie jak dach wyglądał i tynk pooblatywał z niej, świeciły odarte cegły, choć miejscami odarcia z ciosu świadczyły iż starannie wzniesioną niegdyś została, ale kilkaset lat doprowadziły ją do tego stanu zgrzybiałości. Ślady przeszłości nietylko w obramowaniach okien i drzwi istniały jeszcze, ale w zaklepanych tynkami i pobiałą nadpsutych rzeźbach, które słota i deszcz

363

poobnażał później kawałami. Wielka część dolnych mieszkań tak osutą była narosłą dokoła ziemią, iż kupy jej prawie do okien sięgały, a drzwi znajdowały się w rodzaju wyżłobienia wązką do nich prowadzącego ścieżyną. Dotykający ogród niegdyś murem otoczony, gdy go powoli częściami rozebrano i rozwalono, obwarował się chruścianym płotem, niezgrabnie poprzyczepianym do szczątków cegieł i kamieni. W ogrodzie tym zostało parę drzew bardzo starych, poobrąbywanych nielitośnie, w kącie trochę zarośli, reszta obrócona na warzywny sad, naga, poprzerzynana grzędami, rozdzielona na kilka części, wydzierżawiona znać być musiała sąsiadom.

W oknach górnych piątr domu były tylko stare drewniane okiennice, w niższych trochę szkła nawpół z deskami, na dole szyby gdzieniegdzie błoniaste w ołowiu, nowe w ramach, a wiele zabitych łupanem łuczywem. Obraz to był opuszczenia i nędzy. Odsunięta nieco od porządniejszych trochę domów żydowskich, Firlejowszczyzna stała otoczona pustkowiem jakby na wygnaniu.

Pomimo tej nędzy, wydawała się jak ów żebrak Hiszpan, przez którego płaszcza dziury duma wyglądała; miała w sobie coś pańskiego, znać w niej było zgruchotaną jakąś wielkość i przeszłość lepszą a ciekawą. Każdy przechodzień, który pierwszy raz zapędził się na Winiary, spoglądał na nią z podziwieniem, dlaczego tak długo stała i co wśród świata żywych nieboszczka ta robić mogła. Ciekawość też budził zagadkowy właściciel, który posiadając te mury ani ich zrzucić, ani poprawić i mieszkalnemi uczynić nie chciał. Żydzi posiadacze poblizkich domów i sklepów, pytani o niego, ruszali ramionami, spluwali i niechętnie objaśnień udzielali. Że jednak kamienica pustką całkowitą niebyła, świadczyła i wydeptana do niej ścieżyna, i komin jeden, z którego się czasem kurzyło i dwa okna w stanie prawie przyzwoitym utrzymane, których szkło nawpół było przezroczyste. Z poza szyb widać w nich było coś nakształt firanek. Firlejowszczyzna groziła jednak ruiną, bo mury boczne z góry do dołu spękane, ogromnemi otwierały się szparami; jednę ścianę zdawna miała klocami grubemi do belki przytwierdzonemi podpartą, i róg jeden, z którego się dach osunął, przegniwszy, opadł na ziemię. Kupa gruzu powstała ztąd, narosnąć już trawą czas miała i nikt jej nie ruszył. Sąsiedzi znali dobrze właściciela Firlejowszczyzny, który przed laty trzydziestą nabywszy ją z publicznego targu bardzo tanio, w wyjątkowych jakichś okolicznościach, połatał tyle, by mu się na głowę nie obaliła, zamieszkał w niej i, mimo późniejszych, stosunkowo dosyć korzystnych ofiar, odprzedać już nie chciał. Był to dumny, jak mówiono oficjalista książąt Brańskich, który, czy się sam od nich odprawił, czy odprawionym został, i nigdzie już nowej nie przyjmując służby, żył z zagadkowych jakichś spekulacyi. Uchodził on zrazu za ubogiego, nikt i dotąd o stanie jego kieszeni dobrze nie wiedział, żył jak nędzarz, lecz od lat piętnastu ludzie z początku domyślać się w nim zaczęli bogacza i lichwiarza, potem przyszli zwolna do tego przekonania, iż bajeczne posiadać musiał skarby. Nie było na to żadnych oznak i powodów, lecz raz powzięty domysł zmienił się koleją czasu w niezachwianą pewność. W istocie pan Leon Zembrzyński, człek niewiadomego pochodzenia, gdyż jedni go mieli za zbiegłego chłopa, drudzy za szlachcica, niektórzy za przechrztę, a nadobitkę znajdowali się i tacy, co go o pochodzenie i krew tatarską posądzali — w okolicy żadnych nie miał stosunków i interesów nie robił, nie wiedziano czem się zajmował: czasem tylko wycieczki czynił, po kilka tygodni się gdzieś włóczył, wracał i ludzie do niego nieznajomi zajeżdżali. Nie było najmniejszego powodu o coś go niegodziwego podejrzewać, ale to życie zakryte dziwnie jakoś wyglądało. Z ludźmi dokoła albo nie żył wcale, lub w takich stosunkach, iż się one ledwie znajomością daleką nazwać mogły. Człeczek ten wyglądał ni z pierza ni z mięsa, mały, przygarbiony, chuderlawy, kaszlący, pokornie, ubogo i milcząco. Nosił się zwykle

w szaraczkowej kapocie, w której głębokich kieszeniach ręce zwykł był nosić, jakby się bał żeby mu kto w nie nie zajrzał. Ludzie co wszystko wiedzą, szczególniej zamieszkujące parę dworków starych dewotek kilka, zaprzysięgały iż nigdy noga jego nie postała w kościele, i że nawet na Wielkanoc się nie spowiadał. Widziano go też w Wielki piątek kupującego mięso... a w niedzielę łupiącego drzazgi przed domem, bo ów mniemany bogacz tak sam sobie służył, jak najuboższy z ludzi. Jedna podżyła już bardzo kobieta, zwana Stroczychą, od lat przeszło dziesięciu jeść mu gotowała, i na płotach widywano poszarpaną bieliznę, którą prała znać dla jegomości. W piątek gdy pospolicie żebracy się po miastach włóczyć zwykli, nie mijali tutejsi Firlejowszczyzny, gdyż każdy trzeźwy po groszu dostawał. Ani mniej ani więcej żadnemu nie dano, nikogo też próżno nie odprawiono, chybaby nietrzeźwym się okazał. Jałmużnę rozdzielała Stroczycha we drzwiach, i pamiętała tak dobrze komu grosz dała, iż się żaden dwa razy przyjść nie ważył, bo ten co się dopuścił nadużycia, już następnych piątków nic nie miał i mógł nie powracać. Sposób życia Zembrzyńskiego naturalnie ciekawość obudzał długo, śledzono go, domyślano się, w ostatku powiedziano sobie że musi kradzionemi rzeczami frymarczyć, albo gdzieś na lichwę pożyczać, ale znać, jak wilcy, do koła gniazda szkody nie robi, aby mu nie zakłócono spokoju. Ta fama sknery i bogacza sprowadzała niaraz do Firlejowszczyzny różnych ludzi naciskanych pieniężną potrzebą; często bardzo korzystne interesa ofiarowano Zembrzyńskiemu, nigdy się na żaden nie spokusił. Gdy go tak napastowano, ręce obie podnosił do góry, za głowę się chwytał, spuszczał twarz ku ziemi i cicho a krótko odpowiadał.

— A dajcież mi święty spokój—złamanego talerza nie mam — dajcie wy mi święty spokój!...

I za drzwi tak co prędzej wyprawiał.

Jeden z najmajętniejszych kupców starozakonnych na Winiarach, Zelmanowicz, człowiek uczciwy

i powszechnie szanowany, raz go przecież na ulicy pochwycił, zagadnął i przytrzymawszy do dłuższej nieco rozmowy przymusił. Okazało się z niej, że Zembrzyński tylko do handlu lnem i konopiami się przyznał. Ale nikt temu nie wierzył a Zelmanowicz mniej niż inni. Gdyby handlował lnem i konopiami, pocóżby się z tem miał taić tak bardzo?

Powoli z latami pewne światło na tajemnicę pokątnych krzątań Zembrzyńskiego padać zaczęło. Szło ludziom o to, aby wiedzieli, z kim do czynienia mieli. Zaczęto więc śledzić tych co się tu czasem zjawiali, przyjeżdżając do niego i jeden szlachcic, jak utrzymywano, przyznał się że Zembrzyńskiemu do frymarków dobrami i pożyczania na lichwę pomagał. Ale ktoby napiłemu wierzył? Mogło być w tem coś prawdy, nikt nie wiedział wiele. Gdy się wreszcie ustaliło mniemanie, iż pieniądze miał i robił a szachrował niemi pokątnie — dano mu pokój. Raz tylko pod niebytność w domu, złodzieje się nocą wrąbali do niego, związali i zakneblowawszy Stroczychę, poszli szukać skarbu po całym domu, przetrzęśli wszystkie zakomarki i nic nie znalazłszy, poszli zawiedzeni. Stroczysze grożono aby im powiedziała gdzie stary pieniądze chował, i byłaby może na mękach wydała wszystko, gdyby cokolwiek wiedziała. Gdy Zembrzyński potem z podróży wrócił, a dano mu znać zawczasu o wypadku, nim się jeszcze do domu dostał, nie zląkł się wcale, ramionami ruszył i pośmiał się ze zbójów, głośno wyrzekając, że u niego kraść nie było co. Nikt temu wszakże nie uwierzył, a Zelmanowicz utrzymywał iż w takim starym domu o bezpieczną kryjówkę było łatwo. Stroczycha, odchorochawszy strach, przeleżawszy u Ś. Ducha, w kilka tygodni do pracy wróciła, Zembrzyński zaś, jakby na potwierdzenie tego co mówił, wprędce w nową puścił się podróż, dom zostawiając na łasce Bożej. Już go też drugi raz złodzieje nie probowali; omijano dom nawet z pewnym wstrętem, jako gniazdo bezbożnika.

Tak rzeczy stały w roku pańskim 1850, gdy dnia jednego w lecie, mężczyzna bardzo porządnie ubrany

i lepiej wyglądający od tych, którzy Zembrzyńskiego nawiedzać byli zwykli, zapytał przechodzącego Zelmanowicza o Firlejowszczyznę. Stary kupiec, bardzo zresztą zacny człowiek, był nieco ciekawym, a wiek uczynił go gadatliwym, skorzystał więc ze zręczności aby się coś od nieznajomego dopytać o nim samym i o interesie który go tu sprowadzał a i o panu Zembrzyńskim.

— Pan się pyta o Firlejowszczyznę Zembrzyńskiego? odezwał się z uprzejmem pozdrowieniem, wpatrując się pilno w obcego przybysza; no, czemu nie! znam! wiem! czemu nie! to niedaleko odemnie, ja jegomości przeprowadzę — to po drodze.

Firlejowszczyznę i drogę wiodącą do niej doskonale ztąd widać było, nie potrzebował podróżny przewodnika, wszelako Zelmanowicz mu jej nie pokazał i prosił z sobą. Szli powoli.

— A jakże, znam pana Zembrzyńskiego, dodał, to jest mój sąsiad, szkoda tylko że tak swój dom opuścił. Pan do niego ma interes? on to żadnych z nami nigdy nie ma interesów. Pan go zna? — hm! to dobry człowiek, inaczej nie można powiedzieć, ale bardzo osobliwy.

Nieznajomy się uśmiechnął.

— Znam go mało, rzekł — ale potrzebuje się z nim widzieć.—Czy znajdę w domu, tego pewno nie wiecie?

— Czemubym nie miał wiedzieć? odparł Zelmanowicz, — choć on to z nikim nie żyje, ale go codzień widujemy. Siedzi w domu, albo jeździ gdzieś daleko, w miasteczku żadnych interesów nie ma. Mówię panu to jest osobliwszy człowiek.

Podróżny pokręcił wąsa, aby ukryć pół uśmiechu.

— Wczoraj, co pewna, rzekł Zelmanowicz, był u siebie w domu, widziałem jak w starym szlafroku, podwiązany rzemieniem i w czapeczce, łuczynę sobie łupał, bo już Stroczycha nie zdąży wszystkiego zrobić... Chybaby dziś wyjechał rano, ale gdyby miał jechać, tobyśmy o tem wiedzieli. bo idzie za Grodzką bramę szukać sobie fury, a potem fura po tłumoczek

zajeżdża przed Firlejowszczyznę, a potem gospodyni mu kobiałkę z jadłem wynosi... No, a tego wszystkiego nie było, to go pan pewnie w domu znajdzie.

— Daleko ztąd? zapytał podróżny.

Stali o kilka kroków, ale Zelmanowicz, który zawsze jeszcze miał nadzieję czegoś jeszcze się dowiedzieć, nie pokazał domu, tylko odpowiedział:

— O! to jest bardzo blisko... a pan nie tutejszy? z daleka? Może jegomości służyć można kwaterą? U mnie o trzy kroki bardzo porządny pokój dla podróżnych... i nie drogo! U Zembrzyńskiego pan nie może stanąć, bo ani koniom, ani człowiekowi niema gdzie się pomieścić, choć dom duży.

Czekał odpowiedzi, lecz nieznajomy potrząsł głową i dodał:

— Ja mam już kwaterę na mieście...

Widocznie do żadnych poufnych zwierzeń ochoty nie miał i Zelmanowicz, wyczerpawszy wszelkie środki, musiał mu w końcu ową Firlejowszczyznę, od której stali o kilka kroków, pokazać! Oczy nieznajomego chciwie się na nią zwróciły, przypatrywał się jej bacznie, długo, ramionami poruszył i uśmiech mu po ustach się plątał, co nie uszło baczności Zelmanowicza. Na ostatek, jakby wychodząc z zadumania, pokłonił się dziękując żydowi i szybkim odszedł krokiem! Zelmanowicz widział go przyglądającego się jeszcze domostwu, kroczącego powoli, wsuwającego się wreszcie do drzwi obwarowanych kupami śmieci i znikającego we wnętrzu zagadkowej Firlejowszczyzny, przez której próg oddawna żaden z sąsiadów nie przeszedł. Nie miał już potem ani czasu, ani ochoty stary kupiec śledzić dalsze jego kroki i do wieczora o wszystkiem zapomniał.

My jednak zmuszeni jesteśmy wnijść razem z owym podróżnym do zaklętego domostwa. Próg jego kamienny, wyżłobiony latami, trzymał się jeszcze wyżej od zaklęsłej posadzki sieni, złożonej z potrzaskanych niegdyś kosztownych tafli, także kamiennych. Błota na nich jednak narosło miejscami dużo i trzeba

było postępować zwolna, aby we mroku znaleźć drogę. Przodem obszerny roztwierał się korytarz, który dawniej wieść musiał na paradne wschody do pierwszego piętra domu, teraz go wszakże kawałem płotu zagrodzono i mała chruściana furtka mogła do środka przepuścić, a ta była na kłódkę zardzewiałą zamknięta. W prawo i w lewo dwoje drzwi głęboko w mur wpuszczonych, do których trzeba się było dostawać po kiku wschodkach, prowadziły do dolnych mieszkań. Z tych prawe ogromnym, w mur wyciosany niezgrabnie wpuszczonym drągiem zaparte się zdawały na wieki, lewe miały klamkę i zamek. Do tych nie próbując dostał się podróżny i dopatrzywszy klucza w zamku, otworzył je nie bez trudności, bo klamka była zardzawiała i chodziła ciężko. Wszedłszy wewnątrz, nie znalazł nikogo. Rodzaj przedsieni sklepionej, pustej zupełnie, z zamurowanym kominem olbrzymim rzeźbionym, wyłożonej płytami równie zabrukanemi jak wnijście, miał znowu drzwi dwoje w głębi, jedne wprost, drugie na prawo. Na skrzypnięcie podwoi znać obudzony ledwie ruszył się, drzwi naprzeciw wnijścia przetwarły się ostrożnie, mała głowa w czapeczce ciekawie wytknięta, popatrzyła na przychodnia, który stał i rozglądał się także. Nagle roztwarto szerzej... człowieczek mały w szlafroku podpasanym rzemieniem wybiegł do przedsieni i zawołał schrzypłym głosem:

— A! pana mecenasa! wszak pan mecenas! a! to pan! cóż to go przyniosło?...

Człowiek witający przybyłego temi słowy drobny był, skurczony, żółty i minę miał wielce zakłopotaną, chociaż ożywioną jakąś ciekawością razem.

— Mój Boże! jakże ja tu w tej pustce pana mego przyjmę, dodał, ręce łamiąc. — Widzi pan, to czysta ruina! ale czy to człowiekowi na starość wiele potrzeba! byle dach... byle dzień do wieczora!... Nie chciało mi się, widzi pan, wziąć do reperacji tych gruzów, bo toby nie wiedzieć wiele kosztowało, a co mnie potem! co mnie potem?

Nagle uciął zakłopotany gospodarz... przybiegł

do mecenasa, którego w ramię pocałował, chciał go prowadzić do wnętrza, zawahał się, poskrobał w głowę i ręce załamał.

— Jakże ja tu pana mojego przyjmę! a! bo to panie ruina!

Nieznajomy jakby z politowaniem się uśmiechał.

— Ale cóż znowu za ceremonie, rzekł nieco rubasznie – albo to tam na moje przyjęcie co potrzeba, byle na czem usiąść było, a pogadać, bo są ważne rzeczy...

— A! ważne! ważne rzeczy! zawołał gospodarz i ściśnioną w kułak rękę włożył w usta. No — ale siąść toż przecie będzie na czem... dodał — choć mi wstyd. Widzi pan, mnie na nic wygody nie potrzebne—ja—ja nawykłem do biednego życia, bo to się dorabiało, dobijało... z niczego.

To mówiąc, otworzył drzwi do izby, z której wyszedł i ukazało się jej wnętrze dwoma oknami najlepszemi w całym domu oświecone. Była ona obszerna sklepiona, a tak prawie pusta jak sień. W rogu stało łóżko podobne do zakonniczego, a raczej tapczan na czterech chudych nóżkach z siennikiem, skórzaną poduszką i kołderką wełnianą, której barwy rozeznać już nie było podobna... W głowach stół prosty nie bejcowany z szufladką, zrzynkami papieru był usiany, miał kałamarz drewniany z zatyczką na sznurku i parę piór fantastycznie powykrzywianych od długiego znać leżenia bezczynnie. W jednej ze ścian była wpuszczona szafka, niegdyś biało malowana, dziś brudna tylko. W rogu znajdował się jeszcze kominek marmurowy, na którym w butelce stał ogarek świecy, przy nim wiadro z wodą i kubek... Na podłodze parę misek glinianych i cynowa łyżka na nich, świadczyły że niegdyś ktoś się tu czemś pożywiać musiał. Okruszyny kartofli i chleba dozwalały nawet odgadnąć czem się karmił. W papierku wydartym z książki leżała szczypta soli, na drugim rozkrojona cebula... Dodawszy do tego sprzętu półokrągły sepecik niegdyś skórą cielę-

cia obity, wytarty, z popodnoszonemi od zamków klapkami, który nudził się sam jeden w ciemniejszym kącie, będziemy mieli obraz dokładny salonu pana Zembrzyńskiego. Był to w istocie salon dla niemnogich gości, sypialnia, jadalnia, kancelarja, wszystko, a reszta ogromnego domu, z wyjątkiem izby Stroczychy, która za kuchnię i spiżarnię służyła — stała pustką i gospodą dla szczurów, nietoperzów, myszy i wszelkiego rodzaju nieproszonych gości.

Wprowadzając mecenasa do nędznej izby tej, w której oknach łachmany białe wytarte niby zasłony czy firanki reprezentowały, Zembrzyński się zarumienił na chwilę, lecz wprędce bardzo blada twarz jego odzyskała barwę zwyczajną. W pokoju jedno było tylko słomą wyplatane krzesełko, to żwawo podsunął gospodarz przybyłemu.

— Niech-no pan siada bez ceremonii — rzekł — ja mam miejsce na tapczanie—niech no tylko pan siada...

Mecenas musiał się czegoś podobnego do tego co tu zastał spodziewać, nie okazał bowiem najmniejszego podziwienia, wziął podane krzesło, nie oglądając się nawet bardzo po izbie, i siadł naprzeciw tapczana, na którego rogu mały człeczek w szlafroczku przycupnął, oczy płowe, ciekawe wlepiając w mecenasa.

Mecenas Hartknoch był mężczyzną w sile wieku, dobrze zbudowanym i cała jego powierzchowność zdradzała człowieka, który oprócz kancelarji i izby sądowej obcym nie był nawet salonom stolicy. Ubrany nie zbyt pokaźno, skromnie lecz wykwintnie i ze smakiem, poruszał się z wielką swobodą i pewnem staraniem o swą powierzchowność. Twarz ogolona świeżo, kształtna, z wąsikiem nie bez pretensji wysmukanym, wyraz miała pojętny, dowcipny i życia pełen. Znać w nim było inteligencją samoistną, dzielną i nawykłą do stykania się z najrozmaitszemi rodzajami ludzi, dlatego nie potrzebował śledzić zbytecznie człowieka, którego dom i otoczenie już mu starczyło do wyciągnięcia potrzebnej dyagnozy. Usiadłszy swobodnie naprzeciw pana Zembrzyńskiego, powiódł raz tylko oczkiem po izbie i zwrócił wzrok na skurczonego, zwitego niemal w kłębuszek gospodarza.

— Cóż tam, mój mecenasie dobrodzieju — ozwał się on po westchnieniu, które za wstęp służyć miało — już to nie bez kozery kiedy pan mecenas do mnie się sam fatygować raczył, tyle mając interesów na głowie. Ale nie lepiej-że było mnie wezwać słówkiem, jabym siadł na furkę i przyleciał.

— Periculum in mora, ozwał się mecenas, zrozumiesz mnie waćpan boś pono do szkół jezuickich chodził. Potrzeba się nam było rozmówić koniecznie, a że i drugi jeszcze interes pilny miałem w tych stronach, myślałem że nienarażając pana na koszta zbyteczne, lepiej zrobię, gdy sam przyjadę.

Na wzmiankę o kosztach lice Zembrzyńskiego rozjaśniło się, westchnienie, jakby mu ciężkie brzemię spadło z piersi, z ust się wyrwało — złożył ręce gdyby do modlitwy i rzekł rozczulony:

— A pan to jesteś nieoceniony mój dobrodziej, rozum i trafność i serce... czem się tu wywdzięczyć! Wyrazów mi braknie na wypowiedzenie tego co czuję.

— Dajmy pokój sentymentom, gdy rzecz o interes idzie — przerwał, śmiejąc się, mecenas — do rzeczy, panie Zembrzyński, do rzeczy, pan się powinieneś domyśleć co mnie sprowadza.

— Ale się nie umiem i boję domyślać, szepnął, kurcząc się, gospodarz—no—naturalnie te sprawy Brańskich.. ale... jakże to tam stoi?

— Według życzeń waszych coraz lepiej, coraz lepiej—rzekł mecenas, a właściwiejby było powiedzieć—coraz gorzej, coraz gorzej. — Pieniędzy ciągle potrzebują, hypoteka się obciąża i wywłaszczenie bardzo wprędce nastąpić musi... Jeszcze sto tysięcy dać potrzeba... a potem już dosyć, procenta nieopłacone ich dojedzą...

— Dojedzą! powtórzył Zembrzyński, wzdychając. Gdyby też to raz tego końca, tego dnia sądu i sprawiedliwości doczekać...

— Przyjdzie, przyjdzie, bo nieuchronny jest jak dzień sądu ostatecznego, rzekł mecenas — a myślę że nawet wprędce. Zresztą to od waćpana zależy... zechcesz, pozwiemy o długi, nie będzie sposobu wyratowania się, dobra na licytacją wystawione zostaną, a że pan na nich masz wszystko co tam cięży, że najróżniejsze długi ponabywałeś w końcu tak, że nie będziesz miał współzawodnika; niema wątpliwości iż się przy majątkach utrzymasz.

Gospodarz zatarł ręce, oczy mu błysnęły, ale wprędce jak ślimak do skorupy wrócił do swego skulenia i zbiedzenia.

— Więc — powiada pan? przerwał.

— Trzeba na dobicie prędsze sto tysięcy... dodał mecenas. Zwykłym sposobem da je ktoś trzeci, podstawiony ad hoc i natychmiast dług ten panu przeleje... To moja rzecz... W najszczęśliwszym razie, tak jak stoją rzeczy. mogą trwać najdłużej rok, potem...

— A czy on rok pożyje? spytał niespokojnie gospodarz...

— Kto — on — szambelan? — rzekł mecenas, alboż panu nie jedno po nim, czy po synu wziąć majątki?...

Chwilę trwało milczenie, Zembrzyński wahał się, jakby mu ciężko słowo potrzebne wymówić przychodziło.

— Otóż—nie jedno mi—nie jedno! szepnął z wyrazem dziwnym... mnie trzeba... jabym chciał—jego... jego... widzieć na takim tapczanie, na jakim ja życie moje przeleżałem.

Mówiąc to, rozgrzewał się mimowolnie — mecenas, słuchając go, zdawał się ciekawe czynić studjum psychologiczne, tak oczy weń wlepiał błyszczące... Ale Zembrzyński się hamował.

— Mów pan otwarcie—poddał mecenas—bez ogródki...

— Pan mnie i bez tego zrozumiesz—mruknął pierwszy, więcej ja mu mówić nie potrzebuję... Szambelan urodził się w r. 1770, niech-no pan obrachuje, ma teraz lat osiemdziesiąt, a choć twarda natura i chuchają

tam na niego, to wiek w którym i za rok ręczyć trudno.

— Wszakże i roku, gdy zechcesz, a pilno ci tak, czekać nie potrzebujesz—odparł Hartknoch. — To od waćpana zależy.

Gospodarz milczał a ważył.

— Szanowny mecenasie, dobrodzieju mój najosobliwszy, rzekł — gdy się na co długo, długo czekało a przychodzi uczynić krok stanowczy, należy się tak wyliczyć, aby fałszywego nie zrobić kroku. Czy pan wiesz—ale pan to wiesz tak dobrze jak ja, że rodziny stare a możne nie upadają łatwo... Mają krewnych. koligatów... mają resursa... mają protekcje, mają środki wszelkie, których ja—jestem pozbawiony.

Przysunął się bliżej do mecenasa, zajmując już zaledwie sam rożek tapczana.

— Niech-no pan mnie posłucha — ja nie nawykłem do gadania, to może się źle wyrażam. Człowiek siedzi ciągle sam, oto tu w czterech ścianach zamknięty, jak więzień, to się mówić oducza. Widzi pan — trzeba wszystko dobrze rozważyć. Czyż to może być ażeby oni, oni, co im tam przecie na rozumie nie zbywa, nie wiedzieli tego iż nad przepaścią stoją? Wnoszę ztąd że coś na obronę swą chować muszą, że mają jakieś środki ratunku skryte, dla mnie niedostrzeżone, które nagle wystąpią, aby całą moję zburzyć robotę.

Mecenas poruszył się na krześle, jakby coś chciał powiedzieć, Zembrzyński schwycił go za rękę i mówił dalej.

— Szambelan ma familią. nie licząc pana Hugona. którego majątek stopniał dawno; jest tu sufragan, a ten musi mieć pieniądze, są dalsi krewni.

— Ale waćpan wiesz — przerwał mecenas, że sufragan co tylko miał i mógł zebrać, na ratunek interesów brata poświęcił, ba nawet i długi pozaciągał...

— Wiem, wiem—dodał gospodarz — ale duchowny. ma dochody... Kto go tam wie, na złą godzinę musi coś chować... i jak przyjdzie zła godzina dobędzie z kryjówki. Są dalsi krewni... możni i kto tam zre-

sztą zgadnie?... To pewna że ja—ja się boję, ja muszę być ostrożnym.

— Ale o.cóż waćpanu idzie? zapytał mecenas żywo, w żadnym razie tego co włożyłeś stracić nie możesz, jesteś prawie ubezpieczony.

— O co mi idzie? gorąco i jakby mimowoli zawołał Zembrzyński, o to mi idzie, aby nędzę cierpieli... aby padli, aby doznali upokorzenia zasłużonego...

Nagle wstrzymał się, jakby zawiele wygadał, spojrzał bojaźliwie na mecenasa i znowu porwał go za rękę.

— Tak jest, dodał — źle się może wyraziłem — źle, pan-by mnie mógł o jakąś chęć zemsty posądzić—tak nie jest. Za cóżbym ja się miał mścić? mnie idzie, tak, mnie idzie tylko — o ich majątek.

— To rozumiem, odparł przybyły, mierząc go oczyma bystremi—a majątku możesz pan być pewnym...

— Ale jeszcze rok czekać! westchnął stary.

Po krótkiem milczeniu. Zembrzyński wstał z tapczana i zrobił kilka kroków ku stolikowi.

— Jeśli tam tych sto tysięcy jeszcze potrzeba odezwał się cicho — no — to dam asygnacją do bankiera. Nie mogę się już cofać—ale,—jak się panu zdaje? czyż to być może aby oni swojego niebezpieczeństwa nie widzieli, ratunku nań nie szukali i tak lecieli ślepo na zgubę?...

— Mój panie Zembrzyński—począł mecenas, uśmiechając się,—jakkolwiek pan tu odludnie siedzisz i mało ze światem obcujesz, znasz pono ludzi i świat tak dobrze jak i ja, znasz nadewszystko ten ich świat, albo go odgadujesz. Wielokrotnie miałem się o tem zręczność przekonać. Wiesz więc jak to tam idzie. Nadzieja w najrozpaczliwszem położeniu nie opuszcza człowieka do końca. Rachują i oni — szczególniej na małżeństwo księcia Roberta, na bogatą jakąś dziedziczkę, która miliony wniesie i rodzinę ocali.

— I taką gotowi znaleźć! krzyknął Zembrzyński, gotowi znaleźć!! Tytuł książęcy! Pan rotmistrz ma nie więcej nad lat czterdzieści, wygląda młodo, człowiek piękny, nie można powiedzieć aby się i podobać nie mógł i...

— Sameś waćpan powiedział że ma lat czterdzieści — roześmiał się mecenas, od lat dziesięciu szuka tej żony, z lada kupcówną, jak inni, nie ożeni się... wybredny on jest, a ojciec i rodzina jeszcze więcej. Zresztą, mój panie Zembrzyński, dodał mecenas, to są rzeczy uboczne... to nie moja sprawa... ja robię co mogę i umiem, abyś dobry zrobił interes, reszta do mnie nie należy.

Gospodarz, jak gdyby się już zanadto wygadał, umilkł, zagryzając wargi, kiwnął głową i zbliżył się ku stolikowi — ręce, które ku piórom i kałamarzowi wyciągnął, widocznie mu drżały. Hartknoch nie chcąc przerywać milczenia, rozpatrywał się po nędznej izdebce, interes z którym przybył już został załatwiony, ale ciekawość znać budziła się w człowieku na widok mieszkania i tego co Zembrzyńskiego otaczało. Gospodarz zdawał się śledzić ruch każdy gościa swojego i odgadywać jego myśli.

— Hm! szepnął, pan się może dziwi, patrząc na mnie i na dom, że ja tak nędznie żyję, choćby się tam może znalazło za co wygodniej? Ale do czego to? do czego? Jam nawykł, mnie to wszystko jedno. Czy pasztetem, czy chlebem razowym dzień przebędę — różnicy mi nie robi. Los mnie nie pieści, mnie tu dobrze.

— A po cóż zbierasz pieniądze, spekulujesz, gromadzisz? śmiejąc się zapytał mecenas, a tobie one niepotrzebne, zostawić nie masz komu...

— A no, a no—znajdzie się, o to kłopotu niema, zawołał Zembrzyński... o! o! sukcesorów jeszcze nikomu nie zabrakło!

— Dom ci jeszcze kiedyś na głowę upadnie,—przerwał mecenas.

— E nie! on nas obu przestoi — odparł gospodarz... porysował się, połupał, to prawda — ale dawniej nie tak budowano jak dzisiaj. Co pan myśli? czybym ja

miał chwilę spokoju, gdyby ludzie wiedzieli że coś mam, a dom inaczej wyglądał?

— Przecież domyślają się że ciułasz i że nie jesteś bez grosza.

— Tak, ale też wiedzą, że gdy sobie żałuję, drugim też pewno dawać nie będę miał ochoty. I ot, tak jestem spokojny! machnął ręką.

— Bądź co bądź — panie Zembrzyński, odezwał się poufnie mecenas; nie mogę powiedzieć żebym was rozumiał, choć szczycę się zaufaniem waszem. W tem wszystkiem jest na dnie jakaś tajemnica.

Gospodarz rękami strzepnął żywo, jakby pośpiesznie to chciał oddalić.

— Co za tajemnica? jaka? zkąd? najprostsza rzecz w świecie, zawołał — jestem chciwy, skąpy, zapragnąłem zbogacić się i po wszystkiem. Przecież ani rozbijam, ani kradnę, a że, z pomocą swego dobrodzieja, używam wszelkich godziwych środków aby na swojem postawić. no to co?

— Godziwych? począł przerywając mecenas — tak! prawnie oba nie mamy sobie nic do wyrzucenia, a raczej nikt nas nie złapie na nadużyciu — ale w środkach nie przebieramy... nie!

— A gdzież się inaczej dzieje, mój łaskawco? pochwycił Zembrzyński. gdzie? każdy się dobija i broni takim orężem, jaki pochwyci. Nieuczciwego w tem niema nic, a serdeczności w interesach szukać — to trudno, to trudno. Zresztą, panie mecenasie, łaskawco mój, ani ja ani pan obowiązków względem tej familii nie mamy.

Ruszył ramionami.

— Idzie tedy o sto tysięcy? hę? prawda? ciągnął dalej, już na stoliku się oparłszy — o ostatnie sto tysięcy? Dam — dam! kogoś zapewne spłacimy. Co pan ceni ich majątki? jak się mecenasowi zdaje... dużo im zostanie, jeśli na subhastacją pójdą?

— To wyrachować trudno... rzekł Hartknoch. majątki mogą się sprzedać drożej lub taniej, od tego zależy co im pozostanie, w każdym razie niewiele. Jest

dług towarzystwa, są legata, są sumki drobne, są zaległe procenta...

Oba zamilkli i oba liczyć się zdawali... Zembrzyński pochylił się nad stołem i coś na papierku kreślił, podniósł się potem... zadumał... z za szlafroka dobył kluczyka i śpiesznie wyszedł z nim do drugiego pokoju, to jest do pustej sieni.

Mecenas został sam. Wstał z krzesła i począł się przechadzać po nędznem mieszkaniu swojego klienta, który znikł i chodu jego nawet ani otwierania drzwi dalszych słychać nie było. Dla nawykłego do najwykwintniejszego życia, mieszkania, powietrza i sprzętu człowieka, pobyt nawet w tej izbie krótki musiał być przykrym. Znać to było w twarzy mecenasa, ktory chodząc unikał, dotknięcia tych brudów, niektórym sprzętom przyglądał się z dziwnym uśmiechem i znowu ramionami ruszając chodzić poczynał. Przez szyby, któremi na przedmieście chciał spojrzeć, od kopciu i pyłu odwiecznego osmolone a grubą warstwą pleśni okryte, nic prawie widać niebyło. Ściany miały tę barwę neutralną, nieokreśloną, jaką wiek i wilgoć nadawać zwykły; pył okrywał wszystko co niedotknięte życiem powszedniem pozostać mogło... nędza, a raczej zaniedbanie osobliwsze i dobrowolne patrzyły zewsząd. Jeszcze się przechadzał mecenas, gdy zwolna drzwi się otworzyły i powoli wsunęła się postać kobieca, która na widok obcego, pozostawionego sam na sam w izbie gospodarza, stanęła niema i jakby osłupiała.

Była to Stroczycha... baba pięćdziesięcioletnia, w odzieży ubogiej, zbrukanej, z licem zwiędłem i bezmyślnem. Na twarzy jej Hartknoch nie wyczytał nic więcej nad kwaśne znudzenie życiem. Żółta pomarszczona skóra okrywała policzki zapadłe — włos rozrzucony, siwiejący spadał po skroniach i czole. Siwe oczki, głęboko w jamach zaklęsłe, patrzyły obojętnie, ze zdziwieniem jakiemś ospałem... Chciała się może spytać przybysza co tu robi, usta jej poruszyły się już, ale pomiarkowawszy wstrzymała się i chwilę pozosta-

wszy bez ruchu, schyliła się po miski i łyżki na ziemi przy kominie, podniosła je, pomruczała coś niewyraźnie i znikła.

Prawie w tejże chwili powrócił Zembrzyński; widocznie zmięszany tem, że gospodyni jego niepotrzebnie się gościowi przedstawiła; rzucił okiem na mecenasa i niosąc sznurkiem owinięty papierów pęczek, żywo do stołu przystąpił.

Hartknoch poszedł za nim, usiedli jeden na krześle, drugi na tapczanie i rozpoczęło się nieme przeziernie przyniesionych papierów, które gospodarz podawał z kolei, a mecenas pobieżnie przeglądał i odkładał. Nie potrzebowali wzajemnych objaśnień, gdyż interes o który chodziło, obu był dobrze znany. Kilkanaście minut trwało rozpatrywanie dokumentów, kilka z nich mecenas odłożył do zabrania.

— A więc, mój łaskawco — odezwał się pocichu Zembrzyński, pojedziecie do Brańska... pojedziecie?

— Prosto ztąd — rzekł Hartknoch. Muszę być sam, ażeby interes ten załatwić, a przyznam się wam, że dość rad jestem iż ten dom zobaczę...

— A no, wierzę — szepnął gospodarz — tylko, na miłość Bożą, nie daj się im pan obałamucić. Ci ludzie czary doprawdy rzucać umieją, gdy chcą... O! o! a niema człowieka coby się im oprzeć potrafił.

Hartknoch śmiać się począł.

— Tak, tak! dodał Zembrzyński — ja ich dawniej znałem, ja ich znam i teraz, bo to się tam nic nie zmienia... Stary Norbert, ten nikogo nie pozyszcze... bo o nikogo nie dba... prosto z panem Bogiem rozmawia, a reszta świata zdaje mu się że do jego kolan nie dorosła — to jeszcze złomek z innych czasów, gdy się ludzie na różne gatunki lepsze i gorsze dzielili! Cha! cha! Straszny jest, choć już mu siła z rąk wypadła. Ten nie obałamuci nikogo — ale syn... ale córka... ale choćby książę Hugon... Przyznam się wam — dorzucił cicho — bardzom ciekaw jakie oni na was uczynią wrażenie... ale wy, wy tędy już powracać nie możecie.

— Nie mogę i nie będę — rzekł mecenas, czas mi drogi podaję prosto do Warszawy.

— To może ja u was tam będę — trochę później — dodał cicho Zembrzyński, nie zawadzi pomówić jak się dalej te rzeczy prowadzić mają. Mój łaskawco... nie dziwujcie się, człek im bliżej końca, tem się więcej niecierpliwi...

Mecenas wstał z krzesła.

— Już jedziecie? zapytał niespokojnie Zembrzyński — a no — poczekajcież — ja was do miasta przeprowadzę... tylko, tylko się ogarnę... dopędzę was na drodze... natychmiast...

To mówiąc, podali sobie obie ręce.

— Mój łaskawco, dorzucił bojaźliwie gospodarz — jabym was tu przyjąć powinien — ale sami widzicie jak żyję — nie mam nic... W usta byście wziąć nie mogli tego, czem się ja karmię... Jam do tego nawykł. mnie to wszystko jedno — wszystko jedno... dodał gorączkowo — ja o wygody nie dbam.

Mecenas, skłoniwszy się tylko, conajśpieszniej z dusznej i zatęchłej atmosfery tej chciał się wydostać! Zembrzyński poprowadził go aż do sieni — spojrzał jeszcze za wychodzącym i prawie biegiem poszedł się przeodziać, aby swemu gościowi do miasta towarzyszyć.

Nazajutrz ku wieczorowi, bryczka pana mecenasa Hartknocha, zaprzężona tęgiemi czterema końmi najętemi w Lublinie, zbliżała się ku małej mieścinie, na skraju lasów położonej. Zdala widać było na tle ich ciemnem wieżycę białą kościoła, mury i czerwone dachy i szereg porozrzucanych domostw wśród sadów.

W bok od osady tej w drzewach starych przeglądały zakryte niemi mury, w których domyślać się było można pańskiej rezydencji. Woźnica najęty zwrócił się do mecenasa i wskazując biczyskiem miasteczko, ozwał się z tryumfem:

— Widzi pan — jeszcze słońce nie zaszło, a oto za kwandrans na miejscu będziemy, jak mówiłem... Żeby nie te szelmowskie piaski w borze, jużbyśmy byli od półgodziny stanęli. Czy pan każe wprost do pałacu?

Hartknoch się zamyślił.

— Najprzód w miasteczku do zajezdnego domu, muszę się przebrać — potem, jeśli nie będzie za późno... zobaczymy.

— Dlaczego ma być późno? rzekł woźnica. Jeszcze słońce nie zaszło. Toć książęcy dwór, proszę pana; u nich się życie zaczyna gdy kury spać idą. Tam jeszcze będzie zawsze czas, choćby do północy.

To mówiąc, konie podpędził i nie zważając na rozpoczynającą się groblę dosyć wybitą i jam pełną, ku miasteczku pośpieszał.

Mecenas ciekawie przypatrywał się okolicy. Mieścina niepozornie wcale wyglądała, lecz była podobną do mnóstwa innych w kraju naszym, od wieków na jeden wzór się kształtującym. Życie i warunki jego jednakie, w ten sam zawsze sposób wyrażać się muszą. Długa grobla, ponad którą stały młyny czarne i stare, prowadziła do głównej ulicy miasta, zastawionej niskiemi chatami, podobniejszemi do wieśniaczych niż do domków miejskich. Gdzieniegdzie tylko wznosił się porządniejszy, obielony, a nad drzwiami jego lub oknem znak rzemiosła albo czarna z napisem tablica; gdzieniegdzie ocalała wierzba obcięta, grusza z gałęźmi poobijanemi, lub szeroko ocembrowana studnia z żurawiem wiejskim. Zbliżając się do rynku aż nadto szeroko rozłożonego, dla targów niedzielnych i świątecznych — domki coraz były porządniejsze, a między niemi coraz gęstsze zajazdy i gospody. Szereg ich otaczał dokoła targowicę, przerwany tylko w jednem miejscu parkanem parafialnego kościoła, dalej bramą

wiodącą w lipową aleję, ciągnącą się znać ku rezydencji. Z karczem parę było wcale czysto wyglądających, a szyldy świadczyły że się zwały hotelami. W samym środku targowicy, naprzeciw bramy kościelnej, murowana figura w stylu gotyckim, ze smakiem pobudowana, obwiedziona kratą żelazną, osadzona topolami brzozami i różami, wykwintnością swą dziwnie się sprzeczała z niepozornemi domostwy, stojącemi dokoła. W niszy piękny posąg Bogarodzicy z kamienia kuty, z wieńcem gwiazd u czoła, miał napis— Zdrowaś Marjo!... równyż smak i staranie widać było około kościoła i podwórca. Sztachety, wrotka, krzyż żelazny na cmentarzu, utrzymane były z pobożną troskliwością. Zielone drzewa bujno rozrosłe osłaniały ten cichy kątek.

Woźnica pana mecenasa, któremu miejscowość znaną była, bez namysłu zajechał, nie pytając, do hotelu noszącego tytuł Warszawskiego, sądził bowiem że Warszawianina nigdzie właściwiej nie potrafi umieścić. Oprócz tego utrzymujący zajazd chrześcianin, właściwiej przechrzta, był mu osobiście znanym. Bryczka, mocno stuknąwszy w próg wyniosły, wtoczyła się do szopy, starym obyczajem połączonej z mieszkalną budową. Mecenas żwawo wysiadł i służąca nadbiegająca wskazała mu numer opróżniony, w którym przebrać się było można. Rad się był jednak przybyły dowiedzieć nieco o obyczajach dworu, do którego jechał, aby tam nie wpaść w godzinę niewłaściwą, i poprosił o gospodarza. Życzenie to wprędce spełnionem zostało. Otyły, biały, czarno zarastający, przystojny mężczyzna, bez chustki na szyi i w fartuchu pod surdutem narzuconym na prędce, poważnie wtoczył się do pokoiku. Skłonił się, bacznie obrachowywując, aby zbyt nizkiej nie okazać uniżoności i czekał na zapytanie.

— Powiedz mi pan, odezwał się przybyły — czy mogę jeszcze nad wieczór być we dworze? mam interes...

— Dlaczego nie, jeśli pan ma interes — rzekł go-

spodarz z namysłem, a po chwili dodał: tylko ja nie wiem do kogo pan ma interes, bo tu u nas do interesów jest plenipotent, a co się tyczy państwa...

— Przepraszam cię, panie gospodarzu, przerwał Hartknoch, muszę prosić o małą informacją. Któż tu właściwie zajmuje się interesami? Młody książę, czy stary? czy...

Oberżysta głową pokiwał, jakby dawał do zrozumienia iż to tu nie tak łatwo trafić było i zoryentować się, jak sobie naiwny przybysz wyobrażał.

— Proszę pana dobrodzieja—rzekł z akcentem izraelskiego pochodzenia — tu u nas... to wielki dwór... wielkie państwo... przystęp niełatwy i trzeba wiedzieć z jakim kto interesem przyjeżdża. Plenipotent i rządzca dóbr, pan Gozdowski, najlepiejby pana zainformował, a mnie się zdaje, że taki od niegoby zacząć wypadało... i z nim się porozumieć.

— A mieszka we dworze? spytał Hartknoch.

— Chce pan mówić w pałacu — poprawił oberżysta — nie — ale ma dwór swój osobny przy folwarku... bo to tu, proszę pana, wielkie państwo... książęca rezydencya...

Mecenas się uśmiechnął.

— Zatem, bylebym drogę wiedział, pojadę do pana Gozdowskiego, dodał. Tak będzie najlepiej.

— Najlepiej — pochwalił gospodarz... a trafić do pana plenipotenta łatwo, ino aleją wciąż i w prawo, pominąwszy pałace, to tam ludzie pokażą. Dwór porządny z ogrodem, co się zowie...

— A jest ten pan w domu? spytał mecenas.

— Pewno jest... nie wyjeżdża nigdzie.

Podziękowawszy za tę pierwszą wskazówkę, Hartknoch ubierać się zaczął. Kawał dobry drogi było jeszcze od miasteczka do rezydencji, musiał więc, koni nie każąc wyprzęgać, siąść znowu do bryki i jechać szukać pana Gozdowskiego.

Tu woźnica, człek bywały i znający miejscowość, wielką stał się pomocą. Trafił od razu aleją na drogę do dworu rządzcy prowadzącą i zajechał śmiało przed

ganek. Mieszkanie plenipotenta jak porządny szlachecki dwór wiejski wyglądało, porządniejsze tylko było od wielu starych naszych domów wiejskich. Otaczał je sad, i drzewa, i kląby, a w nich kwitły całą krasą letnią starannie utrzymywane rośliny... W ganku służący w szaraczkowej liberji się znalazł i wskazał w lewo mieszkanie pana Gozdowskiego, który szczęściem był w domu. Salonik, do którego wszedł z sieni pan mecenas, tak był poważnie piękny i smakownie przybrany, jakby majętnemu służył obywatelowi; w każdym razie powziąć z niego było łatwo wielkie wyobrażenie o dostatkach państwa, których pełnomocny rządzca tak wytwornie mógł się urządzić.

Prawie równocześnie z mecenasem z drugiego pokoju wyszedł przeciwko niemu mężczyzna niemłody, słuszny, pięknej postawy, wyglądający pańsko, który go dość zimno zdaleka pozdrowił. Był to pan Maurycy Gozdowa Gozdowski, z dawnych lat przyjaciel domu i pełnomocny rządzca dóbr i interesów książąt Brańskich. Patrząc na jego jasne a niezachmurzone czoło i pogodny wyraz oblicza, można było sądzić iż sprawy, których pieczę miał sobie powierzoną, w najświetniejszym znajdowały się stanie. Najmniejsza troska nie zakłóciła tej fizjognomii dziwnie spokojnej i wewnętrzne zadowolenie malującej wymownie. W ruchach i obejściu znać było człowieka, który nawykł poufale w najwykwintniejszem żyć społeczeństwie i sam nabrał w niem jego tonu, ruchów i ogłady.

Pan Gozdowski siwy już, ale czerstwy, z włosem postrzyżonym krótko, ubrany wykwintnie, podobniejszym był do pana, niż do skromnego urzędnika w pracowitych znajdującego się usługach. Ogromny sygnet z krwawnikiem herbowym na palcu oznajmywał dbałego o swój klejnot szlachcica, który za plebejusza ani chwilę uchodzić nie chce.

— Mam honor przedstawić się panu dobrodziejowi — odezwał się, kłaniając, mecenas — jestem prawnikiem, imię moje może nie będzie mu całkiem nieznanem. Hartknoch... przybywam tu w interesie...

— A! Hartknoch. tak — odparł podając krzesło Gozdowski—w istocie, imię pana mecenasa obcem nam nie jest i interesu nawet mogę się domyśleć ale niechże pan dobrodziej siada... Bardzo mi miło.

Ostatnie słowa, przecedzone przez ściśnięte usta, przy nagle zmienionym wyrazie twarzy, mogły wprost oznaczać coś przeciwnego temu co mówiły. Zakłopotanie pana Gozdowskiego, rodzaj zniecierpliwienia krótkiego, ustąpiły natychmiast wracającej pogodzie i uśmiechowi.

— Niech-że pan dobrodziej siada, powtórzył. Pan dobrodziej z drogi, może mu czem służyć mogę.

— Bardzo dziękuję — bardzo dziękuję — zaczął mecenas; czasu mam mało i jeśli pan pozwoli, radbym natychmiast przystąpić do interesu...

— A tak — więc przystąpmy do interesu! sucho lecz grzecznie rzekł, siadając naprzeciw Hartknocha. pan Gozdowa Gozdowski i oczyma bojaźliwemi starając się zbadać z kim miał do czynienia. Jest to interes, jak się domyślam... z Horkiewiczami.

— Tak, tak jak wiadomo panu, mówił Hartknoch, egzaminując również fizjognomią przeciwnika. Horkiewiczowie potrzebowali i potrzebują koniecznie zwrotu swojego kapitału.

Gozdowski ruszył ramionami.

— Kapitał ten, ciągnął dalej mecenas, wypowiedziany w terminie, spłaconym być musi, inaczej byliby zmuszeni do kroków...

— Rozumiem, proces, sprzedaż z publicznego targu i tam dalej, dodał Gozdowski — lecz...

— Za pozwoleniem pana, w krótkich słowach rzecz całą skończę, bom nie dopowiedział — rzekł Hartknoch. Następstwa te, dla obu stron nieprzyjemne. przyszłyby niechybnie, gdyby nie znalazł się środek uniknienia i ich, i wielkiego kłopotu... w sposób dla stron obu dogodny.

— Jaki? jaki? przerwał niespokojnie plenipotent. Z dóbr wyzuwać się nie możemy — to mówię z góry.

— I, nateraz, nie potrzebujecie państwo, kończył mecenas powoli, wpatrzony w zmieniającą się od wrażeń nadaremnie ukrywanych twarz plenipotenta. Oto znajduje się nabywca długu tego Horkiewiczów, który ich spłaci, a sam w prawa ich wstępuje...

Gozdowski odetchnął lżej, oczy mu się uśmiechnęły, wyciągnął rękę nieco drżącą ku mecenasowi.

— Także pan mów! zawołał — wyśmienicie! My nic więcej nateraz nie potrzebujemy, nad odroczenie wypłaty, które w ten sposób właśnie osiągniemy. Dla nas wierzyciele nie są straszni, czas tylko strasznym być może...

— Idzie więc o przelanie długu na osobę, która się ofiaruje spłacić Horkiewiczów i dla spełnienia tej formalności właśnie przybyłem...

Gozdowski aż się porwał z krzesła z licem rozweselonem.

— No, to chwała Bogu! chwała Bogu! — odezwał się przejęty radością — nie będę panu dobrodziejowi tail, iż termin dla nas był wielce uciążliwym. Odroczenie go przez to ustępstwo bardzo mi na rękę, ucieszy to księcia Roberta, uspokoi tych czcigodnych ludzi... Lecz... są zapewne jakieś warunki? dodał bojaźliwie.

— Żadnych szczególnych—rzekł mecenas, żadnych, któreby mogły zaciężyć—przyjmujemy należność, Horkiewicze kwitują i rzecz skończona... co się zaś tyczy procentów...

— My zaległe od Nowego roku opłacimy niezawodnie—dorzucił plenipotent—ale któż nabywca?

Mecenas chwilę się zawahał.

— Pan Dawid Salomson z Warszawy, rzekł powoli.

— A! Dawid Salomson!... Dawid Salomson... tak! tak! chmurząc nieco brew począł powtarzać plenipotent.... Jestto osboistość nam nieznana jakaś... a przyznam się panu, tą tajemniczością swą wydaje się nam groźną... Ten p. Dawid Salomson wciąż nabywa rozmaite wierzytelności na dobrach księcia... ma w tem zapewne zamiar jakiś. Tacy ludzie nie czynią nic bez planu

i myśli. Znaczne już summy, lokowane na dobrach naszych, przeszły na jego imię.

Mecenas ruszył ramionami.

— Jest-to spekulant, rzekł, nie jestem jego powiernikiem, prawnikiem tylko jestem, nie należy więc do mnie badanie zamiarów klienta. Mając znaczne kapitały uruchomione, a przekładając hypotekę ziem, i dóbr nad papiery, jako większą dającą rękojmię i pewność, pan Salomson nabywa wierzytelność — cóż w tem dziwnego?

— Tak... nie byłoby w tem nic dziwnego, odezwał się Gozdowski — gdyby... gdyby Salomson inne też tego rodzaju interesa robił, lecz to szczególne przywiązanie się do dóbr książęcych...

— Zapewne większą tu widzi dla siebie pewność przerwał Hartknoch, nietylko bowiem dobra są hypoteką, ale i charakter ich rodziców.

Gozdowski skłonił się, dziękując za ten kompliment, ale westchnął.

— Bądź co bądź, my — dodał — nie możemy temu ani zapobiedz, ani się sprzeciwić — dla nas to chwilowo jest dogodnem... Pozwoli tylko pan dobrodziej, ażebym o tem z księciem Robertem pomówił. Wiadomo zapewne panu, iż książę szambelan, ojciec, który już w czerstwem zdrowiu dochodzi lat osiemdziesięciu, dla samego wieku nie może się zajmować swemi interesami, zdał je więc całkowicie na syna, księcia Roberta. Książę zaszczyca mnie zupełnem zaufaniem, wszelako sama forma wymaga, by wiedział i aprobował co się czyni.

Hartknoch się skłonił tylko, a Gozdowski ciągnął:

— Pan dobrobziej, chociaż, jak mi to oznajmiłeś, mało masz czasu, już dziś, przy nadchodzącej nocy, nie zechcesz się wyrywać... jutro skończymy wszystko w kilku słowach. Gdyby to mu nie czyniło subiekcji, wniósłbym o spędzenie wieczora z nami w pałacu. Oznajmię tylko przybycie pańskie księciu Robertowi, a potem pojdziemy razem i będę miał przyjemność zaprezentować go czcigodnej rodzinie książąt, której poznanie pewnie mu będzie miłem. Mało już takich w kraju domów mamy. Dziś właśnie, choć zwykle żyjemy bardzo odosobnieni, mamy całą familią zgromadzoną, dla obchodzących w ścisłem kółku rodziny imienin jmć. ks. sufragana, brata pana naszego, który tu zjechał wedle zwyczaju, aby wraz z księciem Hugonem i naszym panem dzień ten przepędzić. Brak nam tylko siostry księcia w ścisłym zakonie pp. brygidek życie wiodącej, aby cała czcigodna i zasłużona familia połączoną była.

To mówiąc, westchnął Gozdowski.

— Ale to właśnie przyczyna — rzekł mecenas, abym się państwu w takim dniu nie narzucał — nie chcę sam jeden obcy być nutą dysharmonijną!

— Ale bynajmniej, bynajmniej — zawołał Gozdowski — u nas tu wielki świat, choć na wsi, nigdy na obcych i łaskawych nie zbywa. Będą panu radzi, jak są wszystkim. U nas tu jeszcze staropolska panuje gościnność. Przed chwilą wstaliśmy od obiadu — teraz pobiegnę do pałacu oznajmić pana, a wcześnie go zapraszam na herbatę i wieczerzę...

To mówiąc, plenipotent podał gościowi cygara i śpiesznie, zostawując go samego, pobiegł do pałacu, do którego od dworku przez ogród umyślna prowadziła ścieżka. Pozostawszy sam, mecenas miał się czas rozpatrzyć w tem co go otaczało, najprzód w domu plenipotenta, urządzonym z wielkim komfortem, potem przez okna ogrodowi i rezydencji. Wszystko to niezmiernie było pańskie i na ogromną skalę, a dziwnie się nie godziło z tem, co pan mecenas wiedział o stanie majątkowym ks. ks. Brańskich. Groził on rychłą ruiną, której tu ani się było można domyślać, owszem dostatek i zamożność widać było wszędzie, choć przypatrzywszy się zblizka, dostrzedz też mógł że przeszłość zostawiła po sobie co było najpokaźniejszego, a teraźniejszość trochę się opuściła już i zaniedbała. Zaniedbanie to dopiero staranniejszy rozbiór wykry-

wał, gdyż pokryte było i niewidoczne. Szczątki dostatków mogły jeszcze olśnić oko niewprawne.

Wyczekawszy z pół godziny na samotnem rozmyślaniu, Hartknoch doczekał się nareszcie razem ze świecami, które służący wniósł w srebrnych staroświeckich lichtarzach. powrotu plenipotenta, oznajmującego uprzejmie, iż książę Robert i całe towarzystwo oczekuje pana mecenasa. Herbata miała być razem z wieczerzą około ósmej, godzina ta się zbliżała, a wieczór był piękny i pogodny. Gozdowski zaproponował małą po ogrodzie przechadzkę. Wyszli tedy. Tuż za dworkiem ozdobna furtka w murze, od której klucz miał plenipotent, wprowadziła ich do rozległego, na pół francuzkiego, pół angielskiego pałacowego ogrodu. pełnego szpalerów, przepysznych starych drzew i cieniu... Ztąd już tylną facjatę pałacu, przerobionego za czasów Stanisława Augusta, widać było. Wznosił się on na wzgórzu. z kolumnadą wspaniałą, galerjami, posągami i wazonami na szczytach, patrząc na zieloną łąkę rozścielającą się u stóp jego, a dalej na ogromny i piękny staw. poza którym ciągnął się jeszcze park później założony, z wcielonym do niego lasem. Kilka posągów, zepsuta fontanna, ławy i stoły kamienne przyozdabiały ogród rzeczywiście wspaniały, ale już nie tak utrzymany jakby jego piękność wymagała. Trzymał się on tem, że ścieżki wydeptywane przez wiek cały, niebardzo zarastały, a suche gałęzie drzew, opadające na trawniki zdziczałe, wybierano na kuchnię. Wszystko co ładu wymagało — opuszczone było i jakby zapomniane. Wszakże bliżej pałacu rosły jeszcze świeżo znać posiane piękne kwiaty, ganek ostawiony był ogromnemi drzewy pomarańczowemi, laurowemi i granatami. Czoło pałacu z kilkudziesięcią oknami od tej strony oznajmywało gmach bardzo obszerny, już nieco zabrukany i z tynków odarty, ale cały zamieszkany... Pomimo że na dworze jeszcze było dosyć jasno, w oknach, pierwszego piętra szczególniej, gorzały już światła rzęsiste. Około pałacu kręciło się mnóstwo służby niezbyt potrzebnej, bez której żaden dwór większy obejść się nie umiał. Gozdowski, oprowadzając gościa i umiejętnie pokazując mu piękności rezydencji, badał wrażenie jakie ona czyniła na nim i starał się je zwiększyć swem opowiadaniem o książęcym dworze.

— Wszystko to, jak pan dobrodziej widzisz, mówił, choć jeszcze wspaniale wygląda i na pańską stopę jest utrzymywane, niczem jest przy tem co książęta mieli dawniej i czem dawniej byli. W tym majątku dopiero od stu lat mieszkają, straciwszy przez nieszczęśliwy skład okoliczności prywatnych i publicznych ogromną fortunę. Są to tylko resztki, dodał, ale, wedle przysłowia—pańskie ostatki lepsze niż szlacheckie dostatki. — W Bogu nadzieja że się z chwilowych trudności podźwigniemy — bo, i to dobre przysłowie, że więcej ma pan Bóg, niż rozdał. Ażebym panu dobrodziejowi, mówił ciągle dalej — ułatwił poznanie osób, w których towarzystwie wieczór spędzić mamy, nie zawadzi gdy mu do rodziny należące wyliczę. Głową rodu, jak panu wiadomo, jest nasz szanowny i czcigodny książę Norbert, niegdy szambelan j. k. m., już osiemdziesięcioletni starzec, choć mu, spojrzawszy nań, niktby tego wieku nie dał. Naszę anielską księżnę jejmość straciliśmy już od lat wielu. Książę szambelan nie zajmuje się już niczem. zdawszy na syna wszystko... Zatem idzie młody książę Robert, nasz dziedzic i pan, który służył wojskowo, a teraz potrosze się zajmuje bieżącemi sprawami, w czem ja mam mu honor dopomagać. Mamy też gwiazdę naszę, siostrę księcia Roberta księżniczkę Stellę, anioła piękności i dobroci... warta tronu... dorzucił z zapałem Gozdowski... Z braci starego księcia zamieszkuje przy nim pan generał Hugon, kawaler maltański, którego pan wieczorem zobaczy, a jest też przybyły w gościnę j. m. ks. sufragan, świętobliwy kapłan... To są panowie nasi, dworu zaś nie będę wyliczał. chyba panu przy sposobności moich przyjaciół przedstawię.

— O! panie dobrodzieju! odezwał się mecenas, ja

tu bawię tak krótko, iż mi trudno będzie korzystać z jego uprzejmości.

Domyślając się poniekąd formalności, jakie go tu spotkać mogą, mecenas, zważywszy spóźnioną porę, wziął był szczęściem frak, a białe rękawiczki miał zasze na pogotowiu w kieszeni, i to go wyratowało, bo nawet Gozdowski przenoszone popielate wydobył zawczasu. Godzina się zbliżała, podeszli więc ku pałacowi, lecz że Gozdowski szedł z nieznajomym, etykieta nie dozwoliła mu wnijść do ogrodu, musieli więc okrążyć gmach i paradnem wejściem po szerokich kamiennych wschodach dostali się do przedpokoju. Służby wszędzie było mnóstwo, w liberji z herbowanemi pasami, w trzewikach i pończochach. Tłumaczył to wprawdzie ów dzień uroczysty. Z przedsienia weszli do wielkiej sali białej ze złotem, w której jeszcze było pusto; głosy gości dochodziły z prawej strony, gdzie już wszyscy w mniejszej bawialni byli zgromadzeni. Pokój ten, a raczej salon z zielonem obiciem, przedstawiał w tej chwili obrazek jakby z dawnych, lepszych czy gorszych, lecz wcale innych czasów. Sprzęty wszystkie były tu z XVIII w., pięknie utrzymane, ale dosyć wytarte. Za stołem okrytym wspaniałą mozaiką florencką, siedział w fotelu z poręczami stary książę z ks. sufraganem. Wysoki, słuszny, sztywny mężczyzna, z włosami białemi, długiemi, na tył zaczesanemi, w surducie czarnym, bardzo wykwintnie zrobionym i z kilką wstążeczkami orderowemi u guzika, przechadzał się, ręce trzymając w kieszeni, wzdłuż salonu. Był to kawaler maltański, generał Hugon.

Fizjognomie wszystkich trzech zgromadzonych tu braci miały do siebie wielkie familijne podobieństwo. Najpiękniejsza z nich jednak była twarz blada, poważna, o rysach nadzwyczaj delikatnych i szlachetnych, samego pana domu, księcia szambelana Norberta. Rysy jego oblicza odznaczały się tem, cośmy arystokratycznem zwykli nazywać. Czoło obnażone, białe, lśniące jak kość słoniowa, nos rzymski, suchy, usta mimo wieku ślicznego rysunku, którego lata zepsuć

nie mogły, owal twarzy regularny, oprawa oczów przepyszna, całość wreszcie jakby dla malarza stworzona, ściągały wzrok i obudzały mimowolny jakiś szacunek i poważanie. Starzec też, znać to było, sam się bardzo szanował i dbał o to aby go szanowano. Ubranie szambelana, mimo późnego wieku, staranne było bardzo i ze smakiem dobrane do twarzy i postawy; suknie miał czarne, chustkę białości śnieżnej i takąż kamizelkę, a przy rękawach koszuli świeciły wielkie guzy ametystowe. Podobne oblicze, ale ogorzałe nieco, więcej marsowego wyrazu, chmurniejsze, ostrzejsze, mniej delikatnie narysowane, miał brat szambelana, kawaler maltański, generał Hugon, w którego obcisłym stroju, chodzie, ruchach znać było żołnierza. Wąs poczerniony, podkręcony do góry, czarne brwi, przy siwych, do góry podczesanych włosach, nadawały mu postać marsową. Chodził też bez ostróg, jakby chciał ostrogami brzęczeć zwracał się całym sobą i sztywny był jak młody rekrut. Najmniej podobnym do obu braci, choć z fizjognomią tego samego stylu i kroju, był ks. sufragan, siedzący w fioletach przy szambelanie... niższy od starszych swych, nieco ułomny, bo jedno ramię miał wyższe; na twarzy smutnej wyraz miał trosk przebytych i walki z życiem, cerę żółtą, oczy zgasłe... Utrata zębów zmieniła mu kształt ust i skróciła twarz. Roztargniony, zamyślony, posępny, potrzebował nieustannych powtórzeń i przypomnień, aby toku rozmowy nie zgubić.

Oprócz tych trzech osób znajdował się w salonie spadkobierca jedyny imienia książąt Brańskich, były rotmistrz huzarów, nadzieja rodziny, książę Robert. Postać ta ze wszech miar zasługiwała na baczne wejrzenie, już pięknością swą i szlachetnym wyrazem, już powagą niezwykłą i inteligencją, która z jej oczów błyskała. Typ był to ten sam jaki starsze przedstawiało pokolenie, lecz ożywiony, oświetlony wyższem wykształceniem i twardszemi zadaniami życia, z którem łamać się musiał. Pewien rodzaj spadkowej dumy, ale spokojnej i zamkniętej w sobie, otaczał ją auc

rolą,—nosił ją książę raczej z obowiązku i jako ciężar włożony na ramiona, niż z własnego poczucia jej potrzeby. Pomimo dobiegających lat czterdziestu, był to jeszcze piękny, młody, żywy, pełen ognia człowiek, którego wychowanie uczyniło nie salonową lalką, ale można było rzec — ideałem wyższego świata. W tej postaci całej napróżnobyś szukał nuty fałszywej, dźwięku jakiegoś niesfornego; co w niej było słabością ludzką, pokryło się tym werniksem ogłady, poza którym nic dostrzedz nie można. Książę Robert na pierwszy rzut oka podobać się musiał, i nikt się nie dziwił że o jego powodzeniach w wielkim świecie stolicy prawiono cuda. Zbudowany jak Antinuos, z twarzą Apolina belwederskiego, wychowany w domu, w wojsku i na pierwszych salonach europejskich do wszystkiego cokolwiek spotkać go mogło — zdawał się męzkiem obliczem wyzywać losy, by mu odebrały ten spokój i pogodę, którą świecił i uśmiechał się zwycięzko. Wszystko co włożył wydawało się na nim wytwornem i pięknem, w najprostszem ubraniu odznaczał się elegancją i smakiem, — słowem była to jedna z tych istot wybranych, któremi arystokracja krwi poszczycić się może. Co więcej, powierzchowność ta nie kłamała, jak utrzymywali ci co go znali; książę Robert był w swoim rodzaju, ze swemi pojęciami, teorjami, przesądami, nawet niepospolitym człowiekiem. Ani go porównać można było do innych typów blizko pokrewnych ślepem naśladownictwem, wyrobionych twardym młotem pracowitego wychowania — książę Robert był sobą, miał coś odrębnego i samoistnego, co go wśród tysiąca odznaczało, lecz razem z tem widać w nim było zupełne życiem złamanie i zobojętnienie— uśmiechał się bez wesela, mówił nie rozgrzewając, ubolewał bez bólu — zdawał się znudzonym i dźwigał się tylko z obowiązku. Mało co go obchodziło w istocie, choć wszystkiem przez grzeczność zajmować się zdawał. Gdzieindziej była dusza jego i myśli.

Gdy pan Gozdowski wszedł, prowadząc mecenasa za sobą, Robert, który zdawał się oczekiwać na

ich przybycie, zbliżył się pierwszy na powitanie gościa i z wyszukaną grzecznością pańską sam poszedł go ojcu, ks. sufraganowi i stryjowi generałowi przedstawić. Szambelan podniósł się nieco z krzesła, skłoniwszy protekcjonalnie głową, ks. sufragan pozdrowił ręką, generał skłonił się zdaleka. Mecenas, mimo nawyknienia do ludzi, po tym wstępie uczuł się jakoś zmieszanym, poczuł bowiem że w towarzystwie, do którego wszedł, musi pozostać obcym, choćby nawet trochę zuchwale głębiej się w nie chciał wcisnąć. Oczy trzech braci patrzyły nań wyraźnie jak na przybysza i natręta, którego cierpieć się musi do czasu... Szambelan, dopełniając obowiązków grzeczności, zapytał co słychać w stolicy, nie dosłuchał odpowiedzi i rozmowa przerwana z ks. sufraganem o dawnych czasach ciągnęła się dalej. Robert tylko z panem Gozdowskim w odwodzie stał przy panu mecenasie, nie opuszczając go, a po chwili zbliżył się do nich generał.

Rozmowę jednak zawiązać było ciężko. Trzej starsi panowie należeli do innego wieku i świata... Mecenas był tu cudzoziemcem, nieumiejącym języka i nieznającym obyczaju. Parę razy zagadnął go książę Robert, dodał coś Gozdowski, aby rozmowę ogólną uczynić, ozwał się i mecenas z wielką pewnością siebie, ale sam, słuchając tego co powiedział, zrozumiał iż śpiewa nutą fałszywą — zamilkł więc.

Położenie stawało się dosyć przykrem dla wszystkich, szczęściem otwarły się drzwi zamknięte bocznego salonu, zwanego małą salką jadalną — podano herbatę i całe towarzystwo sposobiło się przejść do stołu... to ocaliło mecenasa. Szambelan, uśmiechnąwszy się i skinąwszy grzecznie głową gościowi, jakby go chciał przeprosić, wziął sufragana pod rękę, wiodąc go przodem, Robert zbliżył się do mecenasa, stając z nim w parze, nareszcie Gozdowski, który się był zagadał z generałem, — nieco opodal i spóźniony za towarzystwem pociągnął. Otwarte szeroko podwoje do rzęsiście oświeconej salki owalnej z kolumnami do-

koła, dozwalały wchodzić parami. co uwalniało od ceremonii na progu.

W salce marmoryzowanej ludniej było niż w pierwszym pokoju — mecenas ciekawe oczy zwrócił na znajdujące się tu osoby i zrozumiał że bez tłumacza a przewodnika zorjentować się nie potrafi. Odgadł tylko jednę księżniczkę Stellę, której został przedstawionym przez brata, reszta osób była dlań zagadką.

Nie przesadził wcale pan Gozdawa Gozdowski, zowiąc Stellę gwiazdą.... była to nawet jedna z gwiazd pierwszej wielkości, jakie się rzadko na horyzoncie chmurnych czasów naszych w całym blasku zjawiają. Jak książę Norbert był znakomitym typem arystokracji rodu, bez najmniejszej skazy i śmieszności, które często wybranym towarzyszą — tak księżniczka Stella wydała się mecenasowi czemś nadziemsko pięknem i idealnem. Słusznego wzrostu, kształtna, pełna wdzięku w ruchu każdym, twarzą przypominała księżniczka angielskie illustracje do dramatów Shakespaera, była nieprawdopodobnie piękną. Ale piękność taka regularna, klasyczna, nie opisuje się i gdyby nią tylko odznaczała się siostra ks. Roberta, niby już o niej więcej powiedzieć nie można; piękności rysów wszakże towarzyszył tu wdzięk i urok pełen dobroci i słodyczy — na pierwszy rzut oka poznać było można iż nie była młodziuchną, ale jeszcze w kwiecie dziewiczej młodości... Coś smętnego w oczach i ustach pociągało ku niej bardziej jeszcze. Cichy, harmonijny głos, którym przywitała mecenasa, do reszty mu głowę zawrócił. Śmiały zwykle i w żadnem towarzystwie nie czujący się obcym Hartknoch, z upokorzeniem własnem — gniewając się sam na siebie — czuł że tu musiał się straszliwie plebejuszowsko i gminnie wydawać. Ruchy jego, zwykle zuchwale swobodne, stały się sztywne i śmieszne... sam to rozumiał. Jakkolwiek ciekawy przypatrzyć się zblizka temu dworowi zaczarowanemu, jakby z bajek tysiąca nocy wydartej karcie — Hartknoch myślał że im prędzej się ztąd wyrwie, tem będzie lepiej... Jątrzyło go to iż się znalazł na świe-

cie kątek, w którym on — co się miał za równego wszystkim, mógł tak się czuć nie swoim. Radby był zaprzeczył temu czego doznawał, ale rzeczywistość cisnęła go żelazną ręką... W chwili gdy najmniej wiedział co ma robić z sobą, z kapeluszem, z nogami, głową... nawet z językiem — Gozdowski wziął go pod rękę począł rozmowę cichą i wyratował z tej toni... O trzy kroki odszedłszy, mecenas czuł się już na lądzie i bezpiecznym.

Dopiero powiódł wzrokiem po reszcie towarzystwa. Zasiadano do stołu i herbaty, osób było sporo, prócz już wymienionych — Gozdowski podjął się summarycznie obeznać pana Hartknocha z tym światem. Przy księżniczce Stelli, bardzo piękna także panienka jej wieku zajmowała się gospodarstwem. Przypadała ona do tego towarzystwa, a jednak nie można było powiedzieć żeby do niego należała. Coś było poufalszego, bardziej ziemskiego, zrozumialszego w pięknej jej, ożywionej twarzyczce, bystro patrzących oczach, uśmiechu, białych ząbkach, rozmowie śmiałej, zręcznej i jakby obowiązkowej, którą wszystkich zabawić się starała. Mówiła za siebie, za księżniczkę, interpelowała, począwszy od ks. sufragana, wszystkich, rzucała pytania, dawała odpowiedzi, słowem wzięła na siebie urząd mistrza ceremonii przy herbacianej rozmowie. Jedną ręką podawała filiżanki, drugą dawała znaki, usta się jej nie zamykały, oczy biegały po przytomnych niezmordowane; wyręczała, podpowiadała, pomagała każdemu.

Mecenasowi łatwo się w niej było domyśleć towarzyszki księżniczki, obytej z domem i ostrzelanej z jego etykietą, spytał jednak kto była ta śliczna i tak miła panienka.

— Patrzaj no pan tam dalej, poza generała,—rzekł Gozdowski, zobaczysz tłustą, poczciwą, rumianą twarz szlachcica z długiemi wąsami, który sobie pot z czoła ogromną chustą ociera, poglądając z zachwyceniem na naszę pannę. Jest to rodzony ojciec panny Antoniny, od lat dwudziestu dzierżawca części dóbr książęcych,

pan Grzegorz Żubra... Panna Antonina wychowała się z naszą gwiazdą razem i od niej tego nabrała blasku. Tuż za ojcem masz waćpan chmurnego młodzieńca, rodzonego jej brata, pana Zenona Żubrę, doktora praw i administracji... wielce uczonego jegomości, który tu z nami dlatego może gadać nie raczy i zawsze nam taką twarz pochmurną przynosi. Jestem pewny że gdyby go tu ojciec gwałtem nie przywiózł, z dobrej woliby nie przyjechał...

Mecenas, widząc że trafił na drażliwą materją mimowoli, zamilkł nic nie odpowiadając, ale spojrzawszy na owego pana Zenona, poczuł w nim jakby brata i sprzymierzeńca. Obaj do tego świata nie należeli. Obiecał sobie po herbacie zbliżyć się do niego i zapoznać. Oprócz dwóch panien, starsza od nich, zakonnie jakoś wydająca się, w sukni czarnej pod szyję, już niebardzo młoda, stała milcząca trzecia kobieta, twarzy dość przystojnej, surowego wyrazu, pochmurna. Pomagała ona nieco przy gospodarstwie herbacianem, ale jakby roztargniona i z obowiązku.

— Ta panna, rzekł wskazując Gozdowski, to krewna książąt, wprawdzie daleka i uboga, lecz zawsze należąca do familii. Dobra bardzo osoba ta panna Marcjanna; ona się tu opiekuje szpitalami, apteką, choremi i kaplicą. Bardzo pobożna, księżniczka ją ceni i kocha.

Męzka strona stołu obsadzona była jeszcze wielą figurami, w których mecenas bez komentarza domyślił się łatwo rezydentów wszelkiego rodzaju, bez których żaden dwór większy istnieć nie mógł. Pierwsze tu miejsce zajmował milczący, rumiany, nieśmiałych ruchów i wejrzenia kapelan-bernardyn ks. Serafin. Nie odznaczał się on niczem tak dalece, chyba zdrowiem, którem okrągła twarz jego tryskała... Gdy drudzy zajęci byli wstępną rozmową, ks. Serafin chleb swój rozkroił, masło przysunął i zabierał się smarować kromkę, na którą miał apetyt. Za nim siedziała głową od niego wyższa, z szyją niezmiernie długą, suchą, kościstą, figura Don Kiszotowska, z wąsami miotlastemi,

na dwa świata przeciwne bieguny zaczesanemi, nieco łysa, długoręka, wyprostowana, żołnierska... Krésa przez czoło biała, jedno oko zmrużone na wieki, mówiły o przeszłości spędzonej czynnie i żwawo. Był to pan Polikarp Wicentowicz, który się długo błąkał po świecie, dopóki się tu na łaskawy chleb nie dostał. Powierzony on sobie miał departament łowiectwa, psy, konie, myśliwstwo, i najczęściej do stołu nie przychodził, tak był zajęty lasami i dzikiemi zwierzęty — ale na dziś uczynił wyjątek, bo to był dzień uroczysty. Robił też czasami fajerwerki ku uciesze dworu i miał się za pierwszego w Europie mistrza ogniów sztucznych.

Na ostatek siedział na szarym końcu, nie dobijając się lepszego miejsca, człek niepozorny, ubrany ubogo, ze wstążeczką legii honorowej u guzika... Nikt na niego nie patrzył i on raczej się zdawał unikać wzroku, nie chcieć go ściągnąć na siebie. Był i to też stary żołnierz jakiś, któremu dom otwarto, gdy żadnego nie miał.

Tak złożone towarzystwo zasiadło do owalnego stołu, rozdzielając się na kilka gronek prowadzoną rozmową. Szambelan wciąż jeszcze opowiadał coś ks. sufraganowi, który pochylony nad stołem słuchał go, zdając się nie słyszeć i nie rozumieć, generał zaczepiał pannę Antoninę, Stella wypytywała o coś brata pocichu. Wszystkich oczy z kolei biegały ku nieszczęśliwemu mecenasowi; zdając się pytać kto to był i co tu robił—bawił go jeden tylko Gozdowski, który może umyślnie do niego się przysiadł. Rozmowy niepodobna było uczynić ogólną, bo głowa domu nieprzerwanie pocichu zabawiała opowiadaniem ks. sufragana.

— Wszak pan wprost jedzie z Warszawy? odezwała się, rozdawszy herbatę i siadając do swojej filiżanki, panna Antonina, której miejsce przypadło wprost naprzeciw mecenasa.

— Tak jest, pani — odpowiedział wyzwany, ale zatarł mi się obraz stolicy najprzód widokiem kraju,

którego dawno nie widziałem, potem pobytem w Lublinie, chociaż bardzo krótkim...

— I — zapomniałeś pan zupełnie — przerwała panna Antonina, że nam nic o niej powiedzieć nie potrafisz?

— Nic — oprócz tego że w lecie jest pustą, bo my mamy zwyczaj wszyscy wyjeżdżać na wieś lub zagranicę, a miasto w lecie stoi zwykle pustkami. Tylko tacy jak ja niewolnicy interesów skwarzą się w murach przez kanikułę.

Panna Antonina znać spodziewająca się bardziej ogólnikowej odpowiedzi, spojrzała z uwagą na mecenasa, a oko jej zaczęło go baczniej wybadywać. Widać było iż z kilku tych słów lepszego o nim nabrała wyobrażenia, ale rozmowa tak niefortunnie poczęta przerwała się i oczy ją tylko przeciągnęły dłużej nieco. Gozdowski znów podjął się gościa zabawiać — szambelan wreszcie długie opowiadanie swe cichem jakiemś zwierzeniem do ucha ks. sufraganowi dokończył i zwrócił oblicze pogodne ku dworowi i gościom. Wszyscy umilkli, domyślano się iż stary będzie kogoś interpelował.

Począł od ks. Serafina.

— Dziękuję ojcu za szczupaka, rzekł — co szczuka to szczuka, niełatwo o takiego teraz... dawniej, pamiętam, trafiały się olbrzymie, dziś to wszystko zmarniało...

Bernardyn się rozśmiał.

— Niema za co, zawołał, de tuis donis tibi offerrimus; toż to z książęcych wód tak mi się go w porę pochwycić udało... ale że nieszpetny był, to prawda, i o mało mi niewodu nie rozerwał... Ledwieśmy go na brzeg wydobyli.

— Osobliwość rzeczywiście na teraźniejsze czasy, dodał książę szambelan; dziś ani porządnego szczupaka, ani kozła rogacza nie napotkasz w lesie. Nieprawdaż, panie Wincentowicz? rzekł zwracając się do wąsacza. Dawniej u nas jelenie bywały, budowano dwory i kościoły modrzewiowe, łosie chodziły stadami, a dziś... a dziś wszystko drobnieje, marnieje, schodzi i ginie.

Nikt nic nie odpowiedział, tylko generał, pokręcając wąsa, zaśpiewał cienkim jakimś głosem, osobliwie odbijającym od jego marsowej postawy.

— Niech sobie co chcą gadają, ma foi, świat materjalnie i moralnie w upadku, to niepotrzeba dowodzenia. Ludzie mówią o postępie, gdzie postęp? jaki? co? Odkopujemy mamuty i słonie, tam gdzie teraz o cielaka trudno, ludzie drobnieją i z pozwoleniem, parszywieją, (wyraz ten powiedział pocichu), wszystko do góry nogami! — Ruszył ramionami generał... koniec świata! koniec świata!

— To pewna, szepnął bernardyn, że z apokalypsy i ze wszystkich przepowiedni, ze wszech znaków, przyjście antychrysta blizkie.

Antychrystem tym wszystkich usta zamknął: spojrzeli po sobie i nikt się nie sprzeciwił.

— Gdyby co weselszego udało się wprowadzić w rozmowę — szepnęła księżniczka, mrugając na brata.

Książę Robert ramionami ruszył. Nastąpiło milczenie. Szambelan dopiero teraz, obwodząc oczyma po stole, baczniej począł się wpatrywać w mecenasa. Instynktowo jakoś i twarz ta i jej wyraz mu się niepodobały. Obcy ten żywioł nie dawał mu ze zwykłą swobodą nacieszyć się rodziną i domownikami, gościnność wszakże znieść go a nawet przyjąć mile nakazywała. Obowiązkom jej nigdy książę nie chybił. Nie zdawał sobie tylko dobrze sprawy, co to był za jeden i po co się tu niespodzianie zjawił. Skinął na syna, który natychmiast ku ojcu pospieszył. Poczęła się żywa na ucho rozmowa.

— Mon cher, cóż to za jeden ten Hart... jakże Hart-burg, Hart-berg, czy jak tam? Mecenas? cóż to, interes znowu jaki?

— Tak jest, kochany ojcze, przyjechał z interesem, który jutro załatwiemy, rzekł syn,—grzeczność sama kazała go tu zaprosić.

— A bardzo dobrze, rzekł stary książę — nic nie mam przeciwko temu. Czy szlachcic? dodał na ucho.

— Tego to prawdziwie nie wiem, odparł książę Robert, ale sądzę... zdaje mi się że to stara szlachta pruska... Hartknoch. Jeden tego imienia napisał kronikę.

— A no! chwała Bogu, jest wiele starożytnej szlachty w Prusach! Hilzen, ale nie! Hilzen pisał o Inflantach, a inny jakiś o Prusach. Szambelan potarł czoło. Wolałbym wszakże żeby innego dnia przyjechał, dodał, jakoś nam z nim obco.

— Ale bo zważać nie trzeba na niego, mości książę, przerwał syn; niech się ojciec nim nie kłopocze... Gozdowski go zabawi.

— Zawsze mi jakoś dolega! odezwał się stary nie lubię nowych twarzy... stary jestem. Westchnął.

Gdy w jednym końcu stołu tak szeptano, w drugim udało się panu Żurbie zawiązać żywą rozmowę, która się stała ogólną... Mówiono o zwierzu, polowaniach i dawnych sławnych łowach. Wincentowicz, wyciągnąwszy dwie swoje miotły, aby mu ust nie zakrywały, zaczynał jakąś historją myśliwską nieprawdopodobną; z której o. Serafin śmiał się zawczasu. bo ją znał i najmniej dziesięć razy słyszał... Była to powieść o łosiu, który zabity, rozciągnięty, nieżywy. nagle, gdy nań wsiadł myśliwy, zerwał się, kopnął biednego łowca zaniósł gdzieś na grzbiecie na trzęsawiska, z których się ledwie wyratował, bo potem za uciekającym całe stado rozjuszone gonić miało.

Cichusieńko siedzący obok stary żołnierz z legią honorową, kiwał tylko głową i powtarzał jakby sam do siebie:

— Ale — ale — jeszcze czego! — jeszcze czego!... aż się za nim kurzy!... otóż przyjechał na łosiu ha! ha!...

O. Serafin trząsł się ze śmiechu...

Piękna księżniczka, sparta na łokciu, zadumana, jakby na innym świecie przebywała myślami — utopiona w marzeniu jakiemś, zdawała się zupełnie obcą temu co ją otaczało. Z tego snu budziło ją tylko ci-

che, rzucone czasem słowo Antoniny, na które odpowiedziawszy uśmiechem, zamyślała się znowu.

Mecenas, o ile przyzwoitość dozwalała. oczy z niej nie spuszczał... Tak pięknej twarzy, tak smutnej razem, nie widział nigdy w życiu... Na czołach brata i siostry czytało jego oko wyrok przeznaczeń nieuchronny... były to istoty bez przyszłości, ostatnie z rodu i ducha... Morituri, szepnął mimowolnie mecenas... Przykro mu się zrobiło — po raz pierwszy w długim zawodzie — być tu narzędziem Opatrzności, siedzieć przy tym gościnnym stole skazanych, z wyrokiem zguby i zniszczenia! W prawniku zwykle zimnym, któremu się zdawało że jest zbrojny przeciw wszelkiemu uczuciu, odezwało się miłosierdzie ludzkie. Na ten raz wolałbym był może nie mieć tu tego posłannictwa, nie widzieć jasno co tę rodzinę, tak swobodnie, nieopatrznie ucztującą godzinami życia — czekało w bardzo blizkiej przyszłości...

Wśród tych myśli zaczęto wstawać powoli od stołu. Zostali przy nim starsi, lecz wymykał się kto chciał ku gankowi i sali. Nie było we zwyczaju nigdy palić cygar w pałacu, w obecności starego księcia, który z rana tylko po kawie wypalał jednę fajkę tureckiego tytuniu, tembardziej przy księżniczce, do której idąc brat starał się pozbyć zapachu cygar; — ci więc co byli nawykli palić, musieli sobie szukać ustronnego kąta. Zwykle obierano na to starą altanę w ogrodzie nad stawem, nieopodal się znajdującą— i do niej też tym razem poprosił ks. Robert gościa, z którym razem poszedł Gozdowski, a z nimi wkrótce generał.

Noc była bardzo ciepła i piękna, księżyc w pełni podnosił się nad lasami, obiecując niepotrzebnie wcale przyświecać fajerwerkowi pana Wincentowicza, niespodziance, o której wszyscy doskonale wiedzieli. Wincentowicz też śpieszył się, ażeby księżyc uprzedzić i pilno mu było, by od herbaty wstano. Gdy się tylko ruszać zaczęto, pierwszy pobiegł na staw, obejrzeć swoje przyrządy.

— Ten pan Polikarp, odezwał się Gozdowski do ks. Roberta — z temi swojemi nieszczęsnemi fajerwerkami, do których ma pasją, jeszcze mi kiedy stodoły popali. Ale to darmo — wyperswadować tego nie można. Stare dziecko.

— Dajże mu pokój — rzekł śmiejąc się młody książę — jego to bawi, a nigdy jeszcze żadnego nie było przypadku. Wszystkie jego buraki w staw lecą.

Towarzystwo powoli grupując się rozmaicie, w części na ganku od ogrodu zasiadło, częścią się do altany przeniosło, do której poszedł później pan Żurba z synem i pokorny ów wiarus z legią honorową.

Wieczór skończył się dosyć szczęśliwie spalonym fajerwerkiem, książę Robert pożegnał mecenasa, a Gozdowski odprowadził go do swego dworku, zkąd gotowe konie zawiozły go do gospody, bo mimo ofiarowanego noclegu u plenipotenta, Hartknoch uparł się przespać w hotelu i nazajutrz rano miał przyjść dla ukończenia interesu.

Już był na progu swej izdebki pan mecenas i zabierał się budzić służącego, gdy postrzegł naprzeciw w równym kłopocie znajdującego się pana Zenona Żurbę, owego doktora praw, którego najrzał był przy stole, ale z którym zapoznać się nie miał sposobności. Przywitali się jednak bez zbytnich ceremonij, a że sługa mecenasa prędzej się znalazł, Hartknoch, zaprezentowawszy się Żurbie, zaprosił go tymczasem do siebie na cygaro. Od pierwszego wejrzenia i słowa dwaj ci ludzie poczuli się jakoś blizkimi sobie. Mecenas tylko łatwiejszym był do znajomości i rozmowy, pan Zenon milczący i bojaźliwy. Na twarzy młodego prawnika malowało się jakieś niezadowolenie, pomimo wesoło spędzonego wieczora.

— Jesteśmy pono potrosze koledzy — ozwał się Hartknoch, wprowadziwszy do swej izdebki pana Zenona, — pan podobno także skończyłeś naukę prawa, a ja praktykuję.

— Tak jest — rzekł Zenon... uczyłem się prawa... chociaż nie wiem czy mi się ono przyda inaczej, chyba jak nauka każda... bo może mi wypadnie gospodarować. Zresztą nie wiem jeszcze co pocznę.

— Prawo nigdy panu nie zaszkodzi, odezwał się mecenas. Nie jest to wesoły zawód, i równie jak lekarzowi trzeba doń dobrze zahartowanych nerwów; ale życie walką.

Zenon westchnął.

— Tak, rzekł — życie walką. — Przyznam się panu; że nicbym przeciwko temu nie miał, gdyby nie było konieczności zjadania się wzajemnie, dla utrzymania życia... Kto nie jest zjedzonym, ten musi być zjadającym.

— Cóż poradzić przeciw — przeciw powszechnemu prawu? rozśmiał się Hartknoch. zapalając cygaro i bystro spojrzał na Zenona, posądziwszy go może iż odgadł chyba z czem przyjechał.

— Przyznam się panu, rzekł zwracając rozmowę, że dzisiejszy dzień będzie mi pewnie na całe życie pamiętnym. Co za osobliwszej powagi i starodawnego jakiegoś obyczaju rodzina! Co za typy! jakie oryginały! jak przedziwny gabinet starożytności! Ale niech się pan nie obraża — proszę, ja tego w złem rozumieniu nie mówię. Owszem, rodzina ta budzi we mnie najżywsze zajęcie.

Zenon się uśmiechnął.

— Mów pan otwarcie. zdaje mi się że w poglądzie na ten żywy obraz zgadzamy się zupełnie. Widziałeś mnie pan przy tym stole siedzącym jak gość skamieniały, nieumiejącym rzec słowa; mogłeś się domyśleć jak mi było duszno i ciężko, tem ciężej, że w świecie tym mam i ojca i siostrę, bo choć ja do niego nie nale-

żę — oni — niestety! są tam wcieleni. Prawda? obraz osobliwszy... a dla mnie wielce, wielce smutny!

— Toż samo i na mnie uczynił wrażenie, pocichu odezwał się mecenas, a może tem większe, że ja go po raz pierwszy oglądałem w życiu, i że... że... ale o tem mówić trudno.

Zenon spojrzał mu bystro w oczy.

— Mówić trudno panu, ale mnie aż nadto się łatwo domyśleć — rzekł głosem wzruszonym Żurba. To co dla pana jest domysłem, dla mnie jest dotykalną rzeczywistością... Patrząc na Brańskich, zdaje mi się że widzę załogę okrętu, którą morze lada chwila pochłonie, biesiadującą spokojnie w przeddzień zatonięcia.

Mecenas nic nie odpowiedział; milczenie to było znaczącem.

— Dla wszystkich, mówił pan Zenon, niebezpieczeństwo to jest jawnem, oprócz dla nich i dla tych, co w ich koło zaczarowane zostali wciągnięci. Jako prawnik miałem kilkakrotnie sposobność dotykania się ich interesów, z któremi interesa mojego ojca są ściśle związane — to ludzie zgubieni! Wystaw-że sobie pan ten dwór, tych panów z ich nawyknieniami, z ich niepraktycznością i nieumiejętnością życia... nagle pozbawionych majątku, dostatku, dachu, domu, zmuszonych — ale nie... myśleć o tem nie chcę! dodał pan Zenon.

— Nie sądzę — przerwał mecenas, ażeby ta ruina była tak bardzo blizką.

— Mnie się ona zdaje groźną, jutrzejszą, zawołał Żurba, a radbym ją kosztem krwi mej i życia odwrócić, bo to są najczcigodniejsi ludzie w świecie. Ze wszystkiemi swemi pojęciami nie naszego wieku, z tradycją, której wątek został przecięty, żyją oni tem co przeszłość może po sobie zostawiła najszlachetniejszego. Szambelan jest prawdziwym patryarchą; kawaler maltański prawdziwym rycerzem, gotowym jutro iść na oswobodzenie Jerozolimy, byle znalazł dwóch jeszcze podobnych sobie; ks. sufragan jest kapłanem wedle ewangelii, a dla rodziny opiekunem najczulszym;

książę Robert najszlachetniejsza dusza... księżniczka Stella... anioł. Cóż pan chcesz? nawet panna Marcjanna, to siostra miłosierdzia, napół święta uczynkami za życia... Pomimo to szambelan waha się przyjść do stołu, gdy wie że przy nim zasiąść musi z mieszczańczukiem lub plebejuszem, książę Robert wierzy w posłannictwo rodów, a wszyscy razem pewni są, że świat się wykoleił i że jeśli do patryarchalnego żywota nie wróci, to antychryst przyjdzie, jak prorokował ks. Serafin. Oprócz tego najmocniej są przekonani, mówił dalej Zenon, że wybawienie ich z interesów, od ruiny, przyjdzie cudem łaski Bożej... odprawiają na ten cel nabożeństwa, ale siedzą z założonemi rękami i nie czynią nic, coby ich własną siłą poratować mogło. Wierzą w to, że dla wybranych jak oni dzieją się w istocie cuda.., Pannie Marcjannie śnią się skarby zakopane, księżniczka Stella marzy o tem, że Robert mógłby zaślubić choćby córkę królowej angielskiej, która ma ich kilka... ks. sufragan modli się, płacze i ostatni grosz oddaje... Tymczasem życie się nie zmienia, wydatki nie zmniejszają, długi rosną; jedna kropla jeszcze, a z naczynia płyn nie poleje.

Załamał ręce...

— Zapomniałem panu powiedzieć, rzekł wzruszony, iż siostra księcia szambelana jest ksienią brygidek i modlitwy jej uważane są przez rodzinę za rodzaj specyfiku, który w ostateczności niebo rozłamie i złotą mannę sprowadzi. Cóż tu z tymi świętymi począć? mówił zniżając głos Zenon. Odjąć im ich złudzenia, któremi żyją szczęśliwi? niepodobna... one płyną z krwią w ich żyłach... Pomimo nich ratować?... któż potrafi? Trzeba patrzyć na to z sercem skrwawionem, gdy się ich szanuje i kocha... ratunku niema.

Mecenas słuchał z uwagą wielką, odpowiedzieć mu wszakże było trudno.

— Wierzącym dzieją się cuda — zawołał z półuśmiechem. — Juściż bogate ożenienie ks. Roberta nie byłoby niepodobieństwem.

— Zapewne. odparł Zenon, ale należałoby choć pofatygować się i szukać tej żony obiecanej... bo ona sama do Brańska nie przyjedzie. Ks. Robert odkłada, marzy, zapatruje się jak chrześcianin-fatalista na wszystko. wierzy niewzruszenie w Opatrzność Bożą i siedzi sobie spokojnie nad książkami, niewiele myśląc o jutrze.

— A pan Gozdowski? spytał mecenas.

Zenon począł się śmiać serdecznie.

— Ale to gąbka, która się tak napiła tego w czem ją zanurzano, że z niej się już nic nie wyciśnie więcej, nad spotęgowaną rezygnacją samych książąt. Czy pan nie widzisz, że ten poczciwy człek nabrał nawet fizjognomii swych ukochanych pryncypałów, wpatrując się w nią długie lata? W nim niema nic własnego, swojego... to zwierciadło posłuszne, nic więcej.

Mówił i unosił się coraz goręcej pan Zenon, chodząc po małej izdebce. Ręczę — dodał nareszcie — że i pan tu przybyłeś nie nadaremnie...

— To łatwo odgadnąć, cicho rzekł mecenas, my prawnicy nigdy darmo nie przyjeżdżamy tak daleko. Mogę jednak zapewnić pana, iż na ten raz interes nie jest jeszcze groźny.

Młody Żurba, dłużej dopytywać się nie śmiąc, nagle zamilkł, a że noc była późna, podali sobie ręce i rozeszli się jakoś smutni.

Są wypadki, w których się najchłodniejsza nawet natura wrażeniu pewnemu oprzeć nie może. Hartknoch był jedną z tych chłodnych postaci. dla których życia zadanie mieści się całe w ciasnym egoizmie jednostki, szanującej tylko inne egoizmy i ustępującej im nieco, aby one też ustępstwami za to zapłaciły. Nie był to jednak człowiek zły ani bez serca. Na nieszczęście rozum brał zawsze nad nim górę. Tym razem mecenas. który czuł się zupełnie spokojnym w sumieniu. przybywszy w interesie klienta swego. uległ wrażeniu. jakie na nim widok rodziny ks. ks. Brańskich uczynił. Rozmowa z p. Zenonem przyczyniła się do tego. Długo zasnąć nie mógł, zastanawiając się nad

naturą fenomenów, których był świadkiem. Serce podbudziło go może do tych badań, lecz rozum zimno je dokonywał. W końcu z reasumującym dlań wszystko wyrazem: Morituri! pan mecenas westchnąwszy usnął.

Zbudziło go rano otwarcie drzwi zawczesne i ukazanie się w progu tego samego pana Zenona, z którym wczoraj do późna prowadził rozmowę.

— Przebacz mi pan, rzekł wchodząc, iż go tak rano budzę; całą noc rozmyślając nad różnemi rzeczami, zasnąć nie mogłem. Przychodzę pana prosić o objaśnienie... jestem niespokojny nieco. Wszak to nie będzie niedyskrecją zapytać go o bliższe wyjaśnienie interusu, który tu pana sprowadził. Powiedziałeś mi pan, jeśli dobrze pamiętam, iż na ten raz nie jest on groźnym jeszcze. Wnioskuję z tego, iż groźnym stać się może. Losy tej rodziny obchodzą mnie mocno. Możebyśmy conjunctis viribus poradzić coś mogli. nawet mimowoli tych starych dzieci, co same sobie radzić nie umieją i nie chcą. Nie mam żadnego prawa wymagania od pana w tem spółczucia i pomocy, ale się odzywam do szlachetności jego charakteru.

Mecenas ledwie miał czas przetrzeć oczy i zebrać snem trochę powikłane myśli, ale umysł miał świeży i łatwo przyszedł do siebie.

— Niezmiernie to naturalne co pan mówisz i bardzo szlachetne z jego strony, rzekł, ale kochany kolego-prawniku, postawże się na mojem miejscu. Gdybyś przybył w cudzej sprawie, powierzonej ci z zaufaniem, mógłżebyś sumiennie dopełnić cokolwiekbądź szkodliwego interesowi klienta, który ci zaufał?

— O cóż ci właściwie idzie? zapytał siadając Zenon.

— To z czem przybyłem nie jest tajemnicą, odparł mecenas. Między innemi długami na dobrach książęcych cięży summa pewna, o którą się wierzyciele upomnieli. Zapłacić ją było trudno; ja nabywam ją i biorę przelew w imieniu spekulanta, który tę hypotekę uważa za dostateczną. Nic w tem dotąd dla Brańskich niema groźnego.

P. Zenon się zamyślił głęboko.

— Ale cóż to za ideał kapitalisty, zawołał, który proprio motu chce się lokować na obciążonych dobrach książęcych? To rzecz niepojęta. Z najlepszą wiarą w ludzką uczynność, lekkomyślność i t. p. trudno mi przypuścić, żeby ktoś bez tajemnego celu popełnił z kapitałem taką... powiem poprostu, niedorzeczność.

Spojrzał w oczy mecenasowi, który zarumienił się mimowoli.

— W tej sprawie, odpowiedział —ja jestem pośrednikiem bezwiednych celów, jestem posłem i nic więcej.

— Któż nabywa ten dług? spytał Zenon.

— Dawid Salomsou z Warszawy, kapitalista... odparł mecenas. Zważ pan że to nic a nic położenia książąt nie zmienia. Dług pozostaje i przechodzi tylko na imię innego człowieka.

— A warunki?

— Są jakie były — nic uciążliwszego do nich nie przybywa... rzekł Hartknoch. Za to co powiadam uczciwem słowem zaręczyć mogę. Zresztą książęta nie mają do wyboru, tylko albo zapłacić, lub od zapłaty uwolnić się tym przelewem.

— Nie rozumiem — dodał Zenon, a czego nie rozumiem, tego się lękam. Dawid Salomson, którego nazwisko dozwala się domyślać przemyślnego bankiera izraelity, musi w tem mieć cel jakiś. To sprawa ciemna...

— Ale ja jej więcej nie widzę od pana, odezwał się mecenas, chcąc się od dalszych badań uwolnić.

Nie mówił całej prawdy pan Hartknoch, wiedział bowiem o zamiarach Zembrzyńskiego, ale zdradzić ich nie chciał i nie mógł. Politowanie nad Brańskimi nie doszło w nim do tego stopnia, by sprawę powierzoną miał dla niego zdradzić. Inkwizycja ze strony Zenona była mu przykrą i rad był od niej jaknajprędzej się uwolnić.

— Kochany kolego, rzekł, wyciągając doń rękę Zenon, o jedno cię tylko proszę, nie śpiesz się zbytecznie do Gozdowskiego; ja się z nim i z ks. Robertem

chcę wprzódy rozmówić. Gozdowski człowiek uczciwy, ale nieudolny i zaślepiony. Ks. Roberta kocham, szanuję, alem go nigdy zrozumieć nie mógł — chcę otwarcie pomówić z nimi. Daj mi godzinę czasu.

— Najchętniej — odparł mecenas, przed godziną też nie mógłbym żadną miarą być u plenipotenta. Do zobaczenia.

Pan Zenon śpiesznie wyszedł.

Trudno jest jasno widzieć w duszy człowieka, niełatwo też było odgadnąć co skłaniało pana Zenona do tak gorliwego a dobrowolnego zajmowania się interesami familii Brańskich. Wprawdzie od lat wielu doświadczał ojciec pana Zenona dużo od nich przyjaźni, wprawdzie na dzierżawie dorobił się mająteczku, wprawdzie sama szlachetna natura i dobre serce młodego Żurby mogły być pobudką; ale jednak nie starczyło to wszystko na wytłumaczenie tej gorączki i zapału, z jaką niepowołany prawnik młody narzucał się na zbawcę tam, gdzie niewidziano nawet niebezpieczeństwa. Śpiesznym krokiem poleciał z gospody do dworku pana Gozdowskiego, który, pomimo pilnych interesów i pełnego przedpokoju ludzi czekających na jego przebudzenie, zasypiał jeszcze ze spokojem czystego sumienia. Żurba był tu poufałym i nie wahał się wtargnąć do sypialni plenipotenta, wołając nań aby wstawał i rozkazując słudze otwierać okiennice.

— Ale cóż się stało? co tak pilnego? zmiłuj się! zakrzyknął z łoża Gozdowski — budzisz mnie, gdym dopiero od godziny usnął. Powróciwszy wczoraj z pałacu, wziąłem do ręki nową powieść pani Sand, którą mi pożyczyła panna Antonina i zaczytałem się do rana.

— A pocóż czytasz powieści? poco? rozśmiał się Zenon, będąc plenipotentem i mając o ósmej z rana pełen przedpokój ekonomów, pisarzów, wójtów, arendarzy, którzy na ciebie czekają?

— No, to niech poczekają... trudno znowu, burczał Gozdowski, szukając rannego ubrania, — trudno znowu być wiecznie na ich zawołanie.

Biblioteka Polskiej Akademii Umiejętności w Krakowie

— Z nimi rób sobie co chcesz — odparł siadając przy łóżku Zenon — ale ze mną musisz się rozmówić. Uprzedzam cię że przychodzę z ważną mową o interesach.

— Nieszczęście prawdziwe z temi interesami! Skaranie Boże! krzyknął Gozdowski. Odetchnąć mi nie dajecie. Na miłość Chrystusową! daj choć krótki pacierz zmówić, wypić kawę, ubrać się.

— Nie mogę, zaraz tu nadciągnie mecenas warszawski, a ja się z wami rozmówić muszę nim on przyjdzie.

Czy to się tyczy jego?

— Tyczy się ogółu interesów, panie Gozdowski, począł Zenon — znasz pan moje położenie względem tej rodziny, obowiązki wdzięczności jakie zaciągnęliśmy. Ojciec, ja... wszyscy my kochamy książąt; przyznam się panu że jestem o nich niespokojny i chcę jasno wiedzieć jak stoją.

— Cóż? czyście się zlękli o swoje kilkadziesiąt tysięcy? podchwycił Gozdowski, któremu przebudzenie kwaśny humor wyrobiło.

Zenon się oburzył.

— Jak pan możesz mówić coś podobnego? zawołał — my nietylko nie upominamy się o to co mamy, ale oddamy i to co jeszcze mieć możemy, byle im spokój zapewnić. Chcemy jednak wiedzieć jak stoją.

— Znać państwo nie wierzycie we mnie i w prowadzenie tych interesów. któremi od lat dwudziestu kilku, z zadowoleniem książąt, zawiaduję... czy co? ofuknął Gozdowski. Po cóż ta indagacja?

— W uczciwość waszę, kochany panie Gozdowski— rzekł żywo Zenon, wierzę najmocniej. ale w zręczność, w jasnowidzenie. daruj mi, nie wierzę. Nie wierzę tobie. ani ks. Robertowi, ani ks. szambelanowi, ani wszystkim wam, wiele was tu jest, i kwita. Waćpan być może widziałeś jaśniej, ale ciągle patrzysz w słońce i oślepłeś.

Zdumiony tym wybrykiem młodego Żurby, Gozdowski zamilkł, był jednak widocznie urażonym...

a choć łączyła ich przyjaźń, czuł się dotkniętym. Nikt łatwiej się nie obraża nad tego, który niezupełnie sam z siebie jest zadowolonym.

— Cóż to znowu? coś nowego? Jakiem mi się prawem tak wtrącacie?

— Prawem miłości dla nich i dla ciebie, rzucając się na szyję opierającemu się Gozdowskiemu, krzyknął Zenon. Tyś poczciwy i gniewać się nie możesz, a masz tyle światła, że niepodobna byś sam nie widział miecza Damoklesowego, zawieszonego nad głowami tej rodziny.

Plenipotent wyrwał się z uścisku prawie gwałtem.

— Słowo honoru — rzekł, że tej napaści rannej nie rozumiem. Cóż się stało? co zagroziło? gdzie niebezpieczeństwo? Co ci się śni?

— Gozdowski, jeśli mnie kochasz, pomówmy serjo.

Plenipotent, który się tak bronił, na te słowa uczuł mimowolnie obawę jakąś i zmiękł znacznie. Opuścił go gniew... objęła trwoga, której wszakże okazać nie chciał. Jako człowiek słaby, ulegał wpływowi optymizmu swych pryncypałów, lecz zarówno dał się też zachwiać i groźbie energicznej Zenona, którego wielce szacował. Znużony, padł na fotel.

— Mówmy serjo, no, dobrze, mówmy, odezwał się z westchnieniem ciężkiem. Pan tak jak ja znasz książąt... wiesz że ich kocham. Czegóż chcesz odemnie, który jestem narzędziem tylko, aż do zbytku posłusznem?

— Chcę byś mniej słuchał, a więcej się lękał niż oni — gwałtownie kończył Zenon. Nikt później nie uniewinni cię tem posłuszeństwem, a gdy przyjdzie katastrofa... wina cała spadnie na ciebie.

— Gdzie? jaka katastrofa? co ci się śni? ofuknął zrywając się Gozdowski?

— Otwórz-że oczy... na miłość Boga!... łamiąc ręce mówił Zenon. Ja nie jestem plenipotentem, a z tego co wiem i widzę, łacno mogę przepowiedzieć katastrofę, o której mówię. Słuchając rachuj. Wszystkie ma-

jętności książąt ile mogą być warte? Ceń drogo, pozwalam.

Gozdowski się zamyślił chmurno.

— Trzy miliony, rzekł.

— Przypuszczam i to... rachujmy — odezwał się Zenon. Summy zaciągniętej w Towarzystwie jest przeszło milion... Są zaległe procenta. Liczył-żeś kiedy długi prywatne? rachowałeś legata i kapitały kościołów, fundacyj i t. p. Ja wiem że wszystko to razem wzięte, jeśli już nie przewyższa wartości dóbr, to przynajmniej jej dorównywa... Książęta żyją tak zawsze, jak gdyby owe miliony mieli czyste; z każdym rokiem ciężary rosną. Jak z tego wybrną? jak? Jeden pozew, jedna summa, której opłacić czem nie będzie, a wszystko runie.

Gozdowski pochwycił się za głowę.

— To nie jest przesadzonem, to rzeczywistość ściśle wzięta, nieprzeparta, konieczna. Z roku na rok przeciąga się ruina, ale jest nieuchronną.

Plenipotent milczał.

— Gdyby tak było — wybąknął nareszcie z ciężkością — gdyby tak było na co się nie zgadzam, to cóżbyśmy, wedle pana, począć mieli? co?... Zatem niema ratunku?

— Poczynajcie co chcecie, ale róbcie cokolwiekbądź! krzyknął Zenon.

— Tak źle nie jest — odezwał się po namyśle plenipotent, grubo przesadzasz, panie Zenonie. Najprzód znaczniejsza część naszych długów nie jest wymagalną... nie potrzebujemy płacić kapitału, tylko procenta.

— Których nie płacicie wcale — wtrącił Zenon, a dalej?

— Dalej przecie... przecie ks. Robert się ożeni, tryumfująco dodał Gozdowski, przecie weźmie milion lub półtora i dobra oczyści, toć jasne jak słońce... Mamy więc prawo czekać cierpliwie i rachować na to.

Żurba opuścił ręce, słysząc to, głowę pochylił i oczy w ziemię wlepił.

— Na to niema odpowiedzi — rzekł.

— Sam widzisz... to cały, jasny plan nasz... dodał z dobrą wiarą Gozdowski, a nie jest on tak bardzo zły, ani tak niepewny jakby się mógł zdawać. Książę ma prawo szukać sobie żony w tych sferach, do których jest stworzonym. Prawdopodobnie znaleźć ją powinien i rzecz skończona.

— I sprzeda się? spytał Zenon.

— Jak można mówić coś podobnego? oburzył się plenipotent — po co ma się sprzedawać? Alboż majątek nie może być połączony z umysłowemi przymiotami? alboż milionowa fortuna nie daje owszem prawa wnosić iż osoba będzie dobrze wychowaną i bogatą we wszystko, co staranne wychowanie dać musi?

Ironicznie, sucho śmiać się począł p. Zenon, spojrzał na Gozdowskiego, przystąpił do niego, pocałował go, uścisnął i dokończył:

— Kochany, zacny panie Gozdowski, niema co już mówić z wami... każ podawać kawę... ja ci przeszkadzać nie będę.

Plenipotent zdawał się obrażonym z razu, lecz powoli mu to odeszło, przyjął uścisk i żart za dobrą monetę, byle spokój od natręta uzyskać.

— Tylko słowo jeszcze — zwracając się od progu, rzekł Zenon — jaki interes sprowadza tego mecenasa z Warszawy?

— Nabycie summy na nas, rzecz prosta, jasna i już skończona; zyskujemy na czasie, a dla nas on jest wszystkiem; wy zaś, panie Zenonie, co tak kochacie książąt i macie miłość a zaufanie u ks. Roberta, lepiejbyście uczynili, gdybyście, zamiast nas burować niepotrzebnie, skłonić się go starali, ażeby raz na serjo o ożenieniu się pomyślał.

Zenon głową potrząsł, ramionami ruszył i bez pożegnania wyszedł, kierując się wprost do mieszkania księcia Roberta w pałacu.

Ks. Robert zajmował apartament na dole, w jednem ze skrzydeł bocznych gmachu, w którem podobne, dosyć obszerne pomieszkania mieli także ojciec, książę szambelan, pan generał i księżniczka Stella. W pośrodku na pierwszem piętrze były pokoje galowe, mniejsze i większe, w których się cała rodzina zbierać była zwykła. Korytarze i przejścia ogrzane łączyły wszystkie części pałacu, mieszczącego prócz tego mnogą służbę, prawie wszystkich rezydentów, kapelana, przemieszkującą tu ciągle niemal pannę Antoninę, apteczkę z panną Marcjanną i t. d. Budowa była tak rozległą, iż mogła jeszcze w przypadku potrzeby wygodnie pomieścić gości, nawet tak obszernego lokalu wymagających jak ks. sufragan. Ks. sufragan miał raz nazawsze dla siebie oddzielone i nigdy nie zajmowane przez nikogo pokoje na pierwszem piętrze: salon, sypialnię, kancelarję, łazienkę i t. d. Gmach tak urządzony, jak się domyślać łatwo, wymagał też służby licznej, na której nie zbywało; niezawsze zatrudniona, przez pół roku całkiem bezczynna, musiała przecież być na zawołanie. Wszystko też do tej miary zastosowanem było.

Może jednym z najskromniejszych był apartament księcia Roberta, który lubił to co piękne, ale zbytku nie potrzebował i umiał smak dobry połączyć z prostotą. Urządził on sobie sam wygodnie kilka pokoi, po których poznać było łatwo charakter posiadacza. Jeden z nich zajmowała wybrana biblioteczka osobista księcia, oprócz której na drugiem piętrze znajdowała się tak zwana stara biblioteka książęca, bardzo szacowna lecz dosyć zaniedbana. Klucz od niej z urzędu miał kapelan, ale że teraźniejszy, ks. Serafin, lubił przedewszystkiem rybołóstwo i ogrodnictwo, miały czas sobie zamki zardzewieć a móle i myszy słać gniazda. Reszta pokoi księcia Roberta, jego gabinet zielony z trofeami myśliwskiemi i rycerskiemi, były bardzo smakownie przez niego samego urządzone. Spędzał on tu większą część dnia nad dziennikami, nad nowościami, a że lubił przedewszystkiem historją, pamiętniki, podróże i czytał z łatwością w kilku językach, nie zbywało mu nigdy na miłej rozrywce. Czasem fantazja jakaś zapędziła go do starej biblioteki, zkąd także wyciągał różne dzieła, nie zwracając ich już pod klucz ks. kapelana. Czytał ks. Robert wiele, ale czytanie dla niego było raczej rodzajem rozrywki, niż nauką poważną. Czytał bez wyboru, zmieniając treść, szukając kontrastów, biorąc i rzucając dzieła najróżniejsze, i choć bez książki wytrwać nie mógł i nie umiał, rzekłbyś że się nią jak opium tylko upajał, by o życiu i ciężarach jego zapomnieć.

Wszystko mu było dobre, co od rzeczywistości oderwać mogło silnie, dziś Rabelais, jutro Spinoza, zarówno Dante jak Eulenspiegel.

Pomimo pozorów młodości i pełni sił, których wyczerpać nie miał czasu, w księciu Robercie łatwo było dostrzedz, iż do życia nie przywiązywał wagi, nie wierzył w nie wiele i nie zakreślił w niem sobie żadnego celu. Na pozór miły, wesół, uprzejmy, ożywiony, w towarzystwie chętnie się udzielający i dający rozgrzać na krótko, — zdawał się jednak, w chwilach, gdy był sam sobie zostawiony, strutym, rozczarowanym, zobojętniałym na wszystko. Z indyferentyzmem, a raczej kwietyzmem fatalisty szedł drogą jaka się nadarzyła, nie szukając ani nowej ani innej. Coś w tę duszę szczelnie zamkniętą padło znać, co jej dalszy rozwój wstrzymało. Nie zgorzkniał, nie znienawidził świata, kochał go, ale on był obojętnym, nie spodziewał się po nim niczego więcej i nie był go ciekawym. Czasem można go było o sceptycyzm posądzić, chociaż wszystko czego po nim świat, formy, przyzwoitość, obyczaje domu, tradycje wymagały, spełniał ze skrupulatnością drobnostkową, pilną, nieznużoną. Po-

szanowanie ludzi i opinij jaknajwiększe — ale do polemizowania z jednymi i drugimi nie schodził nigdy. Wyrozumiałość miał zupełną na błędy, poważanie dla cnoty — ani jedne ani drugie wszakże zapału ni oburzenia w nim nie wzbudzały. Można go było nazwać beznamiętnym, chociaż gdy szło o uczynienie komu przysługi, o spełnienie czegoś poczciwego. krzątał się bardzo i prawie rozgrzewał. Ale ciepło to nie trwało długo. apatja łagodna wracała prędko. Zostawiony sam sobie, smutnym był, a wesołość jego najbujniejsza zawsze zdała się przymuszoną.

Zszedłszy go niespodzianie, można było być pewnym, że się go zastanie pogrążonym w bezmyślnem osłupieniu jakiemś lub nad jaką książką—nigdy w rzeczywistości, zawsze w świecie marzeń i wspomnień. Przed okiem starszych, dla których książę Robert przybierał postać rozweseloną i swobodną, usposobienie to całkiem się kryło, poufalsi tylko chwytali go tak na uczynku, a cały tok życia stwierdzał mniemanie, iż książę Robert żył z obowiązku, ale bez smaku i zajęcia przyszłością.

Łatwo się domyśleć iż wychowanie otrzymał jak najstaranniejsze, że książę szambelan nie żałował niczego dla wykształcenia jedynaka, który od dziecinnych lat okazywał umysł żywy, pojętny i chciwy wiedzy. Niezliczonych nauczycieli brano i odprawiano, posyłano za granicę, po skończeniu wychowania odbywał jeszcze podróże, potem wedle rycerskich tradycyj kazano mu wstąpić do wojska. Tu przypada właśnie epoka, w której szambelan i rodzina nieco go z oczów stracili; młody człowiek dziwnie piękny, wychowany najstaranniej, miły, dowcipny, czarujący wszystkich, nieco rozpieszczony—dostał się nagle w świat, którego pokusom podobno oprzeć się nie mógł. Imię, wielki wówczas jeszcze majątek, który dozwalał mu stanąć na stopie odpowiedniej rodziny stanowisku, zbliżyły go do sfer, w których młodemu, wychodzącemu na świat, z gorącemi namiętnościami a wielkiem niedoświadczeniem, największe grożą niebezpieczeństwa.

Jak je wyminął — jak się im obronił — czy ich nawet uniknąć potrafił — o tem domowa milczała kronika. Nikt w Brańsku nie wiedział o niczem, oprócz śpiesznego bardzo awansu i dosyć znacznych księcia wydatków. Z boku dochodziły wieści, iż książę Robert był ulubieńcem najwyższych towarzystw, że go sobie wyrywano, że przepadano za nim; pocichu szeptano jeszcze, iż wielka jakaś miłość tajemnicza, gwałtowna, tragiczna zagroziła zwichnięciem przyszłości księcia, że zakochał się i był kochany przez kobietę zamężną, dla której gotów był poświęcić wszystko, której przywiązania o mało życiem nie przypłacił — że został przez nią zdradzony i w rozpaczy znowu blizkim był samobójstwa. Cała ta tragedja jakaś bez nazwisk, jak głucha plotka dostała się do niższych sfer dworu książęcego, ale do uszów ojca ani stryjów nigdy nie doszła. Rozsądniejsi ludzie poczytywali ją za potwarz i bajkę, gdy jakoś około tego samego czasu szambelan otrzymał od syna list, donoszący mu o chorobie, z powodu której będzie zmuszony opuścić służbę wojskową. Jakoż w parę miesięcy potem powrócił na wieś książę Robert, lecz tak strasznie zmieniony chorobą, że całą przywiązaną do siebie rodzinę przeraził. Reszty słabości tej przeszły zwolna, zdrowie wróciło, ale pozostała po niej owa apatja, smutek, zobojętnienie na wszystko, z którego młody książę wyjść już nie mógł.

Czy było co prawdy w opowiadaniach o jego przeszłości, nikt nie badał,nawet; zatarły się powoli wspomnienia. Robert został czem był — owszem, lata ten stan, który mógł być przechodnim, zmieniły zwolna w naturę. Życie wiejskie jednostajne przyczyniło się ku temu.

Gozdowski mówił prawdę panu Zenonowi, utrzymując iż rodzina pokładała całe swe nadzieje na świetnem ożenieniu się księcia Roberta, spodziewać się go miano zupełne prawo i Robert wart był losu, który mu wróżono. Ojciec kilkakrotnie mu o tem wspominał, naglił generał, namawiał sufragan, którego głos

wiele w rodzinie znaczył — ks. Robert milcząc, nie opierał się wcale, przyjmował rady, ale nic nie czynił coby mu małżeństwo ułatwić mogło. Siedział na wsi, czytał, dumał i spełniał obowiązki towarzyskie nałogowo. Ilekroć chciano go skłonić do podróży, do odwiedzenia miasta, przejażdżki dalszej, znajdował tyle różnych powodów odłożenia wyjazdu, iż w końcu całkiem poszła rzecz w zapomnienie. Siostra, którą czule kochał i słuchał najchętniej, nawet siostra wymódz nie potrafiła, by się ruszył z tego swego spokojnego kątka, do którego zdawał się codzień mocniej wzrastać.

Taką była zewnętrzna fizjognomia charakteru księcia-rotmistrza, jeśli się tak wyrazić godzi — głębi jego i tajemnic nikt ani śmiał odgadywać. Na pozór otwarty, szczery, był jak te domy, w których sieni ogromnej każdemu krążyć wolno, ale do środka nikt się nie dostaje.

Młodszy od niego pan Zenon, znał rotmistrza od dziecka; choć wiekiem nierówni, spędzili młodsze lata razem. Cała ta rodzina Żurbów przywiązana do Brańskich, chowała się, przebywała, żyła na dworze tutejszym, jak u siebie. Stary Żurba, który ubogim przyszedł na dzierżawę, a trzymał ją od lat dwudziestu kilku, przywiązał się poczciwem sercem do swoich dobrodziejów. Winien im był nietylko stosunkową zamożność, ale wychowanie świetne córki, jako towarzyszki księżniczki Stelli, i pomoc w prowadzeniu syna. Obojgiem szczycił się szlachcic, a pochlebiała mu też szczera przyjaźń książąt, serce miał dobre, był im więc oddany, tak cały, iż to co miał, chętnie był gotów im poświęcić. Zenon na poufałej stopie z lat młodszych pozostał z ks. Robertem, który go kochał; jednakże po powrocie z wojska, gdy w imię młodej przyjaźni chciał się dowiedzieć czegoś o tych tajemniczych stosunkach, o których po cichu rozpowiadano, postrzegł iż głąb duszy dawnego przyjaciela była dlań zamkniętą. Ks. Robert zbył zapytania natarczywe pół śmiechem, pół nadąsaniem, zagadał o czem innem i we wszystkich innych przedmiotach chętnie rozprawiając

z Zenonem, tego jednego nigdy mu dotknąć nie dozwolił. Zenon wniósł iż rana była niezgojoną, że płynęła krwią jeszcze; poszanował i zrozumiał tę boleść, rachując iż czas powoli uśmierzyć ją musi. Nigdy też nie tykał, z księciem mówiąc, majątkowych spraw, przez delikatność jakąś, a może, by się nie zdało iż o swój i ojca los się obawia, mieli bowiem u książąt summę znaczną, a worek ich na zawołanie był otwarty.

Tym razem jednak przybycie mecenasa, które rozbudziło jakiś niepokój w duszy pana Zenona, skłoniło go nietylko do napaści wcale niezwyczajnej na Gozdowskiego, ale do postanowienia otwartego rozmówienia się się z księciem Robertem. Czuł się w sercu czystym, to mu dodawało odwagi.

Lekarz, mówił do siebie idąc — musi mieć męztwo nietylko zdarcia z rany bandażów, ale zapuszczenia w nią noża, jeśli nim gangrenę ma wykroić. Będzie się książę gniewać — ha! cóż robić? niech się gniewa, dopełnię obowiązku.

Już był prawie w progu mieszkania przyjaciela, gdy myśl nowa wstrzymała go.

— Co pomoże moja rada? To się na nic nie zdało! Rozjątrzyć mogę, a nie mam dosyć powagi aby przekonać. Wypadałoby — któż wie? — inaczej może postąpić.

Zamyślił się: książę generał przyszedł mu na myśl, czyby jego za skuteczne narzędzie, lub choć za pomocnika użyć nie było można. Zawahał się, spojrzał w górę. W oknie drugiego piętra przeciwnego skrzydła pałacu kawaler maltański siedział z cybuchem i bardzo swobodnie fajkę palił, poglądając w podwórze. Była to jego fajka uroczysta—pierwsza, którą pomaluteńku do dna wypalał, po filiżance kawy, zrobionej własnoręcznie na machince.

— Hej, Żurba, słyszysz? Czego ty się tam tak rano kręcisz koło mieszkania Roberta? czy nie widzisz że śpi? Okiennice pozamykane, nie budź go, on potrzebuje biedaczysko wypoczynku. Jeśli się nie masz

gdzie podziać. chodź do mnie, zrobię ci kawy takiej, jakiej oddawna nie piłeś?

Zenon głos ten wziął za głos przeznaczenia, za wyrok, westchnął i z wolna pociągnął przez dziedziniec i wschody na drugie piętro, do pana generała.

Nie było u nas wprawdzie ani ordynacyj, ani majoratów; mimo to w rodzinach znaczniejszych troskliwość o utrzymanie ich świetności powoływała rodziców do rozporządzania dziećmi w ten sposób, by wielkie majętności mogły zostać niepodzielnemi. Niesiecki poświadczy ile córek najpierwszych familij przywdziało szaty zakonne, by braciom nie uszczuplić mienia, ilu młodszych braci obierało stan duchowny, rachując na bogate prebendy i biskupstwa, które wydział ojcowizny zastąpić miały. Im bardziej ofiary i dostojeństwa bez wynagrodzenia piastowane nadwerężały majątki, tem rodzina do większych ofiar była zmuszoną, ażeby dawną świetność utrzymać. Jednostki chętnie poświęcały się dla domu, dla rodu, dla gniazda, którego blask padał na nie. Działo się to najczęściej tak dobrowolnie, a rozporządzano potomstwem tak zawczasu, iż ofiara mało się czuć dawała. Dziewczątka, często w czternastym roku oddawane do klasztoru, nawykały do jego ciszy, spokoju, do jego mistycznych uciech, do pobożnych radości i zachwytów, tak że żadna ich siła potem na świat burzliwy wyprowadzić nie mogła. Tak samo synowie w szkołach zakonnych zrastali się już z sukienką nowicjuszów, umysł ich zawczasu kierował się ku zaświatowym sprawom nieba i zbawienia i ziemia nikła im z oczów. Często gdy los dotknął tak rodzinę, iż napowrót jednego z poświęconych swych członków odzyskać chciała, trudno było skłonić go, by duchowną suknię na świecką zamienił, a różaniec na szablicę.

W rodzinie Brańskich, których majętności znacznie się w końcu ostatniego wieku zmniejszyły, musiano też uciec się do tego środka — postanowiono na syna starszego przelać całe mienie, a dwóch młodszych i siostrę oddać na posługę Bogu. Księżniczka Teofila wychowaną została u Brygidek, a że starano się o to aby jej klasztor smakował, dobrowolnie oblokła sukienkę zakonną i poświęciła się życiu kontemplacyjnemu. Była w niem szczęśliwą. Jest to mały światek, do którego tak dobrze jak do innych nawyknąć i zrosnąć się z nim można, zwłaszcza, gdy młodą gałązką latorośl się weń zaszczepi. Tak samo przyszły ks. sufragan ze szkół wprost dostał się do nowicjatu, a że ułomność nie wróżyła mu wielkich na świecie powodzeń, usposobienie zaś miał wrodzone do życia w ciszy i pokoju, poszedł tą drogą bez przymusu i żalu.

Trudniej było coś postanowić ze średnim synem, księciem Hugonem, który do stanu duchownego żadnego powołania nie miał. Ojciec też ks. szambelana, człek baczny i rozważny, obawiał się by na przypadek śmierci bezdzietnej starszego syna familia na nim nie wygasła. Wybrano więc coś pośredniego; rycerskie usposobienie Hugona kwalifikowało go na kawalera maltańskiego. W razie wypadku od ślubów zakonnych łatwo było otrzymać uwolnienie. Książę wychował się na rycerza, kupiono mu komandorją, jeździł na Maltę, wojował potroszę wszędzie, a że zrodzonym był na żołnierza, i on sam sobie i jemu drudzy wpoili to przekonanie, że nie powinien się żenić i że do spokojnego życia w stadle małżeńskiem nie był wcale stworzony. Został więc książę Hugon bezżennym i rycerzem, dopóki sił stawało. Wmówiono weń także, ażeby się zrzekł majątków ojczystych, przestając na pen-

sji, na dobrach zahypotekowanej, na co chętnie przystał. Gdzie nie był ks. Hugon, trudno powiedzieć, bi się bowiem z fantazją paladyna, gdziekolwiek o wojnie poczciwej zasłyszał, szczególniej przeciwko wszystkim niewiernym, uważał to bowiem za obowiązek. Ktokolwiek na Turka szedł, nasz kawaler maltański śpieszył mu w pomoc jako ochotnik, dostawał blizny, i kule, ordery, spoczywał nieco, potem na głos trąby zrywał się i szedł znowu. Reumatyzmy nareszcie, podagra dziedziczna, wiek, bo miał już lat siedemdziesiąt, osadziły go w Brańsku. A że dostawał pensje różne przywiązane do krzyżów i wysłużone w boju, choć go niezawsze dochodziło co mu od rodziny należało, niewiele potrzebując, mając chleb i mieszkanie bezpłatne, wcale na swe położenie nie narzekał. Nie można powiedzieć, ażeby książę generał odrodził się od swoich, żył w nim ten duch, który w nich mieszkał; wałęsanie się jednak po świecie, czasy i obyczaje, wśród których żyć był zmuszony, wpłynęły na wyrobienie z tego materjału specyficznie różnej a osobliwej jednostki. Był to książę Brański, ale sui generis. Najprzód co do powierzchowności różnił się żołnierską fizyognomia od braci i synowca nawet; bo ten, choć służył wojskowo, mało z munduru wyniósł, a codzień mniej podobny był do wesołego rotmistrza huzarów. Książę szambelan pocichu skarżył się nawet ks. sufraganowi, iż Hugon nabrał maniery zbyt obozowej, że go stajnią często czuć było. Obok tej rubaszności żołnierza, zostało w nim wiele szlachcica i magnata. Nie zapominał nigdy iż był napół zakonnikiem, z bezprzykładną regularnością odprawiał po łacinie oficja swoje, obchodził uroczystości i posty. W mowie wyrwało mu się czasem cóś wcale nie ortodoksyjnego, w życiu, jak powiadano, były wybryki bardzo głośne i śmiałe, ale reguły nie nadwerężył i zewnętrzne formy szanował skrupulatnie. Rozweselony, pozwalał sobie żarcików, które istotnie jeśli nie stajnią, to namiotem żołnierskim trąciły — nazajutrz wszakże sam się kajał i wstydził krewkości swojej. Wiek powoli dość żywy

temperament stępił i przygasił, błyski dawniejsze stawały się coraz rzadsze. Kawaler maltański urządził sobie na pierwszem piętrze wygodną siedzibę i nie pragnął niczego więcej nad to, by w niej mógł dożyć dni swoich. Zapalony niegdyś myśliwiec, teraz łowy coraz bardziej na jutro odkładał... zawsze mu coś do nich przeszkadzało.

Gdy przed laty kilkunastu przybył, by stale osiedlić się przy bracie, książę generał nie miał najmniejszego wyobrażenia o stanie majątkowym rodziny. Pensja dochodziła go niezawsze bardzo regularnie, lecz koniec końcem coś tam kapnęło i niby prowadzono rachunki zaległości. List szambelana często zastępował pieniądze czułościami i tak się to wlokło. Generał przyjechał ze złudzeniem iż znajdzie tu dawną domu świetność jeszcze zwiększoną, w pierwszych chwilach nawet nic nad to nie widział co chciał zobaczyć; z latami dopiero zaczęły mu się zwolna otwierać oczy. Rzeczywistość groźna zaglądała w nie bezlitośnie. Generał bronił się jej, okłamywał się sam, budował zamki na lodzie, nie mógł przypuścić nawet, by rodzina taka jak ich na upadek, a choćby na zubożenie, narażoną być miała — resztki złudzeń przylgły do jego źrenic, lecz prawda dobywała się też do nich Nie będąc nadzwyczajnie domyślnym, książę generał miał zdrowy rozsądek. Zaczynał się więc lękać codzień mocniej o przyszłość. Kochał bardzo księcia Roberta, lecz, bądź co bądź, jemu przypisał głównie zachwianie się interesów. Odgadywał go daleko lepiej, niż cała reszta rodziny.

— Czemu się, u kaduka, ma foi nie żeni? mawiał do siebie, czas przecie żeby tam te niezdrowe amory z niego wywietrzały. Któż na to nie chorował i kto choć raz w życiu nie umierał i nie szalał z miłości? Cela se conçoit. Lecz dla zgniłych wspomnień jakiejś tam jejmości, całe życie chodzić w żałobie — to niema sensu, zwłaszcza gdy się na ramionach ma całej rodziny nadzieje i przyszłość.

Generał próbował synowca, lecz ile razy dotknął

go, marmurowy chłód i kamienny opór zmuszał go do cofnięcią się i odkładania na jutro. Jutro próba się tak samo nie udawała jak wczoraj. Generał się niecierpliwił trochę, ale cóż było począć. W pomoc wziąć ani szambelana, ani sufragana nie mógł, bo z niemi obu otwarcie o przeszłości Roberta mówić nawet nie było podobna; książę Hugon sam nie znał jej dokładnie; coś go tam doszło z boku, niejasnego, pewnie przesadzonego, lecz więcej się domyślał.

Stan też majątkowy Brańskich odgadywał raczej, niż miał o nim jakie wyobrażenie. Jako wierzycielowi, zdało mu się niedelikatnością dośledzać jak tam stały interesa; w ogóle nie lubił rachunków, bał się odkryć gorsze niż sądził. Wszystko to razem odstręczało go od otwarcia puszki Pandory, lecz mimowolnie znaki rozkładu i zbliżającej się ruiny biły w oczy. Zjawienie się natrętnych wierzycieli, bieganiny kontraktowe Gozdowskiego, snucie się lichwiarzy, posępne lice ks. Roberta w pewnych porach roku, dotkliwy niedostatek grosza, na który zawsze Żurba radzić musiał, wiele dawały do myślenia.

— Czemu-bo się on nie żeni? powtarzał, m a f o i! to już nie do zniesienia — ma przecież obowiązki. Lata płyną, dochodzi czterdziestu, wprawdzie wygląda na trzydzieści kilka, ale ludzie o metryce cudzej lepiej niż o swojej pamiętają. Potem żeby chciał, to go żadna nie weźmie i m a f o i, gdy już zacznie wąsy szwarcować, przepadł.

Szambelana nasadzał na ks. Roberta, a patryarcha rodu, sam dochodząc do osiemdziesięciu, znajdował syna bardzo a bardzo młodym i nie chciał go przymuszać.

— Daj mu pokój, generale — mówił — to człek rozumny — potrafi pokierować sobą, przyjdzie pora. Niech po służbie wojskowej wypocznie, niech też trochę swobody zażyję, bo małżeństwo, jak ojcowie mówili, złote jarzmo, ale jarzmo...

Generał ramionami ruszał.

— Jak ty go nie napędzisz, to on tam przy kominku z książką, m a f o i, zestarzeje, skapcznieje. To poczciwa natura, ale bodźca koniecznie potrzebuje.

Toż samo powierzał generał ks. sufraganowi, nakłaniając go także do interwencji — zacny kapłan wszakże zasłaniał uszy, strzepywał rękami i cichuteńko, jak był zwykł, szeptał bratu:

— To nie moja rzecz, braciszku, to nie moja rzecz, duchowny jestem. Niech Norbert po ojcowsku przemówi, albo wy. Co mnie się mieszać, kochanku, w nie swoje. Proszę cię, daj mi pokój. Pomodlę się, jeśli chcesz na intencją.

Odmalowaliśmy dostatecznie w tych kilku słowach usposobienie generała, na którego interwencją zdawał się pan Zenon Żurba rachować: pomoże nam to do wyrozumienia rozmowy ich w tym przedmiocie.

Książę generał stał, jak mówiliśmy, na drugiem piętrze pałacu; obrał on je sam sobie, nie chcąc być nikomu zawadą, ale raz objąwszy, wymówił sobie samowładne panowanie.

— To moje dziedzictwo a raczej dożywocie — rzekł do brata — daruj mi, panie szambelanie, co ci powiem, ja tu chcę być panem i urządzę sobie moje apartamenta wedle fantazji.

Nikt nic nie miał przeciwko temu, zwłaszcza że książę generał własnym kosztem restaurował i wyporządzał swą rezydencją. Wyglądała ona trochę fantastycznie, oryginalnie i zaciekawiała ludzi, co właśnie generała bawiło.

Mieszkanie całe składało się z sali bawialnej, saloniku, kancelarji, sypialni, biblioteki, zbrojowni, gabinetu i pokojów dla służby. Sala pierwsza obita ciemno-zielono, wysłana suknem zielonem, przybrana była w wizerunki mistrzów maltańskiego zakonu, z tarczami, a dwa całkowite rynsztunki stare, z hełmami zapuszczonemi i kopiami w ręku, stały na straży w progu. Wielki stół dębowy rzeźbiony, na krzyżowych nogach, zajmował środek sali. Mniejsza salka, weselsza nieco, ale w stylu równie surowym przybrana, miała

na ścianach widoki Malty, a przy ścianie rodzaj rycerskiego ołtarzyka z krucyfiksem i obrazem Matki Boskiej. Na jednej z jej ścian portret w całej postawie, w pełnym mundurze, wystawiał księcia generała, okrytego orderami i insygniami swej dostojności. Oprócz tych dwóch pokojów, zbrojownia, bardzo ciekawa i bogata, obwieszona była starożytną bronią, zbieraną po całej Europie i smakownie ułożoną. W sypialnym pokoju łóżko stało żelazne, okryte skórą niedźwiedzią, w rogu klęcznik z lichtarzami i krucyfiksem. Na nim leżała trupia głowa, różaniec i bogato oprawny brewiarz kawalerów zakonu. Ciekawą też była biblioteka, z dzieł wojskowych lub wojny opisujących złożona, a w niej modele fortec, karty, atlasy, które książę generał lubił przychodzącym pokazywać i niemi się chwalić. W gabinecie, w którym stała gotowalnia, za szkłem w pudle osobnem wystawione były ordery, wstęgi i dystynktorja różne księcia Hugona, a nazbierał tego niemało i miał w nich szczególne upodobanie. Ludzie mówili nawet, że trochę na nie polował.

Wchodzący Zenon zastał już generała, z fajką naprzeciw gościa kroczącego po zielonym salonie. Podał mu rękę dosyć wesoło.

— Dzień dobry! — Cóżeś tak rano się zerwał szturmować do Roberta, hę? ma foi, daj mu spać! To delikacik, jak nie dośpi, zaszkodzi mu, a wczoraj w nocy widziałem u niego światło bardzo długo.

Zenon nie wiedział jak miał rozpocząć rozmowę.

— Przyznam się księciu, rzekł, że trochę interesa, a raczej może niepotrzebnej gorliwości, napędziło mnie podedrzwi księcia Roberta.

— Cóż to tam takiego? sekret?

— Żaden, a gdyby nawet był dla kogo, to przecie nie dla księcia generała. Domowe sprawy.

— Daj ty mnie pokój ze sprawami, jam stary żołnierz i stary pół-mnich, do tego się nie zdałem ma foi.

— Nie sądzę — odezwał się Zenon — mnie się przeciwnie zdaje, że pan generał właśnie masz tu wielkie

posłannictwo w tym domu i gdzie nikt nic nie potrafi, książę byś mógł.

— Ma foi! czy mi kadzić myślisz? rozśmiał się stary — przestrzegam cię że ja trybularzów nie lubię, tylko w kościele. I zkąd-że się tobie wzięło palić kadzidła? tyś także na zakrystjana nie stworzony.

— Ale bo to też pochlebstwo żadne nie jest — odparł Zenon, książę mnie nie zrozumiałeś.

— Twoja wina, mów wyraźniej.

— Pozwalasz książę?

— Bardzo proszę, jam żołnierz — clara pacta.

— Przykra to rzecz z niedobremi wiadomościami przychodzić, odezwał się Zenon — czasem jednak zmusza do tego obowiązek. Czy książę generał tego nie widzisz, że przy teraźniejszych ciężkich czasach, przy zobojętnieniu jakiemś ks. Roberta i dobroduszności Gozdowskiego — interesa brańskie coraz bardziej szwankują? Nikt na to nie radzi. Z dnia na dzień zwleka się kuracya, a choroba sobie rośnie. Książę szambelan widzieć tego nie może, a pan generał może nie chcesz.

Książę Hugon wyprostował się jakoś dumnie.

— Nie chcę? ma foi! gdybym nie chciał widzieć, tobym, niestety, musiał — odezwał się kwaśno — tylko, zrozumiejmy się, ja na to i widząc nie pomogę. Co to do mnie należy? Ja jestem w położeniu wyjątkowem, którego znowu waćpan, panie Zenonie, widzieć nie możesz — jestem wierzycielem, uczucie delikatności, nie dozwala mi nic począć. Hm, ma foi, myślisz że ja nie widzę? myślisz że ja z boku i z przełaju nie zachodziłem i szambelana i ks. sufragana, ale to się wszystko na nic nie zdało. Ja zaś sam z niczem wystąpić nie mogę. A z czem i jak mam wystąpić, gdy nie wiem co robić, bo interesa dla mnie, c'est du grec, ja ich nie rozumiem.

Ruszył ramionami książę generał.

— Ty jesteś poczciwy chłopiec, mój panie Zenonie, a no, młody, pali ci się w głowie i sercu; my starzy, nawykliśmy odkładać potrosze ad calaendas graeca-

cas — a czasem Pan Bóg naszę w Nim ufność odpłaca. Nie przeczę że cósby robić należało, ale co? ma foi.

— Zdaje mi się — odezwał się Żurba — iż tu niema nic innego do zrobienia, tylko ożenić bogato ks. Roberta, a tymczasem zaprowadzić oszczędność ścisłą, kontrolę, ograniczyć wydatki, może nawet zmniejszyć dwór.

Generał cofnął się kilka kroków.

— Fiu! fiu! fiu! no, no! lecisz coś bardzo prędko i daleko! Ożenić, no tak, ożenić Roberta, ani słowa. Co się tyczy oszczędności, kontroli, ograniczenia w wydatkach, zmniejszenia dworu, śni ci się chyba — to są rzeczy wprost niemożliwe, to niepodobna. Jutroby nas okrzyczano za bankrutów, a jakże ty chcesz ażeby szambelan przy ostatku dni swoich miał cierpieć, widząc taki upadek, gryźć się, czuć upokorzonym? To nie może być! to wprost niepodobieństwo, ma foi!

Zenon spuścił głowę.

— Ale — rzekł cicho — czyż nie lepiej trochę przykrości, niż... jaka katastrofa, która jak piorun księcia szambelana mogłaby o śmierć przyprawić?

Generał zbladł usłyszawszy to i chwycił za rękę Zenona, prowadząc go strwożony do drugiego pokoju. Tu obejrzał się bacznie, wyglądnął za drzwi i przyparłszy do okna Żurbę, zapytał głosem stłumionym:

— Czy to nie imaginacja twoja? hę? Możeż to być żebyśmy byli w takiem położeniu, które zagraża katastrofą? Człowiecze! ma foi, to niepodobieństwo. Cóż się tedy z tym ogromnym majątkiem stało?

Na twarzy starego wojskowego trwoga malowała się tak wyrazistemi rysy, iż Zenonowi żal się zrobiło biednego.

— Panie generale — odezwał się jąkając — ja nie powiadam żeby coś podobnego miało być blizkiem, niech Bóg uchowa, lecz przy zaniedbaniu, apatji tej, stracie czasu, końcu do najopłakańszych następstw przyjść może.

Książę Hugon odetchnął wolniej.

— Nastraszyłeś-bo mnie, ma foi, odezwał się — choć ci tego w imię twej dobrej dla nas woli nie mam za złe. Pan Bóg nie dopuści upaść poczciwej rodzinie, sumienie nasze czyste. Opatrzność zsyła próby, ale dłoń jej przychodzi w pomoc często w ostatniej godzinie. Jakoś to będzie, jakoś to będzie...

Zenon uśmiechnął się smutnie.

— Zkądże ci ten strach tak nagły? zapytał generał.

— Napędził mi go nieco wczoraj mecenas.

— A tak, i jam zaraz czuł, że to nie bez kozery być musi — przerwał książę. — Cóż to, czy co tak bardzo złego?

— Na dziś jeszcze nic, ale któż wie, co to sprowadzić może. Jakiś spekulant-kapitalista nabywa wierzytelność. Któż go tam wie, jakie ma zamiary?

— Jest na to rada?

— Byłaby jedna: znaleźć sto tysięcy i dług ten zaraz zapłacić.

— Sto tysięcy! wykrzyknął generał — sto tysięcy! suma sama przez się mało znacząca, ale ma foi, zkąd ją tak na razie wziąć?

— Zresztą, przerwał Zenon — panie generale, to nie o te sto tysięcy idzie, ale o to, że zacny nasz, kochany ks. Robert śpi, marzy, odpoczywa i o przyszłości nie myśli. Sądziłem że gdybyś pan generał energicznie jakoś przemówił...

Książę podrapał się w głowę, pokręcił wąsa i szepnął.

— Tak, ma foi, ja, energicznie do Roberta... o co? o to żeby sobie chomąt na szyję włożył — dobry jesteś, a! dobry jesteś! Znasz mnie widać doskonale i Roberta. Generał zaczął się śmiać jakoś smutnie. Ma foi, doskonały jesteś, trafiłeś wybornie! Mój panie Zenonie, mam lat prawda siedemdziesiąt, jednak nie zaschłem na mumią bez serca. Czyś ty co słyszał o tych tam wojskowych przygodach Roberta? hę? pewnie tak samo jak ja. Dorozumiewamy się co tam było. Człek nie odbolał, choć po spartańsku tego

lisa na piersi nosi, ale czuć że go jeszcze kąsa. Jakże tu przyjść i powiedzieć mu: poświęć się dla nas, żeby nam bażantów nie zabrakło, idź i oparzoną rękę kładź w ogień znowu. Ma foi, nie mam odwagi.

— A któż ją będzie miał? spytał Zenon.

— Tego nie wiem — mówił generał. — Ks. sufragan jej nie ma, ojciec z innych powodów nie chce go zmuszać...

— A zatem rzeczy in statu quo zostaną, do...

Zenon nie dokończył, a książę. któremu fajkę zgasła, poszedł ją spokojnie na swojem miejscu postawić. Zdaje się że bardzo mu było na rękę ukryć zarazem twarz, na której wrażenie doznane ślady bolesne zostawiło. Żurba siadł, czując, że myśl, z którą tu się wybrał była niezręczną, skoro skutku nie przyniosła. Pocóż księcia generała martwił daremnie? Miał to na sumieniu.

Jakiś czas trwało milczenie. Książę Hugon wciąż jeszcze fajki wedle prawideł nie mógł ustawić, ręka mu się trzęsła.

— Niech ci Bóg płaci, mój panie Zenonie, odezwał się nareszcie, odwracając się z twarzą pochmurzoną, za twoje dla nas serce. Teraz to są takie czasy, że każdy myśli tylko o sobie, w rodzinach nawet spójni niema, cóż dopiero między obcymi; więc gdy się na uczucie trafi, trzeba przed niem skłonić głowę, jak przed idącą świętością. Generał westchnął. — Wyście-bo, rzekł napół sam do siebie, całym rodem poczciwi i zacni ludzie, choć każdy po swojemu. Nie dziwię się twemu ojcu, bo to człowiek z tych czasów, gdy szanować a kochać nietylko było wolno, ale nakazano, nie dziwię pannie Antoninie, bo ona się z nami tu zrosła jak dziecię domu; ale w tobie, człowieku nowych pojęć i wychowania, ma foi, admiruję szlachetne uczucie tem bardziej, że cię tam uczono pewnie, aby je na gościńcu rzucić, jako niepotrzebny ciężar. Bóg ci zapłać. Ale słuchaj-no, panie Zenonie, gorączka jesteś. Co dziś pomoże mówić z ks. Robertem, kiedy za

parę godzin ów mecenas przybędzie dla podpisania aktu?

— Mnie też nie szło o zapobieżenie temu co nieuchronne, odparł Julian, lecz... lecz przy tej zręczności chciałem choćby groźbą rozbudzić ks. Roberta.

— A no, tak dobrze, tak dobrze, ma foi, odpowiedział generał, uderzając go po ramieniu. Budź, budź, ale...

Zamilkł stary; choć żołnierzowi, łza zakręciła się mu w oku. Pochodził po salonie, obejrzał się po zbrojach i wizerunkach... Nagle stanął, wyprostował się, twarz z chmurnej stała się jaśniejszą i poważną, jakby na nią blask rzuciło jakieś widzenie.

— Ale nie — zawołał — nie, to być nie może! My, nasz ród upaść nie może, to byłoby okrutnem, to byłoby niesprawiedliwem! Patrzże, mój Zenonie na rodzinę, na to gniazdo nasze, na ducha co nas ożywia; myśmy też na coś światu potrzebni. Mieliśmy, mamy posłannictwo ofiary, kapłaństwo cnoty i piękna — nie żyliśmy darmo, choć nas zowią próżniakami i darmozjadami. Jeżeliśmy nie pracowali dłonią, pracowaliśmy myślą, sercem, przewodniczyliśmy gdzie trzeba było. My jeszcze przecie coś do dziś dnia reprezentujemy, czego oprócz nas nikt nie potrafi; w naszych dłoniach arka tradycji.

Generał zapalał się, powtarzając co słyszał, czytał i w co wierzył najmocniej. Zenon słuchał z wyrozumiałością, z pewnem współczuciem, lecz nie zdawał się przekonanym, choć sprzeciwiać się nie widział potrzeby.

— Wszystko to prawda—zakończył wstając—a jednak, chcąc się na tem stanowisku utrzymać, potrzeba pracować. Gdy szeregi do boju idą, kto padł na ziemię, tego stratują konie.

Książę Hugon spojrzał nań bystro.

— Pracowaliśmy dopóki było można i sił stało, rzekł powoli, stare niedobitki szanują wszędzie. Co się tyczy Roberta, a no, niech Bóg szczęści! Lecz aby na niego podziałać, trzeba i wiele czasu i niemało

umiejętności. Eh—dodał w końcu—ja wierzę w Opatrzność! to lepsze od wszystkich naszych rozmów i rachuby. ma foi. My zginąć nie możemy!...

Po tych wyrazach, najlepiej malujących wiekuistą wrótkę, do której w Brańsku wszyscy byli nawykli, Zenon nie miał już co mówić. Spojrzał oknem: w pokojach ks. Roberta okiennice były otwarte, skłonił się generałowi i wyszedł.

O mil dziesięć od Nowego Brańska znajdowała się w małem miasteczku, które życie czerpało z przerzynającej je drogi handlowej, rezydencja ks. sufragana, w której on od lat już wielu zamieszkiwał. Wprawdzie miała nadzieję rodzina, że z tej skromnej tymczasowej, na wyższą dostojność kościelną posuniętym będzie przy pierwszym wakansie, lecz dotąd tak się wszystko nieszczęśliwie składało. iż ks. sufragan został zawiedzionym. Dla niego było to obojętnem. gdyż nie potrzebował niczego więcej nad ciszę i atmosferę pokoju, która go otaczała. ale dla książąt było to ważnem. bo sufragan, obfitsze mając środki. większą im mógłby być pomocą. W istocie całe jego życie było nieustanną troską o rodzinę, której wszystko poświęcał. Żył, można było powiedzieć. nią i dla niej tylko. Człowiek cichy, skromny, dobry. wiedział może lepiej niż wszyscy w jak groźnem położeniu zostawali. czynił co mógł, aby ich z niego podźwignąć, zawsze jednak naprożno. Obowiązki kapłana i biskupa, potem brata i opiekuna, zajmowały go wyłącznie. Trosk nie brakło, a one go tak, choć niestarego jeszcze, złamały i przygniotły, że zdrowie postradał i z trzech braci najmłodszy, prawie się najstarszym wydawał.

Szambelan, zdawszy interesa na syna. zwierzchność nad rodziną abdykował w ręce ks. biskupa, bo choć generała kochał bardzo, nie znajdował go zdolnym do pokierowania sprawami domu. W ważniejszych opierało się wszystko o ks. sufragana. zasięgano jego rady, żądano protekcji, kazano mu pisać listy, często nawet odbywać podróże. Poczciwy i gorliwy kapłan nie odmówił nigdy, a choć często z wielką ofiarą. spełniał co żądano, gryząc się jeśli niepowodzenie go spotkało. Naówczas w łzawej modlitwie szukał u ołtarza pociechy. Dusza to była czysta i mimo wieku młodzieńcza uczuciem a poświęceniem.

W rezydencji swej ks. biskup miał dom bardzo skromny, reprezentował jako naczelnik duchowieństwa w pewnych razach stan swój zmuszony był do okazalszego napozór życia, lecz w istocie żałował sobie, ujmował, skąpił, ograniczał się, ażeby mógł rodzinie pomagać. Szambelan, który niejasne miał pojęcie o położeniu brata, uciekał się doń często, czasem bardzo natarczywie, tak że ks. biskup nietylko co miał oddawał, ale nawet długi zaciągał, żeby rodzinie nie odmówić. Życie też jego było nietylko skromne, lecz można powiedzieć ubogie.

Ci co go nie znali, okrzyczeli go za skąpca i chciwego. Opowiadano o jakichś niezmiernych kapitałach, które po piwnicach gromadził. Zaciągane nawet długi, zdaniem wielu, były tylko pokrywką, dla pozornego okazania się ubogim.

Dom przeznaczony dla ks. sufragana stał nieopodal od kolegiaty i zdaleka mógł się wydawać bardzo pokaźnym, choć w istocie była to sklecona po pożarze z resztek starych murów kamieniczka, niewygodna, zimna i niesmaczna. Na dole jej mieszkał kapelan i dwóch wikarjuszów, mieściła się kancelarja; pierwsze piętro, dosyć obszerne, zajmował ks. biskup. A że okoliczni obywatele w pewne uroczystości zgromadzali się tu, niekiedy nawet bardzo licznie, i zwyczaj ka-

zał ich przyjmować — że się i duchowieństwo niekiedy zjeżdżało, kilka sal było nieuchronie potrzebnych.

Umeblowanie ich pochodziło jeszcze ze starego domu, ocalone od pożaru, w biało wytynkowanych apartamentach dziwacznie się wydając. Krzesła, niegdyś ozłocone i aksamitami pokryte, stoły z poobijaną pozłotą i lakierem, obrazy ogromne, zczerniałe, gdzieniegdzie krucyfiks lub relikwiarz, rzeźby drewniane i niezgrabne, szafy czarne, roboty jakiegoś domorosłego artysty, jako tako ubierały puste i chłodne komnaty ks. biskupa. O wygodzie nikt tu nie pomyślał, tem mniej o wdzięku. Służba też sufragana, ze starych ludzi, w większej części z Brańska pobranych, złożona, miała wprawdzie liberje, galony i wszystko co mieć była powinna, ale w stanie najopłakańszym. Tak samo wyglądała stara kareta i ogromne; chude, wypracowane konie, na które wkładano wyzłacane chomąta, aby sterczące pokryć kości.

Biskup przyjmował u siebie tylko gdy do tego był zmuszonym, żył zresztą zamknięty i pewnie mniej wygodnie, niż niejeden z wiejskich proboszczów. Narzekano powszechnie na jego kwaśne wino, chleb zgorzkniały i stół niesmaczny, przypisując skąpstwu to opuszczenie się i zaniedbanie. Gdy nikogo nie miał oprócz kapelana, ks. sufragan jadł co mu dano, a że ściśle postów pilnował i pół roku nietylko mięsa ale i masła na stole nie było, tylko zielony olej, którego zapachem przeszła sala jadalna, chorował potem i dyetą i klejkiem się leczył. Życie to było anachorety, a praca jakiejby nie każdy podołał: siła ducha go trzymała. Więcej w kościele niż w domu, na zimnie, w podróżach po parafiach, na różnych celebrach w okolicy, ks. sufragan nie miał nigdy czasu odetchnąć, chyba gdy na parę dni do Brańska pojechał.

Niezmiernie uprzejmy, grzeczny, nad potrzebę może pokorny i bojaźliwy, przy obejściu się nacechowanem najwyszukańszą delikatnością ks. biskup był milczący, smutny i można powiedzieć niedostępny dla

tych co z nim żyli. Człowieka w nim znała tylko rodzina, dla reszty był zawsze biskupem i pasterzem.

Zato obowiązki duchownego trudno żeby kto mógł spełniać gorliwiej. Trafiało się nieraz koło Wielkiej nocy, gdy do spowiedzi było wielu, w czasie odpustów, że z konfesionału ledwie mógł wynijść o swej mocy. Słabł czasem w zakrystji że go trzeźwiono i gwałtem do domu odprowadzano. Częstokroć, jeśli wikarjuszów i kapelana nie było, a w nocy zażądano do chorego kapłana, biegł sam po słocie i błocie do miasteczka... ani go powstrzymać było można. Odchorował czasem tę gorliwość, lecz na przyszłość ostrożniejszym nie był. Doktór mieszkający w miasteczku napróżno wymagał większego na siebie baczenia. Biskup mu pocichutku zawsze odpowiadał: — A waćpan to szanujesz się gdy do chorego powołują? Choćby i głową nałożyć przyszło, czyż to nie obowiązek? Najpiękniejsza śmierć żołnierza, gdy w boju padnie. Myśmy też Chrystusowi żołnierze.

Rzadko jednak tak długo się ks. biskup tłumaczył, nie lubił bowiem mówić i wymowy też nie miał. Wielka nieśmiałość niedozwalała mu nawet wstępować na kazalnicę, a w towarzystwie odzywał się pocichu, niewielu słowy, prędko, ażeby się co rychlej zbyć niemiłego obowiązku.

Łatwo się domyśleć, że człowieka jak ks. sufragan niewielu ocenić umiało; kochali go i szanowali bliżsi, lecz ogół widział w nim pospolitego człowieka i upierał się sądzić go jako nieznośnego skąpca. Mało też miał stosunków z obywatelstwem i niewiele czasu dla poufalszego z ludźmi obcowania. Niższe duchowieństwo czuło w nim ojca i pasterza, przywiązane doń było i prostotę obyczajów jego cenić umiało, — wyżsi dostojnicy stronili od niego i okazywali mu zimną tylko grzeczność. Ks. biskup mało się jednak o to troszczył i po za koło obowiązkami zakreślone nie wychodził.

Mieścina będąca rezydencją księcia, uboga dosyć i niepokaźna, izraelitami po większej części zalu-

dniona, smutnym była pobytem; ściągał do niej tylko obraz cudowny w kolegiacie, odpusty i nabożeństwa. W dnie te tłumy się zbiegały na kilkadziesiąt mil w koło i biskup ledwie swym obowiązkom mógł wydołać.

Właśnie w przededniu jednej z tych uroczystosci, gdy na sufraganii i około kolegiaty co żyło zajęte było przystrajaniem kościoła i przygotowaniami do święta, a ks. biskup z wikarjuszami i kapelanem umawiali się o program celebry, kazania i konfesjonały — na drodze od miasteczka wiodącej, nagiej i zwykle pustej, dostrzegł ks. Abłamski, kapelan biskupa, idącego ku domowi a rozglądającego się w około otyłego, barczystego, niemłodego mężczyznę, który zdawał się jako obcy rozpatrywać i szukać czegoś. Zaczepił nawet przechodzącego z obrusami zakrystjana, który mu drzwi sufraganii pokazał.

— Otóż ani chybi gość nie w porę — odezwał się ks. Abłamski — a tu tyle do czynienia! Jakiś znać obywatel zdaleka.

Biskup wyjrzał, gruby ów jegomość stał jeszcze, patrząc w koło.

— Nie wiem kto taki, nieznajomy mi.

Zaczęto tem pilniej umawiać się o summę jutrzejszą, o kolej mszy i kazania, gdy z przedpokoju nadszedł stary Grzegorz, kamerdyner ks. biskupa, siwy jak gołąb i przygarbiony, pytając czy jego ekscelencja zechce przyjąć pana hrabiego Mościńskiego.

Ks. sufragan podszegł ku niemu, pytając: kto? kto? powtórzył parę razy nazwisko i trochę mu się twarz rozpromieniła.

— A! a! wiem, prosić! zawołał — prosić! to nasz stary przyjaciel i koligat, tylkośmy się lat ze dwadzieścia z nim nie widzieli. Księże kapelanie, ułóżcie tam resztę, a mnie nie oszczędzajcie, bardzo proszę.

Domawiał tych słów, gdy hrabia Mościński się wtoczył, powoli ocierając pot z czoła. Poważna to była postać, szczególniej dobrą tuszą i rumianą, ogorzałą twarzą, z której patrzyło zadowolenie z siebie i ta pewność, jaką daje trzos dobrze nabity. Poznać w nim było łatwo jeśli nie magnata, to wielce zamożnego człowieka, który wszędzie pewnym był dobrego przyjęcia. Rysy twarzy nie były zbyt dystyngowane, dosyć nawet pospolite, lecz z oczu biła roztropność. Szerokie usta z mięsnemi wargami, pełne policzki, nos orli, podbródek zawiesisty, składały fizjognomią nie powabną, lecz dość sympatyczną. Strój staranny okazywał człowieka nawykłego do obracania się w towarzystwie, które doń przywiązuje pewną wagę; przytem pierścieni, łańcuchów, pieczątek i szpilek, bogatych było aż do zbytku.

Pan hrabia Mościński skłonił się nizko ekscelencji w progu, rozśmiał wesoło i podbiegł chwytając rękę, którą zaczął całować z zapałem i uczuciem niekłamanem.

— Wszakżeś mnie ks. biskup poznał? nie? zawołał — a! jakież to dla mnie szczęście, iż go oglądać mogę! Istny wypadek, bo, jak Bóg miły, nie wiedziałem nawet gdzie ks. biskup rezyduje. Jadącemu do Warszawy przypadł mi tu nocleg, bo jadę z familią, a córka mi trochę zasłabła; gospody porządnej ledwiem mógł dopytać, wszystko zajęte na jutrzejszy odpust. Ale to szczęście, bom chodząc dowiedział się o ks. biskupie, i ot, nogi jego całuję! nogi całuję!

To mówiąc, śmiał się uradowany, a biskup też ściskał go, cichutko coś szepcząc.

— Bardzom rad że pana hrabiego w dobrem zdrowiu oglądam. Od czasu jakeście nasze strony opuścili, ani słychu o was nie było.

— Bo to, księżę biskupie dobrodzieju — zawołał przybyły głosem ogromnym, rozchodzącym się dziwnie po pustem mieszkaniu — człowiek musiał pracować! Kupiłem znaczne dobra na Podolu, z długami, z małym groszem i w pocie czoła, w krwawym pocie, musiałem oszyszczać, dorabiać się. Byliśmy, jak wasza ekscelencja może sobie przypominasz, w nieciekawych interesach, po ojcu mi tylko zawikłane, ale Pan Bóg po-

błogosławił i teraz mojej jedynaczce zostawię parę milionków conajmniej.

Zatarł ręce hrabia, wyspowiadawszy się tak na poczekaniu niemal z całego życia.

— To tylko nieszczęście, że mi Pan Bóg syna odmówił — westchnął hrabia — jedna córka. Prawda że się nią pochlubić mogę i żem ją wychował jak królewskie dziecko, to mi wszyscy przyznają, i do stroju i do łoju, ani imieniowi naszemu koniec, chybaby mąż je do swojego przypiął.

To powiedziawszy, hrabia z czułością wielką jął znowu ściskać biskupa i wpatrywać się w niego, badając twarz tę dziwnie dlań wiekiem zmienioną. Na hrabi Mościńskim lata ten tylko ślad zostawiły, że szczupłego i drobnego chłopaka rozpasły, rozszerzyły, utuczyły do niepoznania; biskup przeciwnie skurczył się, zesechł i zdrobniał.

— A cóż się w Brańsku dzieje? o mój Boże! począł zaraz hrabia — czy wszyscy żywi i zdrowi? Przecież to my starzy słudzy książąt.

— I koligaci, dorzucił biskup, któremu, choć świętobliwemu kapłanowi, to milonowa jedynaczka zdawała się już przez Opatrzność zesłaną.

— Wielki to zaszczyt dla nas, którym się zawsze chlubimy, dodał hrabia. Jakże się ma książę szambelan, pan generał? Czy ks. Robert zawsze w wojsku? A księżniczka Stella wyszła zamąż? pewnie.

Biskup się zmieszał i oczy spuścił.

— Bardzo hrabiemu za pamięć dziękuję, szepnął — bratową świętą niewiastę straciliśmy. Szambelan postarzał, ale się trzyma, generał żyje i zdrów. Robert dawno już do domu powrócił!

Hrabia w ręce uderzył.

— Jakżebym to ja rad wszystkich zobaczyć! tylko trudno, trudno — córka mi w drodze zasłabła, a i tak nie była bardzo zdrowa; muszę do Warszawy pospieszać.

Biskupowi te dwa miliony ciągle się snuły po głowie.

— Czy nie lepiejby, panie hrabio, dać tu córce spocząć, mamy też bardzo dobrego lekarza. Jutro u nas odpust, pomodlilibyście się, a z Brańska spodziewam się jeśli nie wszystkich, bo szambelanowi ruszyć trudno, to przynajmniej kilku osób.

Spojrzał bojaźliwie na hrabiego, który się wciąż uśmiechał.

— Muszę się przyznać w. ekscelencji — rzekł głos zniżając — że moja jedynaczka, moja Alfonsynka, jedyne oko w głowie? zawojowała starego ojca; ona podróżą kieruje, ja jej służka, od niej zależy stać, jechać, spoczywać, a że jeszcze niebardzo zdrowa, więc już ani głosu podnieść nie śmiem. A! gdyby się Alfonsynka tylko zgodziła, jakżeby mi było miło służyć w. ekscelencji i dzionek tu jaki spędzić i pomodlić się, i poweselić i stare dzieje przypomnieć.

— To namówcie córkę, dla zdrowia! dla zdrowia! dodał biskup, sciskając rękę hrabiego.

— Będę próbował, odpowiedział hrabia.

W tej chwili trzech dziekanów weszło razem i biskup pośpieszył na ich przyjęcie, hrabia zamilkł i uczuł potrzebę wycofania się.

— Czegóż tak śpieszycie? spytał ks. sufragan.

— Bom tu wpadł istotnie jak Piłat w credo, rozśmiał się hrabia — nie chcę być zawadą.

— W każdym razie do zobaczenia, nieprawdaż? dodał biskup.

— Nie wyjadę, żebym rączek waszych nie ucałował, zawołał hrabia.

Nadciągające duchowieństwo zmusiło Podolaka do odwrotu.

Wielki odpust w małem miasteczku dla mieszkańców jest bardzo miłą uroczystością, lecz dla przejeżdżającego, który nań trafi wypadkiem, potrzebując wypoczynku, niespodzianką dosyć niewygodną. Dla licznego dworu, dla nawykłych do domowego komfortu, trudno tu było znaleźć właściwe pomieszczenie. To też ekwipaże hrabiego, kareta córki, kocz pana, bryka panien służących i kuchnia stały długo w pośrodku

rynku, skupiając koło siebie gawiedź ciekawą, nim kamerdynerowi udało się, powyrzucawszy różną drobną ludność i gospodarzy, urządzić nocleg znośny dla hrabianki Alfonsyny. Ojciec mógł się i najmniejszą ciupką zadowolić, jedynaczce trzeba było najmniej dwóch pokoi, a dwór i służba były także wymagające.

Izraelita, spodziewający się zarobku, zgodził się wreszcie na ustąpienie tylu izb ile było potrzeba, dał słowo że do zajazdu nikogo więcej nie wpuści i ekwipaże hrabiego mogły w końcu wtoczyć się do domu wykadzonego i umiecionego naprędce. Chwilę jeszcze trwało przybranie głównego pokoju przeznaczonego dla panny Alfonsyny, potem ona, Miss Burglife i panna Zwolska zajęły go, z widocznem jednak niezadowoleniem. Zdaniem zgodnem wszystkich pań czuć było stęchliznę. Hrabia i kamerdyner zaręczyli, iż nie mieli wyboru; zaczęto kadzić i okna otwierać, zasłano dywanik przed kanapą i jedynaczka zajęła na niej miejsce. W tejże chwili, szanując jej spoczynek, wszyscy, oprócz Burglife, na palcach wynieśli się do izby sąsiedniej. Hrabia dostał maleńką ciupkę, mocno podejrzaną o to że mogła być składem cebuli, którą tu silnie czuć było, i po chwili wyszedł na miasteczko, zkąd się dostał do sufraganii.

Panna Alfonsyna dwudziestoletnia córka hrabiego, która spoczęła na kanapce naprzeciw okna wychodzącego ku rynkowi i z pewnem politowaniem przypatrywała się pospólstwu kręcącemu się po nim, była w istocie osobą słabowitą, szczupłą, chudą, mizerną, wydawała się o wiele starszą od swej metryki.

Dość słusznego wzrostu, brunetka, z oczyma czarnemi, nie była ani piękną ani brzydką, co gorzej, mając lat ledwie dwadzieścia, nie wydawała się młodą. Znużenie malowało się na jej twarzyczce przedłużonej, pożółkłej, z wyrazem dosyć dumnym i pogardliwym. Uśmiech był na niej rzadkim bardzo gościem. Pomimo podróży, panna Alfonsyna ubrana była z jakimś niesmacznym wykwintem i okryta mnóstwem klejnocików i błyskotek.

Znać w nich było najpierwszych mistrzów Europy, każda rzecz pojedynczo wzięta mogła być śliczną, ale nagromadzenie ich było prawie śmieszne. Tak samo strój, od najlepszych modniarek odeskich, i ułożony był i dobrany bez smaku. P. Alfonsyna widocznie potrzebowała nawet w drodze okazywać, że jest milionową dziedziczką. Mnóstwo pudełeczek, skrzyneczek, woreczków, flakonów, poduszeczek, płaszczyków, szkatułek i torb zaczęto znosić i zarzucono niemi wszystkie stoły i krzesła. Służba niespokojna krzątała się i biegała, gdyż panna Zwolska rozgłosiła, że hrabianka czuła się zmęczoną i chorą. Chodzono na palcach i szeptano pocichu. Hrabia, widząc się chwilowo niepotrzebnym, wymknął się właśnie dla oglądu miejscowości. Miano herbatę podawać, gdy rozpromieniony powrócił.

— Alfoniu! kochanie moje — zawołał od progu, wystaw sobie...

— Niech pan hrabia mówi ciszej, panienkę głowa boli, przestrzegła Miss Burglife.

Hrabia natychmiast głos zniżył.

— Wystaw sobie na kogo ja tu trafiłem! Wszak tu rezyduje ks. sufragan, z książąt Brańskich, najmłodszy brat szambelana Norberta, mój... nasz krewny, a dobry rodziny naszej przyjaciel. Nie mogłem się wstrzymać i pobiegłem do niego: popłakaliśmy się jak bobry. Stary prosi abyśmy się jaki dzień zatrzymali w miasteczku; jutro tu odpust wielki i nabożeństwo, a podobno ktoś i z Brańska przyjedzie. Jabym ich tak widzieć pragnął!

Miss Burglife ruszyła ramionami, a panna Alfonsyna spojrzała na ojca z widocznem niezadowoleniem.

— Pan hrabia nie widzi chyba, odezwała się Angielka połamanym językiem — jak my tu stoimy. Przenocować z biedy będzie można, chociaż się lękam ażeby hrabiance ta stęchlizna nie szkodziła na piersi, dłuższy zaś pobyt...

— Co za szkoda! westchnął hrabia. Ci Brańscy,

książęta, to taką godna i miła rodzina, takbym pragnął z nimi odnowić znajomość! Biskup mnie przyjął jak brata.

To mówiąc, ojciec przysunął się do Alfonsyny i tak by miss Burglife nie słyszała, rzucił jej pocichu:

— Książę Robert, który dawniej służył w wojsku, jest jednym z najpiękniejszych młodzieńców, za którym szaleje większe towarzystwo, a nie żonaty, nie żonaty!

To mówiąc, chrząknął głośno. Alfonsyna spojrzała na ojca groźno. Hrabia onieśmielony odstąpił i poszedł do okna. Litując się nad niestosownością postępowania ojcowskiego, Miss Burglife ruszyła ramionami. Podano herbatę.

Gdy się to działo w gospodzie, a ks. sufragan z niespokojnem razem i wdzięcznem Bogu sercem szedł odprawiać uroczyste w kolegiacie nieszpory, zwykły kontyngens pobożnych, który zawsze na wielkie święta zwykł był przyjeżdżać z Brańska, zjawił się nareszcie. Koczyk czterokonny wiózł księcia generała, a bryka idąca za nim pana Wincentowicza, Burskiego (z legią honorową) i ks. Serafina. Było też we zwyczaju, iż z Brańska pożyczano na te dnie ks. sufraganowi wszystkiego czego mu brakło: srebra stołowego, bielizny, szkła, przywożono rybę, drób, masło i inne potrzeby kuchenne. I tym razem nic nie chybiło; bryka była pełna, a jechał na niej kredencerz Jacek. Księżniczka Stella przysłała prócz tego galarety, konfitury i soki. O jutrzejszy więc obiad, który kucharz z Brańska także miał gotować, mógł ks. sufragan być spokojnym. W progu domu wychodzącego przywitał generał pocałowaniem ręki.

— Jak się masz? Nie mam czasu, bo na nieszpory dzwonią — odezwał się biskup pośpiesznie, cichym głosem—to ci tylko powiem w dwóch słowach; w miasteczku wypadkiem nocuje hrabia Mościński, ten który się to był wyniósł na Podole. Jedzie z córką, jedynaczką, do Warszawy. Córka jak mi sam oświadczył, będzie miała parę milionów posagu. Powinieneś mnie zrozumieć; hrabia, jako powinowaty nasz, bardzo był ze mną czułym. Niech cię Bóg błogosławi!

To wymówiwszy pośpiesznie, ks. sufragan przywołał kapelana Abłamskiego, aby mu rękę podał i nie odwracając się już, drobnemi kroczkami pobiegł ku kolegiacie.

Generał stanął, uderzony tą wiadomością, w progu i na chwilę pozostał jak wryty. Potrzebował zebrać myśli. Oczywiście coś tu było do zrobienia, należało uczynić krok stanowczy, ale jak? Zbyt się narzucać nie wypadało, zaniedbać nie godziło. Generał spojrzał na swe ubranie podróżne, strzepnął pył, podumał, zadysponował tylko ludziom dokąd rzeczy znieść mieli i, jak stał, poszedł zaraz na miasto.

— Nie trzeba okoliczności zaniedbywać, rzekł. Dwumilionowa dziedziczka! jak ją tu umyślnie w porę Opatrzność zesłała. Pójdę do Mościńskiego się przypomnieć— zobaczymy!! Gdyby Robert mnie był posłuchał i przejechał się ze mną na odpust... ale nie, nie chciało mu się, ziewnął i wolał w domu pozostać.

Zszedłszy z grobelki wiodącej do miasta, u pierwszego żydka dopytał się łatwo generał, dokąd one państwo podróżne zajechało; znał doskonale zajazdy, poszedł więc bez wahania. W bramie gospody stał kamerdyner hrabiego. Kazał się zameldować. Słychać było wielki ruch w poblizkiej komnacie, drzwi się otworzyły i hrabia wzruszony, rozradowany, z roztwartemi rękami wybiegł, by wprowadzić pana gene-

rała. Tymczasem miss Burglife i panna Zwolska poprawiały ubranie na pannie Alfonsynie i na sobie, uprzątały tłomoczki podróżne... biegały, aby izbę jak najprzyzwoitszą uczynić na przyjęcie gościa.

— Cóż to za szczęście — począł książę generał. rzucając się w objęcia hrabiego — tylko co się dowiedziałem od brata. lecz co prędzej aby was złapać! Przedstaw-że mnie córce.

Panna Alfonsyna stała przed kanapą z dość wymuszoną postawą, z twarzą pochmurną, oczekując na zapowiedzianego księcia, lecz że słyszała o służbie wojskowej Roberta, a tu ją uderzył tytuł generalski przybyłego, była najpewniejszą, że zobaczy przed sobą młodego człowieka. Generał, ów zachwalony przez ojca ulubieniec wielkiego świata (o kawalerze maltańskim zapomniała), wydał się jej dziwnie starym. Zdumienie odmalowało się na jej twarzy, lecz ojciec zaprezentował księcia dobitnie i rozproszył wątpliwowości. Książę przywdział najwykwintniejszy swój uśmiech i przypomniał sobie dawne salony paryzkie, usiłując przybrać ton im właściwy.

— Przepraszam państwa najmocniej za tę napaść w chwili, gdy spoczynku potrzebujecie — zawołał siadając na podanem krześle; dowiedziałem się od brata mego ks. sufragana o bytności państwa i chciałem mieć to szczęście powitać kochanego kuzyna. złapać go choć w przejeździe. Bardzom szczęśliwy że mi się to udało. Ale pani zmęczona drogą!

— Alfonia moja niezdrowa — tak delikatna biedaczka, nerwowa, a tu drogę mieliśmy do przebycia piekielną.

— Na to doskonałą miałbym radę. Niewielebyście państwo zboczyli z drogi, zajeżdżając do Brańska, tam byłby wypoczynek wygodny, a moja bratanka księżniczka Stella miałaby prawdziwą przyjemność poznania kuzynki i troskliwego jej pielęgnowania.

Ojciec spojrzał ku córce błagająco prawie — niezmiernie mu się chciało zawieźć ją do Brańska, lecz sam ani się mógł odważyć zaproponować, czekał

wskazówki od najukochańszego dziecka. Miss Burglife oczy miała spuszczone na końce rękawiczek, któremi się bawiła, panna Alfonsyna milczała długo. Nastatek głos suchy, chłodny, wymuszony dobył się z ust jedynaczki:

— Tylebyśmy księztwu zrobili subjekcji..

Był to znak bardzo dobry.

— Hrabianko dobrodziejko, przerwał generał. subjekcji najmniejszej; pałac w Brańsku może państwu bez uszczerbku dla swych mieszkańców ofiarować dziesięć pokojów na cały rok. Jesteśmy urządzeni na wsi tak, że nam choćby kilkanaście osób przybyłych żadnej nie czyni różnicy. Ma foi! księżniczka Stella miałaby towarzystwo, Brańsk by się ożywił, pani mogłabyś po nużącej podróży wypocząć. Jestem natarczywy — dodał generał, ale mam do tego pewne prawo będąc krewnym.

Hrabia, który znał dobrze córkę, łatwo dostrzegł iż odwiedziny u księztwa wcale jej wstrętliwe nie były, drożyła się tylko jeszcze; ojciec więc mógł śmiało teraz użyć swej powagi, wiedząc że mu ani córka ani miss Burglife wyrzucać nie będą nieprzyzwoitego znalezienia się.

— Mości książę — odezwał się — pokusa to dla nas wielka, ale obawa zarazem nadużycia ich łaskawych względów... Musiemy się namyśleć do jutra. Bardzobyśmy radzi korzystać z jedynej może sposobności zbliżenia się i poznania tak czcigodnego domu.

Generał wstał poczciwego hrabiego uściskać i pocałował w rękę wysznurowaną Alfonsynę, — czuł że wygrał sprawę i był bardzo szczęśliwy. Zaczęła się rozmowa urywana, wesoła w którą kiedy niekiedy sztywne słówko wrzuciła hrabianka. a że książę generał jakimś instynktem grzecznym był bardzo i dla miss Burglife, jakby przeczuwając wpływ jej przeważny w rodzinie, udało mu się pozyskać sobie wszystkich. Blask książęcego imienia, miłe obejście generała humor jego żołnierski, który z rubasznem nieco usposobieniem hrabiego się zgadzał, wszystko to razem przy-

czyniło się do wyjścia zwycięzkiego z próby, do której największą przywiązywał wagę. Nie był wprawdzie na nieszporach z tego powodu, gdyż się zbyt długo zabawił w gospodzie, ale i Pan Bóg, i ks. sufragan musieli mu to przebaczyć, poświęcił się bowiem dla dobra rodziny.

Gdy w końcu dobiwszy targu i uzyskawszy słowo hrabiego i hrabianki, że przez jutro spocząwszy w miasteczku, pojutrze udadzą się z nim razem do Brańska — wyszedł tryumfujący z gospody, dążąc conajprędzej na sufraganią — można go było sądzić o lat dziesięć odmłodzonym, tak raźno kroczył i wysoko niósł głowę. Nie ulegało już wątpliwości dla niego, iż Robert potrafi się podobać, że Alfonsyna zostanie podbitą i że miliony poczciwego hrabiego uratują dom książęcy od upadku.

Ażeby to wszystko przyprowadzić do skutku, książe generał wiedział dobrze iż potrzeba było olśnić, wystąpić pańsko, pokazać się w jak najlepszem świetle, a nie dopuścić ażeby hrabia zasięgał nazbyt szczegółowych wiadomości z boku o stanie majątkowym Brańskich. Należało natychmiast uprzedzić brata i synowca, aby ich te odwiedziny niby niespodziewane, nie pochwyciły wszakże nieprzygotowanymi.

Dobiegłszy do sufraganii, generał zastał już brata odpoczywającego po nieszporach. W sali zebrane było liczne duchowieństwo, które ks. Abłamski w zastępstwie zmęczonego biskupa przyjmował. Książę prześlizgnął się tylko przez nią i pośpieszył do brata promieniejący.

— Księże biskupie dobrodzieju! zawołał — każ mi dać pióro i kałamarz, muszę natychmiast pisać do Roberta do Brańska. Udało mi się uprosić hrabiego i hrabiankę.

— Mój drogi, jakże ta jedynaczka wygląda? spytał niespokojnie sufragan. Czy nie ułomna?

Generał chwilę się namyślał.

— Ułomną nie jest, szepnął, ale ma foi, bardzo powabną także nie. No! dziedziczka dwóch milionów

nie potrzebuje wdzięków. Znać tylko, że trochę rozpieszczona. Ma przy sobie jakąż Angielkę, która tam, jak się zdaje, fait la pluie et le beau temps. Tem lepiej, osoby tego rodzaju zyskują się zwykle grzecznością i podarunkami. Ojciec ma się za najszczęśliwszego że do Brańska jedzie. Niepodobna wszakże by nas schwycili tak à l' improviste, trzeba Roberta uprzedzić. A! gdyby on tylko chciał mieć rozum!

— Pomodlimy się na tę intencją — z głęboką wiarą odezwał się biskup; tu widocznie jest ręka Opatrzności. In te speravi, Domine, non confundar in aeternum. Wszystko to nosi cechę nadzwyczajności, widoczna łaska Boża nad domem naszym.

— Ja to widzę, powtórzył generał — ja w to wierzę, ale zarazem muszę uczynić co po ludzku należy zrobić, aby dobry skutek zapewnić. Na całą noc wysyłam posłańca do Brańska, niech się trochę przygotują.

Ks. sufragan sam poszedł szukać pióra i kałamarza, zadzwonił o świecę, posadził księcia generała i wyślizgnął się do duchowieństwa, aby mu nie przeszkadzać. Książę Hugon siadł i następujący list wystylizował do ks. Roberta:

„Cher Prince! — Nadzwyczajny a bardzo szczęśliwy, zdaniem ks. sufragana i mojem, skład okoliczności zmusza mnie zamącić błogi twój spokój zawiadomieniem, iż pojutrze we środę przywiozę gości do Brańska. Goście to pożądani, których powinniśmy przyjąć avec toute la cordialité possible, avec une hospitalité princière. Zrozumiesz mnie gdy ci powiem że wiozę złapanych na drodze hrabiego Mościńskiego, un bonhomme deux fois millionnaire, kuzynka naszego, a ojca córki jedynaczki. C'est tout dire! Mój drogi Robercie w tobie nadzieja że tę dziedziczkę pięknego mienia i dobrego imienia potrafisz zachęcić, aby na dłuższy pobyt wróciła do Brańska. Je vous conjure, et somme au bésoin, abyś list mój szambelanowi prze-

czytał. Czekajcie na nas pojutrze, a jeśli można (nie rozumiem w takim razie nieprawdopodobieństwa) rozstawcie konie, tak żeby w karczmach zabielskich było najmniej piętnaście pod ekwipaże hrabiego. Konie muszą być jaknajlepsze, uprzęże i służba, którejbyśmy się niewstydzili. Dla hrabiego i hrabianki apartament gościnny na dole niech panna Antonina wyświeży i uczyni jaknajbardziej eleganckim. Panna lubi błyskotki i wytworność, jest delikatna, potrzebuje wygód. W jej towarzystwie jedzie nauczycielka, ulubiona ojcu i córce, od której wiele bardzo zależy. Dla niej pokój jaknajwygodniejszy — comfortable. Śpieszę z wyprawieniem listu tego, a obawiam się bym o czem ważnem nie zapomniał; zaklinam cię abyś sobie mych prośb nie lekceważył. Ks. sufragan łączy prośby swe do moich. Cher Robert, ważność tej chwili i tego wypadku nie jest chorobliwem marzeniem starego kawalera maltańskiego c'est une réalité. Spodziewam się że zechcesz to zrozumieć i ściskam cię serdecznie.

List tejże nocy wyprawionym został do Brańska.

Książę Robert siedział w swoim pokoju, przy oknie napół zasłoniętem firanką, w wygodnym fotelu, z książką w ręku, której nie czytał. Od pół godziny oczy miał wlepione w przeciwległą ścianę i gasnące w ustach cygaro, kiedy niekiedy pociągając dym, machinalnie rozniecał.

Naprzeciw niego na stoliku leżał wyjęty z zamczystej szuflady biura portret kobiety, oprawny w he-

banową ramę, dzieło niepospolitego artysty, przedstawiające jeden z tych ideałów wielkiego świata, co oczyma zdają się mówić o nieśmiertelności, ustami obiecywać niebiosa, tęsknotą rozlaną na licu unosić poza światy, od których czarodziejskiego wdzięku wzroku oderwać nie można, a które często są ironią natury, lub marą i widziadłem tylko tego, co nigdy nie zstąpi na ziemię. Oblicze to było bez skazy, twarz w której natura i sztuka zamknęły co najdoskonalszego wydać mogły; dziewiczą niewinność i powagę uroczystą, wdzięk młodości i rozum doświadczenia, wesołość smętną i tęsknotę zrezygnowaną.

Nie można się było dziwić człowiekowi który się poił urokiem tego anielskiego oblicza, mającego coś z Monny Lizy Leonarda i Madonny Rafaela. Posępny wzrok Roberta wlepiony w te rysy, których chwilę przemijającą uwiecznił artysta, zdawał się pytać z goryczą: Czemu kłamiecie? czemuście całe życie kłamały? czemu tego co Bóg dał wam z siebie nie umiałyście utrzymać i rozwinąć? dlaczego anioł stał się szatanem i zdrajcą?

Robert patrzył i dumał, smutnem okiem tonął w tych licach tak pięknych i odrywał się od nich, spoglądając w dal, jakby chciał czarodziejki zapomnieć. Nagle zwyciężając własną słabość, pochwycił obraz, rzucił go w szufladę między papiery, zamknął je na klucz ruchem gwałtownym, wstał i począł się przechadzać po pokuju.

Było to powtórzeniem prawie codziennej walki ze wspomnieniami przeszłości jeszcze nie zapomnianej, zawsze boleśnie przytomnej. Codzień niemal książę Robert zaprzysięgał się że już tego biurka nie otworzy, że obraz ten zniszczy, że w sobie namiętności niezgaszonej jeszcze podżegać nie będzie: i codzień powracał upokorzony do zatrutego napoju.

Ta godzina dnia była dlań męczarnią zarazem i jedyną rozkoszą; zbliżając się czuł, walczył, opierał się jej i ulegał słabości. Chwytał portret, łzy stawały mu w oczach, uśmiechał się do niego, trzymał go

rękami drżącemi... Było to pierwsze spotkanie, może pierwsze wyrzeczone słowo; potem zasępiało się czoło, przesuwała cała tragedya owej miłości przed oczyma duszy, mroczyły rysy anielskie, chmurzyły powieki. Odtrącał wizerunek i żegnał go, aż do jutra.

Nie patrząc nań, nosił go ciągle w duszy.

Zatrzaskiwał biuro właśnie gdy wszedł Zenon Żurba. Nawykły do kłamania twarzą spokoju, książę Robert przybrał natychmiast fizjognomią, obojętną i jasną; trudno było odgadnąć, że przed chwilą jeszcze ściągała ją boleść i wilżyły ją łzy.

Zenon zmierzył księcia wzrokiem badawczym; przychodził napozór wesoły, z zapasem dobrego humoru. z zamiarem rozbudzenia do życia.

— A, że też książę możesz w tak piękne dnie letnie wytrzymać tak zamknięty, z tą nieszczęsną książką.

Spojrzał w otwartą, był to Gil Blas. Uśmiechnął się.

— Który to raz książę czyta to arcydzieło?

— Żartuj zdrów, arcydziełem on jest, a czytałem go tyle może razy, ile Don Quichotta, i Pawła i Wirginią i Djabła kulawego, i... Homera.

— Jakto? razem Diabeł kulawy i Homer?

— Każdy w swoim rodzaju.

— Ale bo mnie się zdaje — z przeproszeniem, odezwał się Zenon, że książę czytasz tak, jakbyś grał w bilard, byle coś robić i czas zabić.

— Być może, czas zabić! masz słuszność.

— Lub zabić w sobie jakieś pragnienie i myśli.

— Ja pragnień nie mam żadnych. Cóż chcesz? odparł uśmiechając się książę — jestem zupełnie szczęśliwy, nic mi nie brakuje, czegóżbym mógł pragnąć?

Zenon zżymnął się.

— Książę nawet ze mną nie chcesz być szczerym, ale się nudzisz okrutnie.

— Sądzisz? spytał Robert. Może! Nie zaprzeczam, ale my się życiem w ogóle wszyscy albo męczymy, albo nudzimy. Z tego dwojga wyjść nie można.

— Jakto? niema trzeciego nic?

— Zdaje mi się że niema.

— W młodości przecie poimy się, rzekł Zenon.

— A długoż trwa ten stan wyjątkowy? odparł książę. Przepraszam cię, to nie jest rzeczywistość, to chwila rozgorączkowania, on en revient, i reszta żywota znużenie lub nudy, nudy lub znużenie.

— Czyś książę zawsze tak się na świat zapatrywał? dodał Zenon, badając go oczyma.

— Od czasu jakem się wytrzeźwił, zawsze.

— A nie żałowałeś upojenia? mówił nieznużony inkwirent.

— Czegóżby to dowodziło? można żałować i marzeń gorączkowych, a niemniej uznawać je za stan chorobliwy. Daj mi pokój, Zenonie; taka anatomia na żywym człowieku, jaką ty lubisz się zabawiać, ażeby się nie nudzić, mnie, przyznam ci się — męczy. Krajesz mnie jak nożem. Może ci się chcieć być Galvanim, ale ja nie życzę sobie być żabą.

— Ale, mości książę, kłaniając się z pokorą nieco komiczną, począł Zenon — ja doprawdy nie przez egoizm dopuszczam się tych studyów, które księciu zdają się być przykremi. Proszę mi wierzyć iż pobudką do nich jest coś więcej niż próżna ciekawość. Ja bym pragnął być nadwornym lekarzem w. ks. mości.

Książę Robert podszedł do niego z uśmiechem łagodnym, objął go i pocałował w czoło.

— Mój ty dobry Zenonie, są choroby chroniczne, które się nieuleczonemi stają; dajmy temu pokój. Mów co wesołego, rozerwiemy się, zapomnimy.

— Mości książę, daruj, nie mogę się nastroić do tego tonu, choć raz pomówmy serjo. Gniewaj się, ale posłuchaj.

— Nudzisz mnie!

Znowu ręce załamał, książę spojrzał nań, ulitował się i dodał szybko.

— Już cię nie wstrzymuję, mów; bywasz czasem dziwnie uparty, słucham. Na to niema rady.

— Książę się nudzisz, sam się przyznajesz do tego —mówił Zenon. Zdaje się księciu iż te nudy są w jego naturze. W tem omyłka, ich przyczyna leży w atmosferze otaczającej, w djecie duchowej, w braku zatrudnienia. Goethe, gdy się zestarzał a obawiał zachorować na przeżycie, został namiętnym geologiem i pokazując na zbierane kamienie, mówił że to jest balast jego życia. Trzeba się o balast postarać. Zostań książę entomologiem, antykwarzem, naturalistą, czem chcesz, a przysięgam że się nie będziesz nudził.

— Rada doskonała — uśmiechnął się ks. Robert, coś nakształt tego, jakbyś powiedział ślepemu, aby się poświęcił malarstwu. Do pracy potrzeba sił, do roznamiętnienia się potrzeba ognia, a w kim pierwsze się wyczerpały, drugie zagasło?...

— Trzeba zdobyć pierwsze a drugie wskrzesić, zawołał Zonon, ale najprzód trzeba chcieć!

— Voilà! masz zupełną słuszność na nieszczęście ta wola, jest to jedyna rzecz której człowiek nabyć nie może, gdy ją raz utraci; sprężyna ta pękła!

— Nieprawda! zaprzeczył niegrzecznie Zenon, opieram się temu, nego, trzeba chcieć mieć wolę, a będzie.

Książę Robert zaczął się śmiać jakimś dziwnym, przymuszonym śmiechem, w którym tylko znać było iż rad był jakimkolwiek sposobem rozmowę nieznośną skrócić i odwrócić. Chodził po pokoju, poprawiał sprzęty, zsuwał książki, zdmuchiwał pyły. układał na stoliku niecierpliwie, ale twarz zachował spokojną jak zawsze i uśmiechniętą łagodnie. Dla odwrócenia może uwagi Zenona w tę stronę, począł oknem wyglądać w dziedziniec i nagle przyłożył szkiełko do oczów.

— Co to jest? posłaniec z listem z miasteczka? Co to może być?

Krótka chwila upłynęła w milczeniu. służący księcia wszedł z listem na tacce. Ks. Robert spojrzał na kopertą niespokojny, poznał rękę generała i odpieczętował szybko. Zenon, odstąpiwszy na kilka kroków, poglądał obojętnie. Twarz czytającego powlokła się chmurą. usta skrzywiły, czoło pomarszczyło. Rzucił list na stół i począł się przechadzać po pokoju, zaciąwszy wargi, co było u niego oznaką największego niezadowolenia.

Na skinienie że odpowiedź niepotrzebna, służący wyszedł.

— Patrz-że no, przeczytaj jeśli chcesz — odezwał się książę — to prawdziwa fatalność! Człowiek tu nigdy spokoju mieć nie może, drzwi się nie zamykają. Znowu goście, i goście niepospolici. Generałowi udało się polowanie.

Podał list Zenonowi, któremu oczy błysnęły radością.

— Mości książę, zawołał — nakoniec i mnie przyjdzie uwierzyć w cuda! ależ to prawdziwy cud! Dziedziczka która erat in votis, przyjeżdża nam sama na grunt, tylko się schylić aby ją wziąć. Na uczciwość, mości książę, nie rozumiem...

— Ale bo ty mnie nigdy nie zrozumiesz — tracąc cierpliwość rzekł Robert, ja niczego nie chcę, niczego nie pragnę, oprócz spokoju.

— To wnijdź do klasztoru — odparł Zenon. Spokoju na świecie niema, a kto go żąda, chce rzeczy niemożliwej. Książę pragniesz ideałów, trzeba się ich wyrzec, a poślubić rzeczywistość jaka jest i z której jarzma wyłamywać się nikt nie ma prawa. Tak, mości książę — dodał, nie trzeba się łudzić, trzeba przestać marzyć, książę się musisz ożenić i ożenić bogato dla ocalenia rodziny, która innego ratunku nie rozumie i znaleźć nie potrafi. Surowe to są wyrazy z mojej strony, lecz podyktowane prawdziwą dla ich domu miłością i poszanowaniem. W innym składzie okoliczności powiedziałbym księciu: zostań wolnym, zostań przy małem, chodźmy, pracujmy, a odrodzi cię praca, da ci zdrowie duszy, będziesz szczęśliwym. Niestety! książę nie jesteś sam, miłość dla rodziny zmusza cię do ofiary fałszywym może, ale poszanowania godnym pojęciom. Niema więc wyboru, ofiarę z siebie musisz

uczynić, trzeba ją podjąć mężnem sercem i wesołą twarzą.

Zenon mówił z zapałem, książę Robert słuchając go pobladł; zdawało się że się rozgniewa, łzy stanęły mu w oczach, wyprostował się, podniósł głowę, potem milczący podszedł do przyjaciela i uścisnął go serdecznie.

— Masz słuszność, zawołał głosem stłumionym, jesteś mi prawdziwym przyjacielem. Dosyć, zrozumiałem cię. Stokroć ci dziękuję, oszczędziłeś mi głupiej i niepotrzebnej walki. Idę do ojca.

To mówiąc, wyjął list generała i z nim pospieszył do szambelana.

Oddawna Brańsk nie wyglądał tak świetnie, jak na przyjęcie hrabiego Mościńskiego; szambelan zrozumiał, że to mogła być dla nich chwila stanowcza, z kolei więc kazał do siebie wołać wszystkich, którzy mu dopomódz mieli do tego wystąpienia. On sam, obciążony wiekiem, a więcej jeszcze nawyknieniem do obrachowania regularnego życia, niczem się zajmować nie mógł, nie mieszał się też zwykle do niczego; na ten raz jednak przełamał nieczynność, chciał własnemi usty, których każde słowo było tu prawem i rozkazem skłonić otaczających, aby mu nie zrobili wstydu, Obudziło też to niesłychaną gorliwość.

Szambelan nadto był i dumnym i nawykłym do pewnych form, aby się komu z myśli swych miał zwierzać; łatwo zresztą odgadywano o co chodziło; nie mówiąc dlaczego, przesadzali się wszyscy w staraniach, aby Brańsk w dawnym się blasku okazał. Czas był nadzwyczaj krótki, ale też tu starych zasobów nie brakło, szło tylko o umiejętne ich użycie. W tej chwili prawie gdy Robert poszedł z listem do ojca, zrezygnowany odegrać swą rolę z całym talentem na jaki się mógł zdobyć, poruszyło się co we dworze żyło.

Generał, w godzinę po wyprawieniu pierwszego posłańca, zmiarkował iż i Wincentowicz i inni ludzie, pożyczeni na odpust ks. sufraganowi mogli być w Brańsku potrzebni, rozmówił się więc z biskupem, oddzielono tych bez których się obejść było można i posłano ich na całą noc do domu. Z miasteczka wysłał generał co tylko zdało mu się jeszcze potrzebnem. W parę też godzin po posłańcu przybyła niespodziana owa pomoc z miasteczka, wielce błogosławiona. bo Wincentowicz był w takich wypadkach prawdziwym totumfackim, a nagłość podwajała jego krętaninę i czyniła go niezmordowanym. Przyjechał i mniej czynny daleko Burski, którym także nieco się posłużyć było można. Panna Marcjanna przelękniona wzięła się do kuchni i apteczki, panna Antonina podjęła się urządzić pokoje dla hrabianki. Nawet księżniczka Stella biegała do ojca. do brata, zasięgając rady, wymyślając co tylko mogła, ogałacając swoje pokoiki, byle hrabiance jej mieszkanie jak najwytworniej przystroić. Zenon stawił się po rozkazy ks. Roberta. który raz powiedziawszy sobie że powinien się poświęcić, do niepoznania się zmienił. Było coś bolesnego w tem jego poddaniu się nakazom losu, z twarzą spokojną, z łagodnym uśmiechem, z obojętnością skazanego, który wie iż go wyrok minąć nie może.

Nazajutrz około południa wszystko było w gotowości zupełnej; drobnych rzeczy których braknąć mogło dostarczą Żurbowie, mając dom po szlachecku zapaśny.

Szambelan, który rzadko i to w oznaczonych godzinach, po pewnych ścieżkach się przechadzał, wyszedł o lasce w porze niezwykłej, aby obejrzeć wszystko. Starzec niespokojny był widocznie, choć go ca-

ła rodzina upewniała iż się Brańsk nie powstydzi przed gośćmi. Wśród tego zamętu, piękna, spokojna twarzyczka marmurowa księżniczki Stelli była tak kochaną przez wszystkich bez wyjątku, iż na jej rozkaz każdyby w ogień się rzucił. I była tego uwielbienia godną, bo istotnie można ją było nazwać gwiazdą rodziny i dobrym jej aniołem. Tylko jak anioły co śpiewają w niebiosach, nie patrząc na ziemię, księżniczka obcą była ziemskim sprawom tego świata: żyła sobie muzyką, poezją, marzeniem, przyjaźnią Antoniny, ukochanym bratem, ojcem, w niezamąconej niczem atmosferze błogiego szczęścia, ani się domyślając czem życie i los grozić mogły.

A któżby też był śmiał rozbudzić ją z tych snów czarownych? Była to istota szczęśliwa nieświadoma niebezpieczeństwa. Wychowana w domu, znając ludzi tylko z wybranych książek i podobnych do bronzowych lub porcelanowych statuetek na konsolce salonu — wyobrażała sobie naiwnie, iż wszyscy byli tacy, jak ci z którymi żyła.

Jakby dla kontrastu, obok niej stała panna Antonina Żurbianka, wychowana z nią razem, lecz pośredniem swem położeniem między dworkiem dzierżawcy a pałacem książęcym o wiele więcej wtajemniczona w świat i to co się na nim dziać zwykło. Żywa, dowcipna, ciekawa, zręczna, umiejąca się do wszelkiego towarzystwa zastosować, ukryć w sobie uczucie, panna Antonina nie rozczarowywała przyjaciółki, choć sama o wiele inaczej zapatrywała się na wszystko, kochała ją i jak troskliwa siostrzyczka u kolebki młodszego dziecięcia, nie budziła jej niepotrzebnie i przed czasem, szanowała to dziewicze życie, ten kwiat, który i tak zaprędko lada powiew wiatru mógł zwarzyć.

Była to nieodstępna towarzyszka, prawa ręka księżniczki Stelli, powiernica wszystkich jej myśli, anioł-stróż, co strzegł, by jaki zatruty oddech na piękne oblicze jej wionął. Stella wcale nie wiedziała o planach w górze osnutych, widziała tylko w tem

przyjęciu przybycie nowej przyjaciółki, uciechę serca niezmierną, radość duszy nową i pożądaną.

Bukietami przystrojono pokój Alfonsyny i obok drugi dla miss Burglife. Stella rada była temu zajęciu, w którem jej Antonina dopomagała.

— Czy też ty wiesz, moja droga — odezwała się nagle księżniczka do przyjaciółki, ustawiając ostatnie bukiety na konsolach — co mnie za dziwaczna myśl przychodzi? Wystaw sobie, gdyby się Robert w tej Alfonsynie zakochał, a ona w nim. Ach, jakby to było ślicznie! Robert się nudzi, wszyscy mówią, że gdyby się ożenił, byłby szczęśliwszym. Alfonsyna jest miłą, dobrze wychowaną, pewnie ładną, dobrego urodzenia, byłoby to małżeństwo ze wszech miar stosowne. A takiebyśmy mieli śliczne wesele!

Antonina z ironicznym pół-uśmieszkiem zwróciła się ku księżniczce, zarumieniła się nieco i westchnęła.

— I mnie to na myśl przychodziło — szepnęła; w istocie, rzecz naturalna i bardzo możliwa. Przyznam się nawet, że biegałam do Wincentowicza spytać, czy on też widział hrabiankę, czy nie słyszał jak wygląda.

— A cóż on powiada? ozwała się księżniczka.

— Nie mógł jej widzieć, bo tego dnia nie wychodziła, była zmęczoną, ale generał mówił, qu'elle a un air très distingué.

— Très distingué? spytała księżniczka — no? jakże ci się zdaje? co to ma znaczyć?

Antonina roześmiała się.

— Ja nie wiem — rzekła — tylko... tylko mi się zdaje, że bardzo ładną być nie musi. Gdy kogo tak pochwalą, to pewnie że inaczej nie można o nim powiedzieć.

— Ale cóż tam ta nasza piękność znaczy! zawołała Stella — czyż ona trwa długo? Byle była dobrą i łagodną.

Na tem przerwała się rozmowa o hrabiance, z różnemi waryantami powtarzana po wszystkich dworu kątach, bo choć nikt niby nic nie wiedział, domy-

ślali się wszyscy jakichś planów osnutych. Wincentowicz szedł dalej niż inni, widział on w tym przypadku rękę i niezmierną przebiegłość ks. sufragana.

— To, mosanie, polityk jest, jak rzadko! mówił do Burskiego. On milczy, kuli się, niby nic nie znaczy i do niczego się nie miesza, ale to, mosanie, głęboki człowiek, powiadam panu, dyplomata. Jemu mistrzem być! on tu u nas niewidzialnie wszystkiem kieruje — to jego sprawa. Dyplomata, mosanie! Ukartował tak, że wszystko się niby najnaturalniej złożyło i sprężyn tajemnych ani widać. Ja jego znam. Statysta jakich mało. Nie można powiedzieć, szambelan ma rozum wielki, ministerjalny. Generał nasz poczciwy też nielada człek; ale ks. sufragan, to orzeł familii. Bez niegobyśmy już pono dawno cienko śpiewali. To jego robota i zaraz znać, bo rozumna i jak z płatka.

Wieczorem już czekano trochę na zapowiedzianych gości, bo konie rozstawne i ze dworu i od Żurbów zostały wysłane do zabielskich karczem. Lecz nim jeszcze hrabia z córką nadjechał, niecierpliwy generał, nająwszy pocztowe konie, uprzedził ich o godzinę. Nie zachodząc do siebie nawet, pośpieszył do szambelana, który w swem krześle ubrany, wypudrowany, wyświeżony, nie okazując niecierpliwości, ciągle wszakże spoglądał na zegarek. Bracia przywitali się uściskiem.

— Mój Hugonie, Bóg ci zapłać, Bóg zapłać; ale powiedz-że mi, jak to tam wygląda? zaczął szambelan.

— A no, nieźle, wcale nieźle — szybko odpowiedział generał — byle Robert miał rozum, może się coś dobrego ułożyć. Ja nie lubię zbyt pięknych kobiet, nadto się kochają w sobie. Hrabianka wcale brzydką nie jest, piękną też nie; delikatna, trochę sztywna, znać manierę od guwernantki Angielki nabrała, lecz to się rozkrochmali. Ojciec choć do rany przyłożyć.

— Toć go znamy, przerwał szambelan.

— Znaliśmy go młodym człowiekiem, a wyrósł na dobrego potulnego służkę ukochanego dziecięcia. Za

nos go wodzą, jak chcą. Ale to dobrze, to bardzo dobrze — dodał optymista. Zrobi zawsze co mu córka każe. Wszystko zależy od tego, jak się Robert znajdzie i spodoba. Angielkę trzeba bardzo manežować.

To mówiąc i uścisnąwszy brata, generał poszedł się przebrać, bo zamierzał także wystąpić paradnie i gdyby to nie było śmiesznością, byłby pewnie przywdział swój pąsowy ze złotem, srebrem i aksamitem mundur komandorski. Na ten raz jednak gwiazda na czarnym surducie wystarczyć musiała.

Szambelan, lada chwila spodziewając się już przybycia gości, wyszedł do sali i siadł w fotelu, każąc prosić Roberta do siebie. Obawiał się bardzo z jego strony lekceważenia lub zaniedbania. Robert wszakże zrozumiał swój obowiązek, przemógł niesmak i wstręt jaki to w nim wzbudzało i ukazał się ubrany z wielkiem staraniem, odmłodzony, piękny, tak że go ojciec uradowany, nic nie mówiąc, uścisnął. Robertowi jakby łza zamgliła oko, ale nie wytrysła.

Nagle zaczęły się dawać słyszeć często powtarzane wystrzały z batów woźnic, którzy już przed ganek zajeżdżali, i rozruch w domu; księżniczka Stella z Antoniną przybiegła do ojca, wszedł i Zenon. Generał, prędko się przeodziawszy, powitał gości w ganku i wprowadził.

O rozgłośnem przywitaniu hrabiego z szambelanem mówić nie potrzebujemy. Oczy wszystkich przytomnych skierowane były na wchodzącą krokiem mierzonym, wystrojoną niezmiernie, bardzo bogato i nader niesmacznie hrabiankę Alfonsynę. Żółta jej twarzyczka w tej chwili wydawała się jeszcze bardziej cytrynowa niż kiedykolwiek, mniej przyjemną. Była widocznie pomieszaną. Za nią idąca miss Burglife, im bardziej czuła wielkość książęcego domu, który jej zamki angielskich lordów przypominał, tem się spinała bardziej, aby okazać się obojętną i niewzruszoną. Ubrała się też, jak wychowanica jej, w sposób zdumiewający i straszliwy.

Robert, który mógł był służyć za wzór elegancji

smakownej i wyglądał na królewicza. zmierzył oczyma swe przeznaczenie i pobladł. Prędko jednak wróciła mu naturalna barwa twarzy i wyraz jej łagodny i spokojny. Wrażenie jakie Alfonsyna zrobiła na Stelli, było widocznie dziwne jakieś i niespodziane; nawzajem hrabianka, ujrzawszy tę promienną piękność, zaczerwieniła się, jakby upokorzona. Przywitanie, mimo hałasu hrabiego, ktory chciał je uczynić serdecznem, było zimne, zakłopotane, ceremonialne. Generał sprawiał swe posłannictwo pośrednika ze zręcznością, jakiej się po niem spodziewać nawet było trudno.

Po pierwszej chwili jakiegoś zamętu i badawczych wejrzeń wzajemnych, wprędce przecie skleiła się ogólna rozmowa. serdeczna i ochocza. Mało w niej udziału brała przestraszona jakby Alfonsyna, a w istocie olśniona tem państwem. które w niej jakąś zazdrość budziło — złożono to wszakże na zmęczenie i niezdrowie. Stella ofiarowała się zaraz kuzynce służyć do jej pokojów ażeby przed herbatą wypocząć mogła. Wniosek ten został po małem wahaniu się przyjęty, lecz że hrabianka nie mogła stąpić kroku bez miss Burglife, a Antonina była tłumaczem potrzebnym księżniczce, wszystkie te panie razem wysunęły się do apartamentu Alfonsyny.

Trzeba wiedzieć że hrabia Mościński, zamieszkawszy na Podolu, gdy mu się kilka lat szczęśliwie powodziło, stary, kryty słomą dwór w którym mieszkali, zapragnął zamienić na pałac, do którego miał prawo. Stanęła tedy przez powiatowego architekta zaprojektowana budowa, o ośmiu kolumnach na froncie, o piętrze, tak niesmaczna jak tylko być mogło. Wewnątrz brak dobrych rzemieślników i materjału. mimo ogromnych kosztów, uczynił ją najniewygodniejszą w świecie i dla oka niemiłą. Hrabia, niemający gustu, wierzył w złocenia, świecidła i drogie rzeczy, umeblował więc pałac kosztownie, lecz śmiesznie. Napróżno potem miss Burglife starała się to poprawiać;

pałac miał cechę mieszkania dorobkowicza, której nic z niego zdjąć nie zdołało.

Po nim książęcy gmach w Brańsku wydawał się pannie Alfonsynie, która nic piękniejszego nigdy nie widziała, nad dom Majorowa w Odessie, czemś niemal królewskiem. Wszystko razem wzięte co tylko tu spotkała, niemal ją upokarzało swą powagą i smakiem.

Jakkolwiek nieśmiało, rzuciła Alfonsyna już okiem na prezentowanego jej ks. Roberta, a miss Burglife zmierzyła go od stóp do głowy wejrzeniem znawcy i eksperta, wrażenia obu zgadzały się, pochwały oddawane młodzieńcowi nie wydały się im przesadzone; serce panny Alfonsyny przyjemnie uczuło się wzruszonem. Być może że i tytuł dodawał uroku księciu Robertowi, bo mitra stara nie tak jest łatwą do znalezienia, jakby się nawet dwumilionowym dziedziczkom zdawać mogło. Co się tyczy starego hrabiego, ten był w uniesieniach nieukrywanych, a dobroć i uprzejmość całego domu Brańskich dla niego, obudzały w nim zapał niewypowiedziany. Książę szambelan, skłonny do pobłażania dla kuzyna tego, bawił go sam rozmową. przebaczał mu jego rubaszną nieco żywość; raziła go tylko jedna rzecz. że Mościński, obyczajami ludzi mniej starannie wychowanych, a do lepszego towarzystwa nienawykłych, mówiąc krzyczał niesłychanie, podnosił głos jakby na kazalnicy, zrywał sobie piersi i zagłuszał wszystkie dźwięki, które współzawodniczyć z nim mogły. Trzeba mu to było dla milionów i córki darować.

Przyjęcie zresztą tego dnia, jakby wcale nie przygotowane, było dosyć skromnem, choć wykwintnem i z wielkim ceremoniałem dworu dopełnionem. Liberje, kamerdynery, służba wszelaka, rękawiczki białe, pochody ze świecami, otwieranie i zamykanie podwoi uroczyste, nadawały mu jakąś barwę arystokratyczną. Hrabianka nienawykła do podobnych form, znajdowała je wszakże wielce wspaniałemi, a miss Burglife zapewniała na ucho, że nieinaczej dzieje się

po zamkach magnatów angielskich i szkockich. Wieczór skrócono dla znużonych podróżą, a może i przyjmowaniem; około dziesiątej rozeszli się wszyscy.

Zenon popędził za ks. Robertem niespokojny. Okiem przyjaciela rzucił on na pannę Alfonsynę i nie będąc wystawionym na natrętny wzrok, z kątka mógł się jej cały czas przypatrywać. Życzliwość dla książąt kazała mu w niej szukać czegoś ponętnego, czegoś obiecującego szczęście w przyszłości; mimo tego pragnienia, Zenon czuł się niemile dotkniętym powierzchownością, która zdradzała pieszczotami rozwinięty do wybujałości egoizm i jakąś suchość serca, brak jego. O ile hrabia był dobrodusznym a otwartym i łatwym do pokochania, o tyle córka przestraszająco wydawała się zimną i pedantyczną. Zenon zasmucił się; znając Roberta, wiedział że mu się jego przyszła podobać nie może, nie zgadywał tylko do jakiego stopnia wstręt posuniętym zostanie. Dlatego, zaledwo wyszli, pospieszył za księciem, postanowiwszy nie pytać go, ale czekać co też on powie.

Ks. Robert rzucił się już był na krzesło znużony, głowę podparłszy na ręku, gdy wszedł przyjaciel, pod pozorem dowiedzenia się o coś potrzebnego na jutro.

— Już jesteś szpiegu nieznośny — zawołał smutnie śmiejąc się ks. Robert; no? powiedz-że ty mi co o hrabiance?

— Ja? podchwycił zmieszany Zenon — ja? ale... ale ja nie miałem sposobności ani się zbliżyć ku niej, ani z nią mówić.

— Ale wrażenie pierwsze... mów szczerze.

— Szczerze, odezwał się Zenon, jest to surowy materjał, z którego może być bardzo przyzwoita księżna, lub bardzo śmieszna. To zależy od artysty, który z bryły marmuru posąg wykuje.

— A! wykręciłeś się zręcznie — zawołał książę. Otóż ja ci powiem to, czegoś ciekawy, ja spodziewałem się gorzej. Ponieważ raz mam się żenić, nie pytając serca i nie dla siebie, ale dla dynastycznych interesów, to gdyby nie miała pasji nosić tyle łańcuchów i pierścionków, bransoletek i broszek, byłaby wcale znośną. Hrabia jest nieco zagłośny i wrzawliwy, ale możeby się ciszej rozczulać nauczył.

Zamilkli obaj, książę się uśmiechnął i ramionami ruszył, Zenon popatrzył badawczo i ze współczuciem, uścisnął jego rękę i odszedł.

Nazajutrz, o białym i jasnym dniu, obie strony bojujące wystąpiły w całym blasku. Panna Alfonsyna wystroiła się jeszcze niesmaczniej, paradniej jeszcze i kosztowniej, a wydała się gorzej niż wczoraj. Stella, której ubioru prostota odbijała dziwnie od tej elegancji parafiańskiej, piękną była jak anioł. Panna Antonina wysiliła się także na smakowny strój wiejski, tak że miss Burglife i jej wychowanka zdały się przy nich obywatelkami innego jakiegoś świata. Ale ojciec tryumfował, widząc córkę tak wspaniale przybraną, świecącą. Książę Robert stanął mężnie na stanowisku jakie mu los wyznaczył, zbliżył się do panny i niezbyt natarczywie, lecz z widocznem zajęciem usiłował bliżej ją poznać. Stella mu do tego dopomagała, chociaż Alfonsyna nie była dla niej sympatyczną.

Zeszli się wszyscy razem najprzód na wspólne śniadanie, przy którem szambelana nie było i generał robił honory domu ze Stellą i synowcem; potem przed obiadem wystąpili znowu wszyscy i w całym blasku. Obiad był w wielkiej sali marmoryzowanej podany i przepyszny. Wypito zdrowie gości.

Los, czy zręczna kombinacja, rozsadzając mężczyzn i kobiety, zbliżyła ks. Roberta do Alfonsyny, która przerwała dotychczasowe milczenie i opowiadała księciu o Odessie i Podolu. Hrabia był w humorze najszczęśliwszym. Wieczór zszedł na muzyce, rozmowie ożywionej, a Wincentowicz nie dopuścił, aby się obeszło bez fajerwerku nad stawem.

Mościński już nad wieczór napomknął o odieździe, ale szambelan oświadczył wręcz, iż na wsi gość conajmniej trzy dni przesiedzieć musi, jeśli nie chce

gospodarzy obrazić. Nie sprzeciwiano się jakoś i pobyt w Brańsku się przedłużył.

Drugiego dnia wymyślono przejażdżkę do Villety. Tak się zwał domek wiejski w stylu włoskim, wystawiony w lasku o milę przez szambelana, za lepszych jeszcze czasów, opuszczony nieco, ale teraz naprędce wyporządzony. Piękne otaczające go drzewa, widok na dalekie łąki, lasy i wsie porozrzucane w okolicy, miejsce to czyniły bardzo właściwem do takiej chwilowej wycieczki.

Mężnem sercem ks. Robert, nie okazując czego nie czuł, nie odgrywając komedji miłosnej, był wszakże ciągle na usługach Alfonsyny, co jej pochlebiało. Nagradzała go wzrokiem bardzo obiecującym i ożywiła się pod wieczór do tego stopnia, iż się pary razy roześmiała.

Baczne ojca oko dośledziło pożądanych symptomów, i hrabia zacierał ręce w milczeniu, już prawie pewny, że księcia mieć będzie zięciem. Generał, na ten raz dyplomatą się stawszy, potrafił zupełnie ująć miss Burglife, którą prowadził do stołu i ze szczególnemi był dla niej atencjami, tak że Angielka sama pierwsza szepnęła Alfonsynie uśmiechając się, iż ją podejrzywa o skłonność dla pięknego Roberta. Alfonsyna zarumieniła się mocno, chciała wypierać się i przeczyć, ale wykonała to tak niezręcznie, iż m. Burglife została przy swem przekonaniu.

Trzeci dzień do reszty jakoś spoufalił i zbliżył harmonijne towarzystwo. Stella poprzyjaźniła się z Alfonsyną, generał z hrabią wszedł w tajemnicze jakieś narady, zaprosiwszy go do siebie na górę. Wszystko szło jaknajlepiej, o wyjeździe nie było mowy i złożyło się tak dziwnie, iż ks. Robert właśnie miał jechać do Warszawy, a zatem mógł w drodze hrabiemu i hrabiance towarzyszyć. Wszyscy już o staraniu się księcia, o jego zakochaniu i układającym się związku szeptali.

Robert znajdował się prawdziwie heroicznie. Może baczniejsze oko dostrzegłoby w jego postępowaniu rozpaczliwej jakiejś odwagi nienaturalnej, przymuszonego coś i gorączkowego; ale dla Alfonsyny, dla jej ojca, dla miss Burglife, która dom książęcy wielbić zaczęła i pod niebiosa wynosić, było to aż nadto dostatecznem. Wprawdzie po każdym dniu takim wysiłku i kłamstwa, książę Robert powracał złamany do swego mieszkania i całe noce chodził niespokojny, rzucając się, burząc, miotając, ale tego nikt ani widział, ani się domyślał. Ilekroć brakło mu siły i męztwa, a twarz żółta Alfonsyny odpychała go wstrętem, którego przezwyciężyć nie mógł, spoglądał na siwe włosy ojca i nabierał odwagi do dalszych zalotów, w których aż nadto miał szczęścia.

Jeśli się to zakochaniem nazwać może, co w sercu ciasnem zrodzi fantazja chwilowa, połechtana próżność i ciekawość, można było powiedzieć iż hrabianka Alfonsyna była zakochaną. Robert nie mógł się jej nie podobać. Gdy trzeciego dnia wieczorem, po nowej z generałem naradzie cichej, ojciec przyszedł do córki, aby się z nią rozmówić, za pierwszem słowem wyrzeczonem dostrzegł, iż Alfonsyna wyprzedziła jego tajemne życzenia. Spodziewał się jakiegoś oporu, choćby dla ceremonii, a znalazł przez usta miss Burglife wyrażające się jaknajgoretsze uwielbienie dla całego domu i dla ks. Roberta.

— Już niema co się z tem taić, rzekł stary pocichu, jawna rzecz że ks. Robert się w tobie, moja Alfoniu, zakochał. Generał, który go zna najlepiej, oświadczył mi że jeszcze go tak zajętym kobietą żadną nie widział, bo dla wszystkich jest zimnym. Miałem sobie za obowiązek, moja duszo, szczerze się rozmówić z tobą. Niech mnie Bóg uchowa ażebym cię zmuszał, choćby do najpożądańszego dla mnie związku. Mów szczerze, niepodobna ich uwodzić i dawać nadzieje, jeśli...

Mówiąc to, ojciec niespokojnie się w córkę, zakłopotaną widocznie, wpatrywał; szczęściem dla niej miss Burglife przyszła jej w pomoc.

— Panie hrabio — przerwała — trudno wymagać od skromnej młodej dziewicy wyznania, sentymentu,

tak delikatnego, tak lubiącego się ukrywać i taić; ja wszakże o ile znam kochaną hrabiankę naszą, mogę zaręczyć, że wstrętu do księcia Roberta nie ma, a nawet, (uśmiechnęła się) wnoszę, że pewna sympatja istnieje.

Hrabia rzucił się zarumienioną Alfonsynę ściskać i całować, podał szeroką dłoń miss Burglife... czuł się szczęśliwym.

— Więc teraz, dodał cicho, tłumiąc głos — nie pozostaje nic tylko się bliżej poznać, dać się uczuciu kiełkującemu rozwinąć. Kochana Alfoniu, jakkolwiek, dzięki Bogu, rodzina nasza żadnej starej szlacheckiej i pańskiej nie ustąpi, a genealogowie rozumni wywodzą ją od Pontiusów rzymskich, zawsze książęcy tytuł i imię Brańskich ma blask znakomity! Starzy to, niegdyś udzielni, panujący kniaziowie, co prawda to prawda. Pójść za księcia Brańskiego jest pięknie, jest bardzo pięknie. Nie powiadam żeby się o to dobijać, lecz jeśli się składa, odrzucać byłoby grzechem, niedarowanym grzechem. Rzecz jest napięta, potrafiłem sobie pozyskać generała, który mi ręczy że i ks. sufragan projekt poprze. Niema wątpliwości iż szambelan zezwoli. Trzeba więc żelazo kuć póki gorące. Ks. Robert oświadczył że, niby dla własnych interesów, jedzie do Warszawy i będzie nam towarzyszył; zgodziłem się na to. Nie będziesz pewnie nic miała przeciw temu.

Alfonsyna spuściła oczy.

— Nie wymagam od ciebie, moja Alfoniu, wyznań, wiem że to dla twych uczuć delikatnych rzecz przykra nawet przed ojcem się wynurzać, rozumiem milczenie.

To mówiąc ściskał ją znowu i całował po rękach.

— Księżna Alfonsyna z hrabiów Mościńskich Brańska! Do kroć sto... przepraszam... jak to brzmi! jak to brzmi! Wymagają wszakże światowe formy przyzwoitości, aby staranie, oświadczenie, cały ten ceremoniał ze wszelkiemi regułami się odbywał. Ja zresztą dopilnuję tego. Będziesz szczęśliwą! Robert jest młodzieńcem wielkich przymiotów, prawdziwy książę!

Spojrzeć nań! Co za godność w postawie, jakie rysy, jakie ruchy! Para z was będzie cudowna. Ale, sza! sza! i — jakbyśmy o niczem w świecie nie wiedzieli i niczego się w świecie nie dorozumiewali.

Pocałował córkę milczący raz jeszcze, miss Burglife rękę uścisnął i wymknął się uszczęśliwiony.

Pomiędzy miasteczkiem a rezydencją książęcą długa ulica prawie cała ostawiona była w lewo i w prawo dworkami z ogrodami i ogródkami, należącemi do rezydentów, sług starych, gracjalistów i czynnych urzędników gospodarskich. Gruntów była taka obfitość, iż każdemu można było wydzielić dosyć dużo, lasu nie brakło, budować się było łatwo, na ostatek starzy książęta szli w tem za tradycją, która wiązała sługi z panami nierozerwanemi węzłami wzajemnej wdzięczności. Dworki były i mniejsze i większe, i wcale pokaźne nawet, a że gracjaliści mieli też grunta, przy niektórych stały w pewnem oddaleniu całe zabudowania gospodarskie.

Z pomiędzy nich najstarszy, najlichszy, niemal do włościańskiej chaty podobny, wcisnął się przed laty jeszcze pod sam prawie ogród pałacowy. Mieszkał w nim niegdyś ogrodnik, człek bezżenny, który długie lata sparaliżowany tu przeżył, a że nie zostawił po sobie rodziny, dworek jakiś czas był niezajęty i miano go nawet znieść, gdy zjawił się nań osobliwszy dzierżawca. Zgłosił się on do pana Gozdowskiego, oświadczając iż jest bardzo ubogi, że żyje z rzemiosła tokarskiego, że mu o przytułek trudno i że uważałby za do-

brodziejstwo, gdyby mu tę chatę pustą wydzierżawiono.

Prośba była tak dziwna, dworek tak biedny, człowiek tak nikomu nie znany, iż pan Gozdowski z razu odmówił zupełnie. Było nawet uwłaczającem, według niego, godności książęcej, ażeby nędzną taką lepiankę za kilkadziesiąt złotych mieli wypuszczać. Koniec końców, tokarz tak dokuczał, piszczał, naprzykrzał się panu Gozdowskiemu, iż ten znudzony na zajęcie chaty dozwolił. Chciał ją nawet dać darmo, lecz kontrahent tego nie przyjął i czynsz natychmiast zapłacił.

Przybyły, którego na miejscu nikt nie znał, świadczył się sługami ks. sufragana, iż zamieszkiwał wprzód w miasteczku, niedaleko od sufraganii, i tokarstwem się trudnił; wystarczało to za legitymacją. Nazwisko zapisano do ksiąg: Marcin Jałowcza.

Marcin, niemłody człowiek, kościsty, chudy, dość słusznego wzrostu, ogorzały, z zapuszczoną brodą i wąsami siwemi, z czupryną obfitą, wyglądał tak jakoś strasznie i niemiło, iż z razu wszyscy od niego stronili i naganiali Gozdowskiemu, że mu tę chatę dał. Obawiano się w nim jakiegoś rozbójnika lub złodzieja. Uprzedzenia te jednak ustąpiły wprędce, najprzód dla tego, że nikt nad niego goręcej i regularniej w kaplicy zamkowej się nie modlił, a potem iż nikt usłużniejszym i bardziej dla wszystkich przyjacielskim być nie mógł. Pomagał, służył, nastręczał się do różnych robót i posyłek, nawet bez żadnego wynagrodzenia, wszystkim we dworze. Wódki ani do ust nie brał. Tak stateczny i trzeźwy a niezmiernie pracowity człek nie mógł sobie wprędce niepozyskać ludzi. Wprawdzie było w nim coś zagadkowego, bo tokarni nie miał; tokarstwem się nie trudnił, na oko był bezczynny, ale żył przecie, choć ubogo, nikogo o nic nie prosząc. Widywano go dłubiącego różne drobne sprzęciki z drzewa kozikiem, a niewiadomo było gdzie je mógł sprzedawać.

Powoli przyzwyczaili się wszyscy do Jałowczy. Odkrywano w nim coraz nowe przymioty. Czytać i pisać umiał bardzo porządnie, a z opowiadań wnosząc domyślano się, że wiele po świecie bywać musiał. Jak mu tam z jego rzemiosłem niegdyś szło, o tem nikt nie wiedział; to pewna, że oprócz niego bardzo wiele innych rzeczy robił i znał, i niebyło prawie rękodzielnictwa, do któregoby nie był zdatny. W ogrodzie mógł bardzo dobrze zastąpić ogrodnika, dawał rady mularzom, zręcznie władał toporem przy ciesielce, znał się na gospodarstwie, grał na skrzypcach, służył do mszy, powoził czterema końmi jak najlepszy woźnica, — słowem do czego było go użyć, przydał się wybornie. A stawał do każdej nowej roboty ochoczo i, byleby niedługo trwała, doskonale się z niej wywiązywał. Pomimo swojej powierzchowności odrażającej, umiał się tak przypodobać, rozgadać, przymilić, że w przeciągu krótkiego czasu nikt się bez niego we dworze obejść nie potrafił.

Zachorował oficjalista, brano Jałowczę, trzeba było prędko rachunki przepisać, proszono go za stół: stawał jako dozorca, jeździł jako posłaniec, wkręcił się wszędzie, i na polowanie, i z ks. Serafinem na ryby, i do kancelarji pana Gozdowskiego. Chciano mu dać jakie stałe zajęcie przy folwarku, ale tego odmówił, bo to w nim właśnie osobliwszego było, że choć gorliwie się brał do każdej rzeczy, nigdy długo nie wytrwał. Pierwszego dnia był doskonały, drugiego dobry, trzeciego znośny, czwartego już się opuszczał, a potem i nie przyszedł. Człek był stateczny, a no taki dziwak. Przytem kilka razy na tydzień zamykał się w chacie i nie było go widać, potem szedł do miasteczka, a wróciwszy, rozpoczynał dawne życie.

Zapoznawszy się we dworze i wałęsając się od kąta do kąta, a lubiąc gawędę, Jałowicza tak doskonale o wszystkiem co się działo w Brańsku wiedział, a tak miał oko otwarte, iż nikt lepiej nie mógł zdać sprawy ze wszystkich czynności i najmniejszych przygód. Ubierał się ubogo, niebardzo schludnie, niepozornym był, a z pisania wnosząc, i z mowy, i z ministrantury, można było sądzić, iż pewnie szkoły skoń-

czył i w lepszym niegdyś stanie znajdować się musiał. Nikogo to wszakże nie obchodziło: posługiwano się nim, lubiono go i zostawiano w spokoju.

Dworek w którym mieszkał Jałowcza, stał nad samą drogą którą panu Zenonowi trzeba było jechać od ojca do pałacu. W tych dniach gdy państwo Mościńscy przybyli. Zenon odbywał codzień przejażdżkę tę konno lub wózkiem, służąc po całych dniach ks. Robertowi. Zwykle jednak odjeżdżał na noc do siebie.

Trzeciego dnia właśnie około północy wracał tędy, gdy mu cygaro zagasło i postrzegł że zapałek z sobą niema. W oknie dworku świeciło się jeszcze. P. Zenon znał Jałowczę z widzenia, postanowił przeto wnijść, ażeby cygaro zapalić. Koń był wyuczony stać i na pana czekać, choćby godziny całe. Zarzucił mu więc uzdę na szyję pan Zenon i zbliżywszy się do drzwi, a znalazłszy je otwarte, wszedł do dworku.

W sieni było ciemno, zaledwie mógł wnijście namacać, wreszcie jednak otworzył i znalazł się we wnętrzu ubogiego mieszkania. Na stoliku paliła się nie świeczka łojowa z miasteczka, ale stara lampka z olejem, pokryta daszkiem; kilka arkuszy papieru zapisanego walało się po stole, kałamarz i pióra świeżo porzucone przy nich. Odsunięty stołek świadczył, że gospodarz tylko co odszedł od roboty.

Przypatrując się baczniej dokoła. Zenon postrzegł na tapczanie wyciągniętego Jałowczę, który głębokim snem usnął, zapomniawszy znać zgasić światło i drzwi zaryglować. Otwarcie ich i hałas wchodzącego nie zbudziły go. Żurba postanowił u lampy zapalić cygaro i odejść, lecz mimowolnie oko jego padło na zapisane arkusze papieru i przylgnęło do nich.

Zastanowiło go nietylko pisanie bardzo wprawne, lecz kilka wyrazów pochwyconych, świadczących że pisał to nie tak prosty człek jak się Jałowcza wydawał. Na jednym arkuszu stała świeża data, jakby dziennika utrzymywanego przez tego osobliwszego pustelnika, a poniżej Zenon wyczytał, niechcący prawie:

„Ks. ks. Brańscy sprowadzili tu hrabiego Mościńskiego z córką, w nadziei zaswatania ks. Roberta z tą dziedziczką wielkiej fortuny. Intryga bardzo zręcznie a niewiadomo przez kogo osnuta, do której wpływać musiał ks. sufragan, grozi zupełnem powodzeniem.“

Zenon przeczytawszy to, stanął jak osłupiały. Co ten dziennik miał znaczyć? właściwie nie godziło mu się go czytać, to prawda, lecz wyglądało to jakby na szpiegowski raport o ks. ks. Brańskich. W jednej chwili cała zagadkowość postaci Jałowczy przyszła mu na myśl.

Nie wiedział jeszcze co począć i rozmyślał, gdy od strony łoża dało się słyszeć westchnienie, jakby poprzedzające przebudzenie. Jałowcza przewrócił się na łożu.

Zenon tymczasem uznał najwłaściwszem wymknąć się conajprędzej, nie będąc postrzeżonym. a nazajutrz obmyśleć środki rozciągnięcia nadzoru nad Jałowczą. Koń stał przed gankiem. Siadł nań conajprędzej, ale zamiast do domu, pojechał do Gozdowskiego który zwykle pijał jeszcze zieloną herbatę wróciwszy z pałacu i dopiero spać się kładł po niej. Jakoż zastał szanownego plenipotenta w wygodnym szlafroku, z filiżaneczką nektaru i cygarem, przechadzającego się po pokoju w najróżowszym humorze. Zdziwił się niezmiernie odwiedzinom spóźnionym.

— Przepraszam najmocniej pana, ale ponieważ nie śpisz jeszcze, pozwolisz mi zadać sobie pytań parę, rzekł wchodząc Zenon.

— Napije się pan herbaty? zielona i przedziwna, leciuchna, tak jak' ją Chińczycy piją — rzekł Gozdowski. W tych dniach, widzi pan, jemy okrutnie wiele i bardzo smacznych rzeczy, a nic tak nie przetrawia, jak lekka, gorąca herbata zielona.

Zenon uśmiechnął się z tej troskliwości o zdrowie szanownego Gozdowskiego.

— Powiedz mi pan — przerwał — zkąd to się wziął i co to za jeden jest ten Jałowcza.

— Hę? Jałowcza? ten w dworku pod ogrodem? rozśmiał się Gozdowski. ah! to sobie dobre biedne człeczysko. Od kilku lat zarabia tu na życie jak może. A cóż pan ma do niego?

— Nic — rzekł Zenon — ale... ale chciałbym wiedzieć co to też za człowiek? kto? zkąd?

— Czy co przewinił? uchowaj Boże! pochwycił Gozdowski, to go zaraz jutro wyrzucić każę.

— Nie, ale miałem osobliwsze zdarzenie przed chwilą, kończył Zenon. Wszedłem cygaro zapalić do jego chaty, znalazłem go śpiącego na tapczanie, a na stoliku zapisane arkusze, jak gdyby szczegółowy dziennik o Brańsku, jakby jaki raport tajny o nas wszystkich. Rzuciłem tylko okiem na nie, coś mi się to podejrzanem wydaje.

Gozdowski ramionami ruszył.

— At, dziwak! nie ma co robić, to skrobie po papierze. Ale cóż to nam szkodzić może?

— Przyznasz że z tym dziennikiem porównawszy całe postępowanie tego człowieka, którego tu wszędzie pełno, jakoś to się może wydawać podejrzanem.

— Kochany panie Zenonie, począł się śmiać Gozdowski, ale cóż tu on u nas wyśledzi? wszakże nie konspirujemy.

— Nie rozumiesz mnie — począł Zenon, nie o to mi idzie, ale książęta są w ciężkich interesach, można się zawsze lękać jakichś intryg wierzycieli czyhających na ich mienie.

Gozdowski wziął się za boki od śmiechu.

— A, panie Zenonie dobrodzieju, zawołał — to czyste marzenia! My nieprzyjaciół nie mamy. Kto? gdzie? Jałowcza jest poprostu pół-warjat i choruje sobie na gryzmołę.

— Ale ten dziennik, którego kilka słów chwyciłem tylko! rzekł Zenon, był w ten sposób zredagowany, że czuć w nim było niechęć ku książętom.

Gozdowski się oburzył.

— A dlaczegożeś pan go nie zabrał? zawołał, trzeba było wziąć.

— Jakiem prawem? z cudzego domu, wykradać? tegom się dopuścić nie mógł.

— Co to tam u takiego w podkomornem siedzącego człowieka, podejrzane papiery! A to nie było co robić ceremonii. Ja jutro rano biorę ludzi, osaczam dworek i konfiskuję wszystko.

Zenon popatrzył, zdziwiony tą stanowczością Gozdowskiego.

— Słowo honoru że to uczynię, i gdyby nie noc i nie to że ludzi teraz nie znajdę, natychmiastbym to spełnił.

— A jeśli to istotnie tylko dziwak i próżniak gryzmolący, ot tak nie wiedząc co począć?

— No to mu się odda co się zabrało i da parę złotych, za to że się nabrał strachu.

Zenon wypił herbatę i po krótkiej rozmowie pożegnawszy plenipotenta, pojechał do domu. Nazajutrz rano, gdy wracał do Brańska, ciekawość go wzięła zajrzeć do Gozdowskiego. Stał właśnie na ganku, ale pomieszany jakiś i nie swój. Zenon, nie zsiadając z konia, pozdrowił go, a plenipotent dał mu znak, ażeby wszedł z nim do pokoju, bo mu coś ma powiedzieć.

— A wiesz pan co, odezwał się, zaciągnąwszy do kąta pana Zenona — otóż dziś do dnia, bo byłem niespokojny, napadłem na dworek Jałowczy...

— I cóż?

— Ani Jałowczy, ani papierów już nie było—drzwi otwarte, chata pusta, a na ścianie przybił jeszcze papier z napisem: — „Pomieszkanie letnie do wynajęcia.“ jakby na szyderstwo.

Zenon zaciął usta.

— Widzisz pan, moje podejrzenia nie były bez podstawy.

— Ale cóż to może być? począł Gozdowski. Znać wczoraj zbudził się, domyślił czegoś, posłyszał gdyś pan odjeżdżał, a że się czuł nieczystym na sumieniu, nocą drapnął. Posłałem pogoń, ale to się na nic nie zdało. Manatków nie miał wiele, wziął na plecy, poszedł w las i kto go tam złapie! Tyleście go widzieli.

Zamyślili się obaj.

— Co to u licha takiego może być?

— Nie wiem i nie rozumiem, rzekł Zenon, ale to pewna, że się lękam.

— Mnie się zdaje że to musiał być warjat, dodał Gozdowski — ja go zawsze o rodzaj fiksacji posądzałem. Ale nie trzeba o tem mówić nikomu.

Po pięciu dopiero dniach pobytu w Brańsku, szóstego uroczyście żegnani, wysłuchawszy mszy świętej odprawionej w kaplicy pałacowej na intencyą podróżnych odebrawszy błogosławieństwo, hrabia i hrabianka wyruszyli do Warszawy. Książę Robert towarzyszył im. Wprawdzie w przeciągu tych kilku dni nie było mowy jawnie o żadnych projektach, oprócz między generałem a hrabią — zbliżono się jednak bardzo, zapoznano i obie strony były najpewniejsze, iż małżeństwo to do skutku dojść musi.

Pomiędzy młodem państwem stosunek był szczególny. Panna Alfonsyna, raz sobie powiedziawszy że się zakochała, czyniła każdym dniem zadziwiające postępy. Ks. Robert jak był pierwszego dnia, takim do ostatka pozostał. Zenon żadnego wyznania dobyć z niego nie mógł, lecz bacznem okiem śledząc, przekonywał się że, niestety, choć książę grał narzuconą rolę kochanka z wielkiem bohaterstwem, ciężyła mu ona coraz bardziej.

W przeddzień wyjazdu do Warszawy, Zenon zszedł przyjaciela wśród poprzewracanych papierów, w fotelu, zamyślonego rozpaczliwie, tak że wnijścia

jego nie słyszał. Na pierwsze słowo wyrzeczone zerwał się przerażony, prawie nieprzytomny.

— Książę się wybierasz w drogę?

— Ja? w drogę? a tak! jadę.

Robert przeleciał parę razy po pokoju, otworzył okno, pociągnął powietrza pełną piersię, tchnął i potarł czoło.

— Zenonie! — zawołał — Zenonie! to trzeba nadludzkiej siły ażeby dotrwać. Ty nie wiesz... O! to coś okropnego.

— Mości książę, przerwał Zenon, lękając się aby ich nie posłyszano.

Robert ścisnął jego rękę.

— Masz słuszność, należy wytrwać do końca, zawołał śmiejąc się — ani słowa Tout est pour le mieux, dans le meilleur des mondes. Ja jestem rozpieszczony kapryśnik, niegodziwy syn i brat, przyjaciel niewdzięczny.

Widząc go tak poruszonym, Zenon starał się łagodnemi słowy uśmierzyć ten wybuch.

— Nie bój się — odparł uspokajając się Robert, nie bój się, ja wytrwam do końca. Ale się nie powinieneś dziwować chwilom dzikiego takiego szału; jeszczem się z położeniem mojem nie oswoił.

Przed samym wyjazdem, późno w noc, książę Norbert kazał syna wezwać do siebie.

Widzieliśmy dotąd zdala tylko tę patryarchalną postać głowy domu.

Szambelan był pozostałością XVIII w., którą los przesadził w epokę nową, a szczególne okoliczności oszczędziły jej walki i cierpienia, z powodu zmian zaszłych dokoła, po większej części dla niej zakrytych. Zepsucie wieku nie tknęło tego człowieka, który urodziwszy się w chwili rozproszenia Barszczan, wychowany w tradycyonalnych ideach starych, dorastający przy królewskim dworze, po abdykacyi Stanisława Augusta zamknął się na wsi i mógł, szanowany przez całą rodzinę, pozostać nietkniętym, nieświadomym zmian, złomkiem jakimś przeszłości i archeologicznym zabyt-

kiem. Dostojeństwo głowy rodziny nosił książę Norbert jak rodzaj kapłaństwa, a w rzeczach tyczących się rodu i familii nie dopuszczał nikomu, nawet ks. sufraganowi, którego wielce szanował, wyrokować i stanowić. Od niego radę tylko przyjmował, generała uważał za subordynowanego sobie i niemal za lekkomyślnego młokosa, mimo jego lat siedemdziesięciu.

Utrzymanie powagi, blasku i znaczenia domu było największą jego troską. Co się tyczy materyalnych podstaw bytu familii, o tych staranie zdawał na wierne sługi, wcale się o szczegóły nie troszcząc. Głęboką mając wiarę w jakieś posłannictwo stanu do którego się liczył i pojedyńczych członków jego, był pewien że rzeczą jest Opatrzności starać się o zachowanie narzędzi któremi się posługiwała. Nie przypuszczał nawet aby książęta Brańscy upaść, lub choćby zachwiać się mogli.

Cały też nieszczęśliwy przebieg ich interesów, który co chwila stawał się groźniejszym, był mu zupełnie obcym. Nie mówiono mu o tem, nie chcąc martwić napróżno starego, on zaś z tem co sobie do rozporządzenia zostawił rządził się tak, jak gdyby zawsze jeszcze Brańscy należeli do najmożniejszych rodzin w kraju.

Nie można mu się było ani sprzeciwiać, ani wyperswadować że mogło być inaczej. Często też w tem szczęśliwem zaślepieniu wydawał śmiało asygnacye do kasy, czynił podarunki, rozporządzał summami, których dostarczyć nie było można. Generał, sufragan, Gozdowski wysilali się na to, żeby jaknajzręczniej ukryć przed nim stan rzeczywisty interesów. Zaledwie w ostatnich czasach dał się przekonać, iż skutkiem ogólnych w kraju zaszłych zmian, przychody się zmniejszyły i interesa utrudniły.

O grożącem niebezpieczeństwie nie miał ani pojęcia. Wszystko też co go otaczało, trwając dotąd bez zmiany, utwierdzało go w przekonaniu, iż Brańscy świetnie stoją. Mówił o dobrach i dochodach z najgłębszem przekonaniem, iż pierwsze są źródłem niewyczerpanem, a drugie starczą na wszelkie fantazye wszystkich członków rodziny.

Z tych złudzeń po cóż go było wyrywać? któżby miał odwagę osiemdziesięcioletniego starca uderzyć jak piorunem, odsłaniając przed nim nagą i straszną rzeczywistość; która przyszła stopniami, niepostrzeżona, a dziś na nią chyba cud mógł być ratunkiem? Szambelan niewidzialnemi ofiarami familii mógł pozostać przy wszystkich swych dawnych nawyknieniach. Odstępując synowi dóbr i zrzekając się nań Brańska, wymówił sobie stary tysiąc czerwonych złotych, które za bagatelną rzecz uważał, mając za wielką ofiarę ze swej strony, iż się niemi zaspokoił. Oprócz tego zawarował sobie utrzymanie do jakiego przywykł, sześć koni do karety, a cztery do powozu, i mnóstwo innych wygódek kosztownych. Nie wiedział że tysiąc czerwonych złotych owe płacono zawsze prawie z pieniędzy gdzieś pożyczanych, i szafował niemi po staremu, obdarzając sługi i wiernych klientów.

Szambelan podobnym był do ślepego, przed którym ukrywają straty, bo ich dostrzedz nie może. Często bardzo gniewał się na skąpstwo i oszczędność syna, na zaniedbanie pewnych okazałych występów tradycyonalnych, do których, według niego, imię i położenie obowiązywało. Generał tłumaczył to jak umiał.

Pokoje które zajmował książę Norbert urządzone były z wielkim przepychem. Gromadziło się w nich co dom miał najkosztowniejszego. Służba osobista księcia była liczna, dobrana i zawsze czuwać obowiązana. Książę Norbert nie rozumiał tego, by mu na czem mogło zbywać, a w razie braku, gniewał się na zaniedbanie, na opieszałość, nie przypuszczając niedostatku.

Dzień i tryb życia był jaknajdrobnostkowiej programem niezmiennym objęty. Książę, nie mogąc spać, budził się zwykle o siódmej i dzwonił na dyżurnego sługę, który ubrany spędzał noc w krześle w przedpokoju. Wnoszono świecę, jeśli zimą mrok był, książę wstawał, wdziewał ranne ubranie i klękał do modli-

twy. Punkt w chwili gdy się ona kończyła, wnoszono kawę z biszkoptami. Po kawie czytał książę dzienniki, a następnie przyjmował członków familii, syna, córkę, generała.

Godzinę przed obiadem zajmowała korespondencya, do której trzymany był sekretarz. Obowiązkiem jego było dyktowane listy wygotowywać do podpisu i wciągać treść ich lub całość do księgi na to przygotowanej. Na obiad wychodził książę Norbert do sali jadalnej, lub jadał go u siebie. W takim razie zawsze kogóś dla towarzystwa zapraszał, g dyż jadać sam nie lubił.

Po obiedzie i kawie stary lubił grać parę partyj bilardu z panem Burskim lub ks. Serafinem, albo z jednym z gości. W lecie przechadzka po ogrodzie, zimą słuchanie czytania głośnego, które sekretarz miał sobie powierzone, zajmowało czas do herbaty i wieczerzy.

O godzinie dziesiątej następowało uroczyste dobranoc i książę usuwał się do swych pokojów, gdzie pomodliwszy się jeszcze, próbował spać. W razie gdy to się nie udało, wołano sekretarza, który czytał, dopóki nie usnął.

Tryb ten życia o niewiele się zmieniał w niedzielę i święta uroczyste. Niektóre tylko z nich obchodził książę ze szczególnemi praktykami w kaplicy lub kościele parafialnym, w którym zjawiał się kilka razy do roku. Naówczas noszono go tam w staroświeckiej rzeźbionej lektyce i sadzano w loży oszklonej i ogrzanej. Boże Narodzenie. Zapusty, Wielkanoc, Zielone święta, imieniny wszystkie musiały być obchodzone z wielką wystawą; szambelan nie dopuszczał, ażeby się to na włos zmienić miało.

Całe, najdalsze sąsiedztwo zjeżdżało się na przepyszne święcone, w ostatni wtorek bądź co bądź był bal, na św. Norbert piramidy cukrowe i stół na sto osób.

Z tysiąca owych dukatów, które niezawsze wydawał książę szambelan, odprawiał co lat kilka podróż

do Karlsbadu. Naówczas szła z nim sześciokonna kareta, czterokonny kocz i furgon, jechała służba i podróżowało się prawdziwie po książęcemu, a tymczasem w domu brakło nieraz pierwszych niemal potrzeb do życia. Chwytano u żydów, długi się mnożyły, a procenta lichwiarskie rosły.

Godzina w której książę Robert został do ojca wezwany, nadawała temu posłuchaniu znaczenie wielkie, wyjątkowe. Kamerdyner przyszedł do niego i oznajmił, że książę oczekuje w swoim gabinecie; ks. Robert pośpieszył. Zastał ojca w istocie w fotelu i ubraniu wieczornem, siedzącego z wielką powagą i zdającego się go niecierpliwie wyglądać. Po ucałowaniu ręki, ojciec wskazał panu rotmistrzowi (tak go nazywał często) krzesło naprzeciw siebie. Wprzódy jeszcze kamerdynerowi wydane zostały rozkazy, ażeby służbę pooddalał.

— Siadaj, rotmistrzu, rzekł ojciec — mamy z sobą do pomówienia. Nie chciałem byś się wybrał w podróż, bez porozumienia ze mną co do dalszego postępowania. W ostatnich dniach zaszły pewne okoliczności, które mogą za sobą następstwa ważne pociągnąć. Przybycie tego poczciwego Mościńskiego z córką, zawiązane stosunki, wzajemnie uczuta właściwość ściślejszego zbliżenia naszych rodzin, wkładają na mnie obowiązek pomówienia z tobą. Mówiono mi iż ci się Alfonsyna podobała? jakże?

Ks. Robert spuścił oczy.

— Jeśli z innych względów zdawać się będzie ojcu małżeństwo to właściwem, nic nie mam przeciwko temu.

— C'est bien dit — odezwał się stary, grając palcami po złotej tabakierce — jest to posłuszeństwo synowskie, ale jakże tam z sercem?

Robert, nie chcąc ani kłamać, ani się przyznać do prawdy, nie odpowiedział nic; można to sobie było tłumaczyć, jak się podobało. Książę stary popatrzył na syna i mówił dalej:

— Jedziesz z hrabią do Warszawy, to bardzo dobrze, pochwalam tę myśl. Żyjemy w czasach, w których o stosowne dla nas związki trudno; wiele familji zubożało, niekażdemu udało się jak nam utrzymać przy dawnem mieniu. Mościński zebrał znaczną fortunę, panna dobrze wychowana, poważna, rozumna; jest to ożenienie się jeśli nie takie o jakiem byłbym marzył dla ciebie, to przynajmniej bardzo przyzwoite. Więc jedziesz? dorzucił stary — to dobrze. Zwrócić chciałem uwagę twoję, Bo często widzę lekceważenie pewne zewnętrznych form, moje serce, iż należy przystąpić jak Brańskiemu przystoi. Należy wziąć z sobą najmniej tysiąc czerwonych złotych, karetkę, najlepszych koni cztery, dwóch służących conajmniej, furgon dla ludzi, a w Warszawie przodem posłać, aby najęto apartament odpowiedni.

Robert nie przerywał. Dziwnie mu brzmiały wyrazy ojca, bo był zmuszonym pożyczyć u generała i Zenona trochę pieniędzy jakich podróż ta wymagała, a zamarzyć nawet nie było podobna, by ją z przepychem nakazanym przez szambelana odbywać.

— Zauważyłem to w tobie, kochany rotmistrzu, mówił dalej książę — iż jesteś nazbyt często oszczędnym i upodobania masz zbyt proste. Nie jestem ja za niepotrzebną rozrzutnością i przepychem przesadzonym: lecz, noblesse oblige, jak cię widzą tak cię piszą. Po zdaniu mem interesów wszystkich na ciebie, stałeś się niejako głową i reprezentantem rodziny, masz obowiązki; książę Brański nie może się pokazać jak pierwszy lepszy na swiecie, il derogerait. Proszę cię abyś o tem pamiętał, bardzo proszę.

Książę Robert i na to jeszcze nie wiedział co odpowiedzieć: skłonił głowę. Stary wziął mu za dobre to pełne uszanowania milczenie i posłuszeństwo.

— A teraz, rzekł — jeszcze jedna prośba do waćpana. Jeśliby już rzeczy skłaniały się ku małżeństwu, jeśliby nastąpiło oświadczenie, na które daje ewentualne pozwolenie moje, wypadnie mi podarek jakiś

uczynić przyszłej synowej. Z klejnotów familijnych nie mamy nic stosownego i mało nam ich pozostało, a główne należą do księżniczki Stelli; trzeba więc kupić jakiś kanak, lub dyadem, lub co teraz noszą, conajmniej wartości tysiąca czerwonych złotych. Szczęściem udało mi się oszczędzać potrosze z mojej pensyjki i będę tę summę miał w gotówce. Proszę jednak nie obracać jej na ten cel, ani na żaden inny, chybaby rzeczy przychodziły do skutku.

To mówiąc, książę zielony woreczek z dukatami podsunął synowi, który go w rękę pocałował. Pomyślał, biorąc je, jakby się dobrze przypadały na opędzenie jednego z tych pilnych i gryzących długów, którym się obronić nie było podobna; ale ojciec ani mógł nawet wiedzieć o nich.

Po chwili milczenia, szambelan wyciągnął ręce i ująwszy głowę syna schyloną, przycisnął ją całując do piersi. Łzy stanęły mu w oczach.

— Mój drogi Robercie — dodał głosem drżącym, jedziesz... losy twe i przyszłość rozstrzygnąć się mogą, niechże ci po staremu błogosławieństwo ojca towarzyszy, niech Bóg Abrahamów i Jakóbów da ci szczęście na jakie zasłużyłeś. Byłeś zawsze dobrem, czułem, posłusznem i zacnem dziecięciem, nosiłeś imię poczciwe, które po wielkich przodkach wzięłeś w spadku, umiejąc szanować drogą spuściznę. Bądź więc błogosławiony, niech Bóg zleje na ciebie wszystkie te dary, jakich serce starego ojca ci życzy. Idź, z Bogiem i w imię Boże, zawsze drogą prawą a świętą, na której znajdziesz ślady stóp przodków naszych. W imię Ojca i Syna i Ducha świętego, w drogę pokoju i szczęśliwości!

Starzec mówił to z dziwną powagą i namaszczeniem; mimowolnie Robert ukląkł przed nim, łzy z wyschłych rzuciły mu się powiek, ucałował drżące ręce. Popłakali się obaj.

Niech Bóg błogosławi! dodał stary za odchodzą-

cym, a pisz mi co się stanie. Wolę Bożą w tem widzę, nie trzeba się jej opierać. Dobijaj, mój Robercie; umrę spokojniejszym, widząc cię szczęśliwym.

Książę Robert, wzruszony i pomieszany, powrócił do swojego mieszkania i stał chwilę jak odurzony, nie mogąc myśli zebrać, gdy za sobą głos generała usłyszał.

— Zapal-że świecę, dlaczego u ciebie ciemno, co to jest?

— Powracam od ojca — odezwał się Robert.

— A ja chcę z tobą pomówić, wtrącił generał, jutro jedziesz...

Światło zabłysło, książę Hugon spojrzał na twarz synowca i przeląkł się jej bladości.

— Co ci jest?

— Wzruszyła mnie rozmowa i błogosławieństwo ojcowskie — rzekł ks. Robert.

— To dobrze, tak być powinno — dodał Hugon, ja ci jednak calmans przynoszę, bo mi się zdaje że przychodzę z dosyć dobrą nowiną. Mówiłem poufnie z tym poczciwym Mościńskim. Jemu się nieborakowi zdaje że mnie schwycił, bo tak pragnął tego małżeństwa od pierwszej chwili, jak my go pożądać mogliśmy. Panna się w tobie kocha, ojciec z całych sił żąda tego połączenia, wszystko się składa dla kochanego Benjaminka naszego jak najpożądaniej. A w dodatku, oto ks. sufragan gdzieś się biedaczysko zapożyczył i przysyła ci sto dukatów jeszcze na podróż, abyś skąpić nie potrzebował.

Robert stał jakoś, nie mogąc się temi wszystkiemi dobremi wiadomościami rozweselić; generał popatrzył nań i sposępniał.

— No, i cóż ty na to?

— Wszystko jaknajlepiej idzie, rzekł chłodno Robert.

— Nie wydajesz mi się jednak szczęśliwym.

Młody książę zmilczał.

— Żal mi cię, hm, szczerze; ale, kochany Robercie, dodał, zniżając głos — trzeba się poddać przeznaczeniu, et faire bonne mine au mauvais jeu. Gra zresztą tak bardzo zła nie jest, ale ty, kochanie moje, ja się na tem znam, masz jakiś stary ciężar na sercu. Kto go nie miał? Nawet ja, zakonnik siedemdziesięcioletni, łysy, siwy, wzdycham jeszcze do marzeń młodzieńczych. Trzeba umieć wesoło znosić te nagniotki przeszłości. Panna młoda, bogata, dobrze wychowana, ojciec jak sztukamięsa kruchy, nie można od losu więcej wymagać. Nawet tę kościstą Angielkę, potrafiliśmy zmiękczyć i uczynić nam przyjazną.

— Ja też się nie skarżę na nic, rzekł Robert.

— A jednak, wtrącił generał — ale, niech cię Bóg błogosławi i... dobranoc.

Książę Hugon ucałował synowca i wyszedł.

Robert rzucił się w krzesło przed stolikiem i zadumał. Walczył z sobą widocznie jeszcze. Nagle otworzył szufladę, oburącz wyjął z niej stos papierów i zaniósł go do komina, wydobył wszystkie świstki które tam jeszcze pozostały, rzucając je na całopalenie. Na dnie ostatni leżał portret kobiety; w czarnych ramach hebanowych, uśmiechała mu się twarz jej młoda, wesoła nadziejami, szczęściem, wdziękiem kwiatu wiosennego; wlepił w nie oczy, jakby patrzył raz ostatni i żegnał z marzeń życia ostatnie; ręce mu drżały, jakby się wahał czy go do ust i piersi przycisnąć, czy rzucić na stos przygotowany. Siedział tak, zdrętwiały napół, długo, ale odwagi w chwili stanowczej zabrakło.

— Dlaczegóżbym miał go zniszczyć? rzekł w du-

chu — ona sama go zabiła we mnie; to cień i widmo tego co już nie istnieje, to tylko zimna historja przeszłości i kamień na grobowcu.

Wstał, ukląkł, począł znowu zbierać rozproszone listy i układać je nazad do biura. Nad niektóremi z nich, trzymając je przed sobą, zatrzymywał się, czytał i po twarzy chodziły mu wrażenia, odrodzone wspomnieniami.

— Po co mam palić je? To suche liście z drzewa które się komu innemu zieleni; niech leżą i świadczą żem był, lub sądził się choć godzinę w życiu szczęśliwym. Wszystko to grobowe szmaty!

I powróciły znowu skazane na stos do stolika. Robert rzucił w niego portret i zamknął.

Nazajutrz rano po nabożeństwie powozy ruszyły z przed ganku pałacowego, na którym stali szambelan, generał, Stella i cały dwór brański. Wszyscy odeszli już, a jedna panna Antonina Żurbianka została na ławce, patrząc jeszcze z jakiemiś dziwnemi w oczach łzami. Były one tem dziwniejsze, iż nikt weselszym nie mógł być od panny Antoniny, ani mniej mieć do płaczu powodów. Szelest jakiś daleki rozbudził ją z tego zadumania: otarła prędko powieki, usta się uśmiechnęły, oczy błysnęły, zakręciła się i poleciała.

Ks. Serafin z pod krzyża nad drogą żegnał różańcem swoim oddalające się powozy, a Wincentowicz szeptał do Burskiego, stojącego z rękami w tył założonemi:

— Jakkolwiek goście mili i obiadki były smaczne, ale dobrze że sobie pojechali, bo spokoju nie mieliśmy... Zwierzyny? zkąd im o tej porze jej dostać? Ryby... a tego, a owego, a tu podwieczorek pod dębami, a jutro śniadanie w brzezinie, a to przejażdżka po stawie, a to na grzyby, a to na niewiedzieć już co... i wszystko się krupiło na ks. Serafinie i na mnie, bo asan jesteś do niczego, tylko do gotowej miski.

— Ot! ot! ozwał się Burski, a małoście się mnie naposyłali?

— A mało się ja sam nalatał? odpowiedział Wincentowicz, i rąk sobie fajerwerkami napalił — i hrabia mi nawet Bóg zapłać nie powiedział... Jeszcze na tę pilniejszą porę, niewiedzieć czego najlepszy mój pomocnik mi umknął...

— Jaki?

— A Jałowcza! Musiał go Gozdowski nastraszyć, czy sobie sprzykrzył już Brańsk i jednej nocy, nie powiedziawszy nawet: bywajcie zdrowi, kopnął się w świat..

— Dawno się tego można było spodziewać, mruknął Burski — waćpan go lubiłeś, a ja ci powiadam, że to był nieczysty człowiek. On robił co mu kto kazał, ale to były pokrywki, bo robił też coś o czem my wszyscy nie wiedzieliśmy...

— Cóż fałszywą monetę?

— Kat go wie, może.

— Zkądże to pan o tem wiesz? szydersko zapytał Wincentowicz.

— Ja? bo ja milczę a patrzę — rzekł spokojnie Burski — i nikt tego nie wie, co ja wiem i o nim i o innych.

— Naprzykład? kusił Wincentowicz.

— I tegoście ślepi nie widzieli, że do niego różni ludzie przybywali, z którymi się on zamykał, i tego nie widzieliście, że wszędzie nosa wścibiał, pytał, notował, zapisywał... Razu jednego inspérate późno w noc zastałem u niego jakiegoś gościa, z którym papiery przeglądali... Gdym wszedł, jakby ich piorun raził; udałem że nic nie rozumiem i pozwoliłem im wmówić sobie, że to był kramarz, z którym Jałowcza miał rachunki o te swoje struganiny... anom dobrze widział, że papiery jakieś, nie regestra przepatrywali..

— Tak — i milczałeś a nie mówiłeś nic, dopiero dziś, po harapie — krzyknął Wincentowicz — hę?

— Cóżem miał mówić? co? bylibyście mnie mieli za fiksata i śmieli się, jak zawsze...

To mówiąc, Burski, nadąwszy się, poszedł dalej, a Wincentowicz, mocno zadumany, długo jak wkuty w miejscu pozostał.

Gozdowski także zaniepokojonym się uczuł historją Jałowczy i nagłem jego zniknięciem. Jakkolwiek ten plenipotent unikał zbytecznej pracy i nie poczuwał się do obowiązku przesadzonej zabiegliwości— na ten raz ciekawość nawet rozbudzona zmusiła go do śledzenia człowieka, który jak niewiedzieć zkąd zjawił się, tak teraz niewiedzieć gdzie przepadł, a co najgorzej — niewiedziano też co siedząc w tym dworku porabiał. Gozdowski był tak dotknięty tem, że mu się dał oszukać i dozwolił spokojnie siedzieć na gruncie, iż teraz najściślejsze chciał prowadzić śledztwo co do tego człowieka. Ponieważ Jałowcza odwoływał się do świadectwa dworskich ks. sufragana, że jako tokarz mieszkał w miasteczku. przy pierwszej sposobności plenipotent począł badanie na miejscu w którem przebywał.

Tu niełatwo było dopytać się o owego mniemanego tokarza. Okazało się, że w istocie przez czas jakiś toczył dla żydka, ale zarazem zajmował się wielu rzeczami do tego rzemiosła nienależącemi, mianowicie prośby pisywał i był prawnym doradzcą procesujących się, listy redagował tym co się krzyżem świętym na nich podpisywali... i t. p. Zkąd zaś do miasteczka przybył o tem nikt dokładnie nie wiedział. Postać była zagadkowa i dziwna... jakiś rozbitek, który szukał wypoczynku na lądzie.. Przetrząsanie dworku opuszczonego nagle nic o nim nauczyć też nie mogło; za piecem tylko i w śmieciach w sieni nagromadzonych znaleziono wielką ilość podartych papierów, które, po rozpoznaniu, odnosiły się wszystkie do interesów książąt Brańskich. Były tam i przybliżone rachunki ich długów, i zaległe procenta. i zbierane wiadomości o dochodach. i od oka spisane inwentarze folwarków, i różne notatki tyczące gospodarstwa i ruchomości. Pan Gozdowski nie mógł się wydziwić, zkąd ten człowiek to wszystko brał i na co mu się to przydać mogło... Raptularze te rzucono w ogień, a zagadka pozostała zagadką.

Życie pana mecenasa Hartknocha, jak wielu jego towarzyszów, dzieliło się na dwie ściśle od siebie odgraniczone części — i w jednym człowieku mieściło się, można powiedzieć, dwóch ludzi całkiem do siebie niepodobnych. Jeden z nich zajmował się pilnie przez pół dnia interesami klientów swoich, bardzo licznych, gdyż Hartknoch uchodził za jednego z najpraktyczniejszych prawników — drugi, po zamknięciu kancelarji. zabawiał się i czas przepędzał jak mógł najprzyjemniej. Kancelarja nawet znajdująca się przy Miodowej, umyślnie może odłączoną była całkowicie od prywatnego mieszkania mecenasa, który zajmował piękny apartament na Krakowskiem. Ludzie dobrze znający go, utrzymywali nawet, iż miał dwie odrębne fizjognomie, jednę urzędową, chłodną. zamyśloną, poważną. drugą domową, uprzejmą, wesołą i miłą. P. mecenas nie był żonatym, lecz dom utrzymywał otwarty, na stopie bardzo świetnej i niemal co wieczora miewał u siebie gości, zebrania, małego wista, wesołą pogadankę, dobrą wieczerzę... Schodzili się doń ludzie jak on potrzebujący po pracy wytchnienia i rozrywki, rozprawiano o literaturze, o sztuce, o teatrze zwłaszcza i muzyce, których mecenas był wielkim znawcą i miłośnikiem. Choć się z tem nie popisywał, przyznawano mu parę dowcipnych komedyjek. grywanych z powodzeniem w teatrze Rozmaitości. pod pół-przezroczystym pseudonymem Twardokostskiego.

Hartknoch należał też do najsurowszych sędziów gry artystów, miał swe krzesło roczne na obu scenach i zajmował się gorąco każdą nowością i każdym debiutem zjawiającego się artysty. Nie poznałby go był, kto po wieczorze spędzonym na miłej gawędzie w jego domu, nazajutrz rano zaszedł na ulicę Miodową. Tu

on był tylko prawnikiem, tylko czynnym obrońcą i doradzcą swoich klientów; słowa się odeń dopytać nie było można o tem co go wczoraj jeszcze najgoręcej zajmowało. Kancelarja zawsze pełna, przy znacznej liczbie sekretarzy i pomocników zaledwie wydołać mogła napływającym na odgłos jego zręczności i gorliwości pacjentom... Trafiało się nawet, iż ci co się opóźnili na Miodową. gonili go potem i szukali na Krakowskiem, lecz napróżno. Hartknoch przyjmował grzecznie przybyłych, ale nielitościwie odsyłał ich do kancelarji. Wieczorem za nic w świecie nie byłby dał konsultacji, ani się zajął żadnym interesem.

Pomimo tej surowości, nie zbywało mu na pracy, dochody miał znaczne i wszyscy utrzymywali, że się szybko dorabiał majątku; klient chętnie czekał, byle mu interesu nie odrzucono, byle miał za sobą tak głośnego prawnika.

W prywatnem życiu mecenas był człowiekiem rzadkiej delikatności a nawet wspaniałości; nie skąpił ani na życie, ani na ofiary, pieniędzmi sypał i nie żałował wcale na to, co mu przyjemność robiło lub zadowalało fantazje artystyczne; — w urzędowem. z chłodem osobliwszym i obojętnością zupełną, podejmował się spraw nawet najmniej przyjemnych a niezawsze czystych. Interes dla niego nie miał strony moralnej, ale był zadaniem, którego wartość stanowiło przezwyciężenie trudności. Chętnie i chciwie chwytał takie, o których inni zrozpaczyli, budziły one jego działalność umysłową — grał jakby partją szachów z przeciwnikami i wysilał wszystką swą wiedzę i zdolności: aby koniecznie zwyciężyć.

Utrzymywał zresztą, iż o uczciwość interesów powinny się troszczyć strony bojujące, których on był tylko narzędziem. Teorji tej wartości rozbierać nie myślemy, to pewna, że jej mecenas ze spokojnem sumieniem używał. Cisnęli się też doń zdesperowani i tacy. których sprawy polegały na jaknajzręczniejszych referatach. Prawie bezprzykładnem było, aby Hartknoch kiedy przegrał; jeśli widział że rzecz była

w istocie niemożliwą, naówczas przyjąć sprawy nie chciał. Człowiek był, bądź co bądź oryginalny, miał własne wyobrażenia, o które sporów nie toczył, ale według nich postępował.

Po powrocie z wycieczki, w ciągu której wstępował do Lublina i zajeżdżał do Brańska, mecenas powrócił do dawnego trybu życia, dał sobie tylko słowo, jak mówił, iż podróży więcej odbywać nie będzie, gdyż w nich traci się zbyt dużo czasu, doznaje trudów wiele, a gra świecy nie warta.

Właśnie w jaknajweselszem usposobieniu zasiadano jednego wieczoru do herbaty u mecenasa i żwawe toczyły się rozprawy o granej przed dwoma dniami komedji konkursowej, gdy służący wszedł zakłopotany i doniósł panu Hartknochowi, iż jakiś nieznajomy jegomość usilnie się z nim widzieć domaga; nazwiska powiedzieć nie chce, ale prosi niezwłocznie choć o krótkie posłuchanie o dwa słowa.

Na wypadek takich natrętów miał mecenas osobny gabinet, do którego wnijście było z sieni, tam chwilowo przyjmował ich i odprawiał do kancelarji; nigdy ich jednak nie puszczano do salonu, by swobodnej atmosfery jego oddechem swym nie zatruli. Z wyrazem gniewu prawie pan Hartknoch wstał od stolika i skierował się ku gabinetowi, do którego służący już był wpuścił owego utrapionego. nieproszonego gościa.

— Wracam natychmiast — rzekł do przyjaciół.

W gabinecie paliła się lampa na stoliczku, nieopodal od progu stał w półcieniu nieznajomy jegomość, ze zwitkiem papierów pod pachą. Mecenas na pierwsze spojrzenie poznać go nie mógł.

Był to nizkiego wzrostu, zgarbiony trochę mężczyzna już niemłody, ubrany starannie i zdający się do lepszego należeć towarzystwa. Suknie, kapelusz, laska ktorą trzymał w ręku, obcisłe rękawiczki pozapinane na guziczki, chustka od nosa woniejąca Jockey-Clubem, lakierowane buty, przy siwych włosach i pomarszczonej twarzy, trochę dziwnie odbijały. Mecenas zbliżył się doń żywo, wpatrzył baczniej i okrzyk

podziwienia z ust mu się wyrwał. Zdawał się oczom swym nie wierzyć, wpatrzył się i zawołał:

— Pan Zembrzyński... być-że to może?

— Ja jestem — ja — tak, tak, cichutko rzekł, witając się stary — cicho, proszę pana, cicho! Na chwileczkę, czy mogę się rozmówić? bo interes mam ekstra-pilny...

— Ja, kochany panie, wieczorem i raz wyszedłszy z kancelarji, żadnym interesem nigdy się niezajmuję, jest to u mnie prawidłem niezmiennem... Lecz — na miłość Boga! co za metamorfoza!

Zembrzyński ruszył ramionami i śmiać się zaczął stłumionym, suchym śmieszkiem.

— Widzisz kochany łaskawco — trzeba umieć być tem zawsze. czego okoliczności po nas wymagają. W domu człowiek żyje jak mu się podoba. wychodząc w świat, musi jak mu najwłaściwiej i najrozumniej. Otóż, widzi kochany łaskawca, wypadło mi się teraz ubrać...

— Byłbym pana nie poznał...

— Hę, w zwierciadle ja sam, powiem panu dobrodziejowi — prawie poznać się nie mogłem, ale tem ci lepiej. Wracając do rzeczy — dodał — o interesie...

— Ja wieczorem przestaję być mecenasem, tak jak pan, wyjeżdżając z Firlejowszczyzny, zrzucasz stary szlafrok...

— A więc na żaden sposób nie możemy...

— Na żaden sposób.

Zembrzyński westchnął.

— Przyjdź pan jutro do kancelarji przy ulicy Miodowej — rzekł mecenas.

— Do kancelarji — nie mogę!

— Uczynię dla was wyjątek, przyjmę w domu, jeśli chcecie, ale jutro rano...

Zembrzyński westchnął znowu.

— Nieodwołalny to wyrok? spytał.

— Prawo tak chce! śmiejąc się, dodał grzecznie Hartknoch; szanując inne prawa, musiemy i te, któ-

reśmy sobie sami nadali. ściśle wypełniać — przepraszam pana...

— A, to ja przepraszam! zatem jutro — o ósmej. tu.

Mecenas się skłonił i wychodzącego przeprowadził do drzwi. Z przedpokoju słychać było wrzawliwą rozmowę w salonie. Napróżno go dopytywano dlaczego tak sposępniał — nie powiedział nic — a po chwili rozmowa rozchmurzyła mu czoło. Rozprawiano przy herbacie o wszystkiem, co było dnia ubiegłego pokarmem: o ludziach. o plotkach, o przybyłych do Warszawy. o składających się małżeństwach i rozkładających się stadłach... Wesołość była znów powszechną.

— Jeżeliście wczoraj nie widzieli loży w Wielkim teatrze, która wszystkich oczy zwracała, rzekł do mecenasa ktoś z jego poufałych przyjaciół — to żałujcie... bo było zaprawdę na co patrzyć... Dla wtajemniczonych odegrał się między widzami ciekawszy może dramat w lożach, niżeli na scenie.

— Cóż to było? co? zawołano ze wszystkich stron.

Opowiadającym był niemłody już człowiek, jeden z tych Warszawiaków czystej krwi. którzy nie oddalają się nigdy prawie od miasta nad Wolę. Mokotów i Pragę. człowiek. który od lat dwudziestu nie bywał chyba na kilka godzin na jarmarku w Łowiczu. Znał on tutejsze domy. ich stosunki i najtajniejsze historje buduarów, które zresztą tajemnicą nie są chyba na dni kilka i dla tych co o nich wiedzieć nie chcą. Stary kawaler. ale udający złotego młodzika, zajmował się szczególniej kolporterstwem plotek i to mu dawało wyborne obiady bezpłatne, doskonałe wieczerze. a bardzo przyjemne herbaty.

Znano go powszechnie pod nieprawdziwem nazwiskiem. przez kogoś mu nadanem. a wybornie doń przylgłem — Kryszpina.

— Kryszpinie kochanie — uszy i serca otwarte na twą powieść czekają. Szeherezado najmilsza... cisza panuje! mów!...

— Mowić nie odmawiam — odchrząknąwszy ozwał się Kryszpin — lecz upokarza mnie wasza nieświadomość rzeczy powszechnie znanych i indyferentyzm na najważniejsze wypadki, któregobyście się sromać powinni.

— Srom nasze lica okrywa! zawołano — ale mów, nieznośny Kryszpinie.

— Poczynam, za co mi wdzięczni być macie, bez przemowy — rzekł powołany. Rzecz się tak miała... Grano Fredry Damy i huzary, publiczność była wyjątkowo świetna i liczna. Czy ją przypisać należy geniuszowi Fredry, czy deszczykowi, który kropiąc zaspany, przechadzek nie dopuszczał — zostawiam to sądowi światłych moich słuchaczów... W początku pierwszego aktu otworzyła się loża pierwszego piętra i — nieznana rodzina jakaś z prowincji zainstalowała się w niej tak hałaśliwie, że kilka razy syknąć na nią musiano. Tym sposobem zwróciła ona na siebie wzrok publiczności, lecz raz tam padłszy, oczy się już od szanownej rodziny zajmującej lożę oderwać nie mogły. Wiecie, czcigodni słuchacze, jak Warszawiak wybredny ma smak, jak przedziwne poczucie piękna, jakim węchem niezrównanym umie rozeznać zwierzynę od swojskiego drobiu... przepraszam... zwierzyną nazywam z lasów i błót wiejskich przybyłe istoty naiwne, cyranki, gęsi, bekasy i czaple, które w czasie jarmarków na wełnę i karnawału niekiedy przelotnie nas nawiedzają. Loża zajęta była przez tego rodzaju istoty. Siedział w niej otyły mężczyzna z orderem na szyi, rad z siebie, utuczony, z twarzą promieniejącą złotem jego kieszeni — pewien iż ściągnie uwielbienie powszechne... Naprzeciw niego... widocznie córka, bo nie żona, żółta, nierozkwitła jeszcze piękność, niepokaźna, chuda, ale strojna jak szewc na niedzielę. Porównanie jest trywialne, nie przeczę, ale obrazowe i wyraziste. Jak indyjskie bóstwo okrywały ją klejnoty, fałszywe czy prawdziwe, nie wiem, dosyć że iskrzące się blaskami nadzwyczajnemi... W pośrodku towarzyszka, widocznie obco-plemienna guwernantka,

czy dame de compagnie, raczyła przez lornetkę zgłębiać niziny parterowe i badać fizjognomie śmiertelników którzy zajmowali krzesła orkiestrowe... Wystawcie sobie taką lożę, po długiem wygłodzeniu oczów naszych, przychodzącą je nakarmić jakby żywą illustracją Bertall'a... Lornetki ze wszech stron skierowały się na nieszczęśliwe ofiary, spinano się na palce aby się lepiej przypatrzyć, z obawy by ten czarowny obraz nie zniknął. Szczęściem, wiemy to z doświadczenia, parafianin przybywający ze wsi, ani zapłaconego bifstiku na talerzu, ani kupionego na cztery akty biletu, nie pozostawia niedojedzonym. Jeszcześmy wyliczali łańcuchy, bransolety, kanaki i klejnoty córki, a unosili się nad przepysznemi dewizkami rozwieszonemi na aksamitnej kamizelce ojca, gdy loża otworzyła się i wszedł do niej młodzieniec... dziwnej piękności i najczyściej paryzkiego szyku...

Znalezienie się jego obok tych klejnotów i panny, łatwo się dawały tłumaczyć bez cicerona — panna być musiała posażną jedynaczką, a młodzian wielkiego rodu a osuszonego worka pretendentem do ręki, którą ściśniętą w blado-lila rękawiczce ujrzeliśmy na skraju loży i dostrzegli jak konwulsyjnie zadrżała. Na wiwok młodziana ojciec wstał szybko i nie uspokoił się, póki go na swem miejscu naprzeciw córki nie usadowił. Naówczas dopiero światło padające na piękną twarz przybyłego dało w nim wielu znajomym rozpoznać dawno już w Warszawie niewidzianego księcia Roberta Brańskiego. Zdziwienie było powszechne. Otóż na co zeszli Brańscy! szeptano z politowaniem. Wszak panowie znacie, wiecie, słyszeliście przynajmniej, kto są, a raczej czem byli książęta Brańscy! dodał opowiadający.

Głosy potakujące. — A jakże! a juściż! odezwały się zewsząd, a on mówił dalej:

— Nie spuszczaliśmy ich tedy z oczów. Lecz tu epizodycznie wtrącić muszę pytanie: czy kto z panów swojego czasu słyszał o tragicznej historji pięknej hrabianki Natalii i Antinousa od huzarów?

— O tej historji, której związek z lożą zaczyna się nam zarysowywać, rzekł mecenas, jabym pragnął informacji. Słyszałem coś o niej, ale nie mogę powiedzieć żebym ją znał.

— Najchętniej przystaję na powtórzenie jej po raz pewnie pięćdziesiąty w życiu — mówił dalej Kryszpin, lecz nie ufam swym siłom, bo czuję że w niewłaściwym tonie bym ją opowiadał. Czy kto z panów mnie nie zastąpi?

Nikt się nie zgłosił.

— Zatem epizod pięknej Natalii i Antinousa huzara — rzekł Kryszpin — słuchajcie! Onego czasu na horyzoncie nadwiślańskim zjawił się nowo kreowany hrabia, którego zwano niżnikiem czerwiennym, nie wiem dlaczego. Zajmował on bardzo wysokie stanowisko, do którego dobił się przez help you self. Mówiono jednak że najwięcej sobie pomagał ukłonami, uniżonością i bieganiem za cudzemi wszelkiego rodzaju interesami po błocie. Zaszargał się też, ale na to nie zważano. Szedł coraz wyżej, wyżej i dopiął się najwyższych stopni. Fama opowiadała o nim, iż niegdyś buty miał czyścić tym, którzy teraz zmuszeni byli stać u niego w przedpokoju. Talentu wielkiego nie miał, za to giętkość przedziwną, fiszbinową. Nic mu nie szkodziło zgiąć się we dwoje, dawać sobie jeździć po plecach, chodzić na rękawach, śmiać się z rzeczy smutnych, a płakać nad wesołemi. Tym sposobem dorobił się on wszystkiego czego tylko dorobić się można, nawet najtrudniejszej rzeczy dla ubogiego — majątku. Znalazły się tedy zaraz i prababki arystokratyczne, i dziadowie dygnitarze, i herb, i szlachectwo i koligacje. Brzydki był, czerwony, trędowaty, włos mu rosnął kępami, ospa go podziobała, ręce miał burakowej barwy, masyw jak niedźwiedzie łapy, ale trzymał się prosto, suknie miał od Chabou, gwiazdę u fraka, il avait l'air distingué. Zachciało mu się żony i to takiej, żeby się nią można było pochwalić. Żyła naówczas w Warszawie z pensji emerytalnej pani generałowa N. N., niewiasta głośna z wdzięków.

z przygód, z podróży odbywanych z różnymi towarzyszami ze skandalików i pojedynków, które dla jej pięknych oczów odbywano. Lecz z czasem stała się surową, nabożną, niezmiernie gorliwą o duszne zbawienie i najprzykładniejszą z kwestarek. Wychowywała ona córkę, cudo piękności, jeszcze — mówiono — piękniejszą, niż mama była za młodu. Szło o wydanie za mąż tej Wenery, ale nie ladajako: bogato i tak, ażeby na wielkim świecie, do którego zrodzoną była, świetnieć mogła. Matka pilnowała tak tego rozpękającego kwiatka, iż kroku jej bez siebie stąpić nie dała. Kochali się tłumami w niej wszyscy, panna Natalia bawiła się tem, ale niebezpieczeństwa nie było ażeby się dała obałamucić. Serce spało. A że mama uczyła jej arytmetyki i wpoiła w nią pytagoresowe zasady głęboko, można było być pewnym, iż panna albo wyjdzie dobrze za mąż, lub potrafi czekać bez niecierpliwości. Piękność jej była tego rodzaju: które się do lat czterdziestu świeżuteńkiemi utrzymują.

Było już lat dwadzieścia i pięć pannie, gdy świeżo kreowany hrabia ów ujrzał ją, namyślił się krótko, oświadczył i ożenił. O kochaniu mowy być nie mogło; było to małżeństwo buraka z wiązanką jaśminu. Hrabina zwycięzką stopą wstąpiła natychmiast na Olymp i Olymp powitał ją jednym uwielbienia okrzykiem. Zadowolenie miłości własnej, oklaski musiały szczęście domowe zastąpić. Piękna Natalia królowała, i tego jej było dosyć. Trzeba przyznać że tacy mężowie jak dostojny małżonek hrabiny Natalii, obudzają nawet w najniewinniejszych ludziach chętkę próbowania szczęścia przy nieszczęśliwej ofierze. Hołdy sypały się u stóp piękności, lecz hr. Natalia, przyjmując je, nie dała pierwszeństwa nikomu.

Trwało to czas jakiś i już hymny sławiące cnotę bóstwa tego ukazały się w pismach perjodycznych, w których ona pod imionami Astrei, Celesty, Heliodory i Angeliki wielbioną była, gdy zjawił się na skraju Olympu Antinous huzarów, mówiąc prozą, książę Robert Brański! Chociaż książę Robert dziś jeszcze

jest najpiękniejszym mężczyzną swojego czasu (nie przesadzam), naówczas, gdy się tu po raz pierwszy zjawił, młodziutki, świeży, wesół, mężny, szykowny, dowcipny. — okrzyczano go słusznie za cudowne zjawisko. Jedna panna strzeliła sobie z rozpaczy rozmiłowawszy się w nim, w bok i raniła niebezpiecznie watowany gorset. Rozrywano go, chwytano, zapraszano, szalano, książę Robert stał się coqueluchem tych pań, począwszy od najstarszych do młodziusieńkich.

W pół roku po jego zjawieniu się rozeszła się wieść, iż hrabina Natalia śmiertelnie się w nim kocha, a on w niej. Mąż odbywał naówczas jakąś długą podróż z obowiązku, a hrabina pod opieką matki została. Romans stał się tak jawnym, iż najbardziej pobłażające osoby, znajdowały go trop accentué. Dziwiło to ze strony hrabiny, dotąd nadzwyczaj ściśle zachowującej formy i przestrzegającej przyzwoitości.

Młodzieniec zaś, któremu tego nikt za winę nieposzytywał, był jak obłąkany, upojony, oszalały i nieprzytomny. Z jego strony była to widocznie owa pierwsza miłość człowieka wychowanego surowo, w zasadach chrześciańskich, który bronił się długo grzesznej myśli i w końcu padł, gotów już wszystko poświęcić sile czarodziejskiej która go zwyciężyła. Więcej go żałowano, niż obwiniano. Byli i tacy co uniewinniali nieszczęśliwą hrabinę, skazaną na małżeństwo z człowiekiem którego kochać, ani szanować, ani znosić nie było podobna.

Miłość tych dwojga kochanków z nad brzegów Wisły zajmowała całe miasto. Śledzono ich tak, że niemal o każdym ruchu, o każdej wiedziano przejażdżce. Nie wiem już jaki nowy przedmiot, przybycie jeźdźców Renza czy orkiestry niemieckiej, — odwróciło od nich uwagę. Ale stosunek ów nieszczęsny trwał dość długo, dłużej niż one trwać pospolicie zwykły. Wszyscy co znali ks. Brańskiego mówili że niepodobna było na ziemi znaleźć nieszczęśliwiej szczęśliwego człowieka od niego. Szalał on, męczył się, upajał i rozpaczał, gryzło go sumienie, przestraszała obawa jutra, męczyła wreszcie ta Natalia, która była dziwaczna, zazdrosna i nie umiała inaczej kochać, tylko z torturami — dręcząc tego kogo umiłowała i siebie.

Melodramat ten trwał, trwał, dopóki na widokręgu wielkiego świata nie zjawił się poprzedzony sławą stugębną wielki Lovelace, pułkownik W. Książę Brański podobnym był do Antinousa, ten przedstawiał typ młodego Herkulesa. Miał też odwagę jego i był z profesji uwodzicielem. Gdziekolwiek stąpił, drogą swą znaczył tryumfy głośnemi, również jak następujące po nich płacze. Pułkownik czy się zakochał chwilowo w Natalii, czy chciał swej wyższości nad Antinousem dowieść, bo go gniewało że ich obu porównywać z sobą śmiano — dosyć że zaczął bywać, że zwrócił uwagę, że w końcu księcia Brańskiego, jak pospolicie mówią — odsadził.

Ale ks. Robert kochał prawdziwie, była to jego pierwsza a może i ostatnia miłość, nie po światowemu ją brał, ale po młodzieńczemu. Opanował go szał rozpaczliwy. Wpadł raz do domu hrabiny, zastał ją sam na sam z pułkownikiem, choć mu powiedziano że pani nie było, i rzucił w twarz Herkulesowi rękawiczkę. Nastąpił pojedynek śmiertelny, książę ranił przeciwnika, czyniąc go kaleką na całe życie, lecz sam nazajutrz rozchorował się i winien był ocalenie tylko nadzwyczajnej troskliwości lekarza swego. Malcza. Nierychło złamany, osłabły, zrozpaczony wstał z łoża boleści, aby zakopać się na wsi. Mówiono powszechnie iż w czasie choroby hrabinie Natalii wróciła najgwałtowniejsza miłość ku niemu, że zapomniawszy na wszystko, dnie i noce spędzała u jego łoża; lecz gdy książę odzyskał przytomność, a ona na klęczkach błagała go o przebaczenie, odepchnął ją i rozstali się na wieki. Znać z obu stron przywiązanie to musiało być prawdziwem i wielkiem, bo, jak wiadomo — książę nie pokazał się więcej na świecie, a hrabina, wkrótce po-

tem owdowiawszy. włożyła żałobę, złośliwi mówili nie po mężu, tylko po Robercie, zamknęła się w domu, wyrzekła towarzystwa i pozostała pokutnicą samotną do dziś dnia.

Opowiedziałem państwu tę historją jak mogłem najkrócej, była bowiem potrzebną dla zrozumienia dalszego ciągu mej powieści. do której powracam.

Stanęliśmy tedy na tem. że ojciec brylantowej panny księcia na honorowem miejscu, naprzeciw córki posadził. Mnóstwo osób poznało dawnego Antinousa i zaczęto pocichu opowiadać sobie jego dzieje, gdy drzwi loży przeciwległej otworzyły się i weszła czarna, jak zawsze, ubrana hrabina Natalia. Oczy wszystkich, którzy świadomi byli historji starożytnej, obróciły się z natężoną ciekawością na dwie loże, ręką losu jakby naprzeciw siebie postawione.

— Otóż tu — rzekł Kryszpin, zadanie moje opowiadacza i malarza staje się nader ciężkiem. — gdyż akcja się rozdwaja i współcześnie scena odegrywa się inna w loży na lewo, inna na prawo. Uważano że ks. Robert, posadzony przez ojca naprzeciw panny, przywitawszy ją, podparł się na łokciu. wlepił oczy w teatr i długo pozostał nieruchomym. Panna zaś więcej na niego niż na teatr patrzyła. choć oczy wszystkich były na nią zwrócone. Nagle ks. Robert, wodząc wzrokiem po sali bezmyślnie, ujrzał lożę naprzeciw i w niej siedzącą kobietę czarno ubraną. której twarzy zwróconej ku scenie dostrzedz jeszcze nie mógł. Jednakże widziano jak drgnął, wyprostował się i pobladł. W tej samej chwili. jakby poczuwszy uderzenie tych oczów, jakby iskrą elektryczną zbudzona. odwróciła się hr. Natalia, oczy jej siłą jakąś niewidzialną ciągnione skierowały się na ks. Roberta; ujrzano ją podnoszącą się na siedzeniu. wyciągającą ręce. lekki krzyk słyszeli najbliżsi tylko i hrabina omdlała runęła na ziemię.

W sąsiednich lożach powstało zamięszanie. W pierwszej chwili ks. Robert zerwał się, jakby chciał biedz także na pomoc omdlałej, potem padł

na siedzenie i blady jak trup, zakrywszy twarz dłonią, pozostał tak męczennikiem do końca widowiska. Kilka razy przemówiła doń siedząca naprzeciw panna i jej ojciec: zdawał się nie słyszeć lub nie rozumieć. Dotrwał jednak na swem stanowisku do końca i wyszedł z rodziną tą, która podobno, jak mówiono. pochodzi z Podola. Jest to hrabia Mościński, którego już w Warszawie przezwano Pontiusem Piłatem; hrabianka ma być narzeczoną ks. Roberta i milionową dziedziczką. Hrabinę Natalią, docuciwszy się jej, zaniesiono do powozu i odwieziono do domu.

Na tem się skończyło opowiadanie Kryszpina.

KONIEC TOMU PIERWSZEGO.

Biblioteka Uniwersytetu Ludowego Tow. Szkol.
Radomiu

WYBÓR POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom dziewiętnasty.

Biblioteka Uniwersytetu Ludowego w Radomiu

MORITURI.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

Biblioteka Uniwersytetu Ludowego im. Stan. Staszica w Radomiu

TOM II.

WARSZAWA.
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.
1883.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Сентября 1883 года.

Warszawa. — W Drukarni S. Orgelbranda Synów, Bednarska Nr 20.

Inw. nr. 97

Biblioteka Uniwersytetu Ludowego Tow. Szkol. w Radomiu

Morituri vos salutant.

Nazajutrz rano na ósmą godzinę zjawił się zamówiony pan Zembrzyński. Metamorfoza o białym dniu wydała się Hartknochowi jeszcze dziwniejszą. Nawykł był tego człowieka widywać w brudnej i starej odzieży. opuszczonym, nędznym, nie mógł się więc wydziwić przemianie jaką woda i suknie mogą dokonać na człowieku. Zembrzyński wydał się bardzo przyzwoicie, rzekłbyś że nigdy w owym szlafroczku podpasanym rzemieniem nie chodził i drewek sobie przed Firlejowszczyzną nie łupał. Odmłodniał pod brzytwą balwierza, stał się bardzo przyzwoitym obywatelem, a nie widać było żeby mu te suknie ciężyły. obracał się w nich jakby do nich nawykł. Co więcej, taki był wpływ zaszłej w nim zmiany, że się stał śmielszym. mniej uniżonym, pokornym, a nawet głos podnosił niekiedy z pewnym akcentem i odwagą. Mecenas patrzył nań jak na ciekawe przeistoczenie dobrze i z talentem ucharakteryzowanego artysty.

Prosił go siedzieć — Zembrzyński siadł, począł zdejmować rękawiczki.

— Łaskawca mi pozwolisz iż papiery przygotuję, rzekł, bo tu idzie o zadecydowanie, czy nie czasby było wymierzyć cios stanowczy. Oto jest, najłaskawszy

mój dobrodzieju, praeter propter stan majątku, rozległość jego, rozkład gruntów, ilość pól ornych, sianożęci, nieużytków, lasów...

— Zkądżeś to pan mógł wziąć? zapytał mecenas.

— A! to się tam wystarało, odparł Zembrzyński. Miałem tam na gruncie mojego człowieka, który parę lat około tego chodził, bo, widzisz mój dobrodzieju, wszystko należy zbadać dokładnie, chcąc działać na pewno. Boleśnieby mi było i niebezpiecznie omylić się w rachubach. Musiałem wiedzieć doskonale o wszystkiem. Tu są inwentarze, dalej, mój łaskawco, spis długów i dłużników, dalej notaty objaśniające.

Podniósł Zembrzyński oczy do góry ku zdumionemu mecenasowi.

— Tyle się lat pracowało, odezwał się wzdychając — zdawało się że ot, ot, jest się u celu. Ludzkie sprawy! Wiesz mój łaskawco, iż temu gmachowi, który ja długiemi laty wznosiłem po cegiełce, chleb sobie od ust odejmując, zagraża teraz najzupełniejsza ruina? Tak jest.

— Zkąd? spytał mecenas.

— Ks. Robert może się ożenić z córką hr. Mościńskiego... w takim razie magnat ten znajdzie kapitał na oczyszczenie dóbr, a że umie się rządzić, jeśli w imieniu córki obejmie Brańsk, ja przepadłem.

— Ależ waćpan musisz w takim razie odebrać swoje pieniądze? zawołał Hartknoch.

— A co mi po tych pieniądzach? odezwał się Zembrzyński, co mi po tych pieniądzach?...

— O cóż panu idzie? rzekł zdumiony prawnik. Chcesz dóbr?

— Na co mi te dobra? powtórzył stary, co mi po tych dobrach?

— Czegóż więc waćpan pragniesz? prawdziwie nie rozumiem go.

Stary uśmiechnął się jakoś gorzko, ale słowa które miał wyrzec zatrzymały mu się na wargach... nie odpowiedział nic.

— Idę dalej — począł, grzebiąc się w przyniesionych papierach. Przeciwko zamierzonemu małżeństwu użyję wszelkich możliwych środków, będę się starał otworzyć oczy hrabiemu, trafię do niego. Jeżeli jednak blask mitry tak go zaślepia, że się ruiny Brańska nie zlęknie, będzie należało przyśpieszyć akcją i nim się młodzi pobiorą, wytoczyć procesy, nałożyć inhibicje, majątki zagarnąć w administracją, słowem przynajmniej narobić hałasu i strachu, a...

— Cóż mnie pozostaje do czynienia? spytał mecenas, nie badając już więcej klienta.

— Pan dobrodziej, łaskawco mój najdroższy — rzekł, zniżając głos, Zembrzyński, raczysz mieć się w zupełnej gotowości, ażeby na dany znak atak ze wszech stron przypuścić,. w imieniu Dawida Salomsona, w imieniu Bambergerów, Pulwerschmidtów, Hagelbornów i wszystkich tych, którzy moje nazwisko zasłaniają. Moje nie powinno być wymienionem nawet, dopóki ja do tego nie upoważnię. Mnie tu niema, ja jestem i pozostaję niewidzialnym.

— Wszystko to dobrze — odezwał się mecenas, ale pozwól sobie uczynić jednę uwagę, kochany panie Zembrzyński. Bądź co bądź, całej tej sprawy nie prowadzisz do grania z Brańskimi w ciuciubabkę, jest w tem cel. Ja, człowiek praktyczny, mimo twojego wypierania się, przypuszczam zawsze, że ci się chce tych dóbr ks. ks. Brańskich. Masz pan znaczne kapitały, zebrane pracą, oszczędnością, spekulacjami, trochę lichwą, frymarkiem majątków i t. p., jest to owoc całego waszego życia. Jednakże kapitały te, choć znaczne, nie starczą na nabycie dóbr Brańskich. Jeżeli, zapaliwszy się, pokusisz o kupno przechodzące siły, możesz paść sam ofiarą.

Zembrzyński się śmiać zaczął tak naiwnie, serdecznie jakoś i dziwnie spokojnie, że Hartknoch prawie się obraził. Ludzie nawykli do mentorowania drugim, niełatwo znoszą, gdy im kto omyłkę w rachubie wytknie.

Lice mecenasa okryły się purpurą.

— Czegóż się waćpan śmiejesz? zawołał oburzony.

— Bo, kochany łaskawco. jesteś śmieszny! rzekł, ściskając jego rękę. Zembrzyński — za kogóż mnie pan masz? ale za kogóż? Czyżbym ja miał być, z pozwoleniem, tak głupi, tak ślepy. żebym sięgał po dobra ks. ks. Brańskich? Niech je sobie kupuje? kto chce, byle jaknajtaniej. Nabywaj pan, proś przyjaciół, a mnie to do czego? Powiem panu więcej — mam gruby kapitał, w pocie czoła krwawym zebrany na tych majątkach — otóż... otóż gotowem z niego coś stracić, byle Brańscy utracili jaknajwięcej, a jeśli można, wszystko, i wyszli z koszulami... boso. Tak!...

Zembrzyński bez wzruszenia, na oko sobie chłodny — uśmiechnął się.

— Więc to zemsta tylko? rzekł mecenas.

— Nie, mój kochany łaskawco, nie — odezwał się zimno zawsze Zembrzyński — w Piśmie świętem powiedziano ząb za ząb. oko za oko, a ja nawet tak wiele nie chce. ja się sobie tak, ot tak. bawię. Jestem stary kawaler, nie mam co robić, szukam rozrywki. Czy pan nigdy nie doznałeś tego uczucia, idąc piechotą, gdy cię obryzga jadąca kareta, że radbyś do niej siąść i także trochę owalać tego co cię obrukał?... Na starość przyplątują się do człowieka fantazje różne, a ja jestem dziwak. Ot cała rzecz. Zemsta! A za cóżbym się ja miał mścić na nich? Ja ich, mogę powiedzieć, tak prawie, jak nie znam, no, nie znam! Tylko lubię figle płatać.

— Panie Zembrzyński — zimno odparł mecenas, spoglądając na zegarek i zbierając papiery — doktorowi i prawnikowi nigdy nie trzeba prawić wymysłów; biorą oni za puls i dobadują się tego co im chory chce ukryć. Zresztą ja się pana nie pytam już o nic. Ciekawym nie jestem. Powinienem był wszakże wiedzieć cel pana, aby się do niego zastosować.

— Mój cel, mój cel — szepnął Zembrzyński, najprostszy w świecie, żeby ich diabli wzięli, ot i po wszystkiem. Jak i którędy ich poniosą, to mi wszystko jedno.

Dzikim śmieszkiem, zaczęły mu drgać usta i z pokorą począł mecenasa całować po ramionach, chociaż się ten z pewnym wstrętem usuwał.

— Bawisz pan w Warszawie? spytał Hartknoch?

— Muszę, muszę niestety, i dowiem się jeszcze do mojego dobrodzieja i łaskawcy.

— Zatem do zobaczenia — żegnając go, zamknął mecenas, jest to moja godzina, w której do kancelarji śpieszyć muszę — darujesz mi... śpieszę.

— Masz pan powóz?

— A nie, pieszo.

— Podwiozę pana, moja kareta stoi u drzwi, a ja też jadę w tamtę stronę.

— Pańska kareta? kareta pańska? powtórzył zdumiony Hartknoch.

— A no, tak, raz w życiu trzeba spróbować jak się jeździ na resorach, rozśmiał się stary — służę panu.

Przybywszy do Warszawy na nieco dłuższy pobyt. gdyż panna Alfonsyna miała brać lekcje muzyki u najpierwszych tutejszych nauczycieli — hrabia Mościński nie mógł pozostać w hotelu. Pierwszych dni kilka przebyto w nim, ale szukano apartamentu stosownego, i choć z dosyć wielką trudnością, bo hrabia był bardzo wymagający, znaleziono pierwsze piętro przy ulicy Senatorskiej. przepysznie umeblowane, które rodzina jakaś. wyjeżdżająca do Włoch, na kilka miesięcy odnajmowała.

Dla hrabiego Mościńskiego. który na wsi pracować umiał i zbierać, w Warszawie nic nadto wspaniałem być nie mogło. Szło mu też o to. aby hrabianka,

o którą się starał książę Brański, pokazała się tu z przepychem imienia godnym.

— Trzeba tu tym Warszawiakom zaimponować, mosanie — mówił hrabia — niech znają Podolaka! Człowiek na to pracował życie całe, żeby przecię trochę użyć i dziecku kochanemu dać przyjemności skosztować.

Poszło za tem, że musiała być kareta, konie, służba liczna, kucharz i wszystko co pański dom stanowi. Metrów dla panny Alfonsyny szukano metodą hrabiego nie najlepszych, ale najdroższych.

— Widzisz, szanowna pani, mówił hrabia do miss Burglife, ja się tam na tem nie znam, ale jestem stary ćwik. Wziąć najdroższego, ten pewnie będzie najlepszy, inaczej nie może być. Co mi to tam za nauczyciel, który po rubelku za godzinę po błocie chodzi; ja dam pięć, i jestem przynajmniej pewny, że dostanę znakomitość. Jeżeli zaś jest taki co bierze dziesięć, piętnaście, jeszcze lepiej. Potem, jak Alfonsyna będzie grać, (choć ona ślicznie gra), wszystko jedno — powiedzą: uczyła się u tego a tego, to dosyć. Pani nie wie ile to osób znakomicie gra dlatego, że dwa razy był u nich Szopen. Ludzie są ludźmi.

Hrabia był człowiekiem w swoim rodzaju nader praktycznym. Dom urządzono według tej samej metody, brano wszystko tam gdzie było najdrożej. Najmniej może hrabia dbał o siebie samego; zostawił sobie lichą izdebkę na tyle, w której spał w kątku na niewiedzieć jakiem łóżeczku, a w południe listu w niej przeczytać nie mógł; dla reprezentacji jednak oddzielił sobie pokój wspaniały, w którymby mógł przyjmować. Tu na niczem nie zbywało, co okazałość zwiększyć mogło. Tylko nie lubił tego pokoju hrabia, był w nim jakby obcy, wolał swoją brudną izdebkę, w której zabrukać się mógł bez żadnej ceremonii. Gości przyjmował zwykle w paradnym pokoju, żył zaś w tym zakątku. Miss Burglife i Alfonsyna wyrzucały mu to.

— Dajcie mi pokój — mówił — co to komu szkodzi? ja tu sobie jestem jak w domu.

W domu hrabia miał także taki pokój poufały, w którym nie było się na co oglądać, bo tylko zabrukany stół; połamane krzesła i stara sofka go meblowały.

Właśnie przy oknie zajęty był rozpatrywaniem rachunków hrabia Mościński, gdy służący wszedł i zameldował mu jakiegoś pana, który karetą przyjechał i chciał się widzieć z interesem bardzo pilnym.

— E! karetą przyjechał? zawołał Mościński, gromadząc rachunki — o godzinie kwadrans na dziesiątą? Cóż to może być? Z interesem? Ale jak się zowie?

— Nie powiedział — domaga się jednak koniecznie widzenia z jasnym panem.

— Jakże wygląda?

— Wychylił się przez okno od karety: stary, siwy już — rzekł służący.

— Z interesem? ale ja tu żadnych w świecie nie mam interesów, ja tu nie za interesami przyjechałem. Cóż to może być?

Pomyślał hrabia jeszcze.

— Karetą powiadasz przyjechał? a no, to prosić, ale do żółtego pokoju.

Żółty pokój był paradnym hrabiego, który się ogarnął, przejrzał w zwierciedle, powiódł dłonią po niegolonej brodzie i wyszedł; zmieniwszy szlafrok brudny na atłasowy — do żółtego pokoju. Tu, przy próżnem biurku, zaczął biały papier przeglądać, gdy drzwi się otworzyły i wszedł z miną nadzwyczaj pokorną a grzeczną, mały, zgarbiony siwawy człowieczek, posuwając się drobnemi kroczkami ku hrabiemu.

— Najmocniej przepraszam hrabiego, iż śmiem w tak niezwyczajnej porze i zupełnie mu nieznajomy, przerywać jego zajęcia, odezwał się cichym głosem — lecz interes najwyższej wagi zmusza mnie być natrętnym. Spodziewam się, jeśli mnie hrabia wysłuchać raczysz, iż uznasz mię niewinnym i gniewać się nie będziesz.

— Ale z kimże mam honor? zapytał hrabia.

Stary jegomość zaciął się, brwi do góry podniósł i jeszcze bardziej zniżonym głosem odezwał się:

— Zupełnie nieznana hrabiemu osobistość i nazwisko. Jestem prawnik z powołania, nazywam się, (tu. jakby się zadławił, mając skłamać) — zowię się Piątkiewicz, z powołania adwokat.

— Bardzo mi przyjemnie! odparł hrabia — proszę siadać.

„Piątkiewicz! powtórzył w duchu — musi być jakiś kuzyn tego Wtorkiewicza u Fredry."

Stary. który się Piątkiewiczem nazwał, nie siadł, ale się jeszcze bardziej zbliżył do hrabiego.

— Najprzód muszę hrabiego spytać, czy mu nie przeszkadzam, mam dosyć do mówienia — rzekł; powtóre prosiłbym. ażebyśmy mogli zupełnie na osobności mówić i tak by nas nikt nie podsłuchał.

Hrabia, coraz bardziej zdziwiony i zaciekawiony ruszył ramionami.

— Widzisz pan dobrodziej — odezwał się. że jesteśmy sami. a w swoim domu, mogę panu zaręczyć...

— Przepraszam! przepraszam! tu dosyć kłaniając się nizko. począł ów Piątkiewicz.

Usiedli naprzeciw siebie. stary się z krzesłem przysunął, obejrzał i mówił powoli:

— Uniżenie błagam hrabiego abyś się nie niecierpliwił i dał mi czas do zupełnego wytłumaczenia się. Jestem w takiem położeniu względem pana dobrodzieja. iż ułamkowo i pobieżnie nie sposób mi usprawiedliwić się z mojego kroku.

— Ale proszę mówić — słucham! rzekł hrabia, trochę przestraszony w duchu. myśląc: tam do diabła — będzie niezawodnie żądał pieniędzy. Jeden z tych żebraków niebezpiecznych, co karetami jeżdżą, najnieznośniejsza rzecz w świecie.

— Chociaż ja nie mam zaszczytu być hrabiemu znanym, ciągnął dalej Piątkiewicz — imię pańskie, w kraju szanowane i ogólnie znane. oddawna nie było mi obcem. Wiedzą wszyscy do jak znakomitej fortuny

doszedłeś pan geniuszem swym, zabiegliwością, gospodarnością wzorową...

— Oto mi kadzi! oto kadzi! pomyślał hrabia, ani chybi z trybularzem do worka dąży — ale oddaje sprawiedliwość geniuszowi, zawszem się posądzał że mam geniusz.

— Tacy obywatele, mówił dalej Piątkiewicz, są wielce krajowi potrzebni — los ich obchodzi nas wszystkich, a jeśli któremu z nich zagraża niebezpieczeństwo, czujemy się w niem zagrożeni wszyscy.

— No, no, elokwencya, znać że adwokat! myślał hrabia — ale jak on tu skręci z tego gościńca do kieszeni?

— Nie wiem czy zgodnie z prawdą. czy też fałszywie, powszechnie głoszą — kończył Piątkiewicz, iż hrabia córkę swą jedynaczkę przeznaczasz księciu Brańskiemu za żonę.

— Za pozwoleniem, wybuchnął, wstając hrabia, cóż to do kogo należy? Niema postanowionego nic, to sprawa dwóch młodych serc, ja jeszcze o tem nic nie wiem, no — lecz przypuściwszy żeby tak być miało, to cóż? kto ma prawo w to się mięszać?

— Nikt na świecie — odparł spokojnie bardzo Piątkiewicz — hrabia uczynisz co mu się podoba. Jest to sprawa dwóch młodych serc, ani słowa, ale na nieszczęście, jest to razem sprawa dwóch kieszeni.

— He? odezwał się hrabia — co takiego?

— Niema w kraju szanowniejszej, czcigodniejszej, piękniejszej rodziny nad książąt Brańskich. Ludzie zacni — mówił przybyły — imię historyczne, charaktery szlachetne, osobistość księcia Roberta godna ze wszech miar szacunku;... cóż, kiedy na nieszczęście — niema familii któraby tak jak ci biedni książęta Brańscy była zrujnowaną ostatecznie.

Hrabia słuchał, słuchał — a w końcu ogromnym śmiechem wybuchnął; Piątkiewicza to nic a nic nie zmięszało. Spojrzeli na siebie: Mościński spoważniał.

— To są magnaci! zawołał!

— Byli magnatami — mówił cicho Piątkiewicz, nie-

ma wątpliwości; gmach ten stoi jeszcze na oko cały, świeci się, lecz jutro, jedna z niego cegiełka wypadnie i — runie.

— Co mi to waćpan dobrodziej powiadasz, to nie może być! krzyknął, unosząc się hrabia.

— A zatem racz pan spojrzeć w ten wyciąg urzędowy z ksiąg hypotecznych i w dodatkowy spisik procentów i długów nieintabulowanych, ozwał się Piątkiewicz, dobywając papiery, które przed hrabią oniemiałym rozłożył.

— Dobra książęce, drogo je szacując, warte być mogą około trzech milionów, mówił ciągle adwokat, patrząc w bledniejącą twarz hrabiego, któremu się prawie słabo robić zaczynało — przypuśćmy iż warte są nawet trzy miliony. Racz-że hrabia przekonać się ze spisu, iż wierzycielom wszelkiego rodzaju należy się więcej niż ta summa.

— Trzy miliony! trzy miliony! powtarzał jak ogłuszony i nieprzytomny Mościński, mnąc papier w rękach, które drżały gwałtownie.

— Widzisz hrabia dobrodziej z tych dowodów prawnych, autentycznych, dających się skontrolować każdej chwili, iż rzeczą było sumienia o takim stanie majątkowym przestrzedz pana. Nie wątpię iż z kredytem pańskim, jego umiejętnością rządzenia, Brańscy mogliby być uratowani, lecz w takim razie musiałbyś hrabia poświęcić swe dobra podolskie, albo je zadłużyć lub sprzedać. Operacya ta musiałaby się odbywać z nadzwyczajnym pośpiechem, zatem z nieuchronną stratą; kredyt pański zostałby zachwianym, a ofiara kto wie czyby się na co przydała, bo nimbyś hrabia mógł zebrać kapitał, Brańsk poszedłby na subhastę.

Hrabia nic już nie mówił, trząsł się, patrzył na papier, usta mu się otworzyły mimowolnie, słuchał i każdy wyraz tego człowieka, z nielitościwą logiką padając na jego myśli rozgorączkowane, sprawiał na nich wrażenie kropli zimnej wody na rozpalonem żelazie.

— Taką jest sytuacya pańska — ciągnął Piątkiewicz — rzeczywista, odarta ze wszelkich złudzeń. Jeżeli jednak miłość dwojga młodych ludzi jest tak wielka, że i oni i hrabia gotowes jej poświęcić wszystko, ha! niema już co o tem mówić więcej; chociaż, tu znowu zachodzi pytanie, czy ten nieszczęśliwy a czcigodny ks. Robert, po takiej tragedyi miłosnej jaką przeżył, po takiej krwawej awanturze z hr. Natalią...

— Jak? co? awanturę miał? kto? książę Robert, podchwycił hrabia — kiedy?

— Wypadek księcia Roberta, rzekł spokojnie adwokat, znany jest powszechnie — każdy panu go opowie. Młodzieńcza, pierwsza, prawdziwa miłość szkaradnie zdradzona, zdrada pomszczona okrutnie. Nie można nawet zaręczyć po wczorajszem omdleniu w teatrze hr. Natalii, spowodowanem niespodzianym księcia widokiem, żeby historja ta była skończona; hrabina jest wdową, jest wolną, a powiadają że ks. Robert zachował dla niej w sercu najżywszą namiętność.

Ostatnie wyrazy, przypomnienie wypadku w teatrze, którego był świadkiem hrabia, nie rozumiejąc go, przybiły tak nieszczęśliwego Mościńskiego, złamały go, iż dwa strumienie łez z oczów mu się puściły. Chwycił za ręce Piątkiewicza i głosem omdlałym napół, począł wołać:

— Na miłość Bożą, ulituj się człowiecze — daj mi tchnąć, pozwól myśli zebrać!

Stary skłonił głowę, umilkł natychmiast i czekał cierpliwie — Mościński zapomniał o wszelkiej względem nieznajomego obawie, o potrzebie poskramiania się, wstał i z załamanemi rękami począł się po pokoju przechadzać.

— O ja nieszczęśliwy! o ja nieszczęśliwy! Alfonia w nim zakochana. Alfonia go serdecznie kocha, to jej pierwsza niewinna miłość. Niechby już grosza nie miał, ale ta jakaś Natalia, ten romans! To są chyba fałsze. To człek prawy, onby nie atentował córce mojej, gdyby inną miłość miał w sercu. O mój Boże! cóż za piorun!

Piątkiewicz chciał coś mówić.

— Poszę pana, już dosyć, nie chcę słyszeć nic więcej. Zlituj się pan nad ojcem, przerwał hrabia, daj mi pan zebrać myśli. Nie, to człowiek szlachetny.

— Najszlachetniejszy z ludzi — potwierdził adwokat, ja nawet sądzę, iż gdybyś go hrabia otwarcie zapytał, nie zataiłby stanu swego serca.

— Jakimże sposobem, nawpół do siebie mówiąc, dodał hrabia — jakim sposobem mogli oni nas z takim przepychem przyjmować, jak utrzymywać pańsko tę rezydencyą i taić stan swych interesów?

— Interesa dla nikogo, oprócz hrabiego, a może starego szambelana, tajemnicą nie są, tłumaczył Piątkiewicz. Dom ten starożytny i zasłużony szanując, nie chcąc spokoju czcigodnego starca zamącić — wierzyciele hamują się, folgują — dają uprosić. Przecież przyjdzie tej powolności koniec panie hrabio.

Mościński słuchał, cóś rozmyślał i za rękę chwycił nagle Piątkiewicza.

— Tak, to wszystko prawdą być może — pozwalam, rzekł — a no proszę i błagam waćpana, powiedz że też mi, co za miłość bliźniego osobliwsza, gorliwość heroiczna, bezprzykładna o cudze dobro dbałość, napędziła tu pana, abyś bezinteresownie zdejmował łuskę z moich oczów i przedsiębrał uratowanie mię z tej topieli? Wszystko rozumiem, tylko tego rozumieć nie mogę.

Piątkiewicz lekko się zarumienił.

— To nie jest wcale bezinteresowność heroiczna — odparł spokojnie — to fakt, który się tak prosto po ludzku tłumaczy, iż dzieckoby zrozumiało po co ja tu, reprezentując pewną masę wierzycieli, do hrabiego przyszedłem. Jeśli hrabia wydasz swą córkę za księcia Brańskiego, będziesz rodowych posiadłości jego bronił, a my je właśnie z licytacyi korzystnie kupić mamy zamiar. Czy jasno?

— Bardzo jasno, odpowiedział hrabia głosem złamanym. Lecz godziż się to? godzi?

— Co? odebrać dług swój? spytał Piątkiewicz, wziąć ziemię niedołężnie zagospodarowaną i z niej wyciągać

korzyści jakie dać może przy pracy, a których zapuszczona nie da nigdy? Książęta są najczcigodniejsi ludzie, nie przeczy nikt, ale to posągi siedzące na grobach, cudnie rzeźbione przez wielkiego mistrza, wielkiego stylu znakomite dzieła, szkoda tylko że się nie ruszają. Daj im pan dwa razy taki majątek i kapitały, pojadą ich używać za granicę, otoczą się zbytkiem, siądą marzyć i wzdychać, a poczekawszy, chwasty pola zarosną i pieniądz się w mgłę rozpłynie.

— Waćpan jesteś niesprawiedliwym względem nich — oburzył się hrabia — to są deklamacye demagogów, ja to znam. Książęta stracili nie swą winą majątki, przyczyniły się do tego okoliczności — naostatek ich powołanie było inne, a nie robienie marnych pieniędzy. Tacy ludzie jak ja — hreczkosieje, dodał hrabia — są do tego stworzeni, to nasza rzecz.

— A zatem... uśmiechając się i zagarniając papiery swoje, rzekł Piątkiewicz.

— Zatem, zatem nic, ja nie wiem; zostaw mnie pan, bym się namyślił — rzeczy są wielkiej wagi, chmurno począł hrabia, przechadzając się ciągle po pokoju.

— Spełniwszy co mi sumienie kazało — kłaniając się, dokończył przybyły, mam honor...

— Za pozwoleniem! adres pański? pochwycił hrabia — czy wyciąg hypoteczny możesz mi pan zostawić?

— Nie — zimno, chowając go do kieszeni, odpowiedział adwokat — możesz go pan kazać wyjąć i sprawdzić. Co do mojego adresu, jestem prawnik, wszyscy mnie tu znają. Pierwszy lepszy dorożkarz powie hrabiemu. Do nóg upadam.

Mościński skłonił się lekko, a gdy się obejrzał, już owego Piątkiewicza nie było i turkot karety w dziedzińcu zwiastował że musiał odjechać. Hrabia, łzy mając w oczach, rzucił się na kanapę.

W godzinę potem służący, oznajmując odwiedziny księcia Roberta zastał go jeszcze na tem samem miejscu, ze wzrokiem osłupiałym i rękami załamanemi, nie mogącego zebrać myśli i postanowić co pocznie.

Słabym głosem kazał prosić księcia Roberta, który w chwili potem wszedł krokiem mierzonym do pokoju.

Witając się, w milczeniu spojrzeli na siebie; książę spostrzegł nadzwyczajną zmianę w twarzy hrabiego i pomyślał, że pewnie wczorajszy wypadek w teatrze musiał ściągnąć jego uwagę, a może i zasłyszeć mógł coś o nim; hrabia znalazł też księcia bladym, zmęczonym i jakby przelękłym. Położenie ich wzajemne było nadzwyczaj przykre. Nierychło Mościński się zdobył na wypowiedzenie głosem słabym:

— Niechże książę siada.

— Czyś hrabia nie chory?

— A tak, tak, czuję się dziś niedobrze, sam nie wiem co mi jest, ale jakbym był słaby. To powietrze miejskie... ja do wsi przywykłem, życie odmienne... czuję się nieswój.

— Może potrzebaby lekarza?

— O! nie — to samo przejdzie — pośpiesznie dorzucił hrabia, ciągle się przypatrując księciu i wzdychając mimowoli.

Zamilkli potem i rozmowa się żadna zawiązać nie mogła; hrabia począł warzyć to co mu nieznajomy mówił i znalazł iż należało wprzód sprawdzić jego twierdzenia, nimby księciu o tem coś wspomnieć można. Wszakże mogły to być tylko złośliwe jakieś bajki i plotki.

Postanowił zosawić wszystko in statu quo, nie dając poznać po sobie, iż coś doszło do jego wiadomości, a zasięgając wprzód lepszych i pewniejszych informacji. Zadzwonił więc na służącego, aby zapytał pań, czy księcia przyjąć mogą, a sam, pod pozorem ubierania się, wyszedł, gdyż panna Alfonsyna kazała powiedzieć, że natychmiast będzie w salonie.

Wróciwszy do brudnej swojej izdebki, hrabia naprawdę płakać począł — kochał dziecko swoje, a czuł iż trochę nierozważnem postępowaniem mógł zachwiać jego przyszłość.

— Poco mi było iść na tę sufraganią, po co do nich zajeżdżać, dać się im zbliżyć, poznać i jeszcze pomagać jej biednej do zakochania się w człowieku, który jej nigdy może kochać nie będzie? Tego sobie nigdy nie przebaczę! Biedne dziecko moje jedyne! pierwsza miłość! a to człowiek wyżyty, ostygły!

Łamał ręce i rozpaczał. Chciał natychmiast iść, radzić, rozpytywać się — lecz — do kogo? Napróżno szukał w głowie imion starych przyjaciół i znajomych, żadne się nie nastręczało. Z gorączkowym pośpiechem począł się ubierać, bo mu na myśl przyszło, że dobrzeby było zbytniemu zbliżaniu się młodych ludzi przeszkodzić, — a zastał ich właśnie sam na sam, gdyż miss Burglife umyślnie była odeszła, by Alfonsynce nie zawadzać. Ale ks. Robert stał smutnie oparty o komin, a Alfonsyna, siedząc na fotelu, badając zbladłą twarz, oczy w niego trzymała wlepione.

Nadejście ojca, który udawał już teraz zdrowszego i spokojniejszego, smutne to têtе à têtе przerwało. Usłyszawszy głos hrabiego, miss Burglife pośpieszyła z drugiego pokoju. Ks. Robert, krótko bardzo zabawiwszy, pożegnał się i wyszedł. Hrabia, nie wiedząc jeszcze co pocznie, pędzony tylko niepokojem, natychmiast wybrał się także na miasto.

Od owdowienia swego hrabina Natalia usunęła się była od świata; wdziała żałobę i chodziła czarno, ograniczyła się szczupłem kółkiem znajomych, zamykając drzwi złotej młodzieży, która się do niej cisnęła, mając nadzieję pozyskania łaskawych względów. Zaszła

w niej zmiana zupełna, którą sądzono z razu przemijającą, ale się okazała trwalszą niż prorokowano. Nie było w osamotnieniu tem przesady, nie czuć było popisu — zaczęto się więc dorozumiewać, że to co zrazu miano za kaprys i drożenie się z sobą, było istotną duszy potrzebą.

Hr. Natalia pozostała obojętną dla świata i prawdziwie wdową, w całem znaczeniu tego wyrazu, nietylko po mężu, którego kochać nie mogła, ale po złudzeniach i dramacie serca. Przyjmowała osób niewiele. pokazywała się rzadko; czasem widywano ją w teatrze, często bardzo w kościele. Pobożność jej wszakże nie miała tej cechy namiętnej, przesadnej, popisowej, która zawsze oznacza chłód serca a rozgorzenie głowy. znajdowano ją do niepoznania zmienioną. Uboga z siebie, żyjąc tylko z zapisu męża i odziedziczonej po nim pensyi emerytalnej dosyć znacznej, dom swój postawiła na stopie przyzwoitej, niewykwintnej, raczej skromnej niż pańskiej. Nie było i w tem przesady żadnej, żadnego popisu, ani z zamożnością, ani z ubóstwem.

Zmiany te, które przeżyły naznaczone im przez wszystkich trwanie i stałą przybrały cechę, wiele osób surowych zasad, dotąd stroniących od kobiety do której imienia wiązało się wspomnienie głośnej awantury, zbliżyły do niej i przejednały z nią. Hr. Natalia ani szukała, ani zbyt unikała towarzystwa. Opowiadano tylko, że wszelkie próby adoratorów wskrzeszenia w sercu jej uczucia żywszego, zbywała pogardliwem i obojętnem milczeniem. Nakoniec musiano powiedzieć sobie. że się wyrzekła wszystkiego coby pokój, którego szukała, zamącić mogło.

Była jeszcze w tym wieku, w którym piękność kobieca rozwija się w pełni i dochodzi do najwyższego blasku; cierpienie nadało jej urok nowy, nie ujmując żadnego z wdzięków, któremi dawniej czarowała. Powaga jaką się oblokła, skromność, chłód nawet dwoiły nieprzystępną jej piękność, zdającą się pogardzać światem i nic nie żądać od ludzi. Artyści nie mogli

się napatrzyć tej idealnej twarzy; młodzieńcy którym pierwszy wysypywał się puszek, pierwiosnki natchnień poetycznych składali potajemnie u stóp tego anielskiego posągu.

Ci którzy mieli szczęście bywać w jej domu, a wybranych liczba była bardzo mała, opowiadali o jej życiu zajętem czytaniem, muzyką, robotami kobiecemi i czynnym udziałem w Towarzystwie dobroczynności. Dawniej dowcipna i sławna z iskrzącej się rozmowy, w której rzadko jej kto mógł dotrzymać, hr. Natalia stała się teraz milczącą, małomówną, nawet rzadko okazywała by ją przedmiot jaki żywiej obchodził. W twarzy, mowie, ruchach jej malowała się rezygnacja spokojna, pod którą domyślać się było można jakichś dogorywających ruin, zniszczenia i ciężkiej ducha żałoby.

Lekceważenie ogółu poczęło się zwolna na korzyść hrabiny zmieniać w szacunek dla niej, we współczucie i uznanie zasługi tej walki, z której wyszła zwycięzko.

Ks. Robert od odstatniego pobytu swojego, od rozgłośnego pojedynku i choroby, ani razu nie pokazał się w Warszawie — zapomniano o nim trochę, tak że gdy się teraz ukazał, obudził powszechne zajęcie. Nikt jednak ani śmiał o nim wspominać przed hrabiną, która przybywszy do teatru przypadkiem, zobaczyła go zupełnie niespodzianie i to było powodem jej omdlenia, w obec zbyt licznych widzów, ażeby niepostrzeżonem przejść mogło. Omdlenie to wywołało sądy, domysły, zdania i rozprawy najrozmaitsze. Przyjaciele i nieprzyjaciele hrabiny nosili się z niem, gardłując namiętnie, broniąc lub potępiając.

Nazajutrz nawet z najserdeczniejszych przyjaciołek jej nikt dowiedzieć się o zdrowie nie przybył, Dom był zamknięty, hrabina zachorowała, wiedziano że nie przyjmowała nikogo, na ks. Roberta skierowały się oczy ciekawe, i gdyby to było podobieństwem, śledzonoby każdy krok jego. Dla wszystkich zagadką było niesłychanie zajmującą, czy w sercu księcia za-

gasło na wieki uczucie i wspomnienie, czy się ono nie mogło odrodzić — jakie będzie dalsze postępowanie Natalii i t. p. Miano jej w ogóle za złe, iż uległa wzruszeniu, że skompromitowała się tak okrutnie omdleniem. Wszystkie dawne uprzedzenia przeciw niej wróciły. Złośliwe kumoszki, uśmiechając się, szeptały iż zawsze były tego przekonania, że pokuta była tylko dobrze odegrywaną komedją. Przyjaciółki wzdychały, bronić nie śmiąc. Z natężoną uwagą czekano.

Nazajutrz księcia widziano w ulicy, dośledzono że jeździł do hrabianki; ciekawość rozbudzona, w braku pokarmu, gryzła wędzidło i rzucała się na najśmielsze przypuszczenia. Słyszano że do hr. Natalii wzywano doktora, nie można tylko było dojść którego, bo niezawodnie zachorowałoby kilka osób, by go wezwać i wyspowiadać.

Wypadek w teatrze zwrócił też powszechną uwagę nietylko na ks. Roberta i hr. Natalią, ale na Mościńskich także. Imię ich powtarzano sobie i wiadomości o rodzinie chciwie chwytano. Znaleźli się starzy znajomi, których właśnie tak pragnął znaleźć hrabia, potrzebując rady i pomocy.

Pomiędzy nimi najwięcej dawniej zbliżonym do hrabiego był pan Aureli Zaręba Zarębski, majętny obywatel, niegdyś sąsiad Mościńskiego, dopóki się nie wyniósł na Podole, wdowiec, który wyposażywszy dzieci, zamieszkał w Warszawie, pragnąc resztę dni spędzić swobodnie. Byłto człowiek już nie młody, chociaż tajemnicę lat swych starannie ukrywał, niegdyś słynny z piękności mężczyzna, a w późnym wieku jeszcze bardzo szlachetnych rysów i szykownej postawy. Ta piękność, z której był głośny i z której, jak po cichu mówiono, umiał swego czasu korzystać, stanowiła jego wybitny przymiot, nie mógł więc o niej, choć już sześćdziesiątletni, zapomnieć. Ubierał się zawsze po młodemu, trzymał prosto, wysilał na ruchy swobodne, jeździł konno i przekładał towarzystwo wesołej młodzieży nad inne. Był on nestorem i ulubieńcem złotych paniczów, ich wyrocznią, ich bożyszczem. Poufale zwano go Rębusiem i wszyscy kochali Rębusia, bo, gdyby nie lekkomyślność źle się godząca z siwemi a nawet farbowanemi włosami — był to bardzo dobry człowiek, raczej fanfaron zepsucia, niż istotnie zepsuty. Udawał on wietrznika, chociaż nim rzeczywiście nie był. Ciężyła mu już ta rola, a porzucić jej jakoś żal było, bo cóżby wreszcie na świecie robił?

To mu nadawało wziętość, to stanowiło jego sławę. Dzieci płaciły mu kilkadziesiąt tysięcy, które przeżywał wesoło, rozpożyczał wiecznie zgłodniałym koleżkom, lub szafował na coroczne wycieczki do wód, bez których obejść się nie mógł. Rębuś bywał wszędzie, począwszy od zamku, aż do najmniej znanych salonów; uprzejmym był i przystępnym, wiedział nowiny najświeższe, znał kogo tylko znać było można, należał do obu resurs, nie wyłączał się od żadnych kwest i loteryi, gotów był służyć gdzie go tylko zażądano i umiał sobie pozyskać tak dalece serca ogółu, iż mógł być pewnym, na wypadek śmierci, kilkotysięcznego orszaku na Powązki, nawet w słotę i błoto.

Mościński znał pana Aurelego jeszcze za młodych czasów jego donżuańskich, zapomniał o nim, a nie domyślał się że go znajdzie w Warszawie. Jakież było podziwienie hrabiego i radość, gdy przechodząc koło Lourse'a, uczuł rzucającego się w swe objęcia Aurelego, któregoby był nie poznał, gdyby mu się nie przypomniał.

Zaręba także nie domyśliłby się dawnego przyjaciela w otyłym obywatelu, gdyby mu go wczoraj nie pokazano w teatrze.

— A! jakże jestem szczęśliwy że cię spotykam, odezwał się hrabia, chwytając go pod rękę — a to mi cię Pan Bóg, Opatrzność zesłała. Mój Aureli, nie wiesz, nie wiesz jak mi w porę przychodzisz.

Popatrzyli na siebie.

— Ty się nie zestarzałeś, nawet włosy ci nie posiwiały, zawołał Mościński — a ja!...

— Ty lepiej wyglądasz odemnie, rozśmiał się stary, ale około siebie, jak ja, chodzić nie umiesz. Ja jestem potajemnie siwiuteńki, tylko wody odradzającej używam. Nieprzyjemna rzecz świecić włosami białemi, ale cóż ty tu robisz? słyszałem żeś przybył z córką, i mówią że z przyszłym jej narzeczonym.

Mościński zaczął rękami trząść i przeczyć całym sobą. Uderzył wyraz jego twarzy poczciwego Zarębę.

— Czyś nie chory?

— Nie — ale jako staremu przyjacielowi wyznać muszę, że mam strapienie wielkie; jeżeli zachowałeś mi dawne uczucie, a masz chwilę czasu, jedźmy do ciebie.

— Najchętniej.

Dorożka którą wzięli pod teatrem, dowiozła ich prędko na Nowy-Świat, gdzie w połowie pierwszego piętra, bardzo ładnie po kawalersku urządzonej, mieszkał pan Aureli. Usadowił zaraz w wygodnym fotelu Mościńskiego. drzwi zamknął, służącego postawił na straży, i dobył cygara.

— No, teraz mów! odezwał się, słucham i jestem na twe rozkazy.

— Ale najprzód dłoń i słowo, że to zostanie między nami.

— Słowo i dłoń — bądź spokojny.

Mościński się obejrzał i zawołał po chwili:

— Jak mnie widzisz, jestem najnieszczęśliwszym z ludzi: wpadłem w awanturę, z której nie wiem jak wybrnę. Chciał los nieszczęśliwy mój, żebym po drodze wstąpił do ks. Brańskich. Są mi dalekimi krewnymi, a ani o ich stanie majątkowym. ani o ks. Robercie nie wiedziałem nic. Jedynaczkę mam córkę, książę się o nią począł starać. a tu — dowiaduję się...

Mościński zamilkł, trąc czoło i wzdychając.

— Przyjacielu stary — dodał — na miłość Bożą cię zaklinam. mów mi o nich co wiesz, objaśnij, radź.

— O cóż ci idzie? spytał Zaręba — ks. Brańscy są źle w interesach, to wiadomo powszechnie, ks. Robert miał ongi romansik z hr. Natalią, o tem wróble na dachach świergoczą; ale Brańscy są piękną i zacną rodziną, ks. Robert jest pełnym szlachetności młodzieńcem, czegóż ty chcesz?

— Ale oni są doszczętnie zruinowani! krzyknął Mościński.

— O tem cię nie potrafię objaśnić, a zresztą, nie wiem kto dziś nie zruinowany.

— Znasz mecenasa czy adwokata Piątkiewicza?

P. Aureli. który znał wszystkich w Warszawie, począł powtarzać to nazwisko, poszedł do kalendarza dla sprawdzenia i — rzekł po chwili:

— Mogę ci zaręczyć, że żadnego tego nazwiska prawnika w Warszawie niema.

— Mówił mi że go wszyscy znają.

— To bezczelnie kłamał.

Mościński opowiedział szczegółowo całą swą ranną przygodę z owym Piątkiewiczem; Aureli dziwnie głową kiwał.

— To jakaś intryga, rzekł, człowiek z nazwiskiem fałszywem. zatem cała rzecz podejrzana.

— Cóż mówisz na wczorajszy skandal w teatrze?

— Jest to zapewne wypadek bardzo smutny, szczególniej dla tej biednej hrabiny Natalii, którą ja czczę i wielbię — ale cóż temu ks. Robert winien, że takie pasje obudza?

— Lękam się bardzo, zniżywszy głos, mówił Mościński — żeby mi się córka nim nie zajęła, to człowiek złamany, wyżyty!

— Przepraszam cię. przerwał Aureli, my jego życie doskonale znamy; hr. Natalia była jego pierwszą i ostatnią słabością. Był młody, zakochał się, strzelał, odchorował, usunął. cóż naturalniejszego? gdzie tak wielka wina? Dlaczegoby teraz i kochać nie mógł poczciwie, i być najlepszym mężem?

— Ale oni są bankrutami!

Aureli ruszył ramionami.

— O tem nie wiem, dodał, może to być, a może przesadzają — zainformuję się łatwo. Jednak imię piękne, człowiek uczciwy, a jeśli się córka nim zajęła,

niema co, il faut passer outre. Znam Roberta z dawniejszych czasów; choć mówią że się wielce odmienił, że stetryczał, ostygł, ale to był gorącego serca, wielkiej prawości, prawdziwie rycerskiego charakteru chłopiec. Rodzina godna szacunku. Gdzież ty dziś znajdziesz dla córki i familią i człowieka, któryby lepsze dał rękojmie szczęścia?

Mościński się zamyślił.

— I powiadasz, że żadnego Piątkiewicza niema na świecie?

— Przynajmniej takiego jak mówisz tu u nas niema. Piątkiewicz któryby jeździł karetą? Ależ ja znam wszystkich co karetami jeżdżą — co do jednego. Żaden mecenas nie używa karety, wszyscy chodzą pieszo, lub skromną obywają się dorożką. O córce twej wszyscy wiedzą, że ma znaczny posag i jest jedynaczką, gołych i zruinowanych paniczów co nie miara, to się łatwo tłumaczy. Chcą ks. Roberta usunąć, a podsuną ci innego jakiego pozłacanego młodzieńca.

— Cóż tu począć? westchnął Mościński.

— Nic, nic, — zostawić rzeczy jak są, aby się same wyklarowały, nie zrywać, nie widzieć czego nie jesteś zmuszony, córki nie trwożyć. Zresztą, ja przy tobie— dodał Zaręba — biorę cię w opiekę, całe miasto znam, rachuj na mnie, nie dam cię wprowadzić w matnię. Dziś sprawdzę Piątkiewicza, jutro przywiozę ci różnych wiadomostek wór pełny.

W ten sposób uspokoiwszy Mościńskiego i dawszy mu się zaprosić na śniadanie u Bouquerel'a, Zaręba odprowadził go w weselszym nieco humorze do domu. Na obiad wczoraj jeszcze był zaproszony ks. Robert, ale się słabością chwilową wymówił.

Nowym to niepokojem nabawiło hrabiego, pokrył go jednak przed córką. Wieczorem pojechali do teatru — Robert się nie ukazał.

Po teatrze hrabia kazał się zawieźć do niego.

Zastał go nad otwartą książką, bladego, przybitego, lecz z rozmowy ostrożnej niczego się dobadać

nie umiał, oprócz że był cierpiący, co zresztą z twarzy nawet było widocznem.

Po odjeździe gościa, który zabawił krótko, Robert chodził do późna po swoim pokoju i nad ranem dopiero znużony poszedł na spoczynek. Twarz blada Natalii stała przed jego oczyma, słyszał jej krzyk, nieprzezwyciężona jeszcze miłość ciągnęła go ku niej— lecz z tą namiętnością walczył mężnie, kilka razy w ciągu tego dnia chciał już biedz do niej, ale wspomnienie ojca, rodziny, obowiązków wstrzymało go. Lękał się jednak samego siebie i czuł że najbezpieczniejszem było uciec z Warszawy, wrócić do Brańska. Przewidywał że Natalia może odezwać się, napisać do niego i jednem słowem złamać najmocniejsze jego postanowienie. Cierpiał okrutnie.

Chociaż dłuższa znajomość z Alfonsyną dozwoliła mu bez widocznego przymusu znosić jej towarzystwo, być uprzejmym i grzecznym dla niej, czuł niezwyciężony wstręt ku niej, drażnił go głos jej, niecierpliwił widok, przestraszała okazywana czułość. Brzydził się kłamstwem i uczucia wcale zmyślać nie umiał — nie silił się więc na okazywanie miłości, lecz młode dziewczę brało ten chłód za wymaganą w wyższem towarzystwie formę i niemal się cieszyło poszanowaniem a nieśmiałością jaką budziło. Miss Burglife utrzymywała ją w tem przekonaniu, sądząc że się ojcu i książętom najlepiej przysługuje. Widziała ona lepiej od swej wychowanki brak uczucia w księciu, obojętność i zimną tylko grzeczność, ale czuła się w obowiązku zaręczenia Alfonsynie, iż tak zwykle na wielkim świecie się kochają i dopiero po ślubie następuje wybuch długo ukrywanej czułości. Dlatego, tłumaczyła ona, młodzi małżonkowie natychmiast zwykle udają się w podróż, ażeby pierwszych wynurzeń przywiązania niczyje nie dojrzało oko. Alfonsyna z każdym dniem mocniej zakochaną była w ks. Robercie i wyznała przed przyjaciółką, iż żyćby bez niego nie mogła.

Życie w Brańsku szło niezmiennym porządkiem swym, brak tylko ks. Roberta zostawił w niem próżnię, która się wszystkim czuć dawała. Od wyjazdu jego nie było nawet listu, co książę szambelan synowi miał bardzo za złe. Generał starał się to wytłumaczyć znaną poczt nieregularnością i wielkiem zajęciem młodego księcia. Panna Alfonsyna też, która przyrzekła pisać do księżniczki Stelli, milczała dotąd. Za każdym przybywającym z poczty posłańcem, napróżno się o korespondencje dopytywano. W rozmowach swych z generałem szambelan już o przyszłości mówił, jako o rzeczy pewnej i postanowionej, nie wątpiąc na chwilę o ożenieniu ks. Roberta. Przyznając sobie prawo stanowienia o rodziny losach, zawczasu żądał wyprzedaży dóbr na Podolu, a nabycia dokoła, dla przyłączenia do Brańska, wszystkich majętności niegdyś do niego należących.

Nie domyślał się wcale stary stanu własnych interesów. Gdy je synowi oddawał, były już długi znaczne, ale te on wedle własnego programu miał za spłacone i rachował, że nawet cośby już kapitału zapaśnego zostać było powinno. Nie śmiano go wyprowadzić z błędu. Po długiem oczekiwaniu nadszedł list ceremonialny od hrabiego pisany przed wypadkiem w teatrze i odwiedzinami Piątkiewicza, oraz bilecik na najśliczniej przyozdobionym cyfrą i koroną papierku, od Alfonsyny do Stelli. W obu, oprócz komplimentów i ogólników, nic nie było; Robert nawet do siostry nie pisał.

Cały dwór tymczasem razem z szambelanem budował zamki na lodzie, począwszy od ks. Serafina, aż do Burskiego. Wincentowicz przemyśla o fajerwerku z cyframi na przenosiny, nie wątpiąc iż starym zwyczajem uroczyste przenosiny odbyć się muszą. Szambelan wcześnie obradował o apartamencie państwa młodych, sprzeczając się nieco z generałem, który chciał im dać pokoje na pierwszem piętrze.

Tak stały rzeczy, gdy jednego rana, w czasie modlitwy generała odmawiającego swe oficjum, wpadł do niego Gozdowski tak zmieszany, blady i wylękły, że nierychło potrafił przyjść do słowa. Książę generał wstał od klęcznika, przeżegnał się, popatrzył na niego i w pierwszej chwili, widząc to pomieszanie, zapytał go:

— Czy się pali?

— Panie generale, o! bodajby się paliło! krzyknął Gozdowski, składając ręce.

— Nieszczęście jakieś, mów — mów!

— Nie wiem co obudziło naszych wierzycieli, zawołał plenipotent — patrz pan, na najbliższy termin wszystkie należytości wypowiedziane, pozwy o wypłaty pokładzione. Siedzieliśmy spokojnie, w jednej chwili piorun spada nam na głowy. Ja tego nie pojmuję nawet!

— A ja to doskonale pojmuję — odezwał się generał — ludzie już wiedzą o przyszłem ożenieniu się Roberta, każdy chce odzyskać co włożył; to są strachy na Lachy.

— Lecz niektóre terminy są nadzwyczaj blizkie; jeśli nie zapłacimy, nastąpią tradycje i subhasty.

— Jakiż waćpan jesteś krótkowidzący — odezwał się stary wojak; nim formy sądowe się dopełnią, Robert się ożeni i my zapłacimy wszystko. Tylko, na miłość Bożą, nie strasz pan i nie mów nic mojemu bratu. On o długach nie ma wyobrażenia, toby go okrutnie dotknęło.

— A cóż mam począć? rzekł Gozdowski.

— Nic — milczeć i czekać. — Ożenienie się ks. Roberta pewne, a z hrabią ja wszystko ułożę.

— Ale panie generale — czy hrabia zna stan naszych interesów?

— Cóś mu się o tem napomknęło że kilkakroć potrzebować będziemy; to dla niego bagatela.

Gozdowski nie wiedział już co mówić dalej — ale nie uspokoiło go to tak dalece. Prawdę rzekłszy, generał dodawał odwagi Gozdowskiemu, a sam trochę się strwożył, tego jednak nigdy po sobie nie pokazywał.

— Więc pan generał sądzi, że to nie jest groźnem?

— Bynajmniej. O jakąż summę pozwani jesteśmy?

— O wszystkie! zawołał Gozdowski. Ja nie wiem co się tym ludziom stało! To zmowa! To rozbój! Niechby jeden, dwóch wypowiedziało — ale wszyscy!

— Wszyscy? powtórzył generał. To nic — to nic — należy się pilnować formalności i czekać.

Ale wszystkich terminy przeszły, odparł Gozdowski. długi są niezaprzeczone, a ja w kasie nie mam ani grosza.

— Widzisz. ofuknął generał — widzisz, jak jesteś nieopatrzny; a jakże to może być, ażebyś tak bez grosza w kasie mógł pozostawać?

Gozdowski zdumiony słuchał i nie wiedział co odpowiedzieć — generał z powagą wielką mówił dalej:

— Pan kochany opuściłeś się trochę. Jak można przy takich dobrach nie mieć pieniędzy? Widzisz. to wina twoja.

— Panie generale, pan chyba żartujesz — zaczął plenipotent, rachuj-że pan co te dobra czynią. a jakie są potrzeby dworu. Płacimy panu szambelanowi dwadzieścia kilka tysięcy rocznie. podatki. procenty, utrzymanie sług i oficjalistów, należność pańska. pensja ks. Roberta. księżniczki. To nigdy nie może się opędzić bez zaciągania długów.

— Już ty mi tego nie mów. łagodnie odparł generał — to wszystko prawda, ale dobra ogromne i starczyć powinny. Opuściłeś się.

— Panie generale...

Generał przybrał postawę chmurną.

— Panie generale — ja nie widzę ratunku, krzyknął Gozdowski. Trzeba wysłać sztafetę do hrabiego, wszystko mu wyznać i żądać śpiesznej pomocy, inaczej licytować nas będą.

— Weź waćpan adwokata.

— Żaden w świecie nas obronić nie może.

— Jakże można było dopuścić do tego? ofuknął książę generał z wyrzutem — to wina pańska.

— Przypomnij pan generał sobie, że ile razy przestrzegałem, nie chcieliście mnie wierzyć.

— Ja waćpanu i teraz nie wierzę, odezwał się książę — to są strachy na Lachy. Nie ważą się. Cały kraj potępiłby ludzi. coby się ośmielili napaść na nas tak i wydzierać nam ojcowiznę! To nie może być powiadam waćpanu. Oni znają słabość pańską i chcą z niej korzystać.

— Nie pozostaje mi więc nic — rzekł Gozdowski. tylko w niebytności ks. Roberta, zdać w ręce pańskie moję plenipotencję.

— A! za pozwoleniem, począł generał — piękna rzecz, nawarzywszy piwa, zostawić je nam do wypicia.

Gozdowski się za głowę pochwycił.

— Zatem posyłam do ks. Roberta.

— Ani mi się waćpan waż! żwawo począł generał — proszę tego nie czynić, przestraszyłoby go to bezużytecznie i przeszkodziło mu w staraniu o pannę, odbierając swobodę umysłu.

— Potrzeba przecież coś radzić.

Książę pochodził po pokoju.

— Niema nic do czynienia — rzekł — trzeba mieć cierpliwość — hrabia posiada kapitały.

— Ale hrabia...

— Dosyć — przerwał stary kawaler maltański — proszę czynić com powiedział i nic nadto. Mój kochany Gozdowski — dodał miękнąc — nie gniewaj się, byłeś nieopatrzny — mam w Bogu nadzieję, że to się poprawi wszystko, idź, milcz i nie obawiaj się. Niech wierzyciele czynią co chcą, waćpan temporyzuj i kroków stanowczych nie przedsiębierz żadnych. Nadewszyst-

ko zaś proszę, aby ani księżniczka, ani, uchowaj Boże, pan szambelan o niczem się nie dowiedzieli. Ja sam napiszę z należytemi ostrożnościami do księcia Roberta.

Nieszczęśliwy rządca chwycił się za głowę, chciał jeszcze coś mówić, ale na dany znak generała zamilkł i powoli się powlókł do dworku. Tu przyszedł na myśl pan Zenon, kazał conajprędzej zaprzęgać do bryczki i popędził do folwarku o milę odległego, który dzierżawił stary Żurba.

Był to najpiękniejszy niezaprzeczenie kawał ziemi z całych dóbr Brańskich.

Stary Grzegorz Żurba, który się tu przed laty dostał z małym bardzo kapitalikiem, pracą i skrzętnością, oraz pomocą książąt dorobił się na nim majątku — zagospodarował niemal jak na dziedzictwie. Nie znać tu było żadnej elegancji i wykwintu, ale pilne gospodarstwo i dobry byt czuć było wszędzie. Mieszkalny dom, przerobiony ze starego folwarku, otaczał sad owocowy i ogrody warzywne; tylko jedna altana lipowa z dawnych czasów, zdawała się stać dla ozdoby, a i z tej jeszcze pszczoły do niedalekiej pasieki miód zabierały. W dziedzińcu okolonym płotem bardzo porządnym mieściły się tuż zabudowania folwarczne, stodoły i owczarnie. Żurba miał wszystko pod okiem, i cały też folwark we wzorowym był utrzymany porządku.

Owdowiawszy, a córkę oddawszy księżniczce Stelli za towarzyszkę, Żurba sam tu się rządził długo, od niedawna dopiero dostawszy w pomoc syna. Pan Gozdowski, człek przy panach wzrosły i do ich obyczajów nawykły, spoglądał zwykle z góry na Żurbę i mówił o nim, że to człek prosty, ale poczciwy. Poczciwym się zaś zwał, bo na zawołanie pieniędzy pożyczał i o zwrot ich nie dokuczał wcale.

Teraz, gdy straszliwe Mane-Tekel-Fares błysnęło przed oczyma pana Gozdowskiego, gdy okazało się, że z generałem nie było co mówić nawet,

przerażony plenipotent spieszył na radę do Żurbów. Pan Zenon był biegłym prawnikiem.

Bryczka zatrzymała się przed gankiem, starego nie było w domu, wyszedł Zenon. Rzadki to był gość pan Gozdowski; z Brańska przyjeżdżali tu czasem książęta na podwieczorki, ale Gozdowski rzadko odwiedzał dzierżawcę, znajdując, że tam u niego ani poczciwego kieliszka wina, ani dobrej herbaty napić się nie było można. Do tych zaś wygódek stary smakosz, popsuta gęba, wielką, zbyteczną przywiązywał wagę.

Zdziwił się pan Zenon, zobaczywszy go o tej porze i z twarzy zaraz wymiarkowawszy, iż go jakaś niedobra wiadomość lub bieda sprowadzała. Weszli do środka.

— Panie Zenonie kochany — odezwał się padając na kanapę Gozdowski, przybiegłem po radę — jesteśmy najokropniej zdradzeni przez wierzycieli! Weź papiery, patrz! Naraz pozywają nas wszyscy — to spisek! Szambelanowi o niczem wspomnieć nie można, generał nic rozumieć nie chce, ja głowę tracę, a ks. Roberta niema. Cóż tu robić?

Nic nie odpowiadając, Zenon wziął papiery do ręki i począł je rozpatrywać — w końcu z widocznem wzruszeniem spojrzał na Gozdowskiego, który wyroku czekał, i rzekł:

— Interesa są fatalne—o tem jednak ja wiedziałem oddawna i byłem poniekąd przygotowany. Przyznam się wszakże, iż tak złemi ich sobie nie wyobrażałem. Nie widzę innego środka: przekaż pan na mojego ojca, zbierzemy co mamy, oddamy wam, zepchniecie przynajmniej co najpilniejsze — reszta widząc że kredyt macie, poczekać może.

— Tak — to doskonała myśl, to zbawienny środek! ściskając go, począł Gozdowski — wyście ludzie anielscy, ja zawsze na wasze złote serce rachowałem, wy nas wyratujecie.

— Idzie o to co mój ojciec ma i co dać może — zimno odparł Zenon.

Rozmowa wszczęła się o Brańsku, o sprawach. o projektowanem ożenieniu, Gozdowski opowiedział o swem rannem z generałem spotkaniu.

Tymczasem i stary Żurba z pola, wózkiem, którym się sam powoził, starą swą klaczą gniadą — nadjechał w szarej kapocie i długich butach kozłowych. Jak tylko zobaczył plenipotenta, domyślił się czegoś niedobrego, bo wiedział. że do niego tylko się w biedzie udawano. Podszedł ku niemu żywo.

— A cóż tam słychać w Brańsku? przynajmniej wszyscy zdrowi?

— Kochany ojcze, wtrącił Zenon — zdrowi wszyscy, ale o to rzecz taka... trzeba ratować książąt.

W kilku słowach opowiedział co się święciło; stary słuchał z uwagą i spokojem. Już pod koniec przemówienia synowskiego począł szukać kluczów w kieszeni.

— Zobaczymy co tam w domu jest, rzekł — tu niema co rozmyślać, trzeba głowę bodaj zastawić a ratować ich od zguby. ale ja wam niewiele dać mogę. Wytrząsłszy wszystkie szufladki, z pod serca dobywając, znajdę może sto tysięcy, a co wam po tej kropli w morzu?

— Zyskamy na czasie! zawołał Gozdowski — zbawicie nas!

— A no — niema co i rozmyślać — dodał stary, idąc do biurka. Zenon każe podać śniadanie. a ja przeliczę listy zastawne; książętom winienem wszystko, niema czegobym dla nich nie uczynił. Tylko proszę asindzieja — rzekł ciszej, żeby im o tem nie wspominać, żeby oni mi tam nie dziękowali, bo mnie to konfunduje. To najprostsza rzecz w świecie — niema o czem mówić.

Z tą prostotą serdeczną Żurba poszedł, włożywszy okulary, liczyć pieniądze — syn mu pomagał. Gozdowski drżącą ręką kwit naprędce napisał, śniadania nie czekał i wyniósł się, ponawiając dziękczynienia.

— No, teraz, odezwał się do syna Żurba, stojąc w ganku i poglądając za odjeżdżającym — jestem już

goły jak tego dnia, gdym obejmował gospodarstwo, a no, zawsze wiele zyskałem. Dzieci się wychowały, przeżyło się kawał czasu poczciwie, Antonina niczego nie potrzebuje, bo ma posag w głowie, ty jesteś prawnikiem i chleba ci nie zabraknie, póki ludzie pieniać się będą, a tym nieszczęśliwym naszym książętom pomódz, to prawdziwa pociecha.

I nie rzekłszy ani słowa więcej, Żurba wdział kapelusz słomiany, wracając nazad do swojego gospodarstwa. Syn oczyma łzawemi powiódł za poczciwym ojcem. którego uczucia całem sercem podzielał.

Gozdowski tymczasem prawie tryumfujący do domu powracał, siląc się na wymyślenie środka, którymby wierzycieli mógł upokorzyć i skonfundować.

Daliśmy już poznać zacnego Gozdawę czytelnikom naszym. Był to człowiek niewielkiej głowy, długim spokojem ukołysany, niemający oddawna potrzebnej do działania w interesach podobnych bystrości i trafności, może nadto poczciwy ażeby mógł być dobrym plenipotentem. Po długich namysłach, Gozdowski wpadł na nieszczęśliwy plan. ażeby pożyczonych tak niespodzianie stu tysięcy użyć na wypłacenie zaległych procentów pilniejszych, pewien będąc, że tem otumani wierzycieli. uspokoi i na długo pokój okupi. Nim dojechał do domu, plan ten stanowczo został postanowiony i Gozdowski winszował sobie bystrości, z jaką go wynalazł, zawczasu tryumfując. iż niebezpieczeństwo zaklnie na długo. Tymczasem zaś książę się ożeni i wierzycieli poopłacają.

Rachował wszakże, nie domyślając się wcale iż wierzyciele ci byli po większej części jednym tylko, który trzymał w ręku losy Brańskich i odebraniem procentów wcale się zadowolić nie chciał, że układy z nim były nie możliwe — a małżeństwo uważane za pewne, w tej właśnie chwili najmocniej było zachwianem.

W Warszawie wszystko jeszcze było w tym stanie, w jakim widzieliśmy hrabiego, księcia i Alfonsynę ostatniego rana. Przyjaciel Aureli wyszedł na zwiady, a że znał cały świat, kilkunastu godzin dosyć mu było, ażeby dokładnych zasięgnąć wiadomości. Trafił na Hartknocha, który nie miał najmniejszego powodu ukrywać przed nim stanu interesów Brańskich.

— To są ludzie ze szczętem zrujnowani, rzekł poprostu — nic ich uratować nie może, chyba... chyba złoty deszcz z niebios. Mogę wam zaręczyć, że długi przenoszą majątek.

Dość już było tej wiadomości panu Aurelemu, który z nią, zmartwiony, nie tracąc chwili, do starego przyjaciela pośpieszył. Znalazł go w domu — nie było co złocić pigułki.

Kochany hrabio, rzekł, czy się ks. Robert kocha w Natalii, czy powróci do niej czy nie, to są rzeczy podług mnie podrzędne, — znam go jako uczciwego człowieka, to starczy. Główna, najważniejsza rzecz, że ks. ks. Brańscy są istotnie w przededniu najzupełniejszego bankructwa i ruiny. Jak do tego przyszli, nie wiem. Z jednej strony ofiary, z drugiej nieopatrzność i zbytek — to pewna, że nie mają nic — ale co się zowie nic — prócz ogromnych długów.

— I ani generał, ani żaden z nich słowa mi o tem nie powiedział! zawołał przerażony hrabia — to zakrawa na podejście i zdradę — to ohydne.

— Kochany Mościński, o ile ja ich i im podobnych znam, mogę prawie na pewno ręczyć, że oni sami o swej ruinie nie wiedzą dokładnie i łudzić się muszą.

— Cóż tu począć? zadumany wyjąknął hrabia — wpadłem w matnię.

— Namyśl się dobrze — ja ci powiadam jedno, dodał Aureli, że wolałbym Brańskiego bez grosza, niż innego jakiego z milionem.

— Tak — ale Brański zbankrutowany, to mi nie smakuje — dodał Mościński, i... fałszywe położenie, ten pozór dostatku, ten dom okazały, stopa na jakiej żyją, nawykuienie do nierachowania się z niczem.

Mościński zgryzł się mocno. Po krótkiej rozmowie przyjaciel odszedł, a ojciec pozostał sam z myślami.

O śnie mowy nie było; panna Alfonsyna z miss Burglife były jeszcze w teatrze. Hrabia, namyśliwszy się dobrze, przez służącą zażądał, aby po powrocie miss Burglife mogła się z nim widzieć sam na sam. Nie wiedział dobrze co pocznie, gotów był uledz nareszcie skłonności córki dla jej szczęścia — lecz postanowił wprzódy rozmówić się o tem z Angielką, w której rozum praktyczny nawykł był wierzyć.

Długo przyszło mu oczekiwać na powrót z teatru; nareszcie powóz zaturkotał, panie powróciły, a w pół godziny potem służąca przyszła dać znać, że miss oczekuje w salonie.

Hrabia wyszedł po cichu, Angielka nie mogła pojąć co znaczyło to tajemne wezwanie, domyślała się jednak że jest w związku z księciem i jego staraniem.

— Łaskawa pani, szepnął hrabia, odciągając ją do okna — nawykłem ją uważać za przyjaciółkę mojego domu, w ważnych okolicznościach wiem że mi nie odmówisz światłej rady. Właśnie dziś jestem w położeniu takiem... Potarł czoło. Osądź pani sama, powiem jej to w dwóch słowach. Zostałem oszukany, a raczej oszukałem się sam. Ks. Brańscy, których widziałaś pani przepych, których ja sądziłem bogatymi — są najzupełniej zrujnowani. Lada chwila wyzuci będą ze wszystkiego.

Angielka aż krzyknęła z podziwu i przerażenia

— Czyż to być może?

— Jest co do słowa jak mówię. Alfonsyna może się do zbytku już z mej winy przywiązała do ks. Ro-

berta. Jest to uczciwy młody człowiek, lecz i tu jest— ale... Pomijam to, mów mi pani, co począć? zerwać? iść na przebój? Alfonia ma dosyć dla siebie i dla męża, choćby był księciem, to pewna, lecz jeśli przyjdzie dźwigać jeszcze całą familią?

Angielka powtarzała — och! i — ach! łamała ręce, chodziła — pomieszana była nadzwyczajnie. Hrabia czekał co powie.

— Wiesz hrabia co—rzekła w końcu — ja — ja nie mogę na siebie brać odpowiedzialności za radę żadną, lecz wychowałam tak uczennicę moję, tak wierzę w jej rozsądek zdrowy, iż sądzę najwłaściwszem wprost się do niej odwołać. Powiedz jej pan szczerze jak rzeczy stoją, niech ona o sobie rozstrzyga. Jeślibyś pan uważał iż serce zbyt wielką ma nad nią przewagę, odezwiemy się naówczas... Alfonia jest daleko dojrzalszą niż pan sądzisz.

— A! nieszczęśliwe dziecko — jęczał hrabia — nieszczęśliwe dziecko, jeśli się już do niego przywiązało, nigdy sobie tego nie przebaczę.

— Bądź pan spokojny — ja mam pewien wpływ na nią; do jutra namyśl się kochany hrabio — przy śniadaniu ja państwa samych zostawię, powiesz jej wszystko otwarcie.

— Na miłość Bożą, do jutra staraj się ją pani przygotować! dodał hrabia — radbym jej oszczędzić cierpienia.

— Boleść jest naszym udziałem! patetycznie, dygając. dokończyła miss Burglife.

Tak tedy stanowcza rozmowa odłożoną została do jutra rana. Nocą śnił wzburzony wypadkami dnia hrabia. że się bił z generałem. który mu jego żelazną kasę chciał skonfiskować. Obudził się cały w potach i z bólem głowy.

Godzina śniadania nadeszła aż nadto prędko, radby ją był odsunąć. Alfonsyna przyszła dosyć wesoła i to jeszcze bardziej utrudniło ojcu zwierzenie, które ją zasmucić miało. Wyjście miss Burglife było znakiem chwili stanowczej, hrabia zaczął od pocałunków,

uścisków i oświadczeń miłości ojcowskiej. Panna słuchała ich dosyć obojętnie, jak rzeczy do której była nawykła.

— Moje dziecko drogie, począł wreszcie, nie bez trudności, zagajając ten przedmiot drażliwy — jesteś już w wieku, w którym własną się wolą i rozsądkiem rządzić możesz... nie ścieśniam twej woli, nie chcę się opierać uczuciom, pewien będąc ich szlachetnego kierunku. Obowiązkiem jednak ojca jest dziecku wszystko przedstawić, co doświadczenie dozwala przewidzieć w przyszłości. Przyznam ci się, że ja stary, ostrożny, praktyczny człowiek, zostałem przecież, jak się tu przekonywam, oszukany. Uważałem projekt małżeństwa z ks. Brańskim za bardzo świetny.

Alfonsyna zmarszczyła brwi, ojciec się poprawił.

— Nie mówię nic przeciwko człowiekowi, wszyscy go chwalą — lecz niestety! oni są... oni są... bankruci!

— To nie może być! zaprzeczyła Alfonsyna.

— Daję ci na to słowo honoru, grosza przy duszy nie mają. Lada chwila majątki idą na licytacją i te pałace, i te wspaniałości, i ten przepych co ich o zgubę przyprawił — w proch się rozsypią. Co tu robić? Chceszże ks. Roberta zrujnowanego, bez majątku?

Hrabia, mówiąc, wlepił oczy w córkę bacznie; ciągle mu się zdawało że będzie mdlała, spostrzegł bladość na twarzy, sięgał już po dzwonek, ale przemógłszy pierwsze wrażenie, hrabianka zmarszczyła się, zachmurzyła, zacięła usta — nie mówiła nic. Ojciec czekał.

— Papa wie o tem dobrze? odezwała się sucho.

— Zaręczam za to.

Nastąpiło milczenie.

— Więc nas chcieli podejść i oszukać? szepnęła Alfonia.

— Myślę że nie — któż ich wie i zrozumie? ks. Roberta chwalą wszyscy. Lecz to są ludzie lekkomyślni — sami może nie wiedzą jak stoją. Jednego generała posądzam, ten filut być musi. A jeśli tak są nieopatrzni, co za rękojmia na przyszłość? Mitrę

trzeba karmić i smarować, hę? Jak ja oczy zamknę, ty sobie z nimi rady nie dasz i wszystko zjedzą. A co potem.

Córka i ojciec zamilkli, spojrzeli na siebie: zamiast mdłości, łzy wytrysnęły z powiek Alfonsynie, nie łzy żalu, ale gniewu, z którym wybuchnęła tak widocznie, iż ojciec się na nim omylić nie mógł. Uczucie to uradowało go prawie. znajdował je w córce bardzo naturalnem i szlachetnem, wolał je zresztą, niż boleść i gwałtowną miłość. Odetchnął biedny. Panna Alfonsyna rączką uderzyła w stół.

— To niegodziwie! to szkaradnie! zawołała. Ja im tego nigdy nie przebaczę! Niech papa natychmiast odnajmie mieszkanie, wracajmy na wieś, ja go widzieć nie chcę! Takiego oszukaństwa nie zniosę! To oburza!

— Na miłość Bożą, przerwał uradowany hrabia, pohamuj się — ja wszystko biorę na siebie. Dam ks. Robertowi grzeczną odprawę, zerwę, jeśli chcesz.

— Tak jest, zerwać! podchwyciła Alfonsyna — zerwać natychmiast!

— Ale się wszakże nie oświadczył? rzekł hrabia.

— Zamknąć mu drzwi, jeśli tylko polowali na majątek! dodała panna.

— Dobrze, moje dziecko, dobrze! dzięki Bogu, znajduję w tobie tyle rozsądku i poczciwej dumy, ilem się nawet nie spodziewał. Bardzo to ładna rzecz nosić tytuł książęcy. ale przy nim cierpieć biedę i wplątać się do licznej familii, którą całąbyśmy potem utrzymywać musieli...

Alfonsyna płakała, ojciec ją utulał jak mógł, miss Burglife, czatująca pode drzwiami, weszła w pomoc ojcu, rzucając się w objęcia swej wychowanki.

— Widzisz pan, zawołała z pewną dumą do ojca, iż nie daremnie odwoływałam się do córki pańskiej, której wychowaniem się szczycę. Przemówił w niej rozsądek — niech to hrabiego uspokoi na przyszłość.

Mościński był w zachwyceniu, córka bowiem jakby odgadła jego myśl: trzeba było zerwać z Brańskimi. Ze wszystkiego to mu się zdało najrozsądniejszem — ale jak? Hrabia, który doskonale umiał obchodzić się z najprzebieglejszymi kupcami, gdy szło o sprzedaż pszenicy w Odessie, w innych życia wypadkach był niedoświadczonym i bojaźliwym. Nie chciał sobie narazić Brańskich, ani zbyt rozgłośnem uczynić zerwania, łamał głowę napróżno nad wyborem środków, a w końcu musiał znowu lecieć do p. Aurelego po radę.

— Przyjacielu drogi — do twojego serca się odzywam. Głupstwo moje zadzierzgnęło węzeł; naucz mię jak go rozwiązać gładko i pocichu.

Taką przemową ledwie powstającego z łoża po wesołym wieczorku, spędzonym w zbyt młodem towarzystwie. powitał hrabia p. Aurelego Zarębskiego.

— Mów jaśniej i bez metafory; o co chodzi?

— O zerwanie z ks. Robertem. Moja droga. złota Alfonia odrzuca go, nie chce, wyraźnie mi to oświadczyła. Oburzyło ją to, że się o majątek starano, nie o nią. A! co to za charakter! powiadam ci, to dziewczę jakich niema. Musiemy zerwać, wyjedziemy natychmiast, idzie o to, żeby awantury nie robić. Des gens comme nous n'ont pas l'habitude de casser les vitres.

— Powoli, powoli. ziewając rzekł Aureli. Zerwać jest bardzo łatwo. Masz doskonały pozór, nie tykając drażliwej strony majątkowej. Powiesz mu wprost, bardzo grzecznie, iż wypadek w teatrze był zbyt rozgłośnym, abyś o przyczynach jego się nie dowiedział, dodasz. że szczęścia córki nie mógłbyś powierzyć człowiekowi, który resztki dawnej pasji nosi zapewne w sercu, coś w tym rodzaju... Dasz sobie radę, ja ci tylko temat nastręczam.

Hrabia, zawsze skłonny do czułości, rzucił się w objęcia przyjaciela.

— Masz słuszność! tyś genialny! Wystaw sobie, że mnie to nawet na myśl nie przyszło. Doskonale! Będzie to trochę przykra chwila do przebycia — ale dla jedynego dziecka należy się poświęcić.

Środek więc był znaleziony, a Mościński, pragnąc jaknajrychlej zbyć się ciężaru, kazał natychmiast jechać do mieszkania ks. Roberta. Zastał go, jak zwykle, w fotelu, zadumanego, ze zgasłem cygarem. Ocucił się, jakby do spełnienia obowiązku, ujrzawszy Mościńskiego i poznał od razu z jego twarzy jakąś zmianę. Prosił siedzieć, nie dopytując się jednak.

Hrabia, tak zwykle miękki i serdeczny, nagle stał się krochmalnym i kwaśnym. Z samego przywitania można było wnosić że cóś zaszło. Ks. Robertowi było to obojętnem dla siebie, lecz szło o los rodziny. Niespokojnie trochę zwrócił się ku swemu gościowi, który miał rękawiczki i kapelusz w rękach.

— Mości książę, wydławił z siebie Mościński, bardzo mnie tu przykry sprowadza dziś obowiązek.

Książę patrzył nań, nie badając — czekał co dalej będzie.

— Z prawdziwą życzliwością otworzyłem księciu dom swój i zbliżyłem go do swej córki, będąc pewnym, że serce jego było i jest wolnem; na nieszczęście głośna przygoda w teatrze...

— Oszczędź-że sobie, kochany hrabio, trudu mówienia dalej, ja już rozumiem — rzekł ks. Robert spokojnie. Masz pan zupełną racją. Posłuszny woli mojej rodziny, pewien będąc że raz wzięte na siebie obowiązki spełnię uczciwie — starałem się o hrabiankę, ale się nie narzucam, panie hrabio — jak skoro pan znajdujesz...

Mościński spodziewał się, że to pójdzie trudniej.

— Ja za kilka godzin wyjadę — dodał książę, wstając z krzesła z zupełną swobodą, głosem spokojnym — niechże hrabia nie zadaje sobie żadnego trudu, nie zmienia projektu pobytu w Warszawie. Ja wyjeżdżam. Proszę byś raczył złożyć moje uszanowanie hrabiance i miss Burglife.

Mościński, w tej chwili odprawiony, tak bez ceremonii, bez żalu, bez wymówek, czuł się niemal upokorzonym; zdało mu się że nie on księciu, ale książę jemu dał odprawę.

Robert wyglądał tak dumnie, tak pańsko, tak niewzruszenie pogodnie, jakby najmniejszego nie miał żalu po Alfonsynie. Oburzyło to czułego ojca. Z sędziego zmieniał się na ofiarę: stał z kapeluszem, nie wiedząc co począć, co mówić, jak wyjść — dziwnie mu było niewygodnie i przykro. Scenę tę całą wyobrażał sobie, jadąc, całkiem odmiennie — sądził że książę uniewinniać się będzie, prosić, przebłagiwać, że wyjdzie zwycięzko naostatek, a wyszedł pobity, maleńki jakiś i skonfundowany.

Ks. Robert z wymuszoną grzecznością odprowadzał go aż do drzwi samych, kłaniając się z uśmiechem; Mościńskiemu wyrazów brakło, gniewał się i nie mógł już wypowiedzieć swojego gniewu. W samym progu ks. Robert się zatrzymał.

— Pozwolisz mi pan hrabia na ostatku przy pożegnaniu uczynić sobie jedną uwagę, która mu na przyszłość będzie przydatną. Ja — jakkolwiek przybyłem do Warszawy towarzysząc państwu, ani hrabiance Alfonsynie, ani panu dobrodziejowi urzędownie się nie oświadczyłem. Nie przeczę że miałem myśl, żem mógł mieć projekt, jeśliby serce moje przemówiło. Ale serce nie przemówiło. Właśnie dziś byłem zdecydowany pożegnać państwa i powracać do Brańska, gdyś hrabia mnie tak niespodzianie a szczęśliwie uprzedził. Lecz, kochany hrabio, jako kuzynowi, pozwól bym ci oświadczył, iż do tego wystąpienia nie miałeś najmniejszego prawa; któż za mnie mógł zaręczyć, że ja się staram? Między nami, rzekł z przyciskiem— między nami, panie hrabio, nic nie było. J'ai l'honneur de vous saluer!

To mówiąc, ks. Robert skłonił się nizko i zamknął drzwi za hrabią, który był czerwony i trząsł się od gniewu.

— A to kawaler! niema co mówić! miły chłopiec! mruczał, odchodząc. Co za ton, do lokajaby tak nie mówił! Dobrze im tak, niech giną, zasłużyli! Niepoprawieni są!

Wróciwszy do domu, Mościński poszedł do cór-

ki, ale nie wprzódy, aż się uspokoił i ochłonął. Hrabianka Alfonsyna nie śmiała go spytać o nic — oczy miała czerwone. W pokoju słychać było wodę pomarańczową, laurowe krople, wódkę kolońską, wszystko co towarzyszy pocieszaniu gwałtownie strapionych. Miss Burglife siedziała przy nieboraczce.

— Tego... co chciałem mówić — odezwał się w progu Mościński — my nie mamy potrzeby się śpieszyć— dałem mu porządną odprawę, on sobie jak zmyty dziś jeszcze rusza, gdzie pieprz nie rośnie. Przebyłem, prawda, dla miłości Alfonsyny, ciężką chwilę, bardzo przykrą — ale rzecz skończona, zerwana stanowczo. On jedzie, myśmy wolni. Alfonsyna rzuciła się w objęcia miss Burglife, która potajemnie dała znak hrabiemu, ażeby się nad tem nie rozszerzał.

Mościński zamilkł, ale mu się to nie podobało. Gdy po chwili wysunął się z pokoju córki, miss Burglife wybiegła za nim.

— Omyliliśmy się — szepnęła — ona go kocha, były mdłości. Prawda że się pogniewała, że w gniewie się wyrzekła, lecz w sercu tkwi głęboko uczucie. To przejdzie kochany hrabio, czas ją uleczy. Znajdzie się ktoś inny. Już to nie można powiedzieć inaczej, tylko że książę jest bardzo, bardzo dystyngowany człowiek i piękny mężczyzna, jednak z czasem go zapomni. Ja będę się starała, niech hrabia będzie spokojny.

Ze spuszczoną głową Mościński powlókł się do brudnego pokoiku. „Niema nieszczęśliwszego człowieka nademnie, myślał w duchu — robię co ona chce, a nigdy nie jest zadowoloną. Kazała mi dać odprawę, teraz się rozpada! Kobiety, nawet najrozumniejsze, zawsze, zawsze są niekonsekwentne. Bądź-że tu mądry! Teraz go już napowrót nie złapie, i lepiej, lepiej... Niech się przemęczy raczej, niż miałaby całe życie być nieszczęśliwą.

Po wyjściu hrabiego, ks. Robert chwycił natychmiast za dzwonek; wbiegł służący.

— Pakować! zawołał — jedziemy!

Na stole niepostrzeżony dotąd, leżał od rana list z poczty miejskiej; oczy księcia padły na kopertę i twarz oblała się purpurowym rumieńcem. Patrzył nań, jakby obawiał się wziąć go w rękę, stał nad nim i drżał cały. Po wyjściu służącego wyciągnął dłoń, spojrzał na pieczątkę. Tak, była to taż sama którą znał dobrze, którą tyle razy łamał, okrywając pocałunkami. I pismo toż samo było które mu przynosiło szczęście. Długo wahał się książę Robert i list położył na stole.

— Poco budzić to, co przysute popiołami? poco wracać do przeżytych bólów? Znalazłbym ból tylko, tylko nową truciznę, cierpiałem dosyć.

Odwrócił się od listu, poszedł do okna — stał osłupiały i myślał znowu.

— Ostygły jestem, wszak to już na mnie żadnego nie powinno uczynić wrażenia. Dlaczegóżbym miał odmawiać kobiecie prawa bronienia się, którego nie odmawiają zbrodniarzom? Ona chce pewnie tylko czystą, czystszą okazać się w oczach moich. Miłość między nami być nie może, miłość to zabita, okrwawiona; lecz czemużbym jej nie miał posłać wyrazu przebaczenia i pociechy? Tak — obawa moja przesadzona. Przed godziną nie mógłbym, nie powinienem był dotknąć tego listu; w tej chwili jestem już wolny, należę do siebie.

Zbliżył się ku papierowi leżącemu ciągle na stoliku, brał go już ręką drżącą i cofnął się znowu.

— Nie — mylę się — mówił w duchu — miłość ta nie została zabitą, ona trwa, jam się nią palił i drę-

czył, jam się jej pozbyć chciał, choćby najdroższą uczucia wszelkiego ofiarą... nie mogłem. Cóż będzie, jeśli przygasła odżyje — jeśli ona się uniewinni? Jam nie miał dowodu winy — jam miał tylko namiętność ślepiącą. Co będzie, jeśli padnę do jej nóg, prosząc o przebaczenie? A! nie — stokroć nie! Ja nie należę do siebie, ja jestem własnością rodziny, dla której jak najdrożej sprzedać się muszę. Poco? Ale jedna jeszcze w życiu szczęścia godzina! jedna chwila! błysk! jeden — a potem choćby umrzeć. Spojrzeć w te oczy, w których boska pali się iskra, usłyszeć głos, uczuć jej dłoń!...

I jak szalony ks. Robert chwycił za list, rozerwał kopertę, rzucił okiem, czytał, pożerał. Twarz mu bladła i czerwieniała, wargi drżały, po licu biegały płomienie, brew się marszczyła i opadała nieruchoma, usta krzywiły się jak do jęku i otwierały jakby chciał krzyknąć. Stał tak długo, znać czytał i odczytywał znowu i nie mógł nasycić się temi wyrazy. Nagle list wcisnął do kieszeni, chwycił kapelusz i wybiegł.

Ktoby go widział przesuwającego się ulicą, z oczyma które nie widziały nic, potrącającego przechodniów. nieumiejącego znaleźć drogi aż nadto znanej, pomijającego znajomych bez powitania, łatwoby się domyślił, że ten człowiek był pod władzą despotyczną uczucia, które nim miotało, odejmując mu przytomność. Dobiegł tak aż do wskazanego domu, w którym mieszkała hrabina Natalia, zadzwonił, służący mu otworzył i nim pośpieszył go wstrzymać, spytać, zagrodzić mu drogę, Robert już był w salonie, a nie znalazłszy w nim nikogo, szedł przez dwa pokoje, nie zastanawiając się aż u drzwi sypialni. Gwałtownie rozwarł je — wszedł.

Hr. Natalia klęczała i modliła się. Odwróciła głowę, wyciągnęła ręce, krzyk się dał słyszeć, potem cisza. Biedna kobieta, ze zbytku szczęścia którego się nie spodziewała, zemdlała. Lecz omdlenie, które mogło zabić, przeszło w jednej chwili, otworzyła oczy,

wskazała mu krzesło. Grobowe milczenie panowało przez chwilę, płacz tylko słychać było.

Robert, ze spuszczoną na ręce głową, siedział jak wkuty.

— Przychodzę przebłagać — daruj mi — rzekł — kochałem cię nadto, bym mógł trzeźwo sądzić. Dla mnie dosyć było widzieć go u ciebie; nie wiedziałem że wszedł, przepłaciwszy sługi, mimo twej woli, i gdym go zastał, ty...

— Posłuchaj mnie — głosem znękanym odezwała się kobieta — moje życie się skończyło, moje serce zeschło, jam łzy wypłakała. Niczego nie chcę, niczego się nie spodziewam, lecz pragnę jednej na świecie tylko rzeczy, jednego dobra... chcę być w twych oczach czystą. To mówiąc, chwyciła krzyż stojący na klęczniku. Robercie — zawołała — na to znamię zbawienia i na zbawienie mej duszy ci przysięgam, jam cię nie zdradziła. Chciałam byś tylko te z ust moich usłyszał słowa — nie chcę nic więcej. Jesteś wolnym — idź.

— Natalio, przebacz!

— Przebaczyłam ci wszystko, kochałam cię może mocniej, dlatego żeś mną pogardził i chciał mieć czystą... kochałam, lecz dziś już we mnie serce zamarło. Podajmy sobie dłonie, powiedzmy sobie na zawsze. na wieki: żegnam cię! i — rozstańmy się. Idź, błagam, proszę cię — idź!

— Nie mogę — głosem stłumionym odezwał się Robert, ulituj się nademną, siły mi braknie. A! gdybyś ty wiedziała, ale ty tego nigdy wiedzieć nie będziesz. co ja wycierpiałem... Jam cię kochał nawet wyrzucając zdradę, jam nigdy nikogo nie kochał, nie kocham, nie potrafię ukochać, prócz ciebie. Ale ja jestem niewolnik — dodał ciszej — ja muszę być sprzedany...

Ironiczny śmiech przesunął mu się po ustach.

— My jesteśmy zrujnowani, my nie mamy nic. Dla mnie — cóż to dla mnie znaczy? ja poszedłbym znowu nosić karabin; ale ojciec stary, ale siostra, ale to ciężkie spadkobierstwo imienia. Tak — Natalio, ja będę

sprzedany, jam się już o mało nie sprzedał. mówił ciągle z goryczą — ale kupiec znalazł mnie niedość dobrze zachowanym. Cóż mnie to obchodzi? dla mnie bez ciebie życia niema, szczęścia nie ma... ja tak powoli dogoreję, z obrazem twoim w sercu i myśli. Słuchaj, Natalio — mówisz o swem sercu umarłem, niech choć w zdrętwiałem zostanie dla mnie wspomnienie. Jam cię tak kochał, jak nigdy człowiek żaden niewiastę — ja dziś, pod brzemieniem obowiązku, ze wspomnieniem ojca, domu, tych wszystkich, którym poświęcić się muszę, — czuję, że za chwilę może zdradziłbym ich, zapomniał, wyrzekł się, gdybym...

— Dosyć, Robercie — dosyć! nie mów! krzyknęła Natalia, zrywając się z siedzenia — zaklinam cię — idź — nie wskrzeszajmy szału, nie budźmy niemożliwych nadziei. Na ziemi niema i nie może być szczęścia; są błyski, myśmy taki błysk przeżyli, umiéjmy żyć pamięcią chwili. Dziś, dziś już na szczęście zapóźno! Nic wskrzeszonego nie żyje. Ale dopóki zeschłe to serce bić będzie — jam twoją — o! jam twoją!

Robert się zerwał, kobieta spłakana klęczała u kolan jego i obejmowała je, płacząc jeszcze.

— Przebacz mi. rzekła — byłam płochą może, nim poznałam ciebie, lecz pragnęłam ciebie być godną, podniosłeś duszę moję. Miłość twa oczyściła mnie! przysięgam ci że w tem sercu. po tobie, chyba Bóg zamieszka. Ono było i jest twojem!

— Uwierz-że mnie — uwierz żem kochał i kocham. i przeklinając, jeszczem był twoim cały. Pamiętasz ten obraz twój, który chwyciłem gwałtem wówczas, gdy się miłość moja otwierała jak kwiat do słońca. Aż do dziś dnia pozostał on przy mnie, jako jedyna pociecha strutego życia. Sto razy chciałem go rzucić w ogień i stokroć gotowem był paść w płomienie, by go ocalić. Całe dni z nim byliśmy sami, nie przeżyłem dnia jednego bez niego. Budziłem się by nań patrzyć— zasypiałem ze wspomnieniem.

— Idź! idź! zawołała wstając Natalia — ja się lękam, ja cię proszę! Podaliśmy sobie dłonie, przejednani rozstańmy się siostrą i bratem na wieki. Zdala żyć będziemy z sobą zawsze.

— Pozwól mi zostać — to mój dzień ostatni. Jadę — muszę jechać. Tam czekają na mnie. Twój krzyk boleści w teatrze ocalił mnie nadługo pewnie. Więzy które już zakuć miano—rozpadły się, oddycham chwilę. Niech ją z tobą przeżyję.

Natalia płakać zaczęła.

— Lękam się, rzekła, aby ci widok mój dzisiejszy nie zatarł wspomnień obrazu — ja chcę być zawsze dla ciebie tą, którą pierwszy raz zobaczywszy, ukochałeś jednem wejrzeniem. Dziś — ja trupem tamtej jestem.

— O! nie — przerwał Robert — mnie spaliła boleść, tyś w niej nabrała męczeńskiego blasku, tyś jak anioł piękna, a ja cię kocham! ja cię kocham!

Słysząc ten wykrzyk, hrabina odsunęła się od niego.

— Robercie, zaklinam cię — odejdź! Klęczałam u krzyża gdyś wszedł, chce być godną poklęknąć przed nim znowu, gdy ci podam dłoń do pożegnania na zawsze. Niech miłość którą krew oblała zostanie czystą, świętą, braterską. Błagam cię.

— Niech będzie czystą, braterską i świętą! powtórzył Robert, — Lecz, droga Natalio, nie wypędzaj mnie od siebie, nie rachuj mi chwil, daj mi się napaść blaskiem twych oczów, nasłuchać głosu twojego, aby mi one świeciły, aby mi on brzmiał w osamotnieniu i niewoli. W życiu może się nie zobaczymy więcej; ja nie przyjdę, bo nie chcę być krzywoprzysięzcą, ty mnie szukać nie będziesz. Pozwól mi zostać.

— Chodźmy więc do salonu — zawołała, drzwi otwierając, Natalia. Wpadłeś tu przebojem, niech ludzie myślą co chcą! lecz nie uciekajmy od nich, ja tam o ciebie i o siebie spokojniejszą będę. Zostań! zostań!

Wyszli oboje. Hrabina Natalia zadzwoniła drżącą ręką.

— Brat mój przyjechał na chwilę — odezwała się się do służącego, drzwi moje zamknięte, nie przyjmuję nikogo.

Służący wyszedł, zostali sami. Szał pierwszego spotkania ostygał powoli, ochłonęli oboje. Natalia otarła łzy, zaczęła się cicha rozmowa... Któż taką rozmowę powtórzy? Był to kwiat co wykwitł między dwiema przepaściami — przeszłością bez powrotu — przyszłością bez nadziei. Kobieta pierwsza odzyskała panowanie nad sobą i trochę rezygnacji a spokoju. Robert pozostał w gorączce. Co chwila hamować go musiała wzrokiem i słowem, a pohamowany zrywał się znowu szałem i namiętnością. Siedzieli tak, milcząc, godzinę. zapomniawszy dnia, nie czując czasu. Służący wchodził, mówił coś, oznajmywał, wychodził... nie wiedzieli co powiedział i z czem przyszedł. Robert się zrywał odchodzić, Natalia prosiła go, ażeby został jeszcze chwilę, jeszcze minutę. Potem ona kazała mu iść, on się od progu zawracał.

Zmierzchało, gdy u drzwi cicho rzucili się sobie w objęcia i pozostali tak z rękami splecionemi na szyi, aż Robert rozerwał jej dłonie, ukląkł, ucałował jej stopy, a gdy Natalia otwarła oczy, już go przed nią nie było.

Wieczór był letni. słońce zapadało za lasy ciemne; ogród brański cały leżał w mrokach i chłodzie. Około dworu panowała cisza zwyczajna, uroczysta, przerywana zaledwie ostrożnym chodem sług i szeptem spotykających się ludzi. Ks. Serafin wracał z kapliczki, odmawiając resztę pacierzy. Wincentowicz szedł z polowania od lasu. z torbą próżną, z głową zwieszoną. Burski przechadzał się z rękami w tył po napoleońsku założonemi, dumając może o legionach i czarnookich Włoszkach. Okna pokojów generała były pootwierane, a on sam gospodarował około ulubionych swych sprzętów. Zbroja jedna zaczęła mu była rdzewieć, kazał ją przy sobie oczyścić i napuszczać oliwą. Szambelan słuchał monotonnego czytania swego sekretarza, który mu z Bielskiego kroniki nie wiem który raz bitwę grundwaldzką powtarzał. Starzec udawał że słucha, lecz myślą znać był gdzieindziej i roztargniony.

— Daj waćpan już pokój temu, trochę ciemno się robi, dokończym to innym razem. Proszę się spytać, czy posłaniec z poczty przyjechał.

Sekretarz poszedł, wrócił i oznajmił, że posłaniec był, lecz listów żadnych nie przywiózł z sobą.

Szambelan, który przed swym dworem nie zwykł się był nigdy wynurzać z myślami, choć go to zdziwiło mocno, nie rzekł nic.

— Proszę waćpana generała do mnie wezwać, jeżeli ma czas.

W kwadrans potem chód żywy ks. Hugona dał się słyszeć w przedpokoju — otwarły się drzwi.

— Dobry wieczór. Co szambelan rozkaże?

— Nic ci, mój bracie do rozkazania nie mam, westchnął stary, a radbym się tylko poskarżyć. Wystawże sobie, znowu poczta przyszła próżna. Listu jak niema tak niema: niedarowane niedbalstwo! I hrabia niegrzeczny i ten Robert. Czy tak się tam zapamiętale kocha?

Generał ruszył ramionami.

— E! nie — rzekł, ale zawsze taż sama historja z tą Warszawą. Gdy się tam człowiek dostanie, na nic czasu nie ma, to wiadoma rzecz. Nie trzeba się tem niepokoić. Nawet panna Alfonsyna, która Stelli przyrzekała pisać, od pierwszego swego bileciku już zamilkła. Może być że im się tam trudno urządzić, to,

owo... Wszystko to wyklaruje się wprędce. Bądź pan brat spokojnym.

— Jednakby już czas było, ażeby o sobie znać dali, szepnął szambelan. Robert się nigdy tak nie zaniedbywał w swych obowiązkach.

— Kochany bracie, na ten raz należy być wyrozumiałym — staranie o pannę, świat, znajomości, bieganina — rzekł generał.

— Lecz jużby też na napisanie kilku choćby słów czas się powinien znaleźć, zwłaszcza do ojca, powtórzył ks. Norbert.

Na to generał jakoś nic odpwiedzieć nie umiał.

— Wierzaj mi, Hugonie, dodał powoli stary — choć do naszego domu nie dopuszczamy zatrutego oddechu wieku, wciska się on mimo nas. Ludzie się psują, stosunki rodzinne wypaczają, znika dla starych poszanowanie, lekceważą się obowiązki. Młodzi górę biorą na na świecie, a czy ich panowanie lepszem będzie — to rzecz wielce wątpliwa.

— Robertowi wszakże pod tym względem nic zarzucić nie można, bronił ks. Hugon; pomimo że do lat czterdziestu się zbliża, uległości synowskiej wcale się nie zaparł. Dobry to, zacny i poczciwy chłopak, który wstydu nam nie zrobi.

— A niech-że nas Bóg strzeże, by się w rodzinie znalazł kto, coby gniazdo nasze czyste pokalał — odezwał się szambelan. Znam Roberta, jak wy, i kocham go pewno niemniej od was, tylko mi się to postępowanie nie podoba. To już ta nieszczęsna emancypacja! Emancypuje się wszystko i wszyscy, z pod rządów Bożych, z pod władzy ojcowskiej, z pod posłuszeństwa mężów i rodziców.

Rozśmiał się książę Hugon.

— A! tylko nie w Brańsku! nie w Brańsku! przerwał wesoło — u nas jeszcze patryjarchalny, na miłości oparty trwa stary porządek.

— I mam nadzieję, że nam tu nowych idei a nieładu z niemi nie wniesie hrabianka Alfonsyna, choć ją

Angielka wychowała, a między Anglikami nurtują różne opinie. To zdaje mi się dobre dziecko.

— I mnie się tak zdaje — potwierdził generał — zresztą, gdyby nawet weszła w nasz dom z trochę innemi wyobrażeniami, wpływ tutejszej atmosfery musi na nią oddziałać — nie może się nam zbuntować.

— Ze wszech miar szczęśliwe obiecuje się małżeństwo, dodał szambelan. Robertowi, choć to jeszcze młode, czas było żonę pojąć, sama pora. Imię dobre, choć hrabstwo niekoniecznie, ale się to utarło; ojciec poczciwy człek, choć mu na powadze zbywało, majątek słyszę bardzo znaczny, panna wychowana starannie, a że nie piękna, — bo trudno powiedzieć żeby piękną była — to i lepiej. Robert się do twarzy przyzwyczai, a dobrą żonę kochać będzie; jejmość zaś nie tak w sobie zakochana, jak bywają owe cuda wdzięków, przywiąże się łatwiej do wiejskiego domu i życia. Słowem, mój generale, ja w tem wszystkiem widzę rękę Opatrzności i opiekę Jej nad domem naszym. Byle przyszło do skutku.

— Ale to nie ulega wątpliwości — zawołał książę Hugon — hrabia pragnie tego związku nad wyraz wszelki. Umie on ocenić co znaczy nazwisko, które spadnie na jego córkę, jedno z najpiękniejszych imion w kraju. Alfonsyna formalnie zakochana w Robercie, czemu się nie dziwię.

— A on? a on? spytał ojciec.

— Hm! Robert dla kobiet w ogóle jest zimny — mówił generał — nadzwyczajnej pasyi po nim wymagać było trudno, jednakże zajął się nią wyraźnie. Il lui faisait la cour, jakem się nie spodziewał bardzo przyzwoicie, i zawrócił głowę hrabiance.

—Robert każdejby się musiał podobać, rzekł szambelan. Podobniusieńki do mojego ojca, a ten, jak wiesz, na dworze saskim należał do najświetniejszych gwiazd. Król August mówił o nim, że piękniejszego nie widział mężczyzny. Teraz — kończył szambelan, myślę tylko już o weselu. Hrabia musi wymagać aby się odbyło na Podolu. Proszę cię, co to za kłopot, powozy, ludzie,

konie tak odlegle przeprowadzać. Hrabia wystąpi pewnie, przy przenosinach, o którychby zawsze pomyśleć należało. Dla mnie podróż — jeśli jeszcze pora roku będzie niedogodną — bardzo ciężka, a pojechaćbym życzył. Wszakże to syn jedyny.

— No — do tego jeszcze daleko może! rozśmiał się generał.

— Zwlekaćbym nie chciał — jestem-bo stary, to darmo, metryka przypomina memento mori. Chciałbym już Roberta widzieć ożenionego, dobra sąsiednie okupione, dawną świetność domu przywróconą i umrzeć o mój ród spokojny.

— Zapomniałeś o Stelli, musisz poczekać przynajmniej, póki jej za mąż nie wydamy — odezwał się Hugon.

— Zdaje mi się że z jej pięknością, imieniem — a no — i posagiem, mówił ojciec, nie będzie to trudnem, choć ja z mej strony muszę być wybrednym. Lada komu jej nie dam! to anielska dziewczyna.

— Tak, ale kto tu ją na wsi zobaczy?

— O to się nie troszcz. Ja mam przeczucie, że na weselu Roberta. na tem Podolu bogatem znajdzie się jakie tamtejsze książątko. Czetwertyńskich jest dużo, a ludzie bardzo pięknie wychowani. choć niemajętni, no, i Światopełki, Stelli bym nie chciał wydać za prostego hrabiego lub bogatego szlachcica. chociaż w samym domu Zamojskich mamy tego przykłady. Ale zawsze Zamojscy, to Sariusze, szlachta dorobkiewicze, nic innego, tylko dobra szlachta!

Rozmawiali tak i byliby nie wiem jak długo, puściwszy się na heraldykę, rozmawiać mogli, gdyby nie weszła księżniczka Stella, która ręce ojca ucałować chciała. Stary zobaczywszy ją, uśmiechnął się i ze wzruszeniem pocałował w śliczną główkę. Pięknąbo była, jak postacie w raju Fra-angelica, rozpromieniona swem anielstwem, a pełną wdzięku, jak młody kwiatek w poranku — pieszczona ojca dziecina, ukochana całego domu i nie zepsuta miłością. ale nią wyszlachetniona. Przybieży do kolan starego ojca, schyliła się do nich i drżące ręce ujęła w białe dłonie. Generałowi, który stał z boku, łza się zakręciła pod powieką, cóś mu jakby przeczucie ścisnęło serce; nie mógł ustać w miejscu i przypomniawszy że swych zbroi nie pozawieszał, powrócił conajśpieszniej na górę.

Wieczór był już dość późny i zmrok coraz gęstszy, tak że dla poustawiania rozłożonego żelaztwa. trzeba było światło zapalić. Kroki jakieś ciche dawały się słyszeć w przedpokoju. Książę Hugon sądził, że służący przynosi lampę i zawołał nań głośno, gdy wśród ciemności ktoś się zbliżył krokiem powolnym. ostrożnie. Poznać nadchodzącego było trudno, dopiero gdy przystąpił o kroków parę, generał postrzegł w nim księcia Roberta i z podziwienia krzyknął. a rękawica żelazna na ziemię mu padła.

— Co to jest? wróciłeś? kiedy?

— Cicho, kochany stryju, na miłość Bożą! — rzekł stłumionym głosem przybyły, chodźmy do gabinetu, musiemy pomówić z sobą.

Niespodziane przybycie, ton jakim wyrazy te były wymówione, sama postawa Roberta i tajemnica którą się zdawał ukrywać. nad wszelki wyraz przeraziły generała; dorozumiewał się jakiegoś nieszczęścia. ale nie mógł przewidzieć co się stało. Weszli razem do gabinetu.

— Kiedy wróciłeś? dlaczego? jak? począł generał, co to znaczy?

— Mówmy cicho — potrzeba się naradzić. ażeby ojcu nie zrobić przykrości, odezwał się ks. Robert. Powróciłem, bo nie miałem co robić w Warszawie. Koniec końcem. ani ja hrabiance, ani hrabianka mnie się nie podobała — musiałem zerwać.

— Jakto? ty? dlaczego? to coś nadzwyczajnego! mów mi prawdę!

— Hrabia znać musiał się dowiedzieć o stanie naszego majątku — dodał ks. Robert. dosyć że on pierwszy krok zrobił. Nie mogłem postąpić inaczej, musiałem z mej strony...

Stary padł na krzesło i pochwycił się za głowę
— A wiesz ty do czego to prowadzi? zawołał. — Szambelan w błogiej nieświadomości nie domyśla się niczego. ale my, tak dobrze ty jak ja — wiemy, że małżeństwo i posag były jedynym ratunkiem, inaczej... zginęliśmy.

— Winy z mojej strony niema — rzekł sucho Robert. — Jakkolwiek, szczerze mówiąc, panna mi się wcale nie podobała i podobać nie mogła — zmuszałem się do grzeczności. Kazaliście mi jechać, pojechałem, chodziłem za nimi posłuszny, a w końcu... w końcu mi dali odprawę.

— Hrabia? ale cóż mu się stać mogło? oszalał?

— Zląkł się ruiny. rzekł Robert. Rzecz jest spełniona — nie mamy co mówić o tem. Zdaje mi się, że gdy kto raz odmówił Brańskiemu, nie możemy się z sobą napraszać, trzeba myśleć co powiemy ojcu. Ojciec musi się uczuć obrażonym. dotkniętym, radbym mu oszczędził cierpienia i dlatego, nie pokazując się we dworze. przyszedłem do stryja na radę.

Książę Hugon słuchał jak ogłuszony, nie zdawał się rozumieć wyrazów; zasępiony to podnosił wzrok na Roberta, to go rozpaczliwie spuszczał na ziemię. Ale rada którą miał dać synowcowi nie przychodziła. Zbolały, zwątpiały, czuł tylko własne znękanie.

— Jeżeli stryj sądzisz, że mniej zaboli ojca mój kaprys, niż odrzucenie starań moich przez hrabiego — powiemy mu że wina jest moją. Może lepiej by się gniewał na mnie chwilę; niż uczuł że nami tak pomiatać można. Dotknie go to i upokorzy.

— Ja nic nie wiem, z ciężkością ozwał się generał — bądź co bądź. trzeba ojca twego oszczędzić, musiemy skłamać. W jego wieku doznane nagle upokorzenie, oburzenie, gniew, są groźne. Szambelan żył i żyje, dzięki Bogu, w błogim spokoju. — oszczędźmy mu, ile się to da, cierpienia. Powiedzieć mu całą prawdę odrazu, znaczyłoby może go zabić. My, co żyjemy więcej z tym światem nowym, tak od starego odmiennym, wiemy że się po nim niczego pono spodziewać nie można — ale on — on! biedny, poczciwy Norbert!

Załamawszy ręce, generał chodził i wzdychał.

— Ty się tu długo ukryć nie możesz. Ktoś wypadkiem powie żeś przyjechał, szambelan się domyśli czegoś złego, może gorszego niż jest, to go może zabić. trzeba natychmiast radzić.

I znowu przechadzał się zadumany.

— A no! — rzekł, zdaje mi się że to będzie jedyny sposób: Pan Bóg mi przebaczy pobożne kłamstwo moje. Pójdę i powiem mu, że ktoś wracając z Warszawy przywiózł mi wiadomość iż powracasz i posłuch że jakoś z hrabią i hrabianką nie idzie, jakby Brańskiemu starającemu się o taką Mościńską iść powinno. Może go trochę zmartwi, a jutro już ty oficyalnie przyjedziesz, no.... i — opowiesz jak ci się będzie zdawało najlepiej. Dziś przenocuj u Gozdowskiego, żeby cię nikt tu nie widział, albo u Zenona.

To mówiąc uścisnął go ze łzami w oczach. W tejże chwili dał się słyszeć dzwonek, zwołujący na herbatę i wieczerzę.

— Idź, żeby cię kto tu nie zastał — myśl co jutro powiesz; ja będę też głowę łamał — a jutro pójdziemy razem do starego.

Uściskali się w milczeniu.

— Ha, rzekł w duchu generał, schodząc powoli — już teraz o ocaleniu nas mowy niema, idzie o to tylko, aby ruinę przeciągnąć, ażeby ją ukryć przed szambelanem. My, niedobitki, będziemy z godnością dźwigać nędzę naszą, ale ta biedna Stella. ten anioł, który...

W tej chwili wchodził do rzęsisto oświetlonego salonu. Jak na przekorę wszystko się w nim śmiało, jakby nikt nie przeczuwał jutra. Sparty na ramieniu córki, stary wchodził, uśmiechając się do niej. znowu rozweselony i czołem bez chmurki. Stella prowadziła ojca z czułością, troskliwością poszanowania pełną, posadziła go na jego krześle. złożyła mu pod nogi jego poduszkę, przysunęła co zwykł był jadać wieczorem.

Antonina przybiegła jej pomódz, szambelan rozczulony opierał się tym zbytnim pieszczotom.

— Ale moje panny, moje panny kochane — mówił, śmiejąc się — ja bo nie chcę być tak starym, dam sobie radę; aż mi wstyd, że mnie tak dorlotujecie. Cóż to generała nie widać?

Generał spóźnił się był umyślnie; zato cały dwór pozostały był na swych miejscach, a do niego przyłączyli się młody Żurba i Gozdowski. Ks. Serafin odmawiał modlitewkę, złożywszy ręce; Wincentowicz się przeżegnał. spoglądając z ukosa na Burskiego, który tych praktyk religijnych w wojsku się oduczył, chociaż do kaplicy chodził regularnie.

— Cóż tam, księże kapelanie, ryby mówią? spytał szambelan.

— Milczą, jaśnie panie, rozśmiał się kapelan, nawykły do tego często powtarzającego się pytania; nawet raki się wyszeptały — silentium jak u trapistów.

— Ale połów asiedzieja dzisiejszy? boś pewnie na ryby chodził? he?

— A jakże! muszę, inaczejby w piątek z mięsem gotowano, więc to obowiązek sumienia. Dziś tylko jeden szczupak niezgorszy, reszta płotki. parę linów i tyle.

— A pan Wincentowicz czem się pochwali?

— Jednym szarakiem, mości książę — i to... kulawym — rzekł Wincentowicz, okazało się że mu ktoś nogę dawniej przestrzelił, że się bez lekarza wykurował i dziś padł ofiarą. Jakoś tego roku zwierzyny mało.

— Ale ba — szepnął szambelan, wszystkiego dobrego na świecie coraz mniej. Cóż pan kapitan Burski porabiał?

— A cóż, mości książę, z kolei rzekł legionista. nie mam żadnej funkcyi na dworze waszej książęcej mości, więc z założonemi rękami używałem świeżego powietrza — jem i śpię, obserwuję tylko niebo i chmury.

— Wróży się pogoda?

— Niepewna, bo mnie cóś po kościach łamie, a to u mnie barometr najpewniejszy.

Szambelan zwykł tak był po monarszemu wszystkich u stołu swego siedzących obchodzić pytaniami i darzyć słowem łaskawem; był to niezmienny obyczaj w Brańsku. Obrócił się więc do Żurby.

— A pan doktór praw czy zdrów i co porabia?

— Dziękuję w. ks. mości — na zdrowiu mi nie zbywa, ani na ochocie do roboty — ale zajęcia nie mam. Ojciec mnie nie dopuszcza do pracy i robi za nas dwóch.

— O! czcigodnyż to ten twój dobry ojczysko! zawołał książę — jak go długo nie widzę, to mi za jego poczciwą twarzą i sercem tęskno.

Odwrócił się do Gozdowskiego.

— Asindziej jeździłeś pono kędyś?

Za interesami w. ks. mości; nigdy na nich nie zbywa.

— Spodziewam się że nic tak ważnego?

— Nic — tak ważnego — tak ważnego niema nic, spuszczając głowę odezwał się cicho plenipotent, ale trzeba się zawsze pilnować.

— Dobry wieczór kochanej pannie Maryannie, kiwając głową. dokończył wreszcie szambelan.

P. Maryanna przyszła go w rękę pocałować.

— Konfitury się pewnie smarzą, bo to właśnie czas! rozśmiał się staruszek — powodzenia życzę, cha! cha!

W tem wszedł i generał. którego miejsce po prawicy szambelana stało opróżnione, ale chmurny widocznie. Stary dostrzegł to zaraz i pochylił się ku niemu!

— Co ci to? spytał, możeś list jaki odebrał, od Roberta czy od ks. sufragana.

— Nie — listu nie mam — bardzo cicho począł szeptać generał, schylając się także ku bratu; ale przejeżdżający z Warszawy Parśnicki do mnie zawitał i miałem przez niego nienajlepsze wiadomości.

— W jakim względzie?

— Tyczące się konkurów Roberta.

— Cóżby się tam miało popsuć? hę?

Zdaje się — Parśnicki zwiastuje nam nawet bardzo rychły powrót księcia.

— Ależ nie zerwał przecie? nie może być!

— Zerwać nie zerwał — odezwał się generał — on tam dobrze tych szczegółów nie wie — słyszał tylko że coś zaszło i że Robert powraca; snadź dlatego nie pisał. Jutro pewnie będzie.

Gospodarz, który pił słuchając, herbatę swoję, postawił filiżankę i popatrzył na brata.

— Tylko mi ty nic nie taj generale. Wy macie ten nieszczęśliwy system, że obawiając się o mnie, kryjecie coś często przedemną. Ja nie jestem dziecko.

— To mówię co słyszałem, nic więcej nie wiem. Parśnicki powiada, że w stolicy strasznie się nasi hrabstwo wydają parafiańsko i śmiesznie, że to może Roberta zraziło. Nieprzyjemna w istocie rzecz, gdy ci się z narzeczonéj śmieją, a powiem prawdę. Alfonsyna przy angielce gustu nie nabrała, hrabia zaś nigdy go nie miał.

Szambelan sposępniał i milczał, drobił bułkę na obrusie zamyślony; nie odpowiadając nic, spojrzał na brata.

Nie trzeba obwiniać ks. Roberta, on to bardzo dobrze rozumie, że książna Brańska śmieszną być nie powinna. Gdyby królewną była a nie umiała się znaleźć, nie możnaby mu jej narzucać, boby się jej ciągle wstydzić musiał. Ale Parśnicki przesadza. Zacny to obywatel, zda mi się wszakże iż chwycił nieco idei demokratycznych.

— Może — potwierdził generał.

— Robert ma takt wielki. Zresztą zobaczymy gdy przyjedzie, jeśli prawda że wraca. A hrabia?

— Ten podobno zostaje w Warszawie z córką.

— No i rotmistrz może tylko dla pomówienia z nami przyjeżdża.

— I to być może.

— Zawsze do jutra będę cokolwiek niespokojnym.

— Ja także, mruknął generał — a ponieważ niema jednak czem się tak bardzo niepokoić, zostaw mnie troskę i śpij, nie mysląc o tem — ja za dwóch będę się gryzł.

Nie chcąc okazać że się czegóś niemiłego dowiedział, szambelan przybrał fizyognomią pogodną i począł znowu rozmowę ze swym dworem. Księżniczka Stella poznała tylko po twarzach stryja i ojca, że cóś zajść musiało.

Nazajutrz rano po mszy świętej sekretarz przyszedł z wiadomością do szambelana. że ks. Robert powrócił. Prawie w tej samej chwili księżniczka Stella, w kapelusiku jeszcze i z książką do nabożeństwa, wbiegła o jego przybyciu oznajmić. Szambelan posłał natychmiast aby go do siebie prosić, dodając żeby się nie przebierał. Wedle zwyczaju ks. Robert winien był suknie podróżne zrzucić i prezentować się ojcu w rannym stroju domowym. Na ten raz uwolniono go od zachowywanej formy.

Pomimo że rozkazowi ojca jak mógł najprędzej starał się Robert zadosyć uczynić, staruszek chodził niespokojny, znajdując że nie przybywa dość prędko. Gdy się ukazał w progu i zbliżył do ręki ojcowskiej — szambelan obejrzał się dokoła, aby świadków nie mieli.

— Cóż to tak prędko z podróży? rzekł — hę? tu do nas jakieś wieści doszły, nie wiem czy mam im dać wiarę? Zaszło coś?

— Stanowczego nie zaszło nic — odpowiedział Robert, usiłując się spokojnym okazać — lecz — po bliższem poznaniu, zaczynam wątpić, ażeby to małżeństwo, którego kochany ojciec życzył sobie, a na które byłbym się zgodził chętnie, idąc za jego wolą, mogło przyjść do skutku.

— A to dlaczego?

— Nie sądzę żebym mógł pozyskać szczerą sympatyą panny Alfonsyny, charaktery nasze niedosyć okazują się zgodne.

— A hrabia?

— Hrabia, Rzekł Robert — hrabia, zbyt ufny w swój ogromny majątek, zdaje mi się nadto wymagającym dziś, a cóżby dopiero było później. Radby sam wszystkiem, więc zapewne i przyszłem pożyciem, kierować i rządzić.

— Parafianin? spytał książę — złego tonu?

— Zapewne ale z tą wadą możnaby się oswoić; gorzej że jest nieco absolutny i rubaszny.

— Ale — nie uchybił ci? niespokojnie spytał stary.

— Bynajmniej — tylko codzień mniej dobrześmy się z sobą godzili, a w końcu zdawało mi się najwłaściwszem na jakiś czas odjechać.

Szambelan siadł zadumany, spuściwszy głowę.

— Jakoś mi to mówisz, obwijając — niejasno. Czyś zerwał?

— Ja? nie.

— A hrabia?

— Niezupełnie — lecz... lecz być bardzo może, iż gdy mu się tam co innego trafi...

Szambelan porwał się z krzesła cały.

— Co innego? cóż? co lepszego od księcia Brańskiego? Ciekawybym był! Może królewicz Golkondy, czy cesarzewicz brazylijski. Cóś lepszego? cha! cha!

Pomimo iż pozornie spokojnym chciał się okazać szambelan; na twarzy jego oburzenie i tłumiony gniew znać było.

— Jak skoro ty mi to mówisz, w zupełności wierzę,

iż wina jest hrabiego. Żaden Brański z ręką swą, imieniem i majątkiem nie napraszał się nawet równej sobie, cóż dopiero takiej tam hrabiance. Zatem, to rzecz skończona, zerwana! Hrabia zapewne rozmyśli się — może zechce wrócić — ale — j a n i e p o z w a l a m, ja nie chcę! — mowy już o związku z nimi być nie może. Dość, i o tem ani słowa!

Po krótkiej pauzie rzekł tonem rozkazującym, biorąc syna za rękę.

— Proszę cię, mój Robercie, wyręcz mnie w tem i powiedz generałowi. Stelli, wszystkim naszym, aby tu więcej nigdy mowy o hrabi i hrabiance nie było. Proszę o to — nie istnieją już dla nas — nie znamy się — i... koniec. Ani wspomnienia, ani słowa o nich. Do ks. sufragana napisać też aby przybywszy tu, oszczędził mi przykrości i nie mówił o nich.

Skończył i siadł szambelan. Ks. Robert złożył przed nim na stole powierzone sobie tysiąc dukatów, a rozmowa w tejże chwili zwróciła się na Warszawę, na przyozdobienia w niej zaszłe i zmiany — na wypadki spółczesne, na dawnych księcia znajomych.

O godzinie zwykłej sekretarz wszedł, a Robert, rad że mu się udało małym stosunkowo kosztem wytłumaczyć, powlókł się biedny do siebie. Nie dano mu wszakże dojść, bo z jednej strony Stella z Antoniną, z drugiej generał czatowali na niego. Osobliwie kobiety ciekawe były, co mogło tak prędko zwrócić Roberta, a na twarzy panny Żurbianki, zwykle ożywionej, malowała się ciekawość, radość, uciecha jakaś niewytłumaczona, dziecinna, której wybuchy ledwie Stella pohamować mogła.

— Jakabo ty dziś jesteś osobliwie wesoła! odezwała się księżniczka, powiedziałby kto, że się cieszysz z tego, iż biedny Robert podobno z grochowym wiankiem powrócił.

— Ja? krzyknęła Antonina — ja? a cóż mnie do tego? Ja się cieszę że powrócił — a księżniczka nie?

— Ja cieszę się że powrócił, ale nie mogę tego pojąć, że się znalazła kobieta która go — nie chciała.

— A może on jej nie chciał? spytała Antonina. Daruj mi, droga Stello, ja taka jestem prosta sobie szlachcianeczka, że nie mogę, myśląc cóś, całej swej myśli nie wypowiedzieć. Wystawiała-żeś sobie hrabiankę Alfonsynę księżną Robertową? Byłaż ona stworzona na nią? Jam nigdy przypuścić nie mogła, aby ta ubrylantowana złota laleczka...

— Jaka ty jesteś złośliwa, ja nie chcę słuchać tego! zawołała Stella, ja ją przez pryzmat serca widziałam, przez miłość moję dla Roberta, rozwijającą się z tych obsłonek, twardych trochę, i na ślicznego wyrastającą motyla.

— Stello, najdroższa moja pani, na motyla! zanosząc się od śmiechu wołała Antonina, chyba na ćmę.

— Doprawdy ja się ciebie aż boję, taka zła być umiesz.

— Pozwól mi nią być tylko dla niej.

— Ale dlaczego?

— Bo książę Robert wart jest przecie czegóś idealniejszego nad nią, serca gorętszego, coby go kochać umiało i...

Zamilkła nagle, bo Robert nadchodził właśnie, a generał gonił za nim. Na smutnej twarzy księcia znać było wrażenia podrózy.

— Wracasz więc nam — biegnąc go uściskać, odezwała się Stella. Nie potrzebuję mówić jak jesteśmy ci radzi.. i jak ciekawi...

— O, ciekawi bardzo! dodała Antonina.

Książę spojrzał z uśmiechem.

— Nie będę miał czem ciekawości zaspokoić, bo nie przywożę nic, nad wątpliwość i mgliste domysły.

— Alfonsyna?.. Podchwyciła Stella.

— Bawi się, uczy śpiewać, bywa w teatrze i stroi się.

— Czy piękniej jak tu u nas? szepnęła złośliwie Antonina.

Robert zmilczał, Stella nie pytała, patrzyła mu tylko w oczy, jakby z nich cóś chciała wyczytać, a widziała w nich tylko smutek, który walczył z sobą, aby się nie pokazać ludziom.

— Myślisz powrócić do Warszawy? odezwała się cicho siostra.

— Bardzo, jak na teraz, wątpię — równie zniżonym głosem odpowiedział brat.

To jedno starczyło; książniczka nie sądziła właściwem rozpytywać go więcej. Generał odciągał go już na bok, niecierpliwy.

— Chodź ze mną, mamy do pomówienia, przejdziemy się po ogrodzie.

Nadchodził też pan Zenon z powitaniem niby, choć wczoraj już u Gozdowskiego z Robertem mówił i więcej trochę wiedział niż inni. Panny z żalem i zawiedzioną nieco ciekawością usunęły się, wracając do swych pokojów — mężczyzni zostali sami.

— Muszę najprzód prosić generała — zagaił Robert, abyś mnie powagą swą w pełnieniu woli ojca wyręczył. Szambelan czuje się obrażonym za mnie, wydał więc rozkaz, aby o hrabi i hrabiance więcej u nas mowy nie było i wspomnienia.

— Bardzo to uczuł? czy się zarumienił, czy pobladł? rzekł książę Hugon. Jeśli się zaczerwienił, to przejdzie. jeśli zbladł, to odchoruje.

— Nie zdaje mi się, żeby to tak bardzo wziął do serca.

— A ty? spytał generał.

Na to pytanie, którego nie dosłyszał może młody książę — nie było odpowiedzi.

Biblioteka Uniwersytetu Ludowego Kom. Szkol. w Radomiu

Biblioteka Uniwersytetu Łódzkiego w Łodzi

Pomimo ślepoty zacnego Gozdowskiego, którego długie lata spokoju napoiły tem przekonaniem, iż książęcemu domowi nic się nigdy stać nie może, że wierzyciele nie będą mieli odwagi zaczepić Brańskich, że opinia publiczna potępiłaby tych, coby śmieli targnąć się na tak zasłużoną krajowi rodzinę, od niejakiego czasu plenipotentowi z pomocą pana Zenona otwierały się oczy — strach go ogarniał.

— U tych ludzi teraz niema nic świętego! powtarzał Żurba — gotowi się rzucić na nas.

Dlatego, odwracając niebezpieczeństwo, Gozdowski użył stu tysięcy chwyconych u dzierżawcy na jaknajprędszy spłat zaległych procentów. Zdawało mu się iż to zaspokoi na jakiś czas wierzycieli i da środki ratunku obmyśleć. Do nich najpierw należało ożenienie ks. Roberta. Gozdowski wiedział już iż na nie wcale rachować nie można, a o drugą milionową dziedziczkę nie tak było łatwo. Nie chcąc dalszych kroków w tak niebezpiecznym składzie okoliczności brać na siebie, szanowny plenipotent postanowił, zawsze nic nie mówić szambelanowi, złożyć rodzaj rady, powołując do niej ks. sufragana, generała, ks. Roberta, a jako doradzcę prawnego młodego Żurbę. Wysłano więc wezwanie do ks. biskupa, prosząc tylko żeby przybyciu swemu nadał pozór inny i bratu nic nie wspominał. Zenon tymczasem zabrał papiery, miał ułożyć bilans i zapowiedział wahającemu się Gozdowskiemu, iż ściśle wejrzy w najdrobniejsze szczegóły, gdyż złudzenia w interesach uważa za największe niebezpieczeństwo. Gozdowski, który nigdy głębiej nie wglądał i ściślej się nie obrachowywał, nawykły do marzenia i okłamywania się dobrowolnego, lękał się rachunków Żurby—

lecz nie można ich było uniknąć. Pan Zenon na kilka dni zamknął się w domu.

Na list generała, biskup odpowiedział obietnicą przybycia niezwłocznie — rad był też z ust synowca dowiedzieć się czegoś o hrabi i hrabiance. Oznajmiono szambelanowi przybycie brata, wyporządzono pokoje na jego przyjęcie, ks. Serafin, który chodził w przeszarzanym habicie, włożył nowy i wystąpił ze świeżemi paskami. Ze zwykłą ceremonią przyjęto jego ekscelencyą w ganku i wszyscy ucałowali ręce biskupa, który cichutkim głosem błogosławił. Generał odprowadził go do przeznaczonych mu pokojów, tych, które zawsze zwykł był zajmować. Wieczorem długa była narada ze starym szambelanem i cicha rozmowa o hrabi, bo do ks. biskupa rozkaz wydany się nie rozciągał. Nazajutrz w dworku Gozdowskidgo potajemnie mieli się zgromadzić wszyscy w rannej godzinie.

Już w wigilją pan Zenon z papierami był gotów. Gozdowski usiłował go badać wzrokiem i zaczepiał słowy, nie dobył z niego wszakże nic nad to, że interesa są w jak najgorszym stanie.

— Nie masz pan tego na sumieniu, dodał Zenon, pocieszając strwożonego, gdyby otwarcie i śmiało postępować było można byłbyś pan mógł cóś zrobić; tu, gdzie milczeć kazano, a słuchać nie chciano i rachowano zawsze na niespodziewaną interwencyą Opatrzności — pan nie mogłeś nic.

— Bóg widzi, żem nie mógł! westchnął plenipotent.

Po śniadaniu i po mszy, gdy się wszyscy pod pozorem przechadzki porozchodzili... w dworku Gozdowskiego znalazła się cała rodzina, plenipotent i Zenon. Biskup zajął miejsce na kanapie. z twarzą jeszcze smutniejszą niż zawsze, generał siadł przy nim. Robert, obojętny na pozór, stał w oknie. Gozdowski zagaił tem, iż widząc stan coraz krytyczniejszy, oblężonym będąc pozwami, które się nagle posypały, lęka się brać na swą odpowiedzialność dalsze prowadzenie interesów i chce je poddać pod sąd ks. Roberta i rodziny.

Mieszał się tak i plątał, że go ledwie dosłuchano. Zenon niecierpliwie wyglądał tylko kiedy mu przyjdzie mówić i począł:

— Raczyli mi państwo powierzyć zbadanie stanu majątkowego; spełniłem to ze ścisłością największą i nie waham się powiedzieć — stan to zrozpaczony. Wcześniejszy ratunek mógłby cóć ocalić — dziś wątpliwem jest czy się to da zrobić. Łudzić się byłoby zgubnem, przerażać jednak nie należy. Mężnem okiem trzeba spojrzeć w przepaść i myśleć jak się ją zgłębi.

— Mój dobry panie Zenonie, na rany Chrystusa, lecz cóż się stało? możeż to być? zawołał biskup, taki majątek!...

— Ksiądz biskup zechce wejrzeć w spis długów, oto jest. Szacunek dóbr weźmy jak największy. Wszyscy wierzyciele dopominają się. Maluję położenie jak je widzę, pan Gozdowski sprawdzić może regestr należności.

— Sprawdziłem go — wtrącił Gozdowski. Z wyjątkiem stu tysięcy procentów zaległych, któreśmy świeżo zapłacili, a które tu zapisane nie są, bo na to pan Żurba pieniędzy pożyczył... nie mam nic do zarzucenia.

— Moi panowie — odezwał się przystępując do stołu biskup, w liczbie długów są takie, które wypowiedzianemi być nie mogą, są spłacające się amortyzacyą, są legaty... Mówmy o tem co pilne i wymagalne.

— Bardzo słusznie — odpowiedział Żurba. Wymagalnych długów, o które nas zapozywają, jest około miliona.

Biskup za głowę się pochwycił.

W istocie Zenon podał tę cyfrę ogólną dlatego tylko, aby ściślejszą a jeszcze większą nie zastraszyć.

— Idzie więc o to — dodał — zkąd możemy wziąć milion.

Głębokie, grobowe milczenie panowało w izbie radnej. Robert ani słowem się nie odzywał, biskup

zdawał się modlić i łzy mu spłynęły z oczów, generał siedział zasępiony.

— Gdybyśmy nawet poświęcili każdy z nas — szeptał ks. sufragan, ostatki tego co mamy, posprzedawali co kto ma kosztowniejszego, zawsze i do połowy tej summy nie możemy dosięgnąć. Zkądże ją wziąć?

Ks. Robert patrzył za okno.

— To nieszczęsne ożenienie przyjść do skutku nie mogło! westchnął generał.

Zenon słuchał długo i czekał — z kolei wszyscy tylko wzdychali, poglądając na siebie.

— Proszę o głos! rzekł wreszcie. Państwo nie zechcą wątpić o mojem szczerem przywiązaniu dla dostojnego ich domu: proszęż mi nie brać za złe, że znajdę się tu tak, jak ów niezgrabny Kozak, co swego miłościwego książęcia, chcąc ratować tonącego, za włosy pochwycić musiał. Ja muszę być tu surowo prawdomównym; obrażę może pojęcia odmienne, do których książęta są nawykli — lecz zdaje mi się, że szczera miłość dla nich uniewinnić mnie powinna. Życie sztuczne, nieopatrzność, brak rachunku. Łudzenie się nadziejami, brak stanowczości w interesach zgubiły państwa. Dziś ratunek trudny, sądzę wszakże iż nie jest całkiem niemożliwy, ale lekarstwo musi być heroiczne. Trzeba starać się z wolnej ręki sprzedać znaczniejszą część dóbr, popłacić pilniejsze długi, zostać przy mniejszem, ograniczyć wydatki i umieć przyjąć twardą rzeczywistość czołem pogodnem. Wiem iż szambelan nie zniósłby tego — ale mógłby nie wiedzieć o tem, możnaby go otoczyć tak pilną strażą, aby trwał w złudzeniu, że Brańscy posiadają to co mieli. Oszczędności w domu dałyby się wytłumaczyć. Nie widzę innego ratunku: aby ocalić cóś przynajmniej, trzeba resztę umieć poświęcić.

Ks. biskup zakrył twarz rękami. Generał wstał z kanapy, z oczyma obłąkanemi prawie.

— To nie może być! zawołał — do tegośmy jeszcze nie przyszli, ażebyśmy wywłaszczać się musieli! Mamy

stosunki, znajdziemy kredyt, wyprosimy przedłużenie — ks. Robert może się ożenić. Ja na to nigdy nie pozwolę!

— Mości książę, podchwycił Zenon, jeśli państwo sami tego nie uczynicie, gwałtem dopełnią tego wierzyciele, a w takim razie straty będą większe jeszcze.

— Waćpan jesteś pesymista! Jakto? oburzył się ks. Hugon, nie próbując, nie wzywając do układów, nie wiedząc czy się co nie da zrobić, zaraz się wyprzedawać? to nie może być! toby było samobójstwo!

— Więc, zdaniem księcia, wierzyciele mają być do układów wezwani?

— Przecież to najpierwsza rzecz, najnaturalniejsza! Musiemy się bronić! należy dotknąć niebezpieczeństwa. Każdy woli układ, niż proces. Czytajmy listę wierzycieli.

Zenon odczytał cały szereg imion z niemiecka brzmiących, bankierów i kapitalistów.

— Rozpisać do nich listy. Pozwy położone dadzą powód do tego. Pomówienia nie odmawia się nikomu.

— Jakież możemy dać im warunki? zapytał Zenon.

— Jakie? będziemy prosić o czas, możemy przedstawić im, że proces musi być kosztowny i długi, że my się od wypłaty nie uchylamy, dorzucić im cóś procentu?...

— Ale gdzież na to hypoteka? odparł Zenon.

Generał się pognieważał.

— Nazwij nas sobie marzycielami, ludźmi niepraktycznymi, ale myśmy nawykli wierzyć w Opatrzność. Ks. Robert może się i musi bogato ożenić.

Zenon się uśmiechnął — ks. biskup powstał.

— Kochany panie Żurbo! rzekł, wyście ludzie nowej epoki, nawykli do rachunku, a odwykli od wiary i modlitwy, nazwijcie to przesądami, a ja ci z generałem powtórzę: my ufamy pomocy Bożej.

— Ja wierzę także w opiekę i łaskę Bożą, lecz

ludzkiem okiem nie śmiem iść tak daleko, aby odgadywać kiedy one przyjść mogą. Bóg próbuje, Bóg często upadkiem zmusza do podźwignięcia się człowieka. Jakże to osądzić, co może być wolą Jego?

— Koniec końcem, tu nie czas teologować — rzekł generał — mówmy stanowczo. Pan żądasz byśmy się wyprzedali, my nie możemy się na to zgodzić, nigdy, nigdy! Prosimy o radę jak odwrócić cios dziś... jutro w rękach Opatrzności.

— A więc — z rezygnacyą składając papiery i wstając od stołu rzekł Zenon — probujcie państwo układów z wierzycielami.

— Tak jest, to jedno nam zostaje.

— Lecz jeśli układy się nie powiodą?

— To być nie może.

Zenon zamilkł znowu i zwrócił się do ks. Roberta, jakby od niego wyzywał słowa.

— Ja tu nic do powiedzenia nie mam: szanuję starszych zdanie, ale co do mnie, poszedłbym za radą Zenona — odpowiedział młody książę.

— Ale na to czas jest zawsze! oburzył się generał, spróbujmyż wprzódy środków które ocalić mogą. Wywłaszczyć się z rodzinnych naszych dóbr, które od lat trzechset z górą z imienia nie wychodziły i nigdy do niego nie wrócą!... To samobójstwo! powtórzył, to samobójstwo!

— Sądzę, że generał ma słuszność — dodał cichym swym głosem ks. biskup — trzeba wszystkie środki wyczerpać, nim się najboleśniejszą spełni ofiarę. Dla zachowania tych majętności nierozdzielnemi i ja i brat wyrzekliśmy się w nich naszych części.

General uderzył się nagle w czoło.

— Za pozwoleniem, odezwał się głosem drżącym, tonący brzytwy się chwyta. Prawda że ja zrzekłem się mojej części — lecz, jeżeli chcecie, urzędownie niema na to dowodu Prawnie jestem pono dziedzicem jednej trzeciej części dóbr brańskich; przecie w ostateczności i to na cóś przydać się może.

— Mości książę — zawołał Zenon — mylisz się;

nie protestowałeś dotąd, nie obronisz się od ciążących długów, zresztą nie chciałbyś pozywać brata, a takieby było następstwo niechybne tego środka.

— Mości panie — zahuczał kawaler maltański — waćpan nie śmiej mnie posądzać, abym ja tego środka miał użyć. Koszulę z siebie zdejmę, aby długi Brańskich popłacić, lecz nim mi ziemię odbiorą — wolno mi się bronić.

To mówiąc rozgniewany książę Hugon spojrzał ostro na Zenona, którego oko nie ustąpiło przed jego wejrzeniem; zmieszał się, postąpił kilka kroków rzucił mu się na szyję rozczulony.

— Jesteś szlachetnym człowiekiem — wyjąknął — mnie się z rozpaczy w głowie miesza. Daruj mi jam winien.

Z kolei Zenonowi się na łzy prawie zebrało. Skłonił się generałowi, odstąpił od stolika i usiadł na boku.

— Niech-że Gozdowski wezwie wierzycieli, spokojniej zakończył generał — ale na miłość Bożą, nie tu, nie do Brańska.

— Zjazd może się odbyć w domu mojego ojca — dodał Żurba.

— Tak — dobrze — bo gdyby się szambelan dowiedział...

— Niech Bóg uchowa! podchwycił biskup.

— I, o ile możności, nikt też o tem wiedzieć nie powinien.

Mówili jeszcze, układając się, gdy do dworku wpadł zdyszany i zlękły sekretarz szambelana.

— Panie generale, na miłość Boga, niech pan spieszy do naszego pana, jakiś list przyszedł z poczty. Pan go tylko rozpieczętował, rzucił okiem i w okrutnym gniewie padł w krzesło, tak że chcąc mi cóś powiedzieć, dla trzęsących się ust i wielkiej pasyi która go ogarnęła, słowa już wymówić nie mógł. W końcu zrozumiałem tylko że wołał: „gdzie generał? prosić ks. biskupa!“ Przy panu został kamerdyner; a ja tu

co tchu przybiegłem. Niech książęta spieszą! Jeszczem, jak żyję, w tym stanie ks. jegomości nie oglądał.

Można sobie wyobrazić, jaki wszystkich przestrach ogarnął. Biskup pierwszy rzucił się, biegnąc co tchu, generał wyleciał bez czapki. Robert musiał sufraganowi podać rękę, bo zaraz we drzwiach się zachwiał. Gozdowski i Zenon, nie mając prawa iść, pozostali osłupieli.

Wszyscy tak byli nawykli szanować spokój głowy domu i utrzymywać ją zdala od powszednich trosk, interesów i gospodarstwa — że wiadomość o czemś tak nadzwyczajnem, jak gniew i oburzenie szambelana, obudziła popłoch w domu niesłychany. Od niepamiętnych czasów nic się nigdy podobnego tu nie przytrafiło; nie pojmowano nawet, co zajść mogło i kto był tak zuchwałym, ażeby wprost do samego księcia miał się udać. Generał i biskup weszli razem do pokoju, przed którym zgromadzona służba niespokojna, szepcząc cóś, stała, widocznie pomieszana wypadkiem.

Książę szambelan na odgłos kroków i otwierających się drzwi, zerwał się z krzesła drżący, trzymając papier jakiś w ręku, który do góry podnosił; oczy miał krwią nabiegłe i twarz strasznie zmienioną. Pierwszy ks. biskup podstąpił ku niemu.

— Co się stało, co się stało, kochany bracie? uspokój się — na rany Boskie!

Szambelan trząsł się tylko, wskazując na list, który rzucił na stół.

— Wody! wody! zawołano, widząc że prawie mowę postradał.

Służba cała rzuciła się po wodę, którą w téjże chwili podano. Ledwie ją do ust mógł donieść książę, napił się i położył w krześle.

— Zniewaga! okrutna zniewaga! krzyknął naostatek, bijąc ręką o list — ten nikczemny hrabia.

— List od hrabiego? wyciągając ręce, zapytał ks. biskup — czegóż ten człowiek chce?

— Czytajcie! dawać mi myśli nauki i pisze potworne kłamstwa! mówił książę — przeczytajcie.

Utrzymuje że myśmy go podejść chcieli, że jesteśmy zruinowani, tylko że nie użył wyrazu — bankruci! Ks. ks. Brańscy zruinowani! my. my... to nikczemna potwarz!

To mówiąc, oczyma wodził po twarzach biskupa i generała, a ci wzrok spuściwszy, stali niemi.

— Daje do zrozumienia w liście, żeśmy dla wyłudzenia jego milionów, nie okazując stanu w jakim jesteśmy, zabiegali o rękę jego córki. Ależ czytajcie sami, ten człowiek obraził nas osobiście, całą rodzinę — to nie może mu być przebaczonem.

Biskup wziął w rękę pismo hrabiego i czytał je drżący. Forma jego była przyzwoita i grzeczna; hrabia wymawiał tylko brak zaufania książętom, mówiąc, że się dopiero w Warszawie o istotnym stanie ich interesów dowiedział, interesów których podźwignąć nigdyby nie był w stanie. Tłumaczył obszernie swój stan finansowy, niemożność sprzedania dóbr i radził na innych drogach szukać ratunku. Więcej tam było niezgrabności niż złej woli — duma jednak Brańskiego czuła się śmiertelnie obrażoną.

— Chciejcież mi wytłumaczyć, co mogło dać powód do podobnych wieści, zawołał książę, — iż jesteśmy zachwiani, iż łaską tylko wierzycieli trzymamy się? To nie może być prawdą! to potwarze niegodziwe ludzi zazdrosnych, to podła intryga! Zdałem ks. Robertowi dobra nasze z ciężarami niewielkiemi; mógł przez niedoświadczenie popełnić pewne błędy, lecz nie marnowaliśmy grosza, uczciwości Gozdowskiego wszyscy jesteśmy pewni, nigdy stan taki interesów uczuć się nam nie dał. Zkąd-że te kłamstwa?

Generał, trochę inaczej pojmując położenie, myślał że należało może skorzystać z uczynionego wyłomu i nie zawadziłoby brata na wszelkie możliwe ewentualności przygotować.

— Być bardzo może — dodał, iż hrabia tu w naszych stronach zasłyszał o ogólnym złym stanie interesów wszystkich ziemian, który nie bez tego ażeby i na interesa brańskie nie oddziałał. I Gozdowski i ks.

Robert w istocie się użalają, że z dnia na dzień ciężej idzie gospodarstwo, kredytu brak... O tem, kochany bracie, nie było ci potrzeby mówić i niepokoić cię przemijającemi trudnościami; to są zwykłe koleje rzeczy ludzkich.

Wzrok szambelana z przerażeniem jakiemś wlepiony był w brata, gdy to mówił.

— Więc — więc — przerwał — jest jakaś podstawa?

Zwrócił się do ks. Roberta.

— Cóżeście zrobili z interesami? co się dzieje? mówcie!

— Interesa są w istocie ciężkie, chociaż nie poczuwam się do winy i nie popełniłem żadnej omyłki, którąbym sobie mógł przypisać — zaczął Robert; ale niech się ojciec uspokoi, niema nic groźnego.

— Przy pomocy Bożej, wtrącił biskup — załatwi się to, załatwi — będziemy wszyscy nad tem pracowali; tylko brat tego nie bierz do serca, zdaj już to na nas... spokojnie, spokojnie!

Szambelan z tych wszystkich po sobie następujących wyznań, półgębkiem czynionych, dorozumiał się wszakże iż cóś złego, co przed nim starano się utaić, istnieć musiało. Trwoga i niepokój odmalowała się na twarzy starca.

— Tak więc — odezwał się cichym głosem — to cośmy za szczęśliwe poczytywali zdarzenie, bytność hrabiego, odnowione z nim stosunki — miało nas tylko napaść goryczą. Niech-że się dzieje wola Boża, korzę się przed nią... Wy myślcie o jak najprędszem załatwieniu trudności. Nie godzi się aby Brańscy byli na czyjejkolwiekbądź łasce; należy to załatwić, należy wszystko skończyć jaknajprędzej.

— To się zrobi, wtrącił sufragan — nie mówmy już o tem, uspokój się, uspokój!

— Nie tak to łatwo, westchnął starzec — sama myśl ta że grozić może niebezpieczeństwo czystemu i świetnemu imieniowi, któreśmy wzięli w spuściźnie, że cios może paść za dni naszych, a przypisany będzie

winie naszej, że zamiast podnieść ją wyżej, my daliśmy złotej tarczy herbowej poczernieć, napawa niewymowną trwogą. Ale może być ażeby ofiary wasze, moje, troskliwość nieustanna, poszły marnie? — żebym ja miał dożyć sromotnego dnia?

I nie mógł dokończyć; ks. sufragan chwycił go za ręce.

— Kochany bracie — proszę cię, błagam, spokojności! ufności w Opatrzność. Niema nic jeszcze tak złego, niema nic. Nie mów o tem, pomódl się, ukołysz to wzburzenie wywołane nieszczęsnym listem.

— Ale ten sam list wymaga odpowiedzi! Impertynencyi tego głupiego półpanka nie można tak bezkarnie przepuścić.

— Ukarać go pogardliwem milczeniem, rzekł biskup.

— Jeśli chcesz, to ja za was odpiszę jak należy — wtrącił generał, a że mu dam pieprzu i odprawię jak zasłużył — za to ci ręczę.

— Ale nie, nadtoby było honoru dla niego — przerwał szambelan; dość będzie ażeby z kancelaryi mojej wystosowano kilka słów do hrabiego, nie wdając się z nim w żadne rozprawy.

— I tak dobrze! mógłby też napisać ks. Robert.

— Rozumiałby żeśmy nadto jego głupstwo uczuli; niech sekretarz mu odpisze... i dosyć.

Stanęło na tem, chociaż w istocie można było odpowiedzieć tylko milczeniem.

Wzburzenie jakie list wywołał, w końcu łagodnemi słowy biskupa i perswazyami generała ukołysać się jakoś dało; szambelan się uspokoił, ślady wszakże gniewu i przebytego rozdrażnienia pozostały na jego zdrowiu. Nie miał siły wyjść tego dnia do stołu i z ks. biskupem obiadował u siebie, nie mogąc prawie nic jeść, siedząc ponury i zamyślony. Zaraz po obiedzie nadeszła ks. Stella niespokojna o ojca, i widok jej skuteczniej nad wszystko wpłynął na ukojenie starca, który córki trwożyć ani zasmucać nie chciał. Zmusił się do dobrego humoru, aby jej nie dać poznać że cierpiał,

zaręczył nawet że zapewne wyjść będzie mógł wieczorem na herbatę i że lekkie niezdrowie pochodzić musiało z zaziębienia na przechadzce. Cały jednak dwór wiedział, oprócz ks. Stelli, o nadzwyczajnym wypadku.

Jak wszyscy ludzie słabego charakteru a żywej fantazyi, czcigodny Gozdawa-Gozdowski, długo żyjąc złudzeniami, gdy nagle się z nich ocknąć musiał, przeraził się i począł zrozpaczony szukać środków najdziwaczniejszych, dla okazania że potrafi cóś przecie. Lękał się nadewszystko, aby jemu nie przypisywano upadku, a w duchu sam czuł, że bezczynność i lekkomyślność jego wiele się doń przyłożyć mogły.

Stosując się do zdania przyjętego, natychmiast wyprawił wezwanie do wierzycieli, ażeby dla układów, sami lub przez pełnomocników, raczyli zjechać do Brańska; nie poprzestając jednak na tem, nie mówiąc nikomu nic, po długich rozmyślaniach, postanowił pojechać jeszcze na inny sposób szczęścia próbować. Dziwna myśl przyszła mu po bezsenności długiej nad ranem. Przypomniał sobie dawnego znajomego i krewnego swojego, niejakiego Garbowskiego, którego od bardzo dawna nie widział, lecz słyszał o nim, że się znakomitej dorobił fortuny. Garbowski mieszkał pod samym Lublinem. Mówiono o nim powszechnie, iż począwszy od handlu karmnemi wieprzami, potem tucznemi wołami, z któremi chodził aż do Wiednia, póź-

niej biorąc znaczne dzierżawy, w stosunkowo krótkim czasie przyszedł do milionowego majątku. Gozdowski znał go tak ograniczonym i prostym człowiekiem, że z nim dawniej mówić nie chciał. Garbowski bowiem lędwie trzecią klasę skończywszy z biedą, a po dwu latach nie mogąc z niej dostać promocyi, wprost z ławy szkolnej przeniósł się do małego folwarczku, który mu po ojcu pozostał. W sąsiedztwie znaczniejszego miasta, powziął szczęśliwą myśl karmienia wieprzów i wpadł na pomysł genialny dostarczania im pokarmu taniego a szybko tuczącego, na jaki nikt wprzódy nie trafił. Kupował on stare konie za bezcen i mięso ich dawał swym wychowańcom, obrachowawszy się tak, że go ono prawie nic nie kosztowało. Odbywało się to jakoś tajemnie, bo Garbowski swojego sekretu wydawać nie chciał. Wieprze karmiły się doskonale, sprzedawały łatwo, a raz wszedłszy na szczęśliwą drogę robienia pieniędzy, pan Kacper Garbowski, chodzący w kożuchu, w kozłowych butach, jeżdżący prostym wozem, pijący tylko prostą wódkę, nie potrzebujący żadnych wygód, nie tracący na żadne przyjemności, gdyż największą miał w zbieraniu grosza — bardzo szybko bogacić się zaczął.

Pierwsze tysiące obudziły w nim tylko pragnienie większe jeszcze; spekulował na wołach, począł brać dzierżawy, kupił parę wsi. Potem już rosło to samo, zwiększało się i prosty ów człowieczyna ujrzał się prawie niespodzianie wielkim panem.

Zmiarkował teraz, że tę krwawicę swą powinien był jakoś zużytkować — zapragnął wejść w obywatelstwo, wydobył więc swe papiery szlacheckie potem, rozmyśliwszy się, pojął za żonę córkę dosyć majętnego dorobkowicza. Nie zmienił jednak wiele trybu życia dawnego i pieniądze robił. Jejmość była skrzętną gospodynią, on zabiegłym spekulantem... pieniądze i majątki rosły.

Pan Bóg dał syna, macierzyńska miłość i ojcowska duma postanowiły wychować go tak, ażeby wyższe niż rodzice zajął miejsce w społeczeństwie. Do tego

majątek dawał mu zupełne prawo. Nie szczędzono nic na wychowanie, ale — niestety — jedynak się nie udał. O ile rodzice byli zabiegliwi i skąpi, o tyle on zawczasu okazał popęd do rozrzutności, hulanki i łotrostwa. Robił długi, przywłaszczał sobie rodzicielskie pieniądze, podpisywał weksle i tracił po szalonemu. Ani surowość ojca, ani łzy matki powstrzymać go nie mogły. Chłopak był żądny wszystkiego, a że sądził się niesłychanie, niewyczerpanie bogatym, postępował sobie bez najmniejszego pomiarkowania. Garbowski płakał nad tem, zarzekał się że długów płacić nie będzie, a pomimo to, gdy synowi zagrażał wstyd i koza — ratował. Morały padały jak groch na ścianę. Matka, gryząc się nieustannie, umarła, został ojciec tylko i syn, w nieustannej walce z sobą, która staremu życie truła.

Słysząc o fortunie Garbowskiego, której synowskie zbytki wyszczerbić nie mogły, niewiele wiedząc więcej — Gozdowski wbił sobie w głowę, że od niego na ratunek książętom pieniędzy dostać potrafi. Całe to urojenie żadnej dotąd nie miało podstawy... Gozdowski wmówił sobie że to mogło być natchnienie Ducha świętego. Pojechał więc do Lublina, szukać kuzynka, którego lat dwadzieścia kilka nie widział.

Przybywszy tu, z wielką łatwością się dowiedział iż stary mieszka w lichym dworku, na tym samym małym folwarczku, który po rodzicach odziedziczył, a synowi wypuścił jednę wioskę, z pięknym domem, gdzie wesołe towarzystwa, polowania i gry miały być nieustające. Gozdowski, dobrze się wywiedziawszy kiedy zastanie starego Garbowskiego w domu, ruszył przed południem. Niedalej niż o milę ukazano mu w wiśniowych krzakach, bzach i topolach ukryty rodzaj starej chaty, niepozornej, lichej, około której kilkanaście stało domów włościańskich. Były to Skoki, dziedzictwo pana Garbowskiego. Przed gankiem o dwóch krzywych słupkach, w którym stało ze sześciu Żydów, czekając na posłuchanie, wysiadł wye-

legantowany nasz plenipotent. Wskazano mu izbę na lewo.

Tu, przy okrągłym stole, zarzuconym papierami, mężczyzna otyły, opalony, w szarej kapocie podpasanej skórzanym pasem, z poza którego chustka kolorowa wisiała, żwawo się ucierał z trzema starozakonnymi o jakąś sprawę wołową. Pieniądze leżały na stole, rozprawiano krzykliwie, hałaśliwie, tak, że targ podobniejszy był do zażartej kłótni. Gdy Gozdowski wszedł, ustała wrzawa — Garbowski naprędce Żydków odprawił.

— Będąc w Lublinie, wytrzymać już nie mogłem, abym się wam, kochany bracie, nie przypomniał i nie odwiedził was — jestem Gozdowski.

— A! jak Boga kocham! pan Maurycy. Mój Boże, tyle lat! siadajcież! Żydów zaraz się zbędę.

Tak rozpoczęła się rozmowa i odnowiona znajomość. Garbowski strasznie w oczach plenipotenta wydał się nieokrzesanym, ale sprytu w nim było wiele. O niczem mówić nie umiał, lecz zaczepiwszy interes, okazywał roztropność i przebiegłość nadzwyczajną.

Gozdowski poświęcił parę godzin umiejętnemu badaniu człowieka; mimo wstrętu nawet, napił się z nim wódki i zakąsił zimną kiełbasą i chlebem razowym, bo nic innego w domu nie była. Z gawędy zręcznie poprowadzonej dowiedział się Garbowski o położeniu kuzyna, o książętach, o wielkości ich, o dobrach, a troszeczkę o długach i chwilowo przykrych interesach. Gozdowski zdaleka dawał do zrozumienia, jak to się kapitaliści warszawscy ubiegali o lokowanie summ na dobrach książęcych i jakiby świetny można zrobić interes, skupując wierzytelności.

Wieprzarz słuchał z uwagą wielką, ale widoki te nie zdawały się go pociągać bynajmniej; nie odpowiadał ani słowa. Z całą swą umiejętnością Gozdowski, który mówić i malować umiał — nie podziałał na kuzyna. Nie wyrzekł się jednak nadziei, oświadczył że parę dni jeszcze w interesach książąt zabawi w Lublinie i prosił żeby się z sobą widywać mogli. Garbowski

nie odmówił. Nazajutrz obiadek mieli zjeść razem w hotelu, w którym stał plenipotent..

Tak zasnuwszy pierwszą robotę, nie z bardzo wielką dotąd powodzenia nadzieją — Gozdowski odjechał. Nie było co w miasteczku robić, wałęsał się więc po ogrodzie publicznym, zachodził do cukierni na gazety i czas, ziewając, zabijał.

Pod wieczór zszedł do restauracji na dole, aby coś przekąsić. Zastał tu bardzo liczne i ożywione towarzystwo młodzieży, której przewodniczył chłopak wcale szykowny i piękny, wesoły i dowcipny blondynek. Zdawał się on królem pomiędzy rówieśnikami, których poił, żartował z nich, ucierał się z nimi i naprowadzał na największe szaleństwa. Ściągnął na się uwagę Gozdowskiego, tem szczególniej, że mimo rozwiązłości w słowach i ruchach, zachowywał w obojgu wrodzoną jakąś form przyzwoitość, coś szlachetniejszego od swych towarzyszów. Miał naturalny wdzięk, zwiastować się zdający naturę raczej popsutą, niż złą, a nadewszystko sympatyczną. Wywierał też widocznie na resztę młodzieży wpływ nadzwyczajny i miał nad nią wyższość widoczną, a o wiele przechodził ją bystrością umysłu i wykształceniem. Znać w nim było człowieka rozpasanego towarzystwem zbyt poufałem, w którem sobie cugle mógł puszczać swobodnie, a razem mającego instynkt lepszego tonu... W niedorzecznościach nawet, które popełniał był pewien urok, pociągający ku niemu. Wyglądał na panicza wielkiego domu, który sobie pozwala, dla zabawy, rubaszności do zbytku.

Była to widocznie natura energiczna, bogata, rzucająca jeszcze z siebie wulkanicznie zbytkiem ogni wewnętrznych, z której mogło się w przyszłości coś wcale pięknego urobić — jeśliby ją własny płomień nie strawił.

Od chłopca dowiedział się, że to był pan Zygmunt Garbowski, syn jego przyjaciela, ów sławny, nicpoń, którego żadną siłą ojciec powstrzymać nie mógł. Pomimo licznego dosyć towarzystwa, Zygmunt,

który dokazywał straszliwie, zdawał się nudzić. Towarzysze jego w niczem mu dorównać nie mogli, szydził też z nich nielitościwie, żgając jednego na drugiego. Uchodziło mu wszystko.

Ukryty za drzwiami, jedząc swoje pieczyste z kompotem, które mu się po kuchni brańskiej szkaradnem wydawało — Gozdowski patrzył, słuchał i prawie się pokochał w kuzynku.

Pod koniec wieczoru, gdy niektórzy się już pokładli, inni porozchodzili, a dwóch drzemiących zostało i Zygmunt jeszcze zimnym grogiem się krzepił — Gozdowski, wyszedłszy z ukrycia, zbliżył się ku niemu z wesołą twarzą.

— Darujesz mi—rzekł—że choć niebardzo w miejscu a może i nie bardzo w porę ci się prezentuję, ale Bóg wiedzieć raczy, czy się drugi raz w życiu spotykamy. Nazywam się Maurycy Gozdawa Gozdowski, a jestem twojego ojca bratem ciotecznym.

— A! to mnie bardzo cieszy! i cóż pan tu robi? śmiejąc się, odparł Zygmunt.

— Robię interesa i zmuszony jestem dla nich parę dni przesiedzieć.

— To się kochany stryjo-wujaszek, czy wujo-stryjaszek, dalipan nie jestem pewny jak się to nazywa — strasznie tu znudzi.

— Miarkując z was, nie sądzę, tylko, że jam na to zastary, uśmiechnął się Gozdowski.

— My bo z desperacji dokazujemy, zawołał Zygmunt, słowo daję — nudy, stryjaszku, zabijające.

— Zajęcia nie masz żadnego?

— Cóż proszę wujaszka robić? kiedy czy tak, czy tak umrzeć trzeba.

— Przynajmniej nie spodziewam się, by to dla was mogło nastąpić tak prędko.

— Przytem na wsi ludzi niema, a czas słotny, westchnął Zygmunt — gwałtowna więc taka rozrywka rozbudza, jak gimnastyka. Stryjaszek gotów mnie wziąć za zbytnika, ale to środek hygieniczny, metoda Hahnemanna, sławnego Hahnemanna.

— I metoda młodości.

— Tak, dopóki się reumatyzmy i podagra nie odezwą o swoje prawa.

— Ojciec twój wszakże obojga nie ma, rzekł Gozdowski — to pracowita natura.

— Z nudy, wujaszku, pracuje, bo nie ma co robić, rzekł Zygmunt, a mając jeszcze takiego syna rozrzutnika jak ja, musi.

— Cóż waćpan, gospodarujesz? hę? spytał plenipotent.

— Gospodaruję najwięcej na bilardzie i między butelkami, mówił wesoło Zygmunt — na tem gospodarstwie znam się doskonale, czy intersywne na spirytusie, czy ekstensywne na mleku z wodą... nie ma dla mnie tajemnic. Nie można stryjaszkowi grogiem służyć? mają tu niezły.

— Dziękuję bardzo.

— Albo kieliszkiem czegobądź?

— Nie — nie.

— Jakto? i dwóch szlachciców, notabene koligatów, spotyka się z sobą po raz pierwszy w życiu, a rozejdzie na sucho? E! wujaszku, toby było przeciwne wszystkim tradycyom narodowym.

— Ale proszę cię...

— Ale proszę stryjaszka, honor domu ocalić muszę. Czy byłeś wujaszek u papy w Skokach?

— Dziś rano.

— I poczęstował wódką z kiełbasą? nieprawdaż, zawołał Zygmunt — i wódkę tę piłeś... i jeszcze ci usta pali, a ja miałbym... nigdy w świecie!

Zaczął gwałtownie dzwonić i tłuc w szklanki; kelnerowie się zbiegli ilu ich było.

— Słuchaj ty, Żuku — rzekł do jednego mocno czarnego — macie to węgierskie wino gęste, stare, słodkie, tokaj, ten co wiesz?

— A jakże, jaśnie panie.

— Podaj butelkę i kieliszki. Kieliszki raz w życiu daj umyte, a tokaj nieś z uszanowaniem, abyś go nie strząsł... Stryjaszku — dodał, odwracając się do Goz-

dowskiego — kobyłka stoi u płotu, nie wykręcisz się, siadajmy. Ci panowie drzemią, nie będę ich budził, gęby ich tego nektaru nie warte; to jest wino, którego wynalezieniem pochwalić się mogę.

Gozdowski oprzeć się nie mógł, prawdę rzekłszy chłopak mu się bardzo podobał, a kapkę też lubił, zwłaszcza starą.

— Gdzież kochany wujaszek mieszka? spytał szaleniec — we własnych dobrach?

— Nie, bo ich nie mam — ale oddawna zarządzam interesami ks. Brańskich.

— Aha! wiem! Widziałem raz księżniczkę Stellę z przyjaciółką jej Antoniną; księżniczka śliczna, ależ śliczna! a panna Antonina pokuśliwa, jak dojrzała wisienka. Czy stryjaszek żonaty? przepraszam.

— Nie.

— I nie kocha się w żadnej z nich?

Gozdowski począł się śmiać.

— Zmiłuj się! jam stary, a księżniczkę kochać można chyba, jak gwiazdę na niebie — zdaleka. Panna Antonina zaś dla mnie za młoda.

— O zawsze, kochany wujaszku — odezwał się Zygmutn, zawsze kochać się można i trzeba. To czas bardzo przyjemnie skraca, nikomu nie szkodzi i wielce jest nauczającem.

— Jakto nauczającem? rozśmiał się Gozdowski.

— A tak! uczymy się razem serca kobiecego i siebie samych.

Wtem podano tokaj, a był złocisty, gęsty i wonny.

Zygmunt wstał.

— Naszem staroświeckiem winem zdrowia i pomyślności kochanego — wujaszka!

— Dziękuję, ja piję za twoje, panie Zygmuncie, aby ci Pan Bóg dał...

— Upamiętanie, nieprawdaż? zgadłem! westchnął młodzieniec. Nawet Panu Bogu, który, jak wiemy, jest wszechmogący — trudno będzie tę szaloną pałkę wystudzić. Taką mam naturę, kochany styjaszku.

Już pono przyjdzie niepoprawnemu pójść a d p a t r e s.

— Ja tak źle nie sądzę.

— Niech-że za dobrą opinię ucałuję szanownego kuzyna — zawołał Zygmunt — ale prawda, że drugą butelczynę wysuszymy?

— Nie mogę! za nic!

— Stryjaszek nie zechcesz nadziei rodziny, młodzieńca w kwiecie wieku, narażać na to, aby pił sam, dostał apopleksji i osierocił najczcigodniejszego z ojców. Nie, po kieliszeczku wysmokczemy. Żuk, podaj drugą, a prędko, póki ochotę mamy.

Zygmunt westchnął.

— Pewnie wujaszek już słyszał, jak mnie ohydnie ogadano za ostatniego urwisa? Niesprawiedliwość ludzka! Proszę byś temu wuj dobrodziej nie wierzył: mam naturę szlachecką, nic więcej. Pracować bardzo nie lubię, hałas mi smakuje, piję dobrze, jem nieźle, umizgać się, to moja rozkosz... ale zresztą mam wszystkie cnoty możliwe w mym wieku i położeniu.

Śmiał się tak, żartował, śpiewał, skakał i zabawiwszy do północy p. Gozdowskiego, ledwie go z rozczulonych objęć wypuścił.

Rozstali się najlepszymi przyjaciółmi w świecie.

Tejże nocy p. Zygmunt, jakby przeczuwając przybycie ojca swego na wieś, zabrawszy dwóch przyjaciół — odjechał.

Punkt o godzinie obiadowej zjawił się stary Garbowski, zamiast szarej, ubrany w kapotę czarną i z wywieszonemi na niej dewizkami od zegarka. Gozdowski wystąpił z obiadem, o ile restauracja zdobyć się mogła. Kuzyn jednak, nawet po wódce, został milczącym, jakby się chciał mieć na ostrożności. Zagajono znowu rozmowę o Brańskich.

— Miałem przypadkiem sposobność wczoraj poznać tu waszego syna — odezwał się Gozdowski.

Stary ręką machnął.

— Miły, żywy, prawda że trochę rozhulany chłopiec — ale to się utemperuje.

— Już nie wiem jak—nie wiem, mruczał stary Garbowski—nie mogę mu żadną miarą rady dać, desperuję, powiadam że... a kocham tę bestyjkę.

— Byłby na to sposób.

— Jaki?

— Wprowadzić go w lepsze towarzystwo, gdzieby się musiał trochę żenować i na poważniejsze osoby oglądać. Między takimi ludźmi jak nasz młody książę, jak Zenon Żurba, książę generał, musiałby inaczej się znajdować i umiarkować. Wprawdzie niełatwo go tam wprowadzić, bo do naszych książąt przystęp jest... dosyć obwarowany wielu warunkami, lecz na wszystko są sposoby. Gdybyś ty, Garbowski, mnie posłuchał,— wszedł z nimi w interesa, na których nigdy straty mieć nie możesz, synby się tam łatwo wkręcił. Któż to wie? przy księżniczce jest przyjaciółka jej, panna Antonina Żurbianka, wychowana jak księżniczka i nieuboga, możnaby go z nią wyswatać, a jakby się z nią ożenił, toby się odmienił.

— To go znasz! chmurno rzekł Garbowski — to taki chłopiec, że trzeciego dniaby oknem do księżniczki samej wleźć gotów. Gdzie jego ożenić! to szalona pałka! poczciwy w gruncie — ale szalony.

— Tak ci się zdaje kochany Garbowski, szaleje tam, gdzie bezkarnie można. Są przecie towarzystwa, które najśmielszym imponują. Ho! ho! inaczejby on u nas znajdować się musiał.

Stary głową trząść zaczął i urwał. Po obiedzie wszakże począł bliżej, z przełaja zawsze, rozpytywać o interesa. Gozdowski mu mniej więcej jasno przedstawił, nie tając że są dosyć zawikłane. Począł go też żywiej namawiać, żeby, rozpatrzywszy się, wszedł w robotę, zapoznał się z rodziną Brańskich i korzystał z jedynej może sposobności razem wnijścia w świat, wprowadzenia syna i ulokowania kapitałów na najpiękniejszych dobrach w kraju.

Garbowski milczał, nie wyrywał się, nie obiecywał nic, lecz zadawał pytania i docierał do gruntu. Plenipotentowi zdawało się że go tak na lekką we-

żmie przynętę, ale przekonał się teraz, iż to była próżna nadzieja. Garbowski nie odrzucał projektu, lecz potrzebował widzieć jasno.

Poszli nad wieczór do adwokata, który utrzymywał interesa prawne majątku w Lublinie. Garbowski zażądał wyciągów hipotecznych i nie zląkł się ich wcale, kiwał tylko głową.

— Hm, rzekł w końcu — ja pieniądze na wykupno z długów mógłbym dać — czemu nie — ale co to wam pomoże! Poczekam rok, dwa, dajmy trzy, potem mnie musicie spłacić, a nie, to ja dobra zabiorę.

— My we trzy lata niechybnie się spłacimy zawołał uradowany Gozdowski.

— Z czego?

— To nasza rzecz! a jak nie, ma kto inny brać majątki, weźmiesz ty.

Garbowski w głowę się skrobał.

— Zobaczymy, rzekł, to potrzebuje namysłu, ale — nie jestem od tego. Zjadę na grunt, rozpatrzę się, zobaczymy — może się co uprojektuje.

— Wiesz co, dodał Gozdowski — wierzyciele są wezwani dla układów do Brańska, przyjedź-że i ty w tym samym terminie, to ci najlepiej da poznać interesa... książęta będą ci prawdziwie wdzięczni — daj mi słowo!

— Będę — rzekł prosto Garbowski — i wezmę z sobą pieniądze na wypadek wszelki.

— Weź z sobą i syna także, — dołożył Gozdowski, mnie ten chłopiec interesuje. To twoje dziecko jedyne; puszczone tak samopas, gotowe się zmarnować, możemy je powstrzymać i uratować.

— Byle chciał i głupstwa mi jakiego nie zmalował, bo nie stąpi bez tego — wzdychając, rzekł Garbowski — czemu nie, czemu nie! Nie żałowałbym już i na interesie cóś poświęcić, żeby Zygmunta na ludzi wyprowadzić. Toż to moja troska i bezsenność, ten nieukrócony szalawiła!

— Ja ci powiadam, dokończył Gozdowski — wpływ lepszego towarzystwa go uratuje.

— Żeby tylko frak chciał włożyć! mruknął ojciec— bo i z tem bieda będzie. Gotów się ubrać jak do stajni, naprzekór, i wstydu nam narobi — powiadam ci że szalony.

— Dasz go mnie, nie bój się.

Na tem tedy szczęśliwie stanęło i po jeszcze jednej naradzie, plenipotent wyruszył napowrót do domu, tak rad z siebie, jak jeszcze nigdy w życiu nie był.

— Otóż ja im pokażę, powtarzał przez całą drogę— co może ten niedołęga Gozdowski. Ja ich uratuję, nie inny — ja!

Wieczór pierwszych dni jesieni słotny i chmurny, opustoszył zupełnie Winiary; zawczasu zaczynały po domach pokazywać się świeczki, bo ciemność nadchodziła wcześniej niż była powinna; na ulicy zato żywego nie spotkałeś ducha, wszystko się do domów skryło. Jednostajny szmer wody, ciekącej strumieniami z rynien dachów, przerywał ciszę wieczorną. Zanosiło się na długą ulewę. Dla mieszkańców niebrukowanego w większej części przedmieścia, których domy połączone tylko były gdzieniegdzie na przepaścistych miejscach pokładzionemi cegłami, słota była bardzo dotkliwą, a błoto nieprzebrnione prawdziwą klęską. Każda też postać, która o szarym mroku ukazywała się w ulicy, obudzała żywą ciekawość i stary Zelmanowicz z wielkiem zajęciem wpatrywał się w słusznego wzrostu draba, który, pokrywszy głowę połą opończy, zwolna brnął po błocie wprost ku Firlejowszczyznie.

Nie była to godzina, w której pan Zembrzyński przyjmował. Wprawdzie w dwóch oknach jego mieszkania słabe widać było światełko, był więc w domu — ale kto mógł do niego iść w gościnę?

Zadanie to zajmowało tak żywo Zelmanowicza, iż wyszedłszy do sieni, od wrót jeszcze przypatrywał się idącemu; nic więcej wszakże nie zobaczył oprócz szerokich jego pleców, które wsunęły się między kupy śmiecia dom okalające i dopadłszy drzwi, w nich znikły. Zelmanowicz wyczekał kilka minut, ażeby pewnym być iż ów gość nocny został przyjęty, i wrócił, zapisując sobie tę ciekawą okoliczność, że stary lichwiarz po nocy podejrzanych ludzi do siebie ściągał.

W istocie odwiedziny te w porze niezwykłej były wszakże spodziewane. Zembrzyński palił świecę i nie kładł się; wyglądając oknem niekiedy, chodził po izbie, czekał, a gdy w sieniach posłyszał chód, otworzył drzwi, aby drogę wskazać przybyłemu. Ten otrząsłszy się z deszczu i błota, wkroczył przez próg i stanął, lekkim pozdrawiając ukłonem dziedzica Firlejowszczyzny,

— No — spóźniłeś mi się, panie Marcinie — rzekł gospodarz — ale trudno inaczej, kiedy droga się popsuła.

— Oślizła i rozwiłgła, a to takie gliny, odchrząkując począł przybyły — konisko nieszczególne i — roboty było też dosyć.

— A masz wszystko co potrzeba?

— Co można było napytać, to wiem. We dworze, co prawda, nie byłem, bo się nie mogę pokazać, ale ja tam swoich mam i wszystko się wie.

— Cóż się tam dzieje? co? ciekawie jął rozpytywać Zembrzyński; mów od początku do końca, mów wszystko, bo każda rzecz się przydać może, choćbyś ty tego nie rozumiał.

— To się wie! skrobiąc się po głowie, zaczął przybyły, ino ja tak przy drzwiach stać nie mogę, bo mnie też i nogi stare bolą.

— To siadaj.

Zembrzyński podsunął jedyny stołek swojemu gościowi. Ten, poły zawinąwszy, siadł — ciekło z niego jak z rynny.

— Teraz pytajcie, rzekł, bo któż jego wie co wam gadać.

— Książę młody wrócił z Warszawy? poczęło się badanie.

— Wrócił, potajemnie, wieczorem? chowali go do rana, nocował u Gozdowskiego, potem zaprowadzili do ojca. Gniew słyszę na hrabiego wielki.

Zembrzyński się śmiał w sobie i zatarł ręce.

— Dalej co? nie odebrali tam jakich wiadomości?

— Musieli odebrać, bo i po sufragana posłali, i narady były, i krzyczeli, i hałasowali, i na tem pono stanęło, żeby wierzycieli wezwać do układów.

— Aha! wierzycieli! począł się śmiać Zembrzyński — wierzycieli! no to dobrze, a co więcej?

— Przyszedł list od hrabiego, co mało nie ubił słyszę apopleksją starego pana, taki go gniew opanował.

— Od kogo?

— A od tego hrabiego.

— Więcej-że nic?

— Frasunek wielki, wszyscy chodzą jak struci. Starego obałamucili podobno i nic nie wie — spokojny.

Znowu gospodarz śmiać się począł do siebie.

— Widzicie, że co mnie było przykazano i com był powinien, tom wszystko wywiedział się i przyniósł — rzekł przybyły. — Wierzyciele mają zjechać, a już tam nie wiem co oni z nimi za układy rozpoczną, kiedy niema co układać. Alem ja jeszcze się czegoś dowiedział, extra, i myślę że za to powinienem dostać od was kubana, bom się dlatego i przypóźnił, a jestem pewny że to się też na coś przyda.

— Hę? co? podskakując ku niemu, zapytał stary, co? co?

— Jak się to już wszystko skończyło, radzili, uradzili, a już miało się jechać nazad, dają mnie znać że Gozdowski się do Lublina wybiera. Choć to ja Gozdowskiego niebardzo się obawiam, żeby co mądrego

wymyślił, ale zawsze ostrożność nie zawadzi, pomyślałem. Jedzie on do Lublina, pociągnę ja za nim zdala i powącham czego to on tam ciągnie. Tak się i stało.

— Był w Lublinie?

— A był, ano posłuchajcie i kubana mi nagotujcie, dalipan jest za co. Stanął Gozdawa w hotelu, a jam na tyłach się z wózkiem uczepił. Drugiego dnia jedzie on, ruszyłem i ja. Dokąd, do Skoków, do Garbowskiego. A no! to wiem co się święci. Dowiaduję się, a to jego cioteczny. Dobrze, trzeba się pilnować. Wrócił Gozdowa nad wieczór, ja za nim jak cień. Późno w noc syn Garbowskiego hulał, Gozdowski z nim; pili wino i bardzo się kochali. Drugiego dnia starego na obiad prosił. Kazali nakryć na górze w osobnym pokoju, ale było przepierzenie, że można ich było słuchać i słowa nie stracić. Dopieroż okazało się że Gozdowski krewniaka umawia, żeby dał pieniądze na wykup majątku i złote góry mu obiecuje... A co.

Zembrzyński tak się zbliżył do mówiącego, że o mało mu na kolana nie wlazł; oczy otworzywszy, ustami krzywił, brwami rzucał, a w całej twarzy ciekawość natężona się malowała.

— Cóż on na to, ten świniopas? w gniewie rzucił Zembrzyński.

— Nie głupi on, choć świniami handlował, ho! ho! dobrze Gozdowskiego wymacał i wypatroszył — dobył mu prawdy z pod wątroby, poprowadził do adwokata, rozpatrzył i dopiero...

— Jakto? pieniędzy dać obiecał? krzyknął Zembrzyński, łamiąc ręce — osieł stary! pieniędzy dać! — a to już głupszego niema człowieka na świecie, a to...

Wyrazów mu nie stało.

— Któż go wie, tego Gozdowskiego, czem on go wziął? coś szeptali i o synu. To wiem że Garbowski ma z sobą Zygmusia swojego zabrać do Brańska.

Zmarszczywszy brew i pofałdowawszy czoło, podniósł pięść do góry Zembrzyński.

— Niedoczekanie wasze! zawołał! niedoczekanie! z tego nic nie będzie, albo mnie diabli wezmą! To ja

całe-m życie pracował, aby się dobić do tego, a oni mi mają z przed nosa chwycić! Niedoczekanie! to nie może być, ja tego nie dopuszczę!

Postrzegł się dopiero, wygadawszy tak gorąco Zembrzyński, że się niepotrzebnie przed swym pomocnikiem zwierzał i uciął. — Poszedł chmurny po izbie krocząc gorączkowym krokiem, mrucząc:

— Niedoczekanie wasze! ten stary gagatek gotów mi wszystko zepsuć.

— Ja się dopominam kubana — nielitościwie przypominał się posłaniec — dalibóg żem wart!

— Ani słowa, choć kułakiem za taką wiadomość radbym zapłacić — ale co ty winien — przerwał Zembrzyński. Niech ci Bóg zapłaci żeś mię ostrzegł. Rubla dam! rubla dam!

— Mało, mało, panie bracie, dwa dni zjadłem i podedrzwiami słuchałem.

— No, to się pogodzimy, daj ty mi teraz pokój, syknął Zembrzyński. Czy Gozdowski odjechał?

— A cóż, zaraz ruszył do domu.

— Kiedy się im Garbowski obiecał?

— Na zjazd.

— Na zjazd! począł się śmiać Zembrzyński — to jest czas, żeby tego niedopuścić. Zachciało się staremu świniopasowi o książąt się ocierać! Ale co oni mają do stracenia? gotowi wydać księżniczkę za tego łotra, sprzedadzą rodzone dziecko, byle się im mitra świeciła, a państwo było czem utrzymać, a ludziom było czem oczy zamydlić! Zdarzało się i to — ale niedoczekanie, niedoczekanie!

— Jegomościuniu? odezwał się przybyły.

— A co?

— Jam tu się do was wybrał nocować.

— Co? toś chyba oszalał — gdzie? u mnie jedno łóżko, a Stroczycha śpi na garści słomy; w całym domu kąta nie znajdziesz.

— I po błocie nazad na Grodzką? a to niechże was...

— Cichoż no — cicho — milczałbyś, zagniewany dodał Zembrzyński, już przenocujesz, pal cię licho;

ale żebyś ty mi nie gadał o tem, żeś u mnie tu noc przepędził.

To mówiąc z pod siennika dobył kluczów i wysunąwszy latarkę z komina, zapalił ją.

— Chodź, rzekł — ja mam co do roboty; znajdę ci w pustce dziurę, ano i o tem gadać nie trzeba.

Drzwi od podwórza zamknąwszy, aby światło nie zdradziło ich, gospodarz otworzył wrotka, które wnijście na górę zamykały. Wschody wiodące na piętro były całe, ale drzwi od pustych już sal z pozabijanemi oknami ani śladu. Wiatr chodził wszędzie swobodnie. Grobową pustką wiało od murów, na których pasami zielonemi wilgoć zalegała od góry do dołu. Kto inny byłby może się uląkł tych ruin, tylko nie ów posłaniec Zembrzyńskiego, człek znać bywały i na wszystko obojętny... Szedł ze swym przewodnikiem, głowę tylko podnosząc do góry i rozpatrując się w pięknie przyozdobionych stropach, na których zblakłe malowania widać było.

Przeszli tak kilka sal. Wszędzie drzwi, znać popalonych, brakło. Naostatek do ściany na pozór gładkiej się dostawszy, Zembrzyński kluczem w niej pocisnął jakiś gzymsik i część muru się otworzyła. Tu znajdowała się kryjówka tak zręcznie utajona, iż jej, obchodząc cały dom, domyśleć się nie było podobna. Szklanne okno zakratowane w dachu oświecało z góry spory pokoik, najlepiej zachowany z całej ruiny. Zdało się jakby wczora dopiero wynieśli się ztąd dawni mieszkańce. Izdebka była biało wymalowana i złocona, z kominem marmurowym, nad którym w murze błyszczało zwierciadło stare, a na ramach jego czepiały się amorki i wieńce. Wgłębienie w murze zawierało łóżko żelazne, z materacem wyżłobionym. Na prętach pogiętych trzymała się jeszcze osłaniająca je niegdyś piękna, lecz wypłowiała makata, po rogach były marmurowe stoliczki, a w ścianach domyślać się należało szafek tak misternie skrytych, iż ich spojeń oko nie dojrzało. Podłoga kamienna, wysłana była suknem szarem, już wytartem. Innych tu sprzętów nie znalazł

gość. Na kominie stał kaganek, który gospodarz zapalił.

— Jeśli się nie boisz, to śpij tu, a jutro rano do dnia przyjdę po ciebie.

— Czegobym się miał bać? odparł drab — umorzyć mnie i zamknąć tu nie macie powodu. Ciepło dosyć, posłanie niezgorsze. Światło mi zostawicie.

— Dobranoc.

— Dobranoc.

— Ale słuchaj, Jałowcza, odwracając się ku niemu, szepnął Zembrzyński, jak ty mi komu słowo szepniesz o kryjówkach na Firlejowszczyznie...

— Komu? na co? co ci się śni, mój dobrodzieju, zaśmiał się Jałowcza — skarbów-że tu niema, bo swoje pewnie chowacie gdzieindziej. At — myślcie o kubanie — i — śpijcie spokojnie.

Gdy powiedziawszy to chciał się jeszcze pożegnać z gospodarzem Jałowcza i odwrócił ku niemu, bo wprzód się po izbie rozglądał — drzwiczki się już zamknęły i znalazł się sam, z kagankiem płonącym na kominie. Osobliwsza rzecz, że ze środka nawet dojrzeć nie było podobna którędy Zembrzyński wyszedł, tak owo potajemne wejście dobrze w ścianie było ukryte. Jałowcza wcale się nigdy w życiu niczego obawiać nie miał w naturze i zwyczaju, przecież w pierwszej chwili jakieś go dreszcze przeszły, gdy się znalazł w tej zewsząd zamkniętej izbie, jakby zamurowanym.

— E! gdyby tu o mnie stary zapomniał, rzekł, śmiejąc się, — tobym sobie zasechł jak w grobie. A no, nie — dodał, podnosząc głowę, jest okno na dach; wysokie, to prawda, alebym się dostał do niego i wylazł na świat.

Uspokoiwszy się w ten sposób, poszedł pomacać materaca na łóżku i znalazł go aż nadto wygodnym.

Jałowcza całe życie swe wielce ciekawością grzeszył, nie mógł więcej i tą razą z taką osobliwszą kryjówką, do której go los zaprowadził, nie poznać się! Przy tej więc sposobności począł obchodzić ją z uwagą

wielką, przypatrując się złoconym gzymsikom, figlom i wykrętasom na murze, niemal każdej szparce w drzewie. Tak badając kryjówkę, za zasłoną zieloną która łóżko osłaniać miała, domacał się stołka wysokiego, skrytego za nią, znać tu pocóś wniesionego, nie mogąc jego użytku odgadnąć. Były to widocznie niby wschodki, po których się gdzieś dostawać musiano... Ciekawością tknięty, zdjąwszy kaganek, śledził dalej: dokąd te wschodki posuwane być mogły. Po suknie wytartem ślad od nóg prowadził ku bocznej ścianie.

— Po cóż to on tu łazi, ten stary lichwiarz — rzekł w duchu Jałowcza; nie okradnę go, bo tego we zwyczaju nie mam, i gdybym kradł, dawnobym w siermiędze nie chodził — ano ciekawa rzecz, dalipan, co on też tu chowa?

Zaczekawszy trochę i pewien, że Zembrzyński na dół powrócić musiał, Jałowcza posunął owe wschodki ku ścianie za śladem, przystawił je do niej, ale ściana była tak gładka i podobna do innych, że jej o żadną schówkę posądzać się nie godziło.

Ciekawy człowiek, który wszystkich rzemiosł próbował, jął się przypatrywać, dobył z kieszeni podróżnego trzosa różnych narzędzi i dłutkiem jął macać tu i owdzie.

Nic wszakże nie odkrył i miał porzucić to podglądanie cudzych tajemnic, gdy w murze dostrzegł zabielonego gwoździa główkę tak wpuszczoną, że jej z razu widzieć nie było można. Pocisnął ją palcem i skrzydło szafki misternie w mur wpuszczonej, zlekka się uchyliło.

— Aha! odezwał się — otóż to tu skarby swe chowa mój kochany pryncypał. Zobaczymy co też ma.

Szafa otwarła się łatwo, a w jej wnętrzu ciekawe oko Jałowczy dostrzegło tylko mnóstwo nagromadzonych kupkami różnych papierów, jak w archiwum jakiem rozłożonych porządnie. Ani pieniędzy, ani worków, ani żadnych kosztowności tu skrytych nie było. Z wyjętych plików, według lat poskładanych i ponumerowanych, znać było że do interesów służyły. Kon-

trakty, kwity, nabycia, umowy, regestry, okazywały bardzo rozległe stosunki pieniężne z różnemi domami i czynną spekulacyą na dobra, pod różnemi imionami prowadzoną. Najczęściej trafiało się nazwisko Dawida Salomsona, z którym znać Zembrzyński największe miał stosunki.

Nasyciwszy ciekawość, Jałowcza poukładał na miejscu papiery, a śladu naruszenia ich nie było. Dotarł tak aż do najpierwszego roku, od którego poczynała się coraz rosnąca potem działalność Zembrzyńskiego. Tu na samym spodzie leżała książeczka oprawna w papier siwy, wytarty, na którym zapisany był rok 1795 prawie studencką ręką. Otworzył ją Jałowcza i sądząc że znajdzie regestry, trafił na rodzaj dziennika.

— A już co temu, to nie daruję, żebym nie przeczytał, zawołał, biorąc ją ostrożnie tak, żeby wiedzieć gdzie ją ma później położyć; przynajmniej raz dobadam się z kim mam do czynienia.

Dla wszelkiego bezpieczeństwa, obawiając się by gospodarza niepokój jaki w nocy nie przywiódł, przymknął Jałowcza szafę, wschodki za makaty schował, a sam kaganek wziąwszy i książkę, położył się na łóżku i czytał co następuje:

U góry stało kręconemi głoskami, z kaligraficznemi ozdoby, zdradzającemi studenta, wypisane: Ad majorem Dei gloriam; potem powtórzony był rok 1795 i data dnia pierwszego stycznia; dalej już sporemi literami, niedawno emancypowanemi z pod dwóch linij, zaczynał się niby dziennik.

„1795 r. d. 1 januarii. Gdy taka jest rzeczy ludzkich kolej, iż wszelkiego człowieka na ziemi pamięć się zaciera, postanowiłem, dla własnego lepszego przypomnienia i rachunku sumienia, oraz ku nauce i pożytkowi tych, którzy to czytać będą — notować coby mi kolwiek w życiu godnego zapamiętania przydarzyć się mogło.

Ultimo decembr. Przybyliśmy z jegomością księciem szambelanem do Brańska, gdzie na przyszłość

stałą rezydencyą obiera. Pałac bardzo wspaniały i obszerny, lecz zrujnowany i opuszczony, tak że kilka tylko pokojów na dole mieszkalnych zostało, gdzie tymczasowo się pomieściliśmy. Księżna jejmość naówczas dopiero przybędzie, gdy już wszystko będzie gotowe. Posłano po rzemieślników do K. Niewygoda wielka, zwłaszcza po Warszawie; książę jegomość chce jednak sam tu być, aby się na sługi nie spuszczać, boby pałac restaurowali do sądnego dnia.

15 januar. Taki pośpiech we wszystkiem i roboty nawał, że nikt nie może wydołać temu, co po nim książę wymaga. Powszechnie skwierczą. Mnie też dla tej służby ani dnia, ani nocy, ani spoczynku niema, chodzić trzeba jak w pługu. Używa książę pan i na posyłki, i do pióra, i do dozoru. Nie lepiej innym; Panie Boże daj, aby się to raz przecie skończyło. Wczorajszego dnia w sali od bicia młotami stary sufit ze szczętem padł i dwóch ludzi przygniotło, ale śmierci, dzięki Bogu, nie było.

5 februarii. Przybył w odwiedziny ks. kanonik, brat ks. jegomości, trochę ułomny, ale powagi wielkiej człowiek; może też odetchniemy, choć dla gościa.

20 marca. Nie było czasu nawet zapisać sobie pro memoria, cośmy ty przebyli z tą zimową około domu robotą. Istne piekło. Księciu się śpieszy, ani chce wiedzieć, że ludziom ręce marzną i spocząć też trzeba. Pracuje też on sam, acz tylko oczyma, a tak się stał niecierpliwym, że lada co go do gniewu pobudza. Panie Boże strzeż, aby mu się nie narazić, bo już kilku odpędził precz. Ks. kanonik przed Wielkanocą odjechał, znowuśmy sami.

Maj. Robota około pałacu idzie badzo pośpiesznie, mówią, że wielkie summy kosztować będzie, ale książętom w lada jakich pokojach mieszkać się nie godzi, musi wszystko być jak dla stanu ich przystoi. Zjechał teraz na czas pan pułkownik w odwiedziny, znowu tedy książę nie sam. Pułkownik piękny ma mundur i wojskową postawę, a znać w nim żołnierza, miło

nań patrzyć. Powiadają że ślubował nigdy się nie żenić i do takiego należy zakonu, co razem żołnierską służbę odprawia i Panu Bogu służy. Słyszałem jak stary Jackowski tłumaczył, iż ks. kanonik i pułkownik wyrzekli się świata, aby całe dobra przeszły na głowę szambelana.

R. 1796. Nie było czasu pisać, a i co zapisywać nie miałem. Trochę zelżała służba dworska, bo roboty około pałacu mają się ku końcowi. Już tylko stolarze, pozłotnicy i ślusarze pracują, a malarze kunszty swe na ścianach i stropach wyprawują dziwnie pięknie i misternie. Księżna pani spodziewana w maju. Ma też nastąpić zaraz i uroczyste poświęcenie odnowionego pałacu, i wielkie przyjęcie a bale na inkrotowiny. Książę na mnie wciąż krzywo patrzy, ani wiem dlaczego, bo mu się akomoduję jak umiem i mogę. Byle najmniejsza rzecz, zawsze cóś od niego oberwać muszę.

Czerwiec. Odwiedził mnie ojciec, anom się darmo ucieszył. Myślałem że mnie ztąd weźmie; skarżyłem się mu że łaski u księcia jakoś nie mam: nic nie pomogło. Powiedział, staraj się, błaźnie, zasłużyć na nią. Kazał w miejscu zostać i jeszcze podobno sam księdza prosił, aby surowo trzymać mnie kazał. Chyba łaska Boża przyjdzie mi w pomoc, ażebym się utrzymał i wytrzymał, tak mnie już teraz w kluby wezmą. Pojechał ojciec, zostawiwszy talarów dwa i tynfa.

Grudzień. Coraz gorzej. Jak się marszałek dopatrzył tego, że mnie książę nie lubi, jeździ po mnie jak chce. Szesnaście lat kończę, a za ucho kręci — trudno i znieść. Panie Boże daj cierpliwość i wytrwanie! Na nowy rok słyszę barwy nowej nie dadzą, chyba pod Wielkanoc, a co mnie, to i zwykły podarek minie, bo już tak pan marszałek osądził.

1797 roku. Odebrałem wiadomość z domu najsmutniejszą, jaką w życiu mieć mogłem. Dnia 7 stycznia dobry ojciec nasz, Panie świec nad duszą jego, skończył w Mokrzyńcu, o godzinie czwartej z południa. Nie zostało po nim ino trochę ruchomości, które w testamencie są wszystkie pominione. Brat mi pisze, że mnie sygnet z krwawnikiem, który na palcu zawsze nosił, przeznaczył, item delją starą lisami podbitą z kołnierzem z kun, pas słucki, parę pistoletów dla parady, szablę w jaszczur oprawną dziadowską i pościeli dwoje. Gotowemi pieniędzmi z działu wypada talarów 27, tynfów dwa. Wolny jestem co z sobą czynić chcę i radbym z tego dworu się oddalić, a na innym szczęścia szukać, ale wprzód trzeba sobie coś obmyśleć. Marszałek zawsze mnie jak malikowatego konia prześladuje i księciu na mnie donosi. Jeszczem dobrego słowa tu nie słyszał.

Sierpień. Gdyby wszystko opisywać na co się tu patrzy, papieruby nie stało. Od przyjazdu księżny jejmości i onych inkrotowin, na których moździerz pękł od strzelania i hajduków poranił, niema prawie tygodnia, żeby wielkich festynów nie było, zjazdów, tańców i gości. Ani się marszałkowi dziwię, że ponury chodzi, ma on za swe, a spoczynku i jemu nie dają. Mnie znać nauczyć chcą; żebym konie odsedniał, tak nieustannie za czemś posyłają. A mam takie szczęście, że gdyby jak koń był okulbaczony, zawsze podemną skórę odparzy i namuli. Nie pomaga nic... jeździć muszę, jakbym się już do niczego innego nie przydał.

Dla innych wesołe to może życie, a dla nas bardzo twarde. Dwóch, nie wytrzymawszy, bez pożegnania poszli gdzieindziej szczęścia szukać. Zgłaszałem się i ja, czy gdzie mnie nie przyjmą, ale teraz ubogiej szlachty po dworach co niemiara, nie żądni ich. Nigdzie miejsca nie dadzą, chyba służ na swojem, nawet bez obroków, póki wakans się jaki nie otworzy. Boże miłościwy — jakże tu ciężko trwać! Od dwóch tygodni człowiek prawie nie śpi, a tyle zje, co z półmiska zliże ukradkiem. Były imieniny, była oktawa, potem wielkie łowy, potem przyjęcie pani hetmanowej, które pięć dni trwało. Zanosi się znowu na bal. Ile to kosztować musi, trudno policzyć.

Październik. Znowu miałem biedę z księciem, żem ledwo kobierca uszedł. Staliśmy w przedpokojach ze Serebrzyńskim i Morszem; tamtym niewiedzieć co do głowy przyszło, że się poczęli wyśmiewać z gości i przedrzeźniać. a mnie też pokusiło udawać podkomorzego, i wypiąwszy się, począłem chodzić, aż tu naraz jak makiem siał. Obejrzę się: książę stoi i patrzy. Zmartwiłem się. „Pojedziesz waść do marszałka i powiesz mu, aby ci na kobiercu wyliczył piętnaście, a poszanowania dla starszych nauczył.“ Serebrzyński i Morsz, którzy się gorszych dopuścili rzeczy, uszli cało, a mnie spotkał wstyd i groźba. Ledwie jakoś sam marszałek u księcia mnie, ulitowawszy się, wyprosił. Zapowiedzieli mi że za drugim razem liczba będzie podwojona, ale ja już pono czekać na nią nie zechcę.

1798 marzec. Za łaską Bożą, ośmnaście lat dokończywszy, tu zapisuję, iż mi się wąsy ciemne sypią jak nie można lepiéj, że je już podkręcić mogę, a brodę golić muszę, bo bardzo gęsto zarasta. Przypomnienie to człowiekowi. iż o sobie sam myśleć powinien, a tu się nie uczyniło nic i ani się wie co począć z sobą, chyba Pan Bóg natchnie.“

Tu w rękopiśmie reszta karty próżną stała, na odwrotnej charakterem zmienionym, krzywo i pośpiesznie wypisane były tylko te słowa:

„1798 w lipcu. Czynię ten ślub uroczysty, iż hańby swojej nie przebaczę i onej na wszelki sposób mścić się będę do ostatnich dni moich, do ostatniej kropli krwi, do ostatniego tchu życia, tak mi Panie Boże dopomóż! Nie może inaczej być — bo szlacheckiej krwi pohańbienie zmazanem być powinno.“

I znowu miejsce stało próżne, a na innej stronie, charakterem już mniejszym i wprawniejszym, następujące opisanie:

„Ażeby mnie ludzie i Bóg nie sądzili surowo, nie znając sprawy mojej, takowej opisanie wierne, wedle sumienia i pod przysięgą, tu zamieszczam. W roku 1798, miesiąca lipca 26 dnia, na św. Annę, gości zjechało wiele do Brańska i dwór cały musiał być w ruchu. Kazał marszałek barwę najświeższą wdziać i we drzwiach otwartych sali z innymi być na zawołanie. Księżna jejmość i cała kompania zgromadzoną tu była, tylko księcia szambelana nie widziałem. Rozmowy toczyły się żywe. Widzę iż księżna jejmość palcem skinęła jakoby na mnie: mógł był inny pójść, alem się wyrwał, a raczej pchnął mnie znać mój los nieszczęśliwy. Poszedłem i staję. Księżna, patrząc mi się w oczy, powiada: idź waćpan do pokoju męża mojego, na stoliku pod oknem znajdziesz list w kopercie, ten weź i tu mi go przynieś.

Spełniając rozkaz, wprost udałem się do gabinetu księcia, nikogo też nie widząc, a ze zwyczaju na palcach, cicho, jak było nakazano. List leżał pod oknem, więc też, niewiele myśląc, zbliżyłem się doń, nachyliłem i rozpoznawszy adres, wziąłem go do ręki. Zaledwiem to uczynić pośpieszył, gdy — jakby piorun padł na mnie, książę, którego nie dojrzałem wchodząc do pokoju; zbliżył się i wyciął mi policzek. Krzyknąłem i z bólu i ze sromu. a nie wiedząc kto i co, obróciłem się z pięściami, ale spostrzegłszy księcia, rzuciłem mu tylko list pod nogi.

— Łajdaku jakiś! — zawołał na mnie — to ty mi tu będziesz potajemnie papiery przetrząsał?

— Jako żywo. mości książę — jestem przysłany po ten list przez księżnę jejmość. mam na to stu świadków, lecz od tej godziny, gdy niepytany i niesądzony na honorze moim pokrzywdzonym zostałem, bodajbym z głodu umierać miał; nie jestem sługą księcia — ale wrogiem na życie całe!

Książę się zaczerwienił i zmieszał.

— Kłamiesz! zawołał.

— Mówię prawdę i klnę się na zbawienie, a tak samo się zaklinam, iż krzywdy mej nie daruję.

Nie wiedziałem już ani wiem co się działo dalej, bom wprost z komnaty wyszedłszy, do izby swej poszedł. wszystko co kiedy od księcia miałem precz wyrzuciłem, wdziałem odzienie własne, związałem wę-

zełek ubogi i natychmiast pieszo chciałem uchodzić, gdy nadszedł marszałek. Spojrzał tylko na mnie i woła:

— Co ty robisz? co ci jest?

— Idę ztąd, gdzie służby szlacheckiej szanować nie umieją, a ludzi karzą, winy nie patrząc, idę, abym się całe życie mścił.

— Dudku ty jakiś — zawołał marszałek — co ci za krzywda się stała? Smarkacz jesteś, książę się mógł omylić, to ci wynagrodzi, nie pleć andronów i krokiem mi się nie rusz. Przysłał mnie książę, abym ci pięćdziesiąt czerwonych złotych obiecał, żebyś milczał, a nikt o tem wiedzieć nie będzie.

Na to ja cały zburzony odpowiedziałem:

— Ani waszych pieniędzy, ani łaski, ani służby nie potrzebuję. Powiedz swojemu księciu, że mnie on popamięta. Młody jestem, ale z tą myślą, z tą żądzą, abym się na nim i na jego rodzie mścił — urosnę i...

Nie wiem zresztą, com mu powiedział więcej, bo mi oczy łzy, a uszy krew buchająca do głowy zalała i wyszedłem z węzełkiem swoim w świat, otrząsłszy pył z nóg moich; ani marszałek, widząc mnie tak słusznie zburzonym — śmiał wstrzymać. Posłali za mną Serebrzyńskiego, z którym w przyjaźni byłem, i ten mnie dognał w Brześciu, alem mu toż samo co im powiedział."

Taki był początek dziennika który się wyrywkami ciągnął aż do roku 1800; dalej go brakło. Z ułamków widać było, iż Zembrzyński długo się wałęsał, nim do krewnych matki trafił, a tu szczęściem jakiemś dowiedział się o spadku po stryju i wraz z rodzeństwem, choć przedawniony, odzyskał.

Następowały niezrozumiałe rachunki sumek pożyczanych na zastawy, procentów i różnych spekulacyi, których już i Jałowcza nie był ciekawym. Złożywszy więc książczynę i znowu przystawiwszy ów stołek: na miejsce ją dawne wrócił, zamknął, ślady swej ciekawości o ile możności zatarł, a sam przy gasnącym już kaganku spać się położył.

Gdy nazajutrz rano do dnia wszedł Zembrzyński do izdebki, ledwie gościa rozbudzić potrafił i z niewoli go tej wypuścił. Jałowcza, jak najniewinniejszy w świecie człowiek, otrzymawszy kubana, po błocie i deszczu udał się na miasto.

W Skokach targ był wiekuisty — od świtu do nocy, jedni odjeżdżali, drudzy przybywali, dziedziniec pełen wózków, biedek, fur i wypędzanych a przypędzanych wołów; w ganku i sieni ludzie, błoto, furmani i panowie, parobcy i oficyaliści, naostatek w kancelaryi u stołu kilku poważniejszych kupców, Garbowski i flaszka z wódką wśród papierów. Rzadka godzina żeby ktoś nie przyjechał i żeby nie było co do roboty, a gdy się trafiła taka, naówczas znużony spekulant, w krześle siedząc zmęczony, natychmiast się zdrzemywał. Tak całe życie jego upływało, z wyjątkiem niewielu podróży i dni świątecznych.

Nazajutrz po widzeniu się z Jałowczą, pan Zembrzyński przygotował się jechać do Skoków. Nie potrzebował się tu ubierać wytworniej, włożył kapotę, nadział buty po kolana i poszedł za grodzką bramę furtki szukać. Tę znalazłszy, pod parasolem starym wyruszył po błocie do Skoków, obrachowawszy iż w taki deszcz mało tam kogo znajdzie, coby mu mógł przeszkodzić. Z Garbowskim się trochę znali, obaj wiedzieli o sobie, że byli ludzie pieniężni, skąpi i zabiegliwi; bliższych stosunków nie mieli z sobą. Zembrzyński nazywał Garbowskiego świniopasem. Garbowski jego lichwiarzem. Chociaż deszcz nieustający

drogę rozkwasił, w dziedzińcu były dwa wozy, a w ganku stali Żydzi, mimo to Zembrzyński wszedł.

— Jak się ma pan Garbowski?

— Do nóg padam pana Zembrzyńskiego. Siadajcież.

— Chciałem z jegomością pomówić.

— A dobrze, zaraz z Abramkiem skończę; może się wódki napijecie?

Zembrzyński napił się wódki i siadł. Z Abramkiem szło twardo, lecz wreszcie Garbowski dobił targu: sprzedał mu wołu, który był złamał nogę. Gdy Żydzi wyszli odwrócił się do gościa.

— Zkąd-że Pan Bóg prowadzi?

— No tak, z Firlejowszczyzny niby.

— A z czem?

— Hm! z czem... jest cóś do pogadania, macie czas?

— Czemu nie.

Zembrzyński z krzesłem się do stołu przysunął.

— Nie pytajcie zkąd wiem, ani jak, to moja rzecz, tylko dosyć że wiem, iż się wybieracie jechać do Brańska, i robić interesa z książętami. Brat wasz Gozdowski namówił was na to.

— A zkąd-że wy, u licha, wiedzieć o tem możecie?

— Hm, wszystko się wie, panie bracie, a prawda to?

Garbowski, na stół patrząc mruczał cóś i rzekł:

— No — a jakby prawda była — to co? to co?

— Jakby to prawda była to się zarzniecie, bo choć wy rozumni, a oni niby lekko rzeczy biorą — wam z nimi się nie mierzyć. Interes zły, zły i zły!

— A wy zkąd o tem tak dobrze wiecie i dla czego wam tak moja kieszeń miła?

— Nie pytajcie! może ja w tem też i swój interes mam, dosyć że was ostrzegam: nie leźcie w to błoto, ugrzązniecie.

Garbowski się uśmiechnął.

— Wiecie co? niebardzo miałem ochotę leźć, ale teraz, gdy wy mnie odradzacie, muszę rozważyć. Niezgorsza to rzecz być może.

— Jak komu — rzekł spokojnie Zembrzyński. Ja wam przywiozłem wykaz hypoteczny.

— Ja go już widziałem.

Obaj zamilkli i zmierzyli się oczyma.

— Gadajcie szczerze, co wy w tem macie? odezwał się Garbowski. Tam waszego nazwiska nie widać.

— A przecie ono tam jest, uśmiechnął się Zembrzyński — co wy na tem wskuracie? Dacie pieniądze, ugrzązniecie na dobrach, koniec końców będziecie musieli zrujnowane i bez gospodarstwa wziąć, a weźmiecie drogo chyba, bo ja będę je licytował. Ich żadna w świecie moc ocalić nie może. Dacie im piżma, to dwa, trzy lata dłużej pożyją, a potem toż samo co było.

— A no - i ja zabiorę dobra, odezwał się Garbowski.

— Wszystkie? spytał Zembrzyński.

Spekulant spojrzał: trudno było kłamać przed takim wygą. Na wszystkie go nie stawało.

— Wezmę część.

— O co chodzi? bierzcie zaraz, to ja przystępuję z wami do spółki, pozwolę wam wybrać co się podoba i w cenę pędzić nie będę — ale zamiast za lat trzy, bierzcie zaraz.

— Dla czego?

— Hm, dlaczego? dlatego że mnie tak lepiej.

Garbowski wziął pióro i począł cyfry stawiać na zabrukanym stole — milczeli obaj.

— Gozdowskiemu, waszemu krewniakowi, o nic nie idzie, tytko by do czasu książąt przy majątkach utrzymał... on was do tego potrzebuje na podstawkę; potem was zbędą czem zechcą, albo proces...

— Ja się opiszę.

— Opisz ty się jak chcesz... oni mają lepsze od was plecy. Nie dajcie się zdurzyć. Chcecie interes robić, róbcie, ale zaraz i razem ze mną.

— Czemu z wami ma być lepiej niż z nimi? spytał Garbowski.

— Bo ja mam na tym majątku więcej niż oni, sta-

nowczo odezwał się Zembrzyński i z krzesełka wstał. Zresztą jak wola i łaska. Ja przyjeżdżam do was z dobrem słowem i dobrą radą. Jeżeli chcecie ratować książąt. choćby parękroć stracić — a, na to rady niema! Traćcie, bo że stracicie, to tak pewne, jak dwa a dwa cztery.

Garbowski znać nic odpowiedzieć nie chciał, podniósł głowę, na krześle się oparł i pióro za ucho założył.

— Powiedźcież mnie, gdzie wy w tym interesie? ja was tu nie widzę na spisie, wy dla kogoś faktorujecie.

— Dla siebie. Co ja wam się będę tłumaczył — rzekł Zembrzyński — wola wasza słuchać, dobrze, nie— z Bogiem, i jeszcze wam dopowiem jedno, o czem dalipan nie wiecie. Wy ani Gozdowskiego nie znacie, ani książąt, a małoście mieli do czynienia z takimi ludźmi. Gładkie to, układne, pięknie wygląda — ale ostrożnie! Oni waszeci za Boże stworzenie nie mają: posłużą się, wycisną jak cytrynę, a łupinę rzucą w kąt. Gozdowski wam nagadał. że wam syna marnotrawnego poprawi. że go tam wprowadzi. że go tam i ożenić gotów... Póty łaski tej, pókiś wasan potrzebny; gdy pieniądze dasz, drzwi ci zamkną. Ja ich znam. Toż wasan pracował w pocie czoła całe życie na to, żeby potem oni za krwawicę waszę pasztety sobie kupowali? Jak ci się podoba... jak się podoba... Ja waćpanu wręcz powiadam: będę przeszkadzał i napędzę tak, że tam wsadzisz do ostatniego grosza, a nic nie odbierzesz. Jak wola... Waćpan mi w drogę włazisz, ja się będę bronił. Ja tam primus occupans...

Słysząc łacinę, Garbowski się zląkł, jak się zwykł był obawiać wszystkiego, czego dobrze nie rozumiał, i krzyknął:

— Co to takiego? co? co?

— Ja tam pierwszy, a wy mi nieproszeni przeszkadzacie, nie dam się. Co asan robisz, kiedy woły kupujesz, a ktoś ci licytuje?

— Pędzę, bronię się i kupuję.

— Kupujesz, ale drogo... Otóż ja ci napędzę tak samo majątki.

— Słuchajże, panie Zembrzyński, przerwał drugi, śmiejąc się — czy wy mnie macie za dziecko. Ja z wami się licytować nie potrzebuję. Przypuszczam że macie summy na majątku. to oni je memi pieniędzmi spłacą, a ty pójdziesz z kwitkiem.

— A dalej? spytał przybyły.

— No — dalej, to moja rzecz — mruknął gospodarz.

— Niekoniecznie, niekoniecznie. Poczekacie rok, dwa. musicie nabyć, bo nie będzie was czem spłacić; oni nie sprzedadzą po dobrej woli, przyjdzie licytacya.

— Co wam się o mnie turbować? roześmiał się Garbowski; do lat trzech kto tam wie co będzie, albo na was, albo na mnie, albo na nich może co przyjść.

— No — to jak wola wasza — odparł Zembrzyński, biorąc czapkę i sięgając po parasol, z którego woda ciekła w kącie. Jak sobie chcecie.

I zbierał się ku drzwiom.

Garbowski, który był nawykł każdy interes dobrze obracać wprzódy, nim się na cóś stanowczego odważył, myślał jeszcze.

— Czekajcie-no, jegomość, rzekł — takie sprawy na poczekaniu się nie kleją; waćpan mnie mało znasz, ja was też niekoniecznie. Musiemy się dobrze rozgadać. Ja waćpanu powiem otwarcie: oszukać się nie dam, oszukiwać nie chcę — znienacka mnie nie weźmiecie.

— Ja was brać nie chcę, cobym z wami robił? ruszając ramionami, wycedził Zembrzyński — jak wola.

— Dajcie mnie czarno na białem na stół dowód, że wy macie cóś w tym interesie. to będę gadał.

— Słowo uczciwe, że to będzie między nami?

Garbowski podniósł dwa palce, jak do przysięgi. Wtem Zembrzyński sięgnął za opończę i dobył duży, zatłuszczony pugilares, wyjął z niego jeden, drugi, trzeci i czwarty papier, z kolei je stawiąc przed oczy patrzącemu i wskazując w nich palcem swe nazwisko, potem w milczeniu zawinął je do pugilaresu i zasunął pod opończę.

Garbowski posępnie nań spojrzał.

— No — no — rzekł — zkąd wam tyle pieniędzy?

— Nie ukradłem ich. to pewna.

— Nie spodziewałem się. Siadaj, Zembrzyński, dodał, klepiąc go po ramieniu, siadaj — trzeba pogadać po ludzku. Ktoby ciebie posądził po kapocie, że ty masz pod nią tyle słoniny?

— A was?

— O mnie i ludzie wiedzą. Cóś t rzeba obradzić, rzekł gospodarz.

— Ja od was nie chcę nic, tylko jednego; nie brońcie teraz ks. Brańskich. a zarobkiem się podzielimy. Dla nich też łaski nie wyświadczycie. Jeżeli dziś ich zlicytujemy, może cóś im zostanie, za lat trzy — ani grosza. Oni muszą tak żyć jak żyją, czy będą mieli z czego, czy nie; zjedzą się do reszty. Jedź waćpan ze mną, ano, trzeba działać stanowczo — zaraz.

Ciężki był do interesu stary Garbowski, westchnął:

— Zobaczymy!

— Kiedy?

— Przyjedź waćpan jutro, przyjedź pojutrze — daj mi się rozmyśleć.

— Ja wam więcej powiem — rzekł Zembrzyński, jédźcie wy sobie do Brańska, rozpatrujcie się na miejscu, rozpatrujcie. Mnie nie macie powodu wierzyć. Możemy się porozumieć, gdy sami się przekonacie, że lepiej brać dziś to, co za lat trzy dopiero wam obiecują. A za lat trzy, jak się książę Robert ożeni. figę wam pokażą i nie będziecie mieli nic — daj Boże swoje pieniądze, albo proces.

Zachwiawszy w ten sposób postanowienie Garbowskiego i rzuciwszy mu do rozmysłu argumenty nie bez znaczenia, Zembrzyński oknem wyjrzał, parasol znowu zabrał z kąta, i począł się żegnać!

— Toć się może zobaczymy? zapytał Garbowski trochę niespokojnie.

— A no — może, może, gdzieś, na którymś świecie. Do nóżek upadam.

Garbowski go aż do ganku wyprowadził. tamten siadł na bryczkę, rozpiął nad sobą parasol i — kazał jechać.

W ganku pozostał stary wieprzarz i dumał.

— Co to ma znaczyć? Trzeba dobrze na rozum brać, żeby się nie poszkapić. To jur i — wyga, a wywatowany wekslami! no! no! Cięższa będzie sprawa niż sądziłem.

Jeszcze stał w ganku, gdy okrutne palenie z bicza słyszeć się dało i mimo błota, kłusem zawiesistym lecąca najtyczanka wpadła jak bomba w dziedziniec. Woźnica bardzo zręcznie zawrócił przed ganek i konie się zasapane, kurzące od potu, zatrzymały jak wryte. Z bryczki wyskoczył w burce, z czapką na bakier — Zygmuś i wprost ojcu się rzucił na szyję.

— O! jakżem ja szczęśliwy, że tatka w domu zastaję!

Ojciec ściskał go, ale zakłopotany.

— No. już dość, dość tych całusów, pewniuteńko po pieniądze.

— A jakże? Tatko ma cudowną siłę proroczą, od czegóż ojcowie ktorzy w kozłowych butach chodzą. synom którzy muszą nosić lakierki? Rodzicielu kochany, tak — odgadłeś, a gdybyś nawet był na ten raz nie zgadł, miłoby mi było. przez samo uszanowanie, zastosować się do twego proroctwa. Nie chcę ci zadawać fałszu. Lecz o tem potem. Pozwoli tatko, dodał — ponieważ tu tylko wódka jest i owa wędzona kiełbaska, którą mam przyjemność znać, że ja każę dobyć swoich zapasów podróżnych i ojca dobrodzieja zaproszę na przekąskę.

Garbowski ruszył ramionami i nie odpowiadając, wszedł do izby a za nim syn. Chłopak w kapeluszu z kokardą dobywał tymczasem z bryczki pudło i butelki. Zygmuś, jak tylko wszedł i burkę zrzucił, wyciągnął się w fotelu. Ręce założył pod głowę, nogi wysunął na środek izdebki i odpoczywał. Ojciec, który się przechadzał. za każdym razem nogi synowskie omijać musiał.

— Poniekąd dobrze iż przyjechałeś — odezwał się, mamy do pomówienia.

— I kochany tatko da pieniędzy? bo Żydki za weksel do kozy wpakują. Trudno inaczej, nie mając odpowiednich do mojego wychowania dochodów, jestem zmuszony robić długi, a długi ciągną za sobą konsekwencje fatalne.

— Już ty mi nie mów, nie mów, ofuknął Garbowski — ty tylko jedno znasz: ojcze — pieniędzy! a da ojciec, ruszasz hulać, i znowu, jak przedtem: ojcze — daj pieniędzy!

— Litania! zawołał, śmiejąc się, Zygmuś — litania, którą synowie odmawiają, dopóki sami dzieci się niedoczekają. Wtedy naodwrót: marnotrawny synu, idź precz! Ale, proszę tatka, jeśli też ja się marnotrawnym nazwać mogę. Ojciec jak miałeś, tak masz miliony, a ja wiecznie goły i goły.

— Bo ja pracuję, a ty...

— Juściż ja, jak tatko, pracować nie mogę. Na całym świecie jest podział pracy. Tatko spekulujesz na małą skalę, aby się dorobić, jabym powinien milionami obracać. Proszę mi dać jeden tylko, a zobaczycie...

Garbowski się zżymał.

— Nie bredziłbyś — ja z tobą chcę pomówić na seryo, dosyć już tych perebendiów, dosyć.

— Słucham kochanego ojca, ale wnoszę — odezwał się Zygmuś, ażebyśmy do nabrania sił do poważnej rozmowy, naprzód się posilili. Dzięba (to było przezwisko ulubionego sługi p. Zygmunta) przyniesie tu śniadanie, i ojciec mi nie odmówi.

Garbowski mruczał tylko coś, chodząc, jak niedźwiedź. Zygmunt wziął od dewizek świstawkę srebrną i w najokropniejszy sposób gwizdnął — Dzięba się zjawił.

— Przynoś tu śniadanie i butelki!

W mgnieniu oka stół ostrożnie został oczyszczony z papierów, serwetką podróżną herbowną nakryty i zastawiony pasztetem strasburskim, szynką, salamisem, serami i t. p. Dwie butelki zawierały Sherry

i Bordeaux, był Alasch i Cognac. Stary Garbowski chodził, nie patrząc na te przygotowania, ale po wyjściu Dzięby, nie mówiąc słowa, zasiadł do stołu. Syn gospodarował, uśmiechając się.

— Widzi tatko, że to są dobre rzeczy, rzekł — a nas na to stało, żebyśmy z pracy waszej użyli sobie nieco.

I nalał mu kieliszek Sherry, który Garbowski z rozwagą wypił i, próżny postawił: syn pośpieszył go napełnić.

— I teraz już możemy mówić serjo — odezwał się do ojca — niech tatko poczyna, ja będę słuchał. O co to idzie? abym się ustatkował? hę?

— A no, pewnieby czas było, ale co do takiej szalonej pałki gadać darmo. Pięknie to z lada hołyszami, darmozjadami czas trawić? Opiją, objedzą, ogadają... Przecież ty lepszej kompanii wart.

— Ale żyć bez ludzi niepodobna.

— Żyj-że z takimi, którzyby rozum mieli.

— Wie ojciec, to strasznie nudne. Gdy kto ma, albo się komu tylko zdaje że ma rozum, tak się dmie i peroruję, że z nim wytrzymać niepodobna.

— Nie plótłbyś.

— Ale cóż ojciec miał powiedzieć?

— Gdybyś ty mi dał słowo, że choć na kilka dni się wstrzymasz i żadnego głupstwa nie zmalujesz...

— Kilka dni, mogę, i jak dam słowo, ręczę że dotrzymam; ale ojciec mi za to coś da i potem sobie pozwolę.

— O! o! otóż masz! zawołał Garbowski — nigdy z niego nic nie będzie! szalona pałka!

— Niechno ojciec powie, o co idzie.

— Już przecie czas, żebyś z urwisami wałęsać się poprzestał a począł żyć z tymi, do których jesteś wychowany. Pan Bóg ci dał dosyć, aż nadto talentów i sprytu, tylko rozumu brak.

— No, to trudno! westchnął Zygmuś; rozum może przyjść. Powiadają że chodzi i nawiedza na starość ludzi. Może być i u mnie z wizytą. Ale, proszę papy,

z kimże to ja mam żyć? Z Żydami w Lublinie nie mogę, bo świninę lubię; z urzędnikami nie śmiem. bo się ich boję; szlachta się mnie lęka...

— Ja dobiorę ci towarzystwo, tylko o to idzie, ażebyś się znaleźć umiał.

— Byle nie nudne, znajdę się co się zowie.

— Proszę cię, mówmy seryo.

Tu zatrzymał się nieco Garbowski i dodał:

— Jeśli będziesz statkował. możesz po mnie kiedyś wziąć piękny majątek; niejeden całą gębą pan będzie ci go zazdrościł. Jesteś szlachcic, po francuzku mówisz. możesz przecie bywać w najpierwszych salonach.

— A mogę, odezwał się Zygmuś — i cóż potem?

— Możesz się przyzwoicie ożenić.

— Ja? ożenić? zrywając się z siedzenia. podchwycił Zygmunt, chyba tatko żartuje! Ja? ożenić się? A. bardzo dziękuję, świata sobie zawiązywać nie myślę.

— Gadajże z nim! mruknął Garbowski — no! gadajże z nim!

— Zawsze proponować tatko może, ja słucham.

— Ja cię przecie jutro ożenić nie myślę, ale chcę żebyś raz między innych ludzi wszedł.

— Wnosząc z tych. z którymi ojciec dobrodziej żyje, rzekł Zygmunt, czybyśmy mieli oddać wizytę pani Zelmanowiczowej na Winiarach? czy państwu Ickostwu.

— No — pleć, pleć! co tu już gębę psuć z tobą?

— Tatku — ja jeszcze nic nie wiem; umieram z niecierpliwości. ażebyś mi odkrył tajemnicę. w jaki dom zechcesz mnie dla dusznego zbawienia wprowadzić.

Wzdychał nieszczęśliwy Garbowski. nasmarował sobie po raz ostatni na chleb, zjadł i zapił.

— Co z tobą gadać? odezwał się, nigdy niczego nie chcesz słuchać. Chciałem cię wziąć z sobą do wielkiego. pańskiego, do najpierwszego można powiedzieć, domu w okolicy — ale, jak mi ty wstyd zrobisz.

— Dokądże? zaciekawiony spytał Zygmunt.

Korzystając z powstrzymania się syna od żartów nieznośnych, Garbowski począł:

— Mam pewien interes do Brańska, może mi wypadnie tam być, mamy tam krewnego.

— A no! już wiem, pojedziemy do tego poczciwego Gozdowskiego. Słowo daję, to mi się podoba, będę udawał świętoszka, tylko jedźmy! Raz w życiu zdaleka ujrzałem księżniczkę Stellę — bóstwo piękności i pannę Antoninę — jagódkę różową. A! ojcze! uszczęśliwisz mnie.

— Ale ty mnie możesz zgubić, zrobiwszy tam jaką niedorzeczność.

— Za kogóż mnie tatko masz? Dobrze w Lublinie z temi urwipołciami dokazywać, to znowu co innego, ale w Brańsku ani mnie poznacie. Daję słowo, odegram swoję rolę statysty — jakbym nigdy w życiu butelek nie tłukł i kociej muzyki nie sprawiał. Na to daję — szlacheckie słowo! Lecz ojciec kochany jest nadto rozsądnym i bystro rzeczy obejmującym człowiekiem. aby tego nie pojął że ja, jak stoję, nie mogę pojechać do Brańska. Potrzebuję wyekwipować się od stóp do głowy, jako dziedzic milionowej fortuny. Wyekwipować się tak, by fortunie ojca a smakowi własnemu wstydu nie uczynić, można tylko w Warszawie; najkrótszy znowu pobyt w takiem mieście pełnem pokus, którym młodość, opierając się nawet, czasem przez krewkość uledz musi, — pobyt taki, powiadam, wymaga funduszów. Wymaga je i co się zowie porządne wyekwipowanie, słowem ciągnie to za sobą wydatki, które w tej chwili nawet obliczyć trudno.

Z załamanemi rękami stojąc, milczał ojciec.

— Ja to wiem. odezwał się, pojedziesz do Warszawy, kupisz słoik pomady i stracisz parę tysięcy.

— A! gdzież parę tysięcy! jeśli tatko na złote rachuje — nie można niżej rachować jak pięć razy tyle.

— Dajże ty mi pokój. Nie pojedziemy do Brańska!

— Możemy wejść w pewien kompromis, odezwał się Zygmunt; mówmy poważnie. Ja zwykle gdy słowo dam, dotrzymuję, ceny przedmiotów znam, wnoszę

więc aby spisać regestr, zliczyć, a po powrocie moim odebrać je wedle inwentarza.

Ojciec i syn ucierali się tak jeszcze z godzinę. nie mogąc z sobą trafić do końca; wreszcie stanęła ugoda i Garbowski dał tysiąc rubli, wziąwszy słowo uczciwe że zostaną użyte na wyekwipowanie. Miał pewną rękojmię w tem, że Zygmuś sam niepomiernie pragnął być w Brańsku, a czuł że tam porządnie musi wystąpić. Na smaku mu nie zbywało. Dla zabezpieczenia się zaś, żeby go Warszawa nie obałamuciła. ojciec miał mu dodać ze swej ręki rodzaj dozorcy. Był nim faktor Żydek, człowiek uczciwy i stateczny, z którego Zygmuś nielitościwie żartował, lecz jego oporu i nudziarstwa zwyciężyć nigdy nie mógł. Ile razy mu go dodał ojciec, chodził za nim krok w krok i choć się straszliwie zmęczył, nie dopuścił ani burdy, ani szaleństwa.

Na tem stanęło. Zygmuś kazał zebrać śniadanie i konie zaprzęgać: wzdychając, ojciec pieniądze wyliczył i rozstali się w ganku w daleko lepszej zgodzie i porozumieniu niż przywitali zrana.

— Za sześć dni, byle Chabou z sukniami pośpieszył. jestem z powrotem! zawołał z bryczki Zygmuś, ojciec mnie nie pozna — daję słowo — taki będę rozumny — ale potem...

Garbowski stał długo i patrzył za odjeżdżającym. Zamyślił się — „Pan Bóg raczy wiedzieć co z tego jeszcze będzie, ale to pewno, że już jak ja kozłowych butów nie włoży i wołami handlować nie pójdzie. Taka kolej rzeczy ludzkich. Ale kochana bestyjka!" Westchnął stary i poszedł do rachunków.

W pałacu brańskim, chociaż na pozór nic się nie zmieniło od ostatnich wypadków — rzeczywiście czuć było jakąś wewnętrzną wielką a bolesną zmianę, jakiś przełom w życiu tej rodziny. Powiało na nią groźbą... cisza po niej wróciła znowu, ale obłok z którego grzmiało, stał nad głowami. Dawny ten uroczysty spokój, co trwa długie lata, ta wiara w niezmienny byt rodziny — zachwiane, nie wróciły. Po wszystkich twarzach znać było tajoną trwogę. Łudzili się, mówiąc z sobą, pocieszali wzajemnie, wyzywali nadzieje, chcieli znaleźć otuchę — a nie mogli. Każdy z głową spuszczoną wracał do swojego kątka i wzdychał nad przyszłością.

Najmniej wstrząśnienie to uczuć się dało staremu szambelanowi, który zadługo żył w tej atmosferze pogody, ażeby w trwanie innej uwierzył. Przechodzącą chmurkę rozumiał; katastrofy przypuścić nie mógł. Dla niego wielkość rodziny, jej posłannictwo były rzeczami Opatrzności, o które Ona sama powinna się była troszczyć, a nie wątpił, że sobie radę dać potrafi. Wedle starego świata porządku. uważając się za konieczną część jego budowy, nie lękał się o losy związane z losami społeczeństwa i świata. Zwolna w umyśle jego jaśniejsze znowu poczęły się rodzić myśli, znajdował środki łatwe do naprawienia złego, jeśli jakie było, i nie chciał się nawet zbytnio rozpytywać, ażeby nadaremnie przemijającą rzeczą nie trwożyć się i nie gryźć. Biskup też, generał, Robert unikali z nim w rozmowie wszelkiej wzmianki i aluzji do interesów.

W równej prawie nieświadomości istotnego położenia była księżniczka Stella; nikt nie śmiał jej

dziewiczej wesołości zaćmić przedwczesnemi groźbami. Lecz ona więcej odgadywała, przeczuwała, domyślała się czegoś, czytała z twarzy otaczających, choć napróżno od nich domagała się prawdy. Przyjaciółka jej Antonina, która o wszystkiem wiedziała od brata, taiła to przed nią — traciła jednak humor, odbiegła ją wesołość i chodziła dziwnie zaniepokojona, składając to na chorobę.

Generał, gdy pozostał sam na sam, truł się i zamęczał próżnemi wysiłkami myśli, walczył — i marzył, najdziwniejsze obroty interesów wynajdując; z Robertem mówił o tem nieustannie, na pokojach zaś i przy ludziach udawał dawną swą wesołość i obojętność. Udawał niezgrabnie dosyć, ale nie poznawano się na tem. Biskup prędce odjechał, gdyż przerażony postanowił szukać wszelkich możliwych środków ocalenia majątku rodziny... Zdało mu się że potrafi pewne summy i legaty duchowne przenieść na te dobra i w ten sposób zabezpieczyć Brańsk od sprzedaży. Nie rachował wszakże czasu, jakiego spełnienie samych formalności wymagało.

Książę Robert od powrotu z Warszawy zmienił się nadzwyczajnie, wszyscy to widzieli; pomimo smutnych dosyć wypadków, był jakby odmłodzony i zrezygnowany — milczący, ale nie tak przybity i roztargniony jak przedtem. Gdy z Zenonem mówił, wydawał się pełnym nieuzasadnionych jakichś nadziei, chociaż na niczem stałem oprzeć ich nie mógł. Żurba z ciekawością wpatrywał się w niego, nie pojmując co na tę zmianę wpłynęło, a przypisując ją uwolnieniu od niemiłych konkurów o Alfonsynę. Jakkolwiekbądź, Robert zdał mu się teraz bliższym rzeczywistości, niż był przedtem.

Największy popłoch i trwogę widać było na twarzach dworu, rezydentów i tego co żyło w Brańsku przy książętach. Spokojnym był jeden Żurba, który najwięcej miał do stracenia — inni łamali ręce i modlili się. Ks. Serafin odprawiał nowennę i co dzień po nabożeństwie wzywał przytomnych: Na intencją osób

w niebezpieczeństwie zostających proszę o trzy Zdrowaś Marja. Wszyscy rozumieli do czego się to odnosiło i modlili się gorąco.

Gozdowski od powrotu z Lublina, nic nikomu nie zwierzywszy, okazywał taką pewność siebie i tryumfalne oblicze, że się domyślać musiano, iż jakąś niespodziankę gotował. Generał, Robert i Zenon próżno go o to badali — powiedzieć nie chciał — przebąkiwał tylko.

— Znajdą się sposoby, okaże się moje niedołęztwo.

Dla tem większego zapewnienia się, iż Garbowski przyjedzie, napisał do niego, przypominając mu dzień i oznaczając miejsce. Żurba stary zgodził się naturalnie najchętniej, ażeby zjazd odbył się u niego, dla spokojności szambelana, który nic o nim wiedzieć nie miał, lecz że szlachecki dwór jego nie obfitował w przybory dla przyjęcia liczniejszych gości, obiecano mu kucharzy, usługę i pomoc z Brańska.

Na ostatnie dni sierpnia przypadał termin zjazdu, wyczekiwanego z niecierpliwością. Gozdowski w wigilią już zajął kwaterę w oficynce u pana Zenona, który mu miał być radą i pomocą. Obrachowawszy wierzycieli, spodziewali się najmniej pięciu lub sześciu osób, a oprócz tego Gozdowski liczył Garbowskiego z synem.

Nadszedł nareszcie ów dzień ostatni... Generał i ks. Robert przybyć mieli dopiero wieczorem. Panna Antonina, znalazłszy jakiś pozór ku temu, uwolniła się na kilka dni, aby ojcu pomódz i zarządzić przyjęciem. Wszystko było w gotowości i obiad spóźniony odbył się w kółku domowem: nikt nie przybył. Dopiero wieczorem dała się słyszeć trąbka pocztowa, ukazał się mały powozik i w ganku wysiadło dwóch ichmościów, na których przyjęcie pan Gozdowski we fraku, wystrojony i z wielką powagą, pośpieszył. Jednym z tych panów był znany nam już mecenas Hartknoch, drugim, grającym skromną rolę jego pomocnika (zarekomendowano go tak, iż nikt nazwiska pochwycić nie mógł) — znany nam także Zembrzyński, lecz na war-

szawski sposób przebrany i wyglądający na podstarzałego kancelarzystę, który nigdy wyżej nad przepisywacza cudzych pomysłów wydźwignąć się nie mógł. Chciał też tu tylko grać tę rolę. Nie życzył sobie występować tu ze swem nazwiskiem, ażeby przypomnień zawcześnie nie wywołać i nie zdradzić się, a wymógł na mecenasie, chcąc go sam dopilnować, żeby w tym charakterze zabrał go z sobą.

Wszedłszy do saloniku, gdzie miano zaraz podawać herbatę, mecenas zaprezentował się pannie Antoninie i zajął miejsce przy kanapie, Zembrzyński zaś zajął bardzo pokornie miejsce w kątku, niedaleko drzwi, sam oceniając się niby iż wyżej sięgać nie miał prawa. Po pierwszych przywitaniach, Gozdowski wyraził mecenasowi ubolewanie, iż dotąd nikogo z Warszawy, oprócz niego, nie było, i że inni wierzyciele tak się z przybyciem opóźniali.

Mecenas odprowadził go na bok.

— Muszę pana dobrodzieja objaśnić, rzekł — iż wątpię aby oprócz mnie kto przyjechał, gdyż — o ile wiem, mam upoważnienie do traktowania — od wszystkich wierzycieli.

— Od wszystkich? zawołał zdumiony Gozdowski, który nieco na divide et impera rachował — od wszystkich?

— Tak jest — zdaje mi się że od wszystkich.

Popsuło to już humor plenipotentowi; z niecierpliwością wyglądał teraz kuzyna, lecz Garbowski się opóźniał. Podano herbatę; towarzystwo, nie przystępując do interesów, które odłożono na jutro, zabawiało się rozmową. Zembrzyński siedział milczący w kątku. Nikt na niego uwagi nie zwracał.

Przyjazd generała i Roberta ożywił nieco zgromadzenie. Rozmowa ciągnęła się do późna, nastąpiła wieczerza, którą panna Antonina poszczycić się mogła... humory powoli rozjaśniać się zaczęły. Dopiero przy pożegnaniu, gdy goście szli na spoczynek, umówiono się nazajutrz przystąpić do traktowania.

Zembrzyńskiemu dano łóżeczko i pościółkę w izdebce przylegającej do pokoju mecenasa, generał z Robertem odjechali do Brańska na noc, obiecując przybyć zrana.

Już byli wszyscy powstawali i obnoszono kawę i herbatę, gdy w uliczce wiodącej do folwarku, skromnemi otoczonej płotami z chróstu, dała się słyszeć trąbka i klaskanie z bata. Zdala widać było karetkę podróżną i lokaja na koźle siedzącego, jak dobrze wymusztrowany możnego domu sługa siedzieć powinien, z rękami na piersiach założonemi, z postawą poważną i dumną. Za zbliżeniem się powozu, z wielkiem zdumieniem stojących w dziedzińcu ludzi, okazało się, że ten na koźle wyprostowany jegomość był błyszczącо-czarnym murzynkiem. Ale któżby karetą z murzynkiem miał przybywać? Gozdowski, oczekujący w ganku, pojąć tego nie mógł. Dopiero zajrzawszy w okno powozu, poznał w nim Garbowskiego z synem. Osłupiał! Garbowski w karecie i z murzynem! Było to dzieło pana Zygmunta, który ojcu wmówić potrafił, iż inaczej przyzwoicie na żaden sposób przybyć tu nie mogli.

Murzyn zażądał pokojów gościnnych. Tymczasem Gozdowski witał brata i szepcząc mu coś na ucho, prowadził go. Za nimi szedł, wedle wymagań najwykwintniejszej mody po podróżnemu ubrany, piękny pan Zygmunt ze swobodą człowieka, który wszędzie znaleźć się potrafi, którego nic nie kłopocze i nie dziwi. Zygmunt, raz przyrzekłszy ojcu, iż się dobrze znajdować będzie, nie czyniąc mu wstydu, w istocie przybrał postawę tak przyzwoitą, tak skromną zarazem, iżby się w nim nikt tego szaławiły lubelskiego nie domyślił.

Garbowski stary, znać też za radą Zygmusia przebrał się skromnie, lecz bardzo starannie i wyglądał na innego człowieka. Był tylko zmieszany, jakby nieswój wśród ludzi obcych, a niemało go też i suknie, i powóz, i syn, którego się niezmiernie obawiał, onieśmielały. Rzucał coraz okiem na Zygmusia, jakby

go błagał o dotrzymanie słowa, na co syn wcale się nie zdawał uważać.

Murzyn, kareta i młody człowiek piękny, zrobiły we dworze wrażenie wielkie, a że nie wiedziano, kto byli ci panowie — domyślano się w nich jednego z głównych wierzycieli. Przez okno mieszkania mecenasa Zembrzyński dostrzegł i poznał Garbowskiego i uśmiechnął się złośliwie. Gozdowski śpieszył naprzód tych gości umieścić, bo pragnął się na osobności z bratem rozmówić.

Zygmuntowi nawet w tym celu dano pokój osobny, do którego on wszedł zaraz, murzyna prowadząc za sobą.

— Kochany Garbowski — rzekł pospiesznie plenipotent, niech ci Bóg płaci, żeś mi słowa dotrzymał. Spodziewam się, żeś się namyślił i że mi skuteczną podasz rękę. Jest to tem potrzebniejszem, iż rachowałem nieco na korzyść jakąbym był odniósł, traktując osobno z każdym z wierzycieli, a tu mi figla spłatano i od wszystkich plenipotencje są w jednym ręku... to mi psuje moje plany. Masz na wypadek pieniądze.

— Pogadamy, pogadamy... wszystko się znajdzie; ale widzisz, pod pewnemi warunkami.

— Jakież są twoje warunki?...

— Ale łagodne... łagodne...

— Naprzykład?...

— Będzie czas, pogadamy... będzie czas, rzekł tajemniczo, potem... potem...

Nie było sposobu nalegać. Z drugiej strony ten Garbowski, o którym i o jego roli nikomu naprzód nie wspominał Gozdowski, teraz mu jakoś przybywał niezręcznie. Pobiegł więc najprzód tajemnicę swą zwierzyć generałowi, Robertowi i Zenonowi.

— Ponieważ mojemu kuzynowi bardzo szło o to, aby syna w lepsze towarzystwo wprowadzić, a musiałem go czemś ująć, więc zaprosiłem i syna.

Generał i ks. Robert nie powiedzieli nic; środek wynaleziony przez Gozdowskiego podobał się, szczególniej kawalerowi maltańskiemu, który za to plenipotenta wyściskał, a cicho spytał:

— Ale szlachta?

— Ojciec trochę hreczkosiej zardzewiały, ale jak skoro mój cioteczny nie może nie być starym szlachcicem.

Na tem się badanie skończyło i postanowiono, ponieważ mecenas naglił, aby do interesów przystępować — rozpocząć z nim traktowanie, Garbowskich zaś wprowadzić do salonu, gdzie Żurba i panna Antonina przyjmować ich mieli.

O godzinie naznaczonej Hartknoch z niosącym za nim papiery Zembrzyńskim wpadł do pokoju, w którym krzesła, dokoła stolika ustawione, oznajmywały, że tu miały się narady odbywać. Zajęli miejsca nieco opodal generał i ks. Robert, bliżej Zenon i Gozdowski, Hartknoch i jego pomocnik.

Wzrok tego pomocnika chodził nieustannie do oczów mecenasa, i mogło się zdawać niewtajemniczonym, że tak pilno dowiadywał się o jego wolę, gotów na rozkazy, a w istocie strzegł ócz p. Hartknocha i dyktował mu własną.

Zenon zagaił posiedzenie zręcznemi kilku słowami, oczekiwano, co pocznie mecenas.

— Moi mocodawcy, odezwał się krótko Hartknoch, przysłali mnie tu, nie chcąc się uchylać od układów, lecz zawczasu, dla uniknięcia nieporozumienia, zastrzedz muszę, iż o innych układach mowy być nie może, tylko o rozłożeniu wypłat na pewne terminy z warunkiem, że pierwszy musi przypaść niezwłocznie.

— I my też inaczej nie rozumiemy układów, odezwał się generał z boku, o ustępstwa nie prosimy... o ułatwienia tylko. Czasy są ciężkie, brak kredytu i gotówki...

— W razie gdybyśmy się ugodzić nie mogli, z przykrością wyznać muszę, dodał mecenas, że do subhastacji okoliczności nas prowadzą. Nie opieramy się wszakże sami nabyciu dóbr, lub odebraniu niemi wierzytelności, wedle zobopólnie umówionego szacunku.

— Na miłość Boga! zawołał generał — gdybyśmy się dóbr pozbywać chcieli, nie żądalibyśmy układów.

Rozmowa toczyła się tak ostrożnie i grzecznie, zaczepiając coraz głębiej o główny przedmiot. Gozdowski niecierpliwy żądał warunków... Na to Hartknoch odpowiedział z równym słów doborem, że wierzyciele żądają nieodmiennie natychmiastowej wypłaty połowy, a drugą gotowi są rozłożyć na dwa lata.

Nastąpiło głuche, przeciągłe milczenie. Zembrzyński ostro spojrzał w oczy mecenasowi i spuścił wzrok na papiery, wszyscy spoglądali po sobie. Gozdowski odezwał się wreszcie z zapytaniem, czy to ostatecznem jest; odebrał odpowiedź, iż mecenas na włos z tego ustąpić nie może i prosi o namysł do jutra rana. Hartknoch zawahał się nieco i przystał, zastrzegając sobie, iż czas ma bardzo ograniczony i że nad jutrzejszy dzień, w żadnym razie dłużej zabawić nie może.

Dwadzieścia cztery godziny zostawało do ułożenia się z panem Garbowskim... Pośpieszył plenipotent do salonu... Tu zastał starego na rozmowie z Żurbą, a Zygmunta wystrojonego z angielska, z wielką prostotą wiodącego ożywioną gawędkę z panną Antoniną, mięszaniną wszystkich europejskich języków, co jest, jak wiadomo, największym szykiem.

Zygmunt może miał tę wadę, iż był zapoważny, widocznie trzymał się na pasku, pilnował — czyniło go to trochę nienaturalnym. Ze stroju i miny podobnym był do Anglika — Gozdowski nie mógł się zmianie wydziwić, niemniej ojciec, który teraz oddychał swobodniej. Gdy książę Robert i generał nadeszli, a młodzieniec się im zaprezentował, uczynił też na nich jak najlepsze wrażenie. Mówił dowcipnie, łatwo, tonem najwykwintniejszego towarzystwa, fizyognomię miał sympatyczną, w dodatku wesołość, która młodości wielki urok nadaje. Osądzono go zaraz, zgodnie ze zdaniem panny Antoniny, jako młodzieńca très comme il faut. Ojciec, którego jedno ucho ciągle skierowane było w stronę syna, nie wiele go rozumiał, ale słuchał z uwielbieniem.

— To diabeł nie człowiek! powtarzał sobie w duchu, — to diabeł nie człowiek!

Gozdowskiemu, nie tracąc czasu, chciało się wyprowadzić zaraz kuzyna na osobność i dobić z nim interes, lecz stary jakoś się zręcznie opierał. Na poobiedzie książę Robert zaprosił wszystkich gości do Brańska, ojca uprzedziwszy wprzódy, iż będzie kilka osób z interesami, ażeby nie wychodził lepiej; szambelan zgodził się na to bardzo chętnie.

Ze szczególną atencyą był od pierwszej chwili pan Zygmunt dla grającej rolę pani domu. Antoniny, nie było w tem jednakże najmniejszego cienia zalotności. Mówiono o rzeczach obojętnych, o muzyce, o teatrze, nowościach literackich i t. p.

W rozmowie Zygmunt wspomniał, iż pannę Antoninę i ks. Stellę raz już zdala miał szczęście oglądać i że to pobudziło go do korzystania z podróży ojca, aby mógł bliżej to urocze zjawisko oglądać. Unosił się szczególniej (nie ujmując pannie Antoninie) nad idealną pięknością księżniczki i wrażeniem, jakie ona na nim zrobiła. Mówił to naturalnie, lecz z takim ogniem i siłą, że panna Antonina uśmiechnąć się musiała, obiecując sobie nacieszyć się z księżniczką. Bardzo zręcznie tłumaczył się czcią gwiazd i słońca, którym i najnędzniejsze istoty składały ofiary i pokłony. Śmiano się trochę, i na tem się skończyło.

Gozdowski niecierpliwy, przed obiadem jeszcze pochwycił kuzyna na stronę i wyprowadził do osobnego pokoju.

— Mówże, rzekł, jakie są twoje warunki? Oni chcą od nas teraz połowy długów, a resztę rozkładają na lat dwa.

— Hm — Odezwał się Garbowski, spuszczając oczy — hm! ja wam powiem, ja się dobrze namyśliłem — te roboty was do niczego nie prowadzą, to umarłemu kadzidło. Wodę warzyć, woda będzie. Naj-

lepiejbyście zrobili, żebyście od razu dobra sprzedali— zawsze się na tem skończy.

Gozdowski aż odskoczył.

— Co się tobie marzy? właśnie my tego chcemy uniknąć.

— A jak? spytał Garbowski.

— Książę się ożeni.

— Książę się nie ożeni. szepnął stary do ucha krewnemu — najprzód że żadna za niego nie pójdzie, bo wszyscy wiedzą że ma romans do dziś dnia z tą hrabiną Natalią; potem...

A ty zkąd o tem wiesz?

— Cały świat o tem wie i dlatego to fałszywa rachuba.

— Książę się poświęci.

— Ale któryż ojciec poświęci dziecko dla tytułu na takie życie, jakiego się przyszła księżna spodziewać może.

Gozdowski osłupiał, w oczach mu się zrobiło ciemno

— Cóż ci w to wchodzić? rzekł — daj pieniędzy. Jeśli ci ich nie zapłacimy, wówczas weźmiesz dobra.

— Zapewne — odbąknął stary — zapewne — ale po co to wszystko? Jabym miał taki projekt, że, powiem ci, byłby i wilk syty, i koza cała.

— Jakiż to projekt? spytał zdumiony Gozdowski.

— Bardzo śliczny projekt, ale trochę śmiały, trochę śmiały, mówił Garbowski; mógłbym ci z niego się zwierzyć, żebym był pewny, że ty się gniewać nie będziesz.

— Dlaczegóżbym się miał gniewać za twoją życzliwość?

— Bo to, widzisz, są przesądy na świecie, są, a tymczasem po ludzku gdy się od kogoś żąda czego, trzebaż za to co dać.

— Naprzykład?

Stary wolarz poprawił się na krześle.

— Będzie na to czas, pogadamy, niechaj-no...

— Kochany bracie, mylisz się, czasu nie mamy, jutro o dziesiątej wszystko się skończy. Jakikolwiek masz projekt, będę go musiał poddać pod decyzyą książąt, niema więc chwili do straconia.

— Myślisz, że niema chwili do stracenia? Cóż tu robić? Wiesz co — tylko się nie gniewaj, ja ci powiem. Mam ten doskonały projekt, żeby Zygmusia ożenić z księżniczką Stellą; on się już nawet w niej kocha.

Nie chcąc wierzyć swym uszom, plenipotent otworzył usta, wstał i spytał:

— Co?

Garbowski pomaluteńku powtórzył mu cicho.

— Ożenić Zygmusia z księżniczką.

— Ale ty chyba zwaryowałeś! krzyknął w gniewie Gozdowski — tobie się w głowie przewróciło! Jego z nią? cóż ty sobie myślisz?

— Co ja myślę? Chłopiec młody, ładny, bogaty, szlachcic — wisusowaty, ale toby się utemperowało; cóż tak strasznego?

Gozdowski ręką o rękę uderzył.

— Waryat! zawołał — niema co z tobą mówić — waryat jesteś!

— A no, to dajmyż pokój — cicho — sza, i chodźmy do pokoju.

W plenipotenta jakby piorun uderzył. Wszystkiego się mógł po Garbowskim spodziewać, ale tego rodzaju pomysłu — nigdy. Wychowany w czci bałwochwalczej prawie dla domu i rodu książęcego, nie pojmował, jak człowiek tego rodzaju, co Garbowski mógł się dopuścić zbrodni i obrazy majestatu książąt Brańskich. Stał jak posąg, jak kamień, nie wiedząc nawet co począć, co mówić, a wyrzucając sobie, że takiego człowieka mógł tu wprowadzić. Lękał się pomyśleć, że on mógł z tą myślą wynurzyć się komuś, że Zygmunt mógł dać poznać po sobie dziwaczne urojenie swoje. Rad był się pozbyć ich jednej chwili, zapominając prawie o interesach i położeniu niebezpiecznem.

Co tu było począć? Pojmował prędzej już sprzę-

daż dóbr, ruinę, wszystko, niż przypuszczenie tak potwornego związku.

— Słuchaj, rzekł do Garbowskiego, chwytając go nagle za piersi — jeśli ty mi z tą głupią myślą przed kim się jeszcze wyrwiesz... jak mi Bóg miły do bonifratrów cię wsadzę.

Garbowski się rozśmiał, ruszył ramionami i nieulękniony dodał:

— Daj ty mi pokój — at się sobie gadało — jak nie, to nie, i po wszystkiem, ale ja pieniędzy nie dam. Albo parę folwarków kupię, albo syna ożeniwszy, oczyszczę im dobra, to co innego; ale tak znowu zmagać się dla nich. kiedym już nic nie wart, nie będę.

— Gdybym był wiedział, że ci się tak w głowie przewróci, tobym cię tu nie wzywał, gniewnie począł Gozdowski — toś mi się pięknie przysłużył!

— Niema nic! nic się nie stało! Proponować można, w targu gniewu niema; dajmy pokój. książęta nas zaprosili na herbatę: pojedziemy, boć tę atencją im oddać należy. a Zygmusiowi szepnę, że nie, i wprost ztamtąd do domu. Chłopcu będzie strasznie żal, bo formalnie w niej zakochany.

— Gdzież on ją u licha mógł widzieć? rozpaczliwie odezwał się plenipotent.

— W kościele, roześmiał się Garbowski — ja mu to z głowy wybiję — dodał spokojnie; ale że też ty, panie bracie, takie fochy stroisz. jakbyś swoję własną krew tak licho cenił. Co tak strasznego?

I ruszał ramionami. Gozdowski patrzył i powtarzał tylko:

— Zwarjował! dalipan zwarjował!

Chciał jeszcze cóś mówić z Garbowskim i odjąć mu odwagę popisywania się z pomysłem niedorzecznym, gdy ten wysunął mu się, z najzimniejszą krwią krocząc do salonu.

Tu właśnie zaproszony do fortepianu pan Zygmunt popisywał się na nim z taką szaloną werwą i pewnością siebie, że na wszystkich słuchaczach potężne wywarł wrażenie. Grał bardzo dobrze i wprawnie, trochę stukliwie, a nadto ogniście, z wielkiem brio, ale miał siłę, ogień ogromny i lisztowskim sposobem pokonywał najtrudniejsze rzeczy. Panna Antonina i ks. Robert przyklaskiwali marszowi węgierskiemu; nieproszony już, Zygmunt zaczynał mazurka Liszta.

Gozdowski, wszedłszy ze starym, spojrzał na popisującego się z ukosa z gniewem i trwogą — wyznać jednak musiał sam przed sobą, że ów szaławiła wyglądał wcale dobrze, miał minę diablo paniczykowatą i piękny był — nawet przy ks. Robercie.

— Trzeba tych intruzów co najprędzej się ztąd pozbyć, a nie, to oni mi tu piwa nawarzą, a ja za nich potem pokutować będę musiał.

To powiedziawszy. zasępiony uszedł na stronę. Rozpacz go niemal ogarniała, nie wiedział jak z tego wybrnie, jak się wytłomaczy, jeśli go spytają o warunki, wyrzucał sobie, że się w to wdał, nadewszystko zaś lękał się. ażeby książęta, dowiedziawszy się jakim przypadkiem o pretensjach Garbowskiego, jemu nie przypisali myśli szalonej połączenia przez księżniczkę starożytnego domu udzielnych niegdyś książąt z rodziną panów Garbowskich i Gozdowskich.

Siedział tak ponury, a patrzył z przerażeniem na Zygmusia i jego ojca, którzy jakoś tu sobie byli tak swobodni i weseli, jak ryby w wodzie. Położenie książąt, ich własne zawikłanie interesów, oburzenie Gozdowskiego, wcale się ich nie zdawało obchodzić. Stary Garbowski, z rękami w tył założonemi, w pośrodku salonu stał tak jakoś bezpiecznie i twardo. jakby tam wrosnąć myślał.

Korzystając z odwróconej uwagi, mecenas Hartknoch dał znak panu Zembrzyńskiemu i pokornie za sobą idącego pryncypała wyciągnął w dziedziniec dla narady.

— Nie sądzisz pan, spytał, że ci Garbowscy panu szyki pomieszają? Przyjechali z pieniędzmi.

— Z pieniędzmi, tak jest, uśmiechając się rzekł Zembrzyński, ale z tego nic nie będzie — oni podają

twarde warunki, ja z Garbowskim się widziałem wprzódy i spokojny jestem o niego. Puszczaj pan ich, niech idą swoim porządkiem, i owszem, i owszem, nam oni rychlej pomogą, niż zaszkodzą; my przy swojem twardo stać będziemy, a w dodatku się naśmiejem. Cicho! sza! żeby nas tu na naradach nie widzieli!

Po chwilce zaś dodał:

— Państwo po obiedzie jedźcie do Brańska; ja tam nie mam po co, zostanę sobie w oficynie.

Jeszcze przed obiadem odjechała panna Antonina do Brańska, ażeby tam znowu dopomódz Stelli do przyjęcia gości, księżniczka bowiem przyświecała salonowi, jak gwiazda, ale do gospodarstwa wcale się jej mieszać nie dopuszczano. Stary książę pilnował surowo, żeby do zbytku temi powszedniemi sprawy domowemi się nie zajmowała, upatrując w tem niebezpieczeństwa, przez ocieranie się o służbę, odciągnięcie od wyższych zajęć i utratę oglady salonowej, do której wielką przywiązywał wagę.

Księżniczka Stella wychowała się w tych warunkach do życia salonu, do wyższego towarzystwa, jak gdyby nigdy nie miała potrzebować sama się czemś zaprzątać, bo od tego był dwór, fraucymer i służba. Nieraz to ją smuciło, gdy jej zabraniano pospolitować się przy zajęciach gospodarskich, które ją zabawić mogły — wreszcie nawykła do swych krosienek, fortepianu i książek. Dla towarzystwa miała jedną pannę Antoninę. Pomimo wieku, była dziecinną prawie, a świata znała tylko tę cząsteczkę, na którą jej patrzyć było wolno w salonie i w troskliwie dobranych książkach.

Nikt mniej nad nią przygotowanym nie był do zmiany, do nieszczęścia, do osierocenia i samoistnego władania sobą. Służyło jej wszystko na skinienie i Stella znajdowała to w końcu tak naturalnem, jakby inaczej nigdy być nie mogło.

Szczęściem była to jedna z tych dusz i temperamentów spokojnych, które życie bez troski do jakiegoś pół-snu kołysze; nie pragnęła więcej nad to, co miała — nie marzyła o niczem, prócz tego, do czego była nawykła. Uśmiechem witała ludzi — życie płynęło dla niej niezmąconym kryształem, — nie ciężyło jej to nawet, że powtarzało się z dnia na dzień z nużącą jednostajnością.

Panna Antonina, która była usposobienia i charakteru całkiem różnego, zastosowywała się do niej myślą i mową, z pewnym rodzajem paszanowania, nie chcąc odsłaniać przed jej oczyma tego, czemby przerazić się mogła — kochała ją jak dziecko, któremu się wielu rzeczy nie mówi, boby ich nie zrozumiało. Kochali też wszyscy tę idealną Stellę, która zdawała się z innego świata spadłym, brylantowym aerolitem.

— Po obiedzie będziemy mieli gości! gości! gości! zawołała Żurbianka, wpadając jeszcze w kapelusiku do księżniczki — a doprawdy ciekawych i osobliwych, nadewszystko jednego młodzieńca, niejakiego Garbowskiego, syna bardzo majętnego obywatela, którego ojciec wygląda na ekonoma, a on na królewicza. Żwawy, dowcipny, muzyk wielki, artysta, trochę podobno poeta, nadewszystko oryginał, i — (tu się roześmiała, pokazując ząbki białe.) zakochany w kimś, w kimś...

Księżniczka wielkiemi oczyma spojrzała.

— W tobie?

— Ale gdzież znowu! w księżniczce.

— Przecież mnie nie zna.

— Widział raz w kościele i naturalnie głowę stracił.

Stella się zarumieniła.

— Jest to ciche, zdala, nieśmiałe uwielbienie Parsów dla słońca, tak on sam swe uczucie określa.

— I mówi o tem tak?

— Zupełnie otwarcie — przyznał się odrazu przedemną. A jaki zabawny! jak miły! dodała Antonina— ojciec przy nim mógłby za jego arendarza uchodzić. Śliczny chłopiec, śmiały, — ale — przyzwoity.

Paplała tak urywanemi słowy panna Antonina, ściskając księżniczkę i patrząc w jej jasne, spokojne oczy.

— Pan Zygmunt i jego niepozorny ojciec, to już dwóch, za tymi idzie mecenas, któregośmy tu już mieli, ów z Warszawy, co raz był na herbacie przy księdzu biskupie. Któż jeszcze więcej? A! jakaś milcząca figura, którą zdala czuć atramentem i kancelarją. Otóż wszyscy podobno. Zenon także przyjedzie, Gozdowski wróci, ale to nie goście. Cóś tam, jakieś interesa u ojca umawiali.

Stella, mimo obojętności swej, zajęła się tym zachwalonym Zygmuntem, z którego Antonina śmiała się, ale się go odchwalić nie mogła.

— Gra jak Liszt! na pamięć całe poematy umie! u nas na wsi, to zjawisko niepospolite. Gdyby bliżej mieszkał, czasemby się bardzo przydał na zimowe wieczory, bo miałby nas czem zabawić. Ręczę, że i ks. szambelanowi by się podobał. Generał do niego przylgnął, ks. Robert nawet się, z nim mówiąc, rozchmurzył.

Słuchając o tem, księżniczka milczała z pozorną obojętnością, lecz ciekawość jej mocno była pobudzoną, Antonina pobiegła wydać rozkazy, zdawało jej się, że należało wystąpić okazale, aby obcym a jeszcze w interesach przybyłym, starą książęcego domu zamożność i przepych okazać — kazano dobyć do wieczerzy, podawanej zwykle z herbatą, zastawę staroświecką srebrną, wazy, kosze do owoców, samowary, wanienki, oświecić salony, przystroić je w kwiaty.

Antonina tak dbałą była o sławę kobiet, jakby część jej do niej należała. Wyświeżono więc stary pałac brański, a gdy Garbowscy z mecenasem weszli doń, przechodząc szereg cały sal, aż do jadalnej i bawialnej, musieli być uderzeni wspaniałością, która dziwny stanowiła kontrast ze stanem zrozpaczonym majątku i nieodzowną tego starego gniazda ruiną. Być może, iż Garbowski pomyślał sobie nawet, jakby on tu w opustoszałym gmachu się urządzał. Nie obudził jednak przepych i wystawa w żadnym z nich współczucia dla właścicieli, ani chęci ratowania ich. Mówili w duchu: — tak to się majątki tracą... Oglądali się, liczyli, oceniali, co też to kosztować mogło i za ile dziś nabytem być powinno. Gozdowski zbliżył się do zamyślonego kuzynka.

— Nie widzisz-że ty tu dopiero niedorzeczności swego projektu? Córkę tego domu chciałbyś mieć za żonę dla syna takiego dorobkiewicza, jakim ty jesteś — z motyką na słońce.

Garbowski się odwrócił, ruszając ramionami.

— A cóżby to było tak dziwnego? Trafiało się po świecie i gorzej. Mnie się przecie może większy honor należy, żem się dorobił, niż im, że takie dostatki stracili.

Nie było co z nim mówić.

Nadzwyczaj śmiało, ale z wielkiem uszanowaniem przedstawił się księżniczce p. Zygmunt Garbowski. Stella przywykła była do ludzi, którzy ją spotykali z uniżonością przesadzoną; ten zdawał się przy wielkiem uwielbieniu stawać z nią zupełnie na równi i nie okazywał najmniejszego pomieszania. Siadł, zawiązał rozmowę, śmiał się, dowcipkował, z tą śmiałością nietylko że nie obraził księżniczki, ale się jej podobał. Zdawał się ją z długiego snu przebudzać, powołując z marzeń do życia.

P. Antonina pomagała robić Stelli honory domu, a że młodzieniec bardzo był ciekawy i unosił się nad wspaniałością brańskiego pałacu, panny poszły mu pokazywać jego osobliwości, obrazy, starożytne sprzęty, widoki, ogród i t. p.

W tej małej przechadzce w której Stella była ciceronem, p. Zygmunt okazał, że nie zawsze siedział w Lublinie w warszawskim hotelu, że też po świecie bywał, widział i pamiętał wiele. Ztąd bardzo wesoła i ożywiona zawiązała się rozmowa, do której przyłączył się ks. Robert.

— W istocie, rzekł Zygmunt, piękniejszej rezydencji nie znam u nas w kraju, gdzie dotąd tak mało się starano o upiększenie siedzib wiejskich, wyjąwszy Puławy i Nieborów. Za granicą więcej tego lubownictwa... niebezpiecznego zresztą, bo ono człowieka, jak każda namiętność, ciągnie zadaleko.

— O! myśmy tu, przerwała księżniczka Stella, z łaski mojego ojca nie mieli nic do robienia, potrzeba tylko było utrzymać. On to w początku tego wieku Brańsk stary dźwignął i na tym stopniu postawił.

— Trzeba wyznać, że dał książę dowody wybornego smaku. Nie dziwię się teraz, dodał p. Zygmunt, iż nikt z mieszkańców Brańska nie ma ochoty na świat się wychylać. Tak tu miło i dobrze!

Ks. Robert mimowolnie westchnął; przyszło mu na myśl, że to stare gniazdo przyjdzie może rzucić i oddać na pastwę jakiej fabryce cukru lub warsztatom sukiennym. Żal ścisnął mu serce.

— Trzeba być w duszy artystą, aby taki krajobraz odmalować, ciągnął dalej p. Zygmunt — te stare mury na tle ciemnej zieleni; te wód zwierciadła, te ulice ciemne, a we wnętrzu gmachu przeglądające się w lustrach krajobrazy ogrodu, to cóś czarodziejskiego. A gdy, dodał grzecznie, jeszcze wśród murów i cieniów tych wystąpią dwie takie urocze postacie, jak księżniczka i wy, mości książę, i pani (rzekł, zwracając się do Antoniny), i ta jakby z grobu wskrzeszona postać księcia generała... toć najpiękniejsze dzieło sztuki nie dorówna rzeczywistości.

Stella się zarumieniła.

— O! to nic jeszcze, rzekła; gdybyś pan widział siwo-włosą postać majestatyczną, patryarchalną ojca

mojego, z jego uśmiechniętem spokoju i dobroci pełnem obliczem...

— Bardzo mi żal, że się jej pokłonić nie mogę, zawołał Zygmunt, lecz dość mi tego, co widzę, bym na zawsze pamięć dnia dzisiejszego zachował.

Zręczne te słodycze nie mogły się nie podobać— spojrzano sympatycznie na chłopaka — Stella się ożywiła. Wszyscy z podziwieniem patrzyli na rozjaśnioną jej twarzyczkę i na pełną życia rozmowę wesołą, w której Zygmuś rej wodził. Ojciec miał łzy w oczach.

— To diabeł nie chłopiec, powtarzał — ale tylko gdy chce, szalona pałka!

Gozdowski był zły widocznie i gniewny.

— Wiesz, że ten młody człowiek, co się zowie sprytny i do rzeczy, szepnął mu generał. Jak się znaleźć umie, co za aplomb! a przytem i na takcie nie zbywa.

— A tak, tak, szkoda tylko, że wisus na wielki kamień, szepnął Gozdowski.

— To się utemperuje — wrzucił ks. Hugon.

— I marnotrawca, dokończył wujaszek.

— Z czasem będzie skąpy.

— Byle nie po czasie — rzekł Gozdowski — ja go nie lubię.

Wieczór przeszedł tak najmilej, a że p. Antonina zachwaliła bardzo talent Zygmunta na fortepianie, zmuszono go grać. Siadł i nową jeszcze zagrał Berceuse Schumann'a, potem parę pieśni bez słów Mendelssohn'a, dobrawszy najrzewniejsze, aby inną stronę swojego talentu pokazać.

Potem powrócił do księżniczki Stelli, rozpoczął coś o kwiatach, które wiedział, że lubiła, zabawił generała opowiadaniem o swej bytności na wyspie Malcie, zajął ks. Roberta dowcipnemi ucinkami z towarzystwa warszawskiego — podobał się wszystkim. Gdy wreszcie pora przyszła odjeżdżać, żałowano powszechnie, że go zatrzymać nie było można, bo Garbowski oświadczył, iż odjeżdża jutro — ks. Robert prosił go, by o Brańsku nie zapomniał. W ogóle wie-

czór upłynął, jak wśród najszczęśliwszych i najswobodniejszych czasów.

Na wychodnem, gdy już do powozów siadać mieli, Gozdowski zaprosił Garbowskich do siebie. Chciał się ze starym rozmówić ostatecznie. Zgodził się na to wolarz. Wysiedli przed dworkiem plenipotenta.

— Napijemy się u mnie ponczu, rzekł, kryjąc swe nieukontentowanie, Gozdowski — a potem wrócicie do Żurbów.

— I na to zgoda! odezwał się Zygmuś — tu przynajmniej u kochanego stryjaszka — gębę wolno puścić mogę, bo mnie aż boli od sznurowania. A!

Plenipotent zbliżył się do ucha kuzyna.

— No cóż ty teraz? nie żałże ci będzie tego domu? nie pięknieżby to było dla ciebie przyjść rodzinie na ratunek?

Wolarz kiwał głową.

— Wujaszku kochany — ozwał się Zygmunt, jeśli są sekrety jakie, chyba mnie precz odprawicie ztąd, inaczej odgadnę. O co to idzie? może ja się też na co przydam? ja jestem à toute sauce.

— Potrzebują pieniędzy książęta, odezwał się ojciec.

— I do tatka się z tem udali, westchnął syn. O mój Boże! nie spytawszy mnie, który wiem najlepiej, jak u tatka kieszeń ciasna. Jest to skarbona, w którą zawsze wrzucić coś można, ale nigdy z niej dobyć.

— Mów-że, panie Zygmuncie, za nami! wrzucił Gozdowski.

— Za wami, a przeciwko sobie? nie mogę — odparł Zygmunt.

— Ja im propozycją uczyniłem, pociągając ponczyk i zadowolony z syna, zwracając się do niego, odezwał się wolarz — hę? niech ci księżniczkę wyswatają, a pieniędzy dam? A co?

I począł się okrutnie śmiać.

— Daj-no pokój tym żartom! surowo odparł Gozdowski.

Zygmunt zmierzył go oczyma.

— Przyznam się wujaszkowi — dodał, że ojca myśl nader praktyczna i szczęśliwa. Ja jej przyklaskuję. Lecz ojciec, jak ja, musi to wiedzieć, że gdy uratuję książąt, najmniejszej dla mnie nie będzie nadziei; przeciwnie, gdy zubożeją, kto wie?

— Nigdy w świecie! obaście warjaty! Co z wami mówić? — obruszył się Gozdowski — dosyć!

— Zygmuś nie głupi! o! nie głupi! wtrącił ojciec, a no dosyć — ja jutro jadę.

Plenipotent począł chodzić po pokoju.

— Bracie — rzekł, namyśl się, uczyń coś dla tego szanownego domu bezinteresownie — uratuj ich! Zyskasz sobie najczcigodniejszych ludzi.

— Zyskasz ludzi, a stracisz pieniądze! zły handel! odparł Garbowski — to do niczego. Ludzi ja zawsze znajdę, gdy zechcę, a pieniędzy trudno.

Gozdowski próżno się na argumenty wysilał, napróżno chciał Zygmunta w pomoc pozyskać; chłopak zbywał go żartami, a ojciec twardą odmową.

— Wysokie progi na moje nogi. Zobaczymy, gdy się zniżą, to i Zygmusiowi przystęp będzie łatwiejszy. Dziewczyna (o zgrozo! tak zwał księżniczkę) podobała mi się, mógłbym mieć ładną synowę.

Obu ich z tej myśli szalonej wywieść nie było podobna; naostatek Zygmunt, poncz wypiwszy, wstał i zakończył:

— Jedźmy tatku, nie mamy tu co robić, trzeba czekać lepszych czasów.

Gozdowski wstrzymał starego w progu.

— Na miłość Boską cię zaklinam, daj pieniędzy! Nie stracisz ich, ręczę ci! Wybij sobie z głowy projekty niedorzeczne, a zrób poprostu spekulację. Poczekasz, to ci się może część dóbr dostać w najgorszym razie.

— Nie mogę, nie mogę — odparł Garbowski — to darmo. Jechałem tylko dlatego, żeby coś dla Zygmusia zrobić i starać się jego uratować, bo inaczej chłopiec mi się zmarnuje. Jak nie można, szukać będę gdzieindziej. Dobranoc.

Gozdowski żegnał się, stał i sam wreszcie w ganku — gdy odjeżdżali — zawołał:

— Niech was wszyscy diabli porwą! Syn godzien ojca, a ojciec syna! Warjaty!

Nazajutrz rano z mecenasem ostatecznie rozmówić się było potrzeba. Ks. Robert już nie przybył, nadjechał tylko generał. Nim do rozmowy przyszło, kareta Garbowskich zaszła, murzyn popakował ich tłomoki, wybierali się odjeżdżać. Gozdowski zachodził około nich jeszcze...

— Cóż wam w głowie świta? zawołał — czyż myślicie, że księżniczkę wam sprzedadzą? Wszakże gdyby nawet Zygmunt był jej równym, musiałby się starać, a niewiadomo czyby go przyjęła.

— To jego rzecz — rzekł stary, niech nam uroczyste słowo dadzą, że starać się pozwalają, że jeśli ona zechce, żenić się nie zabronią, pieniądze kładę na stół!

— Ale ja im tego powiedzieć nawet nie mogę — krzyknął Gozdowski — w oczyby mi napluli. Oniby jeszcze może udzielnemu księciu robili trudności.

— Udzielnemu księciu, to co innego, przerwał Zygmunt, udzielni książęta często teraz bywają wypraszani ze swych udziałów, a taki majętny szlachcic, jak tatko, pewien jest swojej kieszeni.

Na tem się skończyło, pożegnali się Garbowscy i pojechali.

— Powiedz-że ty mnie, spytał, podchodząc generał — i nic z nimi nie zrobiłeś? czemu?

— Czemu? bo obydwa warjaty, zawołał plenipotent; niech się mnie pan generał o więcej nie pyta. Innej rady trzeba szukać.

Nachmurzony ks. Hugon, nie dopytując w istocie, zamilkł.

— Z mecenasem już inaczej nie możemy traktować, rzekł Gozdowski, tylko na tej podstawie, że część dóbr musimy na lat trzy dać zastawą.

Tak się w istocie stało, wniesiono projekt nowy. Mecenas spojrzał na Zembrzyńskiego, który nieznacznie dał znak głową, że przystaje. Dlaczego to uczynił, zrozumieć mecenasowi było trudno; znał jego wewnętrzne usposobienie, więc tego rodzaju powolności nie rozumiał. Zawarowano natychmiastowe objęcie dóbr i przejście ich na dziedzictwo, jeśliby summa wypłaconą nie była. Lecz gdy przyszło do otaksowania, okazało się, że oprócz miasteczka Brańska i folwarku, który trzymał Żurba, wszystko z rąk wypuścić było potrzeba.

Kilka godzin przesiedziano nad papierami i nie zrobiono nic. Brańscy cenili dobra wysoko, mecenas nizko; sprzeczano się, pisano, rachowano, wieczór nadszedł i nie było nadziei układów. Z wielkiemi prośby dał się mecenas nakłonić i pozostał nazajutrz do rana — generał i Gozdowski pojechali znowu do Brańska.

Dwadzieścia cztery godzin upłynęło od tego utrapionego wieczora, gdy generał wyjechał z głową rozbitą, z myślami powikłanemi, zrozpaczony niemal, chory w istocie, przekonawszy się, że wszelkie starania ocalenia majątków będą nadaremne. Jechał tak

w myślach zatopiony, że gdy powóz stanął, musiano mu przypomnieć, aby wysiadł — nie wiedział, co się z nim działo.

Wprost udał się potem do Roberta; smutnie przemówili do siebie słów kilka. Młody książę z góry był pewien, że ratunek jest niemożliwy, nie chciał się jednak sprzeciwiać; wysłano na całą noc (rozstawne konie dla pośpiechu, umieszczając po drodze) do księdza biskupa. Generał łudził się tą nadzieją, że biskup potrafi summy duchowne, o które się starał na dobra, w porę jeszcze dostarczyć.

Nazajutrz wrócił posłaniec, przynosząc kartkę niewyraźnie nakreśloną. Ks. sufragan był chory, pisał, że prędzej jak w pół roku nic mu zrobić nie podobna.

Rano ruszył znowu ks. Hugon z prośbą i naleganiem o folgę półroczną. Mecenas był nieubłagany, zastawa stawała się równie straszną, jak sprzedaż, a groźniejszą tem, że nie dopuszczała licytacji i cenę dóbr oznaczała bardzo nizką. Układy więc spełzły na niczem, a mecenas zabierał się do podróży, ze swym towarzyszem nieodstępnym.

Na wyjezdnem jeszcze przemówił do niego generał gorąco ze łzami w oczach, poruszony, i spotkał zimną, grzeczną, ale bardzo stanowczą odmowę. Dobra więc musiały iść na sprzedaż, cały ten sztuczny gmach zamożności, blasku, wielkości, dnia jednego miał runąć. Nie było ratunku. Gozdowski mówił o wypaleniu sobie w łeb, Żurba milczał, Zenon chodził chmurny i w myślach zatopiony. Wszyscy temi długiemi spory znużeni byli i wyczerpani.

Gdy nareszcie powóz zaszedł i Hartknoch wsiadł doń z pokornym ciągle Zembrzyńskim, ci co w ganku pozostali, słowa do siebie nie mówiąc, rozeszli się.

Każdy z nich po cichu powtarzał:

— Niema ratunku!

I przy tej ostatniej naradzie nie było ks. Roberta; spędził on ten dzień częścią przy ojcu, częścią

w swoim pokoju, nie mogąc spocząć na chwilę, miotając się i dręcząc.

Tymczasem Stella wesoło grała na fortepianie i śmiała się do Antoniny, której łzy stawały w oczach co chwila. Biedne dziewczę coraz to się wymykało do kątka, aby je otrzeć niepostrzeżone.

Wieczór już był, gdy generał wysiadł powtórnie z powozu, tak prawie onieprzytomniony, jak wczoraj— lecz wczoraj nieszczęście go przybijało, aż do odjęcia mu władz wszelkich, dziś ono budziło jakąś gorączkową ruchliwość. Wprost pieszo poszedł znowu do Roberta.

Zastał go chodzącego po pokoju tym krokiem bezmyślnym, który staje się potrzebą przy gwałtownem wzburzeniu. Instynktowo naówczas porusza się człowiek, jakby natura wskazywała mu, że powinien działać i pracować. Nie mówiąc słowa ks. Hugon, zatoczywszy się prawie, padł na kanapkę, kapelusz rzucił, podparł się na ręku, nie pozdrowił nawet Roberta, który na chwilę zatrzymał się w chodzie i znowu tym krokiem machiny począł mierzyć ciasne mieszkanie.

Po długiem milczeniu:

— Stało się! zawołał generał. — Do czego się łudzić? na co daremnie uwodzić? Czas jest sytuacyi, jaką nam uczynił los, zajrzeć w oczy śmiało i po męzku. Robercie — umieliśmy być szczęśliwi — nauczmy się cierpieć godnie. Brańsk przepadł... ale wiadomość o tem zabiłaby szambelana; bądź co bądź, największemi ofiarami oszczędzić mu trzeba tego ciosu. Myślmy, radźmy, działajmy!

— Kochany stryju, rozkazuj — ja nie wiem, co począć; lecz co każecie, to spełnię — wszystko! bez wyjątku!

— Mój Boże! łamiąc ręce, krzyknął generał, to nieszczęśliwe, dobre, śliczne dziecko nasze — serce mi pęka! Dojeżdżając słyszałem jej fortepian, zdało mi się że jej srebrny, miły, wesoły śmiech słyszę. Ona nic nie wie, ona się niczego nie domyśla. Jeżeli oni nas zlicytują, jak grożą — cóż nam zostanie?... Pałac?

może! — ale to będzie ciężar, którego my nie potrafimy utrzymać. Co począć z ojcem?

— Najwięcej obawiam się o ojca — oszczędzać go trzeba do ostatniej chwili, Stella się zastosuje do naszego położenia. Ubóstwo nasze będzie znośnem. cóś nam zostanie w ostatnim razie — rzekł Robert. Sprzedamy pamiątki. sprzęty. kosztowności i jeszcze z tego skleimy odrobinę, z której Stella. ty, kochany stryju, ojciec, będziecie mogli żyć wygodnie. Co do mnie, ja do służby powrócę.

— Wygodnie! tak, dla tych ludzi, którzy nie nawykli do zbytku. w jakim my wzrośliśmy, byłoby to aż nadto, ale ojcu odejm-że ludzi, do których od wieku nawykł, jego stare sługi, jego obszerne mieszkanie, ceremoniał, który go otacza. Mnie. mówił generał, nie wiele zostało, czuję że nie przeżyję długo tego ciosu, lecz ty — Stella, ojciec...

— Ja — ja niczego nie potrzebuję, odparł Robert, idę w służbę.

— A Stella, co się ze Stellą stanie?

— Stryju kochany, trzeba to wcześniej obmyśleć.

— Ja już nie mam myśli nawet! zawołał ks. Hugon, jam zabity.

W istocie silili się oba naprożno na wynalezienie nawet środków. z pomocą których mogliby oznajmić o nieszczęściu szambelanowi, w części przynajmniej, a Stelli — nic przed nią nie tając. Generał przebąkiwał, iż dla niej nic nie pozostawało, nad ten klasztor, którego ksienią była ciotka. Lecz Robert zaprotestował.

— Stella nie może się zamknąć w celi, przebywszy młodość na świecie. nieprzygotowana do tego życia.

I znowu milczeli, i siedzieli tak część nocy, to wzdychając, to rzucając słowy bezużytecznemi, które się rozpryskiwały w powietrzu.

Późno już nadszedł Gozdowski. Biedny człowiek, w tem zrozpaczonem położeniu chciał czemś być użytecznym. Nie było wątpliwości, iż wierzyciele posuną się do ostatecznych środków wyzyskania swych należności, że mogą areszt położyć na ruchomościach nawet, obawiając się, iż wartość dóbr nie wystarczy.

— Niema tu co czekać, zawołał Gozdowski — co tylko jest kosztowniejszego: srebra, klejnoty, obrazy, należy natychmiast pakować, wywozić i byłbym za tem, żeby to sprzedać, a zapewnić w ten sposób jakikolwiek fundusz na przyszłość. Przychodzę po rozkazy.

— Rób pan, co uznasz dobrem, rzekł ks. Robert, jednakże zastanów się — nie może to odbyć się tak, aby szambelan tego nie dostrzegł, aby się nie dorozumiał.

— Myślałem już i o tem — dodał Gozdowski, i przychodzę z tem, aby p. szambelana, pod pozorem jego zdrowia, namówić na wyjazd do Warszawy. Tym sposobem oszczędzi mu się widoku najboleśniejszego.

— Szambelan za nic wyjechać nie zechce.

Rozprawiano tak, a każdy poddawał myśl swą, niepraktyczną i o dobrem tylko sercu świadczącą. Chciano posyłać po ks. biskupa. ale ten leżał chory. Generał wreszcie przypomniał sobie jedynego blizkiego krewnego, jakiego mieli, brata żony ks. szambelana, księcia, którego nazwiemy tu dawanym mu powszechnie przydomkiem Pokrzywki.

Stosunki z nim od bardzo dawna były zaniedbane. Wiedziano, że mieszkał na Wołyniu, gdzie obszerne dobra posiadał. O stanie jego majątkowym mówiono różnie; jedni go mieli za bogatego, drudzy za bankruta. Czynny był bardzo, dobra kupował, sprzedawał, frymarczył, żył na wielką stopę, przecież nikt stanu jego majątkowego dobrze nie znał. Było to tem trudniejszem, iż książę, mimo wieku i siwego włosa, grał w karty tak zapalczywie, iż nieraz wieczór jeden sto tysięcy mógł czynić w kasie różnicy.

Generałowi zdawało się, iż wpadł na najszczęśliwszy pomysł, przypomniawszy sobie tego człowieka.

— On jeszcze nas może wybawić! Zapomnieliśmy o nim. Niech Robert bierze pocztę niezwłocznie, niech

jedzie, niech mu powie wszystko, niech się odezwie do jego serca!

Robert ruszył tylko ramionami.

— Pojechać mogę, rzekł, lecz, kochany stryju, uprzedzam was, że się to na nic nie przyda. Wszystkie te paliatywy uratować nas nie mogą. Zapóźno jest — umiejmy z godnością upaść.

Po księciu Pokrzywce, wystąpił jeszcze z kilką równie niedołężnemi wnioskami generał; w ostatku opuścił ręce i pogrążony w zadumie, siedział w krześle, jak nieżywy.

Gozdowski domagał się decyzyi co do sprzedaży — Robert nic nie śmiał rozstrzygać. Bezsilność, która powoli podkopywała ich przez długie lata, występowała coraz wyraziściej w ostatniej godzinie. Nikt nie wiedział, co robić, co począć, od czego zaczynać.

Świtający ranek zastał ich jeszcze tak, narzekających na los, na ludzi, na zdradę — a bezsilnych. Gozdowski powlókł się do swego dworku, generał odszedł na górę, Robert został i nie rozbierając się, znużony, rzucił się w fotel i usnął.

Jasny dzień i bijące w szyby słońce przebudziły go. Przed nim, cała w bieli, z bukietem i książką w ręku, stała, ze współczuciem wpatrując się w niego — piękna Stella, z twarzą anielskim spokojem opromienioną, dziecięcym uśmiechem jaśniejącą. Znalazła go tak po nocy bezsennej, z wpadłemi oczyma, bladego, znękanego, śpiącego w krześle. pokój w nieładzie po wczorajszych gościach. i powoli twarz jej z wesołej stawała się coraz poważniejszą. trwoga malowała się na niej.

Ks. Robert otwierał oczy zdziwione, nie mogąc jeszcze myśli pozbierać.

— Bracie drogi — co ci jest? tyś cierpiący. Spałeś tu całą noc w krześle? Chory jesteś? — spytała go czule — mów. O jakież. to szczęście, że ja nadeszłam tutaj. Nikogo nie było przy tobie, nikt nie wiedział, że jesteś chory. Mów, czy ci czego nie potrzeba? co ci jest?

— Ale nie, moja droga, oprzytomniając, odparł Robert — zasnąłem tak, sam nie wiem, jak się to stało, ze znużenia, czytając... Mówiliśmy długo ze stryjem.

Mimowolne westchnienie wyrwało mu się z piersi; niespokojne oczy Stelli z niedowiarstwem go badały.

— Mój drogi — odezwała się nieśmiało, przysiadając na małym stołeczku u nóg jego, lękam się, że wy, mnie za dziecko mając pieszczone, wczystko przedemną taicie. Ja przecie nie jestem tak ślepa: cóś się tu dzieje z nami, o czem ja nie wiem. a czego tem bardziej się lękam. Ci obcy ludzie, którzy przyjeżdżają z interesami, te narady potajemne, niepokój generała, nieustanni posłańcy do biskupa; ja się domyślam i drżę. Cóż się stało. drogi Robercie? ja mam odwagę: ja chcę wiedzieć, ja chcę z wami podzielić się troską, wszystkiem — co dotknąć nas może — mówcie mi. nie oszczędzajcie mnie!

Wejrzeniem czułości pełnem, prawie łzawem, spojrzał na nią Robert; była tak piękną, tak dotąd szczęśliwą, tak spokojną! Miałże jednym wyrazem zniszczyć to dzieło rąk Bożych, oszczędzane tak długo. Zamilkł. Ona wzięła dłoń jego w drobne rączki i przymilając mu się, napraszała:

— Na miłość twą braterską dla mnie! Robercie mów mi prawdę całą!

— Dziecko moje — zawołał brat, wiesz-że ty, czego się ode mnie domagasz? czy dźwigną ramiona twoje, losy, które na nas spaść mogą? Do dziś dnia nic się jeszcze nie stało, Stello moja, lecz dłużej taić ci nie chcę. Powoli mienie i byt naszego domu chyliły się ku ruinie. Wyczerpały go ofiary, wojny, wypadki — może nasza zbytnia ufność w Opatrzność i nałóg życia, którym żyliśmy wieki. Jesteśmy zagrożeni ubóstwem.

Stella zbladła; pierwszy wyraz, który z ust się jej wyrwał był:

— Ojciec! biedny ojciec! ojcu nie mówcie!

A! nie lękaj się, musimy go oszczędzić. do ostatniej chwili kryć przed nim będziemy katastrofę. Chciałaś wiedzieć — wiesz ją. Jutro może wypędzeni będziemy z dóbr, wyzuci ze wszystkiego.

Wielkiemi oczyma osłupiałemi patrzyła długo Stella na brata; blada, lecz pierwsze wrażenie przemogła — potarła reką po czole i z powagą, głosem drżącym, odezwała się uroczyście:

— Bóg dał, Bóg wziął, niech imię Jego będzie błogosławione. Ubóstwo — dodała, a! to nic dla nas! myśmy młodzi. Ubóstwo? cóż to — praca? ale nigdy upokorzenie — a! nigdy! Czy ty się lękasz ubóstwa?

— Ja? nie! zawołał Robert, rozgrzany jej wyrazami — ja, nie — ale dla nich...

— Wszak ludzie pracują. odezwała się — wszak i my pracować możemy — dla siebie i dla nich. Ja się nie zlęknę ubóstwa, o! nie — ale ojciec — ale oni — owi biedni, starzy słudzy. przyjaciele, cóż z nimi? dla nich nasze ubóstwo może być nędzą... O mój Boże!...

Zaczęła chodzić po pokoju.

— I spadło to na nas tak nieprzygotowanych. jak piorun z jasnego nieba. Cóż się stanie z Brańskiem, Robercie? Te miejsca dla nas święte. groby, te wymodlone progi, te zawieszone wspomnieniami ściany. A nie! to smierć! to śmierć!

Zakryła sobie oczy i łzy z nich wytrysły.

— Stello — zawołał żywo Robert — chciałaś prawdy. a brzemienia jej udźwignąć nie możesz. Uspokój się — groźba losu jeszcze się zmienić może.

— Nie — ja to przeczuwałam oddawna, odpowiedziała, odsłaniając powieki — nie wiem, czemu śniły mi się często okropne z raju wygnania. jakieś z domu ucieczki. jakieś łachmany brudne na mnie. na ojcu, i ludzie urągający się nieszczęściu naszemu. Lecz któżby śmiał się urągać, któż ma do nas żal? nie zawiniliśmy nikomu. Tym snom oblegającym mnie broniłam się nieraz modlitwą i wstawałam, drząc długo na jawie, gdy mi się wszystko śmiało.

— Więc to prawda! dodała po chwili—Robercie— o ojcu myśleć trzeba, ojciec nic nie wie?

— I nie będzie wiedzieć, powtarzam ci, dopóki tylko utaić przed nim potrafimy.

— A generał? biedny stryj, on cierpi za wszystkich... a biskup, oni wiedzą?

— Wiedzą i starają się czynić, co mogą, aby uchronić nas od zguby, lub przynajmniej ją przeciągnąć. Nie możemy się skarżyć, mamy przyjaciół wiernych, Żurbowie ostatni grosz oddali, nie mogąc nas nim ocalić — Gozdowski poczciwy szaleje.

Zamyśliła się Stella, zwieszając głowę.

— A tak! zawołała, teraz to rozumiem, dla czego generał tak pragnął tego małżeństwa z Alfonsyną, sądził, że się niem wykupimy. I ty biedny gotów byłeś na ofiarę, bo jej kochać nie mogłeś. Jam to uczuła, ja patrzyłam i zrozumieć cię nie umiałam. A! jakież to szczęście, że cię los uratował, że Bóg nie przyjął twej ofiary.

Z rękami ciągle złożonemi. jak do modlitwy, chodziła i płakała. Nie był to jednak płacz rozpaczy bezsilnej; w jej głosie i wzroku znać było męzką niemal odwagę. Podała rękę Robertowi.

— Bracie! męztwa, męztwa! my dwoje musimy robić wiosłami na tej tratwie rozbitków, myśmy młodzi i silni. Nasze szczęście w ich szczęściu. Ci starzy, to nasze relikwie przeszłości, to cały ród, dziady i pradziady uosobione w ich świętych postaciach... dla nich — miejmy siły.

Robert stał zamyślony.

— Ja dawno w tobie widziałam — odezwała się, jakby wyczerpanie bolesne, jakby obojętność dla życia. ale nam niewolno rozpaczać i paść i płakać. my musimy dźwigać, co najcięższe... Robercie! słyszysz mnie?

— Słyszę, Stello kochana, i uczę się od ciebie obowiązku... Nie lękaj się, spełnię go, ale daj mi odet-

chnąć. Najcięższem dla mnie było ciebie wtajemniczyć w tę niedolę.

W tej chwili szybki, łatwy do poznania krok generała dał się słyszeć w przedpokoju. Stella spojrzała w zwierciadło, otarła oczy, starała się przybrać twarz wypogodzoną i pobiegła kilka kroków ku niemu.

Ks. Hugon szedł z jakiemiś papierami w rękach. Spotkawszy synowicę w progu, przestraszył się i cofnął, lękał się, aby mu z oczów nie wyczytała tajemnicy, którą jeszcze chciał ukrywać. Niósł z sobą najrozmaitsze listy, notaty, adresy, wszystko, co według niego mogło posłużyć jeszcze do ratowania w nieszczęściu. Ratunku tego szukał ciągle w drugich, nigdy w sobie. Przez resztę nocy pousnuwał najdziwniejsze plany. Zdało mu się niepodobieństwem. aby Opatrzność dała upaść wielkiemu Brańskich domowi, byłaby to z jej strony niewdzięczność. Fundowali tyle kościołów, tyle klasztorów, tyle szpitali... Ufał nawet w bilet loteryjny, który był wziął przypadkiem; oprócz tego przynosił adres jednego z ks. ks. bawarskich, z którym gdzieś służył, chciał pisać do obiście mu znanego cesarza austryackiego, pokładał nadzieję w Rotschildach, z którymi onego czasu był na bardzo dobrej stopie...

Stosy tych urojeń dźwigał stary, zdyszany, znowu niemi odżyć usiłując -- w progu spotkawszy Stellę, przestraszył się. Lecz wlepiając w nią oczy, popatrzywszy na Roberta, domyślił się, że musiała wiedzieć o wszystkiem, papiery wypadły mu z rąk, łzy się rzuciły i pobiegł ku Stelli, ściskając ją z płaczem.

— Dziecko moje, aniele mój! Na co ci to powiedziano?

— Ale jam sama odgadła — łkając, przerwała Stella—to nic—tak lepiej—ja się na coś zdam, ja pomogę, ja nie chcę być wyjątkiem i oszczędzaną, słabą istotą; wezmę tę część, która na mnie przypada.

— A! ty jesteś święta, tyś anioł! krzyknął generał zachwycony—przed tobą klęknąć potrzeba!

Mimowolnie Stella się uśmiechnęła z za łez.

— O! stryjaszku.

— I zobaczycie — przerwał, poczynając zbierać rozsypane papiery razem z Robertem i Stellą, stary kawaler maltański — zobaczycie, że to jeszcze wszystko jakoś szczęśliwie się skończy. Jeszcze jest tysiące środków, o których się w pierwszej chwili nie pomyślało. Ja mam rozległe stosunki, nasza rodzina, znaną jest całemu światu. nie dadzą jej upaść. Esterhazowie, spokrewnieni z nami, są niezmiernie bogaci. Ja mogę wygrać na loteryi. Napiszę do cesarza austryackiego, do króla bawarskiego, do Rotschildów. Ze starym Rotschildem byłem za pan brat, lubił mnie bardzo! Ile to ja u niego dobrych zjadłem obiadów! To są ich listy. Chciałem właśnie Robertowi pokazać je, aby się przekonał.

Stella i Robert, nie podzielając tych marzeń stryjowskich, milczeli, niedowiarstwo ich wyczytał z oczów.

— Nie wierzycie mi? otóż przekonacie się.

Rzucił papiery na stół.

— Tylko ty, moja Stelciu, nie gryź się, nie martw, nie płacz—nic jeszcze nie ma, oprócz groźby. Ja przeczuwam nawet, że ci ludzie, co nam grożą, w ostatniej godzinie zawahają się, zatrzymają i cofną sami, zobaczycie—nie trzeba rozpaczać.

Stella stała z oczyma spuszczonemi, myśl jej była już gdzieindziej; pocałowała stryja w rękę, brata w czoło.

— Ojca oszczędzić trzeba! powtórzyła pocichu, zresztą co Bóg da, to da—wola Jego błogosławiona.

Spojrzała, oczy otarła i jasna znowu, ale drżąca cała, ale słaniająca się od wewnętrznego tajonego bólu. wysunęła się z pokoju. Poszły za nią wejrzenia starca, który, patrząc, płakał.

— Za co? za kogo? za czyje grzechy anioł ten niewinny cierpieć będzie? rzekł powoli. Niezbadane wy-

roki Boże, niepościgione drogi boleści i kary. Któż ten świat pojmie? kto wyczyta, co na nim hieroglifami pisze palec Boży?

I padł stary na kanapę, jakby go nagle wszystkie owe nadzieje świetne odeszły.

KONIEC TOMU DRUGIEGO.

WYBÓR POWIEŚCI

J. I. KRASZEWSKIEGO

(WYDANIE TANIE).

SERYA II.

Tom dwudziesty.

MORITURI.

POWIEŚĆ

PRZEZ

J. I. KRASZEWSKIEGO.

TOM III.

WARSZAWA.
NAKŁADEM MICHAŁA GLÜCKSBERGA.
1883.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 9 Сентября 1883 года.

Warszawa. — W Drukarni S. Orgelbranda Synów, Bednarska Nr. 20.

Morituri vos salutant.

Izdebka pana Polikarpa Wincentowicza, od ogrodu położona, miała przed oknami tyle akacyj, bzów i jaśminów, że w niej nawet o południu przy oknie tylko czytać było można. Wprawdzie śpiewały mu za to w maju słowiki tak, że często całą noc usnąć nie mógł, latały świętojańskie muszki, pachniały bzy i czeremchy rozkwitłe, i dla tego może nie chciał nigdy tego kątka, trochę nawet wilgotnego, na inny zamienić. Jakkolwiek ciasny, pokoik miał od bardzo dawnych lat przywilej, że się w nim nałogowo rezydenci, oficjaliści i czasem nawet skromniejsi goście schodzić byli nawykli na pogadankę i fajki. Miejsca zbyt wiele nie mieli, lecz można było we trzech siedzieć na łóżku; krzeseł prostych znalazło się do czterech; służył też za wygodne pomieszczenie ogromny kufer, a raczej skrzynia Wincentowicza, której tajemniczego wnętrza nikt nigdy nie widział; naostatek już przez gospodarza zafundowana najnowsza ławka pod oknem.

W pewnych dnia godzinach można było być pewnym, iż, jeśli tylko Wincentowicz w domu, u Wincentowicza są goście. Zbierali się szczególniej przed obiadem, przed wieczerzą, a niekiedy w dni świąteczne po obiedzie. Nie było bezprzykładnem, że się tu znalazła partja marjasiku i warcaby. Tu sam Wincentowicz

opowiadał obszernie historje sławne łowów różnych, a między innemi i radziwiłłowskich; tu Burski rozgadywał się o wielkim Napoleonie, którego znał osobiście, i o wyprawie do Hiszpanii, w której uczestniczył i gdzie mu kula palec u nogi prawej urwała; tu ks. Serafin prawił swe legendy o strachach i duszach bez ratunku zostających, które przychodziły dłonią wypalać stoły swym znajomym i przyjaciołom. o co się z Burskim sprzeczali, bo Burski w nic nie wierzył i nazywał te powieści dziecinadami. Tu czasem poczciwy stary Żurba przyszedł, niosąc to proch dla Wincentowicza, to flaszkę starej wódki, to przysmak jaki domowy.

Jeśli ks. sufragan przybył ze swym kapelanem Abłamskim. nie gardził i on skromną izdebką pana Wincentowicza, zwanego wielkim łowczym. Jeden Gozdowski, który trochę był pyszny, wcale tu nie zachodził, uważając takie pospolitowanie się z rezydentami za nieodpowiednie stanowisku, które zajmował.

Łatwo pojąć, że rezydenci nieraz zmuszeni milczeć w salonie i przy stole przez uszanowanie, nieśmiejący się poufale wygadać i wyśmiać, tu znajdowali prawdziwą pociechę i swobodę, nie potrzebując ani słów dobierać, ani hamować głosu. Pozwolił sobie który choćby co tłustszego, to dostał tylko od ks. Serafina paskiem, naśmieli się i po wszystkiem. Można też powiedzieć, że owa izdebka Wincentowicza była kuźnią wszystkich wiadomości krążących po Brańsku, i tu się najlepiej dowiedzieć nowego, a sprawdzić niepewne było można.

Przystrojenie pokoiku było ubogie, skromne: strzelb kilka na kołkach, torby, siatki, rogi, obroże i wszystko, co zajęcia wielkiego łowczego znamionować mogło. Oprócz nich ks. Józef Poniatowski wisiał na jednej ścianie, straszliwie przez muchy zeszpecony, z drugiej Attala i Szaktas—Attala, na której trzymał się kawałek szkła, wyglądała nieźle, Szaktasa dym od fajek, wyziewy i pył zbrukały nielitościwie. Za piecem krył się dzbanek, miska i ręcznik. Tam także spo-

czywać był zwykł ulubiony wyżeł Wincentowicza, bekas. Trzeci to, czy czwarty już z kolei legawiec nosił to nazwisko, do którego wymawiania tak był nawykły łowczy, iż raz, mając wyżlicę, nazwał ją bekasą, ażeby się nie odzwyczajać.

Od kilku dni, to jest od początku zjazdu u Żurbów, izba Wincentowicza ciągle była pełną; tu przychodziły najrozmaitsze spostrzeżenia, wiadomości, domysły i podchwycone słowa, z których różne wnioski snuto. Trwoga była powszechną, cały już dwór dorozumiewał się, że książętom coś groziło; o złych interesach dawno wiedziano, bo Gozdowski, gdzie jakie były małe sumki, powychwytywał.

Nie dla tego smutne widać było twarze, żeby się wszyscy o siebie tylko lękali — cały ten tak sklejony byt dworu, obyczaj jego, to jego życie społeczne drogie im wszystkim było. Poprzywiązywali się do szambelana, do generała, który jeszcze popularniejszym był od niego, do księżniczki Stelli. Robert obudzał w nich rodzaj współczucia, a choć mało z ludźmi żył, znano jego dobre serce; nie mówił wiele, ostatnim się groszem jednak podzielił zawsze i pomógł każdemu. każda więc wiadomość niepomyślna. przychodząca od Żurbów, mnożyła tu niepokój i gniewy — gniewy, bo dwór i rezydenci najmniejszej winy upadku nie przypisywali książętom, składali ją na niegodziwych lichwiarzy, na złych ludzi, na chciwość i łotrostwo. W ich przekonaniu nie było czcigodniejszych i lepszych panów nad Brańskich. Na samą myśl, że im tam jakiś przybłęda, groszołówca może wydrzeć majątek, siąść w ich dziedzicznych murach i rozpostrzeć się na ojcowiznie, Wincentowicz krzyczał, że szelmie gotów w łeb wypalić, Burski pięść podnosił, ks. Serafin mitygował i dodawał:

— Pan Bóg tego nie dopuści. to rodzina pobożna, to ludzie świątobliwi, kościołowi wierni, dla sług jego dobroczynni—czekajcie końca!

Czekano końca, a ten właśnie coraz się gorzej zwiastował... każdy na ostatek musiał i o sobie pomy-

śleć. Wincentowicz bardzo spochmurniał, Burski chodził, założywszy ręce w tył, ks. Serafin, modląc się, płakał.

Ostatniego dnia, gdy już gruchnęło wszędzie, że układy zerwane, że rady z wierzycielami dać nie było można, stał się lament wielki i rozpacz, a poczciwe ludziska znowu nie o sobie myśleli, tylko o starych tych, z których łaski żyli, a którzy dziś sami na łaskę i niełaskę losu mieli być oddani.

Najstarszym ze sług w Brańsku był właśnie Wincentowicz, który, choć trochę się po świecie tułał, za młodu tu służył i na starość powrócił. Znał on najdrobniejsze fakty i tradycje dworu, a ponieważ niczego stanowczego dobadać się nie było można z nadchodzących plotek, zaczęto nalegać na Wincentowicza, aby ukradkiem do folwarku pojechał do Żurbów, i tam zasięgnął języka.

Wincentowicz wieczorem, przed rozjechaniem się jeszcze gości, pieszo poszedł niby ze strzelbą na polowanie, a powrócił markotny bardzo i późno. Ks. Serafin, który zawsze przed północą dla mszy św. zwykł był zasypiać, tego dnia był tak niespokojny, iż położyć się nie mógł. Burski, chodząc po dziedzińcu, czekał, znalazł się i ekonom z samego Brańska, któremu bardzo szło o wiadomość, co się tam święci.

Za Wincentowiczem wnet wszyscy wpadli do jego izdebki.

— No cóż? no cóż? mów! cóż się tam dzieje? będzie co z tego?

— Gdzie zaś, jakieś już nieszczęście, czy fatalność nad nami, zawołał Wincentowicz. Powiadają, że cały dzień gadali, rozpierali się, kłócili i taki wszystko zerwane. Te bestje Warszawiaki... pieniędzy i pieniędzy, choć im, co chcesz, rób, nie myślą czekać ani kwartału. Trudno znowu z palca im wywinąć te summy, co im od lichwiarskich procentów porosły. Ale to jeszcze nic — rzekł ciszej Wincentowicz, i to nic, żem murzyna widział, który istotnie z tym jakimś kuzynem Gozdowskiego przyjechał, ale coś mi się takiego trafiło, że sobie rady dać nie mogę.

— Cóż takiego? zapytał ks. Serafin, gadaj-bo...

— Trudno powiedzieć, gdy człowiek sam nie dobrze rozumié, mówił Wincentowicz. Trzeba państwu wiedzieć, że mam z maleńkości taką pamięć, ale taką, że kogom raz w życiu widział, choćby w lat dwadzieścia po głosie i po nosie poznam.

— Et zaś! ofuknął Burski, fanfaronada!

— No — to mi ludzie poświadczą. Nie będę czasem mógł nazwiska przypomnieć, ale twarz i człowieka zaraz poznam, żem gdzieś już go spotkał.

— A z kimżeś się tam waćpan zetknął? spytał ks. Serafin.

— Otóż zaraz opowiem, proszę posłuchać, mówił dalej Wincentowicz, bo to ciekawa historja. Wiadomo państwu, jest lasek brzozowy. Panna Antonina, niby to imitując nasz park, porobiła tam ścieżki i ławeczki. Miejsce wcale przyjemne. Ja skradając się, żeby tak dostać języka, najprzód sznurkowałem koło dworu, najrzałem parę figur; potem, widząc, że na mnie bardzo patrzą, poszedłem do lasku i w krzakach bzu przysiadłem na ławce. Po niejakiej chwili widzę i poznaję, jak z oficyny wychodzi mecenas, a za nim figurka niepoczesna, stary człek, dependent, czy cós. Póki szli przez dziedziniec, dependent się niemal pół mecenasa trzymał, a kłaniał, jak swemu pryncypałowi. Śmiać mi się chciało. Tymczasem weszli ku mnie do lasku, a jak ludziom z oczów zeszli, widzę... mój dependent nagle spoufalał, zmienił ton, bierze mosanie mecenasa za guzik i coś mu szepcze i klepie go po ramieniu, i słyszę, jak mu daje przepisy, co ma robić, jak ma gadać. Jak tylko znowu w dziedziniec wrócili, mój stary zmienił się na najniższego sługę i za piętami mecenasa, jak pies, przy nodze idzie. Co to jest? myślę sobie — co to znaczy? co to za figura? Strasznie mnie kolnęło. Ponieważ mecenas zaraz do oficyn wszedł, a ten drugi w podwórzu został, poszedłem mu się przypatrzyć. Wglądam się, wglądam... dalibóg, żem

go gdzieś widział, przysiągłbym, dalibóg. Gdzie? kiedy? trę czoło, trę, ani sposobu przypomnieć. On, jak tylko zobaczył, że mu się przypatruję, myk — i zniknął. Ale mnie niepokoiło to, myślę: — to tak nie może być, ja tu dojdę. coś ty za jeden i dla czego inny jesteś w lasku, a inny w dziedzińcu. Poszedłem do dworu do starego Żurby, ot tak na gawędkę; zająca mu przyniosłem, więc miałem prawo. A pytam się go od niechcenia; kto taki ten, kto ów, jak się zowią. Ten mi prawi: mecenas Hartknoch, a to Garbowski młody, a tamten stary. jakiś dependent mecenasa, niby skrybent, kat że go wie, zapomniałem, jak się zowie. Źle. Idę ja do ludzi, począłem znowu sznurkować, żeby cóś dostać; naostatek od służących dowiedziałem się, ze to niejaki Zembrzyński. powiadają skrybent, ale łgarstwo oczywiste, bo widziałem, jak w lasku pryncypała po ramieniu klepał. Zembrzyński!... Nazwisko to gdzieś słyszałem; szukam po łbie, szukam, aż oto jestem w domu! Stare to dzieje. Ja jeszcze byłem małym chłopcem, alem już przy dworze wysługiwał, kiedy się z Zembrzyńskim ta historja stała.

— Jaka historja? spytał ks. Serafin.

— Cały dwór ją wié i pamięta. Wyrostek Leon Zembrzyński był przy księciu szambelanie. Książę go nie lubił. miał do niego taką jakąś odrazę. że co dla innych dobry był, to na niego burczał i burczał i pokoju mu nie dawał. Raz tedy. a doskonale to wiem. bo było bardzo głośne i książę sam swej popędliwości mocno potem żałował—raz gdy wiele było gości. księżna nieboszczka woła tego Zembrzyńskiego, każe mu iść do pokoju księcia i przynieść sobie list, leżący tam na stoliku. Zembrzyński idzie. list znajduje i ledwie go się tknął, aż czuje, jak go ktoś w gębę trzasnął. Obraca się. — to był książę. który sądził. że ten się skrada czytać cudze listy. Chłopiec to tak do serca wziął, że i księciu się postawił bardzo ostro i ofiarowanych pięćdziesięciu dukatów nie przyjął i tegoż dnia w świat poszedł. Książę się tem zgryzł bardzo, bo czuł, że go pokrzywdził, a no rady nie było, jak

w wodę wpadł. Zobaczywszy tego Zembrzyńskiego, a posłyszawszy nazwisko, dopierom całą sobie historją przypomniał. A tom w domu, ten sam. Czekałem tylko, czy nie wyjdzie. Nareszcie wysunął się, ja mu drogę zachodzę, ten sam. Chciałem go zaczepić, ale mi zemknął zręcznie i już się więcej nie pokazał... Otóż sądzę, że on tu nie bez kozery. Bo że ten sam Zembrzyński, przysięgnę, ale jak się dostał do mecenasa, po co tu przybył, a podżega do interesu? Co on w tem ma? Tu sęk.

Wszyscy zamilkli.

— Mnie się zdaje, odezwał się po chwili ks. Sesafin, że asindziejowi się trochę śni. Najprzód Zembrzyńskich może być na świecie dosyć — powtóre, gdzie — co — ten sam, tutaj? i jakbyś go ty po latach tylu zaraz tak poznał? To imaginacja!

— Może i imaginacja, odparł Wincentowicz, a że mi to we łbie utkwiło i że. na dobrą sprawę, należałoby dotrzeć i dowiedzieć się, to też prawda. Któż go może wiedzieć? A jeśli to ten sam, i teraz się mści swego policzka, i podjuża i szkodzi.

— Gdzieby w sercu ludzkiem, u chrześcianina, paskudna taka zemsta tak długo mieszkać mogła — odezwał się ks. Serafin — nie wierzę. „A odpuść nam nasze winy, jako i my odpuszczamy“ codzień mówiąc, czyż można dziesiątki lat karmić w piersi tę żmiję?...

— Com widział, co słyszałem, to wam mówię, dodał Wincentowicz, a jeśli bałamucę, nie upieram się. Tylko mnie to nazwisko Zembrzyńskiego świdruje. i twarz, choć zestarzała, dalipan ta sama. Ja go dobrze pamiętam, lisowato wyglądał, oczy we łbie, ponury.

— Ale czegożeś się więcej dowiedział? spytał Burski — bo to jest tylko anegdotka.

— No źle. bardzo słyszę źle, rozjeżdżają się z niczem — rzekł Wincentowicz. Mój ojcze — a gdybym ja generałowi tę historją opowiedział? hę?

— Cóż to pomoże?

— Nuż on tam szkodzi?

— Czyż na to poradzisz? Człowieka. co lat tyle nosił się z zemstą, jak dziś poprawić i upamiętać?

Zamilkli więc wszyscy.

— Bogu to zdajmy, dodał ksiądz... a pomyślmy lepiej! czybyśmy my i nasi znajomi i familia nie mogli ich ratować...

— Żeby to nie takich summ potrzeba było, odezwał się łowczy — ja com także uciułał tu z ich łaski, dałbym chętnie.

— Ja nic nie mam — rzekł Burski — ale w Płockiem mam znajomych, co ruble korcami mierzą; pojechałbym, możeby na moje słowo pożyczyli...

— Im z pod serca nikt nie pożałuje — rzekł Wincentowicz... damy ostatnie, jak Bóg miły... Ja moje zaniosę jutro generałowi... Żurba oddał, co miał... Gozdowski pewnie też trzosa wytrząśnie, ale tam niewiele co jest, bo przysmaki lubił... Jednak, niech się sobie śmieją, tego Zembrzyńskiego nie utaję.

I tak się spać rozeszli.

Następnych dni w życiu i porządku miejscowym nic się jeszcze nie zmieniło; generał nieznużony pisał listy, szambelan po większej części siedział w swoich pokojach, Robert był, jak zawsze, milczący i mało czynny. Stella tylko poruszała się żywiej i umysł jej pracował teraz więcej, niecierpliwiąc się na to wyczekiwanie.

Jesień, jakby na przekorę głębokiemu smutkowi, była piękną i ciepłą, dnie i wieczory jej przypominały wiosnę... Brańsk na pożegnanie zdawał się przybierać jak najpiękniejszą szatę i stroić w złoto i purpurę. Ale ludzie chodzili osmuceni i przybici i gdyby szambelan więcej a uważniej umyślił się im przypatrywać, dostrzegłby łatwo, że wszyscy nosili na sobie żałobę jakąś, która im siły odejmowała.

Gozdowski wyjechał był na zwiady, czy już nie poczynają czego wierzyciele — miał powrócić wprędce, — gdy posłaniec tegoż dnia wieczorem pod niebytność jego nadbiegł z kartką od ks. Abłamskiego, oznajmiając, że ks. sufragan, po krótkiej słabości, tegoż dnia nad ranem Bogu ducha oddał. Ks. kapelan prosił Gozdowskiego, ażeby przygotował generała do tej smutnej wiadomości, ale kartka bez przygotowania pod niebytność plenipotenta dostała się wypadkiem generałowi, który na tę wiadomość, jak ciosem niespodzianym rażony, od przytomności prawie odszedł.

Na ks. sufraganie pokładał on niemałe nadzieje, roił o summach duchownych, o poparciu z jego strony pism, które na wszystkie wysyłał strony. Strata biskupa dla rodziny była niewynagrodzoną. W ostatnim razie generał spodziewał się tam znaleźć przytułek, a serce zmarłego bezprzestannie dla nich wszystkich wylanem było. W pierwszej chwili tylko mu się łzy toczyły.

— Nieszczęście jedno nigdy samo nie przychodzi, mówił, łkając... Jak powiedzieć szambelanowi, który był do niego tak przywiązany? a jak znowu taić to przed nim?

Posłaniec ks. Abłamskiego rozpuścił wiadomość o śmierci po całym dworze, choć mu tajemnica była zaleconą... Ks. Serafin z Wincentowiczem już tę nową klęskę opłakiwali... Z listem w ręku powlókł się stary do ks. Roberta i wszedłszy, nie mówiąc słowa, oddał mu go.

— Trzeba nam jechać, rzekł — musimy i dla interesów i dla serca być na miejscu... Biedny brat!... nawet nie czuł się widać tak źle, kiedy nikogo z nas

nie wezwał... A śmierć przyszła tak nagle! Ledwie zasłabł i skończył.

Nie chciano jeszcze tego dnia nic mówić szambelanowi. Generał poszedł tylko w myśli przygotowania ks. Norberta. Znalazł go nad wszelkie spodziewanie w humorze wesołym, z rozpromienioną twarzą, ochoczym — jak nigdy.

— Mówią — odezwał się, podając rękę generałowi, że jesień dla starych jest niebezpieczna. Fałsze to są, ja przynajmniej czuję się tego roku tak zdrów, silny i wesół, jak rzadko. Rychlejbym powiedział, że na was, co się więcej na powietrze narażacie, skutek ten wywiera... ja, co siedzę większą częścią w kącie, nic tego nie czuję. Ty, generale; Robert, nawet Stella, posępni mi chodzicie, co wam takiego jest? Nie możecie znać dotąd wydychać tego hrabiego, a ja o nim dawno zapomniałem... Głupi był przez całe życie!...

— Jeżeliście uważali zmianę w mej twarzy, podchwycił ks. Hugon, chwytając tę zręczność, to się wam przyznam, że jestem mocno niespokojnym o zdrowie ks. sufragana. On, słyszę, od kilku dni chory...

— Chory? niceście mi nie mówili... hę? spytał stary — ja sądzę, że to nasza rodowa choroba, co go zawsze męczyła... ale to przechodząca rzecz. Nie macie się o co lękać. Ja, dzięki Bogu, mam lat ośmdziesiąt... a krzepko się trzymam jeszcze... jemu dopiero sześćdziesiąty piąty. Cóż to za wiek? Młody jest, przytem życie regularne... Niepotrzebnie się tego lękacie.

— Dziś przysłał ks. Abłamski z zawiadomieniem, że się czuje bardzo źle; ja jutro myślę do niego jechać.

— A zapewne, jedźcie, rzekł stary — to go rozerwie, lecz ja wam powiadam: hemoroidy, nic więcej.

Generał zamilkł i przeszedł się po pokoju.

— Nie pisze ks. Abłamski, co mu jest? spytał szambelan.

— Powiada, że gorączka jakaś i że doktór o niego niespokojny.

— Gorączka? to gorzej — pewnie zaziębił się w czasie nabożeństwa, bo zwykł był czasem w tym wilgotnym kościele zadługo przesiadywać. Jedźcie i radźcie mu odemnie, niech się napije lipowego kwiatu dla transpiracji, a octem się każe wysmarować.

Znowu generał pochmurny zamilczał. Szambelan usiadł i uśmiechając się, spoglądał na niego.

— Widzę, że już jesteś niespokojny; jak to wy zaraz lękacie się wszystkiego! W naszej rodzinie byliśmy niemal co do jednego długowieczni, choć prawda, że czasy też lepsze były i gryźć się nie było czem. Dziad nieboszczyk miał lat dziewięćdziesiąt i trzy, gdy umarł — i to z przypadku, ojciec nasz, jak wiesz, dożył do dziewięćdziesięciu, babka miała ośmdziesiąt i sześć...

— Tak—ale też dobrześ powiedział, czasy były inne...

— A! inne! westchnął stary. Uchowaj Boże czego na ks. sufragana... ponieślibyśmy w nim stratę wielką... Człowiek do rodziny przywiązany, prawy, dobry i niemal święty...

— A! prawda, zawołał generał, ręce załamując — wiemy to wszyscy... nieoceniony człowiek...

— Bóg nam go nie odbierze... Jeśli pojedziecie, rzekł stary, odwiedźcie i siostrę.

To powiedziawszy, odwrócił rozmowę szambelan, bo nie lubił długo mówić o rzeczach smutnych, i spytał o gości, których nie widział.

— Co to tam był za Garbowski z synem? Stella mi chłopca tego chwaliła.

— Cóś to oryginalnego ta familia — odparł generał. Ojciec bardzo prostakowaty, syn do rzeczy — ludzie być mają bogaci, ale Gozdowski, którego są krewnymi, krzywi się na nich.

— Pocóż tu oni przyjeżdżali?

— Jakieś interesy pieniężne, odezwał się generał, nie wiem o co im chodziło.

Szambelan popatrzył i zaczął o czemś innem. W ogóle jednak myśl miał ciągle swobodną i wesołą, parę nawet anegdot z dawnych czasów z właściwym sobie dowcipem opowiedział generałowi, który je już

kilkakroć od niego słyszał i chodził chmurny, nierad temu, iż jego przygotowanie spełzło na niczem. Wcześniej niż zwykle pożegnał się z bratem.

— Ucałuj-że biskupa i odemnie po stokroć, a powiedz mu, jak tylko się lepiej uczuje, niech na rekonwalescencją tu do nas przybywa, wygodniej mu będzie. Tam dom lichy i nieopatrzony, wilgotny, i kuchnia nic do rzeczy.

Z tem wyszedł ks. Hugon, a nazajutrz, zabrawszy Roberta z sobą, wyjechał smutny, czując się także na zdrowiu nie dobrze. Przez całą drogę nie przemówili prawie do siebie.

W miasteczku znaleźli z powodu niespodzianej śmierci człowieka, który wszystkim wiele świadczył i był tu najważniejszą osobistością — zamieszanie wielkie. Duchowieństwa z bliższych parafij wiele się już było zjechało. Przygotowania do eksportacji i pogrzebu zajmowały księży i ludność, cisnącą się na sufraganią.

U drzwi przywitał ich ks. Abłamski ze łzami i na wikarją do mieszkania swojego poprosił. Do ostatniej chwili był on przy umierającym, który wolę swą jeszcze mu, całkiem będąc przytomny spisać kazał.

— A! mości książę, zanosząc się od płaczu mówił kapelan, straciliśmy człowieka wielkiej i skromnej cnoty, a ja w nim ojca i dobrodzieja! Nikt nie zliczy, co on dobrego uczynił i jak wylany dla ludzi zapominał o sobie! Uwierzył-żeby kto, iż na takiem biskupstwie, przy znacznych dochodach i największej oszczędności życia — nie zostało po nim za co sprawić pogrzebu? Sam mi mówił na godzinę przed śmiercią, oddając swój woreczek, iż więcej po nim nic nie znajdziemy, abyśmy nadaremnie nie szukali.

— Na miłość Boga, być-że to może? zawołał przerażony generał.

— Potwierdza to i testament, który państwo czytać będziecie. Jedynym funduszom pozostałym jest to, co miał u ks. szambelana, a długów zostawił dosyć.

Był to nowy cios dla Brańskich i generał przy-

pomniał sobie łatwo, że różnemi czasy do dwóchkroć u niego pożyczyli. Długi więc ks. sufragana miały znowu zaciężyć na majątkach. Spytał zaraz o testament ks. Hugon; był on otwarty, przed notarjuszem sporządzony, więc go też rychło dostać mogli. Rozmaite summy, czasy różnemi dane familli, wynosiły przeszło dwakroć; z tych sto kilkadziesiąt długów należało opędzić rychło, dać na pogrzeb, a resztę ks. sufragan przekazywał Stelli i Robertowi, z małym legatem dla sług i ks. Abłamskiego.

Robert i generał nic z sobą nie mieli, wydatki były pilne, położenie przykre; wypadało posłać zaraz do szambelana i prosić go o pomoc, gdyż on jeden miał cokolwiek gotowego grosza. Ponieważ ani Robertowi, ani jemu w tej chwili odjeżdżać nie było podobna, generał siadł pisać list do brata i do Stelli, prosząc ażeby ojca do smutnej wiadomości przygotowała, a pieniądze przez Wincentowicza natychmiast wyprawiła.

Resztę, dnia spędzili, modląc się przy zwłokach i na smutnej rozmowie z ks. Abłamskim, który ciągle zgon biskupa opłakiwał. Słudzy jego też, modląc się przy ciele, jęczeli i łzami się zalewali. Tysiące dobrych uczynków nieboszczyka teraz dopiero na jaw wychodziło, gdy każdy, co mu wprzód taić kazano, głośno rozpowiadał. Ks. Hugonowi ten widok, ten cios nowy, który familią i na sercu i w jej bycie tak boleśnie raził, odjął resztę otuchy i odwagi do walki z losem. Siedział nieruchomy, bezmówny, dając sobą powodować drugim, a że Robert nie o wiele przytomniejszym był od niego, ks. Abłamski obu nimi rozrządzał i kierował; mimo żalu mając jeszcze siłę, zajmował się pogrzebem i nimi.

Nie dostrzegał, pogrążony w sobie ks. Hugon, iż obrzęd ten, który dla imienia biskupa i dostojności rodziny powinien był, zwyczajem powszechnym, z wielką się odbywać okazałością, tylko dzięki ks. Abłamskiemu i jego zabiegom jakkolwiek się dał urządzić. Wszystkiego doń brakło, a najpierwej pieniędzy. Kościół, co miał, dostarczył chętnie, lecz rzemieślnikom

i kupcom płacić było potrzeba. Zapożyczono się u ks. Scholastyka i kilku kanoników, wysłano po niektóre rzeczy do Brańska.

Dawniej byłaby familia nic nie szczędziła. aby uczcić jednego z najznakomitszych swych członków, dziś — los własny zbyt ją obchodził, by o okazałości pomyśleć było można. Nie zastanawiano się już i nad tem, że na biedną Stellę włożono obowiązek ciężki oznajmienia ojcu o śmierci brata, którego kochał tak czule, że przez nią żądano, przeciwko wszelkiemu zwyczajowi, rodzaju pożyczki od niego.

Złożenie zwłok w grobach biskupich w kolegiacie odbyło się wszakże uroczyście, dzięki ks. Abłamskiemu i dopiero tego dnia Wincentowicz z listem nadjechał. Generał tak był uciśnięty potrzebą grosza i obawą oń, że nie spytawszy się nawet o szambelana, powitał łowczego zapytaniem:

— A masz pieniądze?

Listy i pieniądze przywiózł szczęściem Wincentwicz, od Stelli oblany łzami i od starego ks. Norberta ręką sekretarza, krótki, ale rzewny. W przypisku donosił, że żądane pieniądze przysyła. Generał, który się zawodu i wstydu obawiał, lżej odetchnął. Były to te same tysiąc czerwonych złotych, które Robertowi wprzód dano na klejnoty dla jego bohdanki.

Po ubogim ks. sufraganie, wyjąwszy te długi, które Brańsk zapłacić był obowiązany, nie zostało nic — żadnego kosztownego sprzętu, żadnej prawie pamiątki. Ostatnie ofiary dla familii zmusiły go do zostawienia srebra trochy i drogocennych klejnotów. Kościelne przybory, infuły, pastorały, krzyże przekazał zakrystji kolegiaty. Przejrzenie izdebek które zamieszkiwał, zdumiewające odkryło ubóstwo. Sukni nawet i bielizny mu brakło, a nikt o tem nie wiedział, nikt tego nie dostrzegł. Czego nie oddał rodzinie, zabrali jego ubodzy, bo tych także swą rodziną w Chrystusie nazywał.

Przy pogrzebie płacz i żal był wielki, cisnęły się tłumy ludu, a nawet różnowierców, bo biskup ubogich wspierając, różnicy między ludźmi nie czynił, — wszyscy dlań byli równymi.

Zaledwie ostatnie pieśni kościelne przebrzmiały i trumna do sklepów spuszczoną została, generał i ks. Robert pojechali nazad do Brańska, niepokojąc się już o szambelana.

Zastali go wprawdzie z książką od nabożeństwa w ręku, z oczyma zaczerwienionemi, ale daleko spokojniejszym, niż się spodziewali. Uściskał przybyłych rzewnie.

— Niema go więc — rzekł cicho — ubyła jedna święta dusza, powołana do orszaku wybranych Pańskich... Nie płaczmy nad nim — szczęśliw jest, my biedni!...

Tu zaczął rozpytywać go o zgon i chwile ostatnie, nareszcie o pogrzeb i wystawę, jaka księciu Brańskiemu do grobu towarzyszyć była powinna. Ogólnemi wyrazy Robert zaręczył, że się pogrzeb odbył, jak przystało i że niczego nie pożałowano, aby go uczynić godnym imienia, jakie nosił zmarły.

— Przysłaliście po pieniądze, to pojmuję, dodał ks. Norbert; jego pozostałości i kasa musiały być opieczętowane. Tak chce prawo, — boć sufragan pewnie znaczny po sobie majątek zostawić musiał w gotowiznie. Inaczej nie może być, oszczędnym był dla siebie, dochody musiały być bardzo wielkie, pieniądze być muszą. Testament zostawił zapewne?

Z tych złudzeń nie chciano wyprowadzać szambelana, ażeby go więcej jeszcze nie zmartwić. Generał ogólnikami go zbył, Robert milczał, popłakali się potem jeszcze, i szambelan usiadł kończyć nabożeństwo swe za dusze zmarłe.

Z trzech ich on jeszcze był najspokojniejszym, najwięcej zrezygnowanym. Smutek jego uroczysty, cichy już się z życiem godził i wszedł jako żywioł powszedni do niego. Szambelan naznaczył sobie modlitwy, jakie miał odmawiać, nabożeństwo, które powinien był kazać odprawić w kaplicy i kościele — popłakał i wracał do powszedniego trybu bez narzekań

i oznak nadzwyczajnej boleści. Wiek przytępił w nim, a raczej opanował uczucie tak, aby resztek życia zatruć nie mogło.

Wypadek ten. na pozór nie mogący wpłynąć na losy rodziny, przyczynił się wszakże do pogorszenia jej położenia. Testamentem swym biedny ks. sufragan zaklina brata, ażeby ubogim, od których się był zapożyczył, aby przyjść w pomoc familii, jak najprędzej należności ich zapłacone być mogły. Czynił to. zaklinając ich i błagając, aby na sumieniu jego krzywda i łzy nie ciężyły, dodając, iż nie będzie mieć w grobie spoczynku, póki summy te spłacone nie zostaną.

Chciano zataić rozporządzenie ostatnie przed szambelanem, lecz prawo wymagało zakomunikowania go. Ograniczyć to jednak umiano do odczytania przez plenipotenta Gozdowskiego. Generał zapowiedział mu razem, iż bodajby z największemi ofiarami te sto kilkadziesiąt tysięcy znaleźć trzeba i natychmiast wypłacić.

Plenipotent słuchał, jak odurzony — w kasie nie było ani dziesiątej części tego, a na dochodach już położone zostały sekwestry. O pożyczce myśleć nie było podobna. Cóż począć mieli? Narada skończyła się rozpaczliwem przekonaniem o niemocy i bankructwie; generał jednak powtarzał swoje, że pieniądze te, bądź co bądź, zapłacone być muszą.

— Zkąd-że je mam wziąć, na miłego Boga? zawołał Gozdowski — proszę mi wskazać środki. Przed kilką miesiącami mogliśmy pocichu sprzedać lub zastawić jaki folwark, dziś już i tego tknąć nie mamy prawa.

— No — to ruchomości jeszcze nie przyaresztowano — przerwał generał — sprzedajmy, co się da tylko spieniężyć.

Spojrzał na Roberta; Robert, który się nigdy nie sprzeciwiał, powtórzył:

— Sprzedać.

— Cóż mamy do sprzedania srebra, obrazy, to co jest do codziennego w domu użytku; w takim razie nie-

odzownie szambelanowi o tem powiedzieć potrzeba. bo ukryć niepodobna.

— Zobaczymy! rzekł generał.

Po odejściu Gozdowskiego dodał:

— Poczciwy człowiek, ale do niczego — interesów robić nie umie.

— Kochany stryju, przyznam się, że ja tu także nie widzę środka — dodał Robert.

— Zapewne, powszednie środki są wyczerpane — ale — zobaczymy, zobaczymy, szukać musimy nadzwyczajnych.

I wyszedł ze spuszczoną głową, jak gdyby ich na ziemi oczyma w nią wlepionemi szukał.

Trzeciego dnia potem, pan generał wszedł zrana, zacierając ręce skostniałe, do pokoju szambelana.

— Wiesz, bracie — odezwał się — dobrze robisz, że nie wychodzisz z pokoju swego; powietrze nagle się ostudziło, wcale zimno. W tych wielkich salach piece się popsuły, wytrzymać nie można, a że zimą trudno restaurować, nie wiem, jak się urządzimy. Jeszcze na dobitkę postrzegłem wczoraj niebezpiecznie zrysowany sufit w żółtej sali i kazałem rusztowaniem go podeprzeć. Wypadnie aż do wiosny część zamku zupełnie oddzielić i bez niej się obchodzić.

Szambelan słuchał opowiadania nadzwyczaj zdziwiony i zaniepokojony. Dla niego formy i nawyknienia życia były niezmiernej wagi, nie pojmował prawie, jak się potrafi ograniczyć mniejszą liczbą pokoi, oswoić z umieszczeniem gdzieindziej swego krzesła, swych go-

dzin, nauczyć jeść i pić w innem miejscu i w innych warunkach. Staruszkowi zawracało się w głowie, zmarszczył brwi.

— Cóż bo to znowu jest? — zawołał — za moich czasów nigdyby się nic podobnego trafić nie mogło. Dopuszczono do tego, że się pałac wali na głowy? Jak to może być? Wszakże to natychmiast da się naprawić. A nuż przyjadą goście i trzeba będzie przyjąć kogo?...

— Tymczasem tak jest — odezwał się ks. Hugon, musimy się trochę ścisnąć, nie potrwa to dłużej, jak do wiosny. Kazałem z Robertem przy tej zręczności opatrzyć budowniczemu całą główną budowę pałacu. Na piętrze i na dole ukazały się rysy wcale niebezpieczne; należy na zimę to pozamykać, oddzielić, podeprzeć, a z wiosną weźmiemy się do restauracyi koniecznej. Ty na tem nawet dla zdrowia swojego zyskasz, mój bracie, nie będziesz potrzebował przechodzić tyle zimnych pokojów, salonik urządzimy tu blisko. Z tamtych zaś musimy obrazy i sprzęty nawet powynosić i pochować w bezpiecznem miejscu, ażeby to nie uległo zniszczeniu.

Szambelan słuchał, widocznie przeciwić się rzeczy już postanowionej nie chciał, a przykro mu było.

— Ruina! westchnął — ruina! nie wiem, czem się to dzieje, wszystko się koło nas wali, niszczy, upada. Robert taki zdolny człowiek, Gozdowski do nas przywiązany i gorliwy, a mimo ich starań czuć jakoś, że się rozprzęga i rozpada. Jakże to pałacowi można była dać tak się zniszczyć i nie spostrzedz, nie zapobiedz!

— Temu się zaradzi, rzekł generał, bądź spokojny, ale zimę przebędziemy trochę zamknięci i w ciaśniejszem kółku. Mamy naszych poczciwych przyjaciół i domowników, to nam starczy.

Zasępił się szambelan i palcami bębnił po stoliku, usta zagryzł, nie mówił nic. — smutno mu było.

— Ja ci powiem, dorzucił brat, przechadzając się ciągle i udając dawne swe zamaszyste chody żołnierskie, o których był zapomniał, mnie przychodziła ta myśl, że tu przy tej fabryce, stukaninie, tobie wygodnie nie będzie i mogłoby być lepiej bodaj nawet zimę z nami spędzić — w Warszawie. Skromnie, cicho, jak na wsi, żylibyśmy sobie maleńkiem kółkiem. Mniejby to nas wszystkich kosztowało, a teraz takie ciężkie czasy!

— Ja tu ze wszystkiego widzę, czuję, że nie idzie tak, jakby powinno, począł ks. Norbert, bijąc palcami po stole, lecz twój projekt warszawski wcaleby nam oszczędności nie przyniósł. Policz-że no: ja, ty, Robert, Stella, a ona się bez Antoniny nie obejdzie, tyle sług, dworu, koni...

— Moglibyśmy się troszeczkę ścisnąć i ograniczyć.

— Bardzoby to dobrem było, gdyby było możliwem, zawołał szambelan z pewną niecierpliwością. Zapominacie, kim jesteśmy i że nam niewolno pokazać się na świecie nie tak, jakby dla Brańskich przystało. Na wsi jeszcze łatwiej zmniejszyć etat dworu, ale w mieście! My tam reprezentować musimy całą wielką przeszłość domu i rodu. Jakże ty tego nie pojmujesz?

— Królowie przecie jeżdżą incognito.

— Ale nie tacy, jak my, książęta; królom to nie uwłacza, nas posądzą o bankructwo, a przyznam ci się, bracie, niby mnie więcej nad to nie zabolało.

Generał przestał mówić, stanął, dech w sobie zapierając.

— O tym więc projekcie warszawskim ani mowy być nie może, kończył stary książę, ściśniemy się i przeżyjemy tak, choć nie bez wielkiej dla mnie przykrości, to ci wyznać muszę.

— Lecz jakże inaczej? spytał generał.

— Ja na waszej łasce jestem, śmiejąc się, dokończył ks. Norbert, czyńcie, co się podoba, nieradbym tylko, żebyście mnie z moich pokojów wyrzucali. Ja tu już nie rządzę, nie dysponuję, do niczego się nie mięszam. Będę posłusznym, muszę być posłusznym.

W tej pozornej pokorze czuć było wszakże tro-

chę bólu i nieukontentowania. Zamilkł a po krótkiej chwili począł:

— .Więc jakże tam? całą zimę w małym saloniku? a tamte ogołocicie? hm? Więc chyba i większego stołu dla gości tu zastawić już nie będziemy mogli, ani kredensów, ani sreber.

— Właśnieśmy srebra, obrazy i kredensy pakować kazali.

— Już pakować? cóż to jest? na miłość Boga? co to jest? tak pośpiesznie, słowa mi nie powiedziawszy? Rozporządzacie się tak... Toż sama przyzwóitość wymagała, żeby mnie Robert spytał przynajmniej. Ja się nie mieszam do niczego, abdykowałem, to prawda, ale niemniej jestem choćby honorową głową domu.

— Robert nic nie winien; tą szarą gęsią, co się tak rządzi samowolnie, jestem ja, mówił generał, i przepraszam pana brata. Strach mnie wziął, rozkazałem zaraz znosić wszystko i w paki. Okropne rysy na murach.

— Gdzież u licha? gdzie? jakie rysy? nigdym ani skazy nie widział? zkąd się wzięły?

— Nagle, powiadam ci, cóś musiało pęknąć w belkach; zjawiło się to, zdaje się wczoraj, i szczęście, żem natychmiast dostrzegł...

— Nic nie rozumiem! dalipan nic nie rozumiem!

— Ma foi, ani ja, ale fakt, cóż począć?

— Za pozwoleniem, przerwał nagle szambelan, zatem należy program pewien ułożyć. Gdzież? jak jadać będziemy? ile osób salka zmieści? Może już i zamiast saskiej porcelany, dacie nam fajans celichowski? hę?

— Co do kosztowniejszych serwisów, te pewnie pochować każę, dorzucił generał, jak zaczną się z tem nosić przez podwórze, bo to teraz komunikacye będą pozrywane, to najpiękniejsze celadony nam potłuką.

Mruknął z nieukontentowania stary, i rzucił ręką.

— Róbcie, róbcie sobie, co chcecie, niczemu się nie sprzeciwiam, jak wam się zda lepiej, lecz że to będzie

wyglądać na bankructwo i nagłą jakąś ruinę, to pewna. Ale program, program, generale?

— W twojem życiu się nic nie zmienia, program zostaje dawny, godziny też same, jedyna różnica ta, że zamiast do wielkiej sali, przyjdziesz na obiad o dwa kroki, a bilard ci każemy przenieść tutaj.

— Bardzo dobrze, róbcie, jak się podoba; zastosuję się, zastosuję, byle gości nie było, bo w takim razie przyjąć ich nie będzie gdzie.

Generał pomyślał, że goście pewnie nie przyjadą, bo tam, gdzie czuć ruinę, nikt się nie ciśnie, każdy od niej ucieka.

Po tej rozmowie, która wiele kawalera maltańskiego kosztowała, wyszedł on z pokojów szambelana, rad, że mu ciężar spadł z ramion, i pośpieszył do Gozdowskiego, który na niego czekał w pustych pokojach. Sale już były pozamykane i kilką drągami czyli naprędce zniesionemi belkami popodpierano sufity, które wcale pękać nie myślały, gotowano paki na srebra, porcelany i obrazy. Z archiwum podobywane rachunki świadczyły, jak kosztowne one były, zdało się, że w najgorszym razie opłacą przynajmniej najpilniejszą należytość — wierzycieli ks. sufragana. Robert stał tu także, jak zwykle, niemym i obojętnym świadkiem, a i jemu w oczach się ćmiło i żal dziecinny może ściskał serce na widok tych pamiątek domu, mających się między ludzi rozproszyć. Jedna Stella była mężną i czynną, czego się po niej nikt może nie spodziewał. Gozdowski z uwielbieniem patrzył na nią.

Widok tego pokoju miał w sobie cóś niewymownie smutnego, jakby inwentarz po zmarłym. Znoszono tu, co stanowiło chlubę i bogactwo domu, rzeczy zapomniane, niedobywane i niewidziane dawno, które jakąkolwiek wartość mieć mogły. Cała podłoga zastawioną była srebrem z różnych epok i pochodzenia rozmaitego. Staroświeckie misy i roztruchany, półmiski, wazy, stosy talerzy, paki łyżek, tuziny lichtarzy i kandelabrów, pozłociste puhary, nalewki, miednice, wyprawne jeszcze babek i matek, ze-

brały się razem, powywracane w pośpiechu, zwalone, jak łom, na kupę. Można było przeczuć, że jako srebro i na wagę kruszcu sprzedawać się będą. Pamiątkowa i artystyczna wartość tych cennych wyrobów zniknęła.

Dwóch służących wniosło ze skarbca stary, dawno nieużywany hetmański stół srebrny i sporą wannę, którą kochający małżonek, wojewoda podlaski, niegdyś dla żony był sprawił. Na wielkich ucztach rozlewano z niej później czerpakami wino dla szlachty. Miała pozłociste obręcze i lwie złocone głowy przy uszach.

Przy ścianie szeregiem stawiono cenniejsze obrazy, skupowane niegdyś za granicą przez dziada i ojca ks. Norberta. W drugiej stronie stawili kredencerze serwisy saskie, drogo opłacone za lepszych czasów. Ogałacano dom ze wszystkiego, byle z tych ostatków dług sumienia spłacić i choć grosz jaki zachować na straszne dni czarne.

Z nieubłaganą gorliwością, z gorączką chodziła Stella, przynosząc sama, co inni zachować chcieli i ocalić. Lica jej pałały, oczy paliły się, choć powieki pełne były łez gorących.

— Stelko! dziecko moje, nie męcz się, wołał generał, niech to już inni wykonają, nadto cię to kosztować będzie.

— A! nie, stryju, ja dopilnuję aby nie zostało nic, bez czego my się obejść możemy, a co ojcu i wam zapewnić może, przedłużyć swobodniejsze życie. Od razu spełniona ofiara lżejszą będzie, nie dzielmy jej!...

— To pamiątki! To drogie pamiątki, szeptał ks. Hugon, a dziś to już tylko kruszec, który pójdzie i stopnieje w ręku żyda. Składały się na to sztuka, myśl, dzieje, serce zrobiło z tego świętość, lecz wszelka rzecz ziemska umrzeć musi!

Odwrócił się biedny stary, patrzyć nie mógł. Stella wybiegła i po chwili wróciła, niosąc w chustce kilka pudełek z safianu; były to ze szczęśliwych też czasów spadki jej po matce, podarki ojca: sznury pereł, naszyjniki z ametystów, brylantowe kolce, złoto i kamienie, uśmiechające się weselem, szczęściem, woniejące jeszcze ucztami i muzyką. Bez żalu złożyła je z innemi kosztownemi rzeczami na ziemi.

— Do czego to mnie? — rzekła cicho, ja tego nie potrzebuję; wzdrygałabym się, patrząc na to żem śmiała ocalić, gdy wszyscy rzucali na pastwę losu, co kto miał najdroższego. Jeden ślubny pierścionek matki wyproszę, tego dosyć...

Odwróciła się, rzucając pudełka. Robert się chciał opierać, ale odtrąciła go lekko.

— Bracie, nie czyń mnie samolubnem dzieckiem, zawołała, niech będę mężną niewiastą; przecię rycerska krew płynie w mych żyłach.

Takim to głosem wyrzekła, że oczy przytomnych wszystkich podniosły się na nią. I łzy nie miała już w oku; stała promieniejąca cała, jakby zwycięzka, jakby dumna sobą.

Ks. Hugon przypadł, całując ją po rękach.

— Dziecko święte! zawołał, ma foi! dałaś mi naukę wielką! poco ja mam chować dla siebie to, com tak kochał. Niech idą na sprzedaż kosztowne zbroje i puklèrze, miecze i wszystko. Pakować moję zbrojownię! książki moje, co tylko się sprzedać może!

Robert i Stella z okrzykiem sprzeciwili się temu, lecz generał naprawdę począł się gniewać.

— Przyszła godzina ofiar, ja się wyłączać nie chcę, nie mogę, byłbym we własnych oczach spodlony! Com rzekł, to uczynię. Panie Gozdowski! proszę o paki! Niech idzie wszystko! Życie moje nie długie, a honor milszy nad nie.

W chwili, gdy słudzy znosili obrazy, Robert postrzegł między innemi przepyszny portret Rubensa, który do najcenniejszych należał. Niegdyś, gdy wywieziono go dla restauracji do Drezna, ofiarowano zań około trzech tysięcy talarów do galerji tamtejszej. Historja portretu była ciekawą, pochodzenie nieulegające najmniejszej wątpliwości.

Jeden z przodków domu, z Władysławem IV

znajdując się za granicą, gdy Rubens malował ów sławny wizerunek królewicza, znany ze sztychu Pontiusa. zażądał też posiadać dzieło arcymistrza i wymógł na nim, że mu w dwóch czy w trzech dniach to płótno z natchnieniem i werwą sobie właściwą wykończył. Znać było w niem, że artysta-dyplomata robił je dla miłego towarzysza i dobrego przyjaciela, jakim był ks. Brański; znać było, że złotem pewnie pokrył mu druh to unieśmiertelnione życie, chwycone i zatrzymane w biegu. Nie był to portret zimny i urzędowny. ale fantazją artysty. igrającego sobie z najtrudniejszem zadaniem, z wydarciem głębinom człowieka tego typu, którego on jest urzeczywistnieniem; był na nim ów młody książę w całym swym blasku swych lat dwudziestu kilku, swej buty książęcej, swojego szczęścia i sławy. Twarz, zbroja, suknia, postawa. wszystko stanowiło całość cudowną, zrosłą w jedno dziejów przeszłości słowo.

Wizerunek był, jako artystyczne dzieło. przepyszny, lecz razem nieoszacowany, jako pamiątka. Przekazywały go sobie z poszanowaniem pokolenia. historją jego zapisywano w inwentarzach, opowiadano, przeszła ona w tradycją i z dumą powtarzano ją do dziś dnia.

Na widok portretu generał i Robert pobledli. spojrzeli na siebie, żaden z nich wyrokować nie śmiał, czy i on miał iść w świat, aby przynieść garstkę złota zubożonej rodzinie. Sługa instynktowo. jako rzecz drogą i cenną, przyniósł go tu. stawiając obok jakiegoś szacownego Teniersa jarmarku i Wouwermana pary koni. Nikt się nie śmiał odezwać w obronie drugiego portretu.

— Dawano za niego trzy tysiące talarów, rzekł Gozdowski, to mi sam pan szambelan zaręczał.

Trzy tysiące talarów! dziś. gdy one stanowiły o zapłaceniu wdowie jej długu, sierotom ich chleba kawałka. gdy niewiadomo było. czy wszystko to starczy na zmycie grzechów przeszłości... Ks. Hugon odwrócił się, żeby nie patrzyć, Robert zmilczał.

Z całego domu tak znoszono, co miało wartość

jakąś. aż do gobelinów, które okrywały ściany jednego gabinetu. aż do drogich cacek, co dwa i trzy wieki spokojnie na stołach drzemały, świecąc misternemi rzeźbami i wysadzaniami swemi. Cały salon zarzucony był. nabity.

Pośród tych gruzów przeszłości generał, Robert i Stella stali, jak ofiarnicy, nie mogąc się od nich oderwać. Słudzy zawijali i pakowali, a z każdym sprzętem szła w zapomnienie pamięć czynu, ofiary. zdarzenia, jedno ogniwo tradycji łańcucha, który raz zerwany, nigdy się już zrosnąć nie może.

Gozdowski był tym katem, co miał zadać śmierć drogim zabytkom. Należało się śpieszyć, ażeby wieść o wywożeniu kosztowności nie spowodowała jakiego kroku ze strony wierzycieli; dlatego dobrano sługi najprzywiązańsze i przy zamkniętych drzwiach odbywała się ta egzekucja, a paki dopiero nocą na wozy zabrane być miały i nocą transportowane pod dozorem Wincentowicza i Burskiego. Potrzebnem też to było i dlatego. ażeby z okien swych szambelan nie dostrzegł, co się działo.

Cały ten dzień zszedł na spisywaniu regestrów, na szacowaniu i obrachunkach przybliżonych. Niestety! ci, co się nigdy nie wyprzedawali. nie wiedzą o tem, jak różne są ceny nabycia i sprzedaży, fantazji i spekulacji, jak zawsze mylne są owe przybliżone rachunki, oparte na rzeczywistym rzeczy szacunku. Generał i Robert nadzwyczaj też wielkie i przesadzone pokładali nadzieje na tej dobrowolnej i heroicznej ofierze, która, zdaniem ich, niemal zbawić ich miała.

Ponieważ przed nocą jeszcze musiał się Wincentowicz w drogę wybierać dla dozoru pak z kosztownościami, zaciężył mu na sumieniu ten Zembrzyński, którego odkrył przypadkiem i posądzał o wpływ na interesy książąt. Postanowił tegoż dnia jeszcze wszystko opowiedzieć generałowi.

W chwili właśnie, gdy on zbroje swe zrzucał ze ścian i z zimną już krwią kazał zabierać, wszedł, prosząc o posłuchanie, pan łowczy. Udzielił mu go chętnie ks. Hugon i z przykładną cierpliwością całej historji ze wszystkiemi jej szczegółami wysłuchał. Zrazu nie bardzo zrozumiał, na co mu się ona przydać mogła; uderzyła go potem, jak cóś tajemniczego tłomaczącego do pewnego stopnia upadek podstępną intrygą, zatem zdejmującego winę ruiny tej z rodziny samej, zrzucając ją na knowania ukrytego nieprzyjaciela. Nic przyjemniejszem być nie mogło, pochlebniejszem miłości własnej familii. Począł się więc generał przysłuchiwać i wypytywać coraz więcej tem bardziej, że nigdy w życiu, ani od brata, ani od bratowej nic o podobnym wypadku nie słyszał. W innych okolicznościach byłby się śmiał z tej anegdoty, wskrzeszonej ze wspomnień przed pięćdziesiątletnich, teraz w tem usposobieniu wydała mu się prawie ważną.

Ten nędzny robak, podgryzający powoli korzenie odwiecznego dębu, zdał mu się prawdopodobnym. Trzeba było, zdaniem jego, w istocie mściwego wysiłku długiego, aby olbrzyma obalić. Inaczej ruina ta, dla innych przewidziana i naturalna, dla generała niezrozumiałą stawała się zagadką. Chwycił się opowiadania o Zembrzyńskim z wielkiem zajęciem.

— Gdzież on jest? przy mecenasie? co robi? dla

czego tu przyjeżdżał, niby skryty pod maską jakąś? Tegoby należało dośledzić. Jeżeli w istocie odgrywa taką rolę, możnaby zapewne wprost trafić do niego.

Wincentowicz wszakże objaśnić wiele nie umiał i po za wypadek u Żurbów nie sięgał domysłami nawet.

— Gdybym to był mógł wiedzieć, dopóki byli na miejscu, dałoby się może cóś dojść, zrobić; teraz... trudno. Zawsze jednak dziękuję ci, mój poczciwy Wincentowiczu za twą gorliwość o nas. Bóg zapłać! Jeślibyś więcej czego mógł dojść, daj mi znać. Schwyciłeś jakąś nić czarną, po której do źródła nieszczęść naszych możeby dojść można.

Łowczy, niezmiernie uszczęśliwiony, że tu przynajmniej oceniono ważność jego odkrycia, wyszedł, obiecując sobie dołożyć wszelkiego starania, ażeby się czegóś więcej o Zembrzyńskim dowiedzieć.

Los, który czasem dziwne wyprawia igraszki, tym razem usłużył Wincentowiczowi nad wszelkie spodziewanie. Wyjechali on i Burski, dobrze zbrojni, przeprowadzając paki z kosztownościami, a droga właśnie szła na Lublin, i w mieście im nocleg przypadł. Zdaniem jednak obu nocować w mieście było niebezpiecznie; obrali sobie do odpoczynku gospodę Zelmanowicza na Winiarach, zapowiedziawszy wprzódy woźnicom, ażeby spytani o paki, mówili, iż przewożą archiwum i książki. Jest to rzecz wielce szacowna, na którą wszakże złodzieje i rabusie jak najmniej się łakomią.

W gospodzie Zelmanowicza byli, jak w domu, mogli do niej nikogo nie puścić, straż postawić i spocząć nieco. Gospodarz przyjacielski, gadatliwy, wszystko się tu uśmiechało. Jakoż dociągnęli tu na noc, zastali dom pusty, wszystkich na usługi, pozamykali wrota i roztasowali się na spoczynek do świtu, gdyż o brzasku dnia ruszyć mieli w dalszą drogę.

Wincentowicz, ile razy bywał w Lublinie, zawsze zajeżdżał do Zelmanowicza, który z nim nagadać się nie mógł. Burskiego, z natury milczącego, zosta-

wiwszy przy wozach, łowczy z fajeczką wyszedł z Zelmanowiczem przed dom. Noc była śliczna, gwiaździsta, księżycowa.

Na tle jej w niewielkiem oddaleniu malowniczo rysowała się ta odrapana pustka, którą znano pod imieniem Firlejowszczyzny. Gadało się o tem i owem, aż (są wypadki osobliwe) Wincentowicz ni ztąd ni zowąd spytał gospodarza. co za ruina się tam wznosi, czyby to był dawny pałac, czy klasztor?

— At! to jest tak sobie zapuszczona kamienica, rzekł, ramionami ruszając, żyd. Kupił ją jakiś lichwiarz, skąpiec, dusigrosz, i siedzi w niej, czekając, aż mu na łeb zleci.

— Czy żyd?

— A gdzie zaś! Żydby przecię choć połatał. a jakby miał za co, wyporządziłby i miał dobrą intratę, ale to taki osobliwszy człowiek, co jego zrozumieć nikt nie może. Bardzo bogaty, a skąpy. My koło niego mieszkamy tyle lat. a czy ja go znam? czy on do mnie choć zagadał?

— Cóż to za dziwak?

— Nikt nie wie. ani zkąd przyszedł. ani dokąd idzie. Ani dzieci, ani żony, ani nikogo, tylko stara kucharka.

— Jak się zowie? z roztargnieniem spytał Wincentowicz.

— Zembrzyński.

Łowczy podskoczył i wpadł obcesowo na Zelmanowicza, aż go nastraszył.

— Zembrzyński? na miłość Bożą! jak wygląda? stary? młody?

Gospodarz. który miał czas ochłonąć. zdziwiony tą niepomierną ciekawością Wincentowicza. począł mu opowiadać, co tylko o Zembrzyńskim wiedział. naostatek musiał mu go jeszcze opisać, jak wygląda. jak się nosi.i t. p.

Na dole w Firlejowszczyznie się świeciło; łowczy spojrzał na zegarek. nie było nawet ósmej jeszcze, a w mieście nie jest to tak bardzo późna godzina.

— Jak mi Bóg miły. zawołał, przecież mi głowy za to z karku nie zdejmie. jeśli inny, to przeproszę. jeśli ten sam, to muszę z nim się widzieć koniecznie.

I krok zrobił ku Firlejowszczyznie. Zelmanowicz tyle tylko na nim wymódz potrafił, że poczekał, aż przyniesiono latarkę, bez którejby w sieniach nie trafił. Potem ostrożnie doprowadził go przez kupy śmiecia do drzwi, stojących jeszcze otworem. bo Stroczycha właśnie wyszła po wodę i cofnął się ku drzwiom swoim. Wincentowicz śmiały bardzo, a tu miłość ku Brańskim go pchała i własna też miłość. by dojść tajemnicy, o którą wypadkiem już potrącił.

Z pomocą latarki znalazłszy drzwi i otwarłszy je, zaledwie stanął w pierwszej pustej izbie, gdy chód obcego człowieka usłyszawszy. Zembrzyński w brudnym swym szlafroczku wypadł przestraszony, wołając:

— Kto tam? po co?

— Przepraszam, odparł Wincentowicz, z interesikiem na chwileczkę.

Po głosie i po cieniu samym poznał już, że z tym samym Zembrzyńskim miał do czynienia.

— Co za interes? z jakim interesem? po nocy nachodzić? Co to jest? ja nikogo w nocy nie przyjmuję.

— Ósma godzina, nie noc, dodał, spokojnie krocząc. Wincentowicz, nie bój-że się asindziej, nie rozbójnik jestem, ale człek spokojny... Dwa słowa.

— Jutro. jutro.

I chciał już się zaryglować ze środka mały człowieczek, gdy łowczy silną dłonią za drzwi ujął. otworzył je mimo oporu, wyciągając gospodarza z niemi do sieni, i żwawo wdarł się do mieszkania. Sposób, w jaki się tu dostał, nie był wcale uspokajający. niedziw też, że Zembrzyński aż krzyczeć zaczął. Wincentowicz stał spokojny. nie mówiąc słowa. póki nie zamilkł, śmiał się tylko.

— Na miłość Boga! przebacz mi pan natręctwo, ale

się nie lękaj, daję panu słowo, że w żadnym złym zamiarze nie przychodzę.

Przypatrzywszy się postawie, ubraniu i latarce w ręku, stary się trochę utemperował, burczał jednakże.

— Ja nie mam żadnych interesów, co to za najście.

Wincentowicz przyglądał mu się, Ten sam! rzekł w duchu.

— Interes bardzo krótki, ale mi pan pozwól usiąść i posłuchaj, mówił, umyślnie przeciągając. Rzecz jest taka. Pan się zowiesz Leon Zembrzyński? Wszak tak?

— Kto to panu powiedział?

— Choćby mój gospodarz, Zelmanowicz.

— A niech go, żyda tego, diabli wezmą, pospiesznie począł Zembrzyński, co on tu ma do mnie?

— Czy nazwisko ma być tajemnicą?

— Co komu do tego, jak ja się nazywam, najsłodszy panie, co, co komu do tego?

— Mnie i imię i nazwisko pańskie przypomniało dawnego towarzysza na dworze ks. ks. Brańskich. Zowię się Polikarp Wincentowicz, przypomnij pan sobie też? hę?

Zembrzyński oniemiał, podniósł oczy zgasłe, popatrzył i nic nie mówiąc, głową kiwał, ramionami ruszał.

— Nie przypominasz pan sobie? powtórzył łowczy.

— Nie! cichym głosem rzekł Zembrzyński, jak gdyby mu w gardle nagle zaschło, nie.

— Ale to nie może być? jakże? to ja po pięćdziesięciu z górą latach, gdym zdaleka jegomości zobaczył, oto niedawno asystującego mecenasowi u Brańskich, zaraz go poznałem, a jegomość by mnie, słysząc nazwisko moje, nie mógł sobie przypomnieć? hę?

— Nie! tym samym głosem dziwnym, stłumionym i wyraźnie kłamiącym, odparł gospodarz. Ja... tego... nie wiem o żadnym mecenasie, dodał, trzęsąc głową, daj mnie pan pokój.

— Nie mogę, zawołał Wincentowicz, podnosząc się, waćpan mi w żywe oczy kłamstwo zadajesz. Ja waćpana widziałem, gdyś za mecenasem chodził pokornie aż do krzaków, a w krzakach toś go za guziki brał i po ramieniu klepał.

Zembrzyński, słysząc ten gniewny głos, wzdrygnął się, odskoczył; zaświeciły mu oczy złe, kocie, żółte, straszne, usta ściął i pięść zacisnął.

— Szpieg! zdrajca! bełkotał prędko i niezrozumiale. No, to co? Co wam do tego, dokąd ja jeżdżę i co ja robię?

— Ale nie gniewaj się, Leonku, nie gniewaj, bo ci jeszcze co niemiłego przypomnę, rzekł, śmiejąc się, Wincentowicz; mówmy, jako starzy towarzysze, co na jednym kobiercu nahaje brali, mówmy spokojnie.

— Ja waćpana nie znam! ja ciebie nie znam! szpieg podły! wołał, pieniąc się niemal, Zembrzyński. Jak wy mnie śmiecie w moim domu nachodzić? Co to? sędzia śledczy? co to? policyant? czego ty chcesz? idź precz!

— Ale, kochanie moje, panie Leonie, odparł łowczy, usiłując utrzymać się przy cierpliwości, ty mnie nie znasz, a ja ciebie znam, ty ze mną mówić nie chcesz, a ja z tobą muszę. Co ty mi zrobisz? Nie lepiej-że spokojnie siąść i rozgadać się?

— Ja nie mam co z tobą gadać! wrzasnął, tupiąc nogami, Zembrzyński i odwróciwszy się do drzwi, od których kroki słychać było, począł wołać: Stroczycha! ratujcie, gwałt! biegaj po policyą gwałt! gwałt!

Ale w tej-że chwili Wincentowicz szeroką dłonią gębę mu zatulił, porwał za kołnierz i szamoczącego się rzucił na łóżko. Stroczycha zaś przestraszona, zamiast na ratunek przyjść panu, wpadła do swej izby i zaryglowała się jak najmocniej. Była pewną, że złodzieje napadli, a że miała w węzełku kilka złotych, najprzód pragnęła je ocalić.

Tymczasem łowczy, stojąc nad tapczanem, perorował:

— Czego ty się rzucasz? kwiczysz? warjujesz?

Przyszedłem do ciebie po przyjacielsku, po koleżeńsku, nic ci nie zrobię, nie poruszaj mnie do złości; potrzebuję z tobą pogadać, i gadać ty mi musisz!

— Czegóż chcesz? co ze mnie masz wydrzeć? krzyknął Zembrzyński.

— Muszę się u ciebie dowiedzieć, coś robił z mecenasem w Brańsku i dla czego inaczej z nim byłeś w pokoju, a inaczej w lesie? Powiem ci krótko, posądzam cię, że się mścisz teraz na książętach za ten sławny policzek, który dostałeś niewinnie, ale dziś, tobyś go był wart, jeśli na ich zgubę czyhasz. Gadaj!

Tak zagadniony Zembrzyński dźwignął się powoli z tapczana, oczów nie spuszczając z Wincentowicza, otulił się szlafrokiem, wlepił znowu wzrok zdziwiony w swego przeciwnika, odchrząknął i zupełnie złagodzonym głosem rzekł:

— O! toś mnie waćpan nastraszył!

Z kolei łowczy zdziwiony został tą nagłą zmianą tonu.

— A jak to asindziej, łaskawy dobrodzieju, hę? wszystko doskonale pamiętasz, to osobliwość!

— Prawda, że pamięć mam, jak mało, mówił łowczy, ale do rzeczy...

— Do jakiej rzeczy?

— Po co jeździłeś z mecenasem?

— Czy waćpan, panie Polikarpie, pewny jesteś, że ja tam byłem z mecenasem.

— O, duszyczko ty moja niewinna, tak pewny, jak że cię tu trzymam przed sobą.

— No, to dobrze, dobrodzieju łaskawy, to dobrze! I cóż z tego, ja sobie żyję, jak mogę, przepisuję przy mecenasach, a że się trochę znam na prawie, oni się mnie radzą. Widzisz, kochanie moje, ja jestem nędzota, biedota; oto ta pustka, to i na tej są długi, szczerze ci powiadam, są długi ogromne. Ratuję się, jak mogę, czem mogę, zwyczajnie nędzny człowieczyna.

— Otóż łżesz, grubiańsko rzucił mu w twarz Wincentowicz, znają tu ciebie, tyś lichwiarz i masz pieniądze.

— A gdybym tam odrobinkę miał, to co? to dla tego nie potrzeba pracować przy mecenasie?

Łowczy głową kręcił.

— Coś ty mi tak pleciesz, jakbyś chciał oplątać; widziałem cię, jakeś go żgał i podpowiadał mu, co ma robić z Brańskimi.

— A cóż ja jemu podpowiadałem? spytał Zembrzyński, to powiedz-że, co? hm? A mnie co do tych waszych Brańskich? oni mnie nie znają, ja ich nie znam. Że tam na smarkacza książę się pogniewał i wyczubił pół wieku temu, co to ma za znaczenie? Ja o tem nie pamiętam, nic a nic. At! głupstwo!

Wincentowicz słuchał, słowa go niby przekonywały, a w sercu zawsze zostawała wątpliwość. Ile razy nań spojrzał z ukosa Zembrzyński, w błysku tych płowych oczów widział i czuł zdradę. Nie chciał go tak puścić i odejść, nie dotarłszy do dna.

— No to chwała Bogu, odezwał się, udając uspokojenie, teraz mi się wszystko tłumaczy i cieszę się, żem się z waćpanem rozmówił, leżało mi to na sercu. Waćpan nie znasz książąt tylko od tego nieszczęśliwego zajścia, którego książę pewnie do dziś dnia żałuje. To są ludzie zacni, panowie dobrzy; my ich tam, starzy sługy, kochamy i wielbimy. Ich nieszczęście dotyka nas, jak własne. Wiesz, panie Leonie, ja ci jedno tylko powiem, żeśmy się sprzysięgli na tych, co na ich zgubę godzą i czyhają. Dowiemy się imion tych ludzi i daję ci słowo, choćbyśmy głowy potracić mieli, żaden z nich z życiem nie ujdzie.

Popatrzył na Zembrzyńskiego, który tchórzoskim sposobem pobladł, zaczął się trząść, a potem nagle się zaśmiał:

— A mnie tam co do tego? to sobie głowy kręćcie i drugim choćby, ja tam do niczego się nie mieszam. Przecież jakie takie prawo jest, żandarmy, policje i sądy, to się sobie rozprawicie, jak burdę zrobicie.

— Burdy nie, odparł Wincentowicz, ale kryminał, to pewna, żydzi, lichwiarze, niegodziwcy...

— Czekaj, czekaj, dobrodzieju łaskawy, rzekł Zem-

brzyński, a pożyczali oni pieniędzy? hę? a zgodzili się płacić procenty? hę? a szastali cudzym groszem? hę? A to sprawiedliwość, potem za miły ich grosz ludzi zabijać? hę?

— Nie książęta też mścić się będą, ale my, ich słudzy i bez ich wiedzy. Wywrócicie gniazdo, spadną wam na łeb gałęzie, a ptaki polecą: my będziemy gałęźmy.

— Bądźcie sobie, czem chcecie, łaskawco kochany, co mnie to obchodzi? to tam nie moja rzecz, wzdychając, dodał z dobrze nastrojoną coraz słodszą miną Zembrzyński. Ot, po tylu latach spotkawszy się znowu, nie takby nam z sobą mowić wypadało, panie Polikarpie. Hę? kawał czasu, dobrodzieju łaskawy, kawał wielki czasu! zagadywał wyraźnie. Czyś się też jegomość ożenił? dziateczki są? konsolacja?

— Ani żony, ani dzieci! machnął ręką Wincentowicz. Jakże było myśleć o rodzinie, kiedy się nie miało własnego kąta na ziemi, a tułać się z nią, jak Cyganowi, to już lepiej nie mieć nikogo.

— Ja też, kochany łaskawco, westchnąwszy, rzekł Zembrzyński, przy tem mojem ubóstwie wprzódy myśleć nie mogłem o żonie, a teraz, kiedy tę klatkę dostałem, co jej nie mam za co poreparować, już zapóźno.

— Waćpan nie masz za co? podchwycił gość, et, czyż to może być? Żydzi cię lichwiarzem i dusigroszem nazywają?

— Żydzi! potwarcy, nieprzyjaciele Chrystusa i nas nieszczęśliwych chrześcian, począł gorąco Zembrzyński, co to za gadanie? Zmiarkuj-że asindziej sam, kochany mój dobrodzieju, czyż jabym dał tym murom tak się marnie rozpadać, gdybym miał za co je opatrzyć? Toć to przecię kamienica niegdyś firlejowska, a ściany grube i skepienia jeszcze dobre, możnaby co z tego zrobić, gdyby grosz był. A gdzie go u mnie. O miły Boże! złodzieje byli, a nic nie znaleźli. Bieda! nędza i po wszystkiem.

Wincentowicz, nieprzekonany wcale głosem i miną, nie mógł jednak nie uznać siły argumentu; któżby

się dał marnować swej własności, mając za co ją podźwignąć? Dobre człeczysko zaczynał się obwiniać, iż pono próżno z temi posądzeniami wpadł na niewinnego biedaka. Ten zwrot w przekonaniu pokrył chwilowem milczeniem. Tymczasem z podełba Zembrzyński mu się przyglądał niespokojnie, badając, jaki skutek mową swoją wywiera; poznał, że go zachwiał.

— Tak to, tak, dobrodziejku mój łaskawy, tak, tak! Bieda i koniec, komu przeznaczono, już się z niej nie wyplącze. Byle wreszcie było gdzie starą głowę położyć.

— Mnie się zdaje, że waćpan, panie Zembrzyński, taki trochę przesadzasz, a przecież sobie coś uciułać musiałeś, boś to sam przyznał.

— A! ojcze kochany! a toż przecię starość tuż, tuż za progiem, jakże tu nie myśleć o tem, by na dziady nie wyjść? Nikt kropli wodyby nie dał, gdyby jej nie było czem zapłacić; na czarną godzinę człek coś mieć musi... a ile tam tego? a! mój Boże. Przecież i asindziej, panie Wincentowicz, musiałeś też ze skórek lisich zszyć sobie jaką taką kożuszynę.

— Tak, i oddałem ją Brańskim, na ręce plenipotenta; oddaliśmy, co kto miał, wszyscy — do grosza.

— Czy to może być? porywając się z tapczana, krzyknął Zembrzyński, na co? po co? kropla w morze, a potem-że co?

— Oni tak, czy owak, uratują się, dodał łowczy, mam to najmocniejsze przekonanie. Wielkie rody, widzisz asindziej, nigdy nie giną, chyba same do pnia siekierę przyłożą.

Gospodarz popatrzył i ramionami ruszył.

— Hę? spytał, jak raz byłem na Wołyniu za grzybami — bo ja handluję, dobrodzieju najsłodszy, handluję — w karczmie u żyda, i to pod ławą, widziałem jednego księcia, jak mi Bóg miły, Był stróżem w karczmie, a pod wieczór się regularnie upijał! Hę? Dziwne są sprawy Boże.

— Dziwne, jednak niezasłużenie Bóg nie karze, do-

dał łowczy, a naszych zacnych i poczciwych książąt za co?

Zembrzyński z odpowiedzią się wstrzymał,.. i znowu rozmowę skręcił.

— Wy, panie Polikarpie, tu przejazdem?

— Tak. po drodze nocujemy u Zelmanowicza.

Liczba mnoga „nocujemy" uderzyła znać starego i spytał:

— To nie sam kochany łaskawca? nie sam? a z kim-że?

— Z Burskim jedziemy, a no jegomość go nie znasz.

— Nie znam, potrząsając głową, rzekł zaciekawiony nieco Zembrzyński. Nie mam tu jegomości czem przyjąć, choćby należało, dodał po chwilce, tu u mnie nędzota, biedota, ale jeśli przyjmiecie szklaneczkę miodu u Zelmanowicza. to proszę.

Chciał się widocznie w ten sposób pozbyć gościa, który też tu nie miał już co robić i wstał z krzesła.

— Czy ty mnie, panie Leonie, czy ja tobie postawię. chodźmy na lampeczkę. Trochę my się starli i nakrzyczeli; w gardle zaschło. daj rękę i do czasu—zgoda. Tylko mi ty książętom w drogę nie właź?

Ruszając ramionami i otulając się szlafroczkiem, z gorączkowym pośpiechem wstał z tapczana Zembrzyński.

— A już to ja zafunduję, zawołał, pozwolicie, tylko Stroczysze powiem, żeby domu popilnowała.

To mówiąc, wyszedł, aby się starej przelękłej dowołać, i z widoczną pociechą wyprowadził z domu swojego natręta, ciesząc się, że tak na sucho wszystko się skończyło.

Dla Zelmanowicza, który zawsze zdala i krótko widywał tylko sąsiada, było to osobliwe zdarzenie, że się do niego mógł zbliżyć. Postawił butelkę miodu, ale że Burski od wozów odchodzić nie chciał, a Wincentowicz samego się zostawić wzbraniał, wynieść musiano stolik z latarką do sieni, umieszczono go pod ścianą niedaleko od furmanek z pakami. i tak godzinkę tam przegadali przy lampeczkach.

Bystre oczy Zembrzyńskiego nietylko się dobrze przypatrzyły pakom i wozom. o których ładunek naprożno się usiłował dowiedzieć. ale policzyły dokładnie, ile ich tam było. Starał się też z troskliwością u kochanych dobrodziejów dobadać, jak długo tu spoczywać będą i ze smutkiem usłyszał. że do dnia w dalszą drogę ruszyć muszą. Potem zapytał znowu nieznacznie, w którą się stronę i jakim traktem udadzą, bo gościńce jesienią zaczynały się psuć i jazda z ciężarami bardzo niedogodna, zwłaszcza wiejskiemi końmi.

Naostatek dopili butelczyny i Zembrzyński, nie chcąc im spoczynku dłużej zakłócać, uścisnął czule Wincentowicza, pokłonił się do stóp Burskiemu, wysunął furtką i zniknął.

Noc była piękna, księżycowa, choć nieco chłodnawa... przebiegł małą przestrzeń między gospodą a swoim domem Zembrzyński z nadzwyczajnym pośpiechem, jakby go co pędziło. rad może, iż się Wincentowicza pozbył, wpadł do kamienicy, lecz zamiast myśleć o śnie i spoczynku, dobył z sepecika odzienie i żwawo ubierać się zaczął. Stroczycha już się zabierała do łóżka. zawołał na nią Zembrzyński. zalecając, żeby domu pilnowała, bo sam jeszcze wyjść musi.

— A to go licho po nocy nosi! mruknęła, odchodząc kobieta.

W istocie niewiadomo. co go niosło, stary kij tylko, w sieni stojący, w rękę wziąwszy i otuliwszy się opończą, powędrował z Winiar ku miastu. Wy-

chodząc, obejrzał się bojaźliwie, czy go kto nie widzi, wpadł zaraz w cień między płoty i szybko się oddalił.

Na zegarach biła właśnie dziesiąta. W Grodzkiej ulicy jeszcze się gdzieniegdzie po kamienicach świeciło, domy były pozamykane, pusto wszędzie. Tuląc się do ścian od strony ciemnej, gdzie go promienie księżyca dosięgnąć nie mogły, wszedł Zembrzyński aż pod bramę krakowską. Tu na starą kamienicę popatrzył, od dołu do góry już ciemną, w mieszkaniu na dole tylko za żelaznemi okiennicami, przez wycięte w nich maleńkie serduszka, dojrzeć było można światło, przy księżycowem czerwono się przeciskające.

Zembrzyński przeszedł ulicę w poprzek, obejrzał się jeszcze i kijem zaczął stukać w okiennicę. Nierychło dobijanie się to skutek pożądany odniosło. Ciężkie drzwi od ulicy zaczęto odryglowywać, odemknęły się na pół, głos dał się słyszeć:

— Kto tam?

— A, swój, swój, de pana mecenasa Peczory.

Wpuszczono starego do sieni, który zaraz do drzwi na lewo znowu dobijać się zaczął, a te natychmiast odemknięto, i mężczyzna średnich lat, rozebrany już, w bieliźnie tylko a narzuconym tołubku z wytartemi popielicami, ukazał się w progu z miną gniewną.

Nie potrzeba mu było, prawdę rzekłszy i tego groźnego wyrazu, żeby uczynić go strasznym; choć mężczyzna był zbudowany pięknie i silnie, Pan Bóg mu dał oblicze tak odrażające, iż kto pierwszy raz je widział, musiał się ze wstrętem odwrócić: Czerwona, szeroka twarz, mocno trędowata i biało poplamiona, z oczyma głęboko zapadłemi, nosem małym, zadartym tak, że tylko otwory jego widoczne były, usta grube i niezwykłej szerokości, uszy odstające, jakby z pergaminu żółtego, przylepione do głowy śpiczastej, charakteryzowały Peczorę, którego pospolicie zwano poczwarą.

Był to lubelski pełnomocnik, powiernik i prawa ręka Zembrzyńskiego, który go, choć grubianina i nieznośnego gderę, szanował, bo to był człowiek jedyny, jak mówiono, do wyrobków. Szedł przebojem i gdzie chciał, tam zajść musiał. Obawiano go się i ustępowano mu. Umiał znaleźć wszędzie jakiś środek, i gdy już rady dla innych nie było, on ją jeszcze wymyślił. O ile brzydki, o tyle był zapalony kobieciarz i czciciel płci pięknej, a że z trudnością mógł znaleźć kobiety, któreby go znosiły, mimo jego dowcipu i wymowy, szukał ich też w tych nieszczęśliwych społeczeństwa warstwach, gdzie bieda serca miękczy.

Popatrzył Peczora na wchodzącego i rzekł, wpuszczając go:

— A! to ty po nocy, kaduk wie czego? jak Marek po piekle, jak dusza z czyśca wylazła, włóczysz się. Nie mogłeś poczekać do rana? A to skaranie Boże! dajcież choć w nocy spocząć. Chodź, chodź, bo się ciebie nie zbędę. Czego chcesz? co cię piecze?

— Dobrodziejku, łaskawco, tylko bez gniewu i irytacyi, słodko począł Zembrzyński, czyżbym ja darmo mojego kochanego mecenasa śmiał fatygować? Chociaż pół do jedenastej... czy to tak późno?

— A no gadaj, stary, co cię przyniosło? gadaj.

Pokoik sklepiony na dole, jak prawie wszystkie stare kamienice w Grodzkiej ulicy, długi był a wązki, lampa się paliła na stole z papierami, wśród których widać było talerz pełen kości i napół wysuszoną butelkę. Peczora był sam. Zembrzyński się obejrzał.

— Można mówić?

— Można, można, mów, czego się boisz?

— Bardzo pilna sprawa, dobroczyńco mój, bardzo pilna, a jak wy nie potraficie, to nikt. Wy wiecie moje nieszczęście z tymi Brańskimi... co ja tam głupi pieniędzy utopiłem, a teraz ani ich dostać napowrót.

— E! e! kłam sobie, komu chcesz, przerwał prawnik, niby to ty nie wiedziałeś, coś robił, lichwiarzu przemierzły!...

— Co tu długo się rozwodzić, zawołał, z ukosa popatrzywszy, Zembrzyński, oni płacić nie chcą, a majątku nie stanie na długi. Wyrobiłem ja i sekwestr

na ruchomości, a no guzdrzą się, guzdrzą i nim do czego przyjdzie, oni wszystko, co kosztowniejszego, powywożą. Przypadkiem Pan Bóg mi dał, — wyraźna opatrzność nademną — żem się dowiedział, iż oni czterdzieści pak sreber i precyozów transportują właśnie tędy, nam ukradzionych; bo co to, jeśli nie kradzież, dobrodziejku mój łaskawy, to rozbój! Czterdzieści pak! stanęli na noc z niemi, durnie, u Zelmanowicza. Nieodmiennie je tu potrzeba złapać, opieczętować i zatrzymać...

— Oszalałeś, czy co, jakim sposobem? Noc, oni pewnie uciekną, nim my będziemy mogli przytrzymać.

— Otóż to twoja rzecz, żywo zawołał Zembrzyński, dam tysiąc złotych za fatygę, zrób. Mnie nic do tego, jak ty tego dokażesz, masz rozum i do ludzi drogi znasz. Rób, jak chcesz, byleś zrobił.

Peczora się potarł po głowie,

— Zawsze ty z takiemi interesami! rzekł, mrucząc gniewnie, a kusisz, jak diabeł duszę niewinną. Gdzie stoją te paki?

— U Zelmanowicza na Winiarach, do dnia ruszą. Ale jeżeliby już na żaden sposób nie udało się tu ich pochwycić, toż i na gościńcu można, ja wiem drogę, którą pojadą. Śpieszą do Warszawy.

— Gdzież ja dziś kogo się doszukam i doproszę? przerwał Peczora — po nocy? to niepodobieństwo...

— Co to niepodobieństwo... złodzieja na uczynku łapać? hę? zawołał Zembrzyński. Oni nam od masy kradną, co do nas należy. Majątku nie starczy, jeszcze przybyło ciężarów, co spadły po ks. sufraganie, to my z torbami pójdziemy.

— Żmija z ciebie, żmija! krzyknął Peczora. O! o! nie daj Boże się w wasze ręce dostać!

— A w wasze? całując go w ramię, szepnął stary. To sztuka, ale wy lepsze wyprawialiście, niż ta. Wy, co zechcecie, zrobicie, jam tego pewny. Was wszyscy tu uważają, kochają, łaskawco mój najdroższy.

Peczora stał i namyślał się.

— I po nocy się włóczyć! zawołał.

— Taka noc cudowna, że miło się, kochany dobrodzieju, przespacerować dla samego zdrowia, dołożył stary; będziecie mi wdzięczni, ja takiej pięknej nocy, jak żyję, nie pamiętam.

Zaczął się śmiać prawnik i kułakiem dał w plecy Zembrzyńskiemu.

— Judaszu ty jakiś, Judaszu! Tobie noc każda będzie piękną, byleś mógł kogo ze skóry obedrzeć.

— No, już prawcie, co chcecie, zniosę wszystko od was, ale idźcie, na miłego Boga, idźcie!

— Zrobię, co będzie można, a nie będzie można, to chyba że już nikt nie potrafi. Idź-że ty sobie do domu, jak się stanie, dam ci znać.

— Dokąd?

— Na Firlejowszczyznę.

— Ja muszę zaraz jechać, wybąknął Zembrzyński, to jest, że mnie tam nie będzie chyba... Ja muszę się przyznać: przy furach jest dwóch dworskich z Brańska, a to fanatycy tacy, że gotowi się zemścić zaraz na mnie. Powiedzą, że ja ich wydałem, gotowi zabić! muszę się schować. Chyba, dobroczyńco mój, powiecie tej babie, co tam jest, że... że Peczora potrzebuje, to ona zaprowadzi do mnie, ale nikomu nie mówcie! Ja chcę, żeby myśleli, że wyjechałem do Warszawy, póki pierwsza burza nie minie.

— Złe broi a do dziury się chowa! hę? żmija ta jakaś, Judasz, śmiejąc się, zawołał prawnik. Oj, będziesz ty w piekle gorzał po same łopatki!

— Bóg świadek niewinności duszy mojej, uderzając się w piersi, wyjąknął Zembrzyński, całego życia pracy człowiek bronić musi; toż to poprostu złodziejstwo.

— Idź-że mi z oczów, bywaj zdrów, co się da zrobić, to zrobię, odziewam się i idę.

Krzyknął okrutnym głosem Peczora i wpadła dziewczyna z drugiej izby.

— Płaszcz mi dać, powrócę rychło.

Szybko się ogarnąwszy i mrucząc ciągle a klnąc, wyszedł prawnik razem z Zembrzyńskim, który, czule go pożegnawszy, z temi samemi ostrożnościami prze-

kradł się nazad na Firlejowszczyznę, Stroczycha już spała; musiał jej dziesięć razy powtórzyć, że idzie do schowanki. że ma wszystkim mówić, iż pojechał gdzieś, a jednego tylko adwokata Peczorę, jeśliby przyszedł. zaprowadzić na górę i w sali trzy razy kaszlnąć. dając znak o sobie. Wpadł na chwilę do dolnej izby Zembrzyński. potem na górę i otworzywszy kryjówkę, wcisnął się do niej, zacierając ręce, że mu się tak niezgorzej powiodło.

Co zrobił Peczora, sam onby chyba mógł wytłumaczyć, ale to pewno, że o brzasku wozy pozaprzęgano, ludzie byli gotowi, a Wincentowicz, kazawszy piwa z serem zagrzać dla siebie i Burskiego, zabierał się na wóz siadać, gdy gospodę otoczyli żołnierze i kilku sądowych weszło przez bramę. Nieszczęśliwy łowczy z razu myślał, że zaszła jakaś omyłka, lecz posłyszawszy, że o ludzi z Brańska i paki się dopytują, o mało nie oszalał z rozpaczy.

— To ten zbójca Zembrzyński, krzyknął, zdradził nas i biedy naprowadził, lecz nie daj Boże, by się ze mną w życiu spotkał, bo z duszą rąk moich nie ujdzie.

Wyraźny rozkaz sądu. aż do bliższego rozsądzenia co paki zawierały i do kogo należały. polecał opieczętowane złożyć pod strażą. Wincentowicza. który siłą się chciał opierać. przyaresztowano, Burski uciekł. dopadłszy konia... ani go gonić myślano.

Ponieważ Gozdowski znacznie wprzódy wyruszył i prędzej miał być w Warszawie, Burski. niemyśląc już o dognaniu go, zwrócił się napowrót do Brańska. Poczciwe człeczysko przez całą drogę, którą okłep na pochwyconym chłopskim koniu odbywał. przemyślał tylko. jak się potrafi pokazać tam. żeby swoją osobą samą ludzi nie przerazić, i przed kim ma stanąć, to nowe zwiastując nieszczęście. Nie chciał przybyć we dnie, i umyślnie się ociągnąwszy pod wieczór, konia zaraz we wsi sąsiedniej oddał wójtowi. a sam pieszo podkradł się ku pałacowi.

Na myśl mu przyszło pójść naprzód do ks. Serafina. W pokoiku kapelana świeciło się właśnie i żadnego w nim głosu nie słysząc, zapukał Burski nieśmiało. Mówiliśmy już. że człowiek był do roboty dobry, ale do szerokiego rozpowiadania nieskory. Gdy mu się ks. Serafin odezwał, wszedł i zaraz drzwi za sobą zaryglował.

— Burski? zkąd? Jużeś to powrócił? zrywając się od brewiarza, spytał kapelan. Co ci to? jesteś przestraszony?

— Tu niema co długo gadać, szepnął, przystępując ku niemu legionista. stało się nieszczęście. Dojechaliśmy do Lublina, Wincentowicza licho skusiło jakieś znajomości robić, znać nas ktoś wydał i paki wszystkie sąd zaaresztował.

— A łowczy?

— Łowczy w areszcie, bo się do strzelby brał, chcąc bronić.

Ks. Serafin za głowę się porwał.

— Ja dopadłem konia i przyleciałem, ale z kim tu gadać?

W istocie namyśleć się wypadało. komu pierwszemu o tem oznajmić. Ks. Serafin do łowienia ryb i do modlitwy był jedyny, ale w razie nieszczęścia tylko jęczyć i modlić się umiał. Począł łamać ręce i zawodzić:

— To ich dobije! Chrystusie miłosierny. to ich dobije! Ruszaj do Żurbów. tu jeden Zenon głowę ma. ja się lękam; klęknę prosić Boga o miłosierdzie. ale poradzić? cóż ja ci poradzę? P. Zenon tu nocuje. Znajdziesz go w czerwonym pokoju gościnnym, idź i powiedz mu wszystko.

Burski pospieszył do czerwonego pokoju. ale ze znużenia i zgryzoty ledwie nogi za sobą włóczył starowina. Zenon chodził jeszcze zamyślony po izbie. gdy niespodzianego ujrzał gościa, wchodzącego i oglądającego się wokoło. Odgadł, że się cóś złego stać musiało. W dwóch słowach objaśnił go Burski i na krzesło paść musiał, bo mu się w głowie zawracało.

— Idź i schowaj się, zawołał Zenon, wypocznij, ja zrobię, co trzeba.

Nie łatwo wszakże było obmyśleć, co czynić należało. Zenon najprzód postanowił najsilniejszego w jego przekonaniu z rodziny ks. Roberta o wypadku uwiadomić i niezwłocznie z nim lub sam jechać do sądu, ażeby przyarosztowane paki, zresztą niezupełnie prawnie, z pomocą świadectwa generała, że są jego własnością, uwolnić.

Pobiegł do Roberta i nie obwijając w bawełnę, nie przygotowując go, wprost opowiedział, co się stało. Cios był jeśli nie dobijający, bo się zdało, że odwrócić go będzie można, zawsze jednak niezmiernie przykry. Postanowiono go ukryć nawet przed generałem, który dotąd mężnie wszystko znosił, lecz od ostatniej ofiary po oddaniu, co miał najdroższego, znacznie na siłach, i duchu podupadł. Robert miał rezygnacją bez granic, jakieś raczej zobojętnienie na wszystko. Usłyszał o tem, jakby o rzeczy spodziewanej i ruszył natychmiast pisać, co było potrzeba, nie okazując wzruszenia żadnego; rzekł tylko, ściskając rękę Zenona:

— Tak więc i największa ofiara na nic się już nie przydała. Spełni się, co się spełnić miało. O! ci nasi biedni starzy... i Stella!... Zenonie, twarde jest życie!

Zenon nie mówił słowa, podali sobie ręce, ruszył na całą noc.

Z liczby osób, które epizodycznie weszły w opowiadanie nasze i wypadkami szybko po sobie następującemi zasłonięte zostały, p. Zygmunt Garbowski najwyższą może pamięć zachował zbliżenia swego do ks. Brańskich. Odjeżdżając, był on zrazu pewien, równie jak ojciec, że zrozpaczone położenie wymoże na

rodzinie upadłej wstęp dla niego, a w przyszłości świetny nawet związek z księżniczką.

W młodej głowie, bez ładu i lekkomyślnie, snuły się najdziwniejsze marzenia. Księżniczka w istocie zachwyciła go, podobnie idealnej istoty nie widział i nie śnił w życiu; związek z tym domem i imieniem pochlebiał miłości własnej. Zygmuś widział się już panem na Brańsku i marzył o balach jakie miał wydawać. Ojciec rachował na to, iżby mu się syn ustatkował. Tymczasem nieubłagany Gozdowski, obu ich nazwawszy warjatami, odprawił z kwitkiem, nie próbując nawet przedstawić ich wniosku radzie familijnej.

Zdawało się to obu wielką niedorzecznością. Gozdowski miał przecież słuszność: byłby się ten projekt wydał obelgą tylko, mimo że Zygmunt w salonie oryginalnością swoją niezbyt niekorzystne uczynił wrażenie...

Niestety! około każdej z tych familij dogorywających zbiera się zawsze, jak na pastwę, gawiedź wszelkiego rodzaju, próbując, czy z ich puścizny nie da się jej co pochwycić. Szczęście to jeszcze wielkie, jeśli chcąc się wrzekomo ratować, *morituri* nie dadzą się wpleść w jakie nowe życia koło, nie na żywot nowy, ale na nowe męczeństwo. Brańskich bronił od tego szacunek, jaki ich otaczał, miłość ludzi, którzy osłaniali zgon ten, kupując im spokój chwil ostatnich.

Garbowscy byliby pewnie pozostali tak odsunięci na zawsze, gdyby przybycie pana Zenona Żurby do Lublina w sprawie nałożonego aresztu na paki i spotkanie się przypadkowe z Zygmuntem nie odżywiło w nim wspomnienia pięknej księżniczki. Sprawa szła najgorzej, pan Zenon zmuszony był siedzieć i czekać, a Garbowski, pochwyciwszy go, szczęśliwy, że znalazł przyzwoitszego do towarzystwa człowieka, przywiązał się do niego nieodstępnie.

Jakkolwiek dwa te charaktery wcale się z sobą nie godziły, bo Zenon był poważny, małomówny i surowy, a Zygmuś bałamut, który ledwie chwilami dawał się poskromić, sama ich sprzeczność zbliżała do

siebie. Zenona rozrywał ten szaławiła, Zygmunta pociągał ten, jak go zwał purytanin. Dosyć, że się spotkali bez wstrętu i słuchali, nie godząc, ale i nie kłócąc. Zenon tajemnicy z położenia książąt czynić nie miał powodu.

— Wyśtaw sobie pan, zawołał na drugi dzień trzpiot, wszystkoby się było najślicznicj złożyło... i całej tej biedy uniknęło, gdyby Gozdowski miał odwagę powiedzieć, że tatko mój wszystkie długi popłaci, byle mu dano nadzieję, że ja się będę mógł z księżniczką ożenić, a przecię jej gwałtem brać nie chcieliśmy.

— Chyba żartujesz? śmiejąc się, rzekł Zenon.

— Słowo honoru, tatko dawał pieniądze, byle słowo otrzymał, że mi się starać pozwolą.

Spojrzał na niego Zenon surowo, poważnie, smutnie.

— Mój panie Zygmuncie, zkąd też wam taka myśl przyjść mogła? W teorjach społecznych wszyscyśmy przed prawem równi, to prawda, ale wychowanie, tradycje, stosunki, obyczaje dzielą mimowolnie najdemokratyczniejsze społeczeństwo na klasy. Niema na świecie nic niedorzeczniejszego i dla obu stron nieszczęśliwszego, nad rzucanie się po za kres swój w wyższe lub niższe kręgi. Jak panu, albo ojcu mogło się przyśnić nawet co podobnego? Czyż pan nie widzisz, co pana dzieli od tej istoty tak delikatnej, tak czystej, tak jasnej, że samo zbliżenie do niej skazałoby was, nawykłych do innego obejścia, pojęć, słowa, na nieskończone męczarnie? Albobyście ją z piedestału jej musieli zrzucić, lub sami wspinać się w niedosięgnione dla was strefy!

— Skłaniam głowę przed niezbitem twierdzeniem pańskiem, odezwał się Zygmunt, ale tatko jest człowiek prosty a ambitny, a ja ambitny i popsuty; chcieliśmy korzystać z cudzej biedy i brylant kupić za trzy grosze.

Zenon się uśmiechnął, ruszając ramionami.

— To niedorzeczność.

— A — a gdyby panna Stella, przez możliwy w naturze ludzkiej i niezrozumiały kontrast, podobała sobie tego półwarjata, jakim ja jestem? gdyby przesycona tą atmosferą wody różanej i jaśminu, zapragnęła woni nieco ostrej a żywszej?

— Byłby to w istocie fenomen osobliwszy! rzekł Zenon.

— A nie bezprzykładny, dodał Zygmuś. Coby Gozdowskiemu zaszkodziło powiedzieć. Byliby nas wyśmieli i wypędzili, na to byliśmy przygotowani, a koniec końcem, my jedni mogliśmy do czasu uratować od katastrofy.

Zenon z niedowierzaniem głową poruszył.

— Któż panu broni bywać i teraz w Brańsku, starać się podobać i próbować szczęścia, bez pozwolenia na to osobnego i żadnych zobowiązań?

— Ale mnie tam nie przyjmą.

— Dlaczego? i owszem, staraj się pan tylko zastosować do tonu i obyczaju domu... bobyś się stał śmiesznym i niemożliwym.

Zygmunt się zamyślił i ścisnął rękę Zenona.

— Nie wydasz mnie pan z sekretu?

— O! nigdy w świecie.

Na tem się skończyło. Wyznanie pana Zygmunta było tylko dowodem jego niepochamowanego uczucia ku księżniczce. Zygmunt się kochał, o ile taki człowiek mógł być zakochany, a pod wpływem tego uczucia nieco już nawet stał się w wybrykach umiarkowańszym. Powiedział sobie, że poświęcając się w tej chwili usługom Brańskich, choćby nic więcej nie zyskał, przynajmniej zbliżyć się do nich potrafi.

Ponieważ Zenon oddalić się nie mógł z Lublina, poprosił go o polecenia, ofiarował się z pomocą z gotowością jechania, pośredniczenia, przewożenia rozkazów i wiadomości. Prosił jak o łaskę, ażeby go użyto. Nastręczyła się zaraz sposobność i Zenon z raportem wyprawił do Brańska tego osobliwszego posła. Zygmunt tym razem nie wziął już ani karety, ani Murzyna, ale na złamanie karku pojechał bryczką pocztową.

Wiózł z sobą słabą nadzieję, że paki z pod sekwestru, po zaprzysiężeniu ich własności przez generała, będą mogły może być wydane, i wiadomość o uwolnieniu biednego Wincentowicza, który wypuszczony z kozy, wprost poszedł na Firlejowszczyznę i o mało jej całej nie zburzył, szukając zdrajcy...

Nad rankiem, według instrukcji, zajechawszy do dworku Gozdowskiego, pan Zygmunt przebrał się jak najstaranniej i poszedł do ks. Roberta, zdziwionego wielce jego ranną wizytą. Z tej wytłomaczył się pan Garbowski jako poseł, opowiedział, z czem przyjechał i oświadczył, że na poufną odpowiedź zaczeka. Nad tą w istocie mocno się zastanowić było potrzeba. Generał od pierwszej wzmianki o przysiędze, rękami obiema opędzać się zaczął.

— Ja miałbym przysięgać? ja? za nic w świecie! dajcie mi pokój!

Robert wcale nie nalegał, był sprawozdawcą tylko.

Na żwawe rozprawy nadeszła wtajemniczona od niejakiego czasu we wszystko Stella, chociaż przy obcym mówić o tem z nią nie wypadało. Umilkli wszyscy. Z podziwieniem zobaczyła Zygmunta, a śmiałek z wyrazem najwyższego zajęcia i uszczęśliwienia zbliżył się do niej.

Znalazł w niej zmianę nadzwyczajną, ostatnie dni powagą jeszcze większą, uroczystszą oblokły dziewiczą postać, której nowego dodały wdzięku. Zygmunt uczuł, że tak powszedniego jak on, człowieka, od tak wybranej, jak ona, istoty, dzieliła przestrzeń nieprzebyta. Uczuł się onieśmielonym. Niedola uświęcała ją, niewidoczny wieniec męczeński spoczywał na jej skroniach. Zygmunt nie odważył się posunąć bliżej po pierwszych obojętnych słowach, ale szaleniej rozkochany był niż wprzódy.

Przez cały prawie dzień patrzył na nią, słuchał jej, zostawiono go z nią i z Antoniną, bo Robert naradzał się z generałem, poił się więc do syta tą słodką trucizną. Szalone myśli przychodziły mu do głowy:

gotów był wydrzeć ojcu krocie, złożyć je u stóp księżniczki i tem pozyskać jeśli nie jej serce, to wdzięczność, ale to wszystko, nie przechodząc ust, wrzało i kipiało w piersi.

Powoli, powoli pod wieczór, gdy się ów dzień szczęśliwy miał kończyć, wesoły Zygmunt aż posmutniał, a księżniczka, cała przejęta swoją i rodziny niedolą, nie mogąc o niej mówić przy nieznajomym, była ciągle prawie smutna, milcząca i roztargniona. Dręczyła nieszczęśliwego Garbowskiego jego bezsilność, miliony ojca byłby odkradł staremu skąpcowi, gdyby to było możliwem. Kilka razy chciał przełamać lody, wspominając odważnie o interesach i przyznając się, że dla nich tu przybył, ale nie miał odwagi. Powiedział w końcu, że wraca nazajutrz do Lublina, że z panem Zenonem widzieć się będzie i odezwał się do panny Antoniny, prosząc ją o polecenia do brata.

— Oprócz Antosi, i ja szlę najpiękniejsze, wdzięcznego serca ukłony panu Zenonowi, odezwała się księżniczka, powiedz mu to pan, bo niewygasłą zachowam pamięć tych wszystkich, którzy w trudnem położeniu naszem przyjacielską dłoń nam podają.

— A! pani, więc i ja choć cząsteczkę drobniuchną tej pamięci będę może miał w udziale, przerwał Zygmunt. Nigdybym się nie śmiał przyznać, że do niej roszczę prawo, ale ona dla mnie tak jest drogą! Wszakże ja tu jestem także posłem pana Zenona i przyjechałem jako sługa państwa.

— O! ja o tem wiem, uśmiechnęła się Stella, i dziękuję panu.

Podała mu rękę.

Tej ręki pierwszy raz miał szczęście dotknąć pan Zygmunt. Spojrzał, przykląkł nagle i pocałował. Księżniczka zarumieniła się niezmiernie i byłaby mu ją cofnęła, gdyby szalony chłopak nie był się tak uwinął, że uciekającą już, złapał ustami w powietrzu.

— Niech-że mnie pani mianuje swoim pierwszym dworzaninem, zawołał, a poświęcę się cały na jej usługi i będę szczęśliwy. Niech pani wypróbuje mnie roz-

kazem choćby najśmielszym, a życie chyba stracę, jeśli go nie spełnię.

— O! nie śmiałabym ani prosić, ani rozkazywać, nie mam do tego najmniejszego prawa, smutnie rzekła księżniczka, a potem... ja jestem niemym a łzawym świadkiem tego, co z nami los czyni, ja... nie mogę nic...

— Pani rozkaz byłby wszechmogącym! zawołał Zygmunt.

Stella zamyśliła się, zarumieniła.

— A! gdyby był środek ocalenia ojca, stryja, brata od troski i męczarni, rzekła pocichu. ten, ktoby to uczynił, miałby prawo żądać odemnie całego mego serca, całej wdzięczności mojej.

Słowa były wyrzeczone z namysłem, powoli, z uroczystością jakąś; patrzyła w oczy Zygmuntowi, wymawiając je, jakby pragnęła, ażeby je dobrze zapamiętał i zrozumiał, i podała mu znowu tę białą rączkę raz cofniętą, którą on w gorące pochwycił dłonie i pocałował znowu niewyrwaną.

Antonina, będąca świadkiem tej sceny. zarumieniła się za przyjaciółkę, przestraszyła jej wyrazistością i znaczeniem, chciała coś powiedzieć aby je osłabić, aby w żart obrócić, lecz Zygmunt. który zdawał się tylko czekać na tę odpowiedź, pochwycił za kapelusz i rzucił się ku drzwiom.

— Jadę natychmiast, rzekł, i co tylko jest w mocy ludzkiej uczynię, żeby ratunek przyszedł w porę. Jeśli nie potrafię nic, nie pokażę się tu więcej. lecz jeśli mi się uda... O! pani! nadto cenię przyrzeczoną nagrodę, żebym się o nią nie upomniał.

Nim się opatrzyły panie, Garbowski już był za drzwiami i jak szalony leciał pożegnać ks. Roberta.

— Na Boga, droga księżniczko, cóżeście to uczynili, zawołała Antonina, łamiąc ręce. Ten chłopak oszaleje, a jeśli mu się uda i przyjdzie rzeczywiście upomnieć się...

— O co?.

— O waszą rękę, droga Stello! to coście przyrzekli, nie inaczej się tłomaczy.

— To mu ją oddam! przerwała księżniczka. Nietylko rękę, choćby życie dla nich, dla ojca, dla rodziny. Ja! ja jestem małą jej gałązką, przeznaczoną na odpadnięcie od pnia z którego wytrysła. Gdybym ich tylko ocalić mogła!

Antonina nie odpowiedziała nic, łzy się jej zakręciły w oczach.

Zygmunt pobiegł do mieszkania ks. Roberta, którego zastał na naradzie z generałem; stanowczo ks. Hugon przysięgi złożyć się wzbraniał. Tłumaczono mu, że część majętności, której się zrzekł, więcej była warta, niż wszystko to, co te paki zawierały, że mógł śmiało zapewnić, iż mu się tyle przynajmniej z ogólnej fortuny należy; takich jezuickich wybiegów stary nie rozumiał.

— Niech przepada wszystko, a ja fałszywej czy wykrętnej przysięgi nie złożę, rzekł stanowczo.

Zygmunt dla formy tylko wysłuchał narady i konkluzji, nie mówiąc ani słowa; pilno mu było wracać i rozmówić się z ojcem. Nie wątpił, iż czas jeszcze będzie ratować Brańskich. a wierzył, jak ewangelii, słowu księżniczki, które obietnicami szczęścia w uszach mu brzmiało.

W Lublinie zabawił pan Zygmunt ledwie chwilę, odnosząc Zenonowi ostateczne postanowienie generała, ale zarazem dołożył, iż wszystko to prawdopodobnie może się stać niepotrzebnem, bo rzeczy się inaczej ułożą. Zenon nic z niego więcej dobyć nie mógł, bo chłopak, nie wyprzęgając koni, nie spoczywając chwili, spieszył do ojca, do Skoków.

Na nieszczęście tu go nie zastał; odesłano go do drugiego folwarku, a tam powiedziano mu, że pojechał do innego. Pędząc za nim w ślad, objechał niemal wszystkie, zrozpaczony, rozgniewany, i nie potrafił pochwycić starego aż na gościńcu, w powrocie już do Skoków. Bryczki się zatrzymały, bo Zygmunt nie mógł już dłużej cierpieć.

— Tatku, na miłość Boga! warjuję, latając za tobą. Niesłychanej wagi sprawa!

— Ot, pewnie już znowu pieniędzy! mruknął stary. Jedźmy do Skoków, rozmówimy się.

— Bardzo dobrze, tylko ponieważ mnie trudno język dłużej utrzymać, a świadków rozmowy mieć nie chcę, Stefan! zawołał, precz z kozła! dawaj lejce! Ja tatka powiozę i rozpowiem, o co idzie.

Tak się stało, Zygmuś wziął konie pod swoją komendę i począł rozmowę z ojcem, który, napuszony jak sowa, siedział, zabierając się bronić ostro od napaści na worek.

— Tak, jak mnie widzisz, tatku, rzekł, wracam prosto z Brańska, mówiłem z księżniczką i pewny jestem, że będzie moją, jeśli my ich od sprzedaży ocalimy. Los mój w twoich rękach, mówię serjo.

Stary z niedowierzaniem się odwrócił.

— E! kłamiesz! zawołał.

— Słowo uczciwe, mówię serjo i, jeśli chcesz, przysięgnę ci. Obietnicę tę otrzymałem od samej księżniczki, i to przy świadku.

— Jakim sposobem?

Zygmunt bez żartów już opowiedział, jak do tego przyszło, że się do Brańska dostał.

— Diabeł nie człowiek! rozśmiał się stary, gdyby tobie uwierzyć tylko można?

— Przecież tatko będziesz mógł sprawdzić.

Garbowski poprawił czapki i pasa.

— Trzysta tysięcy! zawołał, tobyśmy dopiero wyrośli, a! Zakręcił ręką w powietrzu. Co robić? trzeba szczęścia próbować. Jedźże, zamiast do Skoków, do Lublina do plenipotenta książąt, czy do pana Zenona; niema co odkładać, bo te łajdaki licytować gotowi. Ale jeśli ty mnie zwodzisz, pamiętaj!

— Tatku! ściskając go, zawołał Zygmunt, niech cię ucałuję, masz rozum i syna kochasz; wystawię ci posąg za życia! Jedźmy do Lublina.

Zaciął konie i polecieli w czwał, a że biednym szpakom w jego rękach niemiło być musiało, to pewna, bo je nielitościwie smagał. Stary wolarz siedział, czmychał i rachował.

Tak dopadli do hotelu w którym stał Zenon i spotkali go w bramie. W głowie Zygmusia paliło się tak, że tchnąć nie dał ni koniom, ni ojcu. Wrzucił Zenona w bryczkę i pognał do plenipotenta.

Ten pełnomocnik udziałowy, przyjaciel Gozdowskiego, była to wielka figura, pół-obywatel, z trochą pretensji do arystokracji, ale taki flegmatyk bezczynny, jak sam Gozdowski. Mieszkał bardzo paradnie, przyjmował w pewnych godzinach... mówił mało i przybierał ton tajemniczy jakiś i uroczysty. Zasadą czynności jego było: tylko powoli.

Można sobie wyobrazić, jak trudno przyszło wzburzonemu Zygmuntowi przysłuchiwać się jego rozmowie z Zenonem i starym Garbowskim. Wolarz oświadczył mu, że przejmuje długi książąt i natychmiast płacić je gotów, naturalnie wchodząc też na hy-

potekę, jak oni, i że prosi, aby licytacji zapobiedz na wszelki sposób.

Zdumienie plenipotenta było wielkie. Chciał tę rzecz, tak się jakoś nadzwyczajnie przedstawiającą, brać do namysłu, gdy Zenon i Zygmunt oświadczyli mu, że biorą na siebie odpowiedzialność za tę czynność. Ostatni dodał, że powraca z Brańska i jest niejako upoważnionym.

Niewiadomo dla czego plenipotentowi ten ratunek i pośpiech były jakoś nie na rękę.

— Nie widzę w tem wszystkiem jasno, rzekł, kroki poczynię, ale odniosę się sztafetą do ks. Roberta.

Zgodzono się na to. Garbowski oświadczył, iż potrzebne summy w listach zastawnych złoży jutrzejszego dnia w sądzie i domagać się będzie zawieszenia dalszych kroków.

— Jakto? więc asan dobrodziej chcesz płacić wszystko?...

— Co do grosza, naturalnie co wymagalne i co konieczne.

— A wiesz pan dobrodziej, ile to wyniesie? dodał plenipotent.

— Obrachowałem to z panem Gozdowskim! rzekł stary.

— Wyprawuj waćpan sztafetę natychmiast, przerwał Zenon, albo raczej, ponieważ ja tu już nie jestem potrzebnym, bo ipso facto sekwestr z pak musi być zdjęty, pisz pan, a ja na całą noc pocztą lecę z dobrą nowiną do Brańska.

Pełnomocnik, ukłoniwszy się, mierzonym krokiem posunął się do biurka i zwolna zabrał się do wystylizowania listu.

Poczciwy łowczy, który chciał zdrajcę Judasza ukarać po uwolnieniu z pod aresztu, jakeśmy mówili, poleciał na Firlejowszczyznę, rozbił drzwi, nahałasował, wdarł się na górę, przetrząsł wszystkie kąty, nastraszył Stroczychę, która uciekła wezwać pomocy na miasto, i nic nie znalazłszy, bo Zembrzyński siedział zamknięty w kryjówce, dostał się znowu do aresztu. Tu zachorował i gdy go uwolniono raz jeszcze, na usilne prośby Zenona, leżąc na furze, musiał jechać do Brańska.

Więcej jeszcze, niż złe z nim obchodzenie się, przyprawiło go o chorobę ta myśl, że on przez swe niedołęztwo był całego tego nieszczęścia z pakami przyczyną.

Zembrzyński, który przez swojego wiernego zausznika Jałowczę o wszystkiem był codziennie zawiadamiany, wylazł dopiero z komórki, gdy go zapewniono, że Wincentowicza nie ma już w Lublinie. Nie pokazał się jednak tak rychło na Boży świat, lękając się jakiej zasadzki. Blady, przestraszony, wycieńczony, zwlókł się do izdebki na dole, lecz myliłby się, ktoby sądził, że trwoga wstrzymała jego potajemną robotę. Tegoż dnia posłał po Peczorę, napisał do mecenasa do Warszawy i zabierał się już do dalszych czynności.

Zawołany Peczora nie rychło się stawił, rzucił czapkę na stół.

— A co! krzyknął, śmiejąc się, nabrałeś się strachu i pono całą robotę twoją, całą pajęczynę, którą snułeś tyle lat, licho weźmie. Garbowski opłaca długi.

— Nie, odparł Zembrzyński, to nie może być.

— Tak jest, urzędownie to oświadczył, papiery w sądzie złożył, licytacja wstrzymana, waćpan swoje

kapitały odbierzesz i, pójdziesz z kwitkiem, na to niema rady.

— I córkę wydadzą za syna tego świniopasa? zapytał Zembrzyński. ał! głupstwo! to wprost strachy tylko, to nie może być.

— Jak nie może być, kiedy jest? ofuknął Peczora.

Zembrzyński osłupiał.

— Naprawdę?

— Nie żartuję.

Przez chwilę stary ze spuszczoną głową milczał ponuro, potem mruczeć począł i ramionami dźwigać. Wstał z tapczana, rozprostował się.

— Gdzie to napisano?

— No oto masz papiery, czarno na białem rzekł Peczora, cóż ty na to?

— Ha no! kiedy Garbowski głupi, rady niema! Zobaczymy dalej, zobaczymy! Zawsze to księztwu córkę jedyną wydać za tego pastuszka markotno będzie. Tymczasem dobre i to.

Począł się śmiać.

— Przyjdź asindziej jutro, zakończył, odwracając się do Peczory, trzeba się rozmyśleć. Widzisz, dobrodzieju kochany, trzeba z innego koloru próbować, nieprawdaż?

— A jak z innego koloru karta nie posłuży, zapytał Peczora, to co? to trzeba przegrać?

— To się przegra, dobrodziejku kochany, to się przegra, a może się odegra.

— Na odegraną mało można rachować.

— Zobaczymy, łaskawco. Ja dziś chory jestem, i nie mam głowy, a tu pomyśleć trzeba.

Peczora się zakręcił.

— Miałeś mnie po co sprowadzać, prawda, żebym ci tego klina w łeb zabił.

Zembrzyński potarł czoło.

— Ty Jałowcza, rzekł do stojącego w kęcie, zostań, będziemy pisali, mnię się ręka cóś trzęsie i w oczach mroczy. Kochanemu łaskawcy dobrej nocy, dodał.

w ramię całując Peczorę. Poświeć-że Jałowcza, bo jeszcze gdzie się przewróci, tu w tej pustce tyle dziur.

Adwokat popatrzył na klienta, któremu tak nieszczęśliwą przyniósł wiadomość o spełzłych na niczem zabiegach życia całego, i z podziwieniem nie odkrył w jego twarzy, w spojrzeniu, w głosie żadnego śladu zwątpienia i smutku, był tylko zadumany i zamknięty w sobie.

— Ten łotr znowu cóś ukartuje, pomyślał w duchu, odchodząc. Peczora, jak niepozorny, tak wykrętacz i uparte licho. Zginie, a od swego nie odstąpi.

Jałowcza, wyprowadziwszy mecenasa aż na drogę, wrócił i zastał Zembrzyńskiego przechadzającego się po izbie, w zadumie głębokiej pogrążonego. Kilka razy go zagadnął i żadnej nie otrzymał odpowiedzi. Zdawał się nie słyszeć nic. Stawał, wpatrywał się długo w ścianę, potem szedł do stolika, gryzmolił, pisał, rachował, dobywał papiery, czytał, na palcach cóś obliczał, tarł czoło, siadał, porywał się, słowem dawał oznaki jakiegoś wewnętrznego boju, którego wywalczyć nie mógł.

Biła już północ na krakowskiej bramie, gdy nagle, stanąwszy w środku izby, zawołał jakby sam do siebie, bo Jałowcza w końcu znużony zadrzemał:

— No, tak! trzeba zmienić taktykę, a czem się żyło, musi się żyć do końca, to darmo! Niech Bogu podziękują, że im dwóch zesłał dudków, co ich z błota wyciągają, a no, zobaczymy.

Jałowcza przebudził się.

— Siadaj pisać! zawołał stary, siadaj za stół!

Posłuszny sekretarz zabrał się do pisania. Nim świtać zaczęło, bardzo długi list poufny wygotowano do Hartknocha.

— Idź, najmij konie i brykę, dodał Zembrzyński. Bryka musi być duża, bo papiery wszystkie zabiorę, a jest ich na górze dosyć.

Po odejściu Jałowczy, rozbudził gospodarz Stroczychę.

— Wstawaj babo uprażyć mleka, jadę w drogę, tylko żywo.

Nim jednak ogień rozpalono, a mleko się zagotowało, stary ubrany już, widząc przez okno, że się u Zelmanowicza świeci, szybkim krokiem poszedł do niego.

Kupiec w całym uroczystym stroju odprawiał pacierze. Zląkł się, widząc tego sąsiada, rzadkiego bardzo u siebie gościa, tak rano.

— Panie Zelmanowicz, odezwał się Zembrzyński, ja tu do asana z osobliwą przychodzę propozycją. Mam potrzebę na bardzo długo ztąd wyjechać. Co ma Firlejowszczyzna pustką stać? Wyście ją dawniej kupować chcieli, kupujcie.

Zrazu żyd uszom nie wierzył; potem zmiarkował, że gdy kto potrzebuje sprzedać, kupiec zawsze powinien nie chcieć nabywać.

— A mnie na co ten chlew, ta pustka! a mnie to do czego?

Zembrzyński ku drzwiom się zawrócił.

— Czego się jegomość tak spieszy, no! to pogadajmy.

— Kochany łaskawco, nie mam czasu się targować, chcesz, kupuj, dam tanio; nie, to ją zbędę inaczej.

Zelmanowicz nie mógł pojąć, żeby kto się tak ze sprzedażą kamienicy spieszył.

— A wej! wołać, toć nie obwarzanek za grosz.

Ile razy coś podobnego powiedział, Zembrzyński do drzwi zawracał, kupiec mu drogę zabiegał, spocił się, zmęczył, ale targu dobił.

Dzień był dobry, gdy poszli przed notarjusza kontrakt spisywać. Stroczychę wyposażywszy dobrym datkiem, papiery kazawszy z kryjówki popakować do kufrów, o godzinie jedenastej Zembrzyński do wyjazdu był gotów i siadł na brykę.

— A ze mną co będzie? spytał Jałowcza.

— Jeśli chcesz, to siadaj na kozioł, odparł Zembrzyński.

— Dokąd-że pojedziemy?

— Albo ja wiem!

— To mi się podoba, roześmiał się Jałowcza, jadę.

Przypomniał sobie jeszcze Peczorę, którego potrzeba było pożegnać i kazał bryce zajechać na Grodzką ulicę.

Zastał go nad misą kapuśniaku, z wąsami napół przeplatanemi kapustą.

— A co słychać, mości Zembrzyński? spytał adwokat, co tam nowego wymyśliliście? hę?

— Przyszedłem mego dobrodziejka pożegnać, cicho szepnął Zembrzyński, jadę.

— Dokąd?

— Hm! trochę tak, gdzie oczy poniosą, dobrodzieju; nie wiem sam, może tam, może tu, może...

— A kiedy z powrotem?

— Może nigdy.

— Jakto, nigdy? a Firlejowszczyzna?

— Fiu! kochasiu! sprzedana!

— Jakto? sprzedana?

— A no! od godziny; już się tam Zelmanowicz sprowadza.

O mało misy z kapuśniakiem nie obalił Peczora, tak się tem niespodzianem wyznaniem poruszył.

— Cóś ty oszalał! czy co? co ci jest? w imię Ojca i syna! Wczoraj co innego, dziś co innego. Bzik! ćwfek! warjacja!

— Może być, dobrodziejku kochany! wszystko może być. Inny człek, jakby mu się tak życie zmarnowało, pewnieby dostał warjacji, ale ja stary, kochasiu, i zawiędły, mnie to nic, ja pójdę sobie innego czegoś szukać?

— Dokąd? dokąd?

Stary zamilkł.

— Nie wiem, kochasiu, to już tam Opatrzność postanowi. Wstał z krzesła, na którego brzeżku przysiadł chwilowo. Tylkom jeszcze łaskawcy mojemu chciał najserdeczniejsze złożyć dzięki, za wszystkie dowody jego życzliwości dla mnie, sługi jego, w którego sercu wdzięczność nigdy nie wygaśnie.

Peczora począł się śmiać.

— Komedjancie ty jakiś, przerwał. dałbyś pokój. Płaciłeś mi, służyłem ci, jesteśmy skwitowani. nie masz za co być wdzięcznym. Życzę, aby ci się tak szczęściło, jakeś wart. rozumiesz jegomość? tak, jakeś wart!

Zembrzyński, mimo dwuznaczności tych wyrazów, pocałował go jeszcze w ramię, coś pomruczał i wyszedł. a Peczora przez okno, stojąc, przypatrywał się długo odchodzącej bryce, która znikła, spuściwszy się ku Grodzkiej bramie napowrót.

— Dałbym cóś, odezwał się w duchu, żeby mi kto powiedział, co ten Judasz teraz pocznie.

Od tego pamiętnego dnia, który długo jeszcze potem w pewnych kołach był przedmiotem rozpraw. domysłów i najróżnorodniejszych anegdot o nieszczęśliwym Zembrzyńskim. więcej się on już w mieście nie pokazał. Woźnica najęty. który go z kuframi transportował aż do Warszawy, opowiadał, że tam na Pradze w lichej gospodzie stanął, razem z Jałowczą, i za jakiemiś interesami na miasto zaraz pociągnął.

Mecenas Hartknoch stał trochę przy licytacji, potem koszta naliczył za przywiedzenie do niej, nareszcie odstąpił, odebrawszy z procentami należność, którą pod różnemi pseudonymami miał Zembrzyński. Inni wierzyciele zgodzili się na przedłużenie terminów.

Wszystko to odbyło się tak szybko, tak piorunowo jakoś, że Gozdowski, generał wczoraj niemy i upadły na duchu. Robert wreszcie skamieniały i struty, Stella niespokojna a rozgorączkowana. nie chcieli prawie uwierzyć tej nagle rozświecającej się rzeczywistości.

Paki w całości wróciły znowu do Brańska, o licytacji mowy nie było, ks. Hugon swoje ukochane wieszał zbroje, szambelanowi ostrożnie powiadano, że reperacje przyśpieszone zostały, aby mu wkrótce zrobić niespodziankę. Stella ożyła, Robert odetchnął, generał marzył na nowo, wszyscy jednak. nie wyjmując Gozdowskiego. trochę tem nagłem błogosławieństwem.

płynącem z dłoni Garbowskiego, potrwożeni byli. Każdy pocichu sobie mówić musiał, że nikt w świecie dziś dobrodziejstw podobnych bez pewnej jakiejś rachuby nie świadczy, że je przyjdzie może opłacić bardzo drogo.

Plenipotent wiedział cenę, jakiej żądano. ale się z tem wygadywać nie mógł, generał trochę się domyślał, ks. Robertowi powiedział, ile się dopytać mógł Zenon, naostatek Stella czuła, że się zobowiązała i że słowa dotrzymać musi. Taiła się jednak z tem, uprosiwszy Antoninę. ażeby nikomu nie wspominała. Na jej twarzy nie widać było ani smutku, ani radości, tylko niespokojne jakieś oczekiwanie.

Co chwila można się było spodziewać przybycia panów Garbowskich, o których znalezieniu się jeden tylko szambelan nic nie wiedział. Stary przyjechał do dworku do kuzyna Gozdowskiego, ażeby z nim ostatecznie uregulować interes, ale mu z góry zapowiedział, że w pałacu u książąt nie będzie, bo nie ma fraka i innych butów nad kozłowe.

Zygmunt został jeszcze niewidzialnym. Zapytał o niego trochę niespokojnie Gozdowski.

— Nie ma teraz czasu. odparł ojciec, przyjedzie później.

Nie śmiał już zagadnąć o nic więcej kuzynek, ale wieczorem Garbowski się rozgadał.

— Asan to wiedzieć musisz, że księżniczka jemu formalnie przyrzekła.

— Jakto? jakim sposobem?

— Mówię asindziejowi, że jej słowo ma.

— Ależ ojciec, stryj, brat!

— A to, mosanie, jej rzecz. Zygmuś jej słowu uwierzył, owaryował sam i mnie oszalił; ściągnęliśmy się do ostatniego grosza. Teraz on się ekwipuje, boć nie wypada mu tak obcesowo zaraz przychodzić i dopominać się: Zapłaćcie!... Chłopiec rozumny!

Gozdowski milczał niedowierzająco. Bądź co bądź, myślał sobie, czy się chłopcu przyśniło, czy przysłyszało, interesa do jakiego czasu ocalone, ks.

Robert może się ożenić, a Garbowscy pójdą z kwitkiem. Mnie do tego nic, ja umywam ręce. Dosyć, że oddychamy, że mamy czas... resztę Pan Bóg, co nas tak cudownie uratował przez ręce tych dobrodusznych prostaczków, opatrzy.

Nie sprzeciwiał się więc Gozdowski i nie widział potrzeby drażnienia starego, ani zachwiania w nim wiary w te mniemane, jak sądził, obietnice księżniczki. Milczał, ruszał ramionami, potakiwał nawet, był jednak najpewniejszy, że z tego nic nie będzie.

W Brańsku, po niesłychanym popłochu tym, wszystko znowu odżywać i wracać zaczynało do dawnego porządku, rozjaśniały się twarze, humory coraz były weselsze, generał odzyskał swój chód żołnierski i zaufanie w Opatrzności. Jedna może Stella wstrząśnienie to czuła najmocniej i ślady jego pozostały na spoważniałem, bladem jej licu. Przychodząc tylko do ojca, przynosiła z sobą dawną, dziecinną wesołość, srebrny uśmiech i lice niezachmurzone. Sam na sam z Antoniną, odzywała się czasami po cichu:

— Ale kiedyż on przyjedzie?

— A! aż nadto prędko! wzdychając, odpowiadała Żurbianka.

Drugim razem szeptała do przyjaciółki:

— Wiesz, to bardzo szlachetnie z jego strony, że się nie spieszy pozwać mnie o ten dług.

— Aleby przynajmniej zawczasu starać się powinien uczynić jego wypłatę jak najlżejszą i dać się nam poznać lepiej.

Księżniczka milczała.

Miesiąc tak cały upłynął, o panu Zygmuncie ani słychu nie było. Wszyscy się uspokoili, a panna Antonina znajdowała, że był rozsądny i obietnicy tej nie wziął na serjo, pojąwszy, że w chwili zwątpienia nierozważnie się wyrwała.

— Proszę cię, moja Antosiu, nie mów mi tego, obruszyła się księżniczka; ja bardzo byłam rozważna, wiedziałam, com mówiła, wiem, co przyrzekłam i gotowam dotrzymać, dziś, czy jutro, czy za lat dziesięć, nie należę już do siebie.

— A! to śmieszne, przerwała Antonina, nie mówmy o tem.

I tak najczęściej kończono rozmowę.

Pan Zygmunt nie pokazywał się jeszcze. Natomiast ks. Robert, który od czasu, jak się rozjaśnił horyzont brański, coraz jakoś był niespokojniejszy, znalazł bardzo pilny interes do Warszawy i nagle wyjechał.

Generał któremu opowiedział wyjazdu przyczynę, wąsy kręcił, ramionami ruszał i mówił Gozdowskiemu, że zrozumieć nie może.

Panna Antonina chodziła smutniejsza jeszcze... W istocie przyczyna tej wycieczki pokryta była tajemnicą, domyślano się z trwogą iż dawna miłość dla hr. Natalii odżyć w nim mogła, szeptano, że odbierał pewne listy, na których kopercie panna Antonina poznała wyraźnie rękę kobiecą. Szambelan spokojny ubolewał tylko, że interesa Robertowi spoczynku nie dają.

Po trwogach i łzach tygodnie te przeszły z jakiemś sztucznem ukojeniem, choć czuć było, że to zawieszenie broni, ale nie pokój jeszcze. Roli, jaką w tych wypadkach odegrał tajemniczy Zembrzyński, nikt już się wcale nie domyślał, a z urojeń Wincentowicza, z jego napaści na Firlejowszczyznę, z wniosków i domysłów śmiano się i żartowano tak, iż łowczy na samo wspomnienie Zembrzyńskiego truchlał i wypraszał się.

— Dajcie mi już z nim pokój! Jeśli mi się przyśniło, to z żarliwości dla dobra książąt, przez miłość dla nich, a dobrze za to odpokutowałem, więc się już prześladować nie godzi.

Bronił go ks. Serafin.

— Zmiłujcie się nad nim, dosyć tego!

Mimo to ile razy się zeszli, nie ten to ów z mistycznym Zembrzyńskim występował i nuż w śmiechy z marzyciela. Dowodzono mu nawet czarno na bia-

łem, że nigdy grosza żaden tego nazwiska człowiek na Brańsku nie miał, tylko bankierowie i spekulatorzy warszawscy.

W parę miesięcy jakoś potem Wincentowicz, wracając z polowania w szczególnie dobrym humorze, gdy go znów ktoś Zembrzyńskim chciał ukłuć, odezwał się:

— A no? zobaczycie teraz, wypłynie on na wierzch i nie będziecie się śmiać ze mnie, wszak nie kto inny, jak on kupił klucz podmoszczański.

Wszyscy zakrzyczeli go wielkiemi śmiechami.

Ogromne dobra tego nazwiska z dwóch stron opasywały księztwo brańskie; przechodziły one przez różne ręce, a po ostatnim dziedzicu długo były w administracyi i niełądzie. Od dwóchset lat prawie pomiędzy Brańskiem a podmoszczańskiemi dobrami trwał zawieszony i coraz odnawiany proces olbrzymi o granicę. Zapomniano nieco o nim, bo ostatni dziedzice, nie mając go o czem prowadzić, zadowalali się manifestami, aby przedawnienia nie dopuścić.

Sprawa ta kosztowała obie strony krocie, a mogła Brańskowi odebrać lasy, które znaczną część wartości jego stanowiły.

— Jeżeli się Wincentowiczowi nie śni, rzekł ks. Serafin, no to tylko co nie widać, jak nowy dziedzic pozwie o puszcze.

— Zobaczymy! zobaczymy.

Łowczy zmilkł.

Nazajutrz przywiózł Żurba stary potwierdzenie tej wiadomości, że istotnie jakiś Zembrzyński nabył dobra, lecz co do imienia była różnica, tamten bowiem miał imię Leon, ten pisał się Felicyan.

Tego samego dnia generał, który zapomniał prawie anegdotki Wincentowicza i całego wypadku, rozmawiając z szambelanem, a nie mając go czem zabawić, odezwał się:

— A wie brat, że nareszcie podmoszczyński klucz z licytacyi nabyto?

— Kto taki?

— Jakiś Zembrzyński.

Stary poruszył się na krześle.

— Zembrzyński? Zembrzyński? Nie wiesz, jak mu imię?

— Podobno Felicyan, dodał przytomny stary Żurba.

— Cóż to za jeden? zkąd? nie wiadomo? pytał ks. Norbert dalej.

— Nikt go nie zna.

Na tem pierwsza się wzmianka skończyła.

Tydzień jakoś upłynął. Jednego dnia wcale niezwyczajny na wsi, na miejski wyglądający ekwipaż, przywiózł w poobiedniej porze gościa, który, jak mówił, życzył sobie złożyć swe uszanowanie szambelanowi, a oznajmywał się jako nowy dziedzic podmoszczańskiego klucza. Przystęp do starego ks. Norberta nie był tak bardzo dla każdego łatwym, rodzina, czuwając nad nim, nie przypuszczała gości, nie rozważywszy dobrze, czy staremu będą przyjemni. Często bardzo, wymawiając brata, przyjmowali generał lub Robert. Niewiele i to bardzo miłych ks. Norbertowi osób, miało przywilej mu się przedstawić w każdym czasie. W ganku więc kamerdyner bardzo grzecznie oznajmił, zapraszając do saloniku, że zaraz przybędzie książę generał i dowie się, czy ks. Norbert szanownego sąsiada przyjąć może.

Sąsiad ten, acz nadzwyczaj podobny do pana Leona Zembrzyńskiego, który z mecenasem był u Żurbów, przedstawiał się nieco odmiennie. Najprzód miał u fraka wstążeczki dwóch jakichś nieznajomych orderów zagranicznych, powtóre trzymał się bardzo prosto i zamiast siwych włosów, miał ciemno-kasztanowate włosy, czy perukę, o tem zdaleka trudno było sądzić.

Generał, przyszedłszy, znalazł na pierwszy rzut oka podobieństwo tak uderzającem, iż spytał przybyłego, czy nie miał krewnego tegoż nazwiska przy mecenasie w Warszawie. Przybyły przyznał, że to był rodzony brat jego, nadzwyczaj doń podobny, któremu imię było Leon, on zaś zwał sie Felicyanem.

Ponieważ ów nowy dziedzic podmoszczańskiego klucza wyglądał na bardzo grzecznego i przyzwoitego człowieka, a zrażać go nie wypadało z powodu tego procesu, generał nie widział w tem nic zdrożnego, żeby go bratu przedstawić.

Spytany szambelan, na chwilę się zawahał, potem zgodził na to.

Gdy Zembrzyński wchodził, ks. Norbert z wielką ciekawością wpatrywał się w jego fizyognomią, zdawał trochę niespokojny, lecz po pierwszych wymówionych słowach i usłyszanym komplimencie twarz jego wróciła do zwykłego wyrazu.

Rozmowa poczęła się ogólnikowa, oklepana, nic nie znacząca, tylko wśród niej ks. szambelan wlepił z niezmierną uwagą oczy w przybysza, znajdując ciągle wzrok jego wytężony z dziwną zaciętością na siebie, i to go zmęczyło tak dalece, że w końcu zamilkł, nie mogąc już w dalszych urywanych zapytaniach i odpowiedziach żadnego brać udziału.

Generał spostrzegł, że brata twarz jakoś zbladła i rysy konwulsyjne przebiegało drganie, przyspieszył więc pożegnanie. Wyszli.

Chciano prosić na herbatę sąsiada, lecz odmówił i odjechał.

Gdy w chwilę potem wszedł znowu ks. Hugon, znalazł szambelana w krześle poruszonym, niespokojnym, niemal rozgorączkowanym.

— Jakoś mi ta wizyta nie w porę przyszła, odezwał się zmienionym głosem, człowiek zrobił na mnie wrażenie przykre nad wyraz wszelki. Odrażający ma wzrok, a ciągle oczy miał we mnie wlepione.

— Uważałem to, potwierdził generał, i trochę prędzej go wyprowadziłem, lecz sam pozwoliłeś, żeby ci służył.

Szambelan, nie słuchając już, szeptał pocichu tylko:

— Zembrzyński! Ale nie Zembrzyński...

Potem, gdy generała wzrok spotkał, zamilkł.

— Mnie się on tak źle nie wydał, dodał ks. Hugon.

— Ale wzrok, istne oczy bazyliszka.

— Trzeba będzie zapobiedz, żeby go do ciebie nie dopuszczano.

Szambelan głową potrząsł.

— Uchowaj Boże! uchowaj Boże! proszę tego nie czynić. Gdy go się raz przyjęło, przyjmować będę, a przyznam się, że choć mnie raził wejrzeniem, właśnie dla tego obudza we mnie ciekawość. I radbym przy bliższej znajomości rozpytać go o rodzinę. Znałem niegdyś Zembrzyńskich, ubogą, bardzo biedną szlachtę! Może to z tych samych. Ale oczy! ale oczy! zakończył, jakby sam mówiąc do siebie.

Ze wszystkich członków rodziny może najdziwniejszą zagadką, nawet dla tych, co z nim codziennie obcowali, był książę Robert. Grał on rolę bierną aż do ostateczności, chociaż obojętność jego stosowała się raczej do własnej jego osoby, niż do rodziny, dla której i przywiązanie i poświęcenie okazywał najchętniejsze. Ale potrzeba było bodźca jakiegoś, coby go popychał, któryby mu przypominał, że się ruszać, że cóś począć należało.

On sam, jakby półsenny, najszczęśliwszy był zamknięty w swem mieszkaniu z książką, którą przewracał, nie czytał. Życie go nic nie obchodziło, nie zajmował się niem, chyba dla drugich trzeba było cóś robić, wtenczas powołany stawał. Tak na dany znak starał się o hrabiankę, tak w ostatniej katastrofie krzątał się, pomagał, pisał i znać było, że bolał. Bo-

leć tylko umiał, żyć — nie. Generał, który mu się przypatrywał bacznie, znajdował, że cała ta teraźniejsza młodzież taką była; wiele też w duszy przypisywał nieszczęsnej swej miłości dla hr. Natalii.

Osobliwszy sposób życia, jaki wiódł młody książę, budził rzeczywiście politowanie; znosił on egzystencyą, nic więcej. Zostawiony sam sobie, zamykał się, marzył, usypiał.

Zenon próbował nieraz czemś go zelektryzować, było to niepodobieństwem. Słuchał, uśmiechał się, odpowiadał, czasem dość żywo rozprawiał, a nazajutrz wpadał w dawną apatję.

— Wolałbym, szeptał bardzo cicho generał, żeby choć jakie głupstwo zrobił, byle dał znak życia; to powolne konanie, licho wie, co jest. Myśmy za młodu innymi byli, ale teraźniejsze czasy zużywają ludzi tak szybko!

Nagły wyjazd Roberta przecież tę senność jakąś przerwał. Chociaż pozornym powodem były jeszcze okrawki dawnych interesów, domyślano się, że rzeczywistą pobudką musiało być cóś innego. Ks. Hugon był pewny, że powołuje go hr. Natalia.

— Żeby tylko do licha nie ożenił się jeszcze, mówił Zenonowi, bo i to na nasze głowy spaść może, ale nie, ale nie!

Pomimo że poczta ks. Roberta wprost szła do rąk jego, ludzie wiedzieli, że jakieś listy odbierał, odpisywał, że korespondencja była bardzo czynną. Niezmiernie ciekawa panna Antonina na adresach kopert dopatrzyła się ręki kobiecej, chciała dojść do kogo ks. Robert odpisywał, ale tego dokazać nie mogła. Listy on sam na pocztę oddawał tak, że nikt ich nigdy nie widywał.

Wyjazd prawie nagły zaciekawił, poruszył wszystkich, oprócz spokojnego szambelana... oczekiwano niecierpliwie wiadomości.

W istocie od owego pożegnania z hr. Natalią' ks. Robert ciągle do niej pisywał; listy te całe jego teraźniejsze życie stanowiły. Był to niemal dziennik

prowadzony dla niej, wiernie wszystkie powtarzający myśli i wrażenia. Tak samo biedna, osamotniona kobieta przysyłała Robertowi sprawozdania ze swego życia. Zdało im się w ten sposób, że prawie żyli z sobą razem, spowiadając się sobie.

Gdy nadeszły dni ciężkich prób, Robert zrazu przerwał korespondencją, bo nie mógł ani kłamać, ani truć kobiecie jej samotności, dodając opis prób, które przechodził. Na gwałtowne jej domagania się o wiadomość, napisał prawdę, opowiedział wszystko, co przebywali, z rodzajem bolesnej ironii malując wypadki, które jakiś fatalizm zdawał się nad głowami rodziny skupiać.

Hr. Natalia tak była przejętą i dotkniętą ich niedolą, że gotowa ze swej strony do najcięższych ofiar, byłaby siebie poświęciła dla ocalenia rodziny, której losy związane były z Roberta losem. Wiedziała o całem niefortunnem staraniu o hrabiankę Alfonsynę, upatrywała jedyny ratunek w ożenieniu bogatem księcia, a że przekonaną była, iż hrabianki kochać nie mógł, może dla tego samego wolałaby była wydać ją za niego, niż obawiać się, by inna nie odebrała jej serca. Postanowiła więc heroicznie starać się pocichu o związanie zerwanych stosunków, przekonana, iż tego dokazać potrafi.

Myśl była dziwna, lecz ofiary takie bezprzykładnemi nie są. Hrabia z córką bawił jeszcze w Warszawie, wiedział, że w hr. Natalii kochał się niegdyś książę i ona się tego domyślała, nie mogła więc zrazu sama być czynną i zbliżać się do nich, ale miała przyjaciółki, stosunki, była kobietą i chciała pomódz Robertowi, którego kochała, właśnie dla tego, że Alfonsyna była mu obojętną.

Raz powziąwszy tę myśl, zajęła się nią tak czynnie, tak gorączkowo, jakby jej własne szczęście od tego zawisło. W parę dni wiedziała już o stosunkach hrabiego, o przyjaciółkach Alfonsyny i znalazła Angielkę, przez którą wpłynąć mogła na Alfonsynę.

W sercu hrabianki pozostało czułe wspomnienie

księcia; wzdychała do niego potajemnie, hrabia żałował tytułu i imienia. W chwili, gdy groźna katastrofa zupełną zagroziła ruinę Brańskim, pilnowano, ażeby wiadomość o tem nie doszła do uszów hrabiego, potem dano rozgłos ogromny podźwignięciu się książąt.

Miss Burglife nieustannie napomykała ojcu, iż zbytecznie się z odprawą księcia pośpieszył, zaręczając, że w sercu Alfonsyny pozostało gwałtowne doń przywiązanie, które całe jej życie zatruć mogło. Hrabia tłomaczył się, opędzał, nie lubiąc mówić o tem, a prawdę rzekłszy, zły był na siebie.

Gdy wieść się rozeszła o oczyszczeniu z długów Brańska i uwolnieniu od wierzycieli, poszedł do Aurego, posłał go do mecenasa i otrzymał potwierdzenie wiadomości, że długi były spłacone.

— Musieli wziąć ciepłą ręką sufragana oddaną spuściznę, rzekł w duchu, głupstwo się zrobiło.

Alfonsyna wzdychała tembardziej, że nikt się jej nie trafiał, oprócz takich młodzieńców, których świeże rękawiczki i papierowe kołnierze cały stanowiły majątek. Miss Burglife przypominała jej pięknego księcia. W towarzystwach, w których bywali, bardzo zręcznie napomykano o ks. Robercie, wychwalano go, a zarazem dowodzono, że cała historya o hr. Natalii była przekręconą, fałszywą, czego życie jej teraźniejsze najlepiej dowodziło.

Osnuta intryga, jeśli ją tak nazwać można, grunt doskonale przygotowała; w danej chwili Natalia napisała list gorący, nalegający, przymuszający Roberta, ażeby przybył i — dla jej spokoju, dla jej dobrej sławy, równie jak dla szczęścia rodziny, wrócił do starania o Alfonsynę. Obiecywano mu to ułatwić...

Ks. Robert wybrał się więc bez wielkiego pragnienia i wielkich nadziei, rad, że Natalią zobaczy, nie mówiąc nic nikomu dla tego, iż myślał, że pewnie powróci z niczem, nakarmiwszy się tylko widokiem ukochanej.

Wyjazd ten dla Brańska był nieodgadniony, tajemniczy, niezrozumiały; generał tylko czuł w nim rękę kobiety i w tem się nie mylił.

Oczekiwano wiadomości niecierpliwie. Panna Antonina biegła zawsze pierwsza do oficyn, przetrząsała pocztę i pierwsza też dowiadywała się, że listu od ks. Roberta nie było.

Książę, wyjechawszy przez posłuszeństwo, cieszył się tem jedynie, że hr. Natalią zobaczy. Tu jednak u niej dom teraz tak był urządzony, iż tylko przy świadkach mógł być przyjętym. Daleka krewna pani, niemłoda już panna, mieszkała z nią razem i jak cień chodziła za nią. Było obrachowanem, ażeby pierwsze widzenie się przy tym świadku nastąpiło i przybrało chłodne a przyzwoite formy.

Ks. Robert mocno był tem zmieszany i dotknięty; ściśnieniem ręki, spojrzeniem i cichem słowem starano się go wynagrodzić.

Nazajutrz rozkazywała hr. Natalia, ażeby, oddawszy ranną wizytę państwu Dolskim, którzy otwarty dom mieli, do najświetniejszych należący, ks. Robert wieczorem się u nich znajdował. Tu już ułożonem tak było, ażeby spotkał Alfonsynę i jej ojca. Hr. Natalia potrafiła mnóstwo osób wciągnąć w spisek i skłonić do czynnej pomocy.

Dom państwa Dolskich, ludzi niezmiernie bogatych, a starających się zająć stanowisko społeczne, do którego sama pani, z domu księżniczka S.... miała prawo, był terytorjum neutralnem, na którem spotykali się ludzie do różnych, wszakże przedniejszych i wyższych warstw towarzystwa należący. Sam pan Ireneusz, człowiek bardzo wykształcony, wychowany starannie, rozumny, po ojcu wziął znaczne zakłady przemysłowe i fabryczne, prowadził je z wielkiem szczęściem i talentem; słynął z umiejętnego robienia fortuny, a że się ożenić potrafił z ubogą, ale wielkiego domu księżniczką S..., napierał się mocno do arystokracji, do znaczenia i wpływu. Nie przychodziło mu to bez wielkich ofiar, które on jednakże czynił z pewnem wyrachowaniem roztropnem. Zabiegający, czyn-

ny, wciskał się wszędzie, był członkiem wszystkich stowarzyszeń, należał do wszystkich nowych projektów i zakładających się instytucji, zasiadał w każdym komitecie, podpisywał mnóstwo prospektów, słowem wysługiwał się gorliwie społeczeństwu, do którego chciał należyć. Przyjmowało go ono chętnie, najprzód dla majątku, potem dla imienia żony, w ostatku dla osobistych przymiotów pana Dolskiego.

Śmiano się tylko z nieuzasadnionej jego pretensji do pochodzenia od wygasłej rodziny książąt na Dolsku, która, jak wiadomo, już w XVII wieku nie istniała. Dolski poznajdował był w aktach różne ku temu dowody, lecz choć mu ich nie zaprzeczano, powszechnie powątpiewano o rodowodzie i śmiano się z tej próżnostki rozumnego człowieka pocichu.

W kołach średniej klasy Dolski był bardzo liberalnym i wysoko wynosił wartość pracy i zasługi osobistej człowieka. Stał tak w pośrodku i salon jego otwierał drzwi wszystkim wychowaniem i nauką uprawnionym żywiołom, nie odtrącając nikogo, prócz może najjaskrawszych odcieni.

Pani sama łączyła go ze sferami rodowemi, pan z bankierskiemi i tak zwaną intelligencją. Ponieważ napisał był kilka rozpraw w przedmiotach ekonomii politycznej i drukował parę artykułów w Bibliotece warszawskiej, Dolski liczył się do literatów i w istocie nauki, oczytania, smaku miał może więcej od wielu z profesji pracowników na tem polu, na którem ochotnika łatwiej spotkać, niż regularnego żołnierza.

Wieczory w domu państwa Dolskich należały przez kilka zim do najbardziej uczęszczanych, do tych, na których musiał bywać koniecznie, kto się nieco szanował. Dolscy zapraszali w ogóle bez wyboru wszystkich ludzi przyzwoitych, stanowiących tło salonu. Na niem świeciły gwiazdy, jak nocą błyszczą na ciemnych szafirowych niebiosach.

Hrabia z córką wcisnął się tam zaraz i nie chybił żadnego wieczoru, choć i Alfonsyna i on szczęścia tam nie mieli. Atmosfera dla nich była jakoś do oddychania ciężką; Mościński milczał, słuchał, a ilekroć się odezwał, sam czuł, że nie do rzeczy; panna Alfonsyna obok znakomitości muzycznych popisać się z talentem nie śmiała, do rozmowy mieszała się mało i jaśniała najgłówniej blaskiem swych klejnotów. Te w istocie obudzały podziw i uwielbienie. Cicho powtarzano dokoła: C' est une riche héritière. Kilku młodych pozłacanych i tombakowych młodzieńców kręciło się już przy pannie, ale ta zbywała ich odstręczającym chłodem. Miss Burglife, stojąca na straży, nie dopuszczała żadnej bliższej znajomości.

Tegoż dnia, gdy ks. Robert złożył swą kartę rano u państwa Dolskich, gospodarz, zobaczywszy ją (nawykł był bardzo szanować imiona, a rodzina żony była spokrewnioną z Brańskimi), natychmiast pobiegł do hotelu, aby na wieczór zaprosić, chociaż był to ich dzień, więc nawet bez osobnej inwitacji byłoby się obeszło.

— Cher cousin! zawołał, ściskając go, przyjdźże, proszę cię, dzisiaj; jest to nasz tygodniowy wieczór, zwyczajny... ale poznacie na nim, lub przypomnicie się... całej Warszawie, bo u nas schodzi się, co jest wybranego, zewsząd... i artyści, i literaci, i naszego świata ludzie, i finansowy świat présentable, słowem co chcesz...

Hr. Natalia umyślnie jakoś ten wieczór natychmiast po przyjeździe wyznaczyła ażeby hrabia i jego córka nie dowiedzieli się nawet wprzód o przyjeździe ks. Roberta.

Mniej więcej określoną była rola, jaką miał odegrać przy spotkaniu, zależało jednak wiele od znalezienia się hrabiego, na którego zgryzoty i żal rachowano. Ks. Robert miał, lub nie miał się przybliżyć do Alfonsyny wedle tego, jak ona przez miss Burglife życzenie swe objawić mogła. W każdym razie Angielkę powinien był pozdrowić uprzejmie i w dłuższą z nią wdać się rozmowę. Tak mu nakazano, a ks. Robert był biernym i posłusznym na podziw, gdy tylko nie szło o Natalią. Nie opierał się jej projektowi w wi-

dokach ocalenia rodziny. szczęścia wszakże nigdy spodziewać się już nie mógł.

Chociaż miano o ósmej schodzić się u państwa Dolskich, ponieważ nikt bardzo wczesnym być sobie nie życzył, spóźniali się goście tak, że dopiero około dziesiątej salon się ożywiał. Hr. Natalia zapowiedziała, że tego dnia nie będzie, lecz dodała razem, iż najdokładniejszy raport otrzyma od swych przyjaciółek.

Po dziesiątej ks. Robert wyjechał... Salony były już pełne... w pierwszym zaraz spotkał go sam gospodarz i poprowadził do żony, która ze szczególnem odznaczeniem dawno niewidzianego kuzyna przyjęła, posadziła go przy sobie, przytrzymała i widocznie chciała okazać, iż wielki ma dla niego szacunek.

Przechodząc z Dolskim przez pokoje. Robert dostrzegł już hrabiego, który na widok jego niespokojnie się rzucił, podbiegł kilka kroków, jakby się chciał przekonać, że go oczy nie zwodzą i zniknął. Niedaleko od gospodyni siedziała panna Alfonsyna, która zbladła dziwnie na widok Roberta, odwróciła się do mis Burglife i napróżno starała ukryć wielkie wzruszenie. Ks. Robert, po rozmowie z panią domu, wysunął się, okrążył salon i wedle programu, pozdrowiwszy ukłonem hrabiankę, która głowę szybko odwróciła, przysiadł się poufale do Angielki.

— Dawno książę przybyłeś?

— Wczoraj.

— Co za niespodziane spotkanie! Zabawisz tu książę długo?

Tak rozpoczęła się pogadanka, której Robert starał się nadać cechę wesołą. Mościński we drzwiach salonu na straży śledził ją oczyma, nie wiedząc, co mu począć wypada. Witać się, nie witać—znać, czy ignorować... W niepewności był wielkiej, gdy gospodarz go zaczepił pytaniem, czy księcia Roberta widział?

— A spostrzegłem właśnie, odezwał się Mościński, to nasz kuzyn, ale, jeśli mi pozwolicie, przyznam się wam, jesteśmy trochę na bakier. Coś zaszło — nieporozumienie, starał się trochę o Alfonsynę, i z tego po-

wodu rozstaliśmy się zimno. Sam teraz nie wiem, czy mi wypada zbliżyć się, czy nie?

— Zawsze wypada być grzecznym, odparł Dolski. Cóż tam znowu!... możecie bliższych nie mieć stosunków, ale niepodobna udawać, że się nie zna. Chodź, przy trzeciej osobie, to ci pójdzie łatwiej.

Opierał się nieco Mościński, ale chwycony pod rękę, poszedł; zbliżyli się do ks. Roberta, który wstał i ukłonił się, hrabia odetchnął. W tej chwili go puścił i zostawił samym, Mościński nie wahał się bliżej przystąpić.

— Czy mogę spytać księcia, jak się tam w Brańsku mają?

— Bardzo hrabiemu dziękuję, rzekł Robert, ojciec mój zdrów, jak na swój wiek. Ponieśliśmy bolesną stratę przez zgon ks. sufragana; generał cierpiał nad tem wiele.

— A księżniczka?

— Stella i wszyscy zdrowi.

— Na długo tu książę przybył?

— Dla interesów, to dosyć powiedzieć, czas oznaczyć trudno. Hrabia zabawi jeszcze w Warszawie?

— Zapewne, zapewne, zabawimy...

Rozmowa już się dla braku materjału zerwać miała, gdy Mościński nagle heroiczne powziął postanowienie... Przybliżył się jeszcze na parę kroków, uśmiechnął... i szepnął:

— Gdybym śmiał księcia prosić na słówek parę.

Robert wstał i okazał gotowość na rozkazy. Przesunęli się przez tłum i weszli do gabinetu, w którego kącie dwie znakomitości łyse zajęte były kwestją społeczną tak zażarcie, iż nikomu przeszkadzać w poufnej rozmowie nie mogły.

Hrabia miał minę rozrzewnioną.

— Książę mi nie masz za złe? rzekł błagająco. Zapomnijmy o wszystkiem, bądźmy dobrymi przyjaciółmi. Ja chętnie się przyznaję do winy. Człowiekowi nagadano niewiedzieć co, a ja jestem czasem gorączka.

Podał rękę drżącą; Robert, kłaniając się, w milczeniu ją przyjął.

— Nie mam najmniejszej urazy, rzekł.

— To chwała Bogu!

Mościński oddychał, promieniał, że z fałszywego położenia wyjść potrafił. Zamienili jeszcze słów parę, ktoś nadszedł i wrócili do salonu.

Ponieważ pokoje wszystkie szły na przestrzał, oko Alfonsyny mogło nieznacznie śledzić wszystkie ojca ruchy, fizjognomią i domyślać się jakiegoś pojednania. Twarzyczka żółtawa hrabianki zarumieniła się nieznacznie, miss Burglife spojrzała na nią i szepnęła:

— Książę się do hrabiego zbliżył. Widzisz, kochana Alfonsyno, nigdy nie trzeba wyrokować o przyszłości, on ma pewnie serce tobą zajęte. Źle, żeś go tak zimno przyjęła.

Hrabianka nie odpowiedziała na to nic, ale cichy uścisk ręki przyjaciółki jeszcze żywszy rumieniec na twarz jej występujący dowiodły, że w sercu mieszkało jakieś uczucie. W głowie czy w niem? tego miss Burglife nie rozwiązywała, a są niby-uczucia, które w głowie mieszkają i należą może, jak orły mieszkające na skałach, do najdrapieżniejszych ptaków.

Tak zeszła część tego pamiętnego wieczora. Hrabia dwa czy trzy razy, dla okazu przed ludźmi, rozmawiał w salonie z księciem Robertem, książę parę słów rzucił miss Burglife, a choć oko Alfonsyny śmielej na nim spoczęło, nie zaczynał rozmowy.

Na początek wszystko szło jak najlepiej, a do dnia nazajutrz odebrał bilecik hr. Natalii zapraszający na obiad dla obmyślenia dalszego programu.

Robertowi wszystko to dosyć było obojętnem; ale kilka godzin z hrabiną płaciło za te strategiczne zabiegi, w których skutek wierzyć się nie zdawał.

Jeszcze się był nie ubrał, gdy oznajmiono mu hrabiego... Odwiedziny te miały znaczenie wielkie, przynajmniej oznaczały wyraźnie chęć zupełnego przejednania.

Mościński wszedł uśmiechnięty; zrazu mówił tylko o pogodzie, potem przeszedł do interesów familijnych, naostatek, już przy pożegnaniu, odezwał się, ciśnąc dłoń ks. Roberta:

— Już mi też książę tego nie odmawiaj, ażebyś choć dla oka ludzkiego był u mnie. Co tam było, to było; wzajemnie sobie przebaczmy, a wszakże dobrymi krewnymi i przyjaciółmi być zawsze możemy. Alfonsyna też pragnie się sama przekonać, iż do nas urazy nie macie... Soyez assez bon, odwiedź nas, proszę.

Książę przyrzekł, rozeszli się w bardzo dobrych stosunkach.

Hr. Natalia, oprócz tego rannego spotkania, wiedziała o wszystkiem bardzo dokładnie, dała rękę do pocałowania ks. Robertowi w nagrodę jego posłuszeństwa, śmiała się jakoś dziwnie, a gdy opowiedział o wizycie hrabiego, zarumieniła się aż, rada zwycięztwu. Jak to uczucie jej i tę dziwną gorliwość miał sobie tłumaczyć książę, sam nie wiedział, było mu smutno. Spytał nawet:

— Mój drogi Robercie, szepnęła cicho, mam może na sumieniu, żem ci życie złamała. Niechże mu ulżę, myśląc, że się choć do materjalnego spokoju i dobrego bytu rodziny waszej przyłożę. Miłość młoda przechodzi i ostyga, życia nędza i wymagania zostają.

Zapłakała, otarła łzy i zamilkli.

Po dość długiem oczekiwaniu nareszcie przybył, bardzo skromnie, à l'anglaise. ale z nadzwyczajnem staraniem wyekwipowany od stóp do głowy. pan Zygmunt Garbowski. Rachował on nieco na to, że zastanie ks. Roberta, a nierad był, gdy mu zapowiedziano, że do Warszawy na niewiadomo jak długi czas wyjechał. Szanowny stryjaszek Gozdowski, przerażony przybyciem tego pretendenta, o ile mógł, ręce od wszystkiego umywał i radził mu zaprezentować się generałowi.

W takim stanie, w jakim był dom Brańskich, przybycie młodego człowieka stawało się dość niewygodnem. Czuł to sam przybyły, lecz głowy ani humoru nie stracił. Zaprezentował się generałowi w jego mieszkaniu, a że zastał go przy zbrojach jeszcze, ofiarował się mu zaraz pomagać, jako wielki wszelkiej broni nowej i starożytnej miłośnik.

Zrazu stary był w pewnej obawie o swe drogocenne okazy, lecz gdy Zygmuś zaczął ze znawstwem opowiadać o Ambrasser Sammlung w Wiedniu i Rüstkammerze w Dreznie, o świeżych muzeach broni, które widział za granicą, ks. Hugon rozchmurzył się i zdał na jego ręce bez obawy przypasowywanie sztuk luźnych. Spadłszy tu jak z niebios, w przeciągu paru godzin nadzwyczaj wiele zrobił, poprzekładał i stryjaszka w najlepszy wprawił humor.

Z nim razem potem zeszli na obiad, na którym szambelana nie było.

Księżniczka Stella wiedziała już o przybyciu p. Zygmunta i dosyć niespokojna ukazania się jego oczekiwała, mniej jednak przelękła, niż Antonina się spodziewała. Zygmuś, ów wesoły szaławiła, zmieniony był wielce, poważny i troskliwy o przyzwoite pokaza-

nie się nadewszystko. Przywitał księżniczkę z uszanowaniem wielkiem. Spojrzeli sobie w oczy. Stella uśmiechnęła się mu dziękczynnie, a że generał zaraz zagadał, wychwalając zręczność gościa, który z nim zbroje ustawiał, rozmowa padła na tór obojętnych rzeczy i potoczyła się gładziutko po nim, nie zaczepiając o nic drażliwego.

Z nadzwyczajną ciekawością patrzyła panna Antonina na przybysza; chciałaby była coś w nim znaleźć niezupełnie odpowiedniego położeniu, ale nie mogła. Najsurowsze wymagania zaspokajał przykładnem nader obejściem się, w którem nic wymuszonego, zbytecznego, a zatem śmiesznego nie było.

Księżniczka powiedziała mu grzecznie, że się go już oddawna w Brańsku spodziewano.

— Nie chciałem być natrętnym, odpowiedział, a przytem do tak uroczystych dni życia, jakiemi są dla mnie zawsze dni pobytu w tym domu, należy się duchem przygotować. Musiałem pracować nad sobą, by zrzucić skorupę starego człowieka, a przywdziać nową, odpowiednią.

— A jakaż była ta stara skorupa? spytała Stella.

— Jaskrawa, niesmaczna, zbyt młoda; musiałem trochę zestarzeć, dodał Zygmunt.

— To szkoda! młodość jest tak miłą i drogą!

— Jak jaka, pani, rzekł Zygmunt, czasem, jak moja, wygląda karykaturalnie.

— Trochę się pan obmawiasz.

— O nie, pani, zresztą wolę, bym się trochę lepiej wydał potem.

Po obiedzie i urywanej przy nim rozmowie, księżniczka miała sposobność znalezienia się na chwilę przy oknie, sam na sam prawie z Zygmuntem, choć oko Antoniny każdy jej ruch śledziło i z poruszenia ust zdało się odgadywać wyrazy. Tej chwili użyła księżniczka, by Zygmuntowi podziękować.

— Dokazałeś pan cudu, rzekła, podając mu rękę ze spojrzeniem pełnem rzewności, masz pan prawo do ca-

łej mojej wdzięczności i bądź pewien, że mu ją dochowam, że danego słowa dotrzymam... Zabaw pan u nas, poznajmy się lepiej wzajemnie.

Słowa te powiedziała cichutko i natychmiast wróciła do towarzystwa.

Zygmuntowi dosyć ich było. Wmięszał się do ogólnej rozmowy, a że mu na talencie nie zbywało, zabawił wszystkich żywemi słowy i dowcipem. Generał był zupełnie podbity.

Wieczorem, ponieważ zwykle szli wszyscy do szambelana, wyrobiono pozwolenie wprowadzenia pana Zygmunta, o którym ks. Norbert od Stelli już słyszał wiele. Nie domyślał się jednak wcale książę, jaką tu ten gość odgrywał rolę.

Ponieważ w chwili wnijścia na pokoje szambelana generał się był pozostał za nimi, trafem ks. Stella prezentować musiała ojcu młodego Garbowskiego. Uchodziło to o tyle, o ile ona rolę gospodyni domu odgrywać musiała.

Szambelan przyjął go nader uprzejmie, przypatrywał się ciekawie i, jak był zwykł przy nowych ludziach, zaczął zaraz opowiadanie starych dziejów.

Zygmunt słuchał bardzo przykładnie. Wyzwany parę razy, odezwał się skromnie, ale śmiało. Nie było z kim grać... ofiarował się księciu do bilardu i dał mu wygrać, okazawszy jednak, że gra zręcznie i dobrze. Wszystko to były małe środeczki pozyskania sobie względów i uczynienia dobrego wrażenia.

Skaptował ostatecznie księcia pan Zygmunt, okazując nadzwyczajną biegłość w nauce heraldyki i genealogii, którą nabył, przeczytawszy umyślnie parę książek. Ze zdumieniem przekonał się ks. Norbert, że znał związki główniejszych rodów, koligacye, domy panujące i stan ich dworów, urzędników wielkich i t. p. Oprócz tego z mnogich swych podróży miał młodzieniec zajmujące wspomnienia, których stary z przyjemnością słuchał. Zręcznym był też dotyla, że więcej napozór bawił starego, niż księżniczkę.

Wywiązał się z tej pierwszej próby tak zwy-

ciężko, że stanowczo jakoś niezbyt mu przychylna panna Antonina znajdowała go nadto zręcznym.

— Zaczynam się go obawiać, szepnęła księżniczce, zbyt jest na swój wiek rozumny, chłodny i wyrachowany.

Stella się roześmiała.

— Wolałabyś, żeby się znaleźć nie umiał?

— Tak, prawie.

— A ja nie, szepnęła Stella, gdy obie w jej różowym pokoiku wieczorem zasiadły. Spowiadam ci się ze szczerością, do której z tobą nawykłam. Tego, co w książkach nazywają miłością, nie czuję dla niego, nie wiem nawet, czy kiedy serce moje doznaćby mogło tego uczucia. Zestarzałam jakoś zawcześnie. W mojem położeniu pociesza to, że człowiek, który według wszelkiego podobieństwa pójdzie ze mną drogą życia, nie budząc we mnie płomienistej miłości, przynajmniej na szacunek zasłuży i będzie znośnym.

— Ja bo podzielam zupełnie uczucie twe, droga Stello, rzekła Antonina, wiem, że kochać go nie możesz, bo nadto kochasz wszystkich, byś jednego ukochać mogła, ale pragnę, ażeby on się w tobie kochał szalenie, a tego nie widzę.

— Byłoby niesprawiedliwością wymagać to po nim, czego mu dać nie można, dodała Stella. Zresztą wybór mój przymusowy, mógł być o wiele gorszym.

— Ja się tem pocieszam, że jeszcze z tego nic nie będzie.

— Dla czego?

— Bo to nie od jednej księżniczki zależy, a rodzina nigdy na to nie zezwoli.

— Będzie musiała, bo ja słowa mojego dotrzymać muszę, stanowczo rzekła Stella.

Nazajutrz pan Zygmunt znowu bawił generała ranek cały, odwiedził Gozdowskiego, przyszedł przed obiadem na pokoje, jak domowy, jakby się z porządkiem tego regularnego żywota zupełnie już oswoił, bardzo był uprzejmym, ale nie natarczywym przy księżniczce, w którą się tylko wpatrywał, jak w obraz

cudowny, potem z nią razem udał się do ks. szambelana, i wieczorem bawił ich czytaniem, deklamacyą, opowiadaniami tak, że czas zszedł bardzo żywo. Nawet p. Antonina przyznać musiała, że był wielce miłym.

Lecz ktoby był wszedł w głąb człowieka, usiłującego się ze swywolnego nieco życia młodości przerobić nagle na przyzwoitego, ukołysanego już, salonowego panicza, znalazłby może, iż zakochany w księżniczki oczach i uroczej twarzyczce, a nawykły do niepomiernej swobody, straszliwie się męczył i nudził dla jej miłości. Umiał się zastosować do tego życia, rozumiał je, lecz zadowolić się niem dotąd nie potrafił. Czuł, że tu jakiegoś żywiołu brakło. Życie objawiało się najpiękniejszemi stronami swemi, lecz tak skąpo i nieśmiało, tak wysznurowane i rozmierzone, iż żywszy charakter połowy swych sił i energii rozwinąć w niem nie mógł.

— Proszę też stryjaszka, spytał drugiego dnia Gozdowskiego, czy ci państwo tak wiekuiście żyją spokojnie, połową tylko serc, ust i ducha?

— A zawsze! odparł Gozdowski, i w tem cała tajemnica szczęścia, wielkie pomiarkowanie, miara, przyzwoitość we wszystkiem.

— A la longue, rzekł Zygmunt, mogłoby to być trochę nudnem... ale można się do tego przyzwyczaić, żyje się jak w pieluszkach...

— To właśnie cały wdzięk i smak tego życia stanowi, dodał Gozdowski, który doskonale się z niem godził.

— Wiekuista reprezentacya jakaś, ale doskonała... szepnął Zygmunt, szkoda, że się trochę nie zmieniają dekoracye i że żywiołu dramatycznego zamało.

Gozdowski ramionami ruszył.

— Jesteś parafianin.

— Ani słowa, odparł Zygmunt.

Trzeciego czy czwartego dnia, korzystając z zajęcia czemś panny Antoniny, dłuższą miał rozmowę z księżniczką, która, przemógłszy pierwsze zakłopotanie po przyjęciu młodego gościa, była już spokojną, naturalną i zupełnie sobą. Ani w jej twarzy, ani w mowie nie zagrało żywsze żadne uczucie... w łagodnych oczach błyszczała jedna zawsze dobroć anielska wyrazem słodyczy pełnym; w mowie nie poruszyła się żadna struna głośniej; myśli, które wyrażała, płynęły jasnym strumieniem, w którego głębinach żadna złocista rybka nie drgnęła.

Zygmunt, napróżno ożywiając się sam, starał się ją też pociągnąć za sobą; po krótkiej walce Stella, silniejsza od niego, niosła go w te światy, w których mieszkała, a do których on wchodził onieśmielony, przelękły, niemal upokorzony. Czuł się przy niej zbyt ziemską istotą i wstydził, że tak mu ciężyła ta adamowa glina, gdy Stella była tak przezroczystą i bezcielesną.

Pomimo to godzili się doskonale z sobą i bawili rozmowami o wszystkiem, jakby wypróbować chcieli, czy o wszystkiem też podobne mają pojęcia.

Czasem się one nie godziły, była chwila jakiegoś oporu i niby walki, poczem Zygmunt podbity łatwo ustępował.

Wieczorem któregoś z dni następnych, gdy pan Zenon zaprosił do siebie Garbowskiego, chcąc nieco ulżyć Brańskim, stary szambelan prawie po młodym gościu tęsknił i upominał się o niego.

Zenon czy sam dla siebie, czy namówiony przez siostrę, widząc go tak jakoś poważnym do zbytku i jakby onieśmielonym, począł badać Zygmunta, znając jego otwartość.

— No! jakże ci idzie, panie Zygmuncie?

— Jak nie można lepiej! Księżniczka — to prawdziwy anioł, ale między nami powiedziawszy, jej złociste skrzydła napełniają mnie oprócz miłości jakimś strachem.

Śmiać się zaczął Zenon.

— A widzisz? rzekł, byłem tego pewnym!

— Nie stoimy na jednym planie, dodał Garbowski. Ja na tę drabinę aniołów nie mogę się wdrapać, a próżno oczekuję, ażeby ona trochę zeszła ku mnie.

— Jednakże nie możesz się skarżyć, jest dla ciebie tak miłą i dobrą!

— Że padam przed nią na twarz! ale gdyby też choć raz mnie połajała, zdaje mi się, że kochałbym ją mocniej jeszcze. Jestem w tem położeniu, jak owe dantejskie dusze w czyścu, jak poeta sam, gdy je chciał czule uścisnąć: chwytam urocze widziadło i ręce moje wracają mi na własne ramiona.

— W istocie, księżniczka jest istotą tak powietrzną, rzekł Zenon.

— Jakże tu ją wprowadzić w to życie, tak niestety kantowato rzeczywiste? odparł Zygmunt.

Na to nie odpowiedział mu Zenon, zagadali się wesoło o czem innem.

W kilka dni Garbowski oświadczył, że będzie musiał pojechać... Księżniczka była sama z nim, układając bukiet kwiatów zimowych. Spojrzała nań przenikliwie.

— Czego się pan tak spieszysz, rzekła łagodnie, tyle jeszcze do powiedzenia mamy. Ja przynajmniej...

— O pani, zawołał Zygmunt smutnie, ja miałbym nierównie więcej pewnie, lecz na ustach mi mrą wyrazy. Tyle jest rzeczy, któremi bałbym się obrazić jej uszy.

— Obawa niepotrzebna, dodała księżniczka, nawet panna Antonina znajduje, że pan jesteś do zbytku trwożliwym. Ale... jedź pan, jeśli chcesz, może śmielszym powrócisz.. tylko (obejrzała się wokoło) ażebyś pan o mnie nie zapomniał i miał zakład mej dobrej woli w dotrzymaniu mu słowa... weź pan tę odemnie małą pamiątkę.

To mówiąc, podała mu różyczkę zerwaną, a na jej łodydze mały z turkusem pierścionek.

Takiego szczęścia nie spodziewał się Zygmunt, a że kochał, a raczej ubóstwiał Stellę, o mało nie padł na kolana przed nią. Oczyma księżniczka zabroniła mu tego ruchu, któryby nadto zdradzał rozmowę.

— Daj mi pan w zamian jaką obrączkę, rzekła

chcę ją mieć, abym czuła zawsze, com panu winna i jakie mam dlań obowiązki.

Zygmunt zdarł z palca obrączkę jakąś jedyną, którą nosił, i całując rękę księżniczkę, włożył ją na jej palec.

Stella spojrzała nań z anielsko-spokojnym uśmiechem, nie zarumieniwszy się nawet, skinęła mu głową i powoli odeszła ku Antoninie.

Były to więc zaręczyny, a raczej zaręczenie, że wiara dochowaną mu będzie, zależało tylko od niego zostać szczęśliwym, a drżał biedny Zygmunt! Wróciwszy do mieszkania, padł w krzesło, zadumał się, nie czuł prawie godnym tego, co go spotkało.

W pierwszych chwilach piął się zuchwale do tego szczęścia, teraz przerażało go ono. Stary Zygmuś walczył w nim z młodym panem Zygmuntem. Wyrywał się ztąd, aby odetchnąć w innej atmosferze piersią całą, tu dusiło go cóś, sam nie rozumiał siebie.

A przecie był szczęśliwym... kochał, śniły mu się te wlepione w niego oczy pełne wyrazu, w które patrząc, wieczność było można przemarzyć. Zygmunt się pytał, czy też życie w nich przeżyć było można?

— Mówiły one wiele, wiele, ale... o miłości ani słówka.

W chwili wyjazdu pana Zygmunta, niespodziewanie otrzymał pan Gozdowski list od dziedzica nowego klucza podmoszczańskiego, który w wyrazach bardzo grzecznych żądał od niego rozmowy w przedmiocie procesu, istniejącego między Brańskiem a jego

dobrami o granicę. Gozdowski ani przypuszczał. żeby ten nieboszczyk mógł odżyć. Z obu stron milcząco się oddawna ugodzono o pewne używalności i choć nic rozstrzygniętem nie było, spór zdawał się umorzony. Pan Felicyan Zembrzyński wzywał na konferencyą. Nie chcąc go fatygować, plenipotent, zabrawszy papiery, pojechał do niego.

Podmoszczański dwór, jak wiele innych, na starej bardzo, resztkami wałów obwiedzionej sadybce stojący, obszerny, opuszczony, zaczynał się dopiero restaurować potrosze. Od lat kilkudziesięciu tylu w nim ludzi gospodarowało, iż ze wszystkich po nich śladów, najróżnorodniejsza stworzyła się budowa. Część jej murowaną, najporządniejszą, zajmował nowy dziedzic, dosyć się wygodnie i nawet kosztownie urządziwszy meblami, sprowadzonemi z Warszawy. Sług nie brakło... Wysiadając z powozu, ujrzał kogoś Gozdowski tak podobnego do Jałowczy, że gotów był przysiądz, iż tego podejrzanego włóczęgę tu widział znowu...

Pan Zembrzyński przyjął z przesadną grzecznością plenipotenta.

— Nie moja to wina, iż muszę pana dobrodzieja łaskawego fatygować. Spadł na mnie ten niemiły ciężar po przeszłych dziedzicach; radbym się go, a razem i procesu, zbyć jak najrychlej. Czybyśmy o tę dyferencyą ułożyć się jakoś zgodnie nie mogli? Ja z góry zapowiadam, że do ugody wszelkiej, możliwej, chętnie obie wyciągam ręce.

— My też, zawołał Gozdowski.

— Chwała Bogu! rozpatrzmy się w interesie gruntownie i rozstrzygnijmy.

Przy winie, herbacie, owocach i cale pańskiem przyjęciu, podanem na pięknych, nowiuteńkich srebrach, wszczęła się tedy rozmowa o dyferencyi.

Rzecz przedstawiała się nadzwyczaj jasno i prosto według Zembrzyńskiego Ks. ks. Brańscy powinni byli odstąpić od nieprawnie trzymanych lasów i łąk. a poczciwy dziedzic dla świętego spokoju z wszelkich

o długie przetrzymanie własności swej pretensyi kwitował.

Gozdowski osłupiał. Napróżno starał się dowieść, że zupełnie odwrotnie w jego przekonaniu podmoszczańscy dziedzice trzymali nieprawnie znaczną część borów brańskich, że książęta mogli prędzej daleko rościć sobie prawo do wynagrodzenia i t. p. Acz bardzo grzecznie rozprawa o tę granicę trwała do późna wieczorem, a skończyła się tem smutnem przekonaniem plenipotenta, że z nowym dziedzicem, który tak się zdawał do ugody pochopny, nic na drodze pokojowej zrobić się nie da.

Wnosił Gozdowski, by kończyć kompromisem przez osoby wybrane z obu stron i przez obie strony wyznaczonego superarbitra, ale Zembrzyński uchylił się od tego pod pozorem, że, będąc tu homo novus, mało zna ludzi, wybraćby ich nie umiał i nie ośmieliłby się fatygować. Koniec końcem z bólem serca, mimo najgłębszego szacunku dla czcigodnego domu książęcego, chociaż miłośnik pokoju i zgody Zembrzyński. bijąc się w piersi. prawie ze łzami utrapienia, zapowiedział, że będzie zmuszonym sprawę tę oddać trybunałom do rozstrzygnięcia.

Gozdowski już na samem wyjezdnem wstrzymał się jeszcze, chcąc bliżej wyrozumieć, od czegoby przeciwnik nie odstąpił; lecz pretensje były tak olbrzymie i przesadne, że o roztrząsaniu ich myśleć nawet nie było podobna. Zembrzyński domagał się prawie całych lasów należących do Brańska, zawierających ogromne sianorzęcia, część towarnego boru, kilka osad kolonistów i t. p. Odjęcie tego spornego obszaru znaczyło tyle, co utrata połowy Brańska. Mogło się zdawać że tylko dlatego żąda tak przesadzenie wiele, aby cóś otrzymać, lecz dokumenty, które składał, przekonywały, że na seryo myśli proces, z dodatkiem jeszcze pretensji z posiadania wynikłych, rozpocząć. Opłakiwał tę smutną ostateczność, w którą został wtrącony nabyciem, p. Zembrzyński, lecz cóż? mówił, zapłaciłem drogo, rachowałem na to, obowiązek każe do-

chodzić. I znowu zaklinał się i protestował, iż zadawał gwałt uczuciom swoim.

Plenipotent odjechał późno, zamyślony, trochę zmitrężony tem wszystkiem, nie chcąc jednak uwierzyć, ażeby rzecz groźną być mogła.

Upłynął tydzień spokojnie. Zembrzyński listem jeszcze raz wezwał do układów. Gozdowski pojechał i trafił na te same niezłomne żądania; rozeszli się sucho i zimno.

W kilka dni wyszły pozwy. proces był wytoczony. Ze zwykłą sobie powolnością Gozdowski, niewiele o to dbając, napisał do plenipotenta. posłał mu papiery, notaty i spał spokojnie... tak spokojnie, że nagła wiadomość o szybko jakoś bardzo zapadłym wyroku pierwszej instancji. w której książęta najzupełniej pobici zostali, piorunem go raziła.

Wyrok ten skazywał na przywrócenie dawnych granic mapami z 1612 roku wskazanych. na koszta i mającą się ocenić indemnizacją.

Nic to nie znaczyło, boć zostawały niezliczone apelacje z powodu formy i treści. można się było lat piętnaście wodzić po sądach. wszakże jeden zły wyrok już jest bardzo szkodliwym w sprawie prejudykatem.

Gozdowski. który o tem dotąd nikomu nic nie wspominał, wzburzony poleciał na radę do Zenona. Ten. przejrzawszy dokumenty za i przeciw, sprawę znalazł zawikłaną i niedobrą. Za tych czasów. gdy możniejszym wolno było prawie wszystko, co siłą poprzeć mogli, dopełniono najazdu na klucz podmoszczański, pod pozorem błahym i nieuzasadnionym. W ciągu wieków prowadzone procesy świadczyły wymownie. że Brańscy mieli za sobą wpływy. moc, protekcje, ale sprawiedliwość była po stronie przeciwnej.

Zenon nie mógł tego utaić. Przedawnienie stanowiło jedyny argument za nimi.

— Wiesz pan co, rzekł Zenon, nie wątpisz pewnie o mojem przywiązaniu do domu książąt. gdyby mi jednak sprawę sądzić dano. musiałbym ją przeciwko nim osądzić.

— To nie może być! zakrzyczał Gozdowski. pan masz jakieś przesadzone, dziwaczne idee! Dwieście lat posiadania!

— Choćby trzysta lat nie zmienia natury rzeczy, i co było niesłusznie zagarnięte. nie staje się prawą. własnością.

Zebrano konferencją przyjaciół i prawników. Zdania były podzielone, wszyscy jednak godzili się na to, że Zembrzyński, który pieniędzmi sypał. sprawę wygrać może i że niebezpieczeństwo jest bardzo wielkie.

Popłoch padł na Gozdowskiego, generał śmiał się i ramionami ruszał.

— Dwieście lat trwa sprawa. dwieście lat będzie trwała. Strachy na lachy, niema się czego trwożyć.

Tak to się ukołysało jakoś, a tymczasem niezmiernie czynny i zabiegliwy Zembrzyński pozywał a pozywał. Plenipotent lubelski z flegmą. rachując tylko na przeciągnięcie procesu rozmaitemi wykręty... wymykał się na wsze strony. jak zając przed psami powracający do swej kotliny. aby ich obałamucić.

Księcia Roberta z powrotem nie było. Podwójna siła trzymała go w Warszawie: piękne oczy hr. Natalii, w które się codzień choć zdala mógł wpatrywać i nadzieja ożenienia, ku któremu ona go popychała sama, całemi siłami starając się, ażeby przyszło do skutku. Pomimo to kochała go, lecz miłość ma swe niepojęte dziwactwa i szały. Zdawało się jej, iż serca Roberta pewniejszą będzie, dając mu za żonę kobietę,

której kochać nie mógł. Pragnęła przytem oczyścić się, uspokoić na duchu. Przyjmowała go codzień, lecz żeby nie dać się dawniej namiętności obudzić, wyrachowywała bacznie, ażeby kogoś przy sobie mieć zawsze, aby go odzwyczaić od poufałości i nazwyczaić do spokojnego stosunku, podobniejszego do starej przyjaźni, niż do zgasłego wulkanu. Starania hrabiny, same z siebie szczęśliwe, ojciec Alfonsyny, zupełnie teraz nawrócony, popierał dobrowolnie.

Robert, zaproszony, poszedł raz pierwszy z ceremonialną wizytą. Zastał jakby naumyślnie tylko pannę i nauczycielkę, które go przyjęły, jakby wczoraj rozstał się z niemi. Hrabianka podała mu rękę, zaczęła rozmowę od rzeczy obojętnych, wpadła w humor wesoły, dziwnie wesoły, a gdy przypadkiem wyszła miss Burglife, nader czule patrząc w oczy księciu, szeptała mu po cichu, że się spodziewa częściej go widywać.

Czułość ta raczej mogła odstręczyć Roberta, nie przyciągnąć. Pojmował on ożenienie urzędowe, zimne, obrachowane ze stron obu, lecz do wysiłku i kłamanego przywiązania nie czuł się zdolnym. Czegóż przecie nie zrobi, kto jest zmuszony? Przyjął to wszystko, podziękował i przyrzekł, że będzie posłusznym.

Miss Burglife nie powracała tak długo, aż wszystkie materjały rozmowy zostały wyczerpane. Alfonsyna wypowiedziała, co tylko sobie wprzódy przygotowała i postanowiła mówić.

Razem prawie z guwernantką ukazał się ojciec wracający z miasta, czuły, serdeczny, gorący, duszący w uściskach. Już wychodzącego Roberta osadzi znowu, jął opowiadać o Warszawie, narzekać na młodzież, skarżyć się na towarzystwo, mówił o Brańsku, dopytywał o wszystko.

Odbyła się ta pierwsza wizyta, jak tylko Robert mógł zapragnąć; od tej jednak bytności powiedział on sobie, że choćby składało się jak najpomyślniej, przyspieszać nie będzie stanowczego oświadczenia i da

się powoli rozwinąć całej tej nieszczęsnej sprawie, nie popychając jej do końca.

W tym celu napisał do Brańska do generała list, w którym mu oznajmił, iż dla interesów przybywszy do Warszawy, zastał tu jeszcze hrabiego z córką, że najdziwniej złożyło się spotkanie, pojednanie, że Mościński, pełen skruchy, stara się naprawić błąd popełniony, i t. p. Zapytywał razem generała, czyliby, w razie jeśli to się da bez najmniejszego ubliżenia honorowi domu uczynić, nie należało odnowić myśli pierwszej, dla ocalenia na przyszłość Brańska od gróźb i katastrof. Dodawał, że ze swej strony, jak wprzódy, gotów był to uczynić, tak dziś nie ma nic przeciwko temu, głównie na oku i sercu mając interes i przyszłość rodziny. Dawał do zrozumienia jeszcze, iż dla tego w Warszawie pobyt swój przedłuży, prosząc, by ojca przygotował i t. d.

Podobny list napisał i do Stelli, ale w tonie chłodno-żartobliwym, niby wesołym, w istocie bolesnym. Siostry serce czytało go, tak dalece rozumiejąc, iż łzy miała w oczach, wyciśnięte tym dowcipem. Może też własne położenie przygotowało ją do lepszego pojęcia uczuć ks. Roberta. P. Antonina, która ten list chciwiej niż księżniczka przez ramię jej pożerała oczyma, prawie nim była uszczęśliwioną. Znać obawiała się ona czegoś innego w Warszawie i Alfonsynę witała jak anioła-wybawcę.

Po wyprawieniu listów, ułożywszy sobie tak życie, aby większe pół dnia mógł spędzić u hrabiny Natalli, wchodząc i wychodząc niewidziany, ks. Robert prowadził konkury, nieobjawione jeszcze urzędownie, z flegmą człowieka, któremu do celu nie pilno. Odwiedzał hrabiego, schodzili się w znajomych domach; Alfonsyna czasem ośmielała się nakazywać księciu, aby się w jej loży w teatrze znajdował. Kompromitowano go widocznie, starano się skłonić naostatek do oświadczyn, ale ks. Robert udawał bojaźliwego i nieośmielonego. Ile razy hrabia rozmowę zawrócił w stro-

nę, która do celu doprowadzić mogła. książę wymykał mu się zręcznie.

— Bardzo teraz go trzeba natchnąć odwagą, mówił Mościński do przyjaciela Aurelego, bo widocznie lęka się nas. niedowierza, nie radby zerwać. a nie śmie stanowczo nic rzec. To moja wina. bom go strasznie obcesowo odegnał; teraz czasu trzeba, żeby się to naprawiło. Alfonsynie też nie wierzy, no... ale jakoś to dobijemy, dobijemy!

I zacierał ręce Mościński, pewien, że zręcznie doprowadzi do skutku, gdy sam zechce.

Szambelan dowiedział się od brata o wznowionym projekcie nietylko z podziwieniem niezmiernem. że Robert mógł coś podobnego uczynić, lecz z oburzeniem przeciwko myśli zbliżenia się do familii. która raz śmiała Brańskich obrazić. Zaczerwienił się, rozgniewał i chciał, ażeby generał pisał natychmiast do Roberta, by powracał, zakazując mu wszelkiego z Mościńskimi stosunku. Trzeba było dni kilku wspólnych usiłowań Stelli i generała, ażeby zwolna ukołysać, uspokoić i przekonać szambelana, iż to familii najmniejszej ujmy nie czyni, gdy strona przeciwna sama się stara ją przebłagać, czując głęboko winę swoją. Zostawiono więc rzeczy in statu quó, spuszczając się na ks. Roberta, który najlepszym mógł być sędzią w tej sprawie. Bądź co bądź, szambelan już temu rad nie był i mówić o tem nie lubił.

Po odjeździe pana Zygmunta, kilka tygodni słychać o nim nie było. Gdy zjawił się znowu. Stella przyjęła go, jak starego znajomego i przyjaciela. szukając w jego oczach wyrazu uczucia. z którem powracał. Lecz w pierwszej chwili ujrzawszy go, spostrzegła na nim grubą żałobę i pobladła.

— Kogo pan straciłeś? zawołała ze współczuciem serdecznem.

— Ojca! odparł Zygmunt ze łzą w oku.

— My nic o tem nie wiedzieliśmy!

— Był to człowiek prosty, cichy, o którym w ogóle świat wiedział mało; ale dla mnie był on wszystkiem.

od czasu gdym matkę stracił. Teraz go dopiero oceniać się uczę, bośmy dawniej nieraz się z sobą ucierali. Pracując do ostatniej chwili, skonał na moich rękach, jeszcze troszcząc się o mój los i o mnie tylko.

Zygmunt ciągle łzy miał na powiekach. Stella z uczuciem uścisnęła jego rękę.

— Sam teraz jestem na świecie, rzekł.

— Mylisz się pan, dodała pocichu. jest nas dwoje, bo ja pana nie opuszczę.

I pokazała mu pierścionek.

Zygmunt rękę jej ucałował. ale był dziwnie jakiś nie swój, pomieszany, smutny, co naturalnie śmierci ojca najwłaściwiej przypisać było. Obudziła ona w Brańsku powszechne współczucie dla Zygmunta, i szambelan, rad z jego przybycia, prosił go sam, ażeby dłużej zabawił, a starał się smutne rozerwać myśli.

Nie posądzał on wcale Garbowskiego, aby miał jakie projekty; śnić mu się to nawet nie mogło. wiedział, że był jedynakiem i bardzo majętnym. lecz dość było pokrewieństwa z Gozdowskim i nazwiska pospolitego, aby myśl wszelką odpędzić.

Stella, zdając się mieć na sumieniu spełnienie swego przyrzeczenia. obawiała się oporu ze strony ojca. przewidywała go. rachowała wszakże na przywiązanie jego do niej i na wpływ, jaki miała, na swą stałość. Zdawało jej się, że tę kampanią należało zawczasu przynajmniej rozpocząć i przygotować się do niej. Gdy Zygmunt przybył powtórnie, Stella, mówiąc o nim przed ojcem. zaczęła go bardzo chwalić. Ojciec potakiwał. Ośmielona tem, drugiego dnia rzuciła coś o tem. że jego bywanie w Brańsku mogło dać do myślenia, iż miał jakieś zamiary.

— Masz słuszność. odparł stary. śmiejąc się, mnie to też na myśl przychodziło. il y a anguille sous roche, jestem pewny. Musi się chcieć starać o Antoninę. Dla czegóż nie? i owszem. będzie to partja bardzo dobra i wielce stosowna.

Szambelan ani przypuszczał, żeby Garbowski wyżej sięgnąć się ważył.

Zmiarkowawszy to, Stella zamilkła.

— Jeżeliby to przychodziło do skutku, bo nie rozumiem, dla czegoby tak porządnego i miłego człowieka Antosia miała odrzucać, będziemy mieli trochę na te ciężkie czasy kłopotu, bo Antoninie i wyprawę musimy dać i jakiś pieniężny podarek. Nigdy żadna panna z naszego domu nie wyszła, nie będąc przez nas wyposażoną.

Stella milczała, nie śmiała nawet podać już myśli tej, z którą przyszła, trzeba było rzeczy biegowi właściwemu zostawić. Zygmunt też nie nalegał, a roczna po ojcu żałoba sama z siebie na ten czas o małżeństwie myśleć nie dozwalała. P. Antonina, zawsze przeciwna związkowi, znajdowała, że to było bardzo, nadzwyczaj szczęśliwem.

Zabawiwszy dni parę, pod pozorem pilnych teraz spraw majątkowych, Zygmunt wyjechał. Na wyjezdnem Stella podała mu rękę, pokazując pierścionek.

— Wracaj pan, rzekła, wracaj; zabaw dłużej, ale nie odwykajmy od siebie, nie zapomnijmy o sobie. Ciąży mi na sercu dług mój, chciałabym go sercem wypłacić, uczyń to pan możebnem. My się za mało znamy, my mamy tyle do mówienia ze sobą i tyle do przezwyciężenia trudności!

Mówiąc to, spuściła oczy.

Zygmunt przyrzekł wrócić jak najprędzej.

Mamyż objaśnić tu, dla czego tak teraz był coraz mniej śmiałym, coraz bardziej wahającym się? Przyczyny tego fenomenu już w samym jego charakterze istniały. Natura ta ognista, zamiłowana w swobodzie, z trudnością mogła się poddać tym formom towarzyskim ostudzającym i wymaganiom Stelli, która z anielską swą słodyczą i spokojem chciała w nim mieć podobnego do siebie człowieka. Miłość byłaby może dokazała choć chwilowo tego cudu i przeobrażenia, gdyby z niewiadomych nam przyczyn wpływ panny Antoniny nie podziałał także na Zygmunta. Towarzyszka Stelli znała ją od dzieciństwa, przenikała myśli, zgadywała uczucia, czytała w nich jak w otwar-

tej księdze, i przerażona była wielkością ofiary, której postanowiła dokonać. Wiedziała ona najlepiej, że Stella nie miała wstrętu do Zygmunta, ale go nie mogła kochać, że usiłowała się zwyciężyć, przemódz, zmusić do poświęcenia. Postanowiła więc Antonina przemówić do młodego serca, do szlachetności Garbowskiego, aby przynajmniej odwlec spełnienie nieodwołalne przyrzeczenia. Stella lękając się sama siebie, wiązała się słowem i pierścieniem, Antonina usiłowała wytłumaczyć to Zygmuntowi i wmówić w niego, że on takiej ofiary przyjmować nie może, nie powinien.

— Jeśli ją pan istotnie kochasz, to ją kochaj tak jak ona warta... idealną miłością... zdaleka... a że ona pana nie kocha... że go tylko szanuje, na to przysiądz mogę.

Wracała tak często do tego tematu panna Antonina przy każdej podanej sposobności, iż w końcu obudziła w Zygmuncie chęć uczynienia też ofiary ze swej strony. Ale serce go trzymało, może trochę próżności, może że nieco nadziei. Stella była tak anielsko piękną, a człowiek jest tak zawsze słabym człowiekiem!

Zygmunt chciał być bohaterem, a czuł, że na niego nie urósł, wahał się, przeciągał ten stan niepewności, jednego dnia postanawiał dokonać ofiary, drugiego odkładał ją, aby mieć prawo marzyć jeszcze... choćby marzyć.

Wśród tych uczuć śmierć ojca wstrząsnęła nim i ostatecznie wyleczyła go z resztek dawnej lekkomyślności, w której czasem szukał pociechy i odurzenia. Zgrai byłych przyjaciół, którzy się zbiegli na łup, pewni, że go objadać, opijać i odzierać będą, dał grzeczną odprawę. Stał się do niepoznania innym. Szalona wesołość nagle przeszła w równie głęboki smutek.

Proces z panem Zembrzyńskim ciągnął się sobie powoli, wedle rozumnego planu lubelskiego plenipotenta, lecz zarazem nader nieszczęśliwie, wedle przepowiedni pana Zenona: przegrywali Brańscy wszędzie. Plenipotent utrzymywał, iż to wszystko nic nie znaczy, że on nie chce szafować środkami obrony w niższych instancjach, a woli całą swą siłę, całą potęgę skupić, gdy rzecz stanowczo rozstrzygać się będzie. Wyroki rzucano obojętnie na stół i pozywano się dalej, ale już nawet optymista Gozdowski trwożyć się zaczynał.

Mówiono o tem wiele we dworze, a Wincentowicz szczególniej znowu tym Zembrzyńskim się zajmował, chociaż mu dowiedziono, że co Felicjan to nie Leon, i że ten inaczej wyglądał. Żartowano sobie z niego... milczał, ale korciło go niezmiernie.

Nareszcie doszedł do tego stanu zniecierpliwienia, iż postanowił dotrzeć na miejsce i tego nowego Zembrzyńskiego zobaczyć. Ponieważ teraz i o polowanie w lasach zakwestjonowanych były spory, użył tego pozoru Wincentowicz, aby jednego dnia, nic nikomu nie mówiąc, wsiąść na konia i ruszyć do Podmoszczan.

Gdy przybył do dworu, zrazu go jakoś niebardzo do pana puścić chciano, lecz przebojem poszedł.

W trzecim pokoju nad stosem papierów w bardzo pięknym szlafroku zastał... kogoś podobniuteńkiego do Zembrzyńskiego z Lublina, lecz młodszego i niby zmienionego. Ten, nie ten... patrzył i nie mógł zrazu sam sobie zdać sprawy z wrażenia. Mężczyzna siedzący za stołem wstał, jakby nie znając wcale Wincentowicza, spokojnie, grzecznie odezwał się do niego, głosem mowy trochę od tamtego Zembrzyńskiego odmiennym, zapytując, czem mu służyć może? co go tu sprowadza.

Obałamucony wielce Wincentowicz, języka w gębie na chwilę zapomniał, patrzył, patrzył, patrzył, a przyczepić się nie śmiał, naostatek z ukłonem rzekł, że przyjeżdża w interesie lasów zakwestjonowanych, gdzie mu polowania bronią.

Mówiąc to, ciągle oczy wlepiał w owego Zembrzyńskiego i ciągle się z sobą pasował. Ten—nie ten. Czasem mu się ot, ot zdało, że poznaje owego Judasza, to znowu zaczynał wątpić. Wyraz twarzy był odmienny i — jak u kaduka ten biedny, zakrakany pan Leon, mógł przyjść do dóbr takich? To było niepodobieństwem.

Gospodarz prosił go siedzieć. Każdy ruch jego śledził Wincentowicz i zupełnie mu się w głowie plątało.

— Przepraszam pana dobrodzieja, rzekł w końcu, taką jestem dręczony niepewnością, patrząc na niego, że wytrzymać nie mogę. Znałem pewnego pana Leona Zembrzyńskiego, którego mi pan tak przypomina, ale tak... że na honor, od zmysłów odchodzę.

— Nic dziwnego, odparł z zimną krwią gospodarz, rzecz bardzo naturalna. Leon był moim rodzonym bratem i byliśmy tak do siebie podobni, że nas nieustannie jednego za drugiego brano. Twarz, głos, ruchy. Ale ja, dodał, jestem od nieboszczyka młodszy.

— Jakto? umarł? podchwycił Wincentowicz.

— Umarł w Lublinie, wkrótce po jakimś wypadku, o którym się nie mogłem bliżej dowiedzieć. Posądzono go o jakiś postępek nieszlachetny, zagrożono mu, zgryzł się i nagle prawie skończył.

Tu westchnął gospodarz.

— Ubogie to było i biedne, mówił dalej; gdy ja chodziłem dzierżawami i dosyć mi się wiodło szczęśliwie, on się koło prawników kręcił, i co gdzie zarobił, to na fałszywych spekulacjach, na przelewach i nabytkach tracił. Słowem, że po nim nic prawie nie pozostało,

oprócz tej rudery, którą za bezcen sprzedać trzeba było.

Wincentowicz słuchał, wpatrywał się, dumał, ale z zupełną dobrą wiarą przyjął to opowiadanie. Uczuł nawet w sercu pewną zgryzotę, iż się może nieborakowi do śmierci przyczynił.

— Wie pan dobrodziej co, gdyby... gdyby nie to, że widocznie pan jesteś młodszy i w innej pozycji i... tego... powiedziałbym, dalipan, że ten sam. Myśmy z panem Leonem byli, ale to temu nie wiedzieć wiele lat, na dworze u Brańskich.

— A wiem, bo mi to opowiadał, rzekł gospodarz i zarumienił się.

Wniesiono bardzo wytworną przekąskę. Wincentowicz wódki się napił i do chleba z masłem przystąpił z apetytem myśliwca.

— Mam też do szanownego pana prośbę, rzekł.

— Cóż takiego?

— Otośmy zawsze w tych zakwestjonowanych lasach polowywali i nikt nam nigdy słowa nie mówił; teraz nam przeczą i strzelby chcą grabić. Czyż pan będziesz tak surowym?... toć przecię zwierzyny nie wybijemy do szczętu.

— Nie idzie tu o zwierzynę, odezwał się grzecznie Zembrzyński, ale o prawo polowania. Kto poluje w lesie jakim, do pewnego stopnia dowodzi, iż się w nim za prawowitego gospodarza uważa; jest to prejudykat, któregoby w procesie przeciwko mnie potem użyć można. Niepodobna mi więc dozwolić bez przeszkody polować, bobym na tem mógł więcej niż zwierzynę stracić, łaskawy dobrodzieju.

— To prawda! smutnie westchnął Wincentowicz, to prawda...

— Ale na to jest rada, dodał gospodarz. Radbym koledze i przyjacielowi ś. p. brata mojego uczynić małą przysługę... Dam panu na piśmie pozwolenie dla niego osobiste na polowanie w zakwestjonowanych lasach.

Wincentowicz, doskonały myśliwy, ale prawnik

nietęgi, nie dostrzegł wcale, iż przyjęcie przez oficjalistę ks. ks. Brańskich takiego pozwolenia, mogło być do pewnego stopnia tłumaczonem tem, iż prawa strony przeciwnej uznawali. Skłonił się więc, dziękując tylko.

Gospodarz dobył księgę sznurową i natychmiast pozwolenie pod pieczęcią za numerem wydał, prosząc tylko dla porządku pana Wincentowicza, ażeby się rozpisał, iż takowe do rąk swych przyjął.

Nie miał nic przeciwko temu pan łowczy. Kartkę schował do kieszeni, jeszcze raz wódki się napił, dostał w dodatku wcale dobre cygaro, i z żołądkiem a razem sumieniem uspokojonem, po krótkiej rozmowie odjechał.

Gdyby się był obejrzał, zobaczyłby w oknie pokoju, w którym siedzieli, skrzywioną twarz Zembrzyńskiego, śmiejącego się szatańsko i pokazującego mu zdaleka dwie brzydkie figi. Zobaczywszy tę postać, byłby Wincentowicz poznał tego, z którym się ujadał na Firlejowszczyznie; lecz poczciwy łowczy w ogóle nie wiele nad to widział, co mu na oczy samo przychodziło. Pojechał więc, rozmyślając, jakie to dziwy wyrabia ta natura, tworząc naprzykład postacie jak dwie krople wody do siebie podobne... jakie to są losy ludzkie, które jednemu dają nędzę, a drugiemu miliony... i naostatek, jak będąc bogatym, można mieć dobrą wódkę, świeże masło i wyborne cygara.

„Nieborak pan Leon, dodał w duchu, świeć Panie nad jego duszą, nigdy takiego cygara nie palił i takich przysmaków nie jadał, ale że był do niego podobny, to podobny, tylko o wiele brudniejszy.“

Z tem Wincentowicz powrócił do Brańską, lecz nie chwalił się jakoś z otrzymanego pozwolenia na polowanie w lasach spornych.

Proces tymczasem, z obu stron już teraz pilnie prowadzony, szedł coraz dalej, wyżej, i stawał się coraz groźniejszym. Gozdowski tylko, pocieszając się, utrzymywał, że go jeszcze lat pięćdziesiąt prowadzić będzie można.

Z wielką pociechą szambelana, gdy wszystkie paki zostały znowu wypróżnione i dawne domu zabytki stanęły na miejscach, które niegdyś zajmowały, pan generał przyszedł go zawiadomić, że stropy zostały ponaprawiane tak, że najmniejszego nie zostało znaku rysów na nich i w murach, że zatem dawny życia porządek znowu rozpocząć będzie można.

Ucieszyło to niezmiernie ks. Norberta, który czule generała uścisnął.

— Ty tu jesteś moim prawdziwym duchem opiekuńczym, podporą i chlubą rodziny, jej sławą! Dzięki Bogu nie mieliśmy w niej wyrodków, nie doznaliśmy też mezaliansów; poczciwa krew bez żadnej obcej mieszaniny płynie w żyłach naszych. Możemy spokojni zejść ze świata, poczciwy Robert wstydu nam i imieniowi nie zrobi! O Stellę się tylko troszczę... bo gdzie to taką perłę, godną królewskiego dyademu, umieścić? Proszę ciebie, zniżając głos, ciągnął dalej szambelan, między nami mówiąc, choć niktby się tego nie domyślił, bo to wygląda jak dziecię, jak kwiatek... Stella ma dwudziesty ósmy rok, dwudziesty ósmy!... Nieraz spoglądam wkoło, żeby jej stosowną partją upatrzyć, i nie widzę nic. Szkoda takiego ślicznego dziewczęcia, takiej cudnej niewiasty! Co ty na to generale?

— Mój Boże! zawołał ks. Hugon, małżeństwa piszą się w niebie, a jeśli je człowiek tworzy, rzadko wypadają szczęśliwie. Nie lękaj się, bracie. Znajdzie się ktoś jej godny, tylko zdaniem mojem, zbyt znowu wysoko patrzyć, zbyt wiele wymagać nie trzeba, a wybór jej samej zostawić...

— Cóż Robert pisze? spytał stary.

— Przeciągnął swój pobyt dla hrabianki, tym razem zdaje się, że małżeństwo to przyjdzie do skutku... Jakkolwiek Alfonsyna nie powabna, ale rodzina dobra i posag piękny, a ten nam się bardzo przyda.

— Komuż się to nie przyda? westchnął szambelan.

Po chwili dodał, kładąc rękę na ramieniu księcia generała.

— Wiesz co, bracie, żyjemy tak osamotnieni, a ta biedna Stella, choć tego nie mówi, nudzić się musi... Dla niej samej czasemby dom otworzyć potrzeba, inaczej któż ją zobaczy? Mnieby się zdawało, że po ukończeniu restauracji, najwłaściwsza pora byłaby dać wielki bal... sprosić sąsiedztwo, wystąpić, przypomnieć, jak to u nas niegdyś bywało. No? jak ci się zdaje?

Generałowi z wielu bardzo względów myśl nie zdawała się zbyt szczęśliwą, ani bardzo w porę przychodzącą, ale wiedział, że szambelanowi wprost się sprzeciwiać nie było podobna—brał stary na kieł.

— Ma foi, odparł, możnaby o tem pomyśleć dla zabawy Stelli, zapewne. Ale niechżeby choć Robert powrócił.

— Ja sądzę, że to pewnie wkrótce nastąpi, rzekł szambelan.

— A no, to wówczas pomówimy.

Myśl jednak tego balu świetnego utkwiła w głowie staremu, ciągle coś o tem napomykał.

— Nie wiem, wymówił się generał, trzebaby spytać Gozdowskiego, czy pieniądze w kasie mamy. Ten proces o granicę kosztuje.

O procesie wiadomości nie tajono przed szambelanem, pamiętny wszakże dawnego toku sprawy, śmiał się z tego.

— Proces ten, to farsa! bałamuctwo! dwieście się lat toczył, a! żeby też pieniędzy u Gozdowskiego zawsze w zapasie jakich kilkadziesiąt tysięcy nie było, tobym go nazwał... no, nie powiem jak.

Ks. Hugon wiedział najlepiej, iż czasem o kilkaset złotych było trudno, lecz zmilczał.

— Na taki występ, mój bracie, rzekł po chwili, niewiele teraz w sąsiedztwie ludzi się znajdzie... Opustoszała okolica, rozjechali się, dużo nawykło mieszkać w mieście.

— Bo ja też nie myślałbym ograniczyć się okolicą, zresztą pustą, dodał szambelan; o kilkanaście mil możnaby listy i zaproszenia rozesłać. Przecie do Brańskich przyjechać za honor sobie mieć powinni. Stoję

tem mocniej przy tej myśli, że świetność dawna naszego domu pod wpływem zmiany obyczajów wielce szwankowała... należałoby ją odświeżyć. Na te kilka, a choćby i kilkanaście tysięcy ważyć, rzecz nie jest stracona.

W ciągu wieczora po kilkakroć do tego przedmiotu powracał pan szambelan, a brat wcale się nie sprzeciwiał.

— Pomyślimy o tem, pomyślimy, powtarzał, gdy zechcesz, to się to zrobi.

Drugiego dnia właśnie po tem sztafeta przyniosła wiadomość Gozdowskiemu, że proces o lasy z Zembrzyńskim w przedostatniej instancji znowu został przegrany. Zostawał już tylko jeden, jedyny, ostatni rekurs, po którym nie byłoby ratunku, połowa dóbr Brańskich mogła odpaść niepowrotnie, a gdyby wyrok przysądził to, czego domagał się Zembrzyński, wynagrodzenia ubytków, nie starczyłoby całej fortuny książąt na tę indemnizacją.

Przerażenie Gozdowskiego równało się teraz jego niedawnej obojętności i optymizmowi. Wpadł do generała, rwąc włosy na głowie, trzeźwiąc się solami, bez tchu i bez przytomności prawie.

Ks. Hugon czuł już nowy cios jakiś, usłyszawszy jednakże o lasach, nawykły lekko sobie cenić całą sprawę, począł się śmiać z Gozdowskiego. Ten zażądał jechać do Warszawy sam i miał już tylko otrzymać listy do ks. Roberta, by ruszyć natychmiast. Zdaniem jego należało poruszyć wszystkie sprężyny, protekcje, stosunki, by się oprzeć człowiekowi, który w niesłychany sposób podkopał tak znowu ks. ks. Brańskich że ruina ich mogła być straszniejszą teraz, niż była, gdy chciano dobra za długi licytować.

Uznał w końcu i ks. generał, że coś uczynić należało. Ponieważ Roberta miał Gozdowski zastać w Warszawie, dość było sprawę zdać na niego, a on powinien ją był za pomocą stosunków swych na wcale innym postawić stopniu i pieniacza rozumu nauczyć.

Z tą błogą nadzieją Gozdowski, opatrzony w listy i papiery, wybrawszy powóz, który jaknajlżej nosił i służącego, który mógł w drodze wcale nieźle zgotować, po dobrem śniadaniu i kieliszku starego Bordeaux, bo bez tego trudno mu się obejść było, wyruszył do Warszawy.

Tego samego dnia trzęsącą bryczką, bez resorów, z małym chłopakiem do posługi, z bułką chleba, trochą masła w garnuszku, twardemi jajami i flaszeczką wódki, wyjechał z pugilaresem dobrze naładowanym p. Zembrzyński, w tymże samym celu i w tym samym kierunku.

Gdy książę Robert zwlekał oświadczenie się Alfonsynie, a hrabia Mościński rozmyślał, jakby go przywieść ku niemu, Gozdowski pospieszał do Warszawy, nie zapytawszy nawet generała na wyjezdnem, gdzie w mieście ma księcia szukać. Dopiero wysiadłszy, zjadłszy dobre śniadanie, odwiedziwszy fryzjera i wyświeżywszy się, szanowny plenipotent wyruszył, nakładając ciasne rękawiczki, na zwiady po hotelach.

Losy są czasem dziwnie szyderskie, gdy idzie o spłatanie figla ludziom, osobliwie tym, na których się raz spiknęły. Zaledwie pan Gozdowski wysunął się w ulicę, gdy na przeciwnym chodniku ujrzał wesołą, rumianą, w majestacie całym kroczącą postać znanego mu hrabiego Mościńskiego. Ten niezawodnie wiedzieć musiał o mieszkaniu księcia. Plenipotent rad, że mu się tak szczęśliwie powiodło, poskoczył, przypominając się hrabiemu i przynosząc mu pozdrowienie i ukłony od pana generała.

Hrabia ledwie sobie tę figurę przypomniał, lecz przywitał bardzo grzecznie.

— Cóż pan tu w Warszawie porabiasz? spytał.

— A! te nieszczęśliwe interesa mnie tu przypędziły, rzekł Gozdowski, nie sądząc, ażeby przed hrabią krewnym Brańskich, życzliwym im, należało coś ukrywać. Ledwieśmy się cokolwiek jednego kłopotu pozbyli, spadł nam drugi niemniejszy na głowę.

— Cóż takiego? ciekawie zagadnął hrabia.

— Proces stary, paskudny, proces zaniedbany o granice, który dwieście lat trwał, a teraz odnowiony przez nabywcę dóbr sąsiednich podmoszczańskich wcale się stał groźnym. Nie przypuszczam, ażeby go wygrał, z tem wszystkiem w niższych instancjach otrzymał dla siebie przychylne wyroki. Uchowaj Boże w ostatniej jeszcze wygra, tośmy przepadli; oderwie nam lasy i sianożęcia, pół majątku można powiedzieć, Brańsk bez nich nic nie wart. A że nie jesteśmy bez grzechów... (kto dziś długów nie ma?) to groziłoby nam zupełną ruiną.

Hrabia aż drgnął i oczy wlepił w plenipotenta, który ciągnął dalej z zapałem:

— Przybiegłem sam do ks. Roberta, aby wszelkich możliwych użył tu wpływów i stosunków. Trzeba się bronić... musimy wygrać lub... już nie chcę mówić, co nas czeka; Brańsk bez tych lasów powtarzam, na nic się nie zdał.

— Cóż pan mówisz? kiedyż się to począł ten proces? ja nic o nim nie słyszałem, spytał hrabia, z miną bardzo skłopotaną.

— A! to stare dzieje, tylko odnowione. Pojmuje pan łatwo, dodał, że proces ciągnący się lat dwieście bez szkody, mogliśmy uważać za rzecz wcale nie groźną. Tymczasem pochwycił go w ręce człowiek nowy, zabiegliwy, chciwy a pieniacz i takiego nam piwa nawarzył. Wygrał we wszystkich instancjach; zostaje najwyższa, do której apelowaliśmy i tu trzeba zwyciężyć lub zginąć. Nie mamy chwili do stracenia.

Mościński słuchał i milczał.

— Łaska Boża wyraźna! ot, byłbym pięknie posag Alfonsynki ulokował! Opatrzność czuwa nad nami... Do tej pory nic stanowczego nie zaszło, przyjaźń przyjaźnią, interes interesem. Trzeba się starać przeciągnąć, póki dekretu nie będziemy wiedzieli.

Pokiwawszy głową z wielkiem ubolewaniem i wskazawszy adres księcia Gozdowskiemu, hrabia ukłonił się zdaleka, bardzo ceremonialnie, odprostował i poszedł na poradę do Aurelego. Lecz i bez niej już powiedział sobie w rodzicielskiej pieczołowitości o los córki, że nie wyda jej pewnie, póki ów miecz damoklesowy nad lasami brańskiemi zawieszony będzie.

— Wszystko to piękne, ładne, księztwo, tytuł, koligacye, sam książę i cała rodzina, mili, kochani, serdeczni, ale jeśli ich wziąć trzeba z całym inwentarzem, bez niczego i jeszcze z długami, no! to upadam do nóg! Alfonia odtęskni, wyperswaduje sobie, a wydać za gołego księcia nie mogę, byłoby to może niebezpieczniejsze, niż ubogi szlachcic. Będą mi chcieli przewodzić i gospodarować w kieszeni, a mitrę dźwigać i złocić! Nigdy w świecie! nigdy w świecie! Ale sza! mówił sobie hrabia, nic nie okazując, lawirować należy aż do dekretu, aż do ostatecznego wyroku... potem, ponieważ, nic się nie stało, nieznaczna rejterada z zachowaniem jak najlepszej przyjaźni i stosunków... Opatrzność Boska nad domem moim!

Gozdowski, tak doskonale rozpocząwszy swe posłannictwo, rad z siebie, pospieszył do księcia, którego szczęściem zastał w domu.

Zobaczywszy go, Robert już coś niedobrego przeczuł i żywo ku niemu podbiegł z zapytaniem:

— Wszyscy zdrowi?

— Dzięki Bogu, rzekł Gozdowski, niemniej jednak z bardzo złemi wiadomościami przybyłem.

Tu rozpoczął, dobywszy cygaro, opowiadanie rozwlekłe o interesie, którego książę Robert słuchał z brwią namarszczoną, nie mówiąc słowa. Epizodycznie też dodał zaraz, jak mu się szczęśliwie udało, cho-

ciaż adresu nie miał, trafić w ulicy na hrabiego i o mieszkaniu się księcia dowiedzieć.

— Pytał się pewnie hrabia, z czem pan przybyłeś? zagadnął książę.

— A tak, mówiłem mu o naszej biedzie; trzeba wszelkich wpływów i stosunków użyć, może i on też jakie ma.

Ks. Robert, który łatwo wyrachować mógł skutek tego zwierzenia się, zaczął się śmiać dziwnym głosem. Nie odpowiedział już słowa. Dla niego nie było wątpliwości, że hrabia albo zwinie chorągiewkę, lub przynajmniej wątpliwego skutku wyczekiwać będzie. Śmiał się długo, chodząc po pokoju. Gozdowski nie umiał sobie tego wytłumaczyć, dla harmonii jednak starał się także uśmiechać.

Zaczęto mówić o czem innem. Plenipotent natychmiast chciał rozpocząć czynność i zabiegi, w których jednak ks. Robert niewiele mu obiecywał być pomocnym.

— W tych sferach, przez których wpływ cóś tu się zrobić może, rzekł, ja albo mało, lub żadnych nie mam stosunków. Starać się będę, ale za skutek nie ręczę. Pierwsze wyroki zawsze wpływają na ostateczny; zdaje się, że rachuba była nieco śmiała, gdyście tam zaniedbali starania. Co się jednak stało, o tem nie ma co już mówić.

Po wyjściu plenipotenta książę długo rozmyślał. Dla niego jawnem było, że całe staranie owo o Alfonsynę, z takiemi zabiegami prowadzone, znowu rozchwiać się miało. Lżej oddychał teraz; ciężyła mu ofiara, a tu los sam, zlitowawszy się nad nim, miał go od niej uwolnić.

Poszedł z tą wiadomością zaraz do hr. Natalii, i z uśmiechem, w którym było wiele ironii gorzkiej, lecz razem i prawdziwa radość, oznajmił jej o wypadku.

— Hrabia uwiadomiony o tem, co nam grozi i, o ile go znam, a z każdym dniem poznawałem go lepiej, niezawodnie się wycofa.

— Ale Alfonsyna! zawołała Natalia, ona przecie kocha się w tobie; to jasne, to nie ulega wątpliwości.

— Nie wiem, dodał Robert, lecz że będzie ojcu dbałemu o jej szczęście posłuszną, za to ręczę. Jestem wolny, byłbym szczęśliwy, gdyby nie myśl ta, że oni na tem ucierpią. Droga Natalio, wierz mi, tak jest lepiej. Życzę prawie przegranej, tak mi myśl ta ciężyła. Poświęcić siebie jest niczem, ale być zmuszonym kłamać i nosić maskę całe życie, gdy serce się krwawi z bólu i tęsknoty, gdy myśl kim innym zajęta, to nietylko okropne, to upadlające. I to jeszcze dla... dla pieniędzy.

— Dla rodziny, dla imienia, dla spokoju ojca, przerwała hr. Natalia, której szło o zwycięztwo. Nie należysz książę do siebie, jesteś ostatnim przedstawicielem familii historycznej, musisz dźwigać ją — to obowiązek.

— Droga pani moja, odparł książę, najśmieszniejszem ze wszystkich urojeń ludzkich, jest marzenie o nieśmiertelności na ziemi. Rody, imiona, ludzie, wszystko umiera, maleje i rozkłada się, służąc za materyał nowym wielkościom i nowym blaskom. Dla czegobyśmy się mieli upierać trwać, gdy los nam mówi tak dobitnie, żeśmy powinni umrzeć. Nie widzę przyczyny trwania, gdy nie mamy siły, a nawet woli do życia, poczynając odemnie. Ja dla szczęścia i spokoju, zrzekłbym się chętnie blasku i świetności wszelkich.

— Ale rodzina! rodzina! powtarzała Natalia. Pojęcia takie są jej obce, ona czuje obowiązek utrzymania się na stanowisku. To co księciu wydaje sią dziwnem, czynią codzień inni i nikt im tego za złe nie ma. Żenią się z posagami dla podtrzymania domu.

— Bo wierzą może w posłannictwo jego, a ja... nie wierzę w nic... i nie pragnę niczego, oprócz...

Spojrzał na nią.

Natalia niecierpliwie ruszyła ramionami!..

— Ojciec, stryj, siostra!... zawołała.

Robert zamilkł, spuszczając głowę.

— Mylisz się książę, sądząc, że kiedykolwiek mogłabym ci dać tę rękę, do której przywiązujesz jakąś cenę. Potępiliby mnie ludzie, byłabym zgubioną w oczach ich i własnych, przypisanoby mi wasz upadek! Tego nie chcę, na to nigdy nie pozwolę.

Książę spochmurniał, lecz wedle obyczaju swego zmilczał.

— Nie mówmy, dodał później, o rzeczach smutnych, dajmy przeznaczeniom spełnić się, nie walcząc z niemi, co ma być — będzie.

Hrabina spojrzała nań i gorączkowo zerwała się z siedzenia.

— Do zobaczenia, rzekła, jadę w twoim interesie. Nie w sprawie małżeństwa tym razem, ale jako adwokat w procesie. Poruszę wszystkie sprężyny, trzeba wygrać i musimy wygrać.

Nie było to wszakże tak łatwem, jak się hrabinie zdawało, ani tak od stosunków zawisłem, jak rachował Gozdowski. Ze swej strony Zembrzyński przyjechawszy pocichuteńku, stanął na straży pilnej i postarał się, aby w interesie wiedzieć wszystko i zapobiedz wpływom obcym. Dodać należy, iż w rzeczy samej sprawa zadawnioną była, ale słuszną, i poprzedzające wyroki dobitnie przekonywały, że owe lasów obszary pierwotnie należały do dóbr podmoszczańskich. Prócz tego Zembrzyński chodził temi drogami, któremi najprędzej do celu dojść można; nie szukał potęg wielkich, ale znał tajemne ścieżki. Protekcye ludzi wysoko położonych są najczęściej ułudą, gdy oni sami nie robią nic, a ci, na których ręce spada praca, przeważnie zawsze na obrót jej wpływają. Niewidoczny za stołem, skromny kancelista, więcej zrobić może od prezydującego, nierozumiejącego sprawy, a podległego tysiącznym formom i koniecznościom.

Zembrzyński i jego pomocnicy stali w hierarchii na stopniach bardzo podrzędnych, lecz w istocie w ich rękach było wszystko.

Pomimo więc starań najgorętszych hrabiny Natalii, obietnic, jakie jej czyniono, wpływów, przez któ-

re działała, okazało się już w kilka dni, czego przed nią bynajmniej nie ukrywano, iż Brańscy w żaden sposób sprawy swej wygrać nie mogli. Nie zadawalając się tem ostrzeżeniem, ani mu chcąc wierzyć, podwajała ona starań i zabiegów. Gozdowski podawał notatki i oddawał nieskończone wizyty, zmusił nawet ks. Roberta do kilku, co wszystko nic a nic nie pomogło. Najżyczliwsi wprost radzili układ jaki ze stroną przeciwną, nie kryjąc, że wyrok musiał wypaść niekorzystny. W najszczęśliwszym razie można było się spodziewać, że nie przysądzą indemnizacyi, lecz całe obszary lasów, kilkaset włók, odpadały od Brańska.

Gozdowski zrazu przerażony, potem niedowierzający i upatrujący w tych postrachach działanie strony przeciwnej, nie chciał ani słyszeć o układach, naostatek już się godził na nie... gdy Zembrzyński z ubolewaniem oświadczył, że było zapóźno...

O wszystkiem tem hrabia był uwiadomiony dokładnie, i szepnąwszy miss Burglife, aby była ostrożną, gdyż okoliczności wielce się znowu na nieszczęście zmieniły, l a w i r o w a ł, jak powiadał, oczekując końca. Robert powstrzymał się też od częstszych odwiedzin, wyczytawszy łatwo z zakłopotanej twarzy hrabiego i z pośpiechu, z jakim mu się teraz wymykał, nie mając nigdy czasu do dłuższej rozmowy, jakie są jego usposobienia.

Mościński powiedział sobie nawet, że w razie przegranej, pod pozorem pilnych interesów, wyjechać będzie musiał, aby się z kłopotliwego położenia wywinąć.

Wieść o procesie, z powodu czynnych starań hr. Natalii i jej przyjaciół a pomocników, rozeszła się szeroko po mieście, lecz dla Roberta była z pewnych względów korzystną, bo tłumaczyła jego tu pobyt i odwracała uwagę od osobistych stosunków. Nie można mu było mieć za złe, że sprawy swej pilnował. W istocie więcej około niej chodził, choć bezskutecznie, Gozdowski, starając się przewlec ukończenie, gdy Zembrzyński, o ile mógł, przyspieszyć je usiłował.

Już tu zaraz okazało się jawnie, przy kim była przewaga, bo mimo bieganiny plenipotenta domagającego się odroczenia, sprawę naznaczono w najbliższym, jak było można, terminie. Przegrana Brańskich nie ulegała wątpliwości, ani książę jednak, ani Gozdowski nie donosili o tem generałowi, nie pisali do Brańska, gdzie panował spokój szczęśliwy, a szambelan marzył zawsze o wydaniu owego wielkiego, wspaniałego balu, który miał wskrzesić tradycye dawnej świetności książęcego domu.

Późnym wieczorem powrócił jednego dnia generał od brata i poczynał się zabierać do odmawiania wieczornych pacierzy, gdy nagle wśród ciszy usłyszał w salce pustej stąpanie jakieś... Po chodzie poznał łatwo, że to nie był służący. Przechadzał się tam ktoś wolnym krokiem. Ktoś tam więc był oczekujący pań, a wieczorna, spóźniona, niezwyczajna godzina naprowadzała na przeczucie, że z niczem dobrem przyjść nie mógł. Z dobrą wieścią się pospiesza, a ten ktoś chodził, jakby mu wcale nie było pilno.

Tylą już dotkliwemi ciosami wypróbowany książę Hugon, nie chciał się też z wyjściem naprzeciw przybyłemu spieszył.i uczuł jakby obawę w sercu, jakby przeczucie czegoś złego, co go spotkać miało. Nie ruszył się więc i rzekł sobie w duchu:

— Pomodlę się wprzódy! niech, co Bóg zsyła, przyjdzie samo, po co się spieszyć?

Serce mu się nagle ścisnęło i strach rósł, chciał się modlić, ale i myśl i usta odmówiły usługi... nie

mógł. Drżącą ręką otworzył stare oficyum, poszukał w niem wieczornych modlitw, rozłożył je przed sobą na klęczniku, świece pozapalał, ukląkł z trudnością, chwiejąc się, wsparł na rękach głowę i został w tem położeniu, nie mogąc się ruszyć, ani rozpocząć pacierzy.

Brzmiał mu ciągle złowrogo w uszach ten zagadkowy jakiś krok chodzącego po sali, silił się na poznanie w nim człowieka, na przeczucie tego, co go tu sprowadzało, i nie mógł się domyśleć, kto przyszedł. Serce tylko biło żywo, wróżąc nieuchronne jakieś nieszczęście.

Generał czuł się już wyczerpanym ostatniemi wypadkami, zdawało mu się, że gdyby jeszcze cios weń nowy uderzył, jużby go przenieść nie mógł. Obawa ta coraz rosnąca dowiedzenia się czegoś złego, była w nim poczuciem bezsilności. To mnie dobije, rzekł w duchu.

Klęczał ciągle a słuchał, kroki dawały się słyszeć wyraźnie, zbliżały się nieco, stawał przechadzający, jakby się namyślał czy wnijść, wracał i chodził znowu... Przed generałem wisiał stary, na blasze malowany obraz Maryi Panny, który mu od młodości wszędzie towarzyszył, był to jedyny spadek po matce, a matka miała go od ojca swego. Starzec wpatrzył się weń, jakby z pytaniem gorzkiem, dla czego na późne dni wydzielono mu największy ciężar, czemu czara ku końcowi właśnie tyle zawierała goryczy?

Tajemnicze kroki te ustawały i cichły, to znów szybszy pochód poczynały po salce, zwalniały nagle, jakby uczucie wzburzone rządziło niemi, oddalały się, zbliżały, przechodziły niemal w bieg, a w chwilę zaraz bezsilnie ledwie się wlokły. Było w nich tyle wyrazu, iż je jak mowę czytać mógł stary zdaleka. Ktoś tam więc czekał a nie śmiał sam iść do niego; zrywał się i obawiał, oznajmywał mu się chodem, nie mając odwagi głosem, przygotowywał go do tego, co niósł z sobą. Lecz któż to mógł być taki?

W salce było ciemno, chodził przecież śmiało, nie

potrącając o sprzęty i zbroje, a więc znał dobrze miejsce, w którem się obracał.

— Co ma się stać, stanie, rzekł w duchu stary. po cóż na próżno i niemęzko zwłóczyć wypicie cykuty?

Chciał wstać i iść... nie mógł... drżał.

W salce chód ciągle słychać było, tylko coraz żywszy, tylko coraz spieszniejszy, nieustający.

Generał począł sobie wyrzucać, że mu wzburzona fantazja z najprostszej rzeczy z przyjścia sługi lub natręta tworzy niepotrzebną torturę, którą obawa przedłuża. Mógł się spytać. odezwać, niepewnośćby ustała. Chciał podnieść głos, ale w ustach mu zaschło. Nie wiedział sam, dla czego nie miał odwagi. Będę się modlił, to uspokoi, rzekł w duchu.

Książka już była rozłożoną na wieczornych pacierzach, popatrzył na nią,—głoski migotały mu przed oczyma jakiemiś ruchami dziwnemi, podnosiły się do góry, spadały, bladły, nikły płomieniste, przedłużone, olbrzymie, występowały z białego tła i brnęły w niem... Nagle przybierały kształty potworne... rosły im skrzydła, wyskakiwały szpony, świeciły w nich oczy szyderskie. Potem ruch ten ustał nagle, sznurem stanęły do porządku, spokojne, ale znać ręka drżąca musiała przewrócić karty — przed oczyma jego, zamiast pacierzy wieczornych. stało nabożeństwo przy konających...

Była to jakby przepowiednia i oznajmienie losu.

Głos tych kroków zwiastował nadchodzący... zgon. Zbliżała się więc ta nieodzowna godzina. której nikt uniknąć nie może — konanie!! Zimnym potem oblały się skronie... łzy oczy zakryły... przez nie świat wydawał mu się, jak w mgle srebrzystej, spłakany cały. Przyszedł tu przed chwilą spokojny, wesół prawie, dla czegóż nagle ten jakiś krok dziwny, głucho rozlegający się w sali pustej. wywoływał takie przeczucia?

Jest w naturze ludzkiej cóś, co zwiastuje jej nadchodzące niebezpieczeństwo i każe gotować się na walkę ostatnią bytu z nicością, bytu z nieśmiertelnym

spoczynkiem... Byłoż to owo przedśmiertne drgnienie? Oczy generała padły znów, szukając lekarstwa. na karty starej książki... znalazły na niej modlitwę za umarłych.

I począł się uśmiechać do spoczynku wiekuistego, był strudzony, jak po walce okrutnej. Myśl, smętna przed chwilą, zaczęła przybierać barwę dziwną, jasną, promienistą, rozbłysnęła i poleciała na wiosenne pola młodości, a z nich na złote przeszłości szranki... między rycerzy, którzy stali w obłokach z kopiami u boku. z tarczami na rękach. w przyłbicach słonecznych, z gwiazdami nad czołem. Witał z kolei... jadąc na białym rumaku skrzydlatym, a zamiast miecza dźwigał krzyż. W głowie mąciło się, plątało. szumiały w niej jakby ptaków stada, lecące długiemi pasmami. . Stracił siłę nad myślą własną... szła już samopas.

Krok, dający się słyszeć w salce, chodził mu po sklepieniu czaszki pustej i rozlegał się po niej boleśnie...

Obszary jakieś niezmierzone czuł w głowie... pustynie wyschłe, ciemne. Wszędzie było pustkowie, w nim, w około na świecie a wśród mroków, wśród niezbadanych ciemności rozlegał się ciągle ten chód nieustający. Kroki sędziego, czy kata... lecz żelazne, ciężkie, a coraz bliższe... Ktoś chodził mu po sercu i gniótł je; każde stąpienie wyciskało się na niem, jak w glinie ręka rzeźbiarza.

Napróżno starał się, znękany temi widzeniami. otrząsnąć z nich i oprzytomnieć, — ciemności coraz gęstsze otaczały go. Potarł obu dłoniami drętwiejące czoło i ruchem gwałtownym, strącił z klęcznika świeczniki oba .. potoczyły się na posadzkę z płomieniem... mignęły nim i... pogasły.

Generał został wśród zmroku, usiłując wstać i poruszyć się, ale ani odprostować, ani krzyku wydać nie zdołał. Rękami chwytał próżnię; cóś jakby olbrzymi głaz nagle padło mu na głowę i roztrzaskało ją. Krzyknął nareszcie, lecz w tej chwili upadł i stracił przytomność.

Jęk ten ostatni musiał się rozledz aż w salce, bo w tej chwili wbiegł służący ze światłem, a z nim ks. Robert. Jego to kroki liczył generał, nie wiedząc jeszcze o przybyciu. Książę przyjechał późno, a z tem, co przywiózł z sobą, nie śmiał wnijść, choć potrzebował. Wiadomość mogła przyjść inną drogą i jeszcze straszniej piorunowa.

Podnosząc generała z ziemi, ks. Robert znalazł go omdlałym, ale w twarzy zsiniałej znać było, jakby rażenie jakie krwi buchnięciem. Gotowało się to pewnie dawno, a dziś przyszło w porę, bo ocaliło, pozbawiając przytomności, od boleśniejszego ciosu. Złożono go na łóżku. Nadspodziewanie generał ruszył się, zaczynał przychodzić do siebie... westchnął. otworzył oczy. Dźwignął się żywo i patrzył, zdziwiony niby, dokoła. Wzrok jego skierował się na synowca i wlepił weń oczy, poczynał się uśmiechać, usta ściągać jakby do mówienia, i głosem zmienionym, słabym, bełkotliwym odezwał się cicho:

— Darujesz mi w. królewska mość, natychmiast zbroję wdziewam i skrzydła przypnę, na koń siadamy i w pogoń za Saracenami. Jeruzalem zdobyta! Grób Zbawiciela odzyskany! Hosanna! zwycięztwo!..

Krzyknął tak gwałtownie, iż Robert pobladł z przestrachu. lękając się, by tego głosu nie usłyszano w podwórzu. Potem, jakby wysilony, padł ks. Hugon na. poduszki i cienkim głosem śpiewać zaczął: Omni diae.... dic Mariae....

Śpiew na wargach skonał wkrótce. powieki zaczęły się przymykać, stary zwolna zdrzemywał się, usypiał, bełkotał cóś jeszcze niewyraźnie i — zasnął.

Zostawując przy nim starego sługę, który płakał i drżał z przestrachu dotknięty nowym tym ciosem, ks. Robert wybiegł natychmiast, aby wysłać po lekarza. Cała nadzieja była w tem, że pomieszanie mogło być przemijające, że sen, spoczynek. środki jakieś przywrócić przytomność zdołają.

Zbudzono Wincentowicza, wstali słudzy już śpiący... Robert przyszedł siąść na straży przy łożu, lecz

tak złamany, bezprzytomny, pozbawiony woli, iż sam nie wiedział, co począć — ręce mu opadły.

Szczęściem ktoś, widząc to, wyprawił po Zenona, który w gościnnych pokojach tego dnia, do późna spędziwszy wieczór u szambelana, nocował. Żurba przybiegł przerażony, lecz z całą energią, która go nigdy nie opuszczała. Robert mu się rzucił na szyję.

— Przyjacielu, ratuj! Przyjechałem, wioząc z sobą najgorsze wiadomości, lecz nim z niemi przyszedłem do generała, stało się, nie wiem, co się stało... książę padł uderzony apopleksyą z klęcznika, przy którym się modlił... Gdyśmy go otrzeźwili, był jakby obłąkanym. Mówił i śpiewał od rzeczy. To nowy cios!

— Po doktora! zawołał Zenon.

— Już posłano, rzekł Robert. Lecz teraz powiedz, co mam czynić?... Przywożę z sobą przegraną, przegraną stanowczą... wydarto nam najlepszą część majątku. Dług ciążący na reszcie pochłania ją: nie mamy nic! Ożenienie moje, jak się domyślisz łatwo, nie przyszło do skutku... Hrabia na wieść o nieszczęściu naszem nagle wyjechał z Warszawy i jest już gdzieś na drodze do domu. Wszystko stracone!.. Co się stanie z generałem, z ojcem, gdy się dowie, ze Stellą?

Zenon nie mógł zrazu wymówić słowa.

— To okropne! rzekł w końcu, lecz straszniej jest może lecieć w przepaść, niż pogruchotanemu leżyć na dnie. Nad nim zawsze świeci jakaś cząsteczka nieba. Gdzie niema ratunku żadnego, musi przyjść mężka rezygnacja.

— Cóż się dzieje ze Stellą? co z tym człowiekiem? Co myśli i chce Garbowski? Jak to powiemy ojcu? wołał Robert... Może choć to nas chwilowo podtrzyma i oszczędzi wygnania a wstydu?

Zwrócił się do Zenona, który milczał, ponuro zamyślony.

— Garbowski, rzekł w końcu, Garbowski był już parę razy... i odjechał. Nie wiem dobrze, co myśli, lecz, lecz zdaje mi się, że, widząc ofiarę księżniczki,

waha się z jej przyjęciem. Jest szlachetne serce w tym człowieku...

— Cóż się stanie z nami, jeśli tej ofiary nie przyjmie? Daru nam nie uczyni, ani my go przyjąć nie możemy...

— Nie wiem, dodał Zenon, w każdym razie z nim się ułożyć można, będzie cierpliwym, znajdą się środki jakieś.

— Żadnych niema, odparł Robert, ojcu należy oszczędzić pogodę dni ostatnich, a potem... pójdziemy pracować... Pracować? dodał, ruszając ramionami, ale jak?... Stella pracować? ja?... My nie umiemy nic! My niemamy pokory do pracy, myśmy skazani na konanie powolne! Jesteśmy istotami wymarłego świata, którym też umrzeć przeznaczono.

— Mości książę, odparł Zenon, nie wierzę w to, trzeba mieć odwagę dźwignięcia się, a wyrobi się możność.

— Ażeby mieć wolę, trzeba mieć jasny cel przed sobą, a tego oczy moje nie widzą.

— Radźmy, rzekł Zenon, o najpilniejszem, trzeba się nieuchronnie rozmówić z Zembrzyńskim, który ten nieszczęsny proces przeprowadził, a potem z Garbowskim.

— Lecz co ojcu powiedzieć?

— Nie trzeba mu nic mówić, musisz książę zaczekać, aż gdy tego wymagać będzie konieczność. Zresztą dla uniknienia przykrych tłómaczeń... książę możebyś na kilka dni zataić mógł swój powrót i przebyć je w ukryciu.

Przez część nocy gwarzyli tak, siedząc w sali i przysłuchując się, ażali generał nie przebudzi się, lub lekarz nie przyjedzie.

Stary przyjaciel domu, zamieszkały o mil parę w miasteczku, Sykstus Cieciorka, doktór niegdyś uniwersytetu wileńskiego, uczeń Franka i Śniadeckiego, na pierwszą wieść o chorobie generała, ledwie się przyodziawszy, na małej bryczynie dla pośpiechu przyleciał.

Był to mężczyzna niestary jeszcze, wielce wykształcony, wielkiego też spokoju ducha i łagodności. Nic go nie dziwiło nigdy, ani niecierpliwiło, ludzi wszystkich traktował potrosze jak pacjentów, z ojcowską dobrocią, ale i z powagą ojcowską, która przed żadną społeczną znakomitością i tytułami nie ustępowała. W innym stanie okrzyczano go demokratą i nieznośnym, jako lekarza znosić musiano i szanowano też jako człowieka.

Cieciorka był jednakowo z ekonomami i książętami z jakąś kwakierską, dobroduszną grzecznością, króra się o żadne światowe nie troszczyła formy. Nie nadużywał swej wziętości, ale się nie kłaniał nikomu.

Powierzchowność jego na pierwszy rzut oka nie zdradzała niepospolitych umysłu i duszy przymiotów: otyły, gruby, trochę ociężały, mówiący zwolna i niedbale, podobny był do zardzewiałego szlachcica, ale wpatrzywszy się w jego głowę, twarz, w wyraz oczów i ust, poznać w nim było można jeden z tych typów, jakie starożytnych mędrców popiersia wystawiają. Czoło i oczy błyszczały potęgą rozumu chłodnego, myśl tryskała z wejrzenia; i rozum ten a inteligencja nie nadawały mu ani wyrazu dumy, ani szyderstwa; znać doszedł do tej wyżyny, z której wszystko się tam małem wydaje, że nic nie gniewa i nie oburza, litość tylko budzi i miłosierdzie bez granic.

Gdy wszedł na palcach i siadł, ściskając rękę ks. Roberta, opowiedziano mu pokrótce symptomata. Słuchając powieści tej, doktór milczał, przerwał je kilku zapytaniami, zdawał się przebiegu choroby nie rozumieć lub znajdować go anormalnym.

— Zaczekamy przebudzenia, zobaczymy, rzekł, nic z tego, co mi mówicie, wnosić nie mogę.

Czekano więc przebudzenia do rana, ale naprożno, sen był niezmiernie ciężki, głęboki a napozór spokojny; co dziwniej, nie towarzyszyła mu żadna gorączka. Chory wydawał się zmęczonym, nie chorym. Doktor Cieciorka badał puls ciekawie, wpatrywał się w rysy, twarz miał zasępioną.

Generał zwykł był się budzić o siódmej. i natura tylą latami znałogowana, wywołała w istocie rozbudzenie. Poruszył się z westchnieniem ciężkiem, chciał wstać... opadł na poduszki. Oczy jego błędne potoczyły się po przytomnych, otwarły szeroko i uspokojone wpatrywały w każdego po kolei. Robert, Cieciorka i Zenon, stali przy łożu. Ks Hugon kilka razy obliczył ich wzrokiem, nic nie mówiąc, potem zaczął się uśmiechać.

— Poznaję was, rzekł. Ty, wskazał na Roberta, jesteś Ryszard Lwie serce; ty, obrócił się do doktora, przełożony mnichów św. Franciszka; a ty mistrz templaryuszów. Doskonale pamiętam. Zostałem wczoraj przez Saracena ranny w głowę, ale rana, zalana balsamem, już się zgoiła; zostanę dziś pod namiotem, jutro na koń!

Doktór wziął go za rękę zwolna, puls był naturalny.

— Możem się omylił, bo ty mi cóś pulsu macasz? he? odezwał się generał, może jesteś Bombastus Paracelsus?...

Nikt nie odzywał się, on patrzył ciekawie...

— Co za klimat łagodny, rzekł, jakie ciepło miłe, zalatuje mnie zapach palm kwitnących.

Robert zwolna cofnął się z Zenonem, doktór pozostał i poważnie nań patrzył długo, a wreszcie rzekł głosem zwyczajnym.

— Pan generał sobie z nas żartuje, jakże nie poznać starego sługi Cieciory, i pana Zenona, i księcia Roberta.

— Roberta, przerwał ks. Hugon, co ty mi bajesz? Gdzie Robert? Ten daleko z flotą popłynął, a Zenon hreczkę sieje... Niech rycerstwo nasze zanuci Bogarodzicę... czas, godzina poranna, z Bogiem dzień zaczynać trzeba, a po chwili dodał jak najprzytomniej:

— Czy szambelan już wstał?

Pochwycił doktór ten moment jasny i odpowiedział:

— Myślę, że się przebudził... a może generał byś wstał i poszedł na śniadanie z nim i ks. Stellą?

— Jakże? ranny przez Saracenów? zobaczyliby bliznę i toby ich przestraszyło. Zostanę pod namiotem.

Mówił tak niedorzecznie naprzemiany i przytomnie, ale ładu w myślach nie było, błąkały się, jakby wiatrami gnane pajęczyny. Doktór wyszedł zamyślony.

— Nadziei nie tracę, rzekł, lecz mam jej mało. To, co jest teraz musiało się przygotowywać zdawna.

Trzeba było myśleć, jak szambelanowi wytłómaczyć chorobę, powrót Roberta, i zapobiedz, aby nie zapragnął przyjść do brata. Widzenie się ze Stellą było nieuchronne; i dla tej wszakże nagła wiadomość o nieszczęściach mogła być groźną.

Zenon poszedł po siostrę. Rano było jeszcze, p. Antonina, ledwie mając czas się ubrać, przelękła, przyszła z bratem na górę do pokojów generała. Na widok Roberta bladego, wycieńczonego, drżącego, rozpłakała się, odgadła wiele.

— Pomóż mi pani, rzekł, nie chcę przed nią nic ukrywać... Jesteśmy na ten raz zruinowani ostatecznie, zgubieni, proces przegrany, od Brańska odetną to, co jego wartość stanowiło. O mojem nieszczęsnem ożenieniu mowy niema; zostaliśmy na łasce Garbowskiego. Przybyłem tu obarczony nieszczęściem, które wiozłem i wpadłem w chwili, gdy generał apopleksyą tknięty został. Od tej pory nie odzyskał przytomności, zdaje się obłąkanym.

Antonina w milczeniu załamała ręce.

— Chcę i potrzebuję się widzieć ze Stellą, dodał, ułatw to pani przez przyjaźń dla nas, przygotuj ją, niech mi pomoże, ojciec nic wiedzieć nie powinien. Biedna Stella!

— Tak, biedna Stella, wszyscyśmy biedni, szepnęła Antonina, ale mości książę, Stella ma ducha męzkiego. Stella potrafi spełnić najcięższą ofiarę i usty się uśmie-

chać wśród męczeństwa. Nie lękaj się pan o nią. To anioł, to więcej niż anioł, to bohaterka!

Porwała rękę Roberta z zapałem i łzami w oczach.

— Mój książę, bądź spokojnym! w takich domowych nieszczęściach, wśród czterech ścian, my kobiety was prowadzić powinnyśmy i męztwa dodawać, pocieszać a krzepić.

Wybiegła szybko po Stellę.

Tymczasem dzień był wielki, obawiać się należało, żeby stary ks. Norbert nie dowiedział się od którego ze sług o przybyciu syna, chorobie generała, wezwaniu doktora; jedna Stella wiedziałaby, jak mu to oznajmić tak, aby nie przerazić starego.

W pół godziny może weszła ona z Antoniną. Na jej twarzy, mimo łez, było tyle spokoju i rezygnacyi, gdy postąpiła ku bratu, aby go uścisnąć, że Robert wydziwić się jej nie mógł. Wsparła się na jego ramieniu i znać tłumiąc jęk mimowolny, chustkę chwyciła w białe zęby... W chwilę potem odetchnęła spokojnie, wróciła do panowania nad sobą.

— Nie mów mi nic, rzekła, wiem wszystko, pójdę do ojca, lecz pozwól, spytaj, czy doktór pozwoli, chciałabym stryja zobaczyć!...

Cieciorka namyślał się.

— Idź pani, rzekł, może ktoś będzie tak szczęśliwy, że go do życia rzeczywistego napowrót ściągnąć potrafi.

Drżąca, ale z przymuszonym uśmieszkiem na ustach, wsunęła się na palcach Stella i przywitała generała zwykłem:

— Dzień dobry.

— Któż to jest? królowa Jadwiga?... zawołał.

— To ja, Stella, twoja Stella, mój stryju.

— Stella... gwiazda... nie, ty, jesteś królowa Jadwiga!

Patrzył i spytał znowu:

— Czy szambelan wstał?

Ucieszyła się Stella, lecz po tem pytaniu rozsądnem nastąpiło:

— Najjaśniejsza pani! niegodzien jestem, byś namiot rycerza odwiedzała, ale tę Szarfę, którą mnie darzysz, zachowam do zgonu. Na tarczy ją herbowej zawieszę, jak Nałęcz drugi.

Skłonił głowę i w tejże chwili znowu zdało mu się, że jest na łowach, począł psy nawoływać: hu! hu!

Zapłakana wyszła Stella. Spokojne to obłąkanie straszne było. Nie mówiąc słowa, przesunęła się przez salon .. złączyła z Antoniną, i obie pobiegły czatować u drzwi szambelana. Gdy mu śniadanie jego wnoszono, trochę niespodzianie w tej porze weszła Stella i przyklękła przed ojcem.

— Cóż mi to acanna tak rano przynosisz? uśmiechnął się stary, wszak to nie twoja godzina?

— Tak, kochany ojcze, alem wolała sama przyjść, aby ci powiedzieć, że generał trochę niezdrów... Nic to nie jest strasznego, zawsze jednak...

— Generał nie zdrów! Widzicie! przerwał szambelan, ja mu zawsze mówię: nie pij wody po baraninie. Cóż mu takiego?

— Trochę gorączki, nie wiem; jest dr. Cieciorka. A i nasz kochany Robert przybył w nocy, ale tam siedzi przy chorym.

— Widziałaś już Roberta?

— Na chwilę.

— Cóż przywozi? nadzieję znowu?

— Nie wiem, jakoś mi o tem nie mówił.

— A niechże przyjdzie do mnie. Generałowi dać rumianku i zostawić go w spokoju, a wody mu zakazać, do wieczora odejdzie. Niech Robert przyjdzie do mnie. Właśniem rad, że w porę mi powraca, pomoże do tego balu, który chcę dać. Bez niegoby mi to nie poszło, a koniecznie, póki żyję jeszcze, muszę raz wystąpić. Już jeśli Gozdowski poskąpi, ja z mojej szkatułki łożyć-em gotów.

Stella nie mówiła nic.

— Przyślij-no mi Roberta.

Pocałował ją w głowę.

Całych sił potrzebowała Stella, by twarzą nie wydać uczucia, aby się okazać spokojną i wesołą.

Szambelan tego dnia był dziwnie rozpromieniony, wyglądał świeżo i usta miał uśmiechnięte.

— Proszęż cię, rzekł do odchodzącej, napędź tu Roberta do mnie... a generała zostawić w spokoju. on nie lubi, żeby mu się tam naprzykrzali, kiedy niezdrów.

Z tem poselstwem wróciła Stella do Roberta, który po chwili namysłu wybrał się do ojca.

Widzenie się z nim było prawie powtórzeniem przyjęcia Stelli i rozmowy z nią. Uderzyła syna ta pogoda oblicza ojcowskiego i ta szczęśliwa jego ślepota, co się niczego nie domyśla.

Tak dzień cały upłynął na doglądaniu dwóch starców, a rodzeństwo z sobą dłużej się nawet rozmówić nie mogło. W stanie zdrowia generała nie zaszła prawie żadna zmiana. był ciągle senny a gdy się przebudzał. mówił od rzeczy. Podano mu jedzenie. zaczął jeść łapczywie, chciwie, nieprzytomnie także i zaraz po zjedzeniu zasnął znowu.

Doktór Cieciorka przypatrywał się temu z widocznym smutkiem. Żadnych środków lekarskich nie można było przedsiębrać, oprócz lekkich derywatywów, któreby odciągnęły nacisk na mózg. ale te widocznie jakoś nie poskutkowały.

We dworze ruch był niezmierny i popłoch. Szambelan go nie widział, parę razy spytał o brata, zalecił rumianek. przywołał do siebie ks. Serafina na rozmowę, uspokajał Stellę i spędził czas do wieczora, bez żadnej zmiany w zwykłym porządku zajęć swoich.

Robert, zmęczony wrażeniami, podróżą, bezsennością, wieczorem zszedł do swego pokoju. Zastał w nim już oczekującą nań Stellę, która chodziła zamyślona.

— Przyszłam tu, rzekła powoli, aby ci dodać męztwa... Jestem pewną Garbowskiego, że się szlachetnie obejdzie z nami, że poszanuje niedolę. Chciałam, myślałam, marzyłam, że ofiarą swojej ręki spłacę

dług... ale, mój drogi Robercie, ta ręka dziś nie ma szacunku, byłaby ciężarem. nie darem. Garbowski jej nie chce... pisał wczoraj do mnie. Może czuł, żem go kochać nie mogła, chociaż go szanuję, choć się zmuszałam, aby być dla niego dobrą, łagodną, uprzejmą. Lecz serce czuje, gdy drugie mu nie odpowiada biciem równem. Zostaję wolną. Oddamy mu wszystko... ale szlachetny Zygmunt nie wypędzi nas ze starym ojcem, z biednym stryjem. Bądź spokojny. Ja zostanę, z tobą i ojcem i dożyjemy, co nam Bóg wyznaczył. Umieliśmy być szczęśliwi, potrafimy i cierpieć, Robercie.

Na te słowa wszedł Gozdowski. Domyślając się interesów, Stella znikła.

Plenipotent, jak wszyscy. co nic nie robią, minę miał strasznie zajętą, zakłopotaną, spieszył sęi, usiłował udawać czynnego.

— Mnie się zdaje, zawołał, że potrzeba teraz jeszcze spróbować traktowania z Zembrzyńskim. o jakiś modus vivendi. Słyszałem, że powrócił z Warszawy, byłby szalonym, gdyby głupi wyrok chciał na nas z całą jego wykonać surowością: toby cały świat nań oburzyło: toby była infamia! to nie może być! Ja jutro rano do niego pojadę. Otrzymamy warunki przynajmniej lżejsze.

— Probuj pan, rzekł książę Robert. nic nie zaszkodzi próbować, ale nie upokarzaj się, nie proś, bo mnie się zdaje, że człowiek ten nic nie ustąpi. Dowodzi tego sposób, w jaki ten proces prowadził.

— Zabiłby się w obywatelstwie! krzyknął Gozdowski.

— Ale on nigdy w niem nie żył. dodał ks. Robert.

— Bądź co bądź, jeśli książę pozwolisz. ja jadę. a pewnie godności domu książęcego, równie mi drogiej jak jego dostojnym członkom. nie narażę.

To powiedziawszy, plenipotent się oddalił.

Nazajutrz kazał sobie dać najwykwintniejszy z ekwipażów książęcych, liberją paradną i wyruszył do Podmoszczan.

Przybył tu około południa. Na spotkanie jego wyszedł pan Zembrzyński aż do sieni, co było dobrą wróżbą wedle Gozdowskiego; przyjął go z nizkiemi ukłonami i poprowadził do saloniku. Usiedli.

Gozdowski do roboty był ńicpotem, ale tem lepiej też mówić umiał.

— Przyjeżdżam do szanownego sąsiada, rzekł, jak się łatwo domyślisz... w imieniu tych książąt, których pan dobrodziej potrafiłeś dziwnie szczęśliwie prowadzonym procesem zwyciężyć. Powinno to zaspokoić jego miłość własną a obudzić szlachetność.

— To jest, mości dobrodzieju, interes, odparł gospodarz, a w interesie uczucia nie grają żadnej roli. Tu rachunek i kredka...

— Lecz i rachunek nawet zdrowy nie powinien pana prowadzić do nadużycia zwycięztwa, przerwał Gozdowski.

— Nadużywania? rzekł Zembrzyński, uchowaj Boże, ale do używania mam prawo zupełne.

— Przecież należałoby być wyrozumiałym i ludzkim.

Zembrzyński zmilczał.

— Przyjeżdżam w imieniu książąt, dodał plenipotent — i proszę go o powolność.

— O jaką? zapytał Zembrzyński.

— Przecież nam pan całej tej przestrzeni lasów zabrać nie myślisz?

— Tylko to, co mi przysądzono, rzekł gospodarz, ani cala więcej.

— Lecz pan sam wiesz, że wyrok jest... nierozsądny.

— Tego nie wiem.

— Dwieście lat używalności.

— Przyznasz pan, że czas było oddać zagarniętą własność, rzekł nielitościwy Zembrzyński.

— Przedawnienie też prawo do posiadania daje.

— Znać, żeście go państwo nie mieli, gdy mnie przysądzono dyferencją.

— Ależ panie! czyż masz być tak nielitościwym?

— Muszę, sucho rzekł Zembrzyński.

Gozdowski chwycił się z krzesła: ta zimna krew go oburzała. Chciał odejść już.

— Siadaj że acan dobrodziej, odezwał się Zembrzyński, a nie opuszczaj domu mojego, dopóki przekąski nie dadzą. Uczyń mi pan ten honor, proszę. W interesie gniewu niema a staropolska gościnność...

— Dziękuję panu, dziękuję, sucho rzekł Gozdowski, śniadania nie jem a czasu nie mam.

— Pan dobrodziej się gniewasz?

— Nie, jestem oburzony! Jakto?... szlachcic nasz, tutejszy zapewne, z taką zaciętością i srogością, postępować możesz z domem w całym kraju tak szanowanym! Pięknaż to pamięć zostanie, że ich do ruiny doprowadzisz?

— Ja? zawołał Zembrzyński, ja? Mój mości dobrodzieju, widziałeś asindziej kiedy stary dąb, który pastuszkowie wypalą... utrzyma się to na pasemku kory... przychodzi leciuchny wietrzyk i olbrzym się wali. Mówią, że burza dąb obaliła! a nie... spróchniały był, spalony był. Ja jestem tym wietrzykiem, szanowny panie a dobrodzieju.

Mówiąc, kłaniał się nizko, a pokorny był, jakby wcale nie zwyciężył wczora.

— Więc nie mamy o czem mówić?...

— Czekaj pan, rzekł gospodarz, czekaj proszę. Widzisz pan, sam powiedziałeś... jestem stary szlachcic. No, tak... i mam nałogi szlacheckie i szanuję tych panów bardzo i pochlebia mi, gdy się o nich choćby otrę. Ot, wiesz asindziej co, możeby się to i dało zrobić... cóś ulżyć, cóś ułożyć; ale o tem ja z kim innym traktować nie będę, tylko z samym księciem szambelanem.

Gozdowski począł się śmiać.

— To wprost nie może być, rzekł. Książę szambelan zdał wszystkie interesa synowi, o niczem nie wie, niczem się nie zajmuje, obcy jest wszystkiemu, co się w koło dzieje. Rodzina, strzegąc jego spokoju, nie dopuszcza doń żadnej, a tem mniej złej wiadomości. On o procesie tym prawie nie wie.

Zembrzyński słuchał ciekawie, lecz głową trząsł.

— Co mi to pan dobrodziej mówisz! ale czyż to może być! to nie może być!

— Tak jest.

— To źle, odparł Zembrzyński. Suponujmy, że wśród nieświadomości jakimkolwiek sposobem wpadnie wieść o tym upadku i ruinie, boć ks. ks. Brańscy nie mają dziś nic, bankruci są, no to stary jak od piorunu będzie zabity.

— Ale on się o tem nigdy nie dowie, mamy do czynienia z człowiekiem szlachetnym, z moim krewnym, który dom książąt szanuje.

— Cóż? na jałmużnie żyć będą?

Gozdowski się oburzył.

— Książęta mają środki o których pan nie wiesz.

— Hę? hę? czy anioł z nieba. czy ptaki niebieskie jak na pustyni prorokowi będą im złote cegiełki radziwiłłowskie przynosić?... roześmiał się gospodarz.

Plenipotent był zmieszany, gniewny. oburzony tak. że nawet mówić już nie chciał, kłaniał się i odchodził.

— Słuchaj pan, żebym dowiódł, iż jestem lepszy, niż panowie myślicie, zawołał Zembrzyński, odstąpię połowę lasów, słyszysz pan, połowę lasów, ale o to sam na sam, bez świadków, z księciem umawiać się będę. Tak, lub nie. To moje ostatnie słowo. Jak chcecie...

— Wszak z ks. Robertem... przerwał Gozdawski.

— Nie z ks. Robertem, ale z szambelanem, zawołał gospodarz; rozumiesz mnie pan. albo z nim sam na sam w cztery oczy, albo z nikim... albo z nikim! powtórzył, oczy jaskrawe, żółte topiąc w plenipotencie.

Gozdowski zdumiony, sam nie wiedząc, co począć z tą propozycją, zakręcił się, skłonił i nic nie odpowiadając, odjechał. W ganku jeszcze Zembrzyński, kłaniając mu się, dodał:

— Będę czekał odpowiedzi; daję czasu pięć dni do namysłu, lecz inaczej nic, inaczej... nic.

Z tem odjechał plenipotent, powtarzając sobie: inaczej nic...

Dziwny człowiek, myślał przez drogę. Dla czego ten upór, żeby koniecznie z samym szambelanem mówić?... i za to połowę lasów chce oddać... Oczywista rzecz, próżność, nic więcej jak chęć popisania się ze wspaniałomyślnością, żeby potem mógł powtarzać, iż tę ofiarę księciu samemu uczynił. Ale jakże to może być, gdy szambelan o niczem nie wie?

Powróciwszy do Brańska, Gozdowski zawahał się, co ma uczynić z wnioskiem tym Zembrzyńskiego. Należało jednak donieść ks. Robertowi o skutku wyprawy, i choć kilka godzin zwlókł plenipotent, w końcu spytany wszystko opowiedzieć musiał. Księżniczka Stella była przytomną; i ona i książę poczęli myśleć, jakby to możliwem uczynić. Trzeba było starca przygotować, wyznać przed nim, że proces źle poszedł i skłonić go do przyjęcia Zembrzyńskiego.

Zenon, wezwany do rady, znajdował, że w tym razie mimo najszczerszej chęci oszczędzania księcia szambelana należało go uprzedzić, a dziwacznemu żądaniu Zembrzyńskiego dogodzić. Do tej misji wybrano Stellę, która ze wszystkich najwięcej miała rezygnacji, krwi chłodnej i taktu. Starzec ją kochał czule i od niej najlepiej przyjmował nawet przykre wiadomości, które osłodzić umiała.

— Każecie mi, rzekła, podejmę się tego, lecz powiem szczerze, wolałabym najcięższe zadanie inne, nad to... tak mi żal błogi pokój ojca zamącić!

Zastanawiano się jeszcze nad dziwacznem żądaniem, lecz nikt nie umiał dociec prawdziwej jego przyczyny.

Stella, rachując na to, iż odrazu nie potrafi skłonić szambelana, nie obudzając podejrzeń w nim o grożącem niebezpieczeństwie, rozpoczęła powoli tegoż wieczora od napomknień, iż jej się zdawało, jakby proces z Zembrzyńskim gorzej szedł, niż przewidywano.

— Wnoszę o tem z zakłopotania Roberta. dodała, z milczenia jego i niepokoju.

— Może to być imaginacja twoja, odparł szambelan, bo ja po Robercie nic nie spostrzegłem podobnego, on zawsze jest ponury i zamyślony. a co się tyczy procesu, ten trwa niewiedzieć wiele lat... i będzie sobie się ciągnął drugie tyle.

— Gozdowski także mi napomknął, że się lęka o niego, bo Zembrzyński ma być nadzwyczaj zabiegliwy, czynny i pieniacz wielki.

— Ten Zembrzyński... co to tu był raz u mnie? rzekł ks. Norbert, hm! wygląda na pokornego człeczka, ale oczy ma bardzo brzydkie, bardzo brzydkie!...

Po tej rozmowie Stella czekała dnia następnego i znowu napomknęła o Zembrzyńskim i o procesie.

— Ty bo się tem próżno niepokoisz, zawołał śmiejąc się, książę, wy młodzi w ogóle łatwo się trwożycie... Byle co, ogarnia was panika.

Ruszył ramionami.

— Cóż z procesu być może?

— Możemy go przegrać, westchnęła Stella.

— No to będziemy apelowali, mówił szambelan; trochę kosztu i tak się sobie to pociągnie.

— Gozdowski przyznał mi się, rzekła ciszej, żeśmy przegrali.

— I nie czyją pewnie winą, tylko jego, odparł szambelan. Gozdowski poczciwy człowiek, ale postarzał i ociężał.

— Mówił mi też, iż gdybyś ojciec chciał powagą swą przemówić do Zembrzyńskiego, pewnieby się upamiętał.

— Hm!... ja już od wszystkiego umyłem ręce, odpowiedział szambelan, ja się do niczego nie mieszam: jakże mam wchodzić w to?... nie godzi mi się, quo titulo.

— Lecz jeżeli Zembrzyński skłonny jest przez uszanowanie dla ojca, cóś więcej uczynić, powolniejszym być?

— Nie sądzę, rzekł szambelan, wszakże zobaczymy, zobaczymy...

Pierwsze lody były złamane, wsparł Stellę ks.

Robert, pochlebiało to ks. Norbertowi, iż z nim tylko do czynienia mieć chciano, nie sprzeciwił się więc. Nikt w tem żadnego zresztą nie upatrywał niebezpieczeństwa. Gozdowski śmiał się z próżności szlachetki.

— Choćby książę się miał trochę zmęczyć, połowa lasów naszych tego warta. Głupi dorobkowicz wysoką ceną opłaca ten honor, że z samym księciem o tem mówić będzie i jemu ofiarę te uczyni. Rad, że mu się to jakoś przeprowadzić udało, Gozdowski jeszcze raz pojechał do Podmoszczan, z daleko lepszą fantazją niż przedtem.

— Masz więc pan czegoś żądał, ks. Norbert zgadza się przyjąć pana i mówić z nim.

Zembrzyńskiemu płowe oczy jakby pomarańczowym ogniem jakimś zagorzały nagle, chwycił, za ręce Gozdowskiego.

— Możeż to być! istotnie?

— Tak jest! tak! śmiał się Gozdowski, książę szambelan przyjmie pana, lecz zarazem w imieniu rodziny troskliwej o jego zdrowie upraszam go, abyś z łagodnością i należnem starcowi uszanowaniem z nim rozmawiał. Jest dumny, do czci ogólnej nawykły, drażliwy, należy go oszczędzać.

— Bądź pan spokojny, będę już wiedział, jak z nim mówić, odezwał się żywo Zembrzyński, to moja rzecz! Płacę za audjencją drogo, chcę być swobodnym.

— To są tylko życzliwe uwagi.

Gozdowski uważał, że gospodarz po odebraniu tej wiadomości bardzo był poruszony i jakby roztargniony chodził, cały już przejęty znać honorem, który go miał spotkać.

Niedługo bawiąc i postanowiwszy, o której godzinie miał nazajutrz przybyć Zembrzyński, plenipotent powrócił, rad z siebie, iż jego umiejętnym zabiegom Brańscy ocalenie części znacznej majątku będą winni.

W dniu wyznaczonym pan szambelan polecił kamerdynerowi. aby mu dobył dawno niepotrzebowany strój paradny. a nawet niebieską wstęgę i parę zagranicznych orderów. które zwykle wkładał tylko na wielkie uroczystości. Chciał znać tem większe wywrzeć wrażenie na biednego szlachetkę. Pokoje kazano wyświeżyć i przybrać. służba przywdziała liberje wielkie; słowem, wszystko było w pogotowiu, jak gdyby na przyjęcie znakomitego gościa. Zarazem jednak zaleconem było, ażeby to się nie wydawało umyślnie na ten dzień wziętem. ale jakby powszedniem. Gozdowski miał Zembrzyńskiego przyjąć w ganku i do drzwi szambelana odprowadzić.

Na umówioną godzinę powóz pana Zembrzyńskiego stanął w istocie pod gankiem. a szlachcic wysiadł z niego blady i jakby pomieszany. Wydał jakieś ciche rozkazy ludziom swoim. którzy pomimo nalegania służby od ganku się oddalić nie chcieli i z powozem przy nim pozostali.

Gozdowski rozpoczął rozmowę. lecz przybyły nie zdawał się jej ani słyszeć. ani rozumieć. szedł prosto przed siebie. szukając już oczyma kogoś przed sobą. a gdy mu wskazano drogę i otworzono drzwi. rzucił się w nie z pośpiechem tak. że zdawać się mogło. iż obawiał się. aby go jeszcze nie wyrzucono.

Szambelan sam jeden, wedle umowy, oczekiwał na niego, podwoje się zatrzasły, a Gozdowski. oczekujący niecierpliwie wyjścia Zembrzyńskiego. rozpoczął przechadzkę i nasłuchiwanie. ale drzwi, szczelnie zaparte. żadnego nie puściły głosu.

My, nim tę scenę opowiemy, zwróćmy się do Zembrzyńskiego w chwili, gdy Gozdowski mu oznajmił, iż mieć będzie żądane posłuchanie.

Po odjeździe plenipotenta stary latał jak oszalały; całe życie pracował on na tę chwilę zemsty, której nareszcie spragnione jego usta napić się miały. Pięćdziesiąt lat palił go na twarzy otrzymany policzek; poświęcił się cały zapłaceniu zań; teraz nadeszła chwila, w której szambelan był w ręku jego.

Zembrzyński namyślał się, co począć? Gorączka nim miotała; chciał najprzód przypomnieć starcowi krzywdę wyrządzoną i dawszy policzek za policzek. ząb za ząb, siąść do powozu i uciec.

Wkrótce rozwaga przyszła, niebezpieczeństwo takiego postępku, nikczemność porwania się na starca bezsilnego, oburzenie, jakie to wywołaćby musiało, strach zemsty. powstrzymały gwałtowne pierwsze postanowienie. Zembrzyński powiedział sobie, że mu rzuci w oczy rękawiczkę i zemściwszy się słowy, odjedzie. Chciał, ażeby szambelan wiedział, iż on całe życie nosił się z myślą żemsty, że dla niej pracował, męczył się, znosił nędzę i że temu tajemnemu prześladowaniu winien był w większej części ruinę swoją i rodziny. Układał plany, jak to ma powiedzieć, jakich użyć wyrazów, lecz wśród snucia projektów napadały go i trwogi i niecierpliwość. Powracał do pierwszej myśli opoliczkowania z namiętną pasyą. to znowu słabł i chciał z dumą wystąpić słowem tylko i wyrzutem.

Cały dzień spędził na tem trapieniu się myślami, na przerabianiu swej mowy, na rojeniu o spotkaniu, a gdy nazajutrz, drżący z niecierpliwości, siadał do powozu, nie był pewnym, jak postąpi, czy go namiętność uniesie, czy wspaniałomyślność, czy złaje, czy przebaczy, czy się porwie...

W takim stanie rozdrażnienia wysiadł Zembrzyński z powozu i poszedł za Gozdowskim do pokoju szambelana.

Był to, dziwnem zrządzeniem wypadku, ten sam pokój. ten sam na boku stał w nim dotąd stół, przy którym Zembrzyński niewinnie został opoliczkowany. Gdy wszedł, żywo jeszcze jakby wczorajsza przypo-

mniała mu się cała ta scena, i nanowo wybuchnęła żądza zemsty, ale się pohamował.

Przed nim stał z miną pańską, z całą powagą swą, starzec siwowłosy, mimo wieku tak jeszcze krzepki i imponujący swą postacią, jak przed pięćdziesięciu laty. Twarz jego miała wyraz tej pewności siebie, tej dumy pańskiej, przed którą Zembrzyński dawniej drżeć był nawykł. Był to ten sam, od którego chłopakiem ubogim uciekł. Dziś mienie, spokój, honor nawet jego były w rękach mściwego człowieka, który dożył uroczystej chwili porachunku.

Szambelan poszedł kilka kroków i grzecznie powitał Zembrzyńskiego. Ten kocie swe oczy wlepił weń i milczący, wzrokiem go przeszywając, szedł zwolna, nie mówiąc nic; myśli i wyrazy wirowały mu po głowie i ustach...

Oglądał się, czy nie było zasadzki... ale pokoje były puste i drzwi pozamykane. Od lat pięćdziesięciu nie zaszła tu prawie żadna zmiana: poznawał sprzęty, przypominał sobie najdrobniejsze szczegóły. Tylko ks. Norbert z młodego i żywego mężczyzny stał się starcem, obleczonym majestatem wieku.

Spojrzenie Zembrzyńskiego i wyraz jego twarzy tak dolegały szambelanowi, iż nareszcie, oczy spuściwszy, aby nań nie patrzyć, sam postanowił przemówić, by nazbyt przeciągnione przerwać milczenie.

— Witam waćpana dobrodzieja, odezwał się szambelan i najprzód mu dziękuję za jego uprzejmość, iż chciałeś się do mnie fatygować.

Nim się zebrał na odpowiedź Zembrzyński, wargi sobie do krwi pokąsał.

— Nie uprzejmość żadna mnie tu sprowadza, zawołał, mylisz się wasza książęca mość, przyjechałem w innym celu.

— Zawsze to z jego strony dla nas... dla mnie bardzo pochlebna atencya.

— Nie z atencyą przybyłem, mości książę, głośniej podchwycił Zembrzyński, inny mam cel.

Uderzony wyrazami i tonem, szambelan się wyprostował i spojrzał z góry.

— Radbym go wiedział, rzekł sucho, siadaj asindziej.

— Dziękuję, będę mówił, stojąc, odparł gwałtownie Zembrzyński.

— Jak się podoba, ale ja z memi staremi nogami stać nie mogę, pozwolisz, że siądę.

I z największym spokojem szambelan siadł. Spojrzał na gościa, spotkał kocie jego oczy, lecz wzroku ich wytrzymać nie mogąc, swoje od nich odwrócił.

Zembrzyński syczał, nie mogąc przyjść do słowa, spokojność starca go roznamiętniała.

— Nie wiem, czy w. ks. mość dawne czasy dobrze dziś sobie przypominasz, począł, trzęsąc się niemal. Co do mnie, ja mam pamięć doskonałą. Lat temu pięćdziesiąt i kilka, mości książę, na jego dworze służył ubogi chłopak, który nie mógł sobie zasłużyć na łaski pańskie. Bito go i pędzono pod zły humor... Oto przy tym stoliku, mości książę, racz sobie dobrze przypomnieć — tam... ten chłopak niewinnie dostał od was policzek. Tym chłopakiem jestem ja, uderzył się w pierś, dzisiaj przychodzę ci go oddać.

Książę zrazu znać, nie zrozumiał, potem słupiał w miarę, jak słuchał, naostatek zerwał się, wstał i wyprostowany jak posąg, rękę trzęsącą się naprzeciw siebie wyciągnął.

— Ha! boisz się, zawołał Zembrzyński, bezsilny stary!... Jesteś dziś w moich rękach, na mojej łasce... Lecz cóż to znaczy, gdybym ci dał policzek? Ja ci dam raz w serce, bo ci powiem to, co przed tobą ukrywają i tają, co cię zabije! Jesteście przezemnie bankrutami, w Brańsku siedzicie na łasce, nie macie nic... jesteście żebracy... gorzej, bo zostajecie ze sromotnemi długami na sumieniu... Rozumiesz to, mości książę? To wszystko zrobiłem ja! Podpomogłem do ruiny, szczerbiłem, gryzłem, jak robak wpiłem się w wasze ciało... i mam tę pociechę, żem dokazał, czegom pra-

gnął... Pójdziecie z torbami, jaśnie oświeceni książęta! Cha! cha! z torbami! cha! cha!

Nieruchomy stał stary książę, słuchając i patrząc oczyma osłupiałemi, jakby mowy tej zrozumieć nie mógł. Wszystko, co mu się obijało o uszy, zdawało się czemś tak niepojęcie dziwnem, że Zembrzyńskiego wziął za waryata. Jedna okoliczność, wspomnienie policzka danego niewinnie, który on sobie całe wyrzucał życie, nadawała tej scenie prawdopodobieństwo.

Na gwałtowną mowę, szambelan do podobnego apostrofowania nienawykły, nie umiał odpowiedzieć, takim tonem nikt nigdy do niego mówić się nie ośmielił, nie rozumiał, co to mogło znaczyć... Słuchał więc, a gdy zaperzony Zembrzyński mówić zaprzestał, namarszczył brwi i rzekł:

— Co? co? co to jest? mów asindziej jaśniej... powoli? Nie rozumiem.

— A! wasza książęca mość nie rozumiesz? jakto? i nie pamiętasz niewinnie mi danego policzka? hę? Naprawdę, tobym za niego może i wdzięcznym być powinien, bo on mnie zrobił człowiekiem. Gdyby nie to pragnienie zemsty, jakie on we mnie obudził, byłbym się może zwalał. spadek po stryju stracił, a tak.. skąpiłem, szachrowałem, ciułałem, pókim nie dorobił się tyle, aby całym ciężarem mojego majątku siąść wam na karku i ssać... Cha! cha! To może i tego nie rozumie w. k. mość, żeście bankruci!...

— Nigdy żaden Brański nie zbankrutował! zawołał książę szambelan, rumieniąc się cały.

— Doprawdy? a dla czegóż?

— Dla tego, że każdy oddał do koszuli, jeśli komu był winien.

— Ale wy dziś i koszulę oddawszy, zostaniecie dłużni! podchwycił Zembrzyński, i to, co masz na sobie, nie jest już twoje. Winniście Garbowskiemu więcej. niż warto to, co wam pozostało. Ja wam odbiorę pół Brańska. które wygrałem... i pójdziecie z torbami...

Książę ponuro w ziemię spojrzał... zdawało się,

że dreszcz jakiś przebiegł po nim; siadł i powlókł ręką drżącą po czole.

— Mów powoli, rzekł cicho, mów powoli. I to asindziej tego cudu dokazałeś? przez zemstę?

— Tak! ja! ja! roześmiał się zwycięzko Zembrzyński, nie macie nic... ja wam zabieram wygrane ziemie a reszta na spłatę długów nie starczy.

Starzec popatrzył nań długo; w tem wejrzeniu przeszły z kolei uczucia różne, milczał, wreszcie się odezwał:

— I jesteś asindziej szczęśliwy teraz? zadowolony? spokojny?

Zembrzyński zabełkotał coś... spodziewał się wybuchu... znajdował niewzruszone męztwo jakieś. które po ochłonięciu z pierwszego wrażenia wracało...

— Będę szczęśliwy, odpowiedział, gdy was zobaczę upokorzonych, odartych, żebrzących, na barłogu...

— Mój panie Zembrzyński, szkoda że to nie może być, odezwał się szambelan zwolna, majątek możecie sobie zabrać. Większe od nas rody zubożały nieraz. a nie były ubóstwem upokorzone... bo my potrafimy nasze ubóstwo lepiej nosić, niż ty swoje bogactwo. Żebrać nie będziemy... Jam stary, umrę prędko; dzieci pójdą pracować. Moje resztki i gałgany wyniosą tyle, ile twoja fortuna. Zatem, mospanie Zembrzyński, gdyś swoje sprawił... a oddałeś mi policzek... bywaj zdrów i idź z czystem sumieniem, jeśli możesz...

Zembrzyński zbladł z gniewu... ręka mu drżała. myśl zrywała się namiętnie, budząc go, by się targnął na starca; lecz szambelan, który zwykle chodził z laską i miał ją przy krześle, od niechcenia obojętnie wziął ją do ręki i bawił się ciężką jej gałką złoconą. Zembrzyński postrzegł, że niby łatwiejszego nie było, jak w głowę nią dostać za pierwszem gwałtowniejszem poruszeniem.

— Masz mi asindziej jeszcze co do powiedzenia? spytał stary.

— Nic więcej, mości książę, chciałem ci przypomnieć obelgę... i dowieść, że nad robakiem nawet znęcać się nie trzeba, bo i robaki kąsają.

— Dziękuję waszmości za naukę, odparł zwolna szambelan. Co się tyczy policzka, winien byłem przyznaję; a jeśli chcesz, powiem ci. iż o przebaczenie proszę. Ja ci też twą zajadłość przebaczam... Nie mogło inaczej być... zamało miałeś serca, abyś się mścił inaczej i szlachetniej. Rzeczy więc skończone; idź asindziej z Bogiem, idź z Bogiem!

To mówiąc, zadzwonił stary ręką drżącą, wszedł kamerdyner... oczyma książę mu wskazał gościa, któremu szeroko drzwi otworzył. Ks. Norbert wstał, postąpił krok i ukłonił się spokojnie a poważnie.

Zembrzyński zmieszany, zły, rzucił nań okiem mściwem... dopadł progu i wybiegł, znać obawiając się pogoni, bo znalazłszy powóz przed gankiem. rzucił się weń i kazał pędzić, co koń wyskoczy do domu.

Chwilę potem. jakby upojony. szambelan pozostał sam z sobą... oparty o stół. myśląc, co ma począć. Nawykły wszystko czynić i przedsiębrać z Bogiem. ręką słabą przeżegnał się; potem targnął dzwonek... Wszedł kamerdyner.

— Prosić księcia Roberta, rzekł.

Silnej natury mężem był ks. Norbert. Cios. który w niego uderzył. zachwiał nim ledwie na chwilę; teraz już ta dusza spokojna znowu wracała do pierwszego stanu... Zbierał myśli i męztwo całe na przyjście syna.

Ks. Robert, który całej doniosłości tych odwiedzin wcale nie przeczuwał, wszedł, śledząc niespokojnie w twarzy jego oznak, jakie na niej zostawiły. Znalazł ojca wzruszonym. lecz z męztwem wielkiem i wysiłkiem stawiającego czoło losom.

— Źleście czynili, odezwał się powoli. zesłabłym nieco głosem, żeście przedemną taili wszystko... Ten człowiek mi odkrył położenie nasze. Sam się przyznaje, że był nieszczęścia naszego przyczyną; mścił się na mnie... za nieszczęsny policzek...

Spuścił głowę stary.

Robert rzucił się ściskać go za nogi, a stary się rozpłakał.

— Robercie, wierzaj mi, ja zniosę, co potrzeba, mężnie, i nie stęknę... mów mi prawdę! Ten człowiek nie kłamał?

— A! ojcze drogi, może potrafimy ocalić coś, nie wiem, przygotować się jednak potrzeba do tego. co najgorszem być może.

— Spokojnie tylko, spokojnie, mówił ks. Norbert. a Stella? wie już ona? a generał?

Robert zmilczał o generale.

— Stella. rzekł. najwięcej z nas wszystkich ma męztwa.

— O! to szlachetna natura, to serce piękne! zawołał stary, jam tego był pewny! O mnie się nie lękajcie! Nie trzeba tracić ani chwili... nie należy kłamać, ani szukać wybiegów... oddać, oddać wszystko! Trochę pieniędzy i klejnotów jest u mnie, proszę to zabrać, zapłacić... sprzedać srebra, obrazy, sprzęty, wszystko... wszystko. Nikt na nas się żalić nie powinien.

Zadumał się chwilę.

— Jabym chciał jak najprędzej ztąd oddalić się, dodał, mnie nie przystoi siedzieć tu. otoczonemu dostatkami; ja potrafię być ubogim... ja chcę swoją część z tej ofiary dźwigać. My winni, czy los, czy złość. nie wchodzę — stało się. Bóg zsyła krzyż. umykać ramion zesłanemu przez Pana buntem jest. Za co ja mam być lepszy?... Ja chcę wspólnie cierpieć z wami. Wy pewnie potracicie głowy, ja muszę mysleć o wszystkiem. Jeśli się nie czujesz na siłach, Robercię przyślij mi kogo. należy się zająć interesami. Posądzam, żeście. szanując mój spokój, wiele dla niego poświęcili, dziś, gdy ja już wiem o wszystkiem... trzeba czas stracony odzyskać.

— Ja jestem na rozkazy ojca, rzekł Robert.

— Brańsk musimy opuścić... inwentarze, ruchomości posprzedawać, ubogim ludziom żeby grosz nie zaległ; niech nikt na nas nie płacze... Nie nadajmy tego, co nie nasze. Wszakże mamy dworek z zrodem w Lublinie? Kto w nim mieszka? co się z nim dzieje?

— Wynajęty, rzekł Robert.

— Bądź co bądź, trzeba go odebrać, wyporządzić... przenieść się. Dla mnie dość izby jednej.

Niespokojny poszedł do zamczystego biurka szambelan.

— Czekaj, rzekł, jam tu zbierał, nie sądząc, by się to tak na złą godzinę przydało... Co tu jest, zabierz sobie, płać... proszę cię, płać... nie chcę nic mieć na sumieniu.

I ręką drżącą począł wyrzucać szambelan z szufladek zielone woreczki z dukatami. Było ich tam kilka tysięcy. Robert powiedział sobie, że je zachowa na ojca potrzeby.

— Ale ja w tem wszystkiem chcę widzieć jasno, bez złudzeń, mówił niespokojnie, trzeba mi obrachować wartość majątku... wszystkie ciężary... co od niego oderwie proces... co się należy sługom.

— Drogi ojcze, przerwał Robert, wszystko się spełni, jak rozkażesz, ale dziś uspokój się, odetchnij. Cios ten zbyt niespodziany... umysł i serce oswoić się z nim muszą.

— Tak... tak... lecz w nieszczęściu jedna praca i zajęcie dają siły do zniesienia go. Boję się, bym spoczywając, przez myśl własną nie został rozszarpany... lękam się o siebie... Nie mówcie nic generałowi, dopóki nie wyzdrowieje... proszę was... ja sam mu oznajmię i potrafię powiedzieć.

Szybko a gorączkowo wyrywały się wyrazy z ust szambelana, lecz w końcu słabnąć zaczął, wsparł się na dłoni... zakrył oczy, zamilkł. Ręką tylko żegnał syna, wskazując mu, ażeby odszedł.

Robert oddalił się powoli.

EPILOG.

W pięć lat po opisanych wypadkach hrabia Mościński, wydawszy córkę za księcia także, ale nie mającego nic, oprócz tytułu i francuzczyzny, przez Szwajcara mu wpojonej, osadziwszy młode małżeństwo w owym pałacu z żółtemi kolumnami, sam, nie chcąc być zawadą nowemu stadłu, wyjechał do Warszawy. W tydzień po przyjeździe, błądząc tęskny po mieście a szukając znajomych, spotkał elegancko ubranego jegomości, już wcale niemłodego, który mu się z uśmiechem kłaniał. Na nieszczęście hrabia miał i krótki wzrok i krótszą jeszcze pamięć tak, że przypomnieć sobie nie zdołał, kto to mógł być taki. Pamiętał, że go gdzieś widział, ale nazwiska i miejsca, w którem się poznali, zapomniał. Gdy po raz wtóry w kilka dni znowu się na ulicy zetknęli, a ów znajomy-nieznajomy ukłonił się hrabiemu, ten go zatrzymał...

— Jak się pan dobrodziej miewa? (Spodziewał się, że w rozmowie potrafi się czegoś dowiedzieć).

— Dziękuję hrabiemu. Pan hrabia tu oddawna? na długo?

— Ja? od kilkunastu dni; na jak długo, nie wiem.

— Sam?

— Tak jest... córka moja wyszła za księcia C.... i została w domu. Sam jestem tu, a co gorzej, jakoś

w Warszawie niewiele znajduję dawnych znajomości. A pan dobrodziej?

— Ja teraz tu mieszkam, rzekł nieznajomy, od czasu jak Brańsk został sprzedany.

Hrabia dopiero teraz przypomniał sobie, iż tego pana widywał w Brańsku, gdzie, jak mu się zdawało, był czemś nakształt plenipotenta. przyjaciela domu. Był to w istocie pan Gozdowski.

— Brańsk sprzedany! słyszałem, słyszałem. ubolewałem, ale szczegółów żadnych nie wiem.

— Gdyby to pana hrabiego zająć mogło, najlepiej znając te nieszczęśliwe interesa i skład okoliczności... opowiedziałbym jak najdokładniej.

— A! proszę bardzo! zawołał hrabia, nudzę się w tej Warszawie, będzie mi wielce przyjemnie spędzić z nim chwilę. Chodźmy na obiadek do Bouquerell'a, zjemy go sobie w gabinecie.

Gozdowskiemu milszym nikt być nie mógł nad tego. co go na dobry obiad zapraszał. Chwycił więc rękę hrabiego z gorącą wdzięcznością i poszli. Zasiedli do stołu w kątku; po pierwszych żalach i westchnieniach nad losem książąt kochanych. Gozdowski tak opowiadanie swe rozpoczął:

— Upadek tego domu oddawna przewidywać było można, a nikt go wcześniej nie widział odemnie, lecz zaradzić stało się niepodobieństwem. Mały. lichy człowieczyna. niejaki Zembrzyński, któremu książę szambelan, panie świeć nad duszą jego, dał w ucho. gdy był w usługach jego, całe życie poświęcił zemście. Długoby to opowiadać przyszło... dosyć. że na swojem postawił... Wszystko razem na nas spadło. Książę generał. który o interesach wiedział i troskał się niem. dostał pomięszania zmysłów, a szambelan. gdy jeszcze marzył o świetności i wielkości domu. nagle się dowiedział, że nie mieli nic. Tu się dopiero okazała prawdziwa wielkość duszy tego człowieka. Zniósł wszystko jak najspokojniej, nie chcąc póty grosza wziąść z majątku, póki długi do ostatniego szeląga nie zostały wypłacone. Posunął to, panie hrabio, aż do śmieszności, ale trudno, słuchać go musieliśmy. Sprzedano obrazy. srebra, powozy, konie, sprzęty, aż do najdrobniejszych pamiątek familijnych. Stary był nieubłagany, księżniczka Stella mu pomagała, dosyć że Brańsk, lasy, i co było gotówki, i co przyszło z inwentarzy, pochłonęli wierzyciele. Jeden tylko mój synowiec Garbowski bardzo się szlachetnie znalazł: chciał czekać, chciał ustąpić, książę nie przyjął, a wszelako z jego pomocą cóś się ocalić dało. I tak milionowa ta fortuna, podzielona, rozdarta, posprzedawana kawałkami. poszła po rękach. Książętom został dworek z ogrodem w Lublinie na przedmieściu, z kilką morgami ziemi, tyle właśnie, ile oni dawniej gracyalistom swoim dawali, a z majętności ocalało po sprzedarzy klejnotów i z tego, co ks. Robert, od ojca wziąwszy, przechował dla niego, może półtorakroć sto tysięcy, to jest mniej. niż oni dawniej miewali dochodu.

— Proszę! proszę! przerwał hrabia, i cóż z sobą poczęli?

— Największa bieda była z generałem, który zupełnie nieprzytomny. jednak to zrozumiał, iż był w Brańsku i wynosić się nie chciał. Do domu obłąkanych za nic go oddać nie chciano. Ledwie ks. Stella potrafiła wymódz na nim, że wyjechał. Osadzono go we dworku, gdzie i szambelan nieboszczyk do śmierci w jednej izdebce przemieszkiwał.

— Zmarł więc ks. szambelan? spytał Mościński z westchnieniem.

— Niedawno, śmiercią chrześciańską, piękną, jaką daj Boże każdemu. Pobłogosławiwszy dzieci, pomodliwszy się, zapragnął się zdrzemnąć i usnął na wieki. Kazał się pochować przez pokorę w prostej sosnowej trumnie.

— A generał?

— Generał żyje i zdrów zupełnie, ale bredzi. Je

nadzwyczaj wiele, po mrozie chodzi w koszuli i zbroi żelaznej, bo ją często wdziewać lubi. Śpiewa pieśni pobożne, czasem godzinami warty odbywa niby u grobu Pańskiego... pyta się kilka razy na dzień o brata i nie czekając odpowiedzi, mówi o czem innem. Bieda z nim, lecz to szczęście, że spokojny, byle żydów nie widział, bo tłucze ich jako niewiernych Saracenów i jednemu miednicę na głowie rozbił... Zresztą dla wszystkich jest grzeczny a dla Roberta i Stelli powolny. W Robercie widzi Ryszarda Lwie serce, w Stelli najczęściej któłowę Jadwigę, lub Blanchę.

— A tych-że dwoje, brat i siostra? spytał hrabia. nie ożenił się Robert?

Gozdowski potrząsł głową.

— On się nigdy nie ożeni! Gdyby już to uczynił, lepiejby było, bo dawny romans trwa; ale hr. Natalia iść za niego nie chce, aby mu świata nie zawiązywać, a on się nie żeni. bo sądzi, iż koniec końcem ona pójdzie za niego. A tymczasem życie tęskne, nudne, bez celu. Cały dzień cygaro, i to liche pali, bo na dobre mu nie stało, książki przewraca, bo nie czyta, lub chodzi zamyślony.

— A księżniczka Stella?

— To jest, panie, zawołał Gozdowski, widelec podnosząc do góry, to jest anioł w ludzkiem ciele! Ta jest wszystkiem w domu, a do tego słońcem, co ogrzewa, głosem co pociesza... siostrą miłosierdzia. Do ostatniej chwili pielęgnowała ojca, pielęgnuje generała, troszczy się o brata... zawsze o kogoś, nigdy o siebie... Miała ona takiego, bardzo majętnego chłopaka, mojego kuzyna, co się w niej szalenie zakochał, ale... trafiła kosa na kamień... Garbowski się dowiedział, że księżniczka, choć wyjść za niego była gotową, nie kochała go... więc pierścionek już mając, zrzekł się jej ręki. Był to, panie hrabio, największy szaławiła, jakiego kiedy swiat widział. I co pan powie, wpływ tej kobiety uczynił go statecznym, zmienił na innego człowieka. Oddał księżniczce pierścionek, a mimo to zo-

stał przyjacielem domu; prosił o jedyną łaskę, aby mu bywać pozwolono, przesiaduje z niemi niemal całe dni i kocha się zapamiętale. Czemu się nie żeni? Bóg go wie... bo ja sądzę, że i ks. Stella niby przeciwko temu nie miała... a że miłości szalonej niema, toby się bez niej obeszło.

— A, zapewne! to tylko zawada do szczęścia prawdziwego, przerwał hrabia, wychylając kieliszek bordeaux. I ja bardzom rad, że moja Alfonia poszła za księcia przez rozsądek, a on ożenił się przez szacunek. Takie małżeństwa są zawsze najbezpieczniejsze, z miłością zaś, jak z zapałkami w kieszeni... niech ją!...

Gozdowski uśmiechnął się z tego trafnego porównania amfitrjona.

— Ale proszę acana dobrodzieja, mówił hrabia, cóż tedy więcej? co więcej? jak żyją? co robią?

— Żyją w dworku pod Lublinem, który jednak, choć stary, księżniczka potrafiła tak upiększyć, tak ubrać, że tam ludzie się schodzą przyglądać, jak na dziwowisko. Ogródek cacko. Z pałacu naturalnie zostało wiele rzeczy, a że Brańsk nabył Garbowski... zabrali, co chcieli. Było aż nadto czem pokoiki ubrać, a smaku im niebrak. Generał ma wielki pokój do ogrodu i swego służącego, który go nie odstępuje. Księżniczka stoi we dwóch pokojach obok, aby w razie potrzeby mogła dobiedz do niego; książę Robert z drugiej strony od ogrodu; od ulicy są dwa pokoje bawialne. Życie nadzwyczaj skromne, a na nich doprawdy, po tych dawnych wygodach i nazwyczajeniu do zbytku, ani znać, że wielu rzeczy wyrzekać się muszą... Księżniczka Stella chodzi czarno, a piękniejszą jest, niż kiedykolwiek była, ks. Robert, jako żołnierz, nawykł się obchodzić małem... Jedyne ich towarzystwo młody Garbowski, albo kto ze starych wiejskich przyjaciół.

Hrabia kiwał głową nad pieczystem... tak go to

opowiadanie przejmowało. W milczeniu nalał kieliszek szampańkiego wina Gozdowskiemu a drugi sobie, trącili się i posmakowali. Rozmowa na chwilę była boleścią nad losem książąt przerwana.

— Mój Boże, takie piękne dobra! wtrącił Mościński, co to tam przy skrzętnem gospodarstwie można z tego było zrobić... takie inwentarze! Wszystko diabli wzięli... At, nieład! nierząd!

— Ah, panie hrabio, fatalizm — ananke! rzekł Gozdowski.

Hrabia ostatniego wyrazu czy nie dosłyszał, czy prędzej niezrozumiał, rzekł pospiesznie.

— A niańki! niańki! tak, gdzie wiele nianiek, to wiadomo...

Gozdowski zamilkł, wielce zdumiony.

— Cóż, proszę pana dobrodzieja, niechże mnie pan powie, począł zaraz Mościński, co się stało z tym... z tym... jakże się zwał... co to się mścił, co wygrał proces?

— A... Zembrzyńskim?

— Tak! z tym, co w twarz dostał.

— Pan hrabia wie, że gdy proces wygrał, uparł się z samym starym szambelanem traktować, wlazł do niego i człowiekowi, który o Bożym świecie niewiedział, nagle wyśpiewał, że bankrut, że bez koszuli wyjdzie... i t. p.

— A cóż szambelan?

— Książę? jam myślał, że go apopleksja ubije. Gdzie zaś! tak to zniósł i tak mu głowę zmył a kijem go pono nastraszył, że ten, co tu przybył z wielką fantazją, pojechał jak zmyty.

— Ho! ho! bo ten książę Norbert, przerwał hrabia, z powagą wielkiego znawcy ludzkich charakterów, książę Norbert to był prawdziwy senator, statysta i człek wielkiego majestatu. Przed nim każdy się czuł maleńkim, panie. To był senator, panie, to był senator!... A cóż tedy ten... jakże się zowie?...

— Zembrzyński. No cóż pojechał do domu, żółtaczki dostał, sprowadzili doktora Cieciorkę zapóźno, coś tam żółć zaczęła w nim dokazywać i umarł sobie jeszcze wprzód nim szambelan. A dobrze mu tak, bo był zły...

— A z majątkiem co się stało?

— Podobno, że się jacyś dziedzice znaleźli, bo na majątek zawsze się oni znajdują...

— O tak, uśmiechnął się Mościński. Dziwne dzieje... i oto dom zacny, wielki, poczciwy, gniazdo cnoty prawdziwe .. wiatr rozniósł i zniszczył... Szkoda, panie, szkoda... tylko to już ratować było trudno. Oni pewnie i do mnie żal mają, dodał hrabia, lecz niesłuszny. Nie szło mi o majątek, ale o szczęście córki, którego ks. Robert z tą nieszczęśliwą miłością w sercu nigdy zapewnić jej nie mógł. Ja bo, panie, miłości zawsze jestem przeciwny, to panie głupstwo. Żeniłem się bez miłości, żyłem dzięki Bogu bez niej i dziecko takem wydał, że tam o tem nie słychać. Szacunek, zgoda... i dosyć. Szkoda domu! szkoda domu!...

— Jeszcze to, panie hrabio, nie ostatnie słowo o nim, rzekł Gozdowski. Książę Robert może się ożenić, księżniczka może wyjść za mąż...

— Wątpię, wątpię, wtrącił, dolewając wina, hrabia. Ale, ale, a cóż się stało z tą panną (ładna panna) co przy księżniczce była?

— Z panną Antoniną... Ruszył ramionami Gozdowski i uśmiechnął się. Wzięli pono Żurbowie nadal tę samę dzierżawę u nowego dziedzica. Dobrzy ludzie! Zenon, jej brat, niby to prawnik... myśli zostać adwokatem; ano myśli i nie namyślił się dotąd. Panna Antonina za mąż iść nie chce; mocno ją posądzam, że się w księciu Robercie kocha. Wychowała się z księżniczką, nabrała pańskich obyczajów, nie bogata... gdzie to tam jej męża znaleźć! Raz wraz to ona dojeżdża do Lubli-

na, to pan Zenon... nieodstępni goście. Mnie się zdaje, że to się tak wszystko zestarzeje i zeschnie... Ale ludzie najczcigodniejsi... Mnie też, wzdychając, dokończył plenipotent, spotkał ten los, żem, życie strawiwszy na ich usługach, po długich latach znalazł się na bruku, stary, siwy i już na niewiele przydatny.

Hrabia sądząc, że tu może nastąpić przymówka o jakie miejsce w jego dobrach, albo o rekomendacją, chrząknął głośno i zaczął kaszleć bardzo... Gozdowski kończył:

— Szczęściem że tam miałem kapitalik swój po ojcu i jakiś grosz oszczędzony, więc z tym się tu wyniosłem do Warszawy i żyję... aby do końca, bo późno już na nowo rozpoczynać zawód, a panowie teraz plenipotentów nie potrzebują... Prawdę rzekłszy, dodał, panów i niema.

— Hę? spytał hrabia, hę? no, są gdzieś niegdzieś, tylko czasy cięższe nastały.

— Czasy bardzo ciężkie! powtórzył Gozdowski.

— Otóż proszę, proszę! Tak się tedy tym Brańskim marnie zeszło! powtórzył Mościński, zapalając cygaro, bardzo mi ich żal!

— Któż ich nie żałuje?

— Myślę jednak, że sami sobie winni, mruczał hrabia. Od dawnych tam lat na łasce Bożej było wszystko.

— Złość ludzka też się przyczyniła, przerwał Gozdowski. Zembrzyński ten ich podkopywał, pieniądze pod innemi nazwiskami tkał, procenta zaległy... rosło to, rosło i nagle, gdy się upomniano o wszystko... nie było już ratunku.

— Nie było ratunku! westchnął kuzyn. Przyznam się, że teraz w tej niedoli radbym zobaczyć i odwiedzić ks. Roberta a oświadczyć im kondolencją swoję...

— To nie byłoby trudno, rzekł Gozdowski, bo on często bywa w Warszawie.

Hrabia bojaźliwie się obejrzał... Było to rzucone na wiatr; lękał się, by go los za słowo nie chwycił. Wstał prędko od stołu, zapiął się, pożegnał i spojrzawszy na zegarek, wymknął się, myśląc, iż długo w mieście bawić nie wypadnie.

KONIEC.

Biblioteka i Czytelnia Polskiej Macierzy Szkolnej w Gnieźnie
02328.
Biblioteka Uniwersytetu Ludowego Kom. Szkol. w Radomiu

Biblioteka Uniwersytetu Ludowego Tow. Szkol. Radomiu

próba słówka

141
144
147

141
144
147
432

Uniwersytetu Ludowego

10,000
5000